

ISINHA

Powrót do Indii

Z angielskiego przełożył GRZEGORZ KOŁODZIEJCZYK

III

WARSZAWA 2005

Tytuł oryginału: THE DEATH OF MR LOVE

Copyright © Indra Sinha 2002 All rights reserved

Copyright © for the Polish edition by Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2005

Copyright © for the Polish translation by Grzegorz Kołodziejczyk 2005

Redakcja: Beata Słama Ilustracja na okładce: Jacek Kopalski Projekt graficzny okładki i serii:

Andrzi

ISBN 83-7359-116.

\rŁ

Dystrybucja i AM Q

ŹH Firma Księgarska Jacek Olesiejuk Kolejowa 15/17, 01-217 Warszawa tel./fax (22)-631-4832,
(22)-632-9155, (22)-535-0557 www.olesiejuk.pl/www.oramus.pl

Wydawnictwo L & L/Dział Handlowy

Kościuszki 38/3, 80-445 Gdańsk tel. (58)-520-3557, fax (58)-344-1338

Sprzedaż wysyłkowa

Internetowe księgarnie wysyłkowe:

www.merlin.pl

www.ksiazki.wp.pl

www.vivid.pl

WYDAWNICTWO ALBATROS

ANDRZEJ KURYŁOWICZ

adres dla korespondencji:

skr. poczt. 55, 02-792 Warszawa 78

Wydanie I

Skład: Laguna

Druk: OpolGraf SA., Opole

ra/05"

Książkę tę dedykuję z wyrazami serdeczności (szacunku

Mulkowi Raj Anandowi,

który kazał mi pisać, kiedy byłem dzieckiem a gdy dorosłem, kazał mi pisać o moim dzieciństwie
i

„Bhalu, nazwij tę historię fikcją, jeśli chcesz, lecz musisz ją napisać z trzech powodów. Po pierwsze dlatego, że jest prawdziwa, a u jej sedna leży morderstwo sprzed czterdziestu lat, które mieszkańcy Indii wciąż pamiętają. Po drugie dlatego, iż zagrożenia* nadal żyją i nieprzerwanie bieżą w przyszłość. Po trzecie, musisz ujawnić światu, że wrzawa i sensacja, wywołane procesem Nanavatiego, ukryły inną potworną zbrodnię, która pozostaje nieujawniona, a jej sprawca nie został ukarany — słowa, które napiszesz, staną się dla niego jedyną karą”.

* Błąd maszynowy. Chciałem napisać „nici”1, Phoebe twierdziła, że jest to wiadomość od Mai odebrana podczas drugiego seansu w Brighton, po moim wyjeździe do Bombaju w lipcu 1999.

1 thread to po angielsku nic, a threat — zagrożenie

o*

0Q

Pokuta

(Bombaj, kwiecień 1959)

Wczoraj wieczorem przestraszyłem prostytutkę, pracującą ciężko pod klientem w piasku upstrzonym petami. Zobaczyła mnie ponad jego ramieniem i wydała przeciągły okrzyk czystego przerażenia. Jakże podniósł mnie na duchu ten wrzask. Zwykle twarze moich współobywateli

pozostają dla mnie nieprzeniknione. Jeśli ludzie w ogóle mnie dostrzegają, nie wiedzą, na co patrzą. Jakich sztuczek próbowałem, żeby zebrać wokół widownię. Wszedłem na ruchliwą jezdnię przy Kemp's Corner, lecz nie ściągnąłem na siebie kakofonii klaksonów i obraźliwych okrzyków — tylko jeden wytracony z równowagi motocyklista zatrafił na mnie bez przekonania. Wspiąłem się na posąg czarnego konia przy Kalaghoda i usiadłem za królem Edwardem VII, machając ręką do przechodniów w dole, lecz tylko kilkoro podniosło głowy. Włóczę się od jednego końca Bombaju do drugiego i wszędzie widzę oczy patrzące przeze mnie na wskroś, jakby mnie nie było. Ci, którzy widzą, nie chcą widzieć. Pospiesznie odwracają wzrok. Cóż, nie stanowią przyjemnego widoku, w przesiąkniętym krwią ubraniu, z włosami zlepionymi zaschłą posoką. Hańba, mówią odwrócone twarze, ojciec własnego nieszczęścia. Po butelce, którą trzymam w ręku — pustej, sądząc z jej smętej przezroczystości — odgadują, że nie jestem dobrodusznym wiejskim pijackiem, którego ciężki żywot i niesprawiedliwy świat pchnęły do topienia smutków w samogonie. Mój alkohol to szkocka po cztery stowy za flaszkę. Na etykietce maszeruje postać w czerwonym płaszczu i cylindrze, z monoklem w oku, z którego nasze hinduskie kino zrobiło bohatera, „Jahnnny Walkara”, ekranowego maestro, ostatnie bełkotliwe słowo w dziedzinie pijackiej komedii. Jeśli ta historia

11

zostanie kiedyś sfilmowana, obawiam się, że to właśnie on mnie zagra.

Być nienawidzonym to jedna rzecz, być wyśmiewanym — o wiele gorsza. Oskarża się mnie o brzydkie przestępstwa, do niektórych z nich mógłbym się nawet przyznać, lecz nigdy nie byłem postacią śmieszną. Ci, którzy dobrze mnie znają, powiedzieliby wam, że jestem człowiekiem spokojnym, łagodną duszą — gdyby tylko moi przyjaciele zechcieli przemówić — ale wielu z nich zaprzecza teraz, że mnie znało. Chcę mieć szansę opowiedzenia mojej historii, przedstawienia mojego punktu widzenia. Opisano mnie (mam trzydzieści sześć lat) jako „podstarzałego Lotharia, który zachował gładką, zwodniczą aparycję za pomocą Vasmolu, «czernidła do włosów, które dotrzymuje obietnic», mimo że ten uwodziciel bez serca ich nie dotrzymał... Pije zagraniczny alkohol, nabyty na czarnym rynku od przemytnika, i kupuje brązowe perfumowane papierosy Macropolo w paczkach po pięćdziesiąt sztuk. Na miejscu zbrodni znaleziono ponad czterdzieści złotych ustników od jego papierosów”. Jestem, jak się wydaje, rozpustnym łotrem, cynicznym dżinem, butelki whisky, oddanym do cna występкови, „symbolem owych bogatych, skorumpowanych, niemoralnych i z gruntu aspołecznych sił, które traktują naród i jego integralność jak towar na sprzedaż”. To cytat z „Blitza”, ukochanego w tym mieście brukowca specjalizującego się w skandalach, który chciałby, aby czytelnicy uwierzyli, że jestem zdolny do popełnienia morderstwa.

„Niekórtzy, pisze «Blitz», chcieliby zrzucić to budzące zgrozę wydarzenie na karb nieznośnego upału obecnej pory roku, lecz jest to błąd. Tacy jak on nie dzielą losu zwykłego człowieka. Żyją i poruszają się w świecie przywileju. Za swoje grzechy, zbrodnie i występki oni i tylko oni ponoszą winę”. Ośmielę się teraz o coś was poprosić: uwierzcie mi. To, co się stało, jest niewytłumaczalne i szalone, i tylko imbecyl winiłby pogodę, lecz nie była to moja wina.

Upał w Bombaju, w ciągu ostatnich kilku dni poprzedzających deszcze, słynie z tego, że doprowadza ludzi do obłędu. Wilgoć zamienia pachy w lepkie bagna, czołga się pod ubraniem niczym gromady owadów; tłusty, kleisty brud sprawia, że

12

kołnierzyki i mankiety stają się czarne po godzinie noszenia, miasto zamienia się w rozbuchane kłębowisko ciał, a sen jest niemożliwy, bo upał wisi jak zaraza w pokojach pozbawionych powietrza. W biedniejszych częściach miasta, w chawlach i slumsach, o tej porze roku zdarza się więcej morderstw niż o jakiegokolwiek innej. Są to, rzecz jasna, enklawy socjalizmu. „Blitz” podaje: „Robotnik podciął żonie gardło, bo nie chciała mu zrobić herbaty. Jego adwokat w sądzie małej sesji zauważył żartobliwie, że o tej porze roku jedynym argumentem przemawiającym na korzyść oskarżonego, jest «gorączka chwili»”.

Nawet tam, gdzie skromne dochody pozwalają, by każda rodzina miała swoje własne miejsce do życia, sytuacja nie wygląda lepiej. W całym mieście ludzie stłoczeni w pomieszczeniach

oddzielonych cienkimi jak papier przepierzeniami włączają wentylatory i otwierają okiennice, żeby złapać choćby najlżejszy powiew wiatru, lecz morze ziejże cuchnącym oddechem zwierzęcia, a jego wąty podmuch wnet nikt nie w labiryncie ulic. Dociekliwe oko „Blitza” zauważa: „Młodzi mężczyźni, leżąc na plecach, słyszą, jak pary kładą się do łóżek, i ciemny wąż wślizguje się im do żył”.

Zamożni bez wątplenia unikają tego losu. Na wzgórzu Mala-bar, gdzie stoją pałacyki i eleganckie rezydencje z oknami wychodzącymi na Morze Arabskie i wielkimi drzwiami, pilnowanymi przez chowkidarów, czekają zastępy służących, a na parkingach grupki szoferów grają w karty. My, rozleniwieni sjęstą bogacze, zamykamy się szczelnie w naszych klimatyzowanych pokojach, odcinając się od słonecznego żaru, gorączki i cierpiącego świata.

W taki właśnie dzień, w takim pokoju, leżałem nago na łóżku, rozmyślając o kobietach, które w nim posiadałem. Za oknem kołysały się kanie, a w dole, czterdzieści metrów niżej, krzyczało morze. Było tych kobiet parę, przyznaję, lecz uwodzicielem nie jestem. Nigdy świadomie nie dążyłem do tego, żeby kobieta się we mnie zakochała. To dzieje się naturalnie. Wiem, jak być czarującym. Wiele kochanek mówiło mi jednak, że trudno pojąć, jak to się dzieje, że choć moja twarz wciąż nosi ślady walki, wyglądam jak gwiazdor filmowy — mocna szczęka, prosty nos i gęste brwi ocieniające oczy zdolne do wielkiej

13

czułości. Mam szerokie usta, łatwo układające się w uśmiech. W zaułkach przy ulicy Mohammeda Alego można kupić najrozmaitsze napoje, które mają cię uczynić nieodparcie pociągającym dla przeciwnej płci. Pewien znajomy mieszał porcję drobinek złota wartą setki rupii ze swoim nasieniem i wcierał sobie tę miksturę za uszami, lecz do takich rzeczy uciekają się ignoranci i desperaci. Szczery uśmiech nic nie kosztuje, a jest bardziej skuteczny.

Szczególnie oburzyła mnie sugestia (znowu „Bhtz”), jakobym posługiwał się narkotykami, żeby zaciągać kobiety do łóżka. Anglohinduska przedstawiająca się jako „Angela” opowiedziała rzewną historię o tym, jak to — ignorując jej lzy i powoływanie się na ufego męża oraz małe dziecko w domu — nakłaniałem ją do ściągnięcia bielizny. Sesje te — bo było ich kilka — za każdym razem odbywały się wbrew jej woli, przy sparaliżowanym poczuciu moralności. Jak to możliwe? Kobieta tego nie wyjaśnia, mówi tylko, że raz, gdy „obrzydzenie do samej siebie przyprawiło ją o mdłości”, wyciągnąłem papierek z żółtym proszkiem w środku i kazałem jej go zażyć, bo dzięki temu miała poczuć w sobie „iskrzącą energię”. Kilka miesięcy później, jadąc pociągiem na południu Indii, podsłuchiwała, jak złowieszczco wyglądający mężczyzna opowiada o pewnym żółtym miłosnym eliksirze, który, podany ofierze, sprawia, iż ta zaczyna czuć się „niesłychanie ożywna”. Szkoda, że nie jestem w stanie oskarżyć „Angeli” o oszczerstwo, gdyż wiem dokładnie, kim jest, i z całą pewnością mogę zaświadczyć, że oddawała się cudzołóstwu z niekłamaną rozkoszą jedynie zaś proszek, jaki mi się z nią kojarzy, to ten, którym była grubo posmarowała jej górna warga.

Nie, ja nigdy nie robię pierwszego kroku, a jeśli rzeczywiście słyngę z tego, że podchodzę na przyjęciach do pięknych kobiet i mówię: „Wygląda pani na samotną czy zechce pani zatańczyć?”, proste uczynki płynące z ludzkiej dobroci nie czynią ze mnie uwodziciela. Jeśli o to chodzi, nie jestem też zwodzicielem. Przyznaję, że często prowadziłem więcej niż jeden romans naraz lecz nigdy nie udawałem, że jest inaczej. Zawsze na samym początku stawiałem sprawę jasno:

„Będziemy przyjaciółmi. Będziemy się dobrze bawili, lecz nie oczekuj, że zrezyg-

14

nuję z innych przyjaciół”. Czy to moja wina, że niektóre zatykały na to uszy? Nie jestem gotów, by zostać mężem. Właśnie dlatego trzymałem się zasady, by spotykać się tylko z mężatkami. Jeśli miały dzieci, tym lepiej, bo trudniej im było zrezygnować z małżeństwa. „W wieku trzydziestu sześciu lat wciąż jest kawalerem”, mówią ci, którzy pragną mnie oczernić. „Żadna przyzwoita kobieta nie chciała za niego wyjść”. Och, gdybyż to była prawda.

Nie mogę jednak pozwolić, by podobne zmartwienia zakłóciły tok mej opowieści. Wróćmy do tego nieznośnego, parnego popołudnia przed porą deszczową. To straszne wydarzenie miało dopiero nadejść, a mnie zaprzętały inne myśli, gdy leżałem na łóżku, słuchając przenikliwych krzyków kań. Była czwarta. Na zewnątrz, na ulicach, przechodnie zostawiali odciski w asfalcie. Miałem zwyczaj

przychodzić o tej porze z biura do domu, żeby uciąć sobie drzemkę. Morze, krzyki ptaków i przypominające niestrawność gulgotanie klimatyzacji usypiały mnie momentalnie, lecz tego dnia leżałem z otwartymi oczami; z okolic poduszki unosiła się wąska kolumnienka papierosowego dymu, a w popielniczce koło mojej głowy gromadziły się złote niedopałki. Miałem problem. Musiałem się pozbyć dziewczyny...

Dwójka była błędem. Wiedziałem to od samego początku. Większość kobiet przychodzących do mojego łóżka to prag-matyczki, wiedzące dokładnie, co robią i mające swoje powody, żeby oszukiwać mężów. Lecz Dwójka była niebezpieczna. Była romantyczką. Już wcześniej zauważyłem tę cechę u Angielek, które — choć nie są z natury bardziej niewierne od swych hinduskich odpowiedniczek — żywią naiwną wiarę w prawdziwą miłość, której Hinduski, zmuszone, by nauczyć się kochać nieznanym, za których wychodzą nie mają.

„Oddałam się w twoje ręce”, rzekła do mnie Dwójka niedługo po tym, jak się poznaliśmy. „Chcę należeć do ciebie bez reszty”. Zwykle gardzę tego rodzaju sentymentalizmem. Nie powinienem był jej zachęcać.

Poznałem Dwójkę, ponieważ miałem romans z jedną z jej najlepszych przyjaciółek, do której była tak niesamowicie podobna, że mogłyby być bliźniaczkami. Były prawie w tym

15

samym wieku i prezentowały ten sam typ urody — Avy Gardner w Bosonogiej contessie — z ciemnymi falującymi włosami i wysokimi łukami brwi nad oczami, które zdają się nieomal wyzywać mężczyzn, by poznali ich właścicielkę. Jakby tego było mało, nawet ich imiona brzmiały podobnie. Wszyscy bez przerwy je ze sobą mylili. Kiedyś, gdy jeszcze się przyjaźniły — zanim pokłóciły się o mnie — spędziły cały wieczór w klubie Willingdon, udając jedna drugą i flirtując bez opamiętania na rachunek przyjaciółki. „Mój mąż wyjeżdża w przyszłym tygodniu, niech pan do mnie zadzwoni”, wydyszała Jedyńska w ucho libańskiego bankiera ze szczęką iguany, i podała numer telefonu Dwójki. Dwójka posłała swój najśłodszy uśmiech sędziemu Sądu Najwyższego, który głaszcząc ją po ramieniu, proponował, że nauczy ją hindi, a potem wręczyła mu wizytówkę Jedyńskiej. Pomarszczona, słynąca z rozwiązłości lordowska mość nie miał pojęcia, że mój romans z Jedyńką już się zaczął.

Później Jedyńska podeszła do mnie ze śmiechem i przedstawiła Dwójce.

— Wiem już o tobie wszystko — oznajmiła Dwójka, gdy jej przyjaciółka zostawiła nas samych. — Masz niczego sobie reputację. — Wciąż była w nastroju do flirtowania. — Czy to bezpieczne, pokazywać się z tobą publicznie? — Jej podobieństwo do Jedyńskiej było uderzające. Miała te same szare oczy z lekko opadającymi powiekami i wyćwiczone spojrzenie przez zasłonę rzęs, które uważała pewnie za rozmarzone.

— Reputacja to jedno, a prawda drugie.

— Mówią, że próbujesz uwieść każdą kobietę, z którą rozmawiasz.

— A ty jak uważasz? Czy próbowałem cię uwieść?

— Nie — odparła. — Więc pewnie nie jestem dla ciebie atrakcyjna.

W rzeczywistości było inaczej, lecz nie z powodów, które mogły przyjść jej do głowy. Zazwyczaj pociąga mnie nie uroda, lecz jakaś drobna osobliwość. Jeśli widzę, na przykład, cienkie usta, które ich właścicielka próbuje powiększyć szminką, chcę się dowiedzieć, jak kobieta tak świadoma brzydoty swoich ust wykorzysta je przy pocałunku. Ulotna cecha wzbudzająca moje

16

zainteresowanie nie musi być fizyczna. Jeśli widzę rozbawienie, niepokój lub nawet pogardę — co się zdarzało — w oczach kobiety, z którą rozmawiam, nie mogę przestać się zastanawiać, co w nich ujrzę, patrząc z odległości kilku centymetrów podczas aktu miłosnego.

Osobliwością Dwójki było jej podobieństwo do Jedyńskiej.

To oczywiste, że trudno było się temu oprzeć. Jak głęboko sięga to podobieństwo? Czy pocałunki Dwójki będą smakowały tak jak pocałunki Jedyńskiej? Jedyńska robiła w łóżku dużo hałasu, stękała i popiskiwała. A Dwójka? Jedyńska lubiła pozycję misjonarza. A Dwójka? Po stosunku, poprawiając makijaż przed lustrem, Jedyńska siadała wyprostowana, wciągała policzki, unosiła brwi i spoglądała na siebie jak wyniosła księżna. Dwójka pochylała się, zerkała przez przymknięte powieki,

marszczyła brwi i układała usta w dziwne czworokąty. Chwilami twarz spoglądająca z lustra mogła należeć do każdej z nich. W czasie jednej z naszych pierwszych sesji zwróciłem się do Dwójki imieniem jej sobowtóra. Łatwo było o taką pomyłkę. Dopiero kiedy ujrzałem wpatrujące się we mnie z lustra gorejące oczy, zrozumiałem swój błąd. Pierwszy z wielu.

Dwójka lubiła wbijać paznokcie w moje plecy — Bóg jeden wie, gdzie nabrała tego niemiłego zwyczaju; kiedyś, będąc w łóżku z Jedyką, zaskoczyłem ją, prosząc, by pozwoliła mi obejrzeć swoje paznokcie. Były obgryzione do żywej skóry. Przepraszyła i powiedziała, że na specjalne okazje zakłada sztuczne paznokcie, które przykleja się klejem do prawdziwych. Klej nie był zbyt dobry, więc paznokcie czasem przylepiają się do lepkich powierzchni. Podczas eleganckiego przyjęcia, na którym podawano sobie talerzyki zjedzeniem, Jedyka z przerażeniem spostrzegła, że szkarłatny pazur krąży między gośćmi, wbity w kanapkę z ogórkiem. Dwójka nigdy nie opowiedziałaby mi takiej historyjki, przedstawiającej ją w niekorzystnym świetle. Niebawem odkryłem, że największą różnicą między nimi jest poczucie humoru Jedyki.

stało się jasne, że spotykam się z obydwoma, co było , zareagowały całkiem odmiennie. Jedyka śmiechem — co było godne podziwu, bo

17

widziałem, że jest zraniona — natomiast Dwójka wpadła we wściekłość i zrujnowała mi policzek swoimi paznokciami-szty-letami.

— Czego się spodziewałaś? — zapytałem. Było bardzo ważne, żeby zdusić sprawę w zarodku. — Kiedy się poznaliśmy, wiedziałaś, że spotykam się z twoją przyjaciółką. Dlaczego sądziłaś, że z nią zerwę? Jeśli chcesz nadal zachowywać się w ten sposób, nie mogę się z tobą widywać.

Rozpłakała się i oznajmiła, że jest we mnie zakochana. Potem zrobiła tę uwagę o oddaniu się w moje ręce. Powinienem był wyrzucić ją z mieszkania. Ja natomiast, nie wiem dlaczego, powiedziałem łagodniejszym tonem:

— Ona się we mnie zakochała. Chce, żebym się z nią ożenił, ale ty znasz moje uczucia... —

Upłynęło kilka minut. Wróciliśmy do łóżka, a zadrapania na moim policzku wciąż czerwieniły się od krwi. Dwójka powiedziała:

— Ja też chcę za ciebie wyjść. Wiesz o tym, prawda? Tak zaczął się czas — nie trwał długo, może ze cztery

miesiące — w którym, jeśli mam być szczery, zachowywałem się bardzo nieładnie. Grałem jedną przeciw drugiej. Rywalizacja sprawiła, że stały się jeszcze bardziej gorliwe. Każda pisała listy, które czytałem na głos rywalce. Każdą przekonywałem, że druga nic już dla mnie nie znaczy, że już z nią nie sypiam. Przestałem oponować, kiedy mówiły o małżeństwie, pozwoliłem każdej wierzyć, że zdobywa przewagę. Nawet sam wspominałem o ślubie. Rzecz jasna, żadnej nie podobała się ta sytuacja. Jedyka, robiąc dzielną minę, powiedziała, że żal jej Dwójki.

„Widziałam się wczoraj z Dwójką, napisała do mnie. Ona musi mnie nienawidzić. Miała taką ściągniętą twarz i zaciśnięte usta, ręce jej się trzęsły, kiedy przypalała papierosa. Zachowywała się z zimną uprzejmością... Mówiłeś, że musisz się jej strzec, ale nie pamiętałeś wyrażenia, o które ci chodziło, więc z myślą o Tobie przypomniałam sobie wszystkie powiedzenia zaczynające się od «Strzeż się». Strzeż się psa? Strzeż się litości? Strzeż się id marcowych. Strzeż się Greków przynoszących dary (whisky z przemytu)? A Chrystus, o ile się nie mylę, rzekł: «Strzeżcie się jasnowidzów?»".

18

Dwójka napisała: „Najdroższy, w ciągu tych ostatnich kilku dni coś się stało. Jestem w Tobie tak bardzo zakochana i tak bardzo pragnę z Tobą być, że wszystko inne wydaje się nieważne. Nigdy nie uważałam się za osobę szczególnie egoistyczną, lecz teraz chcę być do cna egoistyczna i myśleć wyłącznie o sobie... Po raz pierwszy zrozumiałam, co będzie, jeśli się stracimy, i być może po raz pierwszy uświadamiam sobie, że tak czy inaczej ktoś będzie skazany na wielkie nieszczęście...".

Oba te listy dotarły do mnie w ciągu kilku dni, jeden po drugim. Odłożyłem je do tekturowego pudełka, które trzymam pod łóżkiem, by przechowywać takie właśnie rzeczy.

Któraś z nich musiała odejść, ale która? Postanowiłem rzucić Dwójkę, ze względu na jej talent do wybuchów i dąsy, kiedy całkiem niespodziewanie Jedyka podbiła stawkę. Weszła sama do

mieszkania — miała klucz, w przeciwieństwie do Dwójki — i zobaczyłem ją dopiero wtedy, gdy znalazła się w mojej sypialni i ze śmiechem zaczęła się rozbierać. Potem, leżąc w moich ramionach, powiedziała, że ma dobre wieści.

„Mów”, powiedziałem. Nachyliłem się nad nią, czule wodząc palcami wokół jej ust, spodziewając się, że usłyszę, iż jej mąż znów wyjeżdża. Często odbywał długie podróże, w czasie których byliśmy wolni. Zaświtała mi myśl o całych nocach spędzonych razem, może wycieczce na Goa. Ona tymczasem obwieściła, że jest w ciąży.

Przeraziłem się. Nie wierzyłem, że jest zdolna do takiej obłudy. Dlaczego przestała brać środki zapobiegawcze? Ukryłem gniew, na ile to było możliwe, i wyjaśniłem, że w tej chwili małżeństwo jest niemożliwe. Będzie musiała zachować cierpliwość. Tymczasem ja się wszystkim zajmę. Kiedyś przyjdzie czas na inne dzieci.

Dwójka uradowała się, słysząc o tym.

— Boi się ciebie stracić — powiedziała. — Hokus-pokus, i jest w ciąży. Poza tym, to nie może być twoje dziecko, bo wy przecież przestaliście... no wiesz? — W jej triumfalizmie było coś bardzo niskiego.

III

— Ty przynajmniej nie masz się czego obawiać — powiedziałem. — Po tym, co się stało, ona nigdy więcej nie będzie ze mną rozmawiała.

19

— Co? — zapytała. — Powiedz mi. Co się stało?

Więc jej powiedziałem. Pokłóciliśmy się z Jedyką. Rozgniewała się i krzyczała: „Co cię opętało? Oszalałeś?”. „To ty oszalałaś, odparłem. Naprawdę uważasz, że powinienem się żenić z każdą kobietą, z którą spałem?”.

Rozmawiałem z Jedyką jeszcze raz. Zadzwoiła nazajutrz, żeby dowiedzieć się, czy zmieniłem zdanie. Powiedziałem, że nie pozwolę się szantażować. Słyszałem, jak płacze po drugiej stronie linii. Potem spytała zimnym głosem, czy mam świadomość, że będzie musiała zrobić sobie skrobankę.

— Rób to, co trzeba zrobić — odparłem.

Zapadła długa cisza, a potem Jedyka wypowiedziała moje imię, to, które oznacza Miłość, i rzekła, jak gdyby strofowała dziecko:

— Kochanie, opamiętaj się, proszę cię. Mówimy o twoim dziecku. Aborcje są niebezpieczne. Nielegalne, a do tego kosztowne. Przecież nie chcesz, żebym przez to wszystko przechodziła?

— Jeśli to kwestia pieniędzy — odparłem — jestem gotów zapłacić.

Odłożyła słuchawkę.

Parę tygodni później odebrałem jej następny telefon; coś trzaskało na linii, sygnał zanikał, przerywały go głośne huki i grzmoty, jak gdyby zastęp dżinów przesuwiał kufry w pustym domu. Jedyka powiedziała, że szaleje burza. Ledwo słyszałem jej głos. Poinformowała mnie, że nie jest już w ciąży — z powodu złego połączenia niewiele usłyszałem — i chyba nawiązała do jakiejś mętnej legendy z przeszłości. Lecz jej ostatnie słowa, zanim odłożyła słuchawkę, były bardzo wyraźne: „To mężczyźni tacy jak ty zasługują na śmierć, a nie nienarodzone dzieci. Przysięgam ci, będzie pokuta!”.

Wkrótce potem zjawiała się Dwójka, żeby spędzić ze mną wieczór; przyszła z włosami jak szcurcze ogonki, cała mokra, bo o zmierzchu złapała ją ulewa. Powiedziałem jej o telefonie.

— Pokuta! — zawołała. — Czy ona grozi, że cię zabije? Powtórzyłem jej to, co odpowiedziałem Jedyce: „Co to znaczy? Grozisz mi śmiercią? Jestem w niebezpieczeństwie? Powinienem kupić sobie pistolet i trzymać go pod łóżkiem?”.

20

Dwójka się roześmiała. Minęło dziewięć miesięcy.

I tak, choć niechętnie, muszę wrócić do chwili, której się bałem, do morza, krzyku ptaków i upału. Leżąc na łóżku i tęskniąc do dotyku innych palców niż moje, pragnę, by sprawy przybrały nie taki obrót. Pozbywszy się Jedyki, czuję, że Dwójka zaczyna mnie nużyć. Pagle bez końca o małżeństwie, lecz w odróżnieniu od Jedyki, nie znalazła na mnie haka. Rozpaczliwie usiłuję się jej

pozbyć. Próbowałem ostudzić jej zapały. Stwierdziłem, że powinniśmy poddać próbie nasze uczucia, nie widując się przez miesiąc. Zgodziła się, lecz bez entuzjazmu. Jesteśmy w połowie tego miesiąca, ale ona pisze do mnie dzień w dzień coraz bardziej desperackie listy o tym, jak daremne jest dla niej trwanie w małżeństwie, i o tym, że nie może znieść myśli o życiu beze mnie. Jestem gotowa, pisze, poświęcić wszystko, zrobić coś drastycznego. Najbardziej boi się tego, że już jej nie chce. Listy powtarzają się. Kilka ostatnich wylądowało w pudle, nieodpieczętowanych. Wkrótce będę musiał stanąć twarzą w twarz z Dwójką, znieść jej gniew, łzy i „coś drastycznego”. Miesiąc prawie już upłynął i nie można dłużej odwlekać tej okropnej chwili.

Leżąc rozciągnięty na łóżku, nie wiem, że moja przyszłość została już przypieczętowana. Mój słuch odnotowuje daleki dzwonek, ale nie mogę przeczuwać, kto stoi przed wejściem do mieszkania i za chwilę otworzy drzwi sypialni, nie wiem jeszcze, że zdążę tylko złapać ręcznik, nim spojrzę w czarne oko rewolweru, i że rozpoczęła się już ostatnia minuta mojego życia.

O
N
GY

Srebrny Ganesz
(Ambona, 1958)

Moja matka, Maja, gawędziarka — jej jakże tramie wybrane imię znaczy „iluzja” — mawiała, że pisarze ponoszą szczególną odpowiedzialność za świat, gdyż mają władzę, by go zmieniać. Muszą uważać, w jaki sposób opowiadają swoje historie i komu, gdyż jest to akt, którego następstwa są nieobliczalne i nie mają końca.

Dopiero teraz, gdy sam biorę do ręki pióro, zaczynam rozumieć, dlaczego matka nigdy nie opowiedziała tej historii.

A ona zawsze była. Widzę jej nici we wzorze mojego dzieciństwa już w czasie wieczorków pod koniec lat pięćdziesiątych w Indiach, gdy Maję otaczali jej inteligentni przyjaciele — artyści, muzycy, filmowcy — w naszym saloniku pełnym świec (trzymanych ze względu na przerwy w dopływie prądu, lecz używanych tak czy inaczej) i... oczyma duszy widzę butelki z winem, lecz wiem, że to tylko moja pamięć płata mi figle. Czterdzieści lat temu nie było indyjskich win. Dzisiaj wino rośnie na zboczach wzgórz Ambona, lecz w owych czasach porastał je nietknięty las, i goście Mai musieli poprawić sobie humor za pomocą whisky destylowanej w Bangalore i nabywanej, na koszt mego ojca, w sklepach marynarki wojennej.

Muzyka, śmiech, gorące dyskusje, oto co pamiętam. Moja matka przechodzi z jednego pokoju do drugiego w jedwabnym sari, mieniącym się kolorami w świetle; kładzie płytę na gramofonie; zdejmuje książkę z półki, żeby ją komuś pokazać; przysuwa zapałkę do pałeczki kadzidła; woła Yelliję, naszą wiecznie nadąsaną kucharkę z południa Indii, żeby przyniosła

25

jedzenie. Kolację rzadko podawano przed północą. Jakże Maja uwielbiała te spotkania. Miała dużą czerwoną kropkę kumkum pośrodku czoła, która podkreślała jej oczy — ciemne, ogromne, błyszczące — gdy mówiła z ożywieniem. Wymykałem się z łóżka, patrzyłem i słuchałem, ukryty za kotarą. Zawsze mnie przyłapywano, rzecz jasna, i wyciągano w piżamie przed towarzystwo, besztano, poklepywano i chwalono, a potem mogłem siedzieć przez jakiś czas ze szklanką soku cytrynowego i słuchać rozmów.

Gdy myślę o opowieści, którą mam teraz rozpocząć, nasuwa mi się wspomnienie pewnego wieczoru z tamtego okresu, w czasie którego mama opowiedziała historię O srebrnym Ganeszu. Mówiła do niedźwiedziowatego mężczyzny z brodą leżącą na jego piersi jak śliniaczek. Miał na sobie długą muślinową kurtę, która jest prawie mundurkiem bengalskich intelektualistów. Z jego włochatych ust wystawała fajka przypominająca gałązkę. Nazywał się Babul Roy i pamiętam, jak myślałem, że to zabawne, że nazywają go Bubbles1. Bubbles był wówczas artystowskim reżyserem filmowym, raczej nieudacznikiem, i Maja bardzo chciała opowiedzieć mu swoją nową historię. (To był okres, gdy fascynowała się pisaniem scenariuszy, kino było ekscytujące, film Pather Panchali

Saty-ajita Raya właśnie wszedł na ekrany, a dwa scenariusze mamy też zostały niedawno zrealizowane).

— Jak powinniśmy postąpić — pytała moja mama — kiedy nie wiemy, jakie będą następstwa naszych czynów? Nawet więcej, niż nie wiemy, nie możemy wiedzieć?

— Nie złapiesz mnie po raz kolejny na tę przynętę — odparł Bubbles, ssąc fajkę tak, że krztusiła się, wydając odgłos przypominający śmiech współczucia. — To twoje ulubione pytanie bez odpowiedzi.

„Złapiesz na tę przynętę”. Czy Bubbles naprawdę tak powiedział? Wydaje się to mało prawdopodobne, lecz to właśnie przychodzi mi do głowy — w moim mózgu ośmiolatka za-

1 kurta — luźna koszula bez kołnierzyka

2 bubbles (ang.) — dosłownie bąbelki; również popularne określenie szampana

26

gnieździła się wówczas obsesja wędkowania. Tak czy owak, Maja dopięła swego, a nie chodziło jej bynajmniej o odpowiedź, tylko o pretekst do rozpoczęcia opowieści.

— Załóżmy, że to ty jesteś bohaterem tej historii — zagaja. — Pewnego dnia wychodzisz z domu, a na ulicy dwóch policjantów bije chłopca ulicznika. Przywiązali go za nadgarstki do balustrady twojego domu i okładają lathisami¹. Jest w tym samym wieku co Bhalu, lecz o wiele mniejszy. Krzyczy wniebogłose. Po jego brudnej twarzy ściekają łzy. Na twój widok policjanci przestają. Pytasz ich, co to ma, do cholery, znaczyć. Mówią, że przesłuchują go, bo podejrzewają, że chce się włamać do twojego domu. Ty, poczciwa dusza, jesteś oburzony. Każesz im puścić chłopca. Gderają, że uniemożliwiasz im wykonywanie roboty, a tacy jak ty są pierwszymi, którzy narzekają na przestępczość. Dziesięć rupii załatwia sprawę.

— Dziesięć rupii? Nie dałbym bahinchodom² dziesięciu anna — wtrąca Bubbles.

— Nawet dziesięciu pice! — wołam. To była okropna historia. Żal mi było tego chłopca. Czułem uderzenia policyjnych pałek na mojej głowie i moich plecach. Bubbles, który zapomniał, że słucham, poczuł się zawstydzony. — Hej, Bhalu, kolego, zapomnij o tym, co powiedziałem.

— On już zna to słowo — mówi moja matka. — Powinieneś posłuchać jego dziadka. Boże drogi! Co draga sylaba!

Rodzice ojca przyjechali z Kumharawy, żeby nas odwiedzić w Bombaju, zanim przeprowadziliśmy się na wzgórze. Stary rzucił bahinchodami na wszystko i wszystkich. Owoce, ryby, warzywa.

Kłócił się z bahinchod praczem i po dwakroć bahin-chod mleczarzem. To nie jest odpowiedni moment, żeby przytaczać historię o krowie. Kiedy wyjechali, bardzo tęskniłem za dziadkiem, a Maja powiedziała, że już zdażyła zapomnieć, jak nieokrzesani są wieśniacy.

— Ale wróćmy do mojej opowieści — ciągnie Maja. — Bierzesz tego chłopca do środka i każesz służbie go nakarmić. Oni, rzecz jasna, myślą, że odebrało ci rozum.

1 lathisa — bambusowy kij noszony przez indyjskich policjantów

2 bahinchod (hindi) — epitet w rodzaju drań, sukinsyn

27

Bubbles skinął głową. Nie mogłem oderwać wzroku od jego fajki, strzelającej małymi kulami dymu, jak ciuchcie sapiące na stacji w Ambona.

— Pochłania jedzenie jak wygłodniałe zwierzątko, którym zresztą jest. Pytasz go o rodzinę, o życie na ulicy, lecz on nie chce mówić. Nie ufa ci. Prosi cię jednak o pieniądze. Dajesz mu pięć rupii. Po jego wyjściu zauważasz, że zniknął srebrny

Ganesz.

— A służący krzyczą: „Przecież mówiliśmy...”.

— Naciskają cię, żebyś zawiadomił policję — kontynuuje

Maja.

— Bo w przeciwnym razie podejrzenie padnie na nich.

— Jesteś oczywiście zły, z powodu posążka, zlekceważenia przez chłopaka twojej dobroci, a najbardziej na swoje bur-żuazyjne złudzenie, że jeden akt dobroci może zmazać brutalne doświadczenia całego życia. Chcąc nie chcąc, idziesz na policję...

— A kiedy tam jesteś, chłopiec i jego banda przychodzą i zgarniają resztę twojego srebra...

— Nie i — woła Maja. Patrząc wstecz, widzę, jak stara się ukryć irytację z powodu tych ciągłych, idiotycznych uwag, przeszkadzających jej w snuciu opowieści. Nie wiedziała wówczas, biedaczka, że traci czas. Bubbles Roy zrobił jeszcze jeden nijaki „społeczny” film, a potem pograżył się w popularnej „kinowej” kulturze lat sześćdziesiątych. Gdyby mogła spojrzeć dziesięć lat naprzód i zobaczyć tytuły reżyserowanych przez niego filmów — Meri Manzil, Gawaar, Sadhu Sadhini oraz przeraźliwie głupi, lecz za to ogromnie popularny Sheikh Peeru — na pewno by się nie fatygowała. Lecz wciąż jest rok tysiąc dziewięćset pięćdziesiąty ósmy. Wszystko jest możliwe.

— Nie, nie! — powtarza Maja. — Zaczekaj. Dwa tygodnie później srebrny posążek się odnajduje. Nikt nie potrafi wyjaśnić, w jaki sposób i dlaczego. Chłopiec był od początku do końca niewinny. Źle go oceniliś i napuściłaś na niego policję; powiedziałaś, że popełnił prawdziwe przestępstwo, i teraz będą mieli powód, żeby puścić w ruch swoje lathisy. Czujesz się podle. Musisz ich powstrzymać. Postanawiasz odnaleźć chłopca, zanim zrobi to policja. Powraca durna nadzieja, że twoja dobroć mimo

28

r

wszystko coś zmieniała. Mówisz sobie, że przeznaczenie pokierowało tobą tak, żebyś uczynił dla tego chłopca coś znaczącego. Snujesz fantazje. Przyodziejiesz go, dopilnujesz, żeby miał co jeść. Poślesz do szkoły. Może powinien zamieszkać pod twoim dachem...

Bubbles wciąż kiwał głową. Dopiero teraz przyszło mi na myśl, że z tego ziarna wyrósł jego sentymentalny aż do obrzydzenia Gawaar (Wieśniak, 1965, z Dev Anandem w głównej roli bezdzietnego filantropa, który wbrew woli żony, granej przez Vijayantimalę, adoptuje osieroconego wiejskiego chłopca).

— ...Ale najpierw musisz go odnaleźć. Wysyłasz na poszukiwanie służących, którzy mówią ci, że chłopak zniknął. Idziesz więc sam. Lecz gdzie szukać małego chłopca w mieście takim jak nasze?

— To byłaby szalenie filmowa sekwencja — wtrąca Bubbles i zaczyna opowiadać, jak kamera przesuwa się wśród światła i cieni wypełnionych beznadzieją zaułków i slumsów Bombaju.

— Twoje poszukiwania zamieniają się w obsesję — ciągnie moja mama. — Mija dzień za dniem, a ty ciągle wracasz do domu pokonany. Opadasz na fotel i pograżasz się w rozmyślaniach. Potem, jako że jesteś gawędziarzem, siadasz przy biurku i zaczynasz pisać. Ale w twojej historii to chłopiec wkrada się do domu, stawia posążek na miejsce i znika w tętniących życiem zaułkach. W swojej opowieści też zaczynasz go szukać. I tak równoległe toczą się dwa poszukiwania. To prawdziwe i to, które opisujesz w swojej historii. Nasz film pokazuje obydwa. Przeplatają się ze sobą...

Oczywiście wyobraźni widzę, jak chłopiec prześlizguje się obok kamiennych słupów bramy domu Babul Roya i żelaznego ogrodzenia, do którego był przywiązany. Na jego nadgarstkach widać grube, czerwone pręgi od twardego włókna kokosowego. Rozgląda się nerwowo w jedną i w drugą stronę. Może gliniarze przyczaili się gdzieś w pobliżu, może poszli na herbatę ipaan. Ale teren jest czysty. Teraz, gdy uciekł i nie jest już we władzy czarnobrodego mężczyzny z dziwnym drewnianym chillumem, zaczyna pochlipywać. Bola go ręce. Ma guza na głowie w miejscu, na które wielokrotnie spadły razy policyjnych pałek. Bo-

29

leśny guz jest jak góra w porównaniu z maleńkimi wzgórkami po ukąszeniach wszy, lecz palce chłopca nie mogą go dobrze wyczuć pod zmierzwionymi włosami. Zaczyna biec, oglądając się przez ramię. Boi się. Policjanci na odchodnym zagrozili, że go dopadną. Biegnie kilkadziesiąt metrów spokojną ulicą z wysokimi domami, które stopniowo stają się coraz bardziej zaniedbane, i dociera do głównej drogi, gdzie ryczą samochody i motory. Jesteśmy w pobliżu dużego targowiska. Mężczyźni pchają wózki z melonami, drewnianymi paletami i plecionymi koszami pełnymi kurczaków, lawirają w zgiełku dzwoniących rowerów, ciężarówek obładowanych workami i skrzyniami, przymocowanymi sznurem, autobusów wypuszczających z rur spalinowe wyziewy, tabunami czarnych i żółtych taksówek. Chłopiec krzyczy na dwóch sikhów jadących obok siebie na skuterach; z tyłu, obejmując mężów w pasie, siedzą bokiem ich żony w shalwarach i dupattach,

twarzą do siebie tak zęby mogły rozmawiać. Cała czwórka ignoruje chłopca. Jakiś starzec, z rogiem swojego dhoti' w dłoni, klucząc, zaczyna przechodzić na drugą stronę jezdni. Chłopiec podbiega i chowa się za mm jak za tarczą. Starzec rzuca coś gderliwie, chłopiec tylko się uśmiecha. Po drugiej stronie ulicy zatrzymują się i cos przechodzi z rąk jednego do rąk drugiego. Myślę, że starzec dał chłopcu monetę. Malec odchodzi swobodnym krokiem i już się nie ogląda. Nawet nie zauważyłam, kiedy nastął wieczór. Idę za nim główną ulicą, obok wejścia na ruchliwy dworzec kolejowy, gdzie chłopak zatrzymuje się na chwilę i rozmawia z żebraczką, dziewczynką w jego wieku. Dziewczynka ma słodką twarzyczkę i jest ubrana w poszarpaną, ale czystą czerwoną sukienkę. Chłopiec wchodzi do środka, przesuwał się przez tłum ludzi wracających do domu z pracy, i idzie na peron, gdzie leży rozciągnięty jakiś mężczyzna — pijany albo umierający — w coraz większej kałuży moczu. Chłopiec nie zwraca na leżącego uwagi, przeskakuje nad żółtą strugą i wychodzi z dworca drugim wyjściem na węższą uliczkę gdzie ruch jest mniejszy. Kilka metrów dalej na stopniu przed sklepem

1 dhoti - sięgający kolan kawałek materiału, który mężczyźni noszą zamiast spodni

30

leży mężczyzna owinięty w brudny bawełniany całun. Kaszle. Chłopiec idzie ulicą, mijając rząd sklepików z tanimi złotymi bransoletami i perfumami — podobnych do siebie, pełnych luster i ozdobnych islamskich napisów — oraz przychodnię, w której kobiety z zakrytymi głowami czekają cierpliwie w kolejce na przyjęcie przez lekarza. Pod murem stoją na sztorc ręczne wózki, niczym piły na kółkach. Na krawędzi jednego z nich przycupnęła urodziwa kobieta i stara się nakłonić dziecko, żeby piło coś z metalowego kubka. Dziecko śmieje się i rzuca kubek do rynsztoka. Kobieta podnosi go, wyciera w sari i próbuje jeszcze raz. Dziecko znowu wyrzuca naczynie. Chłopiec zatrzymuje się i podnosi kubek. Czy weźmie go i ucieknie? Nie, zwraca matce. Mniej więcej półtora kilometra dalej skręca w boczną uliczkę, której pierwszych kilka metrów jest jasno oświetlone, ze sklepikami po obu stronach, tekstylnych i innych; nad drzwiami jednego z nich, z garnkami i naczyniami, wisi rząd aluminiowych wiader. W kafejce, z której wewnątrz dobiega głośna muzyka filmowa, w ogromnej zakrzywionej patelni smaży się pakora. Chłopiec staje i pokazuje dłonią na swoje usta. Kucharz zanurza chochłę w patelni i rzuca w powietrze skwierczącą pokorą. Chłopiec łapie kasek, krzyczy z bólu, a mężczyzna śmieje się, patrząc na żonglującego chłopca, który za wszelką cenę stara się uratować kasek. Chłopiec idzie dalej obok warsztatu rowerowego, blacharza, pustego sklepu, nie licząc grubasa w dhoti i kamizelce, śpiącego na sznurkowym łóżku z dłońmi splecionymi na brzuchu, opadającymi i wznoszącymi się razem z brzuchem. Nieopodal w rynsztoku przykucnęła dziewczynka, która podpala papier i obserwuje unoszące się w powietrze, gorejące płatki. Światło ulicznej latarni pada na jej włosy, tworząc z nich złotą aureolę. Nieco dalej sklepy ustępują miejsca szeregowi murowanych ruder, a powierzchnia ulicy jest błotnista i pełna dziur, jakby władze miasta nie zadawały sobie trudu, żeby cokolwiek tutaj robić. Chłopiec brodzi bosymi stopami w kałużach i błocie (to musi być pora monsunu). Idzie bez wahania, jego drobną postać raz po raz oświetla światło ulicznej latarni. Ręka co jakiś czas wędruje do ust; chłopiec wciąż zajada pokorą. W powietrzu unosi się mgiełka dymu z drewna. Latarni jest coraz mniej, blade kręgi

31

światła pojawiają się najpierw co dziesięć, a potem co dwadzieścia metrów, by wreszcie całkiem zniknąć. Teraz jedynym oświetleniem jest słaba poświata wylewająca się z drzwi domów. Przechodnie w ponurym mroku wyglądają jak cienie. Na pleconym sznurkowym łóżku siedzi pięciu mężczyzn z kolanami podciągniętymi do piersi i plecami opartymi o ścianę, pięć pomarańczowych punkcików w ciemności. Gdzieś słychać warczenie psów. Chłopiec znika w zaułku szerokim na kilka metrów, z zapchanymi rynsztokami po bokach, prowadzącym między budami skleconymi byle jak z drewna i blachy z puszek. Niektóre mają dachy z suszonych liści palm kokosowych, obciążonych oponami. W jednej z klitek, w świetle dymiącej lampy naftowej, kobieta o okrutnej twarzy kołysze dziecko. W innej budzie, jaśniej oświetlonej gołą żarówką, mężczyzna ćwiartuje mięso tasakiem i rzuca kawałki na kupkę. Strzępy zwisają mu z palców jak smarki z paznokci kogoś, kto niezręcznie wydmuchał nos. Na podłodze zebrała się kałuża krwi.

Krew sączy się przez otwarte drzwi i ścieka czarnymi żyłami do odpływu pełnego szczeciniastych porostów. Zauważyłam, że tam, gdzie plama światła pada przez drzwi na ulicę, chłopiec okrąża ją i przechodzi na zacienioną stronę. Nieco dalej pojedyncza żarówka rozsiewa mdły, tytoniowy blask. Za nią uliczka zamienia się w błotnistą ścieżkę, a szopy z desek i puszek ustępują miejsca budom z koców, płyt plastiku i podartych worków. Coraz trudniej coś zobaczyć. Chłopiec idzie w pośpiechu dalej i wreszcie znika. Uliczka skończyła się, rozpląnęła w mroku. Czuję smród odpadów i śmieci, a także niepasujący do otoczenia zapach kobrowego jaśminu¹. Moje oczy przyzwyczajają się do rozległej przestrzeni, zasłanej warstwą śmieci, nad którą snuje się dym. Stopy potykają się o chwasty i kawałki cegieł, gdy posuwam się po nierównym gruncie w stronę studni ciemności, idealnie okrągłej dziury w mroku nocy. Jest to otwór betonowej rury, szerokiej na metr, która musi tu leżeć od dawna, bo pod jej łukiem wyrósł krzew lantany. Nad jego maleńkimi gorzkimi kwiatami unosi się chmara ciem...

¹ kobrowy jaśmin — nie jest to nazwa botaniczna, lecz ludowa. Tam, gdzie występuje jaśmin, często spotkać można kobry

32

- Kroki biedaków są bezgłośne — mówiła moja matka. — Nic nie wiemy o ich życiu, lecz oni stykają się z naszym wszędzie. Nasze historie są zakorzenione w ich milczeniu. Nasze postacie noszą blizny z nieopowiedzianych historii i odchodzą ku nieodgadnionym przygodom. Nie możesz więc powiedzieć: „Moja historia zaczyna się w tym miejscu”. Ona jest starsza od ciebie. Ma tysiąc początków, a każdy bierze się z życia kogoś innego. Nie możesz powiedzieć: „W tym miejscu się kończy”. To, co robisz, odbija się echem, kiedy znikasz. Kto wie, gdzie się kończy? — Mówiła w hindi, a jedno jej zdanie wciąż tkwi w mojej głowie, bardzo wyraźne: Hamari kahaniyan apne aaramb sepaule aaramb hotin hain, aur apni anta kē baad takjaari rahtin hain. — „Nasze historie zaczynają się, nim się zaczną, i trwają jeszcze po swoim zakończeniu”. Potem dodała po angielsku: — Tak naprawdę, nie ma pojedynczych historii, jest tylko jedna historia, która wije się i plecie przez nasze życie.

— Co ty na to, Bhalu? — spytał Bubbles, odwracając się do mnie. — Czy mama ma rację? Czy to, co mówi, odnosi się do wszystkich historii, czy tylko do prawdziwych? A co z fikcją? Co z historią, która zawiera umyślne kłamstwa? Co z baśniami?

Długo się zastanawiałem, a potem odparłem:

— Nie wiem, wujku. Jaka jest odpowiedź?

Bubbles śmiał się tak bardzo, że nie mógł się opanować i musiał dać Mai fajkę do potrzymania.

Wciąż miała ją w dłoni, kiedy prowadziła mnie do łóżka. Idąc, słyszałem śmiech Bub-bleśa i jego dudniący głos.

— Jaka jest odpowiedź? Ha! Cóż za niewinność!

Cóż za niewinność! To powinno być moje epitafium. Podziwiałem moją piękną, inteligentną matkę i długo trwało, nim zrozumiałem, że nie jest tak błyskotliwa, jak sobie wyobrażałem, i że nie odniosła aż takich sukcesów. Jej aforyzmy, które dziecku mogły wydawać się głębokie, a w czasie lat studenckich wyzwały we mnie taką lojalność, że trafiały do moich dzienników, stopniowo zajęły takie miejsce, jak dawne

33

kochanki — człowiek pamięta, że czuł do nich namiętność, ale nie pamięta dlaczego.

„Przeszłość nigdy się nie kończy, powiedziała mi kiedyś moja matka, gdyż teraźniejszość jest jej bezustannie rozwijającym się następstwem”.

Pamiętam wszystkie opowieści Mai, lecz moją ulubioną która nadal mnie wzrusza i przeraża — był Srebrny Ganesz. Nie mówię tu o filmie, który powstał na jej kanwie, Doraaha (Dwie drogi, 1962, notabene nie reżyserowanym przez Bubblesa Roya), lecz o tej opowiedzianej tamtej nocy w Ambona, ponad czterdzieści lat temu. Obraz tego chłopca, idącego samotnie w ciemności, wciąż mnie prześladowa. Latami podążałem za nim w snach, tropiłem go w mrocznych meandrach wyobraźni. I ciągle mi umyka. Czarną ciemność zawsze przebijają punkciki drżącego światła, i znów jestem wśród świec w naszym saloniku pełnym książek, z perskimi dywanami na podłodze i rzeźbami, które niegdyś były elementami wnętrza kościołów Goan i świątyń w południowych

Indiach, wśród brzęku kieliszków, otoczony słodką wonią kobrowego jaśminu.

Maja twierdziła później, że oparła swój scenariusz na opowieści zasłyszanej od przyjaciółki, i nie pamięta, czy cała rzecz została wymyślona, lecz ja, prawdę powiedziawszy, nie pamiętam niczego prócz kilku obrazów, które roztoczyła tego wieczoru przed Bubblesem Royem.

Gdy myślę teraz o tym chłopcu, widzę własne wspomnienia.

Płonący anioł

(Lewes/Londyn, wrzesień 1998)

Robiłem sobie właśnie filiżankę herbaty w mojej księgarni w Lewes (jeśli znacie High Street, zauważycie ją od razu, to jeden z tych koślawych drewnianych domków, zbudowanych z kości starych żaglowców, mniej więcej naprzeciwko zamku), kiedy zadzwonił telefon. To była Maja. Chciała mi powiedzieć o nowej ciekawej sztuce w Royal Court. Przy okazji dodała, że umiera.

— Nie chcę robić wielkiego halo, Bhalu — powiedziała, nie dając mi szansy się wtrącić. — Takie rzeczy się zdarzają. Jak już wspomniałam, autor wychodzi po prostu na scenę i opowiada o swojej wizycie w Palestynie i o ludziach, których spotkał. O Żydach i Arabach.

— Och!

— Jeśli okaże się dobra, napiszę do Zafyque'a. Mógłby wystawić adaptację w Bombaju...

— Chwileczkę!

W pierwszej chwili pomyślałem, że wystawia na próbę moją zdolność do błyskotliwej riposty. To może się wydawać dziwne, myśleć o takich sprawach w takim momencie, ale moja matka ma przewrotne... Co? Poczucie humoru? Skłonność do psoty? Uwielbiała wywoływać zamieszanie i nigdy nie wiedziałem, czy jest akurat nieznośna, czy zabawna, czy też droczy się subtelnie, a ja straciłem wątek. Słyszała z tego, że kiedy rozmawiała z kimś, kogo nie lubiła albo kto ją nudził, wtrącała uwagi, zwane przez nią „durrelizmami”, w rodzaju: „Żyjemy w wyselekcjonowanych fikcjach”, albo „Prawda to jest coś, co z czasem najbardziej sobie zaprzecza”, zawsze dodając potem z uśmiechem: „Nie zgadzasz się?”. Mojemu ojcu, który chlubił

35

się tym, że świetnie rozwiązuje krzyżówki, podała kiedyś taką mniej więcej enigmatyczną wskazówkę: „Platoniczna skłonność wspaniałej katastrofalnej końcówce (8-3)”, i przez trzy miesiące patrzyła, jak łamie sobie nad tym głowę. Rzecz jasna, odpowiedź nie istniała. Wkrótce przed naszą przeprowadzką na lesiste wzgórze w Ambona ojciec zapisał się do Towarzystwa Przyrodniczego w Bombaju i uczęszczał na kurs rozpoznawania ptaków. Maję szalenie to bawiło. „Co to takiego?”, pytała, wskazując na drzewo, tylko po to, by usłyszeć jego odpowiedź: „A, jakiś tam brązowy ptaszek”.

Postanowiła, że muszę otrzymać właściwą edukację, co dla niej oznaczało rosyjskich autorów. (Indie były właśnie na etapie miesiąca miodowego stosunków ze Związkiem Radzieckim).

Mieliśmy rosyjskie książki dla dzieci, więc znam takie bajki jak Baba Jaga, Szkatułka z malachitu, Nieumiałek¹ — o wiele lepiej niż Baśnie braci Grimm. Kiedy miałem osiem lat, zaczęła ze mną przerabiać Gorkiego, a gdy poskarżyłem się, że Dzieciństwo jest przygnębiające (zaczynało się od pogrzebu), zawołała z przyganą: „Nie bądź dziecinny!”, a potem zaczęła się śmiać i powiedziała: „Ciągłe zapominam, że ty przecież jesteś dzieckiem!”. To paradoksalne, ale im bardziej dorastałem, tym lepiej wychodziło jej sprawianie, żebym czuł się jak dziecko. Wszystko to znalazło odbicie w moich wykrzyknikach: „Och!” i „Chwileczkę!”.

Wreszcie zebrałem się w sobie i powiedziałem:

— Jak to, takie rzeczy się zdarzają? To nie zdarza się co dzień.

— Powiedziałam ci, że nie chcę robić wielkiego halo — odparła z lekką irytacją. — Nie czuję się dobrze. Śniło mi się, że płonący anioł okrywa mnie skrzydłami... — Zamilkła na chwilę, żeby dotarło do mnie to enigmatyczne stwierdzenie, a potem, ku mojemu zdumieniu, powiedziała: — Bhalu, pamiętasz, jak Zafyque przyleciał do Londynu i opowiedział nam o zamieszkach? Przez te wszystkie lata, kiedy mieszkał w Bombaju, pierwszy raz poczuł się niebezpiecznie...

¹ Baba Jaga, Szkatułka z malachitu — rosyjskie baśnie ludowe; Przygody Nieumiałka, seria książek dla dzieci autorstwa Mikołaja Nosowa

36

- Maju!

— ...tłum wdzierał się do takich dzielnic jak Malabar, szukając muzułmanów. Biedny Zafyque trzymał żelazny łom przy drzwiach.

— Och, Zafyque to aktor do szpiku kości — zauważyłem cierpko, pamiętając jego wizytę i jego upór, żebyśmy wszyscy poszli na przedstawienie Otella, w którym zamieniono płęć postaci i Maura zagrała drobna aktorka. Scena, w której dusi Desdemonę, graną przez potężnego mężczyznę, wypadła idiotycznie:

DESDEMONA: (basując, z jasną brodą, w pasiastej pizamie)

O panie,

Odtrąć mnie, wygnaj, ale nie zabijaj! OTELLO: (drobniutka, w koronkowym peniuarze, wymachująca poduszką)

Giń, nierządniczo! nic cię nie ocali!

Zafyque zabawiał nas później wszystkich w pizzerii, flirtując z kelnerką; wydawało mu się, że mówi z włoskim akcentem. Gdy Maja zaczęła wspominać Bombaj połowy lat pięćdziesiątych, kiedy to należała do trupy teatralnej Zafyque'a, ogarnęło innie uczucie, które łączyło w sobie irytację, troskę, niechęć i ulgę. Gdy moja matka zaczynała paplać, znaczyło to, że przywołuje tabu i że o prawdziwym zakazanym temacie nie wolno wspominać, chyba że na jej warunkach. Zawsze tak było. Na przykład nigdy nie należy nawiązywać do jej dziwnego małżeństwa. Mimo że nie mieszka z moim ojcem od dwudziestu pięciu lat, i przez kilkanaście ostatnich lat widziała go tylko raz, oficjalnie wciąż są mężem i żoną. Na początku lat siedemdziesiątych przyjechała za mną i moimi siostrami do Anglii — gdzie zostaliśmy wysłani, by się kształcić — uzasadniając to tym, że dzieci nie powinny przebywać w obcym kraju bez rodzica, lecz kiedy Suki, najmłodsza z rodzeństwa, skończyła uczelnię, Maja nie okazała najmniejszej chęci do wyjazdu, co

1 William Szekspir, Otello. Przekład Józefa Paszkowskiego

37

oznaczało, że i my musieliśmy zostać. Tak gwałtowne zmiany w rodzinie nie zdarzają się bez przyczyny, lecz jaka była ta przyczyna, matka nigdy nam nie powiedziała. Stwierdziła tylko, że po dwudziestu latach małżeństwa zmęczył ją denerwujący zwyczaj ojca, który lubił głąskać się po wąsach, jego obsesja na punkcie róż i brak zainteresowania dziećmi. Nie staram się o rozwód, wyjaśniła, bo w naszej rodzinie to nie do pomyślenia. Nic więcej na ten temat nie mówiła, tylko od czasu do czasu spuszczała bombę.

— Wasz ojciec ma kobietę! — obwieściła kiedyś, gdy poszliśmy do niej na lunch. — Homi napisała mi o tym w liście. Co powinnam zrobić?

— Może wrócić i znów być dla niego żoną? — zasugerowała Suki. Zawsze była miękka dla starego, biednego kapitana Sahiba. Lecz Maja tylko spiorunowała ją wzrokiem, ucinając dyskusję jak gilotyną. O ile było nam wiadomo, sama nigdy nie miała kochanka, choć jednym z jej najbliższych przyjaciół był starszy grecki dżentelmen, pan Sefiriades, znawca starożytnych chrześcijańskich apokryfów, z którym regularnie jadła lunch, a raz wybrała się z nim na wycieczkę do Efezu i Patmos dla osób po sześćdziesiątce, „Osobne kabiny, żadnych ekscesów”.

Nie wiedziałem zatem, jak rozumieć ten występ. Uznałem, że to pewnie kolejny fałszywy alarm.

Pamiętam, jak kiedyś zadzwoniła w środku nocy, krzyżąc, że lokator z parteru próbuje włamać się do jej mieszkania. Biedak dzwonił i walił rozpaczliwie pięścią w drzwi, żeby powiedzieć jej, że nie zakręciła kranu przy wannie i woda za chwilę zarwie mu sufit.

— Ale dość już tego gadania, stwierdziła moja matka. Ma-rjorie przychodzi na lunch. Zajrzyj do mnie. — Stuk. Trrr.

Dojechałem do Londynu w gołębioszarym świetle wrześniego zmierzchu. Mieszkanie Mai mieściło się w jednej z owych przegrzanych ni to kamienic, ni to pałacyków na tyłach Sloane Square. Wychodząc ze stacji metra, zauważyłem, że Royal Court wystawia sztukę pod tytułem *Il Dolorosa* i pomyślałem, że być może o tym właśnie przedstawieniu mówiła mama. Wszedłbym, lecz w foyer spostrzegłem mnóstwo

38

eleganckich ludzi i nagle dotarło do mnie, że wciąż jestem w ubraniu służbowym księgarza, czyli w

rozciągniętym swetrze z dziurami na łokciach i spodniach z kolanami przypominającymi uszy. Nie cieżbie rzucać się w oczy. Gdybym miał na sobie smoking, a w teatrze roiłoby się od obdartych bukinistów, też bym nie wszedł.

Zapukałem i otworzyłem sobie drzwi mieszkania Mai. Zastałem ją siedzącą w łóżku i kartkującą kolorowy magazyn. Miała umalowane usta, jakby spodziewała się gości. Odkąd sięgam pamięcią, makijaż jej oczu zawsze wyglądał tak samo: smugi proszku antymonowego na zewnętrznych kącikach podkreślały ich wielkość. Gdy była młoda, uważałem, że dzięki temu jest jeszcze piękniejsza; teraz, kiedy miała siedemdziesiąt sześć lat, makijaż wcale nie raził, choć jej włosy były białe, a po obu stronach ust biegły głębokie bruzdy. Podniosła głowę i zrobiła minę mającą wyrażać przyjemne zaskoczenie.

— Więc jednak przyjechałeś.

— Naturalnie. A czego się spodziewałaś?

Nadstawiła policzek do pocałunku. Przysiadłem na brzegu łóżka i wyciągnąłem w jej stronę bukiet kwiatów, który kupiłem na stacji, wiązaną frezji owiniętą w celofan.

— Jakie śliczne — powiedziała, nie biorąc kwiatów do ręki. — Włóż je do wody. W kuchni znajdziesz wazon.

Z j akąż łatwością umiała zmienić mnie z powrotem w małego chłopca, głupiutkiego i niezdarnego, zawsze robiącego nie to, co akurat trzeba. Znalazłem Wazon, nalałem wody i postawiłem kwiaty na nocnym stoliku przy jej łóżku.

Pochyliła się i zmarszczyła nos.

— Cudowne. Zawsze przypominają mi mogri. Pamiętasz, przy drzwiach w Ambona rósł jeden dziki krzew i napełniał zapachem cały dom.

Wydawało się, że nic jej nie jest; znów poczułem dobrze znaną mieszaninę ulgi i irytacji.

— Przysuń się bliżej. — Jej pocałunek usiadł na moim policzku jak owad. — Nie chciałam cię niepokoić — powiedziała. — Nie po to dzwoniłam. Chciałam cię zobaczyć. Jak się miewa Kąty i śliczne I & I?

— Kąty cię pozdrawia. — Nasze córki bliźniaczki były

39

w Grecji. I & I. Imogena i Isobela. Dostaliśmy kartkę z Krety. — Maju, co się stało?

Westchnęła i oparła się na poduszce, osłaniając ręką oczy, jakby raziło ją światło.

— Bhału, nie mówmy o tym, proszę cię. Wiesz, jak nie cierpię tej idiotycznej paplaniny. Tak naprawdę, to chciałam porozmawiać o moim testamencie.

Musiała źle zrozumieć mój wyraz twarzy, bo powiedziała:

— Nie rób takiej przerażonej miny. To dobra hinduska tradycja, że wykonuje się swój testament, zanim się umrze. Chodzi o to, żeby pozbyć się wszystkich swych rzeczy, spełnić wszystkie obowiązki. Odejść, nie zostawiając śladu.

— Ty nie odchodzisz. Po prostu miałaś grypę.

— Twoje siostry przyjdą trochę później. Ustalimy, kto co bierze, i będziesz mógł zacząć zabierać rzeczy. — Machnęła ręką. — Chcę, żeby to wszystko stąd znikło.

Rozejrzałem się po zaniebanym pokoiku, pełnym zabytków z jej przeszłości. Był umeblowany po indyjsku, jak gdyby Maja uparcie udawała, że nie spędziła ostatniego ćwierćwiecza w Anglii. W kącie, na rzeźbionej kolumnie, przycupnął pozłacany anioł i spoglądał na nas, w wyciągniętych rękach trzymając pustkę. Kiedyś dzierżył w nich woskową gromnicę, oświetlającą goański kościół. Obok niego, na małym stoliku, stała klatka, z której nagle dobiegł trzepot skrzydeł. Odkąd pamiętam, moja matka trzymała bilbile. Puszczala im stare płyty gramofonowe, mając nadzieję, że pewnego dnia otworzą dziobki i zaśpiewają jak Bhimsen Joshi. Przyszło mi na myśl, że to właśnie anioł i ptak sprawiły, że gorączkującej Mai przyśnił się koszmar.

— Wezmę ten świecznik i przestawię do drugiego pokoju.

— Zabierz go ze sobą — odparła. — I tak chciałam, żebyście go sobie wzięli, ty i Kąty... Weźcie też gablotkę z motylami, która należała do pradziadka. Zostawiam Khurrama i Mumtaz pod waszą opieką. Obiecuj, że będziecie o nie dbali. — To były jej bilbile. — Ale zabierzcie je dopiero po moim odejściu.

Nie cierpię trzymać ptaków w klatce. Jeśli rzeczywiście przeżyją Maję, będą mogły spróbować szczęścia w lasach hrabstwa Sussex.

40

— Maju, skąd taka pewność, że...

■— Nie zaczynaj. Mówiłam, że nie chcę, żebyś się niepokoił.

— Nie jestem zaniepokojony. Chcę wiedzieć, co powiedział lekarz.

— Już ci mówiłam. — Wzięła magazyn, jeden z indyjskich tytułów — „Stardust, Filmfare” — które doręczano jej do domu z ABC w Southall. „Żeby nie tracić z oczu przyjaciół w małym interesie”, co miało oznaczać bombajski przemysł filmowy. „Ludzie z czasów, gdy indyjskie kino mogło stać się czymś ważnym”, mawiała. „Zanim zaczęła się era Bollywoodu”. Jednak większość jej znajomych — Shailendra, Guru Dutt, A. K. Abbas, Bubbles Roy — już nie żyła.

— Pan też wydziwiał — ciągnęła Maja. Panaghiotis Sefiria-des, jej grecki przyjaciel. Niezwykle, że wyjawiała mu nowinę wcześniej aniżeli dzieciom. — Kiedy mu powiedziałam, namawiał mnie, żebym się modliła.

— Maju, nie wierzę, że widziałas się z lekarzem.

— Nam, Hindusom, nie jest dane pocieszenie konfesjonału, pozwalające jednym ruchem wytrzeć tablicę do czysta. To nie takie proste. Nigdy nie rozumiałam, dlaczego chrześcijanie przywiązują taką wagę do szczerości żalu za grzechy. Szczerość niczego nie zmienia. Jest obraźliwa. Jaki pożytek z żalu, skoro twoje uczynki już oddziałują na świat? Powiedziałam Panowi, że to nie śmierć mnie przeraża, lecz myśl o tym, co za sobą zostawiłam. Rzeczy, które zrobiłam, i rzeczy, których nie zrobiłam.

— Nie widziałas się z lekarzem, prawda? Westchnęła.

— Bhału, z tobą o niczym nie można pomówić. A jeśli o to chodzi, był tu dziś rano.

— I co powiedział?

— To, co ci mówiłam.

— Jaką postawił diagnozę? Co ci dolega?

— Nie wiem.

— Jak to nie wiesz?

— Nie pytałam. Nie chcę wiedzieć. Zapytałam: „Jest pan pewien? Czy istnieje możliwość, że się pan myli?”. Powiedział „nie”. I tyle. To wszystko.

41

— Z pewnością można coś zrobić. Zasięgnąć opinii innego lekarza, jeśli będziemy wiedzieli, co ci dolega.

— Co mi dolega? Czemu wciąż pytasz, co mi dolega? Nic mi nie dolega. Mam siedemdziesiąt sześć lat. Czy to nie dość?

— Dziadek dożył dziewięćdziesięciu sześciu.

— Tak, i wiesz, co mówili w Kumharawie? — zapytała. — Że stary żył tak długo, bo tak cię lubił. Trzymał się, czekając na twoje odwiedziny, do których nigdy nie doszło. Pojechałeś, kiedy dał za wygraną.

Pogrzeb dziadka, dwanaście lat temu, był ostatnią okazją, przy której widzieliśmy ojca.

— To śmieszne — odparłem, nie chcąc pozwolić, by zmieniła temat. — Nigdy nie słyszałem, by jakiś lekarz stwierdził coś takiego bez zasięgnięcia opinii drugiego lekarza. Mówisz, że tu był?

Jakie badania przeprowadził?

— Zbadał mi puls.

— Trudno to uznać za decydujące badanie.

— I odczytał linie na mojej ręce — rzuciła wyzywająco.

— O Boże! — Nagle uświadomiłem sobie, co zrobiła. — Wezwałaś Srinudziego.

— Oczywiście, że tak. Miałam gorączkę i ten sen o aniele z ognistymi skrzydłami. Tak mnie bolała głowa, jakby małpy usiadły mi na ramionach i wbijały paznokcie w czaszkę. Spójrz! — Pochyliła się. — Jedna na tym ramieniu, a druga na tym. Kosmate pyski, wstrętne, ostre zębiska i małe pomarańczowe ślepia.

— Srinudzi! Co robił, nucił nad tobą mantry?

— Te ich paznokcie, tak sobie wyobrażam, robią równe, okrągłe dziurki, przez które wyciekają myśli. Mam zatrważające luki w myślach, czasem nawet w zdaniach. Znałam jakieś słowo przez całe życie, a kiedy jest mi potrzebne, po prostu znika. W mojej pamięci też są luki.

— Wezwę lekarza — powiedziałem, wstając.

— Po co? Biorę ghee naswaar' od Srinudźiego.

— Na litość boską, miałem na myśli twojego prawdziwego lekarza.

1 ghee naswaar — sklarowane masło używane w kuchni indyjskiej 42

— Prawdziwego? To znaczy zachodniego? Co on wie o medycynie?

— Mogłabyś przynajmniej poprosić go, żeby cię obejrzał.

— Nie bądź niemądry — odparła. — Niczego nie można zrobić.

— Mógłby dać ci pigułki na ból głowy.

Maja zwiesiła ramiona i opuściła głowę, żeby ukryć twarz. Zaczęła się trząść. Dopiero po kilku sekundach dotarło do mnie, że się śmieje.

— Och, Bhalu, jakiś ty śmieszny. Pigułki na ból głowy! Powiedz, proszę, jakie pigułki może mi dać lekarz na moją karmę?

Karta

Srinudzi był jej astrologiem — starszym, zniszczonym mężczyzną, poruszającym się w mglistym obłoku gwiazd i planet, aspektów, ascendentów i zaklęć, darzonym przez Maję niezgłębionym szacunkiem. Jego brzuch, przypominający miskę na pudding, sunął na dwóch patykowatych nogach. Spodnie zapięte ciasno tuż pod kieszonką na piersi pochłaniały większą część przodu koszuli. Chuda szyja, wysunięta głowa i często zaczerwienione usta nadawały mu wygląd krótkowzrocznego, lecz krwiożerczego żółwia, który założył skorupę tył na przód. Początkowo był księgowym Mai, lecz z wiekiem jego zainteresowania skłaniały się coraz bardziej ku zjawiskom nadprzyrodzonym, więc zaczął swoim klientom udzielać porad zarówno finansowych, jak i mistycznych. Maja zaczęła zasięgać jego rady w sprawach osobistych, a gdy ja i moje siostry sprzeciwiliśmy się, powiedziała: „Zabraniam wam się z niego śmiać. To nadzwyczajny człowiek”. Z pewnością był nadzwyczajny, i to coraz bardziej. Zapuşcił wąsy i strąkowatą brodę żółwiego patriarchy, porzucił tanią marynarkę i wytartą jesionkę (wyglądał w niej jak jeden z tych starych Azjatów, których widuje się siedzących na ławkach w Southall, zatopionych w rozmyślaniach o swej zimnej, szarej egzystencji), zarzucił szal na ramiona niczym himalajski baba i zaczął nosić naszyjnik z paciorków rudhraksh, pomarszczonych jak worek mosznowy.

W ciągu ostatnich kilku lat Srinudzi zaczął widzieć w sobie duchowego ojca naszej rodziny.

Dostawaliśmy od niego kartki w Holi, Diwali i w Nowy Rok, podpisane „Srinudzi”. Siostry i ja wzdrygaliśmy się na sam dźwięk jego imienia, lecz matka

44

zawsze miała dla niego mnóstwo czasu i przedstawiła go Panaghiotisowi, który, jak się zdawało, również darzył go wielkim szacunkiem.

— Pan twierdzi, że Srinudzi jest gymnosofistą — oznajmiła nam.

— A kto to taki?

— Nie mam zielonego pojęcia — odparła z uśmiechem. Nigdy nie wolno nie doceniać zasobów bukinisty. Dokonałem

szybkiego przeglądu półek i trafiłem na mocno podniszczony egzemplarz Słownika oksfordzkiego (mały format, cztery strony mikrograficznie przeniesione na jedną, wybrzuszony grzbiet, zagięte rogi, bez szkła powiększającego, niestety; egzemplarz pieczołowicie umieszczony wśród moich tak zwanych najlepszych zbiorów). Jak się rzekło, szkło powiększające zginęło, więc odszyfrowałem drobniutki tekst za pomocą butelki od mleka, znalezionej w kuchni na zapleczu, którą wpierw musiałem wypłukać, a potem, napełniwszy do połowy wodą, ustawić pod kątem nad stroną. Kapała z niej woda, rzecz jasna, zmniejszając jeszcze bardziej wartość książki, ale odkryłem, że gymnosofiści byli „odłamem starożytnych hinduskich filozofów o ascetycznych obyczajach (Grecy dowiedzieli się o nich z opisów towarzyszy wypraw Aleksandra), którzy ubierali się bardzo skapo albo w ogóle, nie jadali mięsa i oddawali się mistycznej kontemplacji”; wszystko to nie rzucało światła na zagadkę Srinudźiego (którego nie mogłem sobie wyobrazić ani na golasa,

ani uprawiającego jogę), ani też nie wyjaśniało jego wpływu na moją matkę. A potem, pewnego dnia, tajemnica się wyjaśniła. Wszedłem do mieszkania Mai i zastałem ich siedzących obok siebie na kanapie. Podskoczyli jak oparzeni, a ja pomyślałem: O nie! Tylko nie Srinudzi! Lecz Maja wytłumaczyła z zakłopotaniem, że poprosił, by przeczytała mu swoje wiersze.

— Nie miałem pojęcia, że interesuje się pan poezją — powiedziałem. Zawsze zdawało mi się, że lektury Srinudźiego ograniczają się do shastr, tantr i magazynów takich jak „Urino-logist”.

— Pańska matka to wspaniała kobieta! — wykrzyknął. — To przywilej siedzieć u stóp kogoś, kto tak wiele osiągnął. Kto poznał wielkich naszej kultury.

45

A więc o to chodzi. Pisarka, która nagle przestała pisać u progu sukcesu i nie stworzyła niczego od dwudziestu lat, wreszcie znalazła sobie publiczność w postaci osamotnionego wielbiciela.

— Obawiam się, że zanudzałam pana Srinudźiego swoimi opowieściami z przeszłości — powiedziała Maja. Srinudzi przeniósł na nią wzrok.

— Maja-ji, pani nie może być nudna.

Ale było między nimi coś jeszcze, coś niewypowiedzianego...

Ostatnio podjął zdumiewającą decyzję o zgoleniu wąsów. Połączenie gołej górnej wargi z brodą, w stylu ulubionym przez muzułmanów, lecz wśród Hindusów prawie nieznanym, sprawiło, że wyglądał dziwniej niż kiedykolwiek.

„Nie pozwolę wam śmiać się ze Srinudźiego”, powiedziała kiedyś moja mama. Teraz siedziała na łóżku i śmiała się ze mnie.

— Jesteś nieznośną kobietą.

To rozbawiło ją jeszcze bardziej. Śmiała się tak bardzo, że w końcu zaczęła się krztusić, łapiąc powietrze, i dostała ataku kaszlu.

— Och, och, Bhalu... Ale z ciebie wielki głuptas. Tak jak twój ojciec, mówił dokładnie to samo.

— A więc ta cała tamaasha to sprawka Srinudźiego!

To znów ją rozśmieszyło. Wreszcie znalazła chusteczkę i wytarła nos.

— Biedny Srinudzi. Oczywiście! To jego wina, że jestem chora. Na przyszłość musi bardziej uważać. Jeśli Kąty spadnie jutro z konia albo ty się przeziębisz, to też będzie jego wina.

— Nie bądź naiwna, mamó. To Srinudzi wmówił ci, jeśli naprawdę w to wierzysz, że jesteś... że jesteś...

— Bhalu, jeśli nie lubisz tamaashy, to jej nie stwarzaj. {Tamaasha to w hindusko-urdujskim zamieszanie o nic, teatralna wrzawa}.

— To nie ja zachowuję się irracjonalnie.

— Nie chciałam zamieszania. Nie cierpię hysterii — powiedziała, biorąc lustro i sprawdzając, czy proszek antymonowy nie spłynął jej z oczu. — Co dobrego może wyniknąć z tej całej

46

bieganiny, targania się za włosy i zawodzenia? Takie zachowanie odbiera człowiekowi godność i sprawia, że to, co trudne do zniesienia, staje się jeszcze trudniejsze. — Złożyła chusteczkę, zwinęła jeden róg, polizała koniuszek i przytknęła do oka.

Czyżby łąza? Mama umiała być aktorką, i to jaką. Po jej dziwnym telefonie zadzwoniłem do Kąty. Powiedziałem jej, co się stało, że złapię następny pociąg do Londynu i prawdopodobnie zostanę na noc z którąś z moich sióstr. „Myślisz, że naprawdę jest chora?”, zapytała sceptycznie Kąty, jak przystało na kobietę, która jest synową Mai od ponad dwudziestu lat.

Spojrzałem na moją matkę, leżącą na poduszkach jak mała, oburzona, lecz wyzywająca sówka.

— Przykro mi, mamó, ale nie licz na moje współczucie. Wezwij prawdziwego lekarza, bo jeśli nie, to nie uwierzę, że jesteś...

— No jaka? Co bardziej cię niepokoi? To słowo, którego nie potrafisz wypowiedzieć? Czy może wulgarny błąd, który popełniłam, mówiąc ci?

— Nie mów tak.

— Myślałam, że zechcesz przyjechać i się ze mną zobaczyć. Przykro mi, że zmarnowałam twój czas. Panie Bardzo Ważny Bukinisto.

— Och, proszę cię! — Byle tylko nie zaczynała o sprzedawaniu książek. — Przecież przybiegłem, jak tylko odebrałem twój telefon, prawda? Ale zrozum, kiedy słyszę o Srinudżim, karmie, czytaniu z ręki...

— Pewnego dnia, Bhalu, zrozumiesz, jakim przyjacielem tej rodziny był Srinudżi...

— O tak, rodzinnym szamanem.

— A jeśli chodzi o karmę, to kto jak kto, ale ty powinieneś wiedzieć, co mam na myśli.

— Nigdy tego nie zrozumiałem.

— Biedny chłopcze, moja karma to ten pokój i wszystko, co w nim jest. A więc i ty... A teraz twoim obowiązkiem jako najstarszego syna jest dopilnować, żeby moje życzenia zostały spełnione. To niewiele. Wyświadczam ci przysługę, umierając w Anglii. Zdajesz sobie sprawę, że gdybyśmy byli w Indiach, musiałbyś roztrzaskać mi czaszkę?

47

— Jesteś niepoprawna.

— Myślisz, że żartują? Nie mów mi, że nie pamiętasz pogrzebu dziadka.

— Jak sobie życzysz — mruknąłem sztywno.

Potem siedzieliśmy w ciszy, przerywanej tylko z rzadka przez niemrawe pogwizdywanie bilbili. Zrobiło się ciemno. Wstałem i podszedłem do okna. Widziałem światła teatru i tłum zebrany na chodniku przed budynkiem. Taksówka z żółtym cyklopim okiem skręciła na plac, a za nią druga, z wystawioną lampą. Zatrzymała się pod oknami mieszkania mamy. Pomyślałem, że może wypłuje z siebie moje siostry. Gdyby przyjechały niedługo, zdążyłbym jeszcze na pociąg powrotny do Sussex. Ale wysiadła z niej para młodych ludzi.

Odwróciłem się, słysząc dziwny dźwięk. Maja nucila pod nosem.

— Bhalu, czy zgadniesz, co mi chodziło dzisiaj po głowie przez cały dzień?

— Nie.

— Naprawdę nie zgadniesz? Mam ci powiedzieć? Spodziewałem się cytatu z Ghaliba, Tołstoja albo z Upani-

szad. Maja zaśpiewała tymczasem:

— Och doktorze, mam kłopoty! Ojejku rety! Położywszy palec na końcu podbródka, przekrzywiła głowę,

uśmiechnęła się kokieteryjnie i dała niesamowity pokaz przewracania oczami.

— Moje serce bum tara bum, bum tara bom, bum tara rara, bum bum bum...

— Jesteś absolutnie nieznośna.

Hen od Delhi po Darjeeling szedłem i uzdrawiałem I ni razu nie uległem ani się nie zawahałem...

Śpiewała nam tę piosenkę, kiedy byliśmy mali, gdy bolał nas ząb albo gdy któreś z nas się przewróciło i skaleczyło.

Pewnego razu w stanie Pendżab mojej igły wunjab

Wymiótł beri-berię i straszną dyzenterię

Lecz twoja dolegliwość doprawdy daje mi w kość!

48

Wbrew wszystkiemu, moje uczucia były silniejsze ode mnie, nie umiałem długo gniewać się na matkę. Objąłem ją i przytuliłem. Chyba sprawiło jej to przyjemność.

— Dość tych wygłupów, mamu. Porozmawiajmy o tym, co zrobić, żebyś poczuła się lepiej.

Przycisnęła moją głowę do ramienia i pogłaskała, jakbym był dzieckiem.

— Taki poważny, taki serio — powiedziała. — Sztywny, poważny Bhalu. Zawsze taki byłeś, nawet jako mały chłopiec.

Co ja miałem z nią zrobić?

Moja matka miała hinduski umysł, a jej świat uporządkowany był przez geniusz taksonomii, szufladkujący wszystko, od muzyki po seks. Powiedziała mi kiedyś, że wyobraża sobie zastępy hinduskich bóstw ustawione w szeregi, każdy bóg i bogini w małym słoiczku jak przyprawy o swoistych właściwościach — Lakszmu od pieniędzy, Ganesz od szczęścia, Saraswati od zręczności w posługiwaniu się piórem. Była jednak skrajnie nieortodoksyjna i lubiła przedstawiać siebie jako zagadkę. Twierdziła na przykład, że jest ateistką, lecz codziennie zanosila prośby do Ganesza, zaprzeczając, że jest to modlitwa. „Nie żebym w niego wierzyła, po prostu wydaje mi się, że moje życzenia zawsze są spełniane”.

Maja nie widziała w takich stwierdzeniach sprzeczności, te zaś i tak uważała za drobne przeszkody na drodze do zrozumienia. Często słyszeliśmy podniesione głosy z pokoju, który traktowała jako swój gabinet: to Maja przedstawiała argumenty obu stron spora z taką samą siłą. Jeśli wyimaginowanym adwersarzem był mężczyzna, jego argumenty wypowiadała nawet grubym, szorstkim głosem. Kiedy drażniliśmy się z nią, że mówi sama do siebie, twierdziła, iż twory wyobraźni pisarza nie są tym samym, co pisarz, a poza tym, oprócz siebie nie zna nikogo, z kim mogłaby inteligentnie podyskutować.

Wśród wielu osobliwych rzeczy, które chciała mi dać w spadku, oprócz bilbili i gabloty z wyblakłymi motylami, należącej niegdyś do pradziadka Kotwala, znalazł się jej pogląd, że historia jest kaskadą konsekwencji. Nie wierzyła we wcześ-

49

niejsze życia ani w konwencjonalne hinduskie przekonanie, że w następnym życiu płaci się za grzechy popełnione w tym. Uważała, że karmy doświadczamy w każdej sekundzie, tu i teraz, bo nasze życie to rozwijające się nieustannie jak domino następstwo wszystkich uczynków popełnionych przez nas i przez naszych przodków. „Rodzimy się z wolną wolą, lecz jesteśmy zmuszeni ją zużywać, próbując odwrócić życia naszych poprzedników”.

Maja zamartwiała się naszymi rodzinnymi legendami, jak gdyby wciąż nas one prześladowały — a gdyby tak było, mieliśmy się czego bać. Dla niej opowieści o naszym nieznanym egoizmie służącym Lajju i o Nafisie Jaan, która została zabita, bo była zbyt piękna (w dużej mierze z tej samej przyczyny powstała kolekcja motyli Kotwala Sahiba), nie były tylko historiami z zamierzchłej przeszłości, lecz ciemnymi strumieniami we krwi. „Gdyby Lajju nie podniósł cię i nie zabrał, mimo tkwiącej w nim kuli, gdyby Nafisa się nie zakochała, na który to luksus kobieta jej profesji nie może sobie pozwolić...”. Rzadko zauważała, że mówi „podniósł cię”, podczas gdy dziesięcioletni chłopiec, którego ponoć Lajju uratował przed Brytyjczykami z pola bitwy w tysiąc osiemset pięćdziesiątym ósmym roku, był w rzeczywistości moim prapradziadkiem.

„Gdyby pierwsza żona dziadka nie wychowała się w zadymionym domu i gdyby ten dym nie zrujnował jej płuc, nie umarłaby młodo, dziadek nie ożeniłby się po raz drugi i twój ojciec by się nie narodził. Gdyby skorpion nie spadł mu na brzuch, kiedy spał na podwórku, nocne niebo w Kumharawie jest cudownie rozświetlone gwiazdami, i nie ukąsił go czternaście razy, bo ojciec przetoczył się na niego, co było bardzo głupie — oczywiście strasznie go bolało, miał cały rząd ukąszeń, piekących jak ogień — nie zostałyby zabrane w pośpiechu do Lucknow do doktora Sahiba i nie poznałby mnie. Sam więc widzisz, Bhalu, że zawdzięczasz swe życie dymowi i skorpionowi”. Równie dobrze mogłaby dodać, jako że wiele lat upłynęło między ich poznanie się i ślubem, że gdyby kanonierzy na „Scharnhorście” celniej strzelali, gdyby użyli radaru, zamiast mierzyć do błysków brytyjskich salw w nacht und nebel u Przylądka Północnego, mogliby zatopić krążownik mojego ojca

50

(dwudziestego siódmego grudnia tysiąc dziewięćset czterdziestego trzeciego roku), a wraz z nim jego jeszcze niepoczętego spadkobiercę, o którym wówczas nikomu się nawet nie śniło. Maja zawsze sama stanowiła dla siebie prawo. Kiedy jej pasowało, potrafiła być na do cna staroświecka (uznając, że jej testament powinien być wykonany jeszcze za jej życia), lecz była dość nowoczesna, by zostawić mojego ojca w czasie, gdy rozwód był dla hinduskich kobiet nie do pomyślenia. Trzydzieści lat wcześniej okazała równą śmiałość, decydując się na małżeństwo z miłości. Poznała mojego ojca w domu swego wuja, lekarza w Lucknow, i od razu zagięła na niego parol, co

zdecydowanie nie przystawało kobiecie, ale, tak w każdym razie to przedstawiała, miała właśnie rozpocząć naukę w Isabel-la Thoburn College, uważała się za równą każdemu mężczyźnie, a poza tym dobrze wybrała, bo kapitan Sahib pochodził z odpowiedniej kasty i rodziny z olśniewającymi perspektywami — rodzice każdej córki marzą o takich teściach dla swojego dziecka. Sahib miał właśnie wstąpić do indyjskiej Royal Navy jako jeden z pierwszych Hindusów pasowanych na oficerów i wysłanych na szkolenie do Anglii. Był rok tysiąc dziewięćset trzydziesty ósmy, więc trzeba było osiemdziesięciu lat i pięciu pokoleń, by nasza rodzina zmieniła się z wichrzycieli i buntowników w wiernych poddanych Korony. Maja nauczyła mnie dat urodzenia i śmierci przodków niczym nauczyciel historii przytaczający pocztę królów i wicekrólów. Wciąż jeszcze mam szkolną „kopię”, na której, z jakiegoś powodu odwracając konwencjonalną kolejność, zapisała:

Wielki Bhalu	—1950—?	Ty
Kapitan Sahib	— 1918—?	Ojciec
Bahadur Sahib	— 1890—?	Dziadek
Kotwal Sahib	— 1865—1940	Pradziadek
Bhalu Pierwszy	— 1847—1915	Prapradziadek
Panchhazari Sahib	— 1823—1888	Praprapradziadek

Maja знаła historie ich wszystkich. Pamiętam, jak myślałem, że to dziwne i smutne, że dobrze znany dźwięk rogu, który rozbrzmiewał nad dokołami w Bombaju o zachodzie słońca (to 51

było zanim przeprowadziliśmy się do Ambona), oznajmiając czas kładzenia się do łóżka i słuchania bajek, był tym samym dźwiękiem, który musiał słyszeć rozdygotany chłopiec z linii wrogich wojsk w przeddzień bitwy mającej zmienić przeznaczenie nas wszystkich. Czy on też kładł się wtedy spać? Jakimi bajkami Lajju zamykał mu uszy? Czy chłopiec modlił się, żeby ojciec i Lajju nie zginęli nazajutrz rano? Z zaciśniętymi piąstkami i powiekami, znając już zakończenie tej historii, pragnąłem, aby jego zamierzone w czasie modlitwy zostały wysłuchane, gdyż Maja nauczyła mnie, że czas to ułuda, a ponieważ historia albo karma, jak ją na własny użytek nazywała, istnieje tylko w tym, w czym przejawia się obecnie, można ją odwrócić.

„Nie ma przeszłości, mówiła, bo wszystkie jej następstwa wciąż są z nami. Zmienia się tylko zewnętrzna postać, a rzeczywistość, która jest pod nią, nie ulega zmianie”.

Bez wątpienia właśnie dlatego nazwała mnie Balachandra, i dodała ten sam przydomek, który dawno temu z czułością nadał Lajju tamtemu chłopcu, proszącemu, by pozwolono mu towarzyszyć ojcu na wojnie.

Bhalu, przez towarzyszy dziecinnych zabaw zwany Bholu Bhalu. Bhalu Niewinny. Bhalu Głupiec. Wkrótce Maja odpłynęła do świata, który kochała i który zostawiła. Podnosząc tomik z błyszczącym zakrętasem w języku urdu na okładce, zawołała:

— Spójrz na to! Ghazals Madzrooha! Poznałam go, kiedy wyrabiał sobie nazwisko jako autor tekstów do piosenek w filmach. Na przyjęciach spotykało się wszystkich. W tamtych czasach przyjęcia trwały w nieskończoność. Mój Boże, jak ci ludzie pili. Wszyscy wmawiali Madzroohowi, że poeta nie zarobi na życie w Bombaju. Odniósł sukces, a mimo to wpadał w depresję. Ludzie nie mogli się nadziwić: „Ależ Madzrooh sahib, tak świetnie ci się powodzi”. A on zawsze cytował wtedy wers Kabira: „Jestem sprzedawcą luster w mieście ślepców”. Jego piosenki wciąż są śpiewane, ale książek nikt nie pamięta.

Oprócz tłumy filmowców (między innymi Charlesa Sub-ramaniuma, tego samego, który wydał dziwaczne publiczne przyjęcie dla uczczenia zdrad swojej żony, Shankar Rao, która cisnęła dzbankiem z sokiem pomarańczowym w ministra edukacji za to, że powiedział, iż Meena jest gorszą aktorką od Nargis), mama znała też wielu ówczesnych pisarzy.

— Jak się masz, Qurru! Chodziłyśmy razem do Isabella Thoburn College. Była taka młoda, kiedy wyrobiła sobie nazwisko. I była kobietą! Spójrz, a tu jest Ismat, ten który napisał Lihaafi był ścigany przez Brytyjczyków za szerzenie pornografii. Ależ to było zwycięstwo — cudownie jest pomyśleć, że wkroczyliśmy w erę nowoczesności, kiedy nasi władcy wciąż żyli w epoce

wiktoriańskiej. Upłynęło jeszcze szesnaście lat, nim Brytyjczycy uznali, że ich żonom i pokojówkom wolno czytać Kochanka lady Chatterley...

Mówiła i mówiła, o Indiach, o wydarzeniach i anegdotach, ludziach, których znała, zawsze o przeszłości, o życiu, które skończyło się w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym trzecim roku, kiedy wyjechała. Większość z tych opowieści już słyszałem. Ostatnimi czasy, jak większość starych ludzi, wpadła w nawyk powtarzania sobie samej, lecz gdy tak słuchałem, jak snuje swoje historie, gładząc pieszczotliwie książki, uderzyło mnie, ile pasji było w jej życiu.

— Czasem wydaje mi się, że byłoby lepiej, gdyby Brytyjczycy zostali. Póki byli, jednoczyli nas przeciwko sobie. Mie-

54

liśmy cel, poczucie przeznaczenia. To było takie ożywcze. Inąlaab (rewolucja) wisiała w powietrzu, zwycięstwo było tuż za rogiem... a potem przyszła niepodległość i wszystko zniszczyła. Separacja była ostatnim aktem zemsty Korony za rok tysiąc osiemset pięćdziesiąty siódmy. Bhalu, czy ty przeczytałeś opowiadanie Jyotiego Bhattya Zemsta"? Nie? W czasie zamieszek tysiąc dziewięćset czterdziestego siódmego roku bardzo, bardzo wiekowy mężczyzna przypomina sobie dziadka, który walczył w Buncie, opisuje, jak Hindusi i muzułmanie stali ramię w ramię w tysiąc osiemset pięćdziesiątym siódmym i jak Brytyjczycy mścili się za Kanpur, zwany przez nich Cawnpore, wystrzeliwując ludzi z armat, zmuszając ich do zlizywania krwi z drogi — jak myślisz, czemu nasz praprapra- musiał ukrywać się w dżungli? — dziadek tego starca mówi, że po tysiąc osiemset pięćdziesiątym siódmym Brytyjczycy starali się wbić klin między Hindusów i muzułmanów, a ich najokrutniejszą zemstą była ustawa z tysiąc dziewięćset trzeciego roku, dzieląca język hindustani, bogaty w elementy różnych języków, na urdu i hindi. Urdu dla muzułmanów, hindi dla Hindusów. Z hindi chciano wymazać wszelkie ślady perskiego i arabskiego, a z urdu wszelkie ślady sanskrytu. I tak wspólny język, który miał nas zjednoczyć, stał się narzędziem podziału. Lecz zerkając przez okno na płomienie i tłum w tysiąc dziewięćset czterdziestym siódmym, starzec dochodzi do wniosku, że jego dziad się mylił, gdyż ostatnią zemstą brytyjskiego sarkam' było to, co działo się na ulicy za jego drzwiami.

Wyobraź sobie, Bhalu, tę obłąkańczą nieodpowiedzialność. Ktoś kreśli linię na mapie i pewnego ranka miliony ludzi budzą się po złej stronie granicy. Czy nikt nie umiał przewidzieć, że będą przerażeni? Czy mieli porzucić domy, pola, bydło, pracę, przyjaciół, wykształcenie dzieci? Czy Brytyjczycy byli naprawdę zaskoczeni, kiedy Hindusów i muzułmanów, którzy przez lata żyli obok siebie, ogarnęła panika i zaczęli sobie podrywać gardła?

Jedna strona patrzyła na drugą przez pola krwi. Jak to, co było jednym, podzieliło się na dwa?

Wszyscy mieli przyjaciół

I sarkar (hindi) — panowanie, rządy

55

po drugiej stronie. Czemu tak się dzieje?, pytali. Gandhiji rozpoczął śmiertelną głódówkę i w końcu zabijanie się skończyło. Czy znów się zacznie? Czy było już dość? A potem trzy strzały w świątynnym ogrodzie i nie ma Gandhijiego.

To prawdziwy cud, żeśmy się podnieśli. Co poza tym? Byliśmy młodzi, przed nami nie było nic oprócz przyszłości. Nasz kraj został rozdarty na dwoje, ale my wierzyliśmy, że zbudujemy wspaniałą przyszłość w tej połówce, która nam została. Trzeba było się zająć leczeniem ran. W latach pięćdziesiątych wszystko rozkwitało. Można było dotrzeć do ludzi, przemawiać do nich za pomocą kina. Pierwsza prawdziwie proletariacka forma sztuki. To było takie ekscytujące. O, jak ja wtedy pisałam, pisałam, pisałam. Bez przerwy stukaliśmy coś na maszynie. Wiesz, nasze utwory nie były zwykłą rozrywką. Pisaliśmy o rzeczach, których nazwy brzmią teraz koturnowo i pretensjonalnie, takich jak sprawiedliwość i współczucie. A przede wszystkim o pokoju.

Ślubowaliśmy, że złe czasy nie powrócą, a teraz w Bombaju znów strasznie się dzieje. Zatem przegraliśmy. A kto został, żeby podnieść przeciwko temu głos? W tamtych czasach tak wielu ludzi o tym pisało. Posłuchaj, same ich nazwiska tworzą poemat: Qurratulain Hyder, Ismat Chughtai, Mulk Raj Anand, Madžrooh Sultanpuri, Kaifi Azmi, Krishan Chander, Khwadža Ahmed Abbas, Radžinder Singh Bedi, Firaq Gorakhpuri, Josh Malihabadi, Faiz Ahmed Faiz, Ali Sardar Jafry, i,

oczywiście, niezapomniany Manto... Gdyby łyzy poetów umiały leczyć rany, nie byłoby Indii i Pakistanu, wszyscy mieszkalibyśmy w Tobą Tek Singh...

Pisząc to — a trzymam się wypowiedzi Mai, bo moja część konwersacji ograniczała się właściwie do wtrąceń — ze zdziwieniem spostrzegam, jak trudno będzie wytłumaczyć to wszystko chociażby moim dzieciom, z których żadne nie zna ani słowa w hindi, i które wiedzą bardzo mało o życiu w Indiach i Pakistanie, nie wspominając o kręgu poetów i prozaików sprzed pół wieku, w większości nieznanych na Zachodzie. Musiałbym wytłumaczyć, że Tobą Tek Singh to wioska z napisanego w urdu opowiadania Saadata Hasana Manto, jego najsławniejszego utworu, w którym rządy nowych państw, Indii

56

i Pakistanu, postanawiają, że skoro wymieniły się uciekinierami, muszą się również wymienić pacjentami szpitali psychiatrycznych.

— Jeśli zamierzasz opowiadać o Manto — powiedziałem do Mai — powinniśmy wypić jeszcze jedną szklaneczkę rumu.

Siedzieliśmy więc i spokojnie „rumowaliśmy się” — tak się kiedyś mawiało w Bombaju.

Wypiliśmy na cześć Manto, a Maja stwierdziła, że był najwspanialszym nowelistą, jaki kiedykolwiek wziął pióro do ręki.

— Lepszym od Maupassanta, lepszym od O. Henry'ego. Manto był geniuszem. Podobno w późnych latach swego

życia brał tonga (konną taksówkę), jechał do biura wydawcy, łapał za pióro i siedział tam dopóty, dopóki nie napisał trzech lub czterech opowiadań, a potem niezmiennie domagał się, żeby zapłacono mu na miejscu. Potem znów wsiadał w tonga (zawsze zamawiał je na cały dzień) i kazał się wieźć do najbliższego sklepu monopolowego. Zmarł w wieku czterdziestu trzech lat, ułożywszy własne epitafium: „Tu, pod tonami ziemi leży Saadat Hasan Manto, ze wszystkimi sekretami snucia opowieści pochowanymi w piersi, i pytaniem wciąż bez odpowiedzi: kto jest lepszym nowelistą — on czy Bóg”.

— Ha — powiedziała Maja. — Nikt nigdy nie zada tego pytania, myśląc o mnie.

Czemu więc przestała pisać? To była wielka zagadka jej życia. Mogła osiągnąć sukces, mogła nawet zasłużyć sobie na miejsce na tej liście nazwisk. Skąd wzięła się ta gorycz, którą spakowała tak starannie razem z książkami, rzeźbami i meblami, wyjeżdżając z Indii?

— Powinnaś była zostać — powiedziałem. A potem powtórzyłem pytanie, tak często zadawane przeze mnie i moje siostry: — Czemu wyjechałaś?

Maja milczała.

— Porzuciłaś wszystko, pracę, przyjaciół. Cisza.

Czemu wyjechałaś? Dlaczego nie wróciłaś? Ileż to razy zadawaliśmy te pytania? Ileż różnych odpowiedzi?... Nie planowałam zostać, tak po prostu wyszło. (Niewiarygodne. Nie zostawia się ot, tak, męża, przyjaciół i kariery). Po pewnym

57

czasie nie było do czego wracać. (Odpowiedź wymijająca). Myślałam, że w Anglii lepiej mi się powiedzie. (Nonsens, była zagubiona. Trochę parała się dziennikarstwem, pisała o indyjskiej kuchni). Kiedy ożeniłaś się z Angielką, wiedziałam, że tu jest nasza przyszłość. (Czemu? W Indiach było mnóstwo Angielek. Czyż jedna z jej najlepszych przyjaciółek nie była Angielką?).

Kiedy urodziły się bliźniaczki, powiedziałem Kąty, że moglibyśmy spróbować zamieszkać w Indiach. Maja była przerażona.

— Chcesz prosić tę biedną dziewczynę, żeby zabrała swoje dzieci do kraju, w którym trzeba trzymać własną krowę, żeby mieć mleko bez wody? Czy ona lubi karaluchy? Gdzie będzie jeździła konno? Angielkom trudno żyje się w Indiach.

— A twoja przyjaciółka? — spytałem. — Ta Angielka?

— Stał właśnie wiem.

Żadna z tych odpowiedzi nie pasowała do innych. Teraz Maja siedziała ze szklanką przy piersi, zapatrzona w dal. O czym myślała? O Manto? O straconej karierze? Obojgu nam zaczynało szumieć w głowach.

Pamiętam, co powiedział mi kiedyś Srinudzi. „Pańska matka bardzo dużo poświęciła”. (Nigdy nie wyjaśnił, co to były za poświęcenia). „W jej życiu było wiele rozczarowań”. (Przypuszczałem, że ma na myśli mnie). „Jeśli mogę coś zrobić, żeby choć w niewielkim stopniu pomóc jej się zadomowić, dodał, jakby mówił o ciężkim przypadku hemoroidów, zrobię to z przyjemnością”. Wiedziałem przynajmniej, co Maja musiała o mnie mówić: „Bhalu to dziwny chłopiec. Dobiega pięćdziesiątki, a mimo to nie potrafię myśleć o nim inaczej. Taki niezdarny, taki nie-poukładany, czemu zagrzebał się w tym antykwariacie? Mógł zrobić ze swoim życiem coś pożytecznego. Wychował się w otoczeniu książek i sztuki, więc myślałam, że znajdzie sobie miejsce w tej domenie. Nawet jeśli nie jako pierwszorzędnny pisarz, to jako dziennikarz. Jest coś takiego jak geniusz w sprzedawaniu książek; księgarnia może być jak dzieło sztuki, jeśli bukinista wybiera książki równie pieczołowicie, jak powieścio-pisarz postacie. Niestety, Bhalu nie jest geniuszem”.

58

Wszystkie te rzeczy, przy rozmaitych okazjach, w mniej lub bardziej subtelny sposób sama mi mówiła.

Lecz nikt nie mógł być bardziej rozczarowany swoim życiem niż ja. Nie mówię o sprzedawaniu książek, które jest szlachetnym powołaniem — w księgarni po raz pierwszy od lat byłem szczęśliwy — ale o tym, co zdarzyło się przedtem. Stracone lata. Moje życie wypełniały opowieści Mai, niekończące się historyjki, anegdoty, wątki, recytacje, kroniki, sagi, opowiadania o tym, co kiedyś i co teraz, zagadki, legendy, przygody, dramaty, przypowieści, baśnie, niestworzone historie, historie cudowne, wywiedzione z innych historii albo wciśnięte do nich z powrotem, historie, historie bez końca, a jednak... z upływem lat zaczynałem wyczuwać, że jednej historii brakuje, wielkiej historii, sekretu, czegoś niepowiedzanego, o czym nigdy nawet nie napomknięto, a co mimo wszystko tkwiło w samym centrum naszego życia i ukształtowało je, pustka opleciona innymi historiami, dziura w kształcie opowieści, w którą rozwiązania wpadały i znikwały. Ta nieopowiedziana historia w jakiś sposób, którego nie umiałem wyjaśnić ani nawet sobie wyobrazić, korespondowała z dziurą w moim własnym życiu, z luką w której powinno być moje przeznaczenie. Pierwszy raz powiedziałem to wszystko Mai.

Pokój z wolna znów wypełnił się ciszą. Nawet bilbile zamilkły. Pewnie usnęły z łebkami ukrytymi pod skrzydłami.

Wreszcie Maja powiedziała:

— Bhalu, w sypialni. W starej almirasze jest pełno skoroszytów. Moje dzieło. I tak chciałam ci je zostawić, ale myślę, że powinieneś je zabrać dzisiaj. Przejrzyj je, a potem pomówimy.

— Czego mam szukać?

— Głupie pytanie! — fuknęła. — Przypuszczasz, że znajdziesz esej Mai Sahib zatytułowany Dłaczego wyjechałam z Indii?

— Nie wiem, co przypuszczać. To twój pomysł, nie mój.

— Nie kłóć się, Bhalu.

■— Dobrze się czujesz? — Maja miała siedemdziesiąt sześć lat i była po chorobie, a ile wypiliśmy grogu? ■— To nie jest kwestia takiego czy innego fragmentu.

59

— Wiac czego?

— Są takie rzeczy... — Przerwała, jakby przyszło jej do głowy coś nowego. — W muzyce są dwa rodzaje nut. Te, które się gra, i nuty „nietracone”, te, które nazywa się anhad naad. Nietraconych nut się nie wygrywa, ale one są, i je słyszymy. Bez nich muzyka nie ma sensu. To samo z opowieściami. Przed chwilą to opisałeś. „Niewypowiedziana historia, dziura w kształcie opowieści, w której znika rozumowanie”. Podoba mi się to. Bardzo mi się podoba. Powinieneś się zastanowić, czy nie wziąć pióra do ręki. Nigdy nie jest za późno, nawet w twoim wieku.

— Jakie rzeczy? — spytałem, próbując zachować cierpliwość. — Przeczytałem wszystkie twoje utwory.

— Rzeczy, które wiesz, i rzeczy, których nie wiesz. Rzeczy, które wiesz, nie wiedząc, że wiesz — ten rum płacze mi język. W dziele pisarza historie nigdy nie są naprawdę oddzielone. Wyciągają do siebie ręce. Stykają się, zlewają i rozdzielają. Wślizgują się w siebie i wyslizgują. Są historie ukryte

w innych historiach, schowane w całości dzieła — kawałeczek tej, kawałeczek tamtej. I nagle fragmenty różnych opowieści łączą się ze sobą i tworzą nową, zaskakującą historię. Tej należy szukać.

— Czemu zawsze mam wrażenie, że się ze mnie śmiejesz?

— Bhalu — odparła z wyrzutem — jestem twoją matką.

— Jako matka, zawsze pierwsza wytykałaś mi, że moje życie stało się grzęzawiskiem nudy. Dlaczego o tym nie chcesz pomówić?

— Nie rozumiesz. Nie chodzi o to, że nie chcę o tym mówić. Ja nie mogę o tym mówić.

Obiecałam.

— Komu obiecałaś?

— Nie było wyboru, Bhalu — odparła smutno. — Zgodziliśmy się. To było konieczne.

— Kto się zgodził? — Wstawiona była równie denerwująca jak trzeźwa.

— Bhalu, tak mi przykro... Przez te wszystkie lata, wszystkie twoje wzloty i upadki, i picie... — Mówiła, nieświadoma pijackiej ironii naszej sytuacji. — Modliłam się, żebyś był szczęśliwy. Nie, ja się oczywiście nie modłę, nie w tym sensie, ale miałam nadzieję... Miałeś Kąty, bliźniaczki.

60

— Co było konieczne?

— Obiecałam twojemu ojcu, że ci nie powiem, ale faktem jest, że zgodziliśmy się, ja i twój ojciec... jedyna rzecz, co do której się zgodziliśmy w ciągu wielu lat...

----Maju!

— ...że koniecznie musisz wyjechać. Dziewczynki i ja po prostu pojechałyśmy za tobą. Więc odpowiedź na twoje pytanie jest taka, że zrobiłam to dla ciebie.

— Dla mnie? — Oślupiałem. — Wyjechałaś z Indii z mojego powodu? Czemu? — To było dla mnie odkrycie, i to całkowicie pozbawione sensu.

W garderobie — tylko Maja wciąż nazywa ją almirahą — były prawie dwa tuziny pudeł. Choć chciałem zrobić to, o co mnie prosiła, nie byłbym w stanie przewieźć ich wszystkich pociągiem. Powiedziałem, że poproszę Kąty, by przywiozła mnie w weekend.

— Nie, nie ma czasu. Mam otwarty rachunek w firmie taksówkowej. Zadzwoń tam. Zabierz wszystko do Sussex dzisiaj.

A potem powiedziała:

— Bhalu, nie marnuj swojego życia.

Czy miał to być morał, który należało wyciągnąć z jej życia, czy też komentarz do mojego, nigdy się nie dowiedziałem, bo w tej samej chwili zadzwonił dzwonek u drzwi.

Mówiąc bombulastycznie

Słońce wdziera się do maleńkiej kuchenki w księgarni. Włączam czajnik, znajduję kawę, oblepiona ciemnym skrzepem łyżeczka sterczy pionowo w słoiku. Mleko skwaśniało. Wczorajsze. Wszystko jest tak, jak wczoraj zostawiłem, jak gdyby świat się nie zmienił. Akt umierającego łabędzia w rutynowym wykonaniu matki. Co miała na myśli, mówiąc, że zrobiła to dla mnie? Cukier na suszarce, mrówki już się nim zajmują. Mieszam trzy łyżeczki i zanoszę kubek do pokoju okładowego, jak go nazwaliśmy, do mojej jaskini, gdzie w bezładnej piramidzie leżą pudełka Mai. Za kwadrans dziewiąta. Słońce skacze zbyt żwawo po drukowanych złotych literach na tomie London Labour and the London Poor I Mayhew (Cass & Co, 1967, 4 tomy, reprint powiększonej edycji z 1861—62). Dziwne, że taki temat otrzymał tak zbyt kówną oprawę. Nie powinienem pić. Alkohol sieje spustoszenie, a poza tym obiecałem Kąty.

Wczoraj było dobrze po pierwszej, kiedy dotarłem do naszego domu, wiejskiej chatki o ścianach pobielonych przez księżyc. Światła zgaszone. Kartka od Kąty w kuchni (mało brakowało, a powiedziałbym w piecyku): Jeśli jesteś głodny, zapiekanka w piekarniku (nic szczególnego, obawiam się). Obok czajnika zostawiła kubek z saszetką herbaty, przysypaną kupką cukru i zmielonego imbiru. Mój zwyczajowy napitek do poduszki. Postarała się. Wślizguję się na paluszkach do sypialni i widzę, tak jak wiele razy przedtem, romb księżycowego światła na 1 London Labour and the London Poor (ang.) — tytuł w wolnym tłumaczeniu brzmi: „Londyńska klasa robotnicza i biedota”

podłódze. Głowa Kąty na poduszce i cichutki szum jej oddechu (istny rolls-royce wśród pochrapywaczy). Dlaczego mam takie poczucie winy? Leżę z otwartymi oczyma, a myśli galopują pod czaszką. Sny z egzotycznymi ptakami i wielkimi krabami, które wymachują szczypcami, moją matką i mężczyzną, gościem kociopindowatym, przed którym, mówiąc bombulastycznie, muszę uciekać i się schować. Wstaję, wciąż podchmielony, i wchodzę na dwadzieścia minut pod prysznic. Kiedy zszedłem na dół, Kąty gapiała się na ogromny stos pudeł zawierający dzieło Mai — mama nigdy nie zdołała powiedzieć „moje dzieło” bez modulacji, rozmyślnego za-śpiewu, po którym następowała pauza: — dzieło —. Kąty przygotowuje śniadanie w kakofonii szelestów, chrrobotów, bulgotania i syczenia, a ja opowiadam jej całą tę dziwną historię.

— Ona nie umiera — dodaję — tylko coś kombinuje.

— Co z tym zrobisz? — pyta Kąty, wskazując segregatory. W naszej malutkiej chatce nie ma na nie miejsca. Kąty

zawozi mnie do antykwariatu i wnosimy je, po sześć naraz, przez księgarnię do pokoju okładek. Siedzę, ignorując pudła, i otwieram poranną pocztę. Rachunek. Rachunek. Ulotki reklamujące ubezpieczenia zdrowotne — makulatura. Rachunek. List z zapytaniem, czy mógłbym dostarczyć edycję Household Words'. „Wydawca, Charles Dickens”, napisał autor, jak gdybym nie wiedział. Akurat miałem tomy I, II, III, IV, V, LX i X w oryginalnym zielonym suknie, a tomy XIII i XVI w cielej skórce. Więc ani pełny zbiór, ani jednolity. Ale zawsze coś na początek. Nie mogłem jednak dostać się do nich, bo drogę blokowała świątynia Mai, czarna zigurrata z komorą w kształcie opowieści w środku. Gdzieś tam są kawałki, które muszą poskładać. Gorąca kawa w żaden sposób nie pomaga na łomot w głowie. Otwieram pierwsze pudełko.

Dzieło zawierało:

Kilka szkiców niedokończonych powieści po angielsku, Fabryka gnoju, o wiosce, której harmonia rozpada się w gruzy, gdy

Household Words (ang.) — tytuł w wolnym tłumaczeniu brzmi: „Słowa codziennego użytku”

63

jedna z rodzin zdobywa aparaturę do przerobu krowich odchodów na gaz. Maja lubiła budować swoje opowieści jak perły wokół ziarenek z prawdziwego świata; kanwą Fabryki gnoju były właśnie między rodzinami w mieście Kumharawa, z którego pochodził mój ojciec.

Pięć scenariuszy w hindi, z których dwa, Doraaha (Dwie drogi) i Badnaami ka dilaasa (Ukojenie w niesławie), zostały zrealizowane.

Chaos odręcznych notatek, wycinków z gazet i rozmazanych fotokopii (zrobionych przez rozplaszczanie książki tak, że grzbiet wygina się jak akrobata cyrkowy, a rozciągnięta w łuk czcionka wypływa z rynsztoka pośrodku — ruina dla okładki, mówię to jako księgarz) zebrany w rozmaitych pudełkach według tematu.

A oto tematy interesujące moją matkę (były ich dziesiątki, wybieram tylko te, które mają jakieś odniesienie do niniejszej historii):

— Bunt 1857 roku (Pierwsza Wojna o Niepodległość). Relacje z bitew, zwłaszcza o Jaura Alipur, 1858. Wspomnienia mojego ojca z wypraw myśliwskich do Nepalu, circa 1926, z muszkietami Brown Bess, ładowanymi przez lufę, takimi jak te, których używali powstańcy siedemdziesiąt lat wcześniej. Pełna irytacji notatka, że konflikt nigdy nie doczekał się porządnego udokumentowania przez stronę indyjską. Nawet Sa-varkar, hinduski rewolucjonista, musiał pisać swoje relacje na podstawie brytyjskich źródeł. W innym segregatorze znajduję wycinek prasowy z opisem pogrzebu Savarkara (Bombaj, 1966), na czele którego szli jeźdźcy w szafranowych czapkach; ciało wieziono na ciężarówce, przysypane stosem kwiatów; w powolnej procesji z Dadaru do Chandanwadi uczestniczył ogromny tłum, co najmniej sto tysięcy osób, w którym, jak zapisała ołówkiem Maja, znalazł się też producent filmowy V. Shantaram oraz jego „utrzymanka” imieniem Sandhya, „lepsza tancerka

niż aktorka".

— Przywódca ludu Mahratta, Shivadzi, 1627—80, którego teczka, szara koperta oznaczona napisem ZASOBY M.E.S, AMBONA, zawierała opis ghorpatów, olbrzymich jaszczurek żyjących na wyżynie Dekan.

64

— Porzekadła i podania ludowe, zebrane od wieśniaków, niektóre nawet pamiętam, na przykład rymowaną śpiewaną przez mężczyzn w czasie niesienia posążków słoniogłowego Ganesza (były to jaskrawo pomalowane, gliniane bożki, często bardzo duże) do jeziora w Ambona; mężczyźni brodzili ze śpiewem, aż woda zakrywała im głowy i widać było same posągi:

Ganpati bappa morya purjya varsha laukarya Ganpati geley gavała chaiin pade re amhala

Wreszcie posążek przechylał się i wpadał do wody, a jezioro łagodnie wyrzucało na powierzchnię rozszerzające się kręgi ludzi z nagietkami i różami w dłoniach.

— Badania handlu opium prowadzonego przez Kompanię Wschodnioindyjską. Relacja z wyjścia z moim ojcem i „tym zwariowanym afimchi” Zazem Qaradaghim na koncert w Po-ona pod gołym niebem, by usłyszeć mistrza Bhimsena Jos-hiego. „Joshiji był u szczytu swych możliwości, tylko odrobinę przemęczony. Zaśpiewał swoją ulubioną ragę, Miya ki Malhar — krytycy powiadali, że lubi ją aż za bardzo”. Zaz (stały bywalec artystycznych soiree w Ambona; naprawdę miał na imię Zahir) był jedynym człowiekiem uzależnionym od opium, którego mama знаła. Słuchając muzyki, Zaz wkładał małą, gumiatą kulkę tej gorzkiej substancji za przednie górne zęby i przysięgał, że widzi dźwięki. Maja poświęciła stronę na opis struktury i barw ragi: „Straciłam poczucie czasu i miejsca i otworzyłam świadomość na pełne gracji wzory płynące przed moimi oczyma, kształty rzeźbione przez muzykę, świetliste arabeski malujące się w ciemnym powietrzu przede mną.

Pamiętam maźnięcie złotem, błękitny kleks, szkarłatne kropki i żółty obiekt, kształtem przypominający nieco żabę: mój umysł rozpaczliwie pragnie przekazać te wizje”.

Co z niej była za romantyczka. I jaką przyjemność czerpała z życia w świecie sztuki i dyskursu, z obcowania z przyjaciółmi,

65

z których wielu zachowywało się tak, jakby żyli w osiemnastym wieku. Jak się to godziło z krucjatą na rzecz ubogich? Nie było w tym żadnej sprzeczności. Romantyków zawsze pociągała rewolucja. Powiedzenie: „Człowiek urodził się wolny, a wszędzie jest w kajdanach” zaledwie krok dzieli od zdania: „Filozofowie tylko zinterpretowali świat, rzecz w tym, by go zmienić”. Maja wierzyła, że sztuka ma moc zmieniania świata.

— Mahatma Gandhi, cytaty zebrane. Reporter: „Panie Gandhi, co pan sądzi o zachodniej cywilizacji?”. Gandhi: „To mogłoby być coś ciekawego”. Filozofia odrzucenia przemocy. Na pewno nie broń dla słabych. Trzeba być zdolnym do przemocy i świadomie się jej wyrzec. Jego śmierć w zamachu, z ręki Nathurama Godse, hinduskiego nacjonalisty, zwolennika Śavarkara, w ogrodzie świątyni Birla w Delhi 30 stycznia 1948 roku. Godse, wychowany w surowej tradycji hinduistycznej (por. Srinudzi), jako dziecko zmuszany do recytowania w san-skrycie wersów Rig Wedy i Bhagavad Gity, dumny ze swego hinduistycznego wychowania, lecz — oto jeden z ekscentrycz-mów, których żaden powieściopisarz by nie wymyślił — nałogowo czytający kryminały z Perryem Masonem. Noc przed zamachem spędził ponoć, z lubością czytając na głos The Case of the Fan-Dancer's Horse. Także w tym segregatorze komentarz Mai o filmie Gandhi: „Jeszcze jeden przykład swamio-grafii”¹. Uwaga na marginesie, że Jinnah została zagrana z wielkim wigorem przez starą znajomą z trupy teatralnej Zafyque'a.

— Korupcja w administracji rządowej (sporo wycinków, niektóre dość świeże). Seria artykułów opublikowanych w Bombaju przez dziennikarza, który zdobył rozgłos, pisząc „skan-dalografie” indyjskich gwiazd filmowych.

— Zamieszki w Bombaju w 1993 roku, pokłosie wydarzeń w Babri Maszjid, kiedy to trzydzieści tysięcy hinduskich fundamentalistów, wśród nich wielu nagich, posmarowanych popiołem ascetów, rozebrało cegła po cegle muzułmański me-

1 swami (hindi) — mędrzec, jogin, człowiek świątobliwy, używane także jako zwrot

grzecznościowy w rozmowie z taką osobą

66

czet, gdyż, jak twierdzili, stał dokładnie w miejscu, w którym narodził się Rama, wcielenie boga Wisznu. Wybuch przemocy, nieunikniony, przewidywalny. Zamieszki w Bombaju. W Rad-habhai Chawl zostaje spalona hinduska rodzina. Tłum Hindusów wyrusza w poszukiwaniu zemsty. Nie tylko w ubogich dzielnicach, do których wcześniej ograniczały się rozruchy. Idą do zamożnych dzielnic, takich jak Malabar, i na listach lokatorów wyszukują muzułmanów. Nieobecność nazwisk zdradza podejrzanych. Na niektórych budynkach usuwa się wszystkie nazwiska, aby chronić muzułmańskich mieszkańców. Zafyque przyjechał do nas nieco później tego roku i przywiózł relacje o zabijaniu nożami, podpalaniu i ucinaniu głów, które przeraziły Maję tak bardzo, jakby ona osobiście była winna.

Znalazłem też kilka wierszy i około trzydziestu opowiadań w rękopisie, wśród nich wiele moich ulubionych, które znałem od dziecka: Srebrny Ganesz, Nafisa Jaan (w dwóch wersjach, meethi, słodkiej, i teekhi, gorzkiej), Badnaami ka dilaasa (Ukojenie w niesławie), kilka szkiców oraz notatki do scenariusza).

Myśli w poramowym rozproszeniu podskakują i wadzą się między sobą jak stado gołębi na Trafalgar Square.

Wśród materiałów związanych z Badnaami bardzo miłe wspomnienie dawnych czasów. Cała masa notatek i zdjęć Jahnni'ego Walkara, aktora, geniusza komizmu, mojego ulubieńca z dzieciństwa, bombajskiej parodii Jerry'ego Lewisa.

J.W. naprawdę nazywał się Badruddin Jamaluddin Qazi. Na początku lat pięćdziesiątych był konduktorem w trolejbusie BEST (Bombay Electric Supply Transport), czerwonym, z żółtymi literami na boku, ze smugami od śliny zabarwionej paanem. Numer 132. Dzyń-dzyń. Kursował od kościoła rzymskokatolickiego w bazie marynarki wojennej, w górę Sassoon Dock (handlarki ryb w papuzich sari, cuchnące pomfretem

67

i bombajską kaczką wysuszoną na słońcu, tramie nazwaną sardynką Bummalo bummalo) do kina Regal, Churchgate, Marine Drive i Chowpatty Beach, w dusznej mieszance zapachów potu, tytoniu, jaśminu i taniej brylantyny. Ludzie biegną wzdłuż trolejbusu, w ostatniej chwili niczym baletnice wskakują na schodki, konduktor wciąga ich do środka. Jahnni Walkar lubił publiczność, zabawiał pasażerów żartami i śmiesznymi minami, komicznymi monologami, piosenkami i pieprzonymi powiedzonkami. Aktor Balraj Sahni zobaczył takie przedstawienie (tak, w owych czasach gwiazdy filmowe jeździły autobusami razem z gawiedzią) i załatwił mu zdjęcia próbne. Reszta jest, jak mówią, itihaas\

Tyle czasu upłynęło, odkąd widziałem hinduski film. Wypożyczenie go oznaczało wycieczkę do Southall albo do sklepiku przy Drammond Street, nieopodal Euston Road — naprzeciwko bengalskiego sklepu spożywczego, gdzie Srinu-dzi kupował w sezonie mango Alfonso, demonstracyjny koszyk dla mojej matki; jeden lub dwa owoce zawsze zgmiotły się w słomie na dnie, zapakowane rach-ciach ponad siedem tysięcy kilometrów stąd na Crawford Market, na rogu Moham-med Ali Road koło stacji Victoria Terminus (trasa, którą szedł chłopiec w Srebrnym Ganeszu), na trasie innego trolejbusu z Colaba, nobliwej stowudziestkitrójki, przejazd między dwoma kinami od kościoła rzymskokatolickiego przez smród ■ bummalo do Regal, Flora Fountain, Dhobhitalao (Washerman's Tank, przystanek dla udających się do kina Metro) i Girgaum (właśnie tamtędy podążała procesja jeźdźców, werbli i ludzkiego mrowia w czasie pogrzebu Savarkara), stamtąd do Lamington Road, gdzie olbrzymie billboardy, każdy ręcznie malowany, prawdziwe dzieła sztuki, z heroinami o twarzach różowych jak lody malinowe i złoćciami o twarzach zielonych, zapowiadały najnowsze filmy — jaka szkoda, że nie można ich dostać w Lewes, ale od czasu do czasu oglądałem jakiś u Mai. Patrzyła na nie z ponurą satysfakcją. „Małpi interes schodzi na psy”.

Pomarańczowookie małpy. Od momentu, gdy przyznała się

1 itihaas (hindi) — historia

68

do spotkania z Srinudżim, nie sposób brać poważnie jej choroby. Borowanie dziur w czaszce. Tak, znam to uczucie.

O moja głowa.

Musiało być ich sześć, i to dużych. Może siedem. Siostrzyczki wściekle. Naturalnie, moja wina. Cały Bhalu, wszystko po staremu, jakżeby inaczej. Maja wita się z nimi wesoło.

„Czy to nie cudowne?, woła. Nie miałam was wszystkich razem od wieków. Widzicie? Naprawdę mi nie przeszkadza, że jestem chora. Będę się świetnie bawiła. W łóżku z moimi ulubionymi autorami. Będziemy sobie chrupali czekoladki. Co dzień świeże kwiaty". Nie trwało długo, zanim jej geniusz w wyprowadzaniu rodziny z równowagi jak zwykle zrobił swoje.

Wraca se pan do domciu z zebranka A żonka z innym ciut przez ubranka...

Podminowany, siedzę wczoraj wieczorem na tylnym siedzeniu minivana, pudełka Mai grzechoczą obok. Za kierownicą Trinidadczyk gawędziarz. Pierwszy kilometr przejeżdża z łokciem opartym na siedzeniu, odwrócony bokiem, żeby pogadać.

— Często wożę pana matkę tu i tam. Miła z niej pani.

— Dokąd lubi jeździć?

— W dwa, trzy miejsca. St John's Wood. (Panaghiotis). Harrow. (Srinudzi). Parę tygodni temu wiozłem ją do Peckham. (??).

On też nie wiedział.

Cóż cię kuchanie gryzie Ach czemuż Się kuchanie tak miotasz jakbyś już...

— Lubi pan kalipso?

— Lubię reggae.

Bob Marley. No Woman, No Cry. To były czasy. Zanim nadeszły złe czasy. Kiedy urodziły się bliźniaczki, nazwaliśmy je Isobel i Imogen, więc zostały I & I. Nierozłączne, podwójne »!"• Bliźnięta, wątek w moim życiu.

69

— Witam w moim Bycznym Wróbelku — mówi kierowca. — Ciut słoneczka z domu. Kiedyś wrócę, kupię sobie dom na plaży. Nie na Trynidadzie. Na Tobago. Na Trynidadzie się pracuje, na Tobago spędza się emeryturę... A pan co robi?

— Sprzedaję książki.

— Pańska mama mówi, że pisze historie. Na pewno sprzedaje pan masę jej opowiadań.

Większość tej rozmowy odbyła się, zanim odjechaliśmy kilka kilometrów od mieszkania mojej matki. Powiedział mi, że tęskni za domem i ma nadzieję, że pojedzie na następny mecz krykieta między północnym Trynidadem i południowym, że nie zobaczył dość — „Lara, co za zgrabny kij" — i podał datę urodzin swojego psa (Alvin, labrador, 31.3.94).

Mówiąc bombulastycznie, gość z ciebie kocciopindowaty Elokwitacyjnie do cna wypierdkołowaty...

Ostry dyskomfort. Nie tylko ruch, przewijające się za oknami drzewa. Gorzkawy posmak rumu niesie złe wspomnienia. Sprzed wielu lat. Co najmniej piętnastu. Prebukinistyczne. Tamto życie dawno się skończyło, lecz wstyd pozostał. Zbyt częste powroty z Londynu firmową taksówką, za bardzo ścięty, żeby prosto iść. Taksówki późną nocą, takie jak ta, sunące przez budzące mdłości, kręte wiejskie dróżki. Raz w tę stronę, raz w tę. Każesz kierowcy zatrzymać się obok przydrożnego zajazdu albo — jeśli jedziesz przez miasto — przed jedną z tych bangladeskich restauracji, udających indyjskie, i zamawiasz z wielkopańską miną. „I jeden dla mojego szofera".

Tak, wstyd. Poczucie winy. I lęk. Gniew Kąty. „Nie będę cholerną wycieraczką u drzwi. Postaram się o własne życie". Tak też zrobiła. Co w tym dziwnego?

Twoje spiendorachityczne poglądy sązbytkociokwityczne Za bardzo pipokretyńskie i zbyt sukolibiczne...

Gdzieś za Gatwick zjeżdżamy z autostrady w niewłaściwym miejscu i gubimy się na wąskich bocznych drózkach. Dobrze

70

po północy. Wrzosowiska falujące aż po horyzont. Dębowe lasy w resztkach letniego listowia.

Cyprysowe miotły, usiłujące pozamiatać gwiazdy z nieba. Reflektory wyławiają z mroku tablicę z napisem „Pennybridge Lane".

„Szefie, jesteśmy całe kilometry od drogi”.

Ale ja też nie wiedziałem. Co za dziwna trygonometria losu skrzyżowała w tę noc jego smutek kalipso z moim, hinduskim, na pustej szosie w najbardziej angielskim z krajobrazów?

Przedpołudniowy Prosiaczek

Zegar na kościele naprzeciwko zaczyna wybijać godzinę. Z mojego okna widzę kaskadę dachów zstępujących z Zamkowego Wzgórza: łamanych, zakrzywionych, z różnokolorowymi dachówkami. Poranne słońce znikło. Z kilku kominów dym próbuje pchać się do góry, przygniatany przez mżawkę. Jedenasta. Papiery Mai leżą rozłożone na moim biurku. Odsuwam je. Czas obudzić czajnik. Łada moment zadzwoni dzwonek i Prosiaczek wejdzie schylony przez za niskie drzwi, odwróci się, strząśnie parasol na ulicę, zamknie go, wykona na wpół wojskowy zwrot i zygzakując między regałami, dotrze do mojego wewnętrznego sanktuarium, gdzie z zaczerwienionym, błyszczącym od whisky nosem, ociekającym wodą, zada pytanie, które przychodzi zadać w większość poranków o tej godzinie.

— Cześć, Bhalu, coś nowego? — To też jest pytanie, rzecz jasna, lecz nie to, które przyszedł mi zadać.

— Niestety, nie.

Przedpołudniowy Prosiaczek, sojusznik, bratnia dusza, bliźniak prawie, mój najbliższy i chyba jedyny przyjaciel — prawdziwe nazwisko Piggot' — zajmował jakieś stanowisko w Brygadzie Białego Dzika, albo, jak sam lubił mawiać, „tymczasowym skrzydle Towarzystwa Ryszarda III”, utrzymującym, iż Ryszard nie był zbrodniczym łotrem, za jakiego wszyscy go uważają. Zdaniem Towarzystwa, Szekspir próbował wkupić się w łaski Elżbiety I, której dziadek pokonał Ryszarda w bitwie pod Bosworth. Prosiaczek i jego przyjaciele poszli dalej i twier-

1 piglet (ang.) — prosiaczek. Piggot brzmi podobnie

72
dzą, że to Henryk Tudor, a nie Ryszard, zamordował małą księżniczkę w Tower. „Poza tym, Rysio Trzeci nie był wcale garbaty”, powtarzał mi zawsze. „To też Szekspir zmyślił. Dobry dramat, zgniłe kłamstwo”.

prosiaczek przychodził codziennie pod pozorem, że szuka książek o Ryszardzie III. I każdego ranka udawał rozczarowanie.

■ — Psiakrew! No cóż, trudno... Charlotte? (To właśnie było pytanie, które przyszedł zadać).

— Nie mogę — odpowiadałem zwykle. — Nie ma kto pilnować sklepu.

— No i co z tego? I tak nikt tu nie przychodzi.

Co do tego miał rację. Antykwariat nie był kwitnącym interesem. Ledwie pokrywał koszty utrzymania, więc nic nie zostawało na pensję. Utrzymywała mnie Kąty, która miała swoje niewielkie dochody i prowadziła firmę udzielającą konsultacji przy projektowaniu wnętrz. Bogu dzięki, że nawet w ciężkich czasach wciąż jest mnóstwo ludzi, którzy mogą sobie pozwolić na to, by zapłacić jej za szukanie na pchlich targach w Brighton żaglowców w butelkach, drewnianych radeł z Turcji i innych bibelotów, którymi Kąty rozpalala ich wyobraźnię. Dzięki Kąty moje życie stało się spokojną, monotonna, komfortową rutyną: dzień w dzień siedziałem na zapleczu, grzejąc się przy małym ogniu skaczącym w kominku. Ryzyko, gdyż rzędy książek zapełniały wszystkie ściany. Trzymałem tam co cenniejsze pozycje, w ozdobnych okładkach, rzadkie pierwsze wydania. Półkę nad moją głową zajmowało dwudziestosześcioletnie wydanie „Strand Magazine”, dobra lektura na spokojne popołudnia. Trzymałem tam również tomy Dickensa, Szekspira, Jane Austen i Waltera Scotta, których wartość spadłaby, gdyby dotykano ich ciągle palcami. Kilka lat temu doszło do serii kradzieży. Straciłem Tres riches heurez du duc de Berry (Godzinki księcia de Berry) kosztowną Kamasutra, ilustrowaną smakowitymi indyjskimi miniaturami. Od tego czasu przy drzwiach pokoiku na zapleczu jest lustro, które zapewnia mi widok z rybiej perspektywy na główne pomieszczenie księgarni, w którym trzymam współczesne powieści oraz książki poświęcone tematycznym, które dobrze się sprzedają: o antykach,

73

bo niedaleko stąd do Brighton, o sztuce, porcelanie, psach i kotach, koniach, miejscowej historii i — gdyż sprawy mają się tak, jak się mają — o seksie. Ludzie przeglądający tam książki nie byli

widoczni z ulicy i nie mogli wiedzieć, że ja ich widzę. Często dziwnie się zachowywali, sądząc że nikt na nich nie patrzy. Kiedyś zobaczyłem, że jakiś mężczyzna przyparł swoją protestującą dziewczynę do Historii Europy, podniósł jej spódnicę, i jestem przekonany, że robił jej to, albo zamierzał zrobić, kiedy zadzwonił dzwonek, i dziewczyna odepchnęła go ze złością. Jak należy postąpić w takim przypadku? Zachować dyskretną ciszę i rozkoszować się widokiem? Odkąd zainstalowałem lustro, tylko raz zobaczyłem złodzieja, i nic nie zrobiłem, ponieważ, ku mojemu zakłopotaniu okazało się, że jest to ktoś, kogo znam.

Din dan DON dun. Zegary w całym mieście wymieniają się uspokajającymi pozdrowieniami. Gdzieś tam Prosiaczek maszeruje w obłoku dzwonów.

Charlotte była barmanką w White Hart. Prosiaczek, zgodnie ze swoim zwyczajem, po zajrzeniu do mnie, podążył dalej High Street do Hart i siedział tam do późnego popołudnia. Popijał w samotności, ale wolał towarzystwo. Od czasu do czasu przekonywał mnie, żebym do niego dołączył, lecz picie z Prosiaczkiem było złym pomysłem. Nieodmiennie łądowaliśmy w jego warsztacie i długo tam siedzieliśmy, a Kąty nie była zadowolona, gdy wracałem do domu, cuchnąc lakierem do mebli. Lakierem do mebli? Tak, bo Prosiaczek, kiedy nie pisał na nowo historii albo nie przywdziewał togi z okazji jednej z częstych rewizjonistycznych inscenizacji Białego Dzika — bitwa pod Bosworth tak, jak powinna wyglądać, z triumfującym Ryszardem, stojącym okrakiem nad zwłokami Henryka Tudora — był rzemieślnikiem. Jego robota była wyśmienita, przykładał ogromną uwagę do detali. Pod moim biurkiem stało duże tekturowe pudło pełne osiemnasto- i dziewiętnastowiecznych hebli do drewna. Prosiaczek kupił je na aukcji w Brighton, żeby móc robić własne astragale, owale i esownice, czyli rodzaje form, jak mi wyjaśnił. Pudło tkwiło tam od ostatniego razu, gdy przyjąłem jego zaproszenie do Charlotte, a księgarnia pozostała zamknięta przez resztę dnia.

74

Kąty pytała kiedyś, czy nigdy nie mam dość siedzenia w pustym antykwariacie. Powiedziała, że się starzejemy, a nawet porządnie nie użyliśmy życia. Kiedy bliźniaczki wyjechały na uniwersytet, zaproponowała, żebyśmy sprzedali wszystko i pomyśleli, czy nie warto byłoby zrobić czegoś ekscytującego, na przykład zamieszkać we Francji i hodować konie (jej największe hobby), ale ja już dawno uświadomiłem sobie, że od życia najbardziej chcę tego, żeby zostawiło mnie w spokoju. Bez wątplenia właśnie dlatego schowałem się w księgarni. Moja księgarnia — właściwie każda, lecz moja w szczególności — to kompletny wszechświat ze szmaragdowymi tabliczkami książek, które pośredniczą między niepewną rzeczywistością świata na zewnątrz a niespokojnymi ławicami ostryg ludzkiego umysłu. Takie miejsce jest ucieczką przed światem, a w miasteczku takim jak Lewes, z zamkiem i kocimi łbami na ulicach, gdzie życie codzienne toczy się w dziwacznym, staroświeckim rytmie, księgarnia stanowi potrójną ucieczkę: opowieści na półkach w opowieści o sklepie w opowieści o miasteczku.

Było południe, kiedy Prosiaczek zjawił się, by w rozczarowujący sposób odegrać swoje rytualne przedstawienie z parasolem i Rysiem III.

— Przeprowadzałem rozmowy kwalifikacyjne. — Objął mi, że postanowił przyjąć asystenta, „młodą osobę chętną do nauki”. Z biura zatrudnienia przysłano mu dziewczynę z świeżym językiem.

— Nie jest taka zła. Tylko trochę mi straszno, kiedy się śmieje... Tak się zastanawiałem, czy chciałbyś się nią dzielić.

— Dzielić?

— Aha. Chcę ją tylko na parę dni w tygodniu. Ona potrzebuje czegoś innego na pozostałe dni. Od razu pomyślałem o tobie.

— Bardzo miło z twojej strony! — Raczej nie mogłem sobie pozwolić na zatrudnienie pomocnicy.

— Piszę coś — oznajmił uroczyście.

75

— Niech zgadnę. Czy nie o pewnym mężu, który urodził się w piętnastym wieku w Yorku, został oczerniony i niesłusznie przedstawiony jako garbus?

— Bha!u, wszyscy się co do ciebie myślą. Twoja inteligencja jest ostra jak brzytwa.

Wyszukałem Prosiaczkowi niemal wszystko, co kiedykolwiek zostało napisane na temat Ryszarda Glouceстера, więc zdumiało mnie, że wymyślił, iż można powiedzieć jeszcze coś nowego.

— Och, to nic naukowego. Olać tę całą naukowość. Chcę dotknąć istoty problemu, tak jak uczyli nas w wojsku. Coś mi się widzi, że wszystkie uczone dzieła świata zdadzą się psu na budę, póki ta sztuka jest wystawiana rok w rok.

— Ale co możesz na to poradzić?

— Ryszard Szekspira nie jest wiarygodny. Garbus z haczykowatym nosem, rzucający wielki, paskudny cień — „na mój widok ujadają psy”¹; Gdzie jeszcze coś takiego widziałeś? Toż to pan Punch! Nie! — zawołał, podnosząc rękę, żeby mnie uciszyć. — Nie mów mi, że Szekspir nigdy nie widział Puncha i Judy². Wiem, że commedia deli 'arte zawitała ponoć do Anglii dopiero po roku tysiąc sześćset sześćdziesiątym, ale powiem tylko tyle, że to stek bzdur. Spójrz tylko na Ryszarda III. „Postanowiłem zostać nikczemnikiem”³, taką kwestię wkłada mu się w usta i to wszystko, czym jest. Najmniejszego przebłysku dobra. Biedny Rysio. „Lecz po-twarz ta teraz staje się prawdą, bo znowu się pleni bujniej niż przedtem”⁴.

Słyszałem już wiele podobnych wybuchów, lecz żaden nie był tak obficie napakowany cytatami z barda. Prosiaczek nie dał się namówić, by powiedział coś więcej o swoim projekcie.

- Biedaku -- rzekł -- będziesz zdumiony! „Więcej cię

1 William Szekspir, Król Ryszard III, przekład Stanisława Barańczaka

2 Punch i Judy — bohaterowie popularnego w Anglii widowiska kukielkowego dla dzieci

3 William Szekspir, Król Ryszard III, przekład Stanisława Barańczaka

4 William Szekspir, Król Henryk Ósmy, przekład Zofii Siwickiej

76

zdziwi, niż gdybyś ujrzał sklepiony strop nieba, cały zaszyty ogniem meteorów...” K Charlotte?

Trochę później tego samego popołudnia, wśród szpargałów matki znalazłem dużą kopertę zawierającą opowiadanie, którego nigdy nie czytałem, zatytułowane Pokuta. Zostało napisane na maszynie, której Maja używała pod koniec lat pięćdziesiątych i na początku sześćdziesiątych, tej z czcionką „r” startą prawie do cna. W Pokucie przedstawiony jest trójkąt miłosny, w którym mężczyzna o wybujałym poczuciu własnej wartości manipuluje dwiema kobietami tak do siebie podobnymi, że mogłyby być bliźniaczkami i w końcu dostaje za swoje.

Opowiadanie wprowadziło mnie w konsternację. Większość opowieści Mai wyrosła z prawdziwych historii, często były one osnute wokół epizodów z dziejów naszej rodziny (Nafisa Jaan) albo (Badnaami ka dilaasa i Srebrny Ganesz) wokół wydarzeń, które przytrafiły się innym ludziom, lecz Pokuta, w której narratorem jest duch, była najwyraźniej fikcją. Przypuszczalnie był to wstępny szkic do scenariusza, tragiczna historia zdrady i morderstwa — w owych czasach zdrada prawie zawsze niosła ze sobą wyrok śmierci, w każdym razie na celuloidowej taśmie — z komicznymi interludiami i ładnym, zaskakującym zwrotem akcji przy udziale sił nadprzyrodzonych. To miało sens. To właśnie było kino. Według tego samego schematu napisała Pocięgę w niesławie, opowiadanie zrealizowane przez reżysera Haresha Saigala, który sfilmował je łącznie z piosenkami, tańcami wokół drzew i całą resztą tej oszalałającej mozaiki, z zamieszkami i wszystkimi innymi ingrediencjami nieodzownymi w „gwiazdorskiej” produkcji rodem z Bombaju. Pocięcha to historia ubożego scenarzysty, granego przez Dilipa Kumara, który zakochuje się w prostytutce. Jego przyjaciele są oburzeni, lecz on twierdzi, że odnalazł w niej czystość, której nie mają inne kobiety. Jest zdeterminowany, by napisać rolę, która to wyrazi. Dochodzi do skandalu, po którym traci wszystko — żonę, rodzinę, dom, pracę, lecz powstały scenariusz jest najlepszy, jaki kiedykolwiek stworzył. W dniu, w którym

William Szekspir, Życie i śmierć króla Jana, przekład Stanisława Koźmiana

77

kończy pisać, żona, z pomocą rozgniewanych braci, wyrzuca pisarza z domu. Mówi, że nigdy więcej nie wolno mu zbliżać się do niej ani do dzieci. Pisarz biegnie do dziewczyny, lecz ta z zimnym okrucieństwem informuje go, że znalazła sobie kogoś innego. W tej chwili, straciwszy niemal wszystko, co było dlań drogie, bohater porzuca to, co jeszcze ma. Rozdaje wszystkie swoje rzeczy, wychodzi na drogę i zostaje żebrakiem. Prosząc o jedzenie, wędruje przez wioski i dżungłę,

a kraj odsłania przed nim całe swe piękno i cierpienie. Patrzy na Indie, jakich nigdy wcześniej nie znał. Tymczasem jego żona łagodnieje (oczywiście) i zaczyna go szukać. Pewnego dnia bohater przychodzi do miasta i widzi plakaty zapowiadające najnowszy przebój kinowy. To jego film. Nie płacąc, wślizguje się na seans i ogląda pierwszych kilka minut, scenę, w której dziewczyna wprowadza temat przewodni kwestią: „Śmierć zwodzi, zadając cios...”. Jej twarz błyszczy na ekranie. Jego słowa w jej ustach nabierają urody poezji. Patrzy i słucha, oczarowany. Na ekranie przesuwają się napisy. W chwili, gdy pojawia się jego nazwisko, zostaje wyrzucony z kina na ulicę, między rowerzystów, którzy omijają go, dzwoniąc. Potrąca go ciężarówka (obowiązkowy wyrok śmierci). Gapie, którzy zebrali się wokół niego, ze zdziwieniem widzą, że się uśmiecha.

„Wiedziałem, mówi pisarz. Wiedziałem, że ona to zagra!”.

Film odniósł skromny, lecz autentyczny sukces. W haśle w Encyclopaedia of Indian Cinema (British Film Institute/Oxford University Press, pierwsze wydanie 1994, lekko przybrudzone, 9.50 £) można przeczytać, że Pocięcha przedstawia „niezwykły obraz życia indyjskiej wsi” i że „przepełniony wrażliwością scenariusz Mai Sahib wychodzi od ponurego wydarzenia i zamienia je w inspirujący dramat”.

Bohater Pocięchy był człowiekiem ze skazą, którego cierpienie można było zrozumieć i dzielić, lecz o czym myślała Maja, pisząc Pokutę! Jej narrator to postać tak odpychająca, że trudno sobie wyobrazić, by ktokolwiek mu współczuł. Bał się (takie słowa wkłada w jego usta Maja), że jeśli jego historia kiedykolwiek zostanie przeniesiona na ekran, zagra go Jahnnny Walkar. Wykluczone! J. W. specjalizował się w postaciach

78

dobrodusznych pijaków, a zgodnie z wyznaniem bohatera opowiadania, ten na pewno takowym nie był. Jeśli J. W. mógłby zagrać w tym filmie, to tylko wiecznie podpitego, niefrasobliwego szmuglera, dostarczającego bohaterowi alkohol. Zaśpiewałby piosenkę, coś w rodzaju starego, uroczego kupletu, który Mukesh śpiewał w Main Nashe Men Hoon:

Zahid sharab pine de, masjid mein baith kar ya won jagah bata dējahdn Khuda na ho. Jeśli, kapłanie, sprzeciwiasz się memu picu w świętym miejscu, zaprowadź mnie łaskawie w miejsce, gdzie Boga nie ma.

Mimo wszystko byłem w stanie wyobrazić sobie Pokutę jako film przedstawiający historię mężczyzny, który prowadzi nikkzemne, rozwiązłe życie, dopóki nie popełnia błędu, zakochując się w dwóch pięknych kobietach naraz. Te zaś, niesłychanie do siebie podobne, okazują się siostrami, a nawet bliźniaczkami, rozdzielonymi przy porodzie przez rodzinną tragedię i niewiedzącymi o sobie nawzajem. (Uczynienie z nich Angielek było bez wątpienia błędem. Powinny być Hinduskami, granymi przez tę samą aktorkę — Małą Sinhę bądź Vijayan-timałę, która zagrała bliźniaczki w Madhumati). Po tym, jak główny bohater bezdusznie porzuca pierwszą kobietę, „mętna historia z przeszłości”, wspomniana przez nią, kiedy wzburzona dzwoni do niewiernego kochanka, nasuwa pewną myśl bliźniaczcze. Ta kontaktuje się z rywalką, wspólnie odkrywają, że są siostrami, a także to, że mężczyzna, albo jego rodzina, odegrały jakąś rolę w ich tragedii. Obmyślają podwójną zemstę, w wyniku czego film otrzyma tytuł Pratiphal lub, gdyby ktoś zapragnął bardziej chwytliwego tytułu, Adla-Badli, Adla-Badla (Podwójna sprawiedliwość).

Cóż za zwrot akcji! Gdyby tylko ktoś nakręcił ten film! Ogarnął mnie spory entuzjazm.

Zamordowany Lothario byłby wyzwaniem dla... kogo? Z pewnością nie dla stereotypowego filmowego łotra. Żeby opowieść „zagrała”, musiałby to być ktoś czarujący. Ktoś, kto uwodziłby nas tak, jak uwiódł te dwie kobiety. Bo one dostrzegły w nim coś dobrego. Przynajmniej

79

był szczery. Szczery Jak-mu-tam. Maja JIИирием Dłaczego? I dlaczego nazwała kobiety Jedyńką i Dwójką? Tak wiele rzeczy w Pokucie nie miało sensu.

Spekulacje te przerwało odkrycie w tej samej kopercie, w której było opowiadanie, wycinka z „Times of India oraz tekstu napisanego ręką mojej mamy, zatytułowanego Łowca węgorki.

Łowca węgorki

(Bombaj, 14 października 1964)

Tego ranka o świcie nad morskim horyzontem za Back Bay Reclamation zawisła chmura w kształcie górskiego łańcucha. Wstałam wcześniej, bo chciałam popracować, ale zamiast tego poszłam na spacer wzdłuż Cuffe Parade. Nad morzem jest trochę chłodniej. Żałowałam, co zdarza mi się ostatnio bardzo często, że nie jesteśmy już w Ambona. Wiem, że z początku nie chciałam się przenieść, lecz teraz te trzy lata spędzone tam wydają się idyllą, i jak każda idylla od czasów Edenu, tak i ta skończyła się źle. Dziwnie jest być z powrotem w Colaba — w naszym starym mieszkaniu, w którym mieszkaliśmy przed wyprowadzką z miasta — niby nic się nie zmieniło, a przecież zmieniło się wszystko. Popelniliśmy głupstwo, wracając do Bombaju. Powinniśmy byli wyjechać gdzieś daleko, może z powrotem do Lucknow. Rozstanie z różanym ogrodem złamało serce mojemu mężowi. Bhalu też bardzo się wzbraniał przed wyprowadzką z Ambona. Jego listy pełne są nieznośnych szczegółów życia w internacie. Podaje wyniki meczów hokejowych tak samo jak wtedy, gdy miał jedenaście lat, tuż po wyjeździe do szkoły. Chyba powinnam to uważać za uroczę.

Odpływ odsłonił dżunglę mangrowii, przeciętą betonowym molo biegnącym do zewnętrznych falochronów. Za nimi morze wyciąga błękitne skrzydła aż do Afryki. Postanowiłam pójść do samego końca molo. Bagno lśniło jak gorączka. Woń ryb i Wodorostów, z gąszczu mangrowii dochodzi dziwne klikanie. Mężczyzna z wędką życzy mi dobrego dnia. Miał może trzydzieści pięć lat, był silnie zbudowany i zupełnie nagi, nie licząc ótkiej lungi, założonej jak koszula, odsłaniającej kolana. Na Clerennej plamie jego piersi błyszczał amulet. Miałam wrażenie, że już go gdzieś widziałam, ale nie myślałam o tym więcej. Odwzajemniłam pozdrowienie i poszłam dalej. Po jakimś czasie odwróciłam się. Mężczyzna wciąż na mnie patrzył.

Molo kończy się na głębokiej wodzie, mlecznozielonej, chlapiącej o betonową ścianę. Na kołyszącej się na falach girlandzie małe kraby rozbierały na części zwłoki większego krewniaka. Zewnętrzne falochrony, z łądu wyglądające na bardzo odległe, to ogromne blanki, olbrzymie palce wskazujące wzajem na siebie. Pewnego dnia się zetkną, odetną morze od zatoki Back, i mangrowce znikną na zawsze, lecz tego dnia morze wciąż wlewało się przez lukę, przez którą widziałam statek odcinający się od linii horyzontu. Trzy lata, odkąd wypłynął statek Sybil. Pisałam kilka razy, ale bez odzewu. Na północy widać było lesisty zarys wzgórza Malabar. On tam mieszkał. Sybil lubiła chodzić do końca molo. Ożywionym głosem mówiła, że to zbliża ją do niego. Może to właśnie przez to, przez myślenie o Sybil i Panu Love.

Kiedy ruszyłam z powrotem, słońce grzało mocno. Wędkarz wciąż tam był. Pies obwąchiwał pękaty płócienny worek u jego stóp. Co jakiś czas torba się poruszała, coś w niej drgało. Zapytałam, co to takiego. Mężczyzna sięgnął do środka, wyjął węgorza i wyciągnął rękę z rybą w moją stronę. Węgorz zwinął się i rozwinął powoli w jego dłoni. Nigdy nie widziałam węgorza z tak bliska. Miał około osiemdziesięciu centymetrów długości, srebrzyste boki, ciemny grzbiet nakrapiany niebieskimi plamkami i węzową głowę. Jego oczy wyglądały jak ciemne klejnoty osadzone w złotych obwódkach. „Jest ich tu mnóstwo, powiedział wędkarz. Chowają się wśród korzeni”. Pysk węgorza otworzył się, łapiąc powietrze, całym ciałem] ryby wstrząsnął dreszcz. Jaka szkoda, pomyślałam nagle z żalem, że takie piękne stworzenie udusi się w ten sposób. Zaproponowałam wędkarzowi, że odkupię od niego rybę. Roześmiał się. „Ludzie tacy jak pani ich nie jedzą, odparł z ponurą zaciętością. Tylko biedacy tacy jak ja”. Powiedziałam, że nie chcę go jeść, zapłacę mu, żeby wpuścił rybę z powrotem do morza. Pokręcił głową i odparł: „Proszę pani, ja muszę nakarmić rodzinę. Te ryby nie są wiele warte, ale nie stać mnie, żeby kupić je na rynku. Ile pani zapłaci?”. Odparłam, że dam mu pięć rupii. „To za dużo, jest pani zbyt hojna”. „Więc zgadza się

82

pan?”- Znów się roześmiał. „Jeśli powiem tak, co będzie jutro? jutro też kupi pani węgorze? A pojutrze? Nie, proszę pani, niech pani zatrzyma swoje pieniądze, bo kiedy je wydam, znów będę musiał łowić ryby”. Węgorz skreślił się w jego dłoniach. 2 zaskoczeniem uzmysłowiłam sobie, jaka byłam arogancka.

Zapytałam, czy mogę potrzymać węgorza. „Ręce będą pani cuchnęły”, odparł wędkarz. Nie przeszkadzało mi to, mogłam je umyć. „Nie wrzuci go pani do wody?”, zapytał. Powiedziałam, że

chcę tylko spróbować, jak to jest. Wędkarz wyprostował się i podał mi węgorza. Ryba był grubsza, niż wyglądała, i śliska. Złapałam węgorza tuż za głową i nieco dalej; zaciążył mi w dłoniach i uspokoił się, lecz otworzył pysk, poczułam siłę jego mięśni. Wędkarz i jego pies wciąż na mnie patrzyli. Węgorz drgnął konwulsyjnie, a ja krzyknęłam, bojąc się, że mi wypadnie. Wędkarz wziął go ode mnie i wrzucił do worka, ogonem naprzód.

Musiałam wziąć prysznic, lecz dzień był tak gorący, że nawet pod strumieniem wody czułam pot wypływający ze skóry. Dużo czasu zajęło mi pozbycie się rybiego zapachu z dłoni.

Ramu nakrył stół punktualnie o ósmej, tak jak zawsze: jajko dla kapitana Sahiba, gotowane dokładnie trzy minuty, puri z ziemniakami dla mnie. Serwetki już czekają, zwinięte schludnie w okrągłych srebrnych uchwytach, egzemplarz „Times of India” leży na stole. Mój mąż podnosi gazetę, a ja czytam z przeciwka stronę, którą właśnie skończył. To nasz zwyczaj. Artykuł był na stronie piątej.

GOPAL GODSE ZWOLNIONY

Relacja naszego korespondenta

NEW DELHI, 13 października. Po odbyciu wyroku 15 lat w więzieniu Tehra, Gopal Vinayak Godse (lat 44), brat Nathurama Godse, który zamordował Mahatmę Gandhiego 30 stycznia 1948 roku, został wczoraj zwolniony. Skazano go za współudział w zbrodni. Pan Vishnu R. Karkare, współoskarżony w procesie o zabójstwo Mahatmy Gandhiego, który odbywał karę dożywocia w więzieniu Maharashtra, został wypuszczony we wtorek na polecenie rządu centralnego, jak poinformowano w Bombaju.

83

Pewnie krzyknęłam, bo kapitan Sahib opuścił gazetę.

— Coś mówiłaś?

Nie odważyłam się odpowiedzieć. Chyba jestem obłąkana. Jest dla mnie jasne, że to ja, Maja Sahib, odpowiadam za tę wiadomość.

„Jak bardzo jest to naciągnięte, nawet twoim zdaniem?”, pytam samą siebie, i wewnętrzny głos odpowiada momentalnie: „Naciągnięte, powiadasz? Cieszę się, że użyłaś tego słowa. Czyż nie na to właśnie skarżyła się ta suka Noor w «Femme», kiedy rozmawiałyście o twoich utworach?

«Kochanie, czy ty niczego nie umiesz powiedzieć wprost? Czemu z takim uporem konstruujesz te naciągnięte powiązania?». Pamiętając o obsesji Noor, pragnącej udowodnić swoje pochodzenie od jakiejś nikomu nieznannej mughalskiej księżniczki, odpowiedziałas nieco kąśliwie, że tropienie źródeł wydarzeń nie jest ani bardziej, ani mniej absurdałne od zrywania przodków jak czereśni z gałęzi drzewa genealogicznego”.

Jak bardzo jest to naciągane? Bardzo. Naciągnięte, lecz bezdyskusyjne. Oto argumentacja. Ludzie ci zostali zwolnieni, by pisać od nowa historię, gdyż, jak wszyscy przewidywali, ze względów politycznych nie było możliwe trzymanie ich za kratkami, skoro morderca Pana Love został wypuszczony z więzienia i pozwolono mu wyjechać z kraju. Wynika z tego, czyż nie...?

„Oczywiście, że tak, mówi duch w moim mózgu. To czysto matematyczna, geometryczna zależność. Nie ma wolności dla pana Godse i jego kompanów, dopóki morderca Pana Love nie zostanie ułaskawiony i zwolniony. Nie ma mordercy bez morderstwa. Zatem ty ponosisz odpowiedzialność za tę wiadomość, bo to ty, Maju, spowodowałaś to morderstwo”.

Łowca węgorzy stoi za krzesłem mojego męża. Oczy, głos, ponure usta. Nagle, ponad wszelką wątpliwość wiem, gdzie go wcześniej widziałam.

„A więc mnie rozpoznajesz”, mówi duch Pana Love.

Mąż wciąż czeka na odpowiedź. Co mam wymyślić?

— Przyszło mi do głowy coś zabawnego — odpowiadam raczej rozpaczliwe.

— Mogę też usłyszeć?

84

— Przypomniałam sobie, jak, kiedy Ninu była mała, śpiewałam jej piosenki, rozmyślnie myśląc słowa... „Piosenka za sześć pensów, kieszeń pełna łasiczek...”. „Nie, nie”, wołała. Pełna owsa”.

„Kieszeń pełna owsa. Dwadzieścia i cztery kosy, upieczone w samosiel... „Nie w samosiel W

placku!". ^Upieczone w placku. Placek otwarliśmy, a ptaszki już fikać koziołki...". „Ptaszki już śpiewać!". „Czyż to nie piękne danie dla nosorożca?". „Nie, mamusiu", wołała. „To jest zła piosenka!".

Kapitan Sahib już opuścił wzrok na gazetę.

„Wiesz, na czym polegał mój błąd?, pyta duch z beczelnym uśmiechem. To powinnaś być ty, Maju. To powinnaś być ty".

Wyrażając nieruchomą twarzą tyle pogardy, ile to możliwe, odpowiadam: „Nigdy nie dałam ci szansy".

„Kusiło cię. Przyznaj. Czy teraz może to komuś zaszkodzić?".

„Nie przyznaję. Jesteś fantastą, zawsze nim byłeś".

„Pamiętam, jak na mnie patrzyłaś".

„Nie oszukuj się. Ilekroć poznałeś kobietę na przyjęciu, zawsze myślałeś o tym, żeby się z nią przespać. Twoje oczy zaraz wślizgiwały się pod jej ubranie".

„Jeśli to zauważałaś, to dlatego, że byłaś zazdrosna".

„Gardziłam tobą".

Śmieje się. „Nie. Gardziłaś sobą, bo marzyłaś, żeby być tą kobietą. Wiedziałaś, co robią twoje przyjaciółki, prawda? Opowiadały ci, a ty myślałaś: Czemu nie ja? Dlaczego to one mają przeżywać coś tak podniecającego? A ty byłaś żoną nudnego hodowcy róż".

„Jesteś złym człowiekiem".

„Jestem martwym człowiekiem. A czyja to wina?".

„Sam doprowadziłeś do swojej śmierci".

„Niezupełnie. Leżałem na łóżku, próbowałem zasnąć. Zadzwoił dzwonek. Pierwszą rzeczą, którą zobaczyłem, był pistolet".

„Nigdy cię nie lubiłam, ale nie chciałam twojej śmierci".

„Ktoś chciał. Pomyśl o tym pistolecie. Ktoś przyniósł go po to, żeby mnie zabić. Ale w sądzie adwokaci utrzymywali, że

samosy — rodzaj pierogów z warzywami lub owocami

85

miał służyć do samoobrony. Mówili, że byłem niebezpieczny, że trzymałem rewolwer pod łóżkiem. Jak myślisz, Maja-ji, skąd wzięli ten pomysł?".

„Nie miałam z obroną nic wspólnego, wiesz o tym". „Nie było żadnego pistoletu, nigdy. Butelki od whisky, niedopałki, listy, wszystko to znaleziono pod moim łóżkiem, ale żadnego rewolweru oprócz tego, który morderca przyniósł, aby mnie zabić".

„Co to ma wspólnego ze mną?". „Ty wiesz, skąd wziął się pomysł z pistoletem". „Mówisz od rzeczy".

„Wiesz, że nie. Pomyśl o Ambona. Wszystko zaczyna się w Ambona. Spróbuj przypomnieć sobie pewien dzień. To musiał być lipiec albo sierpień tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego ósmego. Mniej więcej dziewięć miesięcy przed tym, jak zo-| stałem zaszlachtowany".

„Jakże ja mam to pamiętać?". Mój mąż dokończył jajko i ociera usta po swojemu, pedantycznie, nieświadom, że jego żona toczy spór z duchem.

„Wiesz, o którym dniu mówię. Była wtedy okropna burza., Dzieci nie mogły wyjść na dwór się pobawić. Prosiły, żeby im opowiedzieć bajkę. A ty wybrałaś złą bajkę". „Nie ma czegoś takiego".

„To historia opowiedziana niewłaściwej osobie w niewłaśc- j ciwym czasie. Czemu wybrałaś akurat tę, Maja-ji, o cierpieniu kobiety, która musi stracić dziecko, i opowiedziałaś ją kobiecie, która niedawno je straciła?".

„Ona prosiła o tę historię. Próbowałam jej wyperswadować".!

„Nie miałaś siły, by odmówić? Pamiętasz teraz? Popołudnia ciemne jak noc, grzmoty przetaczające się po dachu, wściekła ulewa. Następnego ranka znalazłaś na schodach dużą ćmę.

Zabiły ją uderzenia ciężkich kropel deszczu".

„Pamiętam".

„Kiedy skończyłaś mówić, twoja przyjaciółka szlochała. Zapytała, czy może skorzystać z telefonu

w twoim pokoju. Zadzwoiła do mnie. Czemu się wtrąciłaś? Czemu nie zostawiłaś nas samym sobie? Nie słyszałaś, co jej mówiłem. Założyłaś, że j jestem tak samo okrutny, j ak ty? Nie masz poj

ęcia,

86

co powiedziałem! Zobaczyłaś tylko swoją przyjaciółkę we łzach. Podpowiedziałaś jej, prawda? Wbiłaś te słowa do jej głowy. Co ona do mnie krzyczała? «To mężczyźni tacy jak ty zasługują na śmierć, a nie nienarodzone dzieci»."

„Dlaczego, spytałaś, czemu musiałeś z niej szydzić, ty głupcze, ty idioto?”

„Co powiedziałem? Pamiętasz?”

„Powiedziałeś: «Kochanie, zamierzasz mnie zabić? Czy powinienem trzymać pistolet pod łóżkiem?»”

„Otóż to, mówi duch. Zauważ, proszę, że w ten właśnie sposób pistolet, którego nie było, nagle zaistniał. Rozumiesz to teraz, prawda, Maju? Twoja robota, tylko twoja. Karma strzela jak błyskawica od przyczyny do skutku. Rozświecła mrok i pozwala na chwilę ujrzeć najbardziej zatrważającą prawdę, konsekwencje naszych własnych czynów. Twój wybuch spowodził na mnie śmierć. Ale ty niczego się nie nauczyłaś, prawda? Bo zrobiłaś to jeszcze raz, komuś o wiele okrutniej-szemu niż ja, i teraz za to płacisz”

„Widziałaś to?, pyta kapitan Sahib, który dotarł do artykułu na piątej stronie. Zabójcy Gandhiego znów są na wolności”

Karma to taka gorzka wiedza. Żaden anioł nie czeka na mnie na drugim brzegu śmierci, by przyłożyć mi pieczęć. Nie zostanę osądzona przed wielkim białym tronem z Apokalipsy, nie wydadzą na mnie wyroku w pałacu Yamy ani na wielokolumnowym dworze Ozyrysa. Karma to nie nagroda ani kara w następnym życiu. To coś o wiele gorszego. To wiedza tu i teraz, o tym, do powstania czego się przyczyniłam. Odpowiedzialność.

I wina.

Kartofel kartofel

(Londyn, wrzesień 1998)

Bhalu, tu sale bahut bhola hai, ale z ciebie głupiec, powiedziałem sobie, zamykając księgarnię wcześniej nazajutrz rano i idąc na dworzec Lewes. Właśnie wysłałem faks do znajomego hurtownika książek w Bombaju z prośbą by wyświadczył mi wielką przysługę i poszedł do redakcji gazety „Blitz”, jeśli jeszcze istnieje, i odszukał w jej archiwach wydania z końca kwietnia tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego dziewiątego roku. Kazałem mu szukać wszelkich doniesień o morderstwach. Nie znałem nazwiska ofiary, wiedziałem tylko, że mogła być znana pod dziwnym i dwuznacznym przydomkiem „Pan Love”.

Postanowiłem też odwiedzić Maję. Zaskoczę ją i kupię bilety do Royal Court. Prawdziwym powodem, rzecz jasna, było to, że chciałem ją wypytać o Pokutę i towarzyszący opowiadaniu \ osobliwy zapisek. Jeśli sama historia mnie zaintrygowała, to \ notka, opowiadająca o wędkarzu i bezczelnym duchu, wydała mi się całkowitą zagadką.

Byłem przekonany, że Pokuta jest fikcją szkicem postaci do filmu, lecz Łowca węgorzy traktował ją jak rzeczywistość. Czy ta historia mogła być prawdziwa? W czasie, o którym opowiada, mieszkaliśmy w Bombaju. Nawet po naszej przeprowadzce do Ambona moi rodzice regularnie odwiedzali przyjaciół w Bombaju. Bardzo dobrze pamiętam Sybil. Razem z córką Phoebe rok w rok, trzy razy z rzędu, przyjeżdżała do nas do Ambona na lato. Phoebe była moją najlepszą przyjaciółką. Czy to możliwe, by moja matka lub Sybil albo ktoś z ich znajomych był zamieszany w morderstwo? Lub nawet do niego doprowadził? Z całą pewnością nie. Absurdalna myśl.

Kim był ów Pan Love, którego widmo, jak się zdaje, na

88

<}obre zagnieździło się w mózgu mojej matki? Czemu postanowiła przedstawić wspomnienie o nim jako ducha? Zjawy świetnie pasują do ponurych elżbietańskich tragedii, takich jak Hamlet czy Makbet (to ocena Prosiaczka), ale jakie miejsce mogą zajmować w historii z połowy dwudziestego wieku, zwłaszcza takiej, która chce uchodzić za prawdziwą?

Był też oczywiście dobrze znany motyw karmiczny, znak firmowy praktycznie całej twórczości

Mai. Zwykle podobały mi się jej wycieczki w zawile meandry przyczyn i skutków, lecz w tym przypadku moja sympatia była całkowicie po stronie podłej Noor. To że Maja obarczała się winą za śmierć Pana Love, było czystym absurdem. Czyżby on nie ponosił żadnej winy? A osoba, która poszła z pistoletem do jego mieszkania i użyła go z zimną krwią? Nie — mania mojej matki na punkcie karmy była w pewnym sensie obsesją. Jakiś psychiatra z pełną pewnością zdefiniował syndrom chorobowy ludzi, którzy wierzą, iż ponoszą odpowiedzialność za coś, z czym nie mają absolutnie żadnego związku.

Maja uzasadniała karmiczne wtargnięcia w swoim dziele na dwa sposoby. Pierwszy był pochodną dialektyki. Mawiała, że jej doktryna osobistej odpowiedzialności podważa powszechnie stosowaną metodę nauczania i pojmowania historii. Asioka wygrał bitwę pod Kalinga. Wellington wygrał bitwę pod Water-loo. Tego się uczyliśmy. Lecz bitwy nie są wygrywane przez królów i generałów. Zwycięstwa to skomplikowane sumy indywidualnych czynów tysięcy żołnierzy, o których nikt nie pamięta. Maja pragnęła, by mali ludzie dostrzegli swoją ważność i upomnieli się o swe miejsce w historii.

Drugi powód był natury etycznej. Najdrobniejsze nawet uczynki mają daleko sięgające skutki, zatem powinniśmy uważać na to, co mówimy i robimy. Sęk w tym, że prowadzi to prostą drogą do paradoksu, nazwanego przez Bubblesa KoY „ulubionym pytaniem bez odpowiedzi”. Jeśli znaczne postępy mogą pociągać za sobą głęboko negatywne efekty i vice versa skąd mamy wiedzieć, jak postępować, żeby było dobrze? Wszystko to nie pomogło mi zdecydować, czy Maja opisywając rzeczywiste morderstwo, czy też Pokuta i Łowca węgorzy stanowiły dwie części złożonego utworu fabularnego.

ł

Kartofel kartofel

(Londyn, wrzesień 1998)

Bhalu, tu sale bahut bhola hai, ale z ciebie głupiec, powiedziałem sobie, zamykając księgarnię wcześniej nazajutrz rano i idąc na dworzec Lewes. Właśnie wysłałem faks do znajomego hurtownika książek w Bombaju z prośbą, by wyświadczył mi wielką przysługę i poszedł do redakcji gazety „Blitz”, jeśli jeszcze istnieje, i odszukał w jej archiwach wydania z końca kwietnia tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego dziewiątego roku. Kazałem mu szukać wszelkich doniesień o morderstwach. Nie znałem nazwiska ofiary, wiedziałem tylko, że mogła być znana pod dziwnym i dwuznacznym przydomkiem „Pan Love”.

Postanowiłem też odwiedzić Maję. Zaskoczę ją i kupię bilety do Royal Court. Prawdziwym powodem, rzecz jasna, było to, że chciałem ją wypytać o Pokutę i towarzyszący opowiadaniu osobliwy zapisek. Jeśli sama historia mnie zaintrygowała, to notka, opowiadająca o wędkarzu i bezczelnym duchu, wydała mi się całkowitą zagadką.

Byłem przekonany, że Pokuta jest fikcją, szkicem postaci do filmu, lecz Łowca węgorzy traktował ją jak rzeczywistość. Czy ta historia mogła być prawdziwa? W czasie, o którym opowiada, mieszkaliśmy w Bombaju. Nawet po naszej przeprowadzce do Ambona moi rodzice regularnie odwiedzali przyjaciół w Bombaju. Bardzo dobrze pamiętam Sybil. Razem z córką Phoebe rok w rok, trzy razy z rzędu, przyjeżdżała do nas do Ambona na lato. Phoebe była moją najlepszą przyjaciółką. Czy to możliwe, by moja matka lub Sybil albo ktoś z ich znajomych był zamieszany w morderstwo? Lub nawet do niego doprowadził? Z całą pewnością nie. Absurdalna myśl.

Kim był ów Pan Love, którego widmo, jak się zdaje, na

88

dobre zagnieździło się w mózgu mojej matki? Czemu postanowiła przedstawić wspomnienie o nim jako ducha? Zjawy świetnie pasują do ponurych elżbietańskich tragedii, takich jak Hamlet czy Makbet (to ocena Prosiaczka), ale jakie miejsce mogą zajmować w historii z połowy dwudziestego wieku, zwłaszcza takiej, która chce uchodzić za prawdziwą?

Był też oczywiście dobrze znany motyw karmiczny, znak firmowy praktycznie całej twórczości Mai. Zwykle podobały mi się jej wycieczki w zawile meandry przyczyn i skutków, lecz w tym przypadku moja sympatia była całkowicie po stronie podłej Noor. To że Maja obarczała się winą za śmierć Pana Love, było czystym absurdem. Czyżby on nie ponosił żadnej winy? A osoba, która

poszła z pistoletem do jego mieszkania i użyla go z zimną krwią? Nie — mania mojej matki na punkcie karmy była w pewnym sensie obsesją. Jakiś psychiatra z pewnością zdefiniował syndrom chorobowy ludzi, którzy wierzą, iż ponoszą odpowiedzialność za coś, z czym nie mają absolutnie żadnego związku.

Maja uzasadniała karmiczne wtręty w swoim dziele na dwa sposoby. Pierwszy był pochodną dialektyki. Mawiała, że jej doktryna osobistej odpowiedzialności podważa powszechnie stosowaną metodę nauczania i pojmowania historii. Asioka wygrał bitwę pod Kalinga. Wellington wygrał bitwę pod Water-loo. Tego się uczyliśmy. Lecz bitwy nie są wygrywane przez królów i generałów. Zwycięstwa to skomplikowane sumy indywidualnych czynów tysięcy żołnierzy, o których nikt nie pamięta. Maja pragnęła, by mali ludzie dostrzegli swoją ważność i upomnieli się o swe miejsce w historii.

Drugi powód był natury etycznej. Najdrobniejsze nawet uczynki mają daleko sięgające skutki, zatem powinniśmy uważać na to, co mówimy i robimy. Sęk w tym, że prowadzi to prostą drogą do paradoksu, nazwanego przez Bubblesa Roya „ulubionym pytaniem bez odpowiedzi”. Jeśli znaczne postęпки mogą pociągać za sobą głęboko negatywne efekty i vice versa, skąd mamy wiedzieć, jak postępować, żeby było dobrze? Wszystko to nie pomogło mi zdecydować, czy Maja opisała rzeczywiste morderstwo, czy też Pokuta i Łowca węgorzy stanowiły dwie części złożonego utworu fabularnego.

89

Przestudiowałem kartki kilkanaście razy. Czego szukałem? Wskazówek mówiących o stanie jej umysłu? Moja matka miała typowy indyjski charakter pisma. Kształt angielskich liter odzwierciedlał fakt, że jej pierwszymi językami były hindi i urdu, które wymagają, by przy pisaniu podnosić pióro między literami. To był charakter kogoś, kto nauczył się pisać, tak samo jak ja, z podstawką na pióro, którego stalówkę należało często zanurzać, przez co kciuk, palec wskazujący i środkowy były bez przerwy poplamione atramentem. Czasami ssalem te kleksy, bo atrament miał słonawy smak, a moje wargi siniały niczym usta umierającego. Charakter pisma oddaje nastroje. Jeśli piszę coś, w co nie wierzę, mój charakter słabnie i litery rozpierzchają się po całej kartce, próbując się schować. Litery pewne siebie kroczą spokojnie. Słowa w Łowcy węgorzy pędziły śmiało po stronach, bez pauzy na refleksję. Rękopisy Mai zwykle zawierają dziesiątki wykreśleń, śladów po jej poszukiwaniach właściwego słowa. W Łowcy węgorzy nie było ani jednego. Nie wymyślała, nie miotała się w poszukiwaniu pomysłów, opowiadała historię, co do której nie miała żadnych wątpliwości. Co więcej, pamiętałem popołudnie, o którym wspomniała; zapalono wtedy lampki huraganowe (linie elektryczne musiały zostać zerwane przez wichurę), a my słuchaliśmy jej opowieści. Nawet ją pamiętam. Była to „słodka wersja” Nafisy Jaan.

Przyszło mi do głowy coś jeszcze. Jeśli pisała fabułę, dlaczego miałaby wymyślać dwie kobiety z niemal identycznymi; imionami? Niepotrzebne zamieszanie. Opowiadanie nie na-; rzuca takiej potrzeby. Czemu nie miałyby nazwać ich Rachelą i Emmą? Ale nie, one nosiły imiona, które nadawało się dziewczętom w latach dwudziestych, takie jak te, które spotyka się w książkach Enid Blyton. Imogen i Margery albo Pat i Isobel. Czemu zrobiła z nich sobowtóry? Takiej potrzeby również nie było.

Potem uderzyło mnie, rzecz jasna, że opowieść może być jednocześnie i prawdziwa, i nieprawdziwa. Jest wiele sposobów przebrania prawdziwych postaci w maski, a pisarz może mieć najrozmaitsze motywy, by tak postąpić. Lekko zakamuflowane opisy znanych ludzi i wydarzeń są często publikowane w celach

90

propagandowych albo żeby wywołać sensację i zwiększyć sprzedaż.

Zamaskowaną prawdę można też wykorzystać, aby opowiedzieć prawdziwą historię, chroniąc jednocześnie zainteresowane osoby, albo po to, by zdemaskować niesprawiedliwość, która w inny sposób nie mogłaby zostać ujawniona. Można sobie na przykład wyobrazić scenariusz, w którym ingerencja kogoś bardzo wpływowego i potężnego mogłaby zdławić dziennikarskie śledztwo albo uciszyć je za pomocą sądowego orzeczenia o ochronie dóbr osobistych.

Lecz żeby wywołać jakikolwiek skutek, historię taką trzeba opublikować. A co Maja zrobiła z

Pokutą"? Nic. Po co pisać opowiadanie, nikomu go nie pokazywać, nigdzie nie wysyłać i nigdy o nim nie mówić? To była prawdziwa zagadka. Mogłem, jak przypuszczam, po prostu do niej zadzwonić, ale nie chciałem. Moja matka była dobra w wysyłaniu ludzi w pościg za dziką gęsią (i innym wodnym ptactwem), a poza tym należało jeszcze zbadać kwestię niedawnego aktu umierającego łabędzia.

Bhalu, powiedziałem sobie, nie masz żadnych pilnych spraw, których musisz dopilnować. Odkręciłem skuwkę pióra i dokonałem podsumowania tego, co wynikało, albo co można było wydedukować z Pokuty i jej dziwnego satelity:

Pan Love prowadził niedyskretny i niemądry romans z dwiema Angielkami, które były do siebie podobne jak bliźniaczki.

Każda z kobiet miała powód, by go nienawidzić.

Zginął z ręki nieznannej osoby.

Został oczerniony w gazecie „Blitz” (łatwe do sprawdzenia, jeśli mój łącznik wykonał zadanie).

Według Mai, jego śmierć miała jakiś związek z historią, którą opowiedziała nam pewnego popołudnia w Ambona.

Odbył się proces sądowy, w trakcie którego ktoś został skazany za morderstwo, gdyż morderca poszedł do więzienia.

Morderca został później uwolniony i pozwolono mu wyjechać z Indii, co wyraźnie wskazuje na to, że był — lub była — cudzoziemcem.

91

Zwolnienie zabójcy Pana Love uniemożliwiło trzymanie za kratkami ludzi, których spisek doprowadził do zamordowania Gandhiego.

To był scenariusz filmu. Musiało tak być.

A jeśli nie było...? Znów wróciło stare, niemiłe wrażenie opowieści wyciągających do siebie race, dotykających się, zlewających się w jedno, opowieści zatopionych w sobie nawzajem, wsuwających się jedna w drugą i wysuwających z siebie — ja, Bhalu, nie jako istota z krwi i kości, obdarzona życiem i prawem własnego wyboru, lecz złożona z opowieści i schematów stworzonych na długo przed moim urodzeniem. „Rodzimy się z wolną wolą, lecz jesteśmy zmuszeni ją zużywać, próbując odwrócić życia naszych poprzedników”. (Cytat z Aforyzmów zebranych Mai, rzecz jasna).

Maja powiedziała coś jeszcze tamtego wieczora, kilka dni temu. Nie mogła przestać mówić, na przemian unieruchamiając nas spojrzeniem ogromnych oczu, obramowanych proszkiem antymonowym.

„Ninu, pamiętasz jak Bhalu uderzył cię w nos kijem do krykieta? Miałaś dopiero trzy latka! Myślałam, że będę musiała zgłosić go na policję jako młodocianego przestępcę, ale ty kopnęłaś go w oko i dźgnęłaś ołówkiem w głowę. Sama umiałaś o sobie zadbać”.

Wydawało się, że chce przywołać każdą chwilę, którą wspólnie spędziliśmy, przeżyć ją na nowo razem z nami. „Suki, byłaś taką marzycielką, zawsze siedziałaś z nosem w książce, ale wiedziałam, że twoja głowa mocno tkwi na karku”.

„Bhalu, to o niego się martwiłam, powiedziała. Zawsze był głuptasem. Pewnego razu, gdy miał sześć lat, kolega waszego ojca, Garg — och, on był taki tępy, że nie można winić Bhalu za to, co się stało — zabrał go do US Club. Pamiętacie klub na południowym koniuszku Bombaju, z polem golfowym i morzem z trzech stron? Cóż, młodzi Gargowie nie byli zbyt mili, a Bhalu znudziło się łożenie za nimi... — Maja zawiesiła głos i przeszła mnie spojrzeniem. — Ale zamiast spokojnie to znosić, tak jak zrobiłoby każde dziecko, zostawał coraz bardziej w tyle, a po-

92

tern schował się za krzakiem. Upłynęło sporo czasu, nim zauważyli, że go nie ma, i podnieśli alarm. Ależ oni się martwili, jsfierówny teren, pełno węży, silne przypyły, sięgające daleko w głąb l^du — brzeg tworzyły tam ostre, czarne skały, pokryte rnsą krabów — ale nie znaleźli go, bo był już w połowie drogi do domu, na Cuffe Paradę”.

Pamiętam to: wlokłem się, nadąsany, wzdłuż osad rybaków z dużymi łodziami wciągniętymi na brzeg zatoki Back. Wróciwszy do domu, zastałem matkę przy ubieraniu się na jakąś imprezę, na którą dzieci nie były zaproszone. Wyglądała olśniewająco tego wieczoru, w jedwabnym zielonym

sari ze złotym wykończeniem i ze szmaragdowymi kolczykami w uszach. Mniej więcej godzinę później zadzwonił dzwonek u drzwi, otworzył ktoś ze służby. Usłyszałem głos Garga, pytającego o moją matkę. Potem Garg zauważył mnie i powiedział z nienawiścią w głosie, której nigdy nie zapomnę: „Ty niedobry, niedobry chłopcze!”.

„Tak, przyszedł, żeby zawiadomić mnie o twoim zniknięciu — ciągnęła Maja. — Szukali cię w ciemności z latarkami, wezwali nawet straż przybrzeżną, żeby przeszukała wybrzeże. Właśnie o to się martwię, Bhalu, że przejdiesz przez życie, uciekając...”.

„Jest i biedna Sybil, powiedziała mama, przeglądając stary album ze zdjęciami. Taka dobra, taka kochana, ale zawsze miała jakieś kłopoty...”.

„Spójrz, Bhalu, to ty i Phoebe. To zdjęcie zostało zrobione ostatniego lata, tuż przed ich powrotem do Anglii. Często się zastanawiam, co się stało z Sybil. Listy po prostu przestały przychodzić. Zawsze mówiłam, że ją odnajdę, kiedy przyjadę do Anglii, ale...”.

Jasnowłosa dziewczynka i chłopiec z ciemną czupryną. Staliśmy w ogrodzie w Ambona, na tle wysokiego grzbietu Bicchaudy, wznoszącego się za nami.

Zanim pociąg dojechał do Gatwick, prawie postanowiłem, że mimo wszystko nie wspomnę o Pokucie. Przypuśćmy, mówiłem sobie, nawet gdyby to było najwątłejsze i najbardziej

93

nieprawdopodobne przypuszczenie, że ta historia jest prawdziwa, to fakt, iż Maja nigdy o niej nie wspomniała, świadczy o tym, że chciała zapomnieć, a to nie jest odpowiedni moment na odgrzebywanie jakiegoś starego skandalu. Mimo to, rozumowałem, gdy pociąg przetaczał się z łoskotem przez bocznice na Clapham Junction, jeśli Maja nie zaprzestanie tej idiotycznej zabawy w umieranie, wówczas jej własna filozofia karmicznych opowieści będzie wymagała, żeby zbadać sprawę, i to choćby z jednego nadrzędnego powodu.

„Śmierć zwodzi, zadając cios. Bezpośredniość bólu maskuje głębszą stratę. Nasze wspomnienia przeżywają. Dopiero po jakimś czasie przychodzi świadomość, że wspomnienia tych, którzy odeszli, znikają na zawsze. Odchodzą, zabierając ze sobą historyjki z dzieciństwa, anegdoty, daty, wierszyki, fragmenty historii rodziny. Jednak te rzeczy nie powinny być zapomniane, gdyż to, co zdarzyło się w przeszłości, już kształtuje życie naszych nienarodzonych dzieci...”.

To jej własne słowa, z Pocięchy w niesławie. Przeszedłem przez plac do teatru Royal Court i kupiłem dwa bilety na wieczorne przedstawienie Via Dolorosa. Schowałem je do kieszeni, gotów machnąć nimi, gdy Maja otworzy drzwi.

Nacisnąłem dzwonek, spodziewając się, że podejdzie do domofonu i mnie wpuści. Odpowiedział obcy głos. Drzwi otworzyła pielęgniarka w białym fartuchu, tak samo zdenerwowana na mój widok, jak ja na jej. Maja miała atak. To się musiało stać w nocy. Nina znalazła ją w tym stanie około jedenastej rano i w panice zadzwoniła po pomoc. Przyjechał lekarz, matka teraz spała. Nina próbowała się do mnie dodzwonić. Musiała pojechać do domu, ale niebawem wróci. Pielęgniarka powiedziała, że strasznie jej przykro, że musi mi przekazywać takie wiadomości, a ja odparłem, że to nie jej wina. Z dziwnym dystansem, który bierze człowieka we władanie w tak ciężkich chwilach, zauważyłem, że pielęgniarka jest boso i że każdy z jej paznokci pomalowany jest na inny kolor. Zapytała, czy chcę posiedzieć przy matce, i zaproponowała, że zrobi herbaty. Kiedy ostatnio widziałem Maję, siedziała w łóżku i czytała.

94

Teraz miała igłę wbity w rękę i plastikową rurkę w nosie. Jej twarz była zmieniona, ciało uciekło od kości. Nic innego się nie zmieniło. Książki wciąż piętrzyły się koło jej łóżka. W klatce w kącie Khurram i Mumtaz poruszały główkami i gwizdały. Usiadłem.

Po jakimś czasie pielęgniarka skinieniem ręki wywołała mnie z pokoju i powiedziała:

„Przepraszam, ale nie wiedziałam, czy powinnam to panu dawać. Pańska matka przebudziła się na chwilę po południu. Chciała napisać panu kartkę. Ona jest... Mam nadzieję, że to pana nie zdenerwuje”.

Podawała mi złożoną kartkę papieru, którego Maja używała do pisania. Tekst brzmiał: „Mójmój mójdrogdrodrod mójmójmój drodrodrogi mój drogiogiogi Bhalu tak mi tak przyprzykro żzenie żeenie momo mmogę cięcie zobaczyć...”.

Gdy wróciłem do pokoju, moja matka leżała z otwartymi oczyma. Spojrzała na mnie, uśmiechnęła się i powiedziała: „Bhalu-alu-alu”, co po przetłumaczeniu na hindi oznaczałoby „Bhalu-kartofel-kartofel”.

>

a* o

p

o

N

ty 1958)

v, ciasny^ шф<i wije się seną stomycb. ogam ów%b0k małej świątyni Hanma* ' ^yt Lsze leżakwiaty, zostawiane na ^ -e pI «ów którzy przez cały dzień m° ^u i eżdżą na Pierwszym biegu. Na 3^J c n£ asie langury, chrupiąc owoce i spogl* ^ ^id(слтаа. £IC(IY dotrzesz na szczyt, c° :cików ,es'CQZieSięciokilometrowa plama III ^0ffa< lemiermych lasów, połacie równiny) prz? kren wznosi sie. jeszcze wyżej, &\1\$R na me ksztawY' niebo wygląda jak kaPelu zclistych kopułach skał.

• t^aoósm vsiac dziewięćset pięćdziesiąt& n
właśnie, że odchodzi ze sł>^ „, emeryturą. Chciał, żebyśmy P * mnogo mlasta mojej matki, L**00 „,«a ?rawy róż, lecz Maja zareagow cuchów hysterii. я «
и^.^ . Jestem pisat^a. r«ta] są studia filmowe1.^1 su^a Przeprowadź^ » można hodować Ю* '
E*6*. ^eźbiarz ***£ fme-Czemu nie m«U°

Książęcy Nos

(Ambona Hills, luty 1958)

Droga na wzgórze wije się serią stromych, ciasnych jak agrafka zakrętów obok małej świątyni Hanumana, boga małpy, przed którą zawsze leżą kwiaty, zostawiane na wszelki wypadek przez kierowców, którzy przez cały dzień mozolnie pną się w górę i zjeżdżają na pierwszym biegu. Na jej dachu siedzą długoogoniaste langury, chrapiąc owoce i spoglądając na świat mądrymi oczyma. Kiedy dotrzesz na szczyt, co za widok. Od zachodu sześćdziesięciokilometrowa plama zagajników kokosowych, plemiennych lasów, połacie równiny i mokradła. Od wschodu teren wznosi się jeszcze wyżej, góry przybierają fantastyczne kształty, niebo wygląda jak kapelusz na olbrzymich, strzelistych kopułach skał.

Był początek tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego ósmego roku. Ojciec oznajmił właśnie, że odchodzi ze służby w marynarce na wcześniejszą emeryturę. Chciał, żebyśmy przeprowadzili się do rodzinnego miasta mojej matki, Lucknow, które miało idealny klimat do uprawy róż, lecz Maja zareagowała jednym ze swych słynnych wybuchów hysterii.

„Czyś ty oszalał?, wrzasnęła. Jestem pisarką, a nie maszyną do rozrzucania gnoju! Tutaj są studia filmowe! Moi przyjaciele! Absolutnie nie zgadzam się na przeprowadzkę!”

„Ale w Bombaju nie można hodować róż”, zaprotestował słabo kapitan Sahib.

Jeden z przyjaciół rodziców, rzeźbiarz nazwiskiem Mohan Apte, podsunął im rozwiązanie. Czemu nie mieliby zamieszkać w Ambona Hills? Wzgórze znajdują się sześć godzin jazdy od

99

Bombaju, pociągiem jeszcze mniej, a powietrze na wysokości prawie tysiąca trzystu metrów jest czyste i suche. Różom będzie tam bardzo dobrze. To ciche i spokojne miejsce, sprzyjające refleksji i pisaniu.

„Nie będziesz samotna, zapewnił Mohan moją matkę. Przez cały tydzień będziesz ciężko pracowała, moja droga, a w weekendy będą cię odwiedzali przyjaciele. Będą się ustawiali w kolejce po zaproszenia. Wiesz, jak wszyscy rozpaczliwie pragną uciec z miasta, zwłaszcza w parną pogodę, a na wzgórzach wieczory są cudownie chłodne. Będziesz urządziła przyjęcia, wieczorki, muzyczne weekendy. A dzieciom będzie tam wspaniale”.

Mohan miał w tej okolicy przyjaciela, który obiecał, że rozejrzy się za odpowiednim domem do wynajęcia.

Ustalono, że ojciec pojedzie wcześniej i wszystko dla nas przygotowuje. Wyruszył naszym starym

humberem, w konwoju z dwiema wojskowymi ciężarówkami wiozącymi nasze meble i inne rzeczy. Pojechała z nim moja dwuletnia siostrzyczka Suki i nasza ayah, Shashi. Trudno było oczekiwać od Mai, że będzie pilnowała pakowania z raczkującym maluchem u stóp. „Poza tym, dodała, mała potrzebuje niani. Ktoś musi ją karmić i zająć się tym drugim”.

Mieszkanie, opróżnione z naszych znajomych rzeczy, wydawało się puste. Nina i ja, chichocząc z podniecenia, przez cały dzień ślizgaliśmy się po korytarzach, chętnie położyliśmy się spać i wstaliśmy z wróblami; potem wisieliśmy na balkonie, wyglądając humbera z nowym kierowcą ojca, Babu, który miał opinię shikari, myśliwego. I rzeczywiście, kiedy przyjechał, okazało się, że ma wasy jak myśliwy, a ręce, którymi wkładał nasze walizki na samochód, były wystarczająco umięśnione, by mogły się siłować z pytonami.

Wreszcie przeprowadzaliśmy się, wyjeżdżaliśmy z miasta, opuszczaliśmy dom, który zatrzymał w sobie moje pierwsze wspomnienia. Żegnaj, Pallonji Mansion, pełen woni gotowania i śmiechu służby, żegnaj, pani Shroff w mieszkaniu nad nami, krzycząca na swoją kucharkę, razem ze swym pieskiem Cutty i bezpańskimi kotami, które pies uwielbiał gonić. Żegnaj, chore drzewko papai na podwórzu, bananowcu przy bramie i chow-

100

Udarze Zardka Khanie w długiej koszuli Pathan i piżamach. Żegnaj sprzedawco materacy, chodzący drogą z rozdzierającą bawełnianą wypełnienie harfą, brzdęk, brzdęk; żegnajcie sprzedawcy orzeszków przy Cuffe Parade, żegnajcie papierowe rożki z gorącymi pieczonymi orzeszkami, żegnaj pachnący dymie i węgla drzewnego, żegnaj Cuffe Parade, żegnaj morską bryzo i zatoko Back, w której rybacy zarzucają sieci w brunatnej wodzie między mangrowcami, i żegnajcie długie mola, wybiegające w morze wśród dusznej woni soli i gnijącego bagna. Babu był namiętym wielbicielem kina, i gdy jechaliśmy ulicami Bombaju, miał coś do powiedzenia o każdym z filmów reklamowanych na plakatach.

„No, Bhalu, kto jest twoją ulubioną gwiazdą? Niech zgadnę, czy to aby nie...?”

Jasne! Któż by inny? Najśmieszniejszy z komików. W swoim nowym filmie, CID, zaśpiewał taką chwytliwą piosenkę, że wszyscy ją nucili.

Ai dii hai mushkil, jeena yahaan

Jara hatt ke, jara bach ke, yeh hai Bombay merijaan.

Och serce, tak trudno tu żyć, wcale nie jak w seraju,

Jakoś biedować, jakoś sobie radzić, o moje życie, o mój

Bombaju!

Kahin buildings, kahin traamen, kahin motor, kahin mili, Milta hai yahan sabkuchh ek milta nahin dii Gdzie spojrzeć gmachy, motory, fabryki, tramwaje, Wszystko znajdziesz w tym mieście, tylko mu serca nie staje.

Babu roześmiał się. „Zapomnij o tej piosence. Już nie jesteś Bombay-ka-babu. Teraz jesteś Atropa-ka-babu tak jak ja”.

Było południe, kiedy zostawiliśmy za sobą mokradła na północnym skraju miasta. „Chcę, żebyś miał oczy otwarte, rzekła mama. — Powiedz mi, jeśli zauważysz coś niezwykłego”.

Nie wiedziałem, co ma na myśli. Mnie wszystko wydawało S1? niezwykle, magiczne, nawet najprostsze rzeczy, takie jak

101

furmanki ciągnięte przez woły. W mieście przewoziły beły materiału i cysterny z wodą, lecz tutaj ich koła skrzypiały pod ładunkami siana, drewna i liści. Kobiety wędrujące drogą nosiły sari w taki sam sposób, jak sprzedawczynie ryb przy Sassoon Dock, przewiązane na dole na krzyż, lecz na głowach miały najdziwniejsze rzeczy: konar drzewa, zeschnięte krowie placki, koła od roweru... Późnym popołudniem ukazały się pierwsze wysokie wzgórza, ich ciemne zarysy wyłaniały się z mgiełki zasnuwającej wschodni horyzont.

Zaczeliliśmy się wspinać, równina została za nami. Po ciasnych jak agrafka zakrętach, wijących się nad krawędzią przepaści. Mijając leżące w dole ciężarówki, których zardzewiałe wraki świadczyły o tym, że spoczywają tam od dawna. Obok świątyni Hanumana z małpami. Az na szczyt z zapierającym dech w piersi widokiem, gdzie mali chłopcy sprzedawali słodczyce, jakich jeszcze

nigdy nie jedliśmy, rodzaj toffi nadziewanych orzechami. Nazywali je chikkee. Babu powiedział, że ta okolica z nich słynie. „Ale najlepsze są w Ambona”.

Wiedzieliśmy, że niedługo skręcimy w stronę Ambona, kiedy na południu pojawił się wierzchołek wyglądający, jakby chciał rzucić się w powietrze.

„Spójrzcie na tę górę, dzieci, powiedziała mama, odwracając się na przednim fotelu humbera. — Z czym wam się kojarzy?”.

„To jest królik”, odparła Nina. Miała pięć lat.

„Nie, to nie królik, to okręt, stwierdziłem. To HMS «Hood»”.

Szczyt wyglądał jak artystyczne wyobrażenie zatonięcia; „Hooda”, zamieszczone w mojej książce z okrętami; po szczęśliwym trafieniu przez salwę z „Bismarcka” rufa krążownika pierwsza poszła na dno, a jego dziób sterczał w niebo. Miałem osiem lat, a ponieważ mój ojciec był marynarzem, wiedziałem wszystko o okrętach wojennych.

„To nos, oznajmiła mama. Gigantyczny nos”.

Powiedziała nam, że nazwa szczytu pochodzi od nazwiska* brytyjskiego generała z wielkim nochem. Jakies sto pięćdziesiąt lat temu walczył w tych górach z Mahrattami.

102

Nazywa się Książęcy Nos, oznajmiła. Chociaż księciem ów wiek został dopiero później. Po tym, jak wygrał bitwę w miejscu zwanym Waterloo”.

W miarę jak przejeżdżaliśmy obok góry, jej profil się zmieniał i zobaczyłem, skąd wzięła się jej nazwa. Wyobraźcie sobie olbrzyma, martwego dla świata, z głową odrzuconą w tył, w pozycji, która aż zachęca, żeby połechtać trawką nozdrza. Grzbiet nosa wyrastał z lasu i biegł aż do przeciętego na pół wierzchołka, na którym rosło kilka niewielkich drzew. Ściana nozdrza opadała w dół setkami metrów nagiej skały i znikła z pola widzenia. Nie odrywałem oczu od góry. Jej kształt zmieniał się z każdym kolejnym zakrętem drogi. Raz był kapturem kobry, potem zwykłym stożkiem, by wreszcie przekształcić się w niedźwiedzia i zniknąć za bliższymi wzgórzami. Kiedy skręcaliśmy w stronę Ambona, cienie się wydłużyły, i skośne tylne szyby samochodu zabarwiły się blaskiem zachodzącego słońca.

Sunęliśmy między kształtami gór, które zaczynały się zacierać i niknąć w mroku, przepłynęliśmy wśród świateł miasteczka i bazaru

gdzie mężczyzna siedział ze skrzyżowanymi nogami za stosami słodczy
din-don zaśpiewały senne dzwony

Gdy się zbudziłem, jechaliśmy po długiej grobli, czymś w rodzaju kamiennego mostu, a po obu stronach nie było nic, tylko ciemność.

„Ile jeszcze?”, zapytał senny głos mamy.

„Jakies piętnaście kilometrów, proszę pani, odparł kierowca, ugrzeczniony w obecności swojej nowej memsahib. Przejechaliśmy przez Ambona, a teraz okrążymy jezioro i wjedziemy na wzgórze. Ostatnie cztery kilometry, droga jest nierówna”.

Przed nami, na tle rozświetlonego nieba rysował się wysoki czarny grzbiet, a kryjący się za nim księżyc ostrzegał swym blaskiem, że za chwilę wjeździe.

> „To wzgórze naprzeciwko to Kalighat, mówił Babu. Nazwa pochodzi od małej kapliczki na szczycie. Powiadają, że dzieją

103

się tam przedziwne rzeczy. Hej, Bhalu, lubisz historie o duchach?”.

„Proszę ich nie straszyć”, powiedziała mama. „Ja się wcale nie boję”, oznajmiłem. Duchy ciekawiły mnie szalenie.

„Miejscowa nazwa brzmi Bicchauda, nie pytaj, co znaczy, bo to nie jest w języku marathi, w każdym razie coś związanego z wsią. W zeszłym roku, mniej więcej o tej porze, pantera zabiła tam drwała. Zbierał miód z ula, a pantera wpadła na ten sam pomysł. Wasz dom jest po drugiej stronie, ale nie bójcie się, pantery nie będą was niepokoić, chyba że macie psa. Uwielbiają psy, widać mają ku temu jakiś powód.

Droga na końcu grobli zaczęła skręcać. „Będą czekali na panią z kolacją, powiedział Babu do mamy, ale myślę, że dzieci są zbyt zmęczone”. Odwrócił się do nas. „Hej, Bhalu! Hej, Nina! Nie

zasypiajcie. Chcecie zobaczyć coś niezwykłego?"

Gwałtownym wirażem okrążył wysuniętą odnogę podnóża góry. „Spójrzcie!"

Księżyc wisiał nad szeroko rozlanym jeziorem, którego krańce rozplywały się w ciemności.

„Proszę się zatrzymać!", rozkazała mama. Babu zjechał na pobocze, zgasił silnik i światła.

Wysiedliśmy. Jezioro lśniło pod księżycem. Za nim następne góry wznosiły do nieba swe ciemne kształty. Oprócz srebrzystego blasku wody nie było widać żadnego innego światła. Krajobraz spowiła miękkość nocy, pełna cichych, nieznanych dźwięków. Świergoty. Nawoływania, które mogły być głosami ptaków. Wyczuwałem bliską obecności drzew. Ziemia i powietrze tchnęły wonią, której nigdy nie zapomnę, i która po dziś dzień napelnia mnie dreszczem podniecenia i smutkiem, a także pragnieniem, by tam wrócić.

Wkrótce potem odbiliśmy z drogi i zaczęliśmy telepać się po wyboistym trakcie, o którym wspomniał wcześniej Babu. W końcu zajechaliśmy przed dom, w którego oknach jarzyło się brzoskwiniowe światło, blednące w jednym miejscu i rozbłyskujące w innym — to służący przechodzili z pokoju do pokoju z lampkami oliwnymi, bo prądu jeszcze nie podłączy-

104

no. Przywitał nas ojciec wśród sterty kufrów, paczek i mebli mieszkania w Bombaju. Zauważyłem maszynę do pisania Mai, przycupniętą na pudle z książkami. Biegaliśmy z Niną z jednego pokoju do drugiego tego nowego, nieznanego domu. Tak, jest dużo do obejrzenia, rzekł ojciec, łapiąc Ninę i ściskając ją. Ale to musi poczekać, bo teraz zjecie kolację i pójdziecie prosto do łóżek".

Rankiem wszystko wyglądało inaczej. Na zewnątrz unosiły się tumany mgły, zasłaniając wszystko. Poznawaliśmy dom. Był to duży bungalow ze stromym, krytym gontem dachem i werandą dookoła. Było tam wiele sypialni — dom został zbudowany dla dużej rodziny. „Będziemy ich wszystkich potrzebowali, kiedy zjadą do nas przyjaciele", stwierdziła Maja. Miała dużo pracy przy kierowaniu służbą i ustawianiu mebli. Po radzie z ojcem wybrała narożny pokój; kazała wnieść tam swoje biurko oraz długi palisandrowy stół z szufladami i rzeźbionymi nogami, na którym postawiono maszynę. To była jej pracownia. Tam pisała, pieczołowicie wycinała i gromadziła recenzje Badnaami ka dilaasa, tam napisała Srebrnego Ganesza oraz gorzką i słodką wersję Nafisy Jaan. Nasz dom miał zadaszony podwórko, na którym rosły papaje, bananowce, krzewy limony, drzewka guawy z gładkimi szarymi pniami i drzewo frangipani. W przedniej części znajdowała się rybna sadzawka z fontanną, cherubinem, którego skrzydła poczerniały od pleśni. Na tyłach był ogródek warzywny, gdzie ciężko pracował siedzący w kucki ogrodnik, przekopując ziemię rydlem. Na mój widok przestał, uśmiechnął się, pokazując szczerbate zęby, i odezwał się do mnie w marathi. Ja na to, że nie rozumiem, a on w okropnym hindi powiedział: „Ty chłopak. Ja mieć chłopak taki wiek jak ty".

Nieco wyżej na stoku, gdzie wciąż wisiała mgła, ojciec planował wykarczować kawałek ziemi i urządzić swoją szkółkę. Tam chciał wyhodować kwiaty, które uczynią go sławnym. Ziemia była żyzna, czerwona, a w powietrzu wisiał zapach, który poczułem wczoraj wieczorem, łagodny i czysty, z leciutką domieszką woni siarki i ziół. Chciałem od razu zacząć oczysz-

105

czać grunt, lecz ojciec powiedział, że bym nie ważył się przewracać kamieni. Na zboczach roilo się od waży. Po godzinie mgła zaczęła rzednąć i zamieniła się w jasną, perlistą poświatą, która z wolna nasycala się złotem. Potem rozplynęła się całkowicie i zobaczyłem miejsce, w którym zamieszkaliśmy.

Nasz dom przycupnął w połowie doliny, otoczonej z trzech stron wzgórzami, a z czwartej, od południa, kończącej się głęboką przepaścią, ogromnym morzem powietrza. W oddali połyskiwał kawałeczek jeziora, które widzieliśmy wczoraj, a za nim, daleko na północnym zachodzie, ciemniała rozmazana plama; ojciec powiedział, że to Księżęcy Nos, lecz dziwnie zmieniony pod tym kątem. Nad nami strzelało w jasne, błękitne niebo zbocze Kalighatu, gęste od drzew.

Natychmiast zapomniałem o mieście. Od razu, od pierwszego dnia wiedziałem, że to miejsce, z jego ziemią i powietrzem, ptakami i zwierzętami oraz przyjaznymi kaleczącymi hindi ludźmi jest moim prawdziwym przeznaczonym mi domem.

Każdy pragnie poczucia, że ma jakieś miejsce na ziemi, które jest jego i tylko jego. To było moje

miejsce. Chociaż ziemia, woda ani stworzenia nigdy do mnie nie należały, wiedziałem, że to jest moje prawdziwe miejsce. I nadal to wiem, po tylu latach. Wciąż wspominam trzy lata spędzone w Ambona jako najlepszy okres mojego życia. Każdy z nas ma prawdziwą, wewnętrzną istotę, swoją esencję. Ilekroć wyobrażam sobie prawdziwą istotę Bhalu, jest nią zawsze tamten ośmioletni chłopiec.

Bicchauda

(Ambona Hills, luty-styczeń 1958)

Dhondu, ogrodnik, wszystkie prace wykonywał siedząc w kuki. Jego duże bosc stopy były szeroko rozstawione. Kiedy chciał się przesunąć, przechylał się na jeden bok, podnosił drugą nogą i posuwał ją do przodu. Przy każdym kroku jego ciało robiło pół obrotu w przeciwną stronę. W ten sposób brodził wytrwale wśród warzyw. Dhondu zawsze uśmiechał się na mój widok i przywoływał mnie, krzyjąc: „Ej-on-rej!”. Tak to w każdym razie brzmiało w moich nastawionych na odbiór hindi uszach. Przekopywał czerwoną ziemię małą motyczką, wrzucając i mieszając krowi gnój, który znosił w płaskich, suchych plackach i kruszył na ziemi. Patrzyłem, jak kopie dolki i umieszcza w nich sadzonki pomidorów z korzeniami oblepionymi czarną ziemią i duże nasiona melonów. Wykopał sieć kanałów i położył wąż w najwyższym miejscu. Woda sunęła w dół, niosąc kawałki trawy i kurz, a później rozplywała się po grządkach, które momentalnie ciemniały. Nasz dom czerpał wodę z dużego zbiornika wyciętego w skale wysoko na wzgórzu. Woda spływała do kranu w kuchni; trzymaliśmy ją w cebrach i naczyniach. Gotowało się ją do picia i chłodziło w lodówce; mama mówiła, że piła gorszą. Ciśnienie było za słabe do węża, więc ojciec, lękając się o swoje róże, zainstalował pompę na olej, która pracowała przez dwie godziny każdego ranka. Sam pilnował sadzenia i nawożenia róż, ale to Dhondu je podlewał. Podziwiałem jego zręczność w posługiwaniu się wężem. Naciskając koniec kciukiem, umiał zrobić zraszacz i drobnymi ruchami modulować kierunek strumienia, jego gęstość i siłę. Kiedy go lepiej poznałem, spryskał mnie.

107

Dhondu śpiewał przy pracy, mamrocąc słowa, których nie rozumiałem. Poprosiłem naszego kucharza, żeby mi przetłumaczył, lecz kucharz Jellija, który przyjechał z ojcem z Bombaju i uważał się za nieco lepszego od tubylców, powiedział: „To jakieś bzdury, bo czego się można spodziewać po kimś takim?”.

jesteś zasadzona — słyszysz? — ciach do ziemi,

wchodzisz w ziemię i zapuszczasz korzenie

że co? dobrze słyszałem? hej!

czy ci nie wykopałem ładnej dziurki,

czy nie dałem wody do picia?

tylko tyle mogę zrobić,

rosnąć będziesz musiała sama

Zapytałem Dhondu, co to za piosenka, z jakiego filmu pochodzi. Powiedział mi — a właściwie sam to w końcu pojąłem — że piosenka nie jest z żadnego filmu, że ogrodnik śpiewa, co mu przychodzi do głowy. Tak czy owak, jego rośliny rosły szybko i były mocne. Moim pierwszym przyjacielem w Ambona był jego syn.

Przeważnie Dhondu jadł obiad z naszej kuchni — zabierał] posiłek na dwór i spożywał go, siedząc w cieniu, pod drzewem — lecz pewnego dnia oznajmił, że jest specjalna pudźai i jego żona przysłała obiad z wioski. „Dzisiaj poznasz mojego syna”, obiecał. I rzeczywiście, w południe od strony wioski nadszedł chłopiec z zawiniątkiem. Dhondu zawołał mnie. „Bhalu, ej-on-rej! To mój kurczak”, powiedział w okropnym hindi, stojąc z dłońmi na ramionach chłopaka niczym alegoria rodzicielskiej dumy.

„To Jula. Jula, to jest Bhalu”.

Zmierzyliśmy się wzrokiem. Chłopak był trochę mniej szyi ode mnie, a jego włosy pojaśniały od słońca prawie na blond. Miał na sobie postrzępione szorty khaki. Patrzyliśmy obaj, jak Dhondu rozwiązuje tobolek. W środku, zawinięte w liście, były dwa ciapaty, kilka marynowanych owoców mango, zielone

1 pudźa — medytacja śpiewana po tybetańsku

chiH> pół cebuli i plaster czerwonej chałwy. Dhondu rozwinął liście i wzdychając z zadowolenia, zasiadł do posiłku.

Z początku nie umiałem wypowiedzieć poprawnie imienia chłopca.

— Jula.

— Nie. Jula!

— Jura.

— Jula!

— Juda.

— Nie! Jula!

— Julda.

— Jula!

W marathi istnieje specyficzna głoska „rldl”, którą zapisuje się znakiem przypominającym przewróconą na bok ósemkę. Aby ją wymówić, język musi się cofnąć w głąb ust, utworzyć kaptur jak kobra, a potem skoczyć leciutko do przodu.

— Czemu tata nazwał cię „kurczak”?

— Nie kurczak, tylko muraga! Chłopiec, murW/aga!

Jula i ja wnet odkryliśmy, że jeśli on nie próbuje mówić w hindi, a ja w marathi, rozumiemy się o wiele lepiej.

— Zagramy w coś? — spytałem.

— Pewnie. A w co chcesz zagrać?

— W chhupan-chhupail

— Co to takiego? Nie znam tej gry. — Zauważyłem, że Jula lekko sepleni.

Wyjaśniłem podstawowe zasady gry w chowanego, a Jula krzyknął:

— Ach! To jest lapandav\ — Po chwili goniliśmy się, oblewając się wodą z węża.

Kucharz mnie zbeształ, kiedy przyszedłem, ociekając wodą, i stwierdził, że nie powinienem się spoufalać z Julą. „Kiedy pójdziesz do szkoły, będziesz mógł się zaprzyjaźnić z odpowiednimi kolegami”.

Jula nie chodził do szkoły. Jego stałym zajęciem było pilnowanie wioskowych krów, wypuszczanych na wzgórze, po których wędrowały i się pasły. Czasem spotykałem go na stoku Bicchaudy albo Dagali, następnej góry na drodze do wioski. Jula znał wiele sposobów, żeby się zabawić, i nauczył mnie

wspaniałej gry w gullidanda, w którą gra się dwoma kijami, i która jest w zasadzie odmianą golfa, tyle że o parę tysięcy lat starszą. Nasze gulli miało mniej więcej osiem centymetrów długości i było zaostrome z obu końców. Dandą, czyli grubym kijem długości około pięćdziesięciu centymetrów, waliliśmy w jeden koniec gulli, podrzucając je w powietrze, a potem uderzaliśmy z całej siły jeszcze raz; długość uderzenia mierzyło się w dandach. Czasem wybieraliśmy jakiś odległy cel i sprawdzaliśmy, kto dotrze do niego za pomocą mniejszej liczby uderzeń. Czasem graliśmy z Julą kulki, zaginając środkowy palec ku nadgarstkowi, jak w średniowiecznej kata-pulcie, a potem go puszczając. Jula używał do tego małych, okrągłych kamyków i zdziwił się na widok szklanych kulek z wirującym środkiem. Jego zabawki były tak proste, jak to tylko możliwe.

Pokazał mi, jak wydrzeć otwór w liściu mango i przypiąć go do nosa, żeby wciągnąć zapach.

„Poczekaj, aż przyjdą deszcze, rzekł z powagą. Wtedy będzie' mango, czary, muzza”.

Później pokazał mi krzewy o błyszczących liściach, pokryte białymi gwiazdkami. „Nazywają się kawanda, tak samo jak nasza wioska”. Obiecał mi, że kwiaty zmieniają się w jagody, które będą nam bardzo smakować... kiedy przyjdą deszcze. 1

Pewnego dnia Jula zabrał mnie ze sobą do domu — niskiej chaty przesiąkniętej wonią dymu i bydła, z krową spętaną przy wejściu. Dom Juli zbudowany był z wypalanej gliny. Przykrywała go strzecha ogacona dodatkową warstwą palmowych liści, żeby lepiej zatrzymywała deszcz. Wnętrze było zadymione, suche i ciemne. Kurczęta wchodziły do środka i wychodziły. Rodzina Juli mieszkała, jadła i spała w tej jednej dużej izbie, a jego matka gotowała na glinianym palenisku w

kącie, wrzucając do ognia pod garnkiem gałązki i kawałki suszonych krowich placzków. Machała jednocześnie liściem, rozpędzając dym.

„Zobacz, kto do nas przyszedł z dużego domu”, powiedział Jula.

Jego matka złożyła ręce i zapytała, czy chce mleka. Powiel działem, że tak. Miało słony smak, zalatujący dymem z drewna,

110

ale było dobre. Pobyt w domu Juli nie wydał mi się tak dziwny, jak mógłby się wydać, gdyż krowa, strzecha i woń dymu z krowich odchodów przypominały mi dom dziadka w Kum-harawie.

Szkoła w Ambona bardzo różniła się od szkoły katedralnej w Bombaju, gdzie uczniowie byli synami lekarzy, adwokatów, biznesmenów i księgowych. Szkoła KG V była dla wszystkich. (KG V oznaczało króla Jerzego V — jego pomnik, kilkanaście lat po uzyskaniu niepodległości, wciąż stał na zakurczonym placu przed wielobranżowym sklepem Patrawalla — lecz my nazywaliśmy szkołę Kej Dzi Wi). Zacząłem się uczyć marathi i zauważyłem, że jest to język całkiem podobny do hindi. Wiele słów było takich samych, tylko trzeba było inaczej się nimi bawić. Gdy przywykłem już do dziwnego akcentu i głoski „rldl”, zarówno piosenki Dhondy, jak szwargotanie Juli stały się łatwe do zrozumienia. Rzecz jasna Julę widywałem tylko w weekendy, a on składał mi wtedy raporty o najnowszych wydarzeniach w Karvandzie.

„Gokul powiedział, że zgubiłem jego krowę, i strasznie się pieklił. Głupie łajno, wiedziałem, gdzie jest. To była Pandri, ta biała. Zawsze wchodzi do zagajnika w połowie drogi... Mama kazała mi nabierać zielonych karvandasów na marynatę. Zjadłem ich tyle, że brzuch mnie rozbolał, a potem dostałem burę...”. Można było pomyśleć, że biedak ciągle pakuje się w tarapaty.

Zacząłem używać niektórych powiedzonek Juli i napytałem siebie biedy. Pewnego razu Shashi, nasza ayah, przybiegła do mojej matki ze łzami w oczach, mówiąc, że ją obraziłem.

— Jak? — zapytała Maja.

— Nie mogę powiedzieć, proszę pani — odparła dziewczyna. Wydawała mi się taka stara i dorosła, ale pewnie miała me więcej niż dwadzieścia lat.

Więc powiedziałem mamie:

Nie chciałem jeść siostrdupczającej zupy. ~ Co takiego? — Bahinchod.

Ja to załatwię—powiedziała mama do niani, która wciąż

111

była w szoku. Z twarzą mojej matki działo się coś niedobrego, bo drgała w jednym miejscu, a policzki to podnosiły się, to opadały.

— Na przyszłość — rzekła — ucz się przekleństw ode mnie. W ten sposób, używając ich, będziesz przynajmniej dokładnie wiedział, co znaczą.

Wkrótce mieliśmy z Julą nowego kolegę, anglohinduskiego chłopca imieniem Ben, którego poznałem w szkole. Jego ojciec był naczelnikiem stacji, więc czasem pozwalał nam siadać przy skrzyni i patrzeć, jak sygnaliści poruszają wielkimi dźwigniami, które przestawiają pociągi z jednego toru na drugi. Pociągi toczyły się ciężko w obłokach pary i dymu, rozsiewając między szynami podskakujące, rozżarzone węgle. „Widziałeś?”, zapytał Ben. Tata mówi, że to tańczące diabły”.

Ben był o rok starszy ode mnie i od Juli. Umiał jeździć na rowerze i mógł pożyczyć rower ojca, co napawało go wielką dumą. Był to stary brytyjski hercules, z masywną stalową ramą. Ben miał za krótkie nogi, żeby sięgnąć do pedałów z siedzenia, więc jeździł stojąc, z jedną nogą przełożoną przez ramę. Ja siadałem na ramie i w ten sposób urządzaliśmy bandyckie napady na rynek owocowy w Ambona, wychylając się i porywając guawę albo pomarańczę z czubka pieczołowicie ustawionej piramidy.

„Hej, Bhalu, byłeś kiedyś na rybach? O rany, ale będzie] zabawa, kiedy zaczną się deszcze”.

Znowu te deszcze. Powiedziałem Benowi, co Jula mówi» o mango, czarach i muzza, co oznacza „zabawę”, i zaprosiłem go do naszego domu. Potem przyjeżdżał w większość weekendów;

włoczyliśmy się po wzgórzach, szukając Juli, i zapuszczaliśmy się w dżunglę, udając, że polujemy na dzikie zwierzęta. Mniej więcej trzy kilometry od naszego domu było tysiącmetrowe urwisko, z którego, jak mówiono, podczas nieostrożnej pogoni za jeleniem spadł tygrys i się zabił.

Podczołgiwaliśmy się do krawędzi, kładliśmy na brzuchach i spoglądaliśmy w przepaść, aż kręciło nam się w głowach. Mimo że leżaliśmy przyciśnięty całym ciałem do ciepłej skały, zawsze zdawało mi

mi

112

się, że moje stopy unoszą się w górę i że za chwilę zsunę się z krawędzi. To miejsce nazywało się Tygrysi Skok.

W owych czasach tygrysów już tam nie było, lecz wzgórze porośnięte było lasem — drzewami sal, tekami, mango i bambusem — w którym roilo się od zwierząt. Były tam wilki, dzikie świnie, jelenie i, oczywiście, pantery polujące na psy.

Wiedzieliśmy, że Babu lubi polować, lecz niebawem dowiedzieliśmy się, że słynie też w okolicy jako shikari. My, dzieci, uwielbialiśmy jego opowieści. Pewnego wieczoru na leśnej ścieżce na wysokości męskiej głowy zobaczył w ciemności dwoje zielonych oczu.

„Z początku, oczywiście, pomyślałem, że to duch, mówił. Ale potem spostrzegłem, że oczy są za blisko siebie”.

Wszyscy pokiwali głowami. To było jasne.

„Cóż, podniosłem strzelbę i wypaliłem, ciągnął Babu. Rozległ się przerażający wrzask i tuż przede mną spadł ogromny wąż”.

Wiedzieliśmy, że opowieść jest prawdziwa, bo widzieliśmy tego węża. Babu przywiózł go do domu humberem mojego ojca. Otworzył bagażnik, a w środku leżał brązowo-czarny pyton, ułożony w dwa zwoje, z głową jak pies, przedziurawioną w miejscu, gdzie trafiła kula Babu. Wąż wydzieliał stęchły zapach. Mama mówiła coś o obdarciu go ze skóry i zrobieniu z niej torebki i butów. Jeszcze przez wiele tygodni wyobrażałem sobie, że czuję w samochodzie jego woń.

Dowiedziawszy się, że lubimy myszkować po lesie, Babu udzielił nam kilku cennych rad. „Jeśli jesteście wśród drzew, powiedział, i jeśli zbliża się wieczór albo jeśli podejdziecie do miejsca, które jest głęboko w cieniu, nadstawiajcie uszu, a jeśli usłyszycie długi, niski świst — o, taki — bierzcie nogi za pas i nie odwracajcie się”.

Swistun to śmiertelnie niebezpieczne stworzenie. Jest to latająca kobra z dwoma grubymi, przypominającymi skrzydła samolotu płatami skóry, która wydaje ten dziwny dźwięk, gdy wąż zauważy ofiarę. Jeśli człowiek się zagapi, spada na niego z drzew.

Skąd wiadomo, że to nie ptak? — zapytaliśmy dociekliwie.

— Ptaki nie wydają takich dźwięków — odparł Babu, po

113

czym zaprezentował nam krzyki leśnych ptaków: chakor, koela, bilbila, majny, wrony, drongo, czy-to-ty, dzierzby, kanj i dzięcioła.

Pewnego dnia przyniósł do domu dwa potargane kłębki piórek, które znalazł na ziemi pod gniazdem. Pisklęta. Powiedział, że wąż pewnie pożarł resztę. Zamieszkały w pudełku po butach. Babu karmił je mlekiem zakraplaczem do oczu, a potem brał kawałeczki mięsa i podawał na czubku palca. Po kilku tygodniach ich pióra zaczęły lśnić, ptaszki zaokrągliły się i bardzo oswoiły. Babu pokazał je Mai. Były jej pierwszą parką bilbili.

Nawet opowieści Babu wydawały się całkiem zwyczajne przy rzeczach, o których mówili Dhondu i Jula. Las roilo się od duchów i goblinów — czuję się dziwnie, używając tych angielskich słów — bhootów i pretów, pisachy i rakshaasów. Nie ulegało wątpliwości, że owe duchy są prawdziwe. Ludzie je widywali, i to często. Niektóre były dobrze znane. Bhensachor chodził przebrany za bawołu, „Ale jak tylko podejdziesz bliżej, hyc!, zaraz się na ciebie rzuci!”. Bhensachor potrafił w mgnieniu oka zmienić się w kozła, powiew wiatru w koronie drzewa albo w płomień. Wszystkie duchy były złośliwe i przewrotne. Najzwyczajniej wyglądający mężczyzna mógł podejść do ciebie i poprosić o tytoń, a gdy odpowiedziałeś, jego głowa zaczynała się obracać, a kiedy nieruchomiała, patrzyłeś w twarz o wytrzeszczonych oczach i kłami jak noże. Idąc przez las, na skrzyżowaniu ścieżek mogłeś zobaczyć do połowy ukrytą dziewczynkę, płaczącą rozpaczliwie. „Nie daj się

zwieść! To jest Rowlia, wystarczy, że powiesz do niej choć słowo, nogi jej się wydłużają, będzie rosła i rosła, aż w końcu zamieni się w potwora".

Niektóre duchy wcale nie udają ludzi. Był na przykład mężczyzna z rybią głową, który krzyczał, że chce mu się pić.

„Jeśli dasz mu wody, już po tobie, bo jego gardło jest jak studnia bez dna, i duch wypije tuzin garnków wody, zanim się nasyci. A nawet później, zamiast okazać wdzięczność, pójdzie za tobą, żeby dowiedzieć się, gdzie mieszkasz, i ukradnie ci z domu jedzenie".

114

Było ich o wiele więcej: Jimp i Khechar, Khais, Vetal i Satvi, Bhoochadiya i Haadal, która z przodu wyglądała jak piękna kobieta, ale z tyłu była samym szkieletem. „Jeśli spotkasz w lesie ładną dziewczynę, najpierw zobacz, czy ma stopy tyłem naprzód, bo jeśli tak, to masz przed sobą Haadal".

phondu i Jula wiedzieli, gdzie zbierają się duchy i od czasu do czasu urządzają sobie zabawy: płonący ghat nad jeziorem, mała kapliczka na szczycie góry Bicchauda. Wieśniacy zachowywali czujność, przechodząc tamtędy w dzień, a w nocy nigdy się do tych miejsc nie zbliżali.

W nocy z grzmotami i piorunami duchy swawoliły, popijały i klęły, żartowały i paliły tytoń przy kapliczce Starej Matki, na szczycie wzgórza.

„Ale jeśli ktoś ma odwagę, żeby tam pójść, i wróci żywy, wtedy duchy i gobliny muszą spełnić jego życzenie".

Shashi, nasza ayah, też się przestraszyła.

„Co za bajdy on opowiada!".

Pewnego dnia Jula zjawił się w ogrodzie, ubrany jak zwykle w szorty khaki, lecz na głowie miał coś, co wyglądało jak połowa łodzi uplecionej z wikliny i wyściełanej liśćmi.

— Czy ty nic nie wiesz? To jest irra.

— A do czego służy?

— Żeby chronić przed deszczem, oczywiście.

— Jakim deszczem?

— Tym, który nadchodzi. Będzie sikało.

Po południu niebo zasnuły chmury i rozszalała się wściekła burza. Widzieliśmy błyskawice wiele kilometrów dalej, nad Książęcym Nosem, który wnet znikł, gdy posępna chmura nadpłynęła nad jezioro. Zanim się spostrzeżliśmy, z nieba posypały się na nas grube krople deszczu, eksplodujące w piachu. Rozniosła się woń, słodka, ziemista i leśna (Tagore nazwał ją „uroczą wonią deszczu na suchej ziemi"), której nie można sobie wyobrazić, jeśli się jej samemu nie poczuło. W ciągu kilku minut lało tak mocno, że deszcz rozmył kontury krajobrazu. Wszystkie barwy wymieszały się z bielą. To było jak widok przez muślinową zasłonę. Ze stoków wzgórz momentalnie zaczęły spływać strumienie wody.

115

Po tygodniu spokojne jezioro stało się morzem; nie było widać drugiego brzegu, tylko wodę sięgającą aż do zachodniego horyzontu i fale, które obmywały nasze stopy. Przy szły deszcze. Wszyscy byli szczęśliwi, Dhondu śpiewał przy robocie, w kapeluszu na głowie, podobnym do kapelusza Juli, tylko większym.

powąchaj mleka w garnku

tak świeżego że aż paruje

a jeszcze nawet nie jest ugotowane,

o tak, właśnie takiego mleka

potrzebuje mężczyzna zanim pójdzie

walczyć z Mughalami

— Dhondu, kim są Mughale?

— A skąd ja mam wiedzieć? To tacy ludzie, z którymi walczy się w piosenkach. Ale świat pełen jest Mughali, co, Bhalu? Właściciel ziemski to Mughal, lichwiarz to Mughal. Kucharz, on to na pewno jest Mughalem.

Fever

(Ambona Hills, sierpień 1958)

Kiedy myślę o Ambona, ona zawsze przychodzi mi do głowy jako pierwsza, przed Julą, Benem i wszystkimi innymi. Wiem, że opowiadam tę historię chronologicznie, od początku mojego pobytu tam, lecz nie tak jawi się ona w mojej pamięci. Gdy wracam myślą do tych lat, ona jest zawsze pierwsza. Pojawia się momentalnie. Jestem z nią. Stoimy nad sadzawką na zboczu Bicchaudy, a krople deszczu tworzą kręgi na powierzchni. Najlepsza pogoda na ryby, mówię jej, rzucają się na byle co. Z dumą uczę ją wszystkiego, co wiem, czyli tego, czego nauczyli mnie Julia i Ben.

Polujemy na mawry, rodzaj suma. Mają wąsy i lubią robaki. Pytam: „Wiesz, jak znaleźć robaka, podzielić go na kawałki i nadziać na haczyk?”. Robi przerażoną minę. Nie wie. Ma osiem lat, tyle samo co ja, skórę opaloną prawie na brąz i warkoczyki w kolorze siana, związane wstążkami. Na szklach jej okularów widać plamki rozprysniętego błota.

Jej mama jest najlepszą przyjaciółką mojej mamy.

Ciocia Sybil — wszystkich przyjaciół naszych rodziców nazywaliśmy ciociami i wujkami — w pierwszych miesiącach po naszej przeprowadzce czasem spędzała weekendy u nas w Ambona. Z utęsknieniem czekałem na jej wizyty, bo była wesoła, lubiła żartować i zawsze przywoziła mi jakąś niezwykłą zabawkę: blaszany samolocik z Crawford Market albo czerwony dwupoziomowy autobus z wystającym z boku kluczykiem.

Był sierpień. Mieszkaliśmy w Ambona od pół roku, pora deszczowa zaczęła się na dobre, wakacje również — dla wszyst-

117

kich oprócz Juli, który nie chodził do szkoły i nie miał wal kacji — kiedy mama oznajmiła nam, że ciocia Sybil chorowała i przyjeżdża do nas na kilka tygodni.

„Przywozi swoją córeczkę, która jest w twoim wieku. Chcę, żebyś był dla niej miły. Oprowadź ją wszędzie”.

Przyjąłem tę wiadomość z mieszanymi uczuciami. Ciocia Sybil była kochana i fajnie było zastanawiać się, co mi przy. wiezie, ale dziewczynka?

Babu i mama wyjechali po nich i zabrali mnie ze sobą. Stację w Ambona zapelniali ludzie czekający na Królową Dekanu oraz krzyki przekupniów:

Chayvade vadevade! Chayvade vadevade! (herbata, vady) Chikkivade! Ambona chikkivade!
{chikki, ambońskie chikki) Sapanie zwalniającego pociągu, ciepły, uspokajający zapach sadzy, przekupnie biegnący wzdłuż wagonów.

Tsai, tsai garam, garom tsai garami (herbata, gorąca herbata, gorąca, gorąca herbata)

W tłumie pasażerów wysiadających z pociągu była ciocia Sybil, w ciemnych okularach podkreślających błądź jej skóry; wyglądała na nieco zagubioną. Mama podeszła, wzięła ją w ramiona i długo ścisnęła. Ku memu rozczarowaniu, nic dla mnie nie przywozła. „To jest Rosie, nasza ayah”, powiedziała ciocia Sybil do mojej matki. Tuż za Sybil stała przysadzista starsza pani w długiej sukience, która odwróciła się do wagonu i powiedziała coś, co zabrzmiało jak „Commisskilly”.

Z pociągu wysiadła dziewczynka ubrana tak, jak angielskie dzieci przedstawiane na rycinach starych książek, w powiewnej sukieneczce, w której wyglądała, jakby przyjechała napić się herbaty na trawniku nad brzegiem Tamizy. Pod słomkowym kapelusikiem, obwiązany wstążką, zauważyłem szpiczastą bródkę jak u lisa. Oczy, które wydawały się ogromne w okularach, miały zaskakujący szarzielony kolor, a włosy przypominały barwą trawę na zboczach wzgórz przed porą deszczową. „Ależ ona śliczna”, westchnęła moja mama. Dziewczynka miała na imię Phoebe.

Skupiony, wyniosły wyraz twarzy sprawił, że w pierwszej chwili pomyślałem, że zadziera nosa. Szybko uświadomiłem sobie jednak, że niania Rosie trzyma ją pod pantoflem. Przez cały dzień słyszało się:

118

Czas na kąpiel, Misskilly” albo „Proszę tam nie iść, tam jest brudno”. „Proszę tu przyjść i poczytać książeczkę”. „Proszę się napić mleczka”. „Proszę tam nie wchodzić”.

'__ Czemu ona woła na ciebie Misskilly? — zapytałem.

— Mój ojciec nazywa się Killy, to skrót od Killigrew. Więc ;a jestem miss Killy, a mama jest Killymem.

Nie mogłem pojąć, na czym polegają relacje między nimi. Czasem Phoebe układała się w ramionach staruszki i pozwalała jej czesać sobie włosy. Kiedy indziej znów uciekała i chowała się, albo próbowała ją uderzyć, i wtedy Rosie się gniewała. Ale zaraz głaskała Phoebe po głowie i mówiła:

— Niemądra miss Killy. Jeśli ja nie będę się tobą opiekowała, to kto?

— Nie potrzebuję twojej opieki — krzyczała Phoebe.

— Jest ktoś oprócz mnie, kto się tobą zajmie, Misskilly? Mama zasugerowała, żebym zabierał Phoebe na moje wyprawy. Nie chciałem.

— Jeśli ze mną pójdziesz — ostrzegłem — będziesz musiała robić to samo co ja. Znasz chociaż trochę hindi?

— Oczywiście — odparła, po czym uroczyście wyrecytowała z angielskim akcentem: muffety maai, dahi malaai ghaas pć baitth BI khaai ek badaa sa makda kapda ko pakda aur bhaag gayi muffety maai!

— Kto cię tego nauczył?

— Rosie. Jest moją nianią, odkąd się urodziłam. Jej ciocia była nianią mojego taty.

Pewnego dnia, wkrótce po przyjeździe, Phoebe znikła. Na tyłach domu mieliśmy kurnik, w którym ojciec trzymał kurczęta: czerwone Rhode Island, białe leghorny, czarne menorca. Znalazłem ją przykucniętą za rozwieszonym workiem.

— Co się stało?

119

Phoebe przeciągnęła dłonią po nosie, w którym bulgota» zielonkawy śluz.

— Nic.

— Więc czemu płaczesz?

— Ja nie płaczę.

— Płaczesz.

— Czasem jej nie lubię, i już. Nie musiałem pytać kogo.

Pewnego razu posłano Shashi, żeby przyprowadziła Phoebe; jej hinduski język zniekształcił imię. Phoebe stwierdziła:

— Ona powiedziała moje imię tak, że zabrzmiało jak/ever!<

— Ha, ha, ha! — zawołałem, uradowany, że nadarza się okazja wyśmiania niechcianego gościa.

— Febra! Wietrzna ospa, malaria, dur brzuszny.

Phoebe spojrzała na mnie surowo i powiedziała:

— Nie bądź takim kompletnym głupkiem.

W jej zielonoszarych oczach pojawiło się coś pośredniego między rozbawieniem i urazą. Potem dodała:

— Możesz mnie nazywać Fever, jeśli chcesz.

Jak ja uwielbiałem popisywać się przed Fever. Rządziłem nią, kazałem jej robić to, nie robić tamtego.

„Tak się nie trzyma procy! Patrz, palce kładziesz tutaj, o taki i ciągniesz". Na górze Dagala strzelaliśmy do dzikich mango, próbując strącić je z drzewa. „To nie jest dobre drzewo. Znam lepsze".

Nie przyznałem się, oczywiście, że jeszcze parę miesięcy temu sam nie miałem o tych rzeczach pojęcia.

Phoebe była posłuszną uczennicą. I chwytiała wszystko w lot.

Poszliśmy szukać Juli i znaleźliśmy go, w kapeluszu, z krowami, na zboczu Dagali, nieopodal wioski.

— O rany, co on ma na głowie? — zdziwiła się Phoebe.

— Zapytaj go — odparłem.

— Ale nie wiem jak.

1 fever (ang.) — gorączka, febra

Szepnąłem jej pytanie do ucha, a ona powtórzyła:

— He kaay ael Co to jest?

Wyglądali dziwnie, stojąc obok siebie. Powiedziałem Fever, że irrla, kapelusz chroniący przed deszczem, jest wyściełany liśćmi drzewa palasa, płomieniem lasu, które było całe w czerwonych kwiatach, kiedy pierwszy raz tu przyjechaliśmy i weszliśmy na wzgórze.

Staliśmy, otoczeni przez krowy machające ogonami w chmarach much. Julia miał dziwny zwyczaj łapania w rękę powietrza. Krowie ogony fruwały, a Julia łapał powietrze.

— Co on robi? — spytała Fever.

Wyjaśniłem jej, że Julia po prostu tak robi, i wszyscy zaczęliśmy biegać, łapiąc niewidzialne muchy. Julia zaciekał się parasolką Fever tak samo, jak ona jego kapeluszem. Spytał, czy mogłaby otworzyć ją kilka razy i zamknąć. Powiedział mi, że w wiosce jest kilka parasoli, ale nigdy nie pozwolono mu wziąć żadnego do ręki.

Poprosiłem Julię, żeby nauczył Fever grać w gullidanda, ale powiedział, że pora jest nieodpowiednia. „Za mokro. Stracilibyśmy zasrane gulli”.

Deszcze padały od kilku tygodni; wzgórze, nagie i brązowe, kiedy przyjechaliśmy do Ambona, były teraz porośnięte sięgającą do kolan, ostrą szmaragdową trawą. Więc Fever zapytała, czy może ponosić kapelusz Juli, a potem goniła nas, wykrzykując rymowaną, którą sama wymyśliła.

Jestem frymci-tymci pani, która przyszła porwać rani', Jestem wredna podła z mora, cap królową i do wora.

Zaczął się robić ciemno, więc powiedziałem, że powinniśmy iść do domu. „Jeszcze nie”, zaprotestowała Fever. Więc zabrałem ją do Karvandy, gdzie mama Juli, która znała mnie już dobrze, przyjęła Fever bardzo poważnie i dała nam po szklance dymnego mleka. Coś się gotowało w garnku nad chhulą; Fever powiedziała: „Mm, jak ładnie pachnie”.

rani (hindi) — żona radży, hinduskiego władcy

121

Mama Juli poprosiła, żebym przetłumaczył, a potem upierała się, żebyśmy coś zjedli. Próbowałem się wymówić, bo wiedziałem, jacy są biedni, ale kobieta nie chciała o tym słyszeć. Posadziła nas na uplecionym ze sznurka łóżku, które nazywali khaat. Fever zauważyła, że brzmi to jak cot1.

Kiedy mama Juli postawiła przed Fever talerz, ta zapytała:

— He kaay ae?

— Ona umie mówić! — zawołała uradowana kobieta. — Ha bhat ani he varen. Te kalvun kha. (To ryż i dał, wymieszaj i zjedz).

— Mogę prosić nóż i widelec? — spytała Fever, kiedy przetłumaczyłem.

— Amhi kaatetsamtse vaaprit nai, hataanichjevto — odparła matka Juli, przekonana, że mała blondyneczka zna marathi.

Wyjaśniłem Fever, że tutaj nie używa się noży i widelców, a ona wzbudziła mój podziw, bez wahania zanurzając dłoń w ryżu. Mama Juli też była oczarowana.

— Uroczą dziewczuszkę — powiedziała. — Spójrz tylko na jej oczy. Jak żona bramina. Wielkie lampy duszy. Nie zapomnijcie zaprosić mnie na swój ślub! — Zaczęła się śmiać, aż się zakrztusiła i rozkaszała, eh, eh, eh, odganiając dłonią dym sprzed twarzy jak wachlarzem i pobrzękując bransoletami.

Gdy wychodziliśmy, powiedziała do mnie:

■— Bhalu, nie pozwól, żeby ta maleńka coś zbroiła. Coś ją dręczy. Widać to w jej oczach.

Wiedziałem dobrze, co ma na myśli, tylko że nie miało to nic wspólnego z oczami żony bramina.

Wielu mieszkańców doliny miało szarozielone oczy, to była szczególnie cecha tego regionu. Ale nie o oczy chodziło. Wiedziałem już, w czym tkwi problem.

Fever chciała iść na ryby. Znałem dobre miejsca, w których żyły największe ryby: singdy, mundy i kolusy. Ben mi pokazał. Fever potrzebowała wędki, a ja chciałem mieć nową, więc Ben zabrał nas do ojca.

1 cot (ang.) — dziecinne łódeczko lub koja

Tata Bena był o wiele fajniejszy od mojego. Brązowy i pomarszczony jak włoski orzech, miał jasne, niebieskie oczy. Kiedyś uprawiał zapasy i ciągle jeszcze imponował siłą i niesamowitą muskulaturą. Utrzymywał kondycję, machając na we-randzie hinduskimi maczugami, i nazywał się pahahanem. Swoją siłę przypisywał temu, że jest częściowo Anglikiem, lecz nie był pewien, skąd wzięła się w nim domieszka angielskiej krwi. Czasem, kiedy się upił, śpiewał God Save the Queen, która to pieśń, jak twierdził, brzmiała dziwnie w jego uszach, bo przyzwyczył się, że Bóg chroni króla. Tata Bena łowił dużo ryb na patelnię. Jego żona przyrządzała curry z suma według przepisu, który — jak mówiła — znają tylko Anglohindusi.

— Chodźcie, chodźcie, siadajcie wszyscy. Poczęstujcie się... Ben? Gdzie się ten chłopak podział?

Ben, zagotuj wody, wstaw czajnik.

— Już to zrobiłem — odparł Ben.

Dała nam herbaty posłodzonej cukrem z soku palmowego, który miał postać twardych, słodkogorzkwawych grudek. Patrzyliśmy, jak tata Bena struga wędki z bambusowych kijów długości mniej więcej metra osiemdziesięciu.

„A teraz potrzebujemy spławika”, oznajmił. Wziął pawie pióro i zeszkrobał wspaniałe, granatowe i złotozielone nitki, zostawiając biały trzonek, który przeciął na trzy równe, ośmio-centymetrowe kawałeczki.

Do czubka wędki przyczepił sznurek, a do linki, na przesuwanej pętelce, jeden z kawałków pióra.

„W domu nie używałbym takiej wędki, powiedział do Fever. Wziąłbym prawdziwą, z kołowrotkiem i tak dalej”.

Fever spojrzała na niego pustym wzrokiem; okazało się, że mówiąc o domu, ojciec Bena ma na myśli Anglię. Nigdy tam nie był, ale Fever też nie.

Nazajutrz wyruszyliśmy na ryby z naszymi nowymi wędkami, a Rosie poszła za nami.

Zabrałem pustą puszkę na robaki.

— Skąd je weźmiesz? Kupisz?

— Zobaczysz. — Pomyślałem, że jako dziewczynce, nie będzie jej się to podobało. W trawie wokół stawu pełno było

123

krowich placków w różnych fazach rozkładu. Pokazałem Fever, jak podnosić suchsze kawałki. W mazi pod spodem wiło się mnóstwo różowych robaków.

— Błę, nie będę tego robiła.

Wziąłem robaka, rozerwałem na cztery wijące się kawałki i pokazałem Fever, jak nawlec jeden na haczyk.

— To okropne — powiedziała. — Żal mi ich.

— One nic nie czują. A poza tym, z każdego kawałka wyrasta nowy robak, więc rzuć jeden na ziemię i będzie tak samo, jakbyś go wypuściła. Im to nie przeszkadza... No, teraz ty.

— Nie potrafię.

Ja jednak nalegałem. Jeśli chce łowić ze mną ryby, będzie musiała sama zakładać przynętę. Rosie wrzasnęła. Fever, ubrana w edwardiańską sukieneczkę, klęczała w krowiej kupie, trzymając w rękach wijące się stworzenie.

Rosie upierała się, że będzie za nami wszędzie chodziła, a my robiliśmy wszystko, by ją zgubić.

Wybieraliśmy najtrudniejszą drogę, wspinając się po stromych zboczach, albo przedzieraliśmy się przez gęste zarośla. Rosie musiała dać za wygraną, ale i tak nie przestała nas szpiegować. Zbliżając się do domu, widzieliśmy ją, jak stoi na werandzie i obserwuje ścieżkę.

Kiedyś, gdy wracaliśmy ze spotkania z Julą, zauważyliśmy parasolkę Rosie podskakującą po drugiej stronie mokrego wzgórza. Później naskarżyła Sybil: „Killymem, ja widzę, że Misskilly bawi się z brudnym chłopakiem ze wsi i nosi jego kapelus. Kto wie jakie wszy i co jeszcze?”.

Ale Sybil nie chciała tego słyszeć. Nie nakrzyczała na nas, i Rosie odeszła nadąsana. Usłyszałem, jak Sybil mówi do mojej mamy: „...ta baba bez przerwy mnie szpieguje”. Wiedziałem, że Rosie opowiada naszym służącym, że Killy Memsahib to nic dobrego. Że nie jest prawdziwą Killigrew. Może to dlatego ciocia Sybil tak dużo płakała. Spędzały z moją mamą dużo czasu w gabinecie, przyciszonymi głosami rozmawiając o czymś bardzo poważnie. — Rozmawiają o miłości i takich

tam rzeczach — wyjaśniła mi Fever, otwierając szeroko oczy, jak gdyby nic więcej nie trzeba było mówić.

124

— Wiesz, jak to jest z tą miłością — odparłem. — Ja tam cię nie Kocham czy coś, ale bardzo cię lubię.

— Och! — zawołała. Nie wiedziałem, czy ją uraziłem. Ale ona podeszła do mnie, położyła dłonie na moich policzkach i ucałowała mnie. — Kocham cię, Bhalu — powiedziała. — Jesteś moim najlepszym przyjacielem. Jesteś taki mądry i odważny i nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła.

Myślę, że to stało się właśnie wtedy. Zakochałem się w niej.

Rosie nie chodziła więcej za nami, ale uparła się, żeby nas ukarać. Pewnego razu zabrałem Fever w jedno z moich ulubionych miejsc, gdzie potok spadający z niewielkiej skalnej ścianki utworzył wśród skał głęboką sadzawkę.

„Uważaj na węże”, ostrzegłem. Na zboczach roiło się od kobr, wypłoszonych z nor przez deszcz. Ale dzień był piękny — jeden z tych gorących, słonecznych dni, które zdarzają się w samym środku monsunu. Promienie słońca przedzierały się przez drzewa, oświetlając sadzawkę od środka jak akwarium.

W sadzawce można było złapać danie, długie jak środkowy palec, z jasnoniebieskimi paskami na srebrnych ciałach. Były też zabawnie wyglądające ślize, które wypłaszają się palcami spod kamieni na dnie strumyka. Staliśmy nieruchomo jak głazy, po kolana w wodzie, zanurzaliśmy chusteczkę, trzymając ją za cztery rogi i czekaliśmy, aż wpłynie nad nią ryba. Złapaliśmy z tuzin drobnych rybek i wrzuciliśmy do małego cynowego wiaderka, które przynieśliśmy w tym celu. Planowaliśmy założyć w domu własne akwarium. Niebawem przemoczone ubrania przykleiły się nam do ciała i stały się prześwitujące.

— Dostaniemy straszną burę — powiedziała Fever. — Lepiej zdejmijmy je i wysuszmy na słońcu.

— Co? I będziemy chodzić bez ubrań?

— Mnie to nie przeszkadza, jeśli tobie nie.

Zdjęliśmy więc z siebie wszystko — pamiętam, że myślałem, jaka Fever jest szczupłutka i biała, i jak bezbrinnie wygląda małeńkie przecięcie w miejscu, gdzie łączyły się jej nogi. Zauważyła, że patrzę i powiedziała:

— Ja też nigdy nie widziałam tego, co ty masz.

125

Nagle zaczęła chichotać jak szalona.

— Tak właśnie było, zanim Bóg stracił cierpliwość. Podeszła do młodego drzewka sal, wspięła się na palce,

zerwała dwa liście wielkości talerzy i podała mi jeden.

— A to kazał im zrobić potem... — Przekrzywiła głowę, przystawiła sobie liść do brzucha i uśmiechnęła się znacząco.

Wyrzuciliśmy liście i przez całe słoneczne popołudnie kapaliśmy się pod wodospadem i pływaliliśmy w sadzawce.

Po powrocie do domu umieściliśmy naszych więźniów w dużym szklanym słoju i w tej samej chwili Rosie wpadła za nami z furją. Zaprowadziła nas do Sybil, kazała Phoebe zdjąć sukienkę, a potem ściągnęła jej majtki.

— Proszę patrzeć, Killymem! Wszędzie! — Przesunęła palcami po biodrze Phoebe. Potem dodała:

— Bhalu nie ma c&. oglądać, to Hindus.

Lecz Sybil znów nie okazała zainteresowania. Wezwano Maję i przedstawiono jej całą sprawę.

Głosem, który groził wybuchem; gniewu, mama powiedziała Rosie, że nie wolno zwracać Sybil głowy takimi rzeczami, bo ciężko chorowała i potrzebuje czasu, żeby dojść do siebie. Później Rosie wzięła nasz słoje i opróżniła go, razem z rybami, do odpływu rynny.

Moja matka spędzała z Sybil bardzo dużo czasu. Sybil prawie w ogóle nie wychodziła. Maja umówiła się z naszym lekarzem, żeby odwiedzał regularnie jej przyjaciółkę. Fever powiedziała mi, że lekarz przepisał mamie tabletki żelaza, a ja zachodziłem w głowę, co się dzieje z zębami cioci

Sybil przy gryzieniu żelaznych kuleczek. Miała odpoczywać, więc siedziały razem w gabinecie mamy, często czytały sobie na głos i opowiadały rodzinne historie. Dzieje rodziny Killigrew były równie romantyczne jak nasze. Mieszkali w Indiach od pokoleń. Kiedyś trudnili się handlem opium. Oni też brali udział w wojnie tysiąj osiemset pięćdziesiątego siódmego roku, ale po brytyjskiej! stronie. Mama namawiała Sybil, żeby spisała te opowieści. Powiedziała, że mogą je wspólnie opublikować. Sybil stwierdziła, że każda historia ma dwie strony, lecz rzadko można je znaleźć w tej samej książce. Maja dodała, że w gruncie rzeczy!

126

tych stron jest więcej, ale dwie wystarczą. Jeśli przeżywanie na nowo zagrzebanych cierpień może sprawić, że znikną, byłoby roztropnie przewietrzyć gruntownie historie obu naszych rodzin. W ciągu ostatnich kilku dni pobytu u nas Fever chodziła za mną jak szczeniak. Ben powiedział, że wie, że ją kocham, bo stale ciągnę ją za warkoczyki.

„Pewnego dnia się ożenicie”, stwierdził, ale my wiedzieliśmy swoje.

„Nigdy nie wyjdę za męża”, powiedziała mi któreś nocy Fever.

Spała w moim pokoju, nasze łóżka stały jedno przy drugim. Leżeliśmy i rozmawialiśmy, wyciągaliśmy ręce i dotykaliśmy się. W ciemności graliśmy w pewną grę. Wodzenie palcami po ramieniu drugiego od nadgarstka do łokcia nazywało się „dłu-żek”. Łaskotanie w dłoń nazywało się „krotek”. Na zmianę sprawialiśmy sobie te drobne, wyborne przyjemności: „Bhalu, zrób dwadzieścia dłużków”, „Fever, daj dziesięć krótków”.

„Moja mama i tata się nie kochają, powiedziała mi tej nocy Fever. Dlatego tu przyjechałyśmy. Mamusia zachorowała, słyszałam, jak wymiotuje każdego ranka. Powiedziała, żeby nie mówić tacie, bo będzie się gniewał. Płacze, kiedy myśli, że nikt jej nie widzi”.

Nie mogłem sobie wyobrazić kogoś, kto nie kocha cioci Sybil. Była taka urocza, taka wesoła. Uznałem, że ojciec Fever musi być potworem.

— Jeśli ty nie wyjdiesz za męża, to i ja się nie ożenię — powiedziałem.

— Za ciebie bym wyszła, Bhalu — odparła z ciemności.

Miały wyjechać we wrześniu, przed końcem pory deszczowej. Mama powiedziała, że Sybil postanowiła wrócić do Anglii ze względu na zdrowie i zabiera ze sobą Phoebe. Nie wiedziała, fla jak długo wyjeżdżają. Phoebe się denerwowała. Nigdy nie była w Anglii. Obiecałem, że będę jej pisał, co nowego u Juli, u Bena, u mnie.

Mniej więcej dwa tygodnie przed ich wyjazdem wzgórzami wstrząsnęła potężna burza. Nie mogliśmy bawić się na dworze, więc poprosiliśmy moją mamę, żeby nam coś opowiedziała.

Nafisa Jaan

(Wersja „słodka”)

Wyraźnie pamiętam dzień, w którym Maja pierwszy raz opowiedziała nam historię Nafisy Jaan. Popołudnie ciemne jak noc, wiatr i deszcz bębniący o dom, lampki oliwne rzucające ruchliwe cienie (uderzenia piorunów spowodowały brak prądu). Było za mokro, żeby cokolwiek robić. Nawet Dhondu przykucnął pod daszkiem kurnika i palił jednego beedi' za drugim. My, dzieci, nie mogliśmy wyjść i bawić się na dworze, więc siedzieliśmy w domu. Mama zaproponowała, że coś nam opowie,]

„O Shivadhim i ghorpatach!”, zawołałem.

Shivadhi był wodzem ludu Mahratta, mieszkającym wśród tych wzgórz trzysta lat temu. Spędził życie, walcząc z armiami wysyłanymi przeciw niemu przez mughalskiego cesarza Alam-gira i muzułmańskiego sułtana Bidżapuru. Życie Shivadziego obfitowało w niezwykle przygody, lecz najlepszą z nich było odbicie fortu Sinhagarh, „lwiej fortecy”, zbudowanej na olbrzymiej skarpie kilka kilometrów od naszego domu. Fort Sinhagarh wpadł w ręce wroga. Shivadhi chciał wziąć garnizon* przez zaskoczenie. Wraz ze swoimi Mahrattami przeczesał; dżunglę w poszukiwaniu największych ghorpatów (ogromnych jaszczurek). Ghorpaty są niesamowicie silne i przywierają' palcami do skały, jakby walczyły o życie. Shivadhi kazał przywiązać liny do ghorpatów i przystawić je do skalnej ściany! Jaszczury zaczęły się wspinać. Gdy dotarły na szczyt, Shivadhi i jego żołnierze wspięli się hurmem po linach.

„Słyszałeś to już trzy razy”, odparła moja mama.

Sybil poprosiła o Nafisa Jaan. Maja napisała dwie wersje tej

1 beedi (hindi) — papierosy skręcane z liści

128

historii: „słodką” i „gorzką”. Sybil chciała usłyszeć „słodką” Nafisę Jaan. Z jakiegoś powodu mama nie kwapiła się do opowiadania.

Nie to, powiedziała. Wybierzcie coś innego”. Lecz Sybil, blada, w ciemnych okularach, mimo że dzień był ponury, nalegała. Jej twarz przybrała dziwny, surowy wyraz, jylaja zaczęła opowiadać. Ta historia zaczęła się bardzo dawno temu i wciąż nie dobiegła końca. Można wybierać spośród wielu początków, ale ja powiem, że gdyby mężczyzna imieniem Lajju nie podniósł szpady leżącej na polu bitwy w tysiąc osiemset pięćdziesiątym ósmym roku, kobieta nazywająca się Nafisa Jaan nigdy by się nie urodziła. A gdyby rzeczy, które przytrafiły się Nafisie Jaan, nigdy się nie zdarzyły, wówczas niektórzy z siedzących tutaj nie przyszliby na świat. Czterdzieści lat po naszym praprapra-
, Lajju i Bhalu Pierwszy wrócili z wielkiego powstania... Słuchasz mnie, Bhalu Drugi?

(Tak, słucham. Pewnie, że słucham. Wszyscy słuchamy. Jesteśmy tam wszyscy, siedzimy na werandzie, wokół nas szaleje nawałnica, deszcz siecze po dachu i „kurkach” z siana, powiązanych wokół domu, wyglądających jak kolonia wielkich irli. Obok mnie siedzi moja siostra Nina. Jest tam Ben. I Jula, skulony w kącie i uśmiechnięty, mimo że nie zna ani słowa po angielsku. Dwie ayah, Shashi i Rosie, też tam są. Historia jest opowiadana po angielsku, gdyż słuchają z nami nasi goście, przyjaciółka mamy Sybil, i mała, jasnowłosa Fever).

...Kumharawanie ciągle się buntowali. Wiele rodzin, między innymi nasza, miało mnóstwo rzeczy do ukrycia. Kilkudziesięciu starszych mężczyzn walczyło w armii Nana Saheba. W miasteczku pełno było niewypowiedzianych tajemnic, lecz pozornie w haveli, na podwórkach i w herbaciarniach życie toczyło się swoim powolnym rytmem. Każdej zimy znad Himalajów nadlatywały klucze dzikich kaczek, by kwakać na bagnach. Latem bazar zapełniał się, tak jak dzisiaj, nieokrzesanymi Tybetań-czykami, którzy schodzili z gór, żeby sprzedawać świecidełka z turkusów i srebra oraz cebulki dzikich orchidei.

129

Kumharawa była małym miasteczkiem, mniej ważnym niż kiedykolwiek w swej historii, ale poczucie dumy nakazywało by miała własny szwadron konnicy. Miała też kotwala, szefa policji, wysokiego na metr dziewięćdziesiąt, noszącego getry. Radża, Qasim Khan, mieszkał w książycowym pałacu — zwanym Chand Mahal — stojącym pośrodku ogromnej posiadłości na skraju miasteczka. Nie była to bardzo stara budowla, lecz miała zenanę, w której mieszkała rani i jej dzieci, dwie córki. Qasim Khan bardzo kochał swoje córki, lecz pragnął syna. Z tego powodu żona często go widywała. A potem, bez żadnego widocznego powodu, jego wizyty stały się coraz rzadsze, by wreszcie całkowicie ustać. Służka powiedziała rani to, co wiedzieli już wszyscy w Kumharawie, że Qasim Khan spędza wieczory, a także niektóre dni, w pewnym domu w najstarszej części miasteczka. W domu tym mieszkała tawaif, pieśniarka, znana jako Nafisa Jaan.

yeh na thi hamari aīsmat keh wisaāl-e-yaar hota

agar aur jeete rahte yeti intezaar hota

Być z nim, mężczyzną, którego wielbię, losem mym nigdy stać się nie miało,

A gdybym żyła dłużej, tym dłużej me czekanie by trwało

Nafisa potrafiła śpiewać ghazale Ghaliba tak, że serce się krajało, a mimo to nikt nigdy nie powiedział, że jej głos jest słodki. Nie była Łatą. Jej głos, wedle wszelkich przekazów, był szorstki, lecz zdolny do wyrażenia druzgocącej szczerości. Ona rozumiała poezję. Gdy śpiewała

terē waade par jiyee ham to yeh jaan jhoot jana

keh khushi se mar na jaate, agar intezaar hota

Czy twe obietnice trzymają mnie przy życiu? Jeśli tak,

kłamstwem jest moje życie.

Gdybym w nie uwierzyła, już dawno umarłabym z radości,

czyż nie?

jej głos był jednocześnie jak miód i jak ocet. W jednej sylabie umiała zawrzeć sarkazm, tęsknotę,

gniew i miłość. Powiadano

130

że jeśli słowa Ghaliba są natchnione, ona tchnęła w nie życie, fo jednak nie wszystko — Nafisa potrafiła tańczyć! Oczami dokonywała rzeczy, o których nasze aktoreczki filmowe mogą tylko pomarzyć. A to nie wszystko... Pewne fragmenty tej historii nie mogą być opowiedziane, dopóki niektórzy ze słuchaczy trochę nie podrosną. Nie, panno Phoebe, to nie znaczy, że zatajam prawdę. Opowieść to nie tor wyścigowy. Opowieść to rzeka, utworzona z wielu strumieni. Możemy poznać niektóre z nich, lecz nie możemy zawrócić, żeby poznać wszystkie. Musimy starannie wybierać. Opowieść jest też jak droga. Prowadzi naprzód, ale wciąż się rozgałęzia. Możemy pójść kilkoma z tych odgałęzień, ale nie wszystkimi. Niektóre są wręcz niebezpieczne. Każde tchnienie dobrej opowieści zawiera inne opowieści, wchodzące w nią i z niej wychodzące, z których większość nigdy nie zostanie opowiedziana. To właśnie sprawia, że dobra opowieść jest dobra.

Po tej dygresji mogę wrócić do głównego nurtu i powiedzieć wam, że Nafisa Jaan była mistrzynią w sztuce opowiadania. Pobierała nauki w kotha w Lucknow, tak w każdym razie powiadano, gdyż sama Nafisa nigdy nie mówiła o swoim pochodzeniu. Obracała się w wirze pogłosek. Niektórzy twierdzili, że jest córką szlachetnej tureckiej rodziny, ukradzioną i sprzedaną przez nianię. Inni, ponieważ Nafisa umiała cytować po persku cudne pieśni miłosne z Diwan-e-Shams Rumiego, utrzymywali, że jej ojciec musiał być wędrownym sufickim poetą. Lecz ulubiona wersja historii mówiła, że Nafisa jest nieślubną córką samego Mirzy Ghaliba, dzieckiem, którego zawsze pragnął i które w ostatnich latach życia nauczył śpiewać swoje poematy. Ghalib dorównywał wiekiem stuleciu, w którym żył. W czasie wielkiego buntu mieszkał w Delhi, był świadkiem walk i okrucieństw obu stron. Nafisa mogła być jego córką tylko wówczas, gdyby w czasie, gdy dzieje się nasza opowieść, dobiegała czterdziestki. Lecz wszyscy, którzy ją widzieli, mówili że wygląda „młodzieńczo”. Radża Qasim Khan, rozmiłowany nie w poematach, lecz w ustach, które je recytowały, zaczął ją nazywać swojajaan-e-janaan, „życiem i duszą”. Gdy wieść o tym rozniosła się po Kumharawie, wywołała wiele

131

szyderych śmiechów. Prawda o pochodzeniu Nafisy, ja]c można się spodziewać, była całkiem pospolita, lecz znało ją tylko dwoje ludzi.

Radża był w niej głęboko zadurzony i, jak już wspomniałam, wkrótce zaczął spędzać w jej domu cały swój czas. Choć jego względy z początku jej pochlebiały, Nafisa szybko musiała poczuć, że się w nich dusi. Była bowiem kobietą wyjątkową, cechowała ją ogłada. Jej świat stanowiły salony i muzyka. Z taką sarną subtelnością smakowała betel, jak konwersację. Umiała grać w szachy. Dyskutowała o filozofii z mauhinami ipanditarrii- Nie można jej było oskarżyć o to, że jest potulną kurą domową. Była damą która wyprzedziła swój czas, wielkim umysłem, skazanym przez niedoceniające kobiet społeczeństwo na życie w poddaństwie, na pozycję hurysy. Qasim Khan, ucieleśnienie tegoż społeczeństwa, uwielbiał ją. W jej obecności nie był już nudnym, podstarzałym, przywiedłym, marionetkowym władcą nic nieznaczącego państewka, lecz maharadzą nababem, księciem wielkich przeznaczeń. A Nafisa, równie przebiegła jak inteligentna, bezwstydnie mu schlebiała.

Qasim Khan lubił uważać się za strzelca, myśliwego i wędkarza. Żaden zwierz w lesie, od Almora po Kathaniya Ghat, nie był przy nim bezpieczny. Sala trofeów myśliwskich w jego pałacu pełna była głów jeleni, dzików i tygrysów, które spoglądały na przybysza ze ścian smutnymi szklanymi oczyma. Strzelał do wszystkiego. Pewnego razu, w towarzystwie twojego pradziadka, zauważył nakrapianego jelenia z jednym rogiem, i nawet jego musiał wziąć na muszkę. Nędzne trofeum zostało załadowane na konia i przysłane do naszego domu, gdzie Bhalu — tak, Bhalu Drugi, ten, który siedzi tu z nami — pewnego dnia je znalazł.

(Prawda. Badając dom dziadka w Kumharawie, pewnego dnia natknąłem się na pomieszczenie ze zbiorem ciekawych przedmiotów. Ogromne gliniane dzbany, wyższe od mężczyzny, z drewnianymi wiekami grubości dwóch cali. Odsunąłem jedno i zobaczyłem, że dzban wypełniony jest po brzegi pszenicą-Była też metalowa skrzynia, podobna do żeglarskiego kufra, pełna ryżu. W mniejszym kufierku znalazłem starannie złożony mundur marynarski z paradną szpadą a także dziennik rozpo-

zety trzeciego września tysiąc dziewięćset trzydziestego dziewiętego roku którego zapiski urywały się kilka dni później. W kącie leżał wyrzeźbiony z drewna pysk jelenia z przymocowanym pojedynczym rogiem).

Nafisa nie lubiła zbyt wychodzić z domu, lecz zapalała tajemniczą miłością go pikników. Powiedziała, że to dla zdrowia ; z tego samego powodu przestała darzyć radzę pewnymi względami. Nasz bohater zwykł zabierać ją do mangowego zagajnika nad brzegiem jeziora, gdzie obok siebie stały niewielka hinduska świątynia i biała maąbara, w której spoczywały kości mużulmańskiego świętego. On i jego świta jechali wówczas konno, a Nafisę niesiono w palankinie, gdyż — była to jej jedyna wada — beznadziejnie trzymała się na koniu.

Co ciekawe, Nafisa ciągle zwracała uwagę na tę swoją nieumiejętność. Powiedziała Qasimowi, że chce nauczyć się jeździć i że pójdzie z nim na wojnę i będzie walczyła u jego boku, tak jak rani Laxmibai. Rzecz jasna ani ona, ani on nie mogli wiedzieć, że już nigdy nie będzie szarż kawaleryjskich. Następną bitwą, w której wziął udział ktoś z Kumharawy, odbyła się pod Ypres.

r~

Nafisa, ey, Nafisa Jaan
khaati hai supari-paan,
chooma chaata Qasim Khan
choos nikaala uska maan
zameen pe thooki uski jaan
Bhalu, przetłumaczmy to gościom?

Nafisa, hej, Nafisa Jaan
uwielbia jeść supari-paan,
całuje i liże Qasim Khana
całą królewską dumę wysssała zeń wnet
wypluła jego życie przy drodze het, het

Tak śpiewały uliczne urwisy w tysiąc osiemset dziewięćdziesiątym szóstym roku (tak, dzieci, wy też możecie to śpiewać, później was nauczę). Mali ulicznicy ułożyli tę rymowanąkę,

133

bo kiedy Qasim Khan rozkazał dawać ukochanej lekcje jazdy okazało się, że o czymś nie wiedział. Nafisa zakochała się w jednym z jego kawalerzystów. Nie dość na tym, spodziewała się jego dziecka.

Upłynęło kilka miesięcy i nadeszła chwila, gdy Nafisa nie mogła dłużej ukrywać faktu, że urodzi dziecko. Tłumaczyła, że tak źle się czuje, iż nie może wychodzić z domu. Radza chciał wysłać do niej swojego hakima, lecz odmówiła. Nie mogła jednak zachować swego stanu w tajemnicy. Języki poszły w ruch, co było nieuniknione.

Dowiedziawszy się o romansie Nafisy, radza upił się i wpadł w nasha, nieokielznaną furie z zazdrości... Dzieci! Wsłuchajcie się w grzmoty na niebie nad nami. Posłuchajcie, jak deszcz siecze o dom, jak gdyby chciał zmieść go z powierzchni ziemi. Taki właśnie był gniew radzy. By dopełnić metafory, powiem, że uderzył grom. Nikt w Kumharawie nie dowiedział się nigdy, jaki los spotkał oficera kawalerii, i ja też tego nie wiem. Po prostu zniknął. Wszyscy wiedzieli jednak, albo tak myśleli, co się stało z Nafisa.

Nafisa Jaan, mówili, w ostatnich dniach ciąży, tuż przed rozwiązaniem, musiała opuścić swój dom, zostawić wszystko, co posiadała, i na piechotę uciekać z Kumharawy. Wróciła do dobrze znanych miejsc w Lucknow, powiedział ktoś. Nie, stwierdził ktoś inny, widziano ją w Delhi. Trzeci utrzymywał, że dotarła do Kalkuty i wyszła za bogatego Anglika. Żadna z tych opowieści nie była prawdziwa. Nafisa Jaan nigdy nie opuściła Kumharawy.

Była noc, gdy służąca Nafisy ostrzegła ją, że przyszli po nią jacyś ludzie. Nafisa nie miała czasu, żeby cokolwiek zabrać, nie mówiąc o najcenniejszych rzeczach. Wyszła z domu i rzuciła się do ucieczki. Biegła na ślepo w ciemności. Za sobą słyszała słabe odgłosy pościgu. Biegła, aż każdy oddech zaczął ją drapać w płuca, a krew dudniła w żyłach. Nie zapominajcie, że w łonie niosła dziecko. Pędziła bocznymi drózkami Kumharawy i w końcu dotarła do świątyni Sziwy, która stoi

naprzeciwko naszego domu. Weszła do środka i przykucnęła za posągiem. Tam właśnie ją znaleźli. Zabrali ją do pałacu i przyprowadzili przed radzę, a ten uderzył ją w twarz i powiedział, że musi umrzeć.

(W tym momencie głos mojej matki zadrżał, więc wszyscj

134

zaczęliśmy krzyczyć, żeby kontynuowała. Mama spojrzała na cybil- „Mów, powiedziała Sybil. Nie przestawaj teraz”. Więc Egaja mówiła dalej).

Nafisa rzekła: „Pozwól mojemu dziecku się urodzić. Potem dźiie zabij. Ale nie zabijaj mojego niewinnego dziecka”.

„Śmierć twojego dziecka to nie moje zmartwienie”, odparł radza.

Nafisa zrozumiała, że nie ma żadnej nadziei, i powiedziała z wyrzutem: „To mężczyźni tacy jak ty zasługują na śmierć, a nie nienarodzone dzieci!”.

Zaprowadzili ją do piwnicy pod pałacem. Wlekli ją coraz niżej inżej, do najgłębszego lochu, gdzie ściany dźwigająłuki z cegły. W tej przepastnej ciemnicy postawili ją w niszy. W ścianę były wmurowane żelazne pierścienie; jeden z żołnierzy radży zdjął z głowy turban i przywiązał nim do pierścieni ręce Nafisy.

Nafisa szarpała się i krzyczała: „Jeśli to zrobicie, przysięgam, będzie pokuta!”.

Ale on wcisnął luźny koniec turbanu w jej usta, żeby uciszyć krzyki. Przyszli inni z ceglami, kielniami i koszami mokrego cementu i zaczęli wznosić ścianę wzdłuż niszy. Ściana rosła coraz wyżej, nad kolana, nad talię, ramiona, szyję, wreszcie przez znikający otwór widać było tylko dwoje oczu pałających błagalnym spojrzeniem... ojej, spójrzcie, jak ciemno się zrobiło, na pewno już czas na kolację.

Tak moja matka opowiedziała „słodką” wersję historii Nafisy Jaan.

— Bzdura! — orzekł mój przyjaciel Dost, kiedy wiele lat później powtórzyłem mu tę opowieść w alejce w Dongri, Pogrążonej w ciemności z powodu braku prądu (najjaśniejszą rzeczą na całej ulicy był jego śnieżnobiały kameez'). — Twoja toatka wzięła historię Anarkali z Mughal-e-Azam\ kameez — tunika lub koszula z długimi rękawami noszona do spodni (szarawarów) przez kobiety w półn. Indiach, Pakistanie i Bangladeszu

135

— Mylisz się — odparłem. — Pamiętam, jak opowiedziałj ją nam, zanim wyszedł Mughal-e-Azam. Pamiętam wszystko z tego wieczoru w Ambona: niemilknący pomruk deszczu, blask lamp w domu, ciemne popołudnie niepostrzeżenie przechodzące w wieczór. Pamiętam, że kiedy mama skończyła opowiadać, jej przyjaciółka Sybil była cała we łzach. A gdy Maja myślała, że inni przestali słuchać, zaśpiewała do siebie cicho:

hue mar keh ham jo ntswa hue kyun na-ghar-e-dariya
na kabhi janaaza uthaata na kahin mazaar hota.

Skoro miałam umrzeć zhańbiona, czemu mnie rzeka nie zabrała?

Nie miałabym wówczas pogrzebu, ani grobowca bym nie miała.

fCarvanda

(Ambona, kwiecień-maj 1959)

Słońce tak gorące, że wypaliło błękit z nieba. Wzgórza przycupnęły wokół jeziora jak zwierzęta, wyciągając do wody skaliste jezory. Drzewa guawy w naszym ogrodzie pokryły się warstwą kurzu. Kapitan Sahib już nie pozwalał podlewać swoich róż w ciągu dnia. Kazał czekać Dhonda do wieczora, gdy krowy wracały do wioski, i dopiero wtedy kłaść wąż w bruździe. W lesie Bicchauda jaszczurki przywierały do pni drzew mango z otwartymi pyskami, lecz duszące powietrze nie pozwalało sobą oddychać. O tej porze roku, szesnaście wieków temu, poeta Kalidas ujrzał oszalałą z gorąca kobrę, która wsunęła się pod ogon pawia, by tam znaleźć cień.

Coś się stało, gdzieś daleko. Króciutki wstrząs, tak słaby, że mógł go wywołać orzech kokosowy, który spadł po drugiej stronie gór, tak odległy, że usłyszeliśmy tylko jego echo, spowolnione w upale sennego popołudnia. Drzenie przebiegło po skałach. Światło się zatrzęsło. Puls nicości

rozpółił świat i zrobił dziurę w czasie. Potem wszystko było takie jak przedtem, i wszystko się zmieniło. Był rok tysiąc dziewięćset pięćdziesiąty dziewiąty, rok, w którym Fever nauczyła się paść krowy, ja przestałem chodzić do szkoły, Julia zdobył prawo do nauki, i w którym spotkaliśmy dzikiego człowieka gór. Wszystkie te rzeczy stały się w ciągu kilku tygodni, w najgorętszym okresie roku, w piekielnym żarze tuż przed monsunem.

Na początku moja matka oznajmiła niespodziewanie, że Ybil i Fever znów do nas przyjadą. Kilka miesięcy wcześniej

"Tociły z podróży do Anglii. Sybil poczuła się o wiele lepiej,
137

ale wilgotny klimat Bombaju sprawił, że na nowo się rozchorowała.

— Phoebe nie będzie mogła chodzić do szkoły, więc znalazłam jej guwernera. Będzie przychodził ją uczyć.

— Do nas do domu?

— Tak. — Potem dodała coś jeszcze, coś naprawdę ekscytującego. — Postarałam się, żebyś ty też się tutaj uczyła tylko do końca tego semestru.

Tak jak za pierwszym razem, wszyscy wyjechaliśmy po nich na dworzec. Fever urosła; zwiewna sukieneczka ledwie sięgała! jej do kolan.

„Jak było w Anglii?“, spytałem, gdy zostaliśmy sami. Poza tym, co powiedział mi tata Bena, znałem Anglię tylko z książek, głównie Enid Blyton; jej utwory były wszędzie. Mieliśmy je wszystkie: Słynną piątkę, Tajną siódemkę, cykl Przygody i także Tajemnicze historie, z których wszystkie zaczynały się na R (Ring O'Bells, Rilloby Fair, Rat-a-raf). Znałem też książki o Jeevesie i Sherlocku Holmesie. Maja kazała mi przeczytać Davida Copperfielda, Jane Eyre i wszystkie utwory Kiplinga. „Jeśli Jane mogła ćwiczyć czasowniki w hindi, III i ty możesz. Można wybaczyć Kiplingowi, że był imperialistą! oznajmiła mi, bo kochał Indie“. Podziwiałem, choć nie do końca zrozumiałem, Stalky'ego i spółkę, i zakochałem się w Księdze dżungli, lecz moją ulubioną książką był Puk z Ptm kowego Wzgórza, o odległym, magicznym miejscu zwanym Sussex.

— Było zimno, a dom babci pachnie jabłkami — odparła Fever. — Ale najdziwniejsze było to, że wszyscy inni byliby Anglikami.

— Co masz na myśli, mówiąc wszyscy inni?

— Ja jestem Indijką — odparła.

Nigdy wcześniej nie przyszło mi do głowy, że Fever nie jest „jedną z nas“. To wydawało się oczywiste, że nigdy nie byłby nikim innym.

Fever nie mogła sobie znaleźć miejsca. Płatała się po domu i była niegrzeczna dla swojej niani.

Wzięła moje farby i naffl*

138

iowała na ścianie sypialni okropną jędzę. Rosie była wściekła, Sybil próbowała przeproszać, lecz Maja nalegała, żeby zostawić dzieło.

Nie wiem, kogo ten obraz ma przedstawiać, powiedziała ale "on błyszczący. To dziecko ma talent".

Sybil i Maja spędzały mnóstwo czasu, siedząc z głowami blisko siebie. Bez przerwy paliły. Znikały w gabinecie mamy i siedziały tam w chmurze dymu.

„Mamusia tak naprawdę wcale nie jest chora, powiedziała mi Fever. Ona jest nieszczęśliwa“.

Pewnego dnia byliśmy z Fever w ogrodzie. Okno gabinetu Mai było otwarte i docierały do nas fragmenty rozmowy, wypowiedane to jednym, to drugim głosem... podtrzymać cię na duchu, przeżywasz takie męki... często zarzucam sobie, że próbuję zebrać o współczucie, do którego nie mam prawa... nie, nie, jeśli ktoś ma szczerze serce, nie przestanie kochać ludzi... niewyobrażalne katusze dla tych, którzy są bezpośrednio uwikłani... nie wolno ci się zamartwiać, nic się nie stanie... doprowadzać się do nudności co najmniej raz dziennie... to tylko ściąga na ciebie złe sytuacje... Maju, to jest taka groza... nie jesteś religijna, ale kiedy modlitwa przychodzi ci do ust, wypowiedz ją z całkowitym skupieniem i wiarą że jesteś bezpieczna...

„Chodźmy“, szepnęła Fever. Była bardzo poruszona. Nie rozumiałem dlaczego.

Poszliśmy szukać Juli. Krowy i bawoły z wioski rozproszyły się na podnóżach Bicchaudy, skubiąc ajwain, który przesyca powietrze na zboczach wzgórz wonią oregano o podwójnej sile.

— Nie trzeba będzie tak daleko chodzić, kiedy przyjdą deszcze — powiedział. Spędziliśmy z nim cały dzień, uganiając się za krową, która lubiła wędrować.

— Hej, Pandri! Hambal

— Naucz mnie, jak to się robi. Więc nauczył ją okrzyków.

— Hamba. Chodź tu! Haiki Idź! Haalyal Odwróć się! Trrru albo hurrool, kiedy chcesz, żeby biegly.

•— Możemy pomóc ci zaprowadzić je do domu?

139

— Pewnie. A potem możecie do nas wejść. Pójdziecie^ Mama się ucieszy. Na pewno zrobi poli.

Próbowałaś p0u Fever?

Fever odwróciła się do mnie i spytała:

— Możemy iść? Proszę.

— Możemy robić, co nam się podoba — odpowiedziałem. Fever biegała, ćwicząc poganianie krów.

— Znasz imiona wszystkich?

— Jasne.

— Więc jak się nazywają?

— No dobrze, to jest Gaulan, ona jest grzeczna. Ta biała to Pandri. Lubi się włóczyć i odchodzić od stada. Trzeba mieć na nią oko. Ta (ciemna krowa z białą plamą na czole) nosi imię Chandri, bo ma znak księżycy.

— Gdzie ona chodzi?

— Lubi cień, więc podchodzi do drzew. Ale czasem przewędruje wiele kilometrów — na Bicchaudę, Dagalę, Dinkarę.

— Dinkara? Gdzie to jest?

— Tak daleko, jak można zajść w jeden dzień. — Jula wskazał stożkowaty, błękitny wierzchołek wznoszący się nad dalszym stokiem Dagali.

— A ten następny?

— Tamten? Nie ma nazwy. To jest wzgórze hen, hen. Fever wskazała najbłedszą, najodleglejszą linię gór, mgliście niebieską, ledwie odcinającą się od nieba.

— A tamte?

— Tamte? — zdziwił się Jula. — Nie wiem. To są chyba wzgórza hen, hen i jeszcze dzień.

Rosie, ayah, zawsze szukająca nowych sposobów, żeby nam dokuczyć, doniosła Mai, że jedliśmy w domu Juli.

Mama powiedziała: „Cieszę się, że odwiedzacie Julę, ale ich nie stać na to, żeby was karmić”.

Jula miał troje młodszych braci i siostr. Wszyscy biegali nago, przepasani sznurkami, ale byli lepiej odżywieni niż niektóre dzieci z wioski, których wzdęte brzuszki sprawiały, że wyglądały jak garnki na patykach.

140

ja przeważnie piję tylko mleko”, powiedziałem mamie. Kilka dni później przed naszym domem rozległo się męskie wołanie: Haiki Trrooo!

...Dziadek się ucieszy, mówiła Maja. Jego zbląkana synowa wreszcie nabiera rozumu”. Staliśmy w stodole obok kurczaków, obserwując cztery duże bawoły, żujące zieloną paszę.

„Był nieprzejednany, kiedy przyjechali odwiedzić nas w Bombaju. Robiłam, co mogłam, żeby było im jak najlepiej, ale i tak wszystko było źle: owoce rozmiękłe, warzywa z bazaru nie miały smaku”.

— Tu bezbłędnie udała pomruk dziadka. — «To ma być oberżyna? Powinnaś zobaczyć moje w domu... To jest pomidor? Nasze mają o wiele więcej soku». Babcia kiwała głową jak lalka. Dziadek stwierdził, że nie może pozwolić, żebyśmy karmili dzieci tą nędzną papką choćby jedną chwilę dłużej. Powiedział, że będzie musiał nam przysłać kosze z ich ogrodu. Podaliśmy im mango Alfonso z Crawford Market. Babcia skrzywiła się i przysięgała, że dzięki mango tukhmi w Kumharawie mają więcej smaku. «Przyślemy wam mango z domu». Ale krowa była ostatnią kroplą, która przepelniła czarę”.

„Opowiedz, proszę!”, zawołała Sybil, zanosząc się śmiechem. Pierwszy raz od czasu choroby

widziałem ją roześmianą. Pasowało to do niej. Była taką uroczą, radosną kobietą, zanim zachorowała.

„Dziadek powiedział: «Ci mleczarze to dranie». Pokłócił się z doodhwalla. Zapytał go, czy tylko dolewa wody do mleka, czy do niego sika? Biedak był bardzo obrażony, chociaż oczywiście dolewał wody do mleka. Wtedy dziadek rzekł do nas: «Musicie trzymać własną krowę». Zauważyłam, że mieszkając w mieście, nie mamy jej gdzie trzymać. «Co za bzdura! Na dole widzę kawałek łączki. Tam możecie ją przywiązać». «Ależ dziadku, to jest trawnik». Przed wyjazdem oznajmił: «Te bom-bajskie krowy są do niczego. Przyślę wam krowę z Kum-harawy»". Kobieta z wioski przysłała wydoić bawoły; Maja wyjaśniła, Po co je kupiła. Postanowiła rozdawać mleko dzieciom w oko-

141

licznych wioskach. Sama je roznosiła, chodząc od wioski do wioski, a dwóch mężczyzn dźwigało za nią na drągu wielką bańkę. Sybil towarzyszyła jej w tych eskapadach, a czasem Phoebe i ja też się za nimi włóczyliśmy. Dzieci wybiegały nam na spotkanie z blaszanymi kubkami i małymi garnkami. Gdy piły, mleko ściekało im po brodach.

Pogoda była nieznośnie gorąca. Tak jakby duchota z wji brzeży wspięła się aż na ghaty.

— Jest całkiem inaczej — powiedziała Fever. — W zeszłym roku było zielono. Teraz wszystko jest suche.

— To dlatego, że przyjechałaś, kiedy deszcze już się zaczęły. Fever nigdy nie widziała na własne oczy zmiany pór roku, cudu, którym jest koniec suszy.

„Posłuchajcie, dzieci, powiem wam, jak to będzie.

Teraz jest nie do wytrzymania, a robi się goręcej. I jeszcze goręcej. Kiedy będzie się wydawać, że żadne żywe stworzenie, człowiek, zwierzę czy roślina nie zniesie tego dłużej, na zachodzie pokażą się pierwsze chmury.

Chmury zgromadzą się za wzgórzami jak armia rydwanów. Blask słońca osłabnie. Gdy pierwsi harcownicy zasłonią jego twarz, na stoku Bicchaudy drzewa zaświecą jak klejnoty dziwnym, zielonkawym blaskiem. Po dolinach przetoczą się wielkie, powolne grzmoty. To stukot kopyt nadciągającej ulewy.

Pierwsza ciężka kropla uderzy o ziemię. Potem druga. I jeszcze jedna. Na suchej ziemi pojawią się lamparcie cętki. Ziemia odetchnie z ulgą, jej oddech rozniesie woń ziół i minerałów. Wzgórza znikną za zasłonami deszczu. Przez jego dudnienie słyhać będzie, jak cały świat ożywa ciurkaniem, szmerem i gulgotaniem wody. Tam, gdzie w spękanej ziemi są zagłębienia, utworzą się kałuże. W ciągu kilku godzin zamienią się w sadzawki, a potem w bajorka z błotnistymi strumieniami' Jeśli Jula będzie wtedy na zboczu góry, założy irrlę i przykryje głowę liśćmi. W Karvandzie jego mama i inni wieśniacy wyją z domów i wyciągną ręce ku ciężkim deszczowym chmurom «Obyście nigdy nie rozdzieliły się od błyskawicy». Wzgórza zazielenia się w jedną noc. Utworzą się wodospady

142

/niknie świat, jaki znamy. Ziemię pokryje deszczowy las wysokości piętnastu centymetrów, a przebiegać go będą patrole zerwono-czarnych krocionogów, których kły mogą przeciąć skórę buta. Ogromne czarne motyle z żółtymi tylnymi skrzydłami wylecą na stoki wzgórz.

przez dwa tygodnie strumieniami płynąć będzie woda brązowa niczym herbata Indian Railways, a potem, jak na umówiony sygnał, oczyści się i ujrzymy w nurcie rośliny i maleńkie rybki — skąd się biorą, nikt nie wie. Kraby, czarne i żółte, pojawią się na polach, gdzie kobiety sadzą ryż. W połowie stoku Dagali widać w skale okrągłe otwory. Górale używają ich do warzenia alkoholu. Robią to w marcu: wlewają wodę, wrzucają kwiaty drzewa mahua i inne rzeczy, a potem zatykają skalne słoje gliną, trawą i krowim łajnem. Gdy przychodzą deszcze, otwory, które nie są zakryte, zmieniają się w wodne ogrody, z roślinami i małymi skaczącymi rybkami. Poczekajcie, a sami to zobaczycie".

W taki sposób Maja opisała nadejście monsunu.

Lecz deszcze wciąż nie nadchodziły.

Te ostatnie skwarne dni były najlepszą porą, żeby podglądać zwierzęta (i polować), bo zostało

bardzo niewiele zbiorników wodnych.

„Zabierze nas pan na polowanie, kapitanie Sahib?”

Fever zadała to pytanie, przekrzywiając uroczo główkę, a mój ojciec, który skąpił uwagi swoim własnym dzieciom, natychmiast uległ. Zaplanowano więc wyprawę. Ojciec i Babu mieli wybrać się do bajorka, które zostało ze skurczonego jeziora, i zapolować na dzika.

Położyliśmy się spać wcześniej. Kiedy nas obudzono po północy, upał zelżał o kilka stopni. Było prawie chłodno, więc Jedliśmy, opatuleni, na tylnym siedzeniu dżipa. Nasz kucharz, Jellija, zajął miejsce obok nas z prymusem i pudłem z jedze-mem. W nocy miał gotować herbatę, a rano zrobić śniadanie.

Babu jechał wyboistymi leśnymi duktami, reflektory wyla-

143
wiały z mroku czarne drzewa; liście wisiały tuż nad naszymi głowami, konary przesuwaly się nisko, tak że musieliśmy się schylać. Dżip podskakiwał w koleinach, omijał kamienie, wzbijając tumany gęstego, słodkiego, czerwonego kurzu. Na każdy kolejny zakręt Babu miał nową historię. Jeden z traktów, które mineliśmy, prowadził do małego jeziora, bardzo głębokiego. Wieśniacy tam nie chodzili, bo rzekomo było nawiedzone, więc ryby rosły w nim ogromne. Wystarczyło zaświecić latarką w wodę i od razy wypływały spiralami z głębin. Babu powie-dział, że najłatwiej je łowić, strzelając do nich ze strzelby, j Jellija był z każdą chwilą bardziej podekscytowany.

— Babu, jaanvar dekhenge jaroor? Рикка?

— Arre yaar — odparł Babu, który lubił drwić z wielkomiejskich, bombajskich min kucharza,— yeh terē ghar ke log thodi hain. Aate jaate hain. Is hi liye to jungli kehlate hain. Pory posiłków thodi rakte hain\

— Z czego się śmiejesz? — spytała szeptem Fever. Więc jej powiedziałem.

— Jellija zapytał: „Babu, czy na pewno zobaczymy zwierzęta? РиккаГ, a Babu na to: „Arre yaar, one nie są twoimi domownikami. Przychodzą i odchodzą. Właśnie dlatego nazywają się dżungli. Rzadko trzymają się wyznaczonych pór posiłków”.

Patrzyliśmy więc. W świetle reflektorów zauważyliśmy jednego łuskowca, przemykające wśród drzew duże małpy, kilka zajęcy i ogromną wiewiórkę skaczącą w koronie tamaryndowca.

Gdy dżip się zatrzymał, szliśmy ze dwa kilometry w ciemności ścieżką wijącą się wśród wysokich traw, które błyszczały w blasku latarek jasno jak włosy blond. Wreszcie dotarliśmy do miejsca, gdzie Babu zrobił kryjówkę z suchych kolczastych gałęzi, nad brzegiem jeziora, do którego zwierzęta przychodziły pić wodę.

— Bądźcie bardzo cicho — ostrzegł nas ojciec. Upłynę» może godzina. Poczulem głód.

Zaburczało mi w brzuchu.

— Co to było? — spytał kapitan Sahib. Fever zache» chichotać i nie mogła przestać.

III

Prawie świtało, na niebie ukazały się pierwsze smugi świat» nad górami hen, hen i jeszcze dzień.

144

Babu i ojciec postanowili wziąć strzelby i wyruszyć na poszukiwanie leśnych ptaków. Fever i ja nie chcieliśmy zostać « Jellija więc poszliśmy na spacer.

]Vlimo że było tak wcześniej, upał już się zaczął. Trawa była j^ucha. Na drzewach w dżungli leżało mnóstwo kurzu, ale ^ ich cieniu panował chłód. Na polanie natknęliśmy się na drzewa mahua z bliznami w miejscach, gdzie ludzie zrobili nacięcia, żeby zebrać odurzającą żywicę.

.— Jeśli będziemy siedzieli spokojnie, zobaczymy niedźwiedzia?

Maja powiedziała, że niedźwiedzie i dzikie świnię często przychodzą lizać nacięcia na drzewach mahua, więc wdrapaliśmy się na najbliższe i czekaliśmy. Las tonął w brązach, ochrach i żółcieniach, panowała w nim głęboka cisza.

— Bha!u, ktoś tu jeszcze jest oprócz nas.

Lecz ja w mozaice światła i liści niczego nie widziałem.

— Tam!

W plamie głębokiego cienia, obok drzewa mahua, stał mężczyzna. Naprawdę tam stał? Układ cieni się zmienił i mężczyzna zniknął.

Na wzgórzach mieszkali ludzie, o których nawet wieśniacy wiedzieli niewiele. Ciemnoskórzy, prawie nadzy, noszący ze sobą łuki. Dhondu powiedział mi, że nazywają się Kathodi.

„Trzeba uważać. To mistrzowie czarów”.

Spotkaliśmy mojego ojca i Babu wracających z dżungli ze strzelbami i ptakiem do garnka.

Zostaliśmy z tyłu, udając, że też mamy broń, i strzelaliśmy do wszystkiego, co się poruszyło.

Ścieżka wiodła przez polanę, gdzie piorun powalił duże drzewo, tworząc wyrwę w zielonym baldachimie. W takich miejscach często widywało się niezwykle motyle. Prawie dotarliśmy na

drugą stronę polany, gdy Babu, który prowadził, zatrzymał się tak nagle, że ojciec prawie na niego

wpadł. Podniósł rękę gestem myśliwego, który oznacza „Cicho, sza! stać”, i bardzo Powoli wskazał

coś ruchem brody. Wśród drzew na skraju lasu stał człowiek i nas obserwował. Miał ciemną skórę,

ciemniejszą niż wieśniacy, i zdawało się, że jest nagi. Przez kilka sekund Patrzyliśmy na niego, a on

na nas, a potem, ku mojemu zaskoczeniu, ojciec zrobił krok do przodu ze skrzyżowanymi

145

>¥)

l B Ж. P ^ i -*0

I Li-

s

J-

ł« "" Fr' -i

g B fe^

3" g

e-Ś. ĩ',5. e:

a ,o

*3

ag

pa -O ■-<. Sfi. § ^

ST S

3

o

I

* S-

2

w geście szacunku rękami i krzyknął pozdrowienie w marathi Mężczyzna odpowiedział w tym samym języku i wyszedł pomiędzy drzew. Dobrze mu się przyjrzałem. Nie miał na sobie nic oprócz małej sakwy. W rękę trzymał łuk, a u jego przepaski biodrowej wisiała martwa lal-chuha, wiewiórka ziemna. Zaczęli rozmawiać z Babu, za szybko, żebym mógł zrozumieć, lecz z machania ręką i skomplikowanego kręcenia dłonią odgadłem że tajemniczy człowiek mówi nam, dokąd odeszła leśna zwierzyna. Uśmiechnąłem się szeroko i wycelowałem w niego z mojej nieistniejącej strzelby. Ojciec gniewnie strącił niewidzialną lufę, „Jest młody i pusty”, rzekł mój ojciec, a mężczyzna roześmiał się i zrobił dłonią coś w rodzaju gestu upomnienia. Ojciec dał mu ustrzelonego ptaka i w ten sposób wróciliśmy do domu z pustymi rękami.

Bydło wzbudziło entuzjazm mojego ojca. Powiedział, że ciepły odór zwierząt przypomina mu dzieciństwo w Kumhara-wie i dojenie krów. Zaczął snuć plany otwarcia mleczarni i zasugerował, że moglibyśmy zatrudnić Julę na pełny etat. Maja zawetowała pomysł. Zrobiłaby to i tak, teraz wiem, lecz bezpośrednią przyczyną był nietaktowny pan Daruwalla, nasz nauczyciel, kanciasty młodzian w bladocytrynowym garniturze, który w czasie lekcji zwykł stawać przy oknie z chusteczką przy nosie, spoglądając z niesmakiem na zakurzone wiejskie otoczenie.

Fever nie cierpiała lekcji. Wiele czasu poświęcaliśmy rachunkom. Uczyliśmy się też historii, lecz w przeciwieństwie do mnie, Fever nie zajmowała się Akbarem, Aurangzebem i Shi-vadżim. Zamiast tego pan Daruwalla pytał ją: „Co się stało w tysiąc sześćdziesiątym szóstym roku? Kto był ostatnim z Plantagenetów?”.

Jeśli Jula znalazł się akurat w pobliżu, stawał przy oknie i robił miny albo rzucał w szybę kamykami i uciekał. Pan Daruwalla otwierał szeroko okiennice i wrzeszczał: „Ty mały ignorancie. Zmykaj stąd!”.

Uczył nas też literatury. Czytał nam Makbeta, a Fever, która twierdziła, że rozumie piąte przez dziesiąte, okropnie się nudziła. Pewnego razu Jula przyszedł nas, szukać i zastał Majś

146

• gybil siedzące w końcu pokoju, zasłuchane. Pan Daruwalla nie śmiał krzyknąć na Julę w ich obecności, więc powiedział mu, że może poczekać.

Rychłoż się zejdzien znów przy blasku Błyskawic i piorunów trzasku?

Daruwalla deklamował dźwięcznie, z całą siłą zaznaczając wagę każdego słowa w wersji.

Wierciłem się, szturchając Julę, ale on nie zwracał na mnie uwagi — słuchał jak zaczarowany.

Gdy bitwa owdzie wrząca Dociągnie się do końca. Czyli przed zachodem słońca'.

Gdy nauczyciel skończył, Jula zaklaskał głośno.

„O rety, dziękuję bardzo!”, rzucił ze zjadliwym sarkazmem Daruwalla.

Ale Maja zapytała Julę, czy naprawdę podobała mu się przemowa.

„Nic a nic nie zrozumiałem, ale brzmiało fajnie, odparł, a potem udał, że wali dłonią w dholak. To było jak bębnienie”.

Właśnie po tym epizodzie ojciec zaproponował, żeby zatrudnić Julę do naszych bawołów, a Maja się nie zgodziła. Obwieściła, że Jula musi iść do szkoły.

„Szkoła nie jest dla takich jak my, rzekł Dhondu, gdy to usłyszał. Jula musi pracować, tak samo jak ja w jego wieku”.

Lecz Maja wyjaśniła, że szkoła powstanie w wiosce. Powiedziała, że znajdzie nauczyciela.

Wszystkie wiejskie dzieci, które zechcą będą mogły chodzić na lekcje za darmo.

Otworzyła dziennik i napisała:

/• Jula.

Fever przyszła do mnie z zatroskaną minę.

— Stało się coś złego, nie wiem co. — Był telefon do Sybil

William Szekspir, Makbet, przekład Józefa Paszkowskiego

147

z Bombaju. Odebrała go w gabinecie Mai i wyszła, wyglądając jak duch. Maja podbiegła do niej natychmiast. „Co się stało? O co chodzi, kochanie?”. Weszły do gabinetu. Fever przyłożył ucho do drzwi.

— Niewiele usłyszałam — powiedziała do mnie. — Coś o „listach” i o „szatanie”. Nie wiem, co to znaczy. — Zastanowiła się chwilę. — Możemy zapytać twoją mamę?

— Ona nic nam nie powie. Jesteśmy tylko dziećmi. Marny niczego nie wiedzieć.

— To straszne, być tylko dzieckiem! — wykrzyknęła Fever. A potem z tą dziwną,

charakterystyczną ostrożnością dodała: — Chciałabym, żeby mama wzięła się w garść.

— Szatan to inaczej diabeł — wyjaśniłem. — Demon. Zły duch.

Spojrzała na mnie.

— Bha!u, wiesz, co Jula powiedział o kapliczce na wzgórzu? O spełnianiu życzeń? Chcę tam pójść.

— Dobrze, jeśli nie boisz się duchów.

— Pewnie, że nie — odparła z przyganą. — A ty?

— Nic a nic — skłamałem. — Tylko że na razie nie ma po co tam iść. To musi być noc, z grzmotami i błyskawicami.

Ścieżka na zboczu Bicchaudy wiła się wśród pobielających traw i niskich zarośli. Wiodła w górę, zbliżając się do skraju bazaltowego urwiska, które w czasie deszczów stawało, się śliskie od wody, z paprociami wyrastającymi z każdej szczeliny. W oddali, po drugiej stronie jeziora, w rozgrzanym

upałem powietrzu lśnił wierzchołek Książęcego Nosa.

Wreszcie, na polance blisko szczytu góry, stanęliśmy przed maleńką, pobieloną wapnem kapliczką. Była nie większa od kredensu i otwarta. W otworze wisiała girlanda ze zwiędłych nagietków. Schyliliśmy się i zajrzeliśmy. Ze środka gapiała się na nas para obłąkanych oczu. Na ziemi stał na sztorc płaski czerwony kamień ze zrobionymi ze srebrnego papieru, szeroko otwartymi oczyma z czarnymi kropkami źrenic. Nieopodal z ziemi wyrastał wysoki głaz, pomazany cynobrem. Wokół leżały rozsypane kwiaty. Głęboko w lesie widzieliśmy więcej

148

takich kamieni, zaznaczonych czerwonym proszkiem lub girlandami kwiatów. Babu powiedział, że Kathodi oddają im cześć, jen dziki człowiek, którego widziałeś, Bhalu, on jest panem lasu"- Górskie plemiona nie miały właściwych bogów, czciły różne złe rzeczy, które mogły im zaszkodzić, mając nadzieję, że w ten sposób je od siebie odsuną. Ich bożkami były nag--devta, haiza-devta, chechak-devta, Pan Kobra, Pan Cholera, Pan Ospa.

Kapliczka była inna. Należała do Jaakmaty. To było imię, pod którym znali ją mieszkańcy wioski. W mieście nazywano ją Kali albo po prostu Ma.

— Będziemy musieli wrócić w nocy — powiedziała Fever.

— A co ze złymi duchami?

— Nie boję się ich. To tylko bajki, one nie są prawdziwe.

Nie wróciliśmy tego roku. Ani wśród grzmotów, ani w deszczu. To, co zapamiętałem z tego jasnego, błękitnego dnia, to nie wściekły upał ani cudowny widok, lecz drobiazgi: brzęczenie owadów w trawie, szmer suchych liści, migotliwe fale rozgrzanego powietrza nad stokami. A przede wszystkim głęboką, czystą, jasną ciszę. Spokój.

Rosie

(Ambona Hills, maj-czerwiec 1960)

Te trzy monsuny, które spędziliśmy w Ambona, zlewają się w mej pamięci w jedną długą sielanekę, pułapkę szczęścia. Dzięki temu, że byłem ciągle w ruchu, rosnę i nabierałem siły. Umiałem wjechać rowerem na stromą ścieżkę, wspinać się na wysokie drzewa. Las mnie znał. Nim przyjechały po raz ostatni, w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym roku, czułem, że ja też, tak jak Kathodi, jestem panem lasu.

Sybil, Phoebe, Rosie. Koniec z panem Daruwallą. Phoebe była wyższa, bardziej dorosła, choć trudno to określić, kiedy ma się tylko dziesięć lat. Nie nosiła już tych staroświeckich sukienek. Gdy zostaliśmy sami, zdjęła okulary. Bez nich wyglądała bardziej dziecinnie.

— Bhalu, dzieje się coś bardzo niedobrego — powiedziała.

— Co się dzieje?

— Nie wiem. Ale właśnie dlatego przyjeżdżamy. Mama jest bardzo biedna. Dużo płacze i kłóci się z moim tatą. Potem on się gniewa i wychodzi, z ponurą miną. Rosie mówi, że służący podśmiewają się z mamy. Nie mogę tego znieść. Nie wiem, czy kiedyś jej się polepszy. — Odwróciła głowę, a potem dodała: — Czasem nienawidzę Rosie. Ona wygląda tak, jakby to wszystko sprawiało jej wielką przyjemność.

— Ja też jej nienawidzę. Bo przez nią jesteś nieszczęśliwa.

— Bhalu — rzekła poważnie Fever. — Muszę je zobaczyć-Te duchy. Chodźmy poszukać Juli.

W ciągu dnia Jula był w wiejskiej szkółce, uczył się czytać i pisać, a krowy pasł przed i po lekcjach.

Wciąż chodziłem *

150

niego po powrocie ze szkoły w Ambona. Rzuciłem teczkę, zdzierałem z siebie koszulę i wybiegałem na deszcz, ubrany w same szorty.

— Fever chce iść do świątyni — powiedziałem. — Co? Teraz?

— Nie, pewnie że nie — zaoponowała Fever. — W nocy. Kiedy będzie burza.

— Oszalałaś?

— Nie. Czy duchy naprawdę spełniają życzenia?

— Mówisz poważnie? — spytał Jula. Z początku myślałem, że się z nią drażni, ale on rzekł: — Jeśli tak, zaprowadzę cię do kogoś, kto wie.

Ruszyliśmy za Julą w górę po zboczu Bicchaudy. Ścieżka wiodła przez dobrze znane pastwisko krów, między drzewami karvandy, obok okrągłych kęp pierzastych bambusów, lecz Jula poszedł odgałęzieniem, ledwie widoczną ścieżyną z ubitej trawy, prowadzącą w las. Dróżka wspinała się po skalnych wystęпах i korzeniach, sterczących ze stoku wzgórza jak stopnie. Wkrótce Fever zaczęła zostawać z tyłu. Nawet mnie trudno było iść. Ścieżka zagłębiła się w gąszcz krzaków i znikła. Jula, który szedł naprzodzie, też się rozplątał. Po chwili usłyszeliśmy jego gwizd i zobaczyliśmy głowę i ramiona wynurzające się spod krzaka lantany. Niski tunel w podszyciu lasu wyglądał tak, jakby wydeptały go jelenie. Zaczepialiśmy się o kolce, gałęzie targały nas za włosy, lecz czołgaliśmy się dalej, aż dotarliśmy do polany, której nigdy przedtem nie widziałem. Zewsząd dobiegały krzyki zaniepokojonych ptaków, tur-r-r-rkukur-kotur-kotur, w słońcu błysnęły zielone skrzydła. Następny tunel wśród ciemnych krzewów, odchodzący w bok, wyprowadził nas na ścieżkę, na której mogliśmy się wyprostować. Pod naszymi stopami znów pojawił się ledwo widoczny zwierzęcy szlak. Zaraz potem zaczął S1? stromy spadek, zakończony w suchym korycie strumienia. Po ^giej stronie las był ciemniejszy. Szlak wspinał się na wzgórze P°d niemożliwym kątem, by po chwili zginąć w mroku lasu.

Gdzie jesteście? — zapytał Julę. . Przeszliśmy na górę Dagala — odparł. — Musimy wspiąć SIS wyżej i pójść zachodnim grzbietem.

Znów zaczęliśmy piąć się szlakiem prowadzącym w górę

151

przez zarośla kawandy i innych drzew, których nazw nie znałem. Wokół jednego, oplecionego gęstymi pnączami z żółtym kwieciem, uwijała się gromada różowych łuszczaków, trzepocząc skrzydełkami i nurkując w kielichach kwiatów. Las był tu dziksz niż na Bicchaudzie, drzewa wyższe, ich korzenie zacieklej wczepiały się w spadzisty grunt. Z konarów zwisały martwe liany. Podłoże lasu było ciemne, lecz z prawej strony zaczęliśmy dostrzegać jasne przebliski światła wśród listowia.

— Nikt z mojej wioski tu nie przychodzi — szepnął Jula. — Nie do tej części lasu. Nawet drwale.

— Dlaczego nie? — zapytała Fever, też szeptem. Mówienie na głos wydawało się nie na miejscu.

— Powiadają, że ten las należy do złych duchów.

— Więc dlaczego ty przychodzisz? — wyszeptwała Fever.

— Byłem tu tylko raz. Goniłem tę przebrzydłą Pandri.

Zgubiła się gdzieś tam, na dole. Po drugiej stronie. — Machnął ręką. — Zacząłem się wspinać... Wydawało się niemożliwe, aby takie miejsce mogło być., domem jakichkolwiek złośliwych istot.

— Co to?

Głośnie brzęczenie pszczół. Małe ciemne kształty śmigające wokół nas.

— To jastrząb pszczołojad. Szuka plastrów miodu.

Podnieśliśmy głowy, lecz Jula rzekł:

— Są tam.

Pierwszy raz uświadomiłem sobie, że znajdujemy się na skraju urwiska. Drzewa poniżej przywarły do niemal pionowego zbocza. Ciemna chmura pszczół wisiała pięćdziesiąt stóp niżej. Na gałęzi nieopodal siedziała ich zguba, ciemny, czekający cierpliwie, krogulcowaty kształt.

Z niepokojem pomyślałem o Phoebe i zatrzymałem się. A jeśli spadnie? Ale ona dzielnie wspinała się za nami. Jula wysforował się do przodu i znikł z pola widzenia. Znalazłem wiszącą gałąź, której można się było uchwycić, i dałem jej znak, żeby poszła przede mną. Gdy przesuwała się tuż obok, nasze twarze się zbliżyły. Pocałowała mnie w usta i powiedziała: „Kocham cię, Bhalu”.

Dogoniliśmy Julę dziesięć metrów dalej. Wskazał ręką. N3

152

konarze bujającym się nad setkami metrów powietrza, wśród liści spał sobie smukły zielony wąż ze spiczastym pyskiem.

Z- Nie ma czegoś takiego na Bicchaudzie.

— Och, jest — sprostował Jula. — Na Bicchaudzie też, po Hrugiej stronie, z dala od jeziora i drogi. Ale on mieszka tutaj, a nie tam.

— Kto tu mieszka?

— Wasz czarodziej Kathodi, jaadugar purush.

Ścieżka wznosiła się nad skalnym występem do miejsca, gdzie drzewa rosły w gęstej masie, a pod nimi zalegał głęboki cień. Tam, gdzie drzewo runęło, światło było tak jasne, że na moment oślepiało. Minęliśmy taką właśnie lukę z drzewem koralowym, bezlistnym o tej porze roku, oblepionym na koniuszkach gałęzi pomarańczowymi kwiatkami, przy których uwijały się ptaki. Nieopodal stał szałas — bo nie można było tego nazwać chatą — upleciony z trzciny i liści. Wewnątrz, obok małego kręgu poczerniałych kamieni z ciepłym jeszcze popiołem w środku, leżał kociołek do gotowania. Jaadugar purush był tu niedawno, ale teraz nie było go w domu.

— Oto odpowiedź na twoje pytanie, Fever — rzekł Jula.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — zapytała.

— Był tutaj. Usłyszał, że się zbliżamy, i sobie poszedł. Nie chce, żebyś wchodziła w nocy do kapliczki.

— Musimy poczekać na błyskawicę.

— Oszalałaś?

— Bhalu, czy zawsze będziesz moim przyjacielem?

— Tak, będę — odparłem, czując, jak wkrada się we mnie przerażenie. — Nie boisz się?

— Pewnie, że się boję. Ale zrobię to. Musimy poczekać na burzę.

Siedzieliśmy na łózkach, na odległość ramienia od siebie. Czytałem.

— Może weźmiesz sobie jakąś książkę? — zaproponowałem.

— Poczytaj mi swoją.

Więc wróciłem do początku. Czytałem Puka z Pukowego

153

Wzgórza. Doszedłem do miejsca, gdy Puk skończył opowiada, nie dzieciom historii Welanda, który stał się Waylandem Smit-hem. Teraz jest gotów do odejścia. Mówi: „Obiecałem wam, że zobaczycie To, co zobaczycie, i usłyszycie To, co usłyszycie chociaż To się zdarzy trzy tysiące lat...”.

„Będziesz tutaj, kiedy znów przyjdziemy?”, spytały dzieci.

„Pewnie. Pew-nie, mówi Puk. Trochę już tu jestem. Ale chwileczkę”. Daje każdemu po trzy liście: Dębu, Jesionu i Głogu.

— Gdybyśmy my mieli przyjaciela takiego jak Puk — powiedziała Fever. — Moglibyśmy go wyczarować dębem, jesionem i głogiem.

Przez kilka następnych dni próbowaliśmy z mango, karvan-dą i limonaj z sal, mahua i palasą; z mogrą, purpurową balsą i jaśminem.

W noc, kiedy to się stało, położyliśmy się spać jak zwykle. Obudziłem się nagle, w całkowitej ciemności. Potrząsała mnie mała ręka.

— Bhalu, posłuchaj.

— Fever? Co się stało?

— Cii, słuchaj.

Nasze oddechy. Bicie mojego serca. Potem usłyszałem to, słabutki pomruk. Jak pantera za oknem.

— Spójrz tam.

Niebo na zachodzie rozświetlały błyski, które na mgnienie oka wydobywały z mroku kontury wzgórz. Gdy tak patrzyliśmy, błysnęło od strony Książęcego Nosa i wąski zygzak energii runął na ciemną ziemię.

Westchnienie wśród drzew za oknem, pierwsze dotknięcie chłodu.

— Tysiąc, dwa tysiące, trzy tysiące, cztery tysiące, pięć-tam!

Znów niski pomruk, jak burczenie w brzuchu wygłodniałej pantery.

— Osiem kilometrów stąd. Musimy się spieszyć. - Która godzina? Chyba nie chcesz...?

154

- Wpół do trzeciej. Właśnie że chcę. Ubieraj się. Tylko po cichu. Nie możemy obudzić starej jędzy. Noc była duszna. Naciągnęliśmy na siebie cienkie szlafroki i na paluszkach prześliznęliśmy się

obok pokoju, w którym spała Rosie. Leżała na łóżku, jej starą, zniszczoną postać okrywało cienkie prześcieradło, siwe włosy rozsypały się na poduszce. Żeby tylko się nie obudziła, proszę. Tego dnia, kiedy nie zdołaliśmy znaleźć jaadugara purusha, było ciemno, gdy dotarliśmy do domu. Maja i Sybil czekały na nas w stanie zbliżonym do paniki. Pytały, gdzie byliśmy, i czy widzieliśmy kogoś na górze. „Nie wolno ci więcej wychodzić samej”, powiedziała Sybil do Phoebe. Maja dodała, że od tej pory Rosie musi mieć nas na oku, dokądkolwiek będziemy szli.

Jeszcze nie padało, lecz księżyc skrył się za niskimi chmurami i panowała gęsta ciemność. Ścieżka na Bicchaudzie wyglądała jak biała linia, drzewa po obu stronach przybrały groźne kształty. Mieliśmy latarkę, ale snop jej światła sprawiał, że świat za nim wydawał się czarniejszy.

Błyskawica znów rozjaśniła niebo nad Książęcym Nosem. Groteskowe kształty skoczyły do naszych stóp i pomknęły po stoku wzgórza. Baliśmy się, lecz żadne z nas by się do tego nie przyznało. Mieliśmy ochronę: sznur suchych czerwonych chili, na którym wisiała pomarszczona limonka. Wzięliśmy go z kuchennej sieni, gdzie kucharz Jellija powiesił go, żeby odpędzał złe duchy. Fever miała na szyi srebrny medalion Rosie. Kiedy nacisnęło się zamek, otwierał się, ukazując emanujący spokojem wizerunek, trochę podobny do Madonny.

— Święta Rodenda — wyjaśniła Fever. — Rosie mówi, że chroni ją przed diabelskimi siłami.

— Diabelskimi? — Widziałem portret diabła z rogami, kopytami i ogromnymi skrzydłami jak u nietoperza. Nieprzyjemnie było pomyśleć o tym, co czeka nas na szczycie.

— Wierysz w diabła?

— Nie! Nie trzeba w niego wierzyć, jeśli jest się Hindu-sem- — Ale ja wierzyłem w rakshasy.

Więc może na jedno ^chodziło.

~~ Mamusia wierzy w diabła — powiedziała Fever. — Słyszałam, jak mówi, że do tej pory nie wiedziała, czym jest diabeł.

155

Ścieżyna wiła się po stromym zboczu usianym drzewami karvandy, a potem zanurzała się w leśnym gąszczu. Z drzew zwisały grube, martwe pnącza lian. Liście sal poruszały się w ciemnym powietrzu.

— Fever, nie mów o diabłach.

Dotarliśmy do skraju bazaltowego urwiska. Daleko w dole rozpościerała się powierzchnia jeziora, jak tafla gorącego at-ramentu. Księżyc wychylił się na chwilę zza chmury. Skała lśniła pod naszymi stopami.

„Uważaj, ostrzegłem Fever. Tutaj już padało”.

Jakby na potwierdzenie tego, od strony Książęcego Nosa zerwał się wiatr, chłodny, niosący ze sobą leciutką woń deszczu. Po kilku chwilach błysnęło potężnie i usłyszeliśmy ryk nadchodzącej ulewy.

„Złap mnie za rękę. Skała jest śliska”.

Fever wyciągnęła dłoń i chwyciła mnie tak mocno, że omal nie straciłem równowagi. Zanim przeszliśmy na drugą stronę, deszcz przestał padać. Jeszcze pięćdziesiąt metrów i znaleźliśmy się na polance z małą kapliczką o zacięzionym wnętrzu i ze stojącym kamieniem. Wszystko zalane było niepewnym blaskiem księżyca. Nie wiem, czego się spodziewałam, może bębnow — czasem słyszeliśmy dudnienie wysoko na wzgórzu i widzieliśmy punkcik ognia — płomieni z tańczącymi wokół monstrualnymi kształtami, rozpustnych śmiechów, demonów rozochoconych zabawą. Lecz polana była zupełnie pusta.

— Nic tu nie ma — stwierdziła Fever, prawie rozczarowana. Schyliłem się i zajrzałem do kapliczki. Błyskawica rozdarła niebo i oczy skoczyły z ciemności.

— Bha! tam coś jest!

— Nie bój się. To tylko kamień.

Ale ona patrzyła w stronę, z której przyszedliśmy.

— Schowajmy się! Prędko! — Złapała mnie za rękę i puściła się biegiem w stronę lasu. Ja stałem nieruchomo. W lesie mogło być wszystko.

— Bha! — pisnęła.

W tej samej chwili wkraczająca na polanę biała postać jakby zawisła w powietrzu, uchwycona w

ruchu przez ostry błysk pioruna, biała i lśniaca.

156

Wtedy i ja rzuciłem się do ucieczki. Bicchauda eksplodowała masą dźwięków. Zadudnił grom, błysnęło. Ze wszystkich stron dobiegały jakby poszepty wielu głosów wychodzących z pysków najeżonych ostrymi zębami. Kolce szarpały moją twarz, ramiona. Gdzie ona jest? Znow zaczęło padać, tak mocno jak przedtem. Kolejna potężna błyskawica. Zobaczyłem Fever przykucniętą u stóp wysokiego drzewa. Patrzyła na mnie i coś mówiła, lecz cokolwiek to było, utonęło w grzmocie nad naszymi głowami.

— Nie możemy tu zostać — krzyknąłem.

Popatrzyła na mnie szeroko otwartymi oczyma. Pociągnąłem ją-

— Musimy wracać do domu — zawołałem. Phoebe pokręciła głową.

— Nie! Nie! Tam coś jest!

Rozległ się przenikliwy wrzask i zamarł raptownie, jakby zduszony. A potem krzyk, który zawisł na wietrze.

Naszym światem stał się gruby korzeń, śliski od deszczu, oświetlany błyskawicami. Po drugim krzyku słychać było tylko odgłosy burzy. Korzeń utworzył coś w rodzaju jaskini, w której się skuliliśmy, przyciśnięci plecami do pnia, jakby to było zwierzę, mogące nas ogrzać. Fever się trzęsła, chociaż nie było zimno. Otoczyłem ją ramionami, a ona zacisnęła je jeszcze mocniej. Musiała być wyczerpana. Położyła głowę na moim ramieniu i zamknęła oczy.

W pewnej chwili, gdy tak spała, deszcz przestał padać. Ciemność lasu zamieniła się w szarość.

Między drzewa wśliznęło się blade światło, zwiastujące brzask. Groźne kształty zamieniły się w krzaki karvandy, wielki pazur przekształcił się w opadający konar mango. Zdawało się, że wbiegliśmy głęboko w las, lecz o świcie okazało się, że kapliczka jest nie dalej niż półtora metra od nas. Za polaną, przez kilometry pustego Powietrza widać było, że słońce już dotyka wierzchołków wzgórz za jeziorem.

Powoli zeszliliśmy z Bicchaudy. W blasku poranka wszystko Wyglądało inaczej. Burza zostawiła niebo czyste i błękitne jak

157

jajo gwarka. Z wysokiego grzbietu zobaczyliśmy słońce wscho. dzące za wzgórzami hen, hen i jeszcze dzień.

Dolina poniżej wciąż tonęła w cieniu. Ale wszystkie światła w domu były zapalone. Po stoku wzgórza chodzili ludzie z latarniami. Ojciec i służba wyszli nas szukać. W środku też panował straszny zamęt. Sybil leżała na kanapie. Moja matka siedziała obok. To był jedyny raz, gdy zobaczyłem ją płaczącą. Staliśmy z Phoebe, przepelnieni poczuciem winy, przerażeni i zaszokowani, patrząc na to, co spowodowaliśmy.

„Gdzie wyście byli?”, wrzasnęła Maja. Wy niedobre dzieci. Jak mogliście to zrobić? My tu odchodzimy od zmysłów”.

Sybil natomiast podbiegła, uściskała nas i scałowała łzy z naszych twarzy. „Dziękuję, dziękuję”, powtarzała, a ja zachodziłem w głowę, za co nam dziękuje.

Weszła służąca i powiedziała: „Proszę pani, ayah nie wróciła”.

Kilka godzin później słońce było już wysoko, kiedy wieśniacy przynieśli ją do domu. Za nimi szedł ciemnoskóry mężczyzna ubrany w samą przepaskę. Kathodi, jaadugar purush. Co miało znaczyć spojrzenie, którym nas zmierzył, przechodząc?

Wieśniacy powiedzieli, że Kathodi znaleźli ją pod urwiskiem na górze Bicchauda. Maja przetłumaczyła Sybil, która otworzyła szeroko usta i krzyknęła. W tej samej chwili zrozumiałem, co zobaczyłem wtedy na szczycie góry. Rosie poszła za nami. Musiała wstać z łóżka i wyjść, tak jak stała, w starej bawełnianej koszuli nocnej. Szła za nami po zboczach góry, sama, w ciemności, wśród deszczu i burzy. Zrozumiałem też wówczas ponad wszelką wątpliwość, że nigdy nie kierowała nią złośliwość ani n| w tym rodzaju. Ona naprawdę kochała Phoebe. Bo cóż innego mogło ją skłonić do tego, by wspinać się w czasie burzy po ciemnej, stromej górze? Biedaczka. Musiała być tak samo przerażona jak my. Czy to przez nasze wrzaski straciła nad sobą panowanie? Może próbowała uciekać. Była stara. Musiała się potknąć. Pośliznęła się... Była o wiele odważniejsza od nas. Fever

nie dała się pocieszyć. Szlochała i szlochała. Mówiła że to jej wina. Gdyby nie nalegała... Nie chciałem jej powtarzać,

158

mówili wieśniacy, a ja podслуchałem. Znaleźli Rosie z wykręconymi stopami. Może ayah przez cały czas była Haadal.

Resztę tego dnia zapamiętałem jako zły, pełen zamętu sen. przyjechała policja: ubrany w khaki inspektor i dwóch konstabli

дщБона. Zapytaliśmy Maję, czy nas aresztują. Oczywiście, że nie, odparła. To nie była wasza wina. Z powodów, których nie chcieli wyjaśnić, policjanci przeszukali cały dom. Otworzyli każdą szufladę, szafkę i kufer. Upierali się, że muszą przeszukać gabinet mamy i spędzili tam dużo czasu. Kiedy wreszcie sobie poszli, Maja próbowała nas pocieszać.

„Nie wasza wina, powiedziała. Wypadek”. Lecz ręka głaszcząca moje włosy zdrzęzała, a w głosie mamy coś usłyszałem. To ty mogłeś tam leżeć”.

Trumna stała w naszym domu, otwarta, tak że można było zajrzeć do wnętrza. Stara twarz Rosie była taka spokojna. Zręczna ręka przedsiębiorcy pogrzebowego zamaskowała siniaki, wygładziła skaleczenia. Przyjechał katolicki ksiądz z Ambona. Zapalono świece.

Przygotowania w dniu pogrzebu. Ojciec założył stary garnitur, kupiony w Londynie w czasie wojny.

Fever, ubrana w ciemną sukienkę i kapelusz, znów się rozplakała. „Chciałam jej oddać medalion, powiedziała. Powinnam była włożyć go do trumny. To moja wina”.

Maja wpadła na pomysł. Powiedziała, że każde z nas powinno dać coś, co jest dla nas cenne. Znalazła kwadratową puszkę na biszkopty, kazała ją umyć i wysuszyć. Wymościliśmy puszkę chustką, Fever włożyła do środka medalion. Nina powiedziała, że chce dać Rosie swoją lalkę. Ja oddałem procę. „Od każdego z nas też po jednej rzeczy”, rzekła mama. Poszły z Sybil do gabinetu. Kiedy wróciły, puszka była zaklejona taśmą i przewiązana sznurkiem.

Przyjechał z Bombaju ojciec Phoebe. James Killigrew. Wtedy Po raz pierwszy go zobaczyłem. Był to wysoki mężczyzna ł krzaczastymi brwiami. Wydawało się, że jest w złym nastroju; frótko przywitał się z moimi rodzicami, a do żony ledwie się °dezwał. Wziął Phoebe do gabinetu Mai i zamknął drzwi.

159

Phoebe wyszła z płaczem. Zdjęła okulary i wytarła je w bluzkę]

— Tatuś mówi, że muszę chodzić do szkoły w Anglii, j

— Czemu? Możesz zostać tutaj i chodzić do szkoły z]щ i ze mną.

— Zawsze będę cię kochała, Bhalu. Obiecasz mi, że zawsEe będziemy się kochali, choćby nie wiem co?

— Kocham cię — szepnąłem.

— Na zawsze. Musimy się kochać zawsze, aż do śmierci. Bez względu na to, co się stanie.

Przez cały czas pogrzebu siąpił deszcz. Pochowaliśmy Rosie na cmentarzu w Ambona. Nigdy przedtem nie byłem na chrześcijańskim cmentarzu. Było to straszne miejsce, zielone i cieniste, z bezokimi aniołami, ludźmi gnijącymi pod ziemią i płytami grobowymi z wyblakłymi nazwiskami dawno zmarłych Ang. lików. Wysokie drzewa rozsiewały zieloną grozę i bez przerwy kapala z nich woda. Czerwona ziemia była rozmokła, alejkami płynęła deszczówka. Z grobów wyrastały wysokie lilie, różowe kwiaty na mięsistych łodygach, które ściśnięte wydzielaly nikłą woń deszczu.

Staliśmy pod skupiskiem parasoli, a ksiądz prowadził modlitwę. Kiedy opuszczono trumnę do grobu, z pluskiem wpadła w gęstą czerwoną wodę zebraną na dnie. Pan Killigrew i Sybil stali jedno obok drugiego, ale się nie dotykali. Phoebe była po przeciwnej stronie. Moja mama stała koło Sybil, a za nią nasza rodzina. Chciałem być blisko Phoebe, ale nie było na to szans.

Wreszcie się skończyło i ksiądz odprowadził nieliczną procesję.

Phoebe i Sybil nie wróciły do nas do domu. Pożegnaliśmy się tam, przy bramie cmentarza.

Podaliśmy sobie z Fever dłonie, dość oficjalnie, a nasze matki się uściskały. Nie było nic więcej do powiedzenia. Potem ojciec Fever wsadził żonę i córkę do samochodu, do którego wcześniej załadowano walizki. Widziałem japo raz ostatni, drobną postać w kapeluszu, machając? przez okno

samochodu, który przejechał obok krów pasących się przy drodze, a potem skręcił za rogiem w stronę b: w Ambona.

160

Zapomnieliśmy o puszcze", powiedziała moja matka.

Odwróciła się, lecz grób Rosie przykrywał kopiec ziemi wysoki na pół metra. Maja zawołała jednego z grabarzy i po-wjedziała mu, żeby wykopał dziurę. Włożyła tam puszkę ■ patrzyła, jak mężczyzna zasypuje ją ciemnoczerwoną ziemią I Ambona.

pwa dni później powiedziała mi, że Sybil zadzwoniła, by się pożegnać. Killy zamówił dla niej i dla Phoebe bilety na statek do Anglii- Odplynęły tego samego wieczoru.

o

o

N

■ННЯЯНВ

Obłąd

(Brighton/Londyn, wrzesień 1998)

Przez cały tydzień zmagalem się z obłądem.

— To szaleństwo — powiedziałem do Kąty — że w moło West Pier ziejie ogromna dziura, bo jakiś kretyn przejechał statkiem przez sam jego środek.

Kąty, która wiozła mnie drogą wzdłuż nabrzeża w Brighton, wyciągnęła rękę, bo dobra z niej dusza, i uspokajającym gestem położyła ją na moim kolanie.

— To jest coś, przez co wszyscy musimy przechodzić.

— To obłąd, że na samym początku Północnej jest sklep, w którym sprzedają sztuczne członki i majtki bez kroku, a na końcu cholerny dom uciech, istne marzenie palacza opium, jeśli kiedykolwiek coś takiego widziałem.

— Nie możesz brać tego tak bardzo do siebie — powiedziała Kąty.

— Prosiaczkowi też odbiło — ciągnąłem. — Chce, żebym zagrał w sztuce. Mówi, że mogę założyć turban i tunikę i być jakimś duchowym doradcą ze Wschodu.

— Może ci się to spodoba. Jesteś dobry w markowaniu uduchowienia.

— Prosiaczek i jego kumple poszaleli.

— Pewnie, że tak — zgodziła się Kąty. — Ale on i ja, i wszyscy inni, robimy wszystko, żeby cię rozweselić.

Przedpołudniowy Prosiaczek. , — A niech mnie szlag, chłopie — powiedział. — Wyglądasz Jak rzygi Henrysia Ósmego po potrawce z minogów.

Nie czuję się dzisiaj na siłach, żeby odwiedzić Charlotte.

165

y*

lekcje gry na bebnac1 i aóoca ^awrSkież pragnienie gnoz;

opinii s^Srik** ***<* If >usHim^nV wsamym epicentrum tej K Г^иша.^; ptaków, pałacu ws* ^ les dnżc3 klat*L matki. ^tvcb bUbiU ^j^ w samochodzie № ^Torzybyty do Susse ały przecr*

M^taZ5eCydowante zapr tQ me ^

»i^aiy Z Szenia PtakoW-lecyz także okrutne

^stUS7fw5obrażsobieJi^ wolno!

i^mtafn Гie robi - uf ^ rośnie proso, a Jt a^ch larogSwama. Czym h *% rS ^tttraln?reSw z moimi ksia.z n*.111!3lv Wśród wgf*/n. Handbookonh /te

°szuka ■ rSrwto*8^ ■ IS HughWbistler

E# kolorowych, Blniej.

<taka", dowiedział* , * aesto oswajają tego Ptak ^ M

Sratwadomość ^.^o sznurkiem do p

^o bazarach, P<^ Sk ^Ów κ SejLga^tonej ^Ł^t Europejczykowi pJtalU jadeiW Я^y nawiązujące) do c ■eda. nieśmiertelnej trazy

Ea siedzeniu SP^o dnl nba SUa6 z ^urram^

te odpowiedź. Muszą P^otami grzędzie asiedzaeymi na wysadzanej *JerWonych kuper
latnizzamrozenie ich^C£dec1 e, wktórymict

■ zsensownymdlanictib

l ba w sanstacyie s A U najświętsza i <tf***^ £/fundamentalne triad

*e odwzorowanie esencji • nstw

Kukzedoafiimacjiiittogosa^

— To całkiem naturalne, że jesteś pogrążony w żalu — 2a. uważył ze zrozumieniem.

Sęk w tym, że nie jestem pogrążony w żalu — chciałem powiedzieć, że nie umiem odczuwać żalu. Jestem za bardzo wściekły. Wściekły na siebie, że nie uwierzyłem, kiedy Maja powiedziała, że jest chora. Wściekły na nią, bo — gotowa na wszystko, byleby tylko uniknąć niestosownych emocjonalnych uniesień — dobrze się postarała, żebym nie uwierzył.

— Nic mi nie będzie — powiedziałem do Prosiaczka. — To nie potrwa długo.

— Siedzenie tutaj i mazanie się nic nie da. Przyjdź na naszą próbę, to cię rozweseli. Sztuka idzie śpiewająco... A propos, przypomnij mi, żebym to zabrał. — Machnął ręką w stronę skrzynki z formami, wciąż tkwiącej koło mojego biurka.

— Na jaką próbę?

— Nie chciałem ci mówić, póki nie skończę, chciałem, żeby to była niespodzianka, ale... No cóż, wiedząc, że to Szekspir jest głównym sprawcą całego zamieszania, postanowiłem wziąć byka za rogi i napisać cholerstwo od nowa.

— Napisać od nowa Ryszarda IW.

— Szekspir raczej nie jest w stanie protestować.

— Pozostaje jeszcze drobny problem pisania jak Szekspir.

— To nie żaden problem! — zapewnił Prosiaczek. — Ja widzę to tak, że Szekspir napisał tego wszystkiego całe tony. Trzydzieści parę sztuk, wierszy od groma. Tabuny postaci balangujących na koszt podatnika. Ludzie i sytuacje na każdą okazję. Mój plan polega na tym, żeby powydłubywać różne mniejsze i większe kawałeczki to tu, to tam. Powinno wyjść super. Muszę tylko zmienić parę nazwisk.

Oblęd, wszędzie oblęd. Całe Brighton z gracją, jakby mimochodem, pogrążało się w szaleństwie.

Wąskie bazyry miasta — bo jak inaczej nazwać labirynt alejek na północ od Mughal Pavilion? — wypełniły się sybillami i jasnowiedzami; facet z różowym czubem Mohikanina międli w palcach tybetański różaniec modlitewny; sklepy ze świętymi hinduskimi pismami, interpretowanymi przez guru w rolls-royce'ach; plakaty za-

166

nraszające na obrzędy słońca shaunee, lekcje gry na bębnach ashctnti, Om shanti shanti shanti'.

Jakież pragnienie gnozy. Ludzie grzebiący w kulturalnych śmietnikach innych ludzi, gibeloty obnoszone z dumą sroki. A w samym epicentrum tego chaosu ja, poszukujący dużej klatki dla ptaków, pałacu wśród klatek dla osieroconych bilbili mojej matki.

Khurram i Mumtaz przybyły do Sussex w samochodzie Niny. jvloja siostra i Kąty zdecydowanie zaprotestowały przeciwko mojemu planowi wypuszczenia ptaków. Byłoby to nie tylko ekologicznie niesłuszne, pouczyły mnie, lecz także okrutne dla Khurrama i Mumtaza. Wyobraź sobie, jak odlatują — założmy, że pamiętają, jak to się robi — uszczęśliwione wolnością, i odkrywają, że w angielskich lasach nie rośnie proso, a ponadto lasy te nie mają centralnego ogrzewania. Czym by się żywiły? Poszukałem rady wśród regałów z moimi książkami i znalazłem pozycję zatytułowaną Popular Handbook on Indian Birds (Popularny atlas ptaków indyjskich, Hugh Whistler FRS, Gurney and Jackson, wyd. III, 1941, dwadzieścia jeden tablic, z czego sześć kolorowych, 549 str.), wydaną jeszcze w epoce kolonialnej.

„Hindusi często oswajają tego ptaka”, dowiedziałem się, choć ta akurat wiadomość wcale nie była mi potrzebna, „i obnoszą go po bazarach, przywiązane go sznurkiem do palca lub do małej rozgałęzionej grzędy, zwykle zrobionej ze szlachetnego metalu bądź jadeitu; mało jest Europejczyków, którzy nie pamiętają nieśmiertelnej frazy Ehy nawiązującej do czerwonej plamki na siedzeniu spodni bilbila”.

Oto odpowiedź. Muszę paradować z Khurramem i Mum-tazem siedzącymi na wysadzonej klejnotami grzędzie. O ileż to lepsze niż zamrożenie ich małych czerwonych kuperków w lasach, w bezsensownym dla nich świecie, w którym ich indyjskie

Om — najświętsza i najjaśniejsza sylaba, w sanskrycie składająca się z trzech głosek: a, u, m, wyrażających różne fundamentalne triady, uważana za ciekawe odwzorowanie esencji wszechświata. Wypowiadana jako mantra, odawana także do afirmacji i błogosławieństw

167

instynkty na nic by się nie zdały. Co zaś się tyczy Ehy, kimkol. wiek był, ani on, ani race jego intelektu nie przebiły się prze, bramy nieśmiertelności.

Maja umarła obok swych książek i albumów ułożonych w sto-sy przy łóżku, wśród poświstywania bilbili w klatce. Tuż przed końcem jej oczy otworzyły się i przyjrzały uważnie każdemu z nas po kolei, jak gdyby czytając w naszych twarzach, a potem zamknęły się i więcej nie otworzyły. Pamiętam, że pokój wypełniał woń nagchampany, kobrowego jaśminu, jej ulubiony zapach, i szmer jej oddechu. Drżałem ze strachu przed chwilą, gdy odstęp między oddechami zamieni się w długą, coraz dłuższą ciszę, lecz kiedy nadszedł, nic nie poczułem. Siedząc z siostrami przy jej ciele, rozmawiając ściszym głosem, aż pobladło światło, najpierw w sypialni, a potem na dworze, nie mogłem znaleźć w sobie ani jednej łzy. Od czasu do czasu jedno z nas wstawało, żeby odcisnąć pocałunek na jej czole; pocałunki stawały się coraz chłodniejsze, aż wreszcie, gdy przyszedł czas, by się pożegnać, moje usta w ciemności dotknęły czegoś woskowatego i zimnego, a ja wciąż byłem nieporuszony. Wyszedłem z mieszkania i skierowałem kroki do pobliskiej księgarni, otwartej do późna, bo był tam tytuł, którego szukałem — o owocach, rybach czy jeszcze czymś innym, już nie pamiętam — więc pomyślałem, że skoro już tam jestem, to trzeba skorzystać z okazji, pójść i kupić książkę. Podróż na południe do Sussex odbyłem z suchymi oczami. Wyzaczyliśmy pogrzeb na weekend i daliśmy ogłoszenia w „Timesie” i „Guardianie”. Kąty zatelefonowała do brytyjskiej ambasady w Atenach i zapytała, czy mogliby jakoś odszukać bliźniaczki, I & I, które właśnie podróżowały po Krecie.

Potrzebowałem czegoś do przeczytania w czasie obrzędu, więc zacząłem ściągać książki z półek. Moje biurko utonęło pod starymi tomami, wydanymi w miejscach takich jak Varanasi czy Tirukonamalai. Szukałem czegoś, co staroindyjskie teksty, zwłaszcza Upaniszady, albo „nauki leśne”, mówią o śmierci, o podróży duszy po życiu, oraz o karmie, zagadnieniu, na które

168

V[aja miała taki szczególny i swoisty pogląd. Wreszcie znalazłem spowity całunem kurzu stary egzemplarz Brhadaranyaka rjpanisad (Trs Swami Madhavananda, opatrzony komentarzem Orzech Shankaracharię, wyd. czwarte, 1965, 678 str.); zaznaczyłem kilka wersów odnoszących się do kremacji i życia po życiu i siedziałem, gryząc ołówki, próbując znaleźć słowa, które łączyłyby je ze sobą i z jej życiem.

W następnym życiu wkraczacie, umysły wasze noszą ślady tego, coście uczynili w tym, by zebrać tych uczynków żniwo, do tego świata wracacie.

Rzecz jasna, słowa te dokładnie opisywały to, w co Maja nie wierzyła. Według niej koncepcja przyszłego życia była narzędziem politycznym, spiskiem popieranym przez arystokratów i polityków, mającym zapobiec gniewnemu powstaniu mas. „Dusht Singh, pan na włościach, człek nikczemny, żyje sobie beztrąsko na świecie, podczas gdy my... Ale mniejsza z tym. Odrodzi się jako karaluch, a my śmiać się będziemy”.

Mawiała, że gdy Karol Marks napisał o religii, że jest opium dla mas, nie atakował ani religii, ani opium. Stwierdził tylko, iż ludzie, którym odmawiano sprawiedliwości, których zmuszano do życia w rozpacz, aż do tej chwili w historii, nie mieli żadnej innej pociechy ani przyjemności, oprócz religii i zapomnienia. Istnieje hinduski odpowiednik tego słynnego zdania, który Mitra (dawniej Jula) wyśpiewał pewnego wieczoru na bombajskim bazarze, gdy popijaliśmy bhang (mleko zaprawione pastą z liści konopi, migdałów i cukru):

Ganga, bhang do bahin hain, sadaa rahat Siva sang bhava taran ko gang hai, jag taran ko bhang
Ganga i bhang to siostry dwie, które na wieki mieszkają z Sziwą, Ganga nas niesie do świata innego, lecz tego świata rzeką jest bhang.

Siedziałem na zapleczu, obserwując, jak mgła dryfuje p, > nizinie, miękko wymazując z pejzażu jeden krzak głogu p0 drugim. Mój ołówek zawisł jeszcze nad kilkoma ustępami, ale trudno mi było się skupić. Mądrość wieków zdawała się dziwnie niesatysfakcjonująca.

Możesz czynić na ziemi dobro rozmaite, lecz same uczynki nie zapewnią ci długiego spoczynku, którego szukasz, gdyż skutki ich rychło się wyczerpią.

Maja powiedziałyby, że czynienie „dobra rozmaitego” to wszystko, czego można oczekiwać od człowieka. Reszta to absurd, nasze czyny pociągają za sobą niekończące się następstwa, dobre i złe. Mogłaby przyznać (ciągle zapominam, że nie żyje), że dobre skutki blakną prędzej — jak długo przykład Mahatmy Gandhiego był ożywczą siłą indyjskiej polityki? -podczas gdy zło generuje właściwą sobie, brudną odmianę moralności.

Maja szydziła z ortodoksyjnego pojmowania karmy, lecz także, wedle jej poglądu, życie po życiu było zagwarantowane, czy się tego chciało, czy nie, za sprawą sekwencji skutków tego, co samemu uczyniło się za życia. To było coś, co w oczywisty sposób ją trapiło. Od dnia jej śmierci prawie w ogóle nie myślałem o Pokucie. Pytania, które postawiło przede mną to opowiadanie, nie wydawały się teraz zbyt ważne — tym lepiej, bo nie było już sposobu, by na nie odpowiedzieć. Doprawdy, jaki sens zostawiać po sobie gnomiczną spuściznę, skoro całe życie poświęciłeś mówieniu ludziom, że muszą pamiętać o przeszłości? Zżywanie się było jednak bezcelowe. Umarli są umarłymi. Trzeba odprawić rytuały. Pozwolić im odejść.

Wąska, odwieczna ścieżka, w dal biegnąca, wreszciem ją | odnalazł.

Moja matka pragnęłaby stosu z sandałowca skropionego sklarowanym masłem i obsypanego płatkami kwiatów jedenastu odmian jaśminu, lecz krematorium West London nie ma takiego asortymentu. Powinna zostać zaniesiona do ognia przez brarffl-

oW z ogolonymi czaszkami, nucącymi mantry i sutry. Tymczasem rano w dniu pogrzebu rodzina — bez bliźniaczek, yórych ambasada w Grecji nie zdołała znaleźć — zebrała się nrzed mieszkaniem zmarłej, a tam powitał ją przedsiębiorca pogrzebowy z niezbyt skutecznie startą plamą od jajka na kłapie Marynarki, który zapytał:

— Więc jest tylko jedna kończyzna, tak?

i— Boże drogi, nie, całe ciało — odparła moja przerażona siostra Suki, która dopiero po chwili zorientowała się, że chodzi o limuzynę.

jego słowa musiały przywołać jej na myśl ten sam obraz, co mnie, dziecięce wspomnienie hinduskiego pogrzebu nad rzeką: blade płomienie skradające się po stosie szczap, z którego sterczały nogi nieboszczyka, sztywne, przyprószone popiołem.

W ogień idziesz, ciało twe podpałką, oddech twój w dym się zamienia, pragnienia twoje węglami się stają, twoje życie obraca się w iskry tego ognia, w którym bogowie ofiarowują ludzką istotę, z którego istota światła powstaje.

Z limuzyny toczącej się wolno ulicami Londynu w wilgotny, szary sobotni poranek, widzieliśmy karawan z trumną obłożoną kwiatami, skręcający przed nami w Fulham Road, a potem w bramę cmentarza. Gdy tak sunęliśmy przez akry ziemi z grobami, żalobnymi cherubinami i skrzydlatymi aniołami, Indie wydawały się odległe i dawno minione, jak sznur jasnych obrazów pełnych ludzi, bardzo wyraźnych, lecz maleńkich obrazów, oglądanych jakby przez teleskop z niewłaściwej strony. Przyszła mi do głowy bardzo jasna myśl, że to nie jest właściwe miejsce, by pożegnać się z Mają. Może i nie była wierząca, ale mimo to chciałaby prawdziwego hinduskiego Pogrzebu. Może powinna była pojechać do domu, do Kum-narawy, gdzie ludzie znali nie tylko jej nazwisko, lecz nazwiska Jej dziadków. Setki osób przysłyby złożyć jej ostatnie uszanowanie. Miałyby dobre odejście. Stara kobieta zrobiłaby wielkie

gra słów: limb — kończyzna ciała, brzmi podobnie jak lim — skrót od "nousine ~ limuzyna

halo. Byłby proszek z sandałowca i szafranu, złoty pył, naręcza kwiatów. Między śmiercią a pogrzebem nie byłaby sama. Ktoś by przy niej czuwał, ludzie odmawialiby modlitwy, rozmawiali zmarła uczestniczyłaby w tych rozmowach. Bramin — to byj w zasadzie nasz obowiązek, ale nie

umiałem sobie wyobrazić żadnego z nas przy tej czynności — szeptałby jej do ucha rzeczy, które powinna wiedzieć: o tym, co niebawem zobaczy, słowa, których będzie potrzebowała, aby bezpiecznie przejść' na drogą stronę.

Gdy odejdziesz z tego świata, w powietrze pójdziesz, które otworzy się przed tobą jak dziura w kole rydwanu. Przez \ nią się wzniesiesz, ku słońcu popłyniesz, które otworzy się jak oko bębna. Przez nie się wzniesiesz, ku księżycowi \ wzlecisz, który otworzy się jak misa bębna. Przez nią się wzniesiesz, ku światu popłyniesz wolnemu od smutku.

Mogłem sobie wyobrazić rozbawienie mojej zmarłej matki tym bełkotem, widziałem siebie mówiącego do uśmiechniętych drwiąco zwłok: „Jeśli uważasz, że to jest takie głupie, to po prostu przestańmy, dobrze?“, a ona odpowiada niedbale, może jakimś sposobem znanym poltergeistom: „Nic z tego, Jose, chcę wszystkich ceregieli“. Więc obnosimy ją trzy razy wokół stosu, ja i śpiewający bramini, potem kładziemy ją a ja wkładam jej do ust ziarenka ryżu, żeby dusza miała się czym pożywić w czasie podróży.

Przechodzisz w tę przestrzeń, z przestrzeni w powietrze, z powietrza w deszcz, z deszczu w ziemię, gdzie pożywieniem się stajesz. To pożywienie iskrą męczyzny się staje, która rozpala ogień kobiety, i w tym ogniu znów się rodzisz i i na świat przychodzisz z powrotem. I tak pomiędzy świa- i tami krążysz.

Tak, gdybyśmy byli w Indiach, ogolono by mi głowę, tak że zostałyby tylko pasemko włosów z tyłu czaszki — choti, takie jakie noszą hinduscy chłopcy; dziadek przywiązywał chou mojego ojca do haka w suficie, żeby nie zasypiał nad książkami'

172

Okrążyłby01 stos pięć razy, w kierunku odwrotnym niż ruch wskazówek zegara, a następnie bym go podpalił. Musiałbym oczekiwać, znosząc zapachy i odgłosy smażącego się mięsa, aż jjoinienie odsłoniłyby czaszkę matki i uczyniły ją kruchą, wziąć do ręki ciężką pałkę i zgruchotać jej czaszkę jak kokos. Ten 0B0wiązek najstarszego syna — mój ojciec spełnił go dla dziadka, dziadek dla pradziadka, pradziadek dla prapradziadka, prapradziadek dla praprapradziadka, powstańca, który przetrwał wielką rzeź końca lat pięćdziesiątych dziewiętnastego wieku, dożywszy dojrzałego i swarliwego wieku — ma uwolnić duszę, by mogła rozpocząć swoją podróż, jak podaje Brhadaranyaka Upanisad, wąską, pradawną ścieżką prowadzącą do innego świata. Na szczęście królewskie prawo gminy Kensington i Chelsea oraz przepisy firmy pogrzebowej General Cemetery Company uniemożliwiają podobne zabiegi, lecz dla podtrzymania ducha rytuału przywiozłem ze sobą księgę i zamierzałem cytować z niej urywki, które, jak mi się zdawało, albo by oburzyły moją matkę, albo trafiły jej do przekonania.

Kiedy znasz Jaźń, dobro i zło więcej cię nie dotykają. Nie myślisz „Złe uczyniłem“ ani „Dobrze uczyniłem“.

Kaplica była wypełniona. Nie spodziewaliśmy się, że ogłoszenie w „Timesie“ ściągnie tak wielu żałobników. Większość z nich mama poznała niedawno, grywała z nimi w brydża i chodziła na przyjęcia. Było kilku eks-ekspatriantów z Bombay Society. Niektórych znaleźliśmy, lecz nie widzieliśmy od lat. Zmierzając do podestu, by wygłosić krótką mowę o życiu mojej matki, spostrzegłem kilka osób, które rozpoznałem. Nawet po czterdziestu latach nie można było nie poznać obwiązanego turbanem profilu Joan Barboushjian — „Papieża Joanny“, jak Ją nazywano w latach pięćdziesiątych w kręgach literackich.

Przeszedłeś poza dobro i zło, tedy nie trapi cię już coś mógł uczynić i czegoś mógł nie uczynić.

. »Moja matka Maja, powiedziałem do słuchaczy, nazywała SI? hinduistką, lecz dla niej hinduizm był bardziej sposobem

173

życia aniżeli religią. Nie wierzyła w odrodzenie, reinkarnacje lecz...“.

Mówiłem o socjalistycznych przekonaniach mamy, o jej szacunku dla Gandhijiego i rozczarowaniu bylejakościapolityk społecznej w dzisiejszych Indiach. W trakcie tej przemowy zauważyłem parę kolan w pierwszym rzędzie. Ładnych, zgrabnych kolan pod rąbkiem eleganckiej spódnicy. Złączonych, lecz przechylonych wdzięcznie na jedną stronę. Właścicielka owych kolan patrzyła na mnie, ocierając oczy chusteczką. Jakaś przyjaciółka Mai albo może Niny. Uśmiechnęła się,

przyłapując mnie na patrzeniu, a ja opuściłem wzrok na notatki.

„...Nasze duchy mogą słabnąć. Mogą blednąć, lecz nigdy nie znikają całkowicie. Żyjemy dalej, w sobie nawzajem i poprzez siebie...”.

Otworzywszy książkę w miejscu, gdzie wsunąłem zakładkę, ze zdziwieniem odkryłem, że zamiast na sanskryckie wersety, liczące dwa tysiące lat, patrzę na stronę pokrytą astragalami, owalami i odwróconymi esownicami. Przez pomyłkę zabrałem Osiemnastowiecznych stolarzy brytyjskich. Zaskakująca i niezręczna sytuacja, w takiej chwili. Kurtyna na końcu pomieszczenia rozsunęła się i trumna zaczęła się przesuwac, a potem zadrżała i znieruchomiła. Papież Joanna wstała z ławki, podeszła artretycznie i położyła na wieku trumny jedną czerwoną różę. Trumna wznosiła wędrówkę, a moje siostry zbliżyły się do niej, by przeczytać wybrane wiersze Mai. Ledwie Nina zaczęła czytać, gdy odezwała się dziwna, dysonansowa muzyka. Krematorium poprosiło o dostarczenie odpowiedniego kompaktu, a ja, jak mi się zdawało, przyniosłem Miyan ki Malhar w wykonaniu Bhimsena Joshi, teraz jednak okazało się, że jest to Koncert na wiolonczelę Sebastiana Priora. współczesny utwór, brzmiący jak gra zespołu tybetańskich mosiężnych mis, przerywana młotem pneumatycznym i odległymi krzykami oskubywanych z piór gawronów. Poczyszyłem się myślą, że Maja, która przez całe życie demonstrowała starannie kultuwowane upodobanie do teatralnych efekto* byłaby zachwycona wrażeniem, jakie muzyka wywarła o* obecnych. Nina tymczasem zmagala się z wierszem ułożony1" przez Maję.

174

Czy gołębie rozmyślają o pieczonych gołąbkach,

Albo świnię o bekonie

Tak jak ludzie rozmyślają o śmierci i nieśmiertelności.

Właścicielka kolan ciągle się do mnie uśmiechała. Zgadywałem, że dobiega czterdziestki; blondynka, pociągająca w sposób właściwy kobietom, które przestają być zwyczajnie ładne, piękno kryje się głębiej, przynależy do duszy. Może się nie ujawnić, dopóki charakter człowieka nie jest w pełni ukształtowany, a potem jego blask wydosztaje się na zewnątrz. Dlatego młode kobiety, jakkolwiek są atrakcyjne, bardzo rzadko bywają piękne. Piękno zaczyna się po czterdziestce, mówiłem Kąty, ilekroć przyłapałem ją na zbyt dokładnym badaniu swojej twarzy w lusterku. Wróciwszy na miejsce, zerknąłem i zobaczyłem, że blondynka wciąż na mnie patrzy. Kim jest, doprawdy nie umiałem sobie wyobrazić.

Po mszy czekaliśmy na zewnątrz, żeby podziękować odchodzącym żałobnikom. Bezwały Srinudzi, ubrany dziwnie jak na niego, bo w garnitur, podszedł, by złożyć nam kon-dolencje.

— Wiedziałaś, że jest chora — powiedziałem. — Skąd?

— Maja wiedziała od pewnego czasu — odparł. — Czy nie powiedziała ci o badaniach w szpitalu?

— O jakich badaniach? — Ta rewelacja, zaraz po mojej wpadce w czasie pogrzebu, pograżyla mnie w jeszcze bardziej ponurym nastroju.

— Czuła się chora od miesięcy — rzekł, marszcząc brwi, jak gdybym to ja osobiście odpowiadał za chorobę matki. — Nie rozumiem, jak mogłeś o tym nie wiedzieć.

~~ Ja też. Nic nam nie powiedziała.

A więc w taki właśnie sposób próbowała sobie z tym radzić — stwierdził Srinudzi. — Wasza matka nie znała egoiz-mu- Chciała wam oszczędzić zmartwienia.

Czemu zgoiliłeś wasy?

spojrzał na mnie dziwnym, błagalnym wzrokiem i pociągnął Za rękaw.

175

— Bhalu-ji...

— Wyglądasz teraz jak muła.

— Mógłbyś odejść ze mną na chwilę? Popatrzymy na te cudowne kwiaty.

Spacerowaliśmy między wieńcami i bukietami w celofanie

— Każdy z nas ma coś do ukrycia.

Jaki sekret mógł mieć związek z wąsami?

— Kiedyś bardzo lubiłem jeść paan. — Trudno zaprzeczyć. To właśnie od paan (mieszanka mielonych orzechów, pasty i przypraw, zawinięta w liście betelu) poczerwieniały usta i

odbarwiły się zęby. — Musiałem przestać, bo zrujnowałbym sobie brodę. — Rzucił pełne obawy spojrzenie w kierunku swej żony, która stała, rozmawiając z Kąty i moimi siostrami. — Do paan wkładano pewną ilość tytoniu. Musisz znać ten smak.

— Nie jadłem paan od lat. — W czasach, gdy bywałem w palarni opium, mój przyjaciel Dost opowiadał o rozmaitych masalach, którymi można było wzmocnić smak paan. Była na przykład słynna odmiana palang-tod albo „łożkozarywacz”, która zawierała ponoć szczyptę kokainy.

— Ze wstydem muszę wyznać, że zacząłem palić papierosy. Tylko kilka, może pięć na dzień. Ale po pewnym czasie spostrzegłem, że moje wąsy zaczynają się odbarwiać, robią się brązowawe pod nosem.

Więc zrezygnował z wąsów. A więc mimo wszystko byt człowiekiem.

— Kim jest ta kobieta? — zapytała Kąty. — Bez przerwy się na ciebie gapi.

Nieznajoma blondynka chodziła w tę i z powrotem, udając, że podziwia kwietne symbole żałoby.

— Nie mam pojęcia. Myślałem, że to znajoma Niny.

— Nikt nie wie, kim ona jest.

— Kimkolwiek jest, jest olśniewająca.

— Tak, już wcześniej zauważyłam, że pożerasz ją wzroki¹¹¹

— Nie pożeram. Jestem za stary.

— Kłamczuch.

176

Czując na sobie nasze spojrzenia, kobieta odwróciła się • uśmiechnęła. Była wysoka, wyższa od Kąty, i miała jasne włosy, opadające na kark. Kiedy się do nas zbliżała, jej ciemny kostium podkreślał figurę. Z bliska zobaczyłem, że nie jest taka młoda, jak mi się w pierwszej chwili wydawało. Staranny makijaż wygładził skórę, lecz maskował też drobne zmarszczki w kącikach oczu, obrysowanych kredką, żeby wydawały się większe; cień podkreślał ich niezwykle, szarzielony kolor, yóry z jakiegoś powodu zawsze kojarzył mi się z deszczem. Wyczułem woń subtelnych cytrynowych perfum, wzmocnioną, lecz nie zepsutą nutką tytoniu.

Nieznajoma wzięła głęboki oddech i powiedziała: „To takie dziwne, naprawdę nie wiem, jak zacząć. Przykro mi z powodu twojej matki. Przyjaźniła się z moją matką. Moja mama zmarła pięć lat temu i zostawiła parę rzeczy dla twojej mamy. Niestety, straciły ze sobą kontakt, a ja nie wiedziałam, gdzie szukać. W końcu dałam za wygraną, i wtedy zobaczyłam notkę w „Telegraphie”. Więc przyjechałam, nie wiem, czy to będzie spełnienie prośby mamy, ale myślę, że powinnam dać ci te rzeczy, bo nie były przeznaczone dla mnie, i może dla ciebie będą znaczyć więcej...”.

Zamilkła, przechyliła głowę na jedną stronę i spytała: „Bhalu, ty absolutnie nie masz pojęcia, kim jestem, prawda?”.

Moamma

Nieznajoma stała uśmiechnięta, czekając na odpowiedź. Moje zdumienie rosło, a jej uśmiech robił się coraz szerszy. Zaczęła udawać żartobliwe zniecierpliwienie. Rzuciła okiem na interesujący kawałek nieba, wyduła usta.

— Nie — przyznałem wreszcie, rozbawiony. — Obawiam się, że nie.

— Wskazówka — powiedziała nieznajoma. — Kiedy spotkaliśmy się pierwszy raz, nie byłeś dla mnie zbyt miły. Właściwie byłeś wręcz okropny. Przeżywałeś mnie. Czy to ci coś przypomina?

— Jestem pewien, że pani się myli — odparłem. — Gdybyśmy się spotkali, z pewnością bym to zapamiętał.

— Kazałeś mi kroić robaki na kawałki.

Jest takie opowiadanie Nabokova, w którym mężczyzna wpada w euforię, bo mignęła mu twarz kobiety, którą kiedyś kochał, lecz nie widział jej przez wiele lat. Wybiega w berlińską noc, a w ciemności świeci neon. CZY... TO... JEST... MOŻLIWE?

— Och, Bhalu — powiedziała nieznajoma. — Szkoda, że nie mam piórka. Mogłabym cię nim rozłożyć...

Nie mogłem wydobyć słowa. Co tam wydobyć słowa — nie mogłem myśleć. Co tam myśleć, myśl wymaga słów. To, co czułem, obywało się bez słów, lecz było wyraźne jak powiew słodkiego

powietrza, zapach ziół na suchym zboczcu wzgórza, szczęście, które wypłynęło jak bąbelki z niezmaconego źródła-

Staliśmy, patrząc na siebie i otwierając usta jak małe rybko

178

gicchaudzie przed wielu, wielu laty, uwięzione razem II szklarym słoju, wypowiadające nieme pytania.

— Nie, nie — odparłem. — To nie możesz być ty.

— ja czuję dokładnie to samo, jeśli jest to dla ciebie jakieś cjeSzenie — powiedziała kobieta.

Potem zrobiła coś, co mnie przekonało. Wzięła moją twarz dłonie i odcisnęła pocałunek na moich ustach.

— Nie przedstawiś nas sobie? — odezwał się głos koło mojego łokcia. Zupełnie zapomniałem, że Kąty stoi tuż obok mnie.

— Bardzo przepraszam — rzekła nieznajoma, wyciągając rękę. — Co pani sobie o mnie pomyślała? Jestem Phoebe Killigrew. Pani mąż i ja jesteśmy starymi przyjaciółmi.

— Właśnie widzę — odparła Kąty, spoglądając to na jedno z nas, to na drugie. — Cóż, koniecznie musicie się zejść i wypić parę drinków.

Czy to możliwe? Czyżby ta elegancka istota, wyglądająca, jakby właśnie wyszła od modystki przy Bond Street, była towarzyszką moich dziecinnych zabaw, łobuziakiem o włosach koloru siana, zaplecionych w warkoczyki, które aż się prosiły, żeby za nie ciągnąć?

Przyjrzałem się jeszcze raz i zauważyłem szpiczasty podbródek. Jak mogłem nie rozpoznać tych niesamowitych oczu? Gdzie się podziały okulary?

„Nie wierzę!”, powtórzyłem któryś raz z rzędu.

Często się zastanawiałem, jak by to było, spotkać ją znowu. Wyobrażałem sobie, że rzucamy się sobie w ramiona i ściskamy, tak jak wtedy, gdy byliśmy dziećmi. A tymczasem zdobyłem się tylko na to, żeby mamrotać w kółko jak kretyn: „Nie wierzę. Nie wierzę”. Ona zaś odpowiadała: „Wiem, wiem, wiem”.

Potem — to naprawdę dziwaczne — jak gdyby nie było do zadania pytań o minione kilkadziesiąt lat, wszyscy troje zadaliśmy mówić o tym, gdzie zaparkowała samochód, gdzie Qajlepiej zostawić wóz przy Sloane Square, jak znaleźć mieszkanie Mai, w którym Suki, zgodnie z ostatnim życzeniem naszej

179

drogiej matki — „żałoba jest dla głupców, wydajcie mi przy-j-cie” — zorganizowała coś w rodzaju stypy.

„A więc do zobaczenia na miejscu!”, rzuciła wesoło i poszła a ja wciąż wyrażałem niedowierzenie i patrzyłem, jak porusza się jej obcisła spódnica.

Następnie odbyło się niewielkie przedstawienie. Państwo Srinudzi, którzy przyjechali autobusem, proponowali, że przejdą pieszo parę kilometrów do Chelsea, i trzeba ich by}0 prosić, nakłaniać, a wreszcie błagać, zanim zgodzili się w końcu zrobić to, czego od początku chcieli, czyli zabrać się z nami. Wpuszczeni do limuzyny przez poplamionego jajkiem szofera, ruszyliśmy przez ogromny cmentarz, którego alejki niczym ramiona rozgwieżdzy z żałobnymi posągami wirowały wokół nas, żywych, w osi gigantycznego koła śmierci. „Naszym życiem rządzą schematy, wydostające się raz po raz na powierzchnię”. Proch do prochu. To właśnie na cmentarzu widziałem ją ostatni raz.

— Bha!u, ty drzysz — powiedziała Kąty.

— Wyziębiłem się, stojąc tam — odparłem.

Ale prawdę powiedziawszy, byłem w stanie ciężkiego szoku. Początkowa radość ustąpiła miejsca sprzecznym, trudnym do ogarnięcia uczuciom. Analogią (wysiłek bukinisty spędzającego osiem godzin każdego dnia z nosem w swoim towarze) mogłyby być zagadkowe wersy Rig Vedy, w których poeta w jednej chwili czuje uniesienie, egzaltację, oszalamiające szczęście, lecz w następnej wyznaje: „W głębokiej rozterce gotowałem psie trzewia”. Zanim wjechaliśmy z powrotem w Fulham Road i znaleźliśmy się w prawdziwym świecie skapanego w mżawce Londynu, uświadomiłem sobie, że tym, co naprawdę czuję, jest przeraźliwy lęk.

Od czasu do czasu wpadałem w Londynie na kogoś, z kim chodziłem do szkoły w Indiach. Było takich osób w Anglii całe mnóstwo, i zawsze zdumiewało mnie, jak brzydko się zestarzeb: chłopiec z gładką skórą przemieniony w korpulentnego bankiera; dawniej mistrz krykieterowej pałki, a teraz wyniszczony pracą dyrektor z wiecznie otwartą teczką na kolanach. ZwyW* po rytualnej wymianie jak-się-masz i jak-tam-rodzina następowała chwila wzajemnej taksacji — jak dobrze albo jak źle

180

oWiodło się nam w porównaniu z tym drugim? Wyjaśniałem, że poniosłem porażkę w przemyśle filmowym, a właściwie to

30! odszedłem z niesmakiem po latach pijaństwa, i jestem teraz szczęśliwym bukinistą bez grosza przy duszy. Uśmiechali się i mówili, że spełnienie, radość z pracy są najważniejsze, lecz widać było, że w milczeniu dziękują, iż skończyli jako „jakoś”, noszą garnitury odpowiednie dla „kogoś” i jeżdżą odpowiednimi dla „kogoś” samochodami. Przypuśćmy, że Phoebe, kiedy już wyczerpie się jej euforia, spojrzy na mnie tak jak oni i ujrzy chudego, siwiejącego faceta, niepozornego, w niczym nieprzypominającego chłopca, który wspinał się na wodospady i strącał, strzelając z procy, owoce mango z drzew.

Mieszkanie Mai było pełne ludzi. Znalazłem się tam pierwszy raz od dnia jej śmierci. Nie licząc brakujących bilibili, wszystko było tak samo jak za jej życia. Złoty anioł wciąż tkwił na swoim rzeźbionym piedestale. Na ścianie mieniły się motyle pradziadka. Dobrze znany zapach kobrowego jaśminu. Zerknąłem do sypialni, ale łóżko było starannie zasłane, kołdra wygładzona i podwinięta na rogach. Ktoś odłożył książki na półki i uprzątnął albumy ze zdjęciami. Miało się wrażenie, że gospodyni wyszła na zakupy i wróci za chwilę, by powitać starych przyjaciół. Zauważyłem Panaghiotisa, podchodzącego z wyciągniętą ręką do Srinudźiego. Stojący z tyłu Prosiaczek, doczyszczony i z niedzielnymi manierami, nalewał sobie tęgą porcję whisky; pierwszy raz, i pewnie ostatni, ci trzej znaleźli się w tym samym pomieszczeniu. Starsza pani, sąsiadka z innego mieszkania, przysła drżącym głosem złożyć kondolencje, ale słuchałem tylko jednym uchem, rozglądając się po pokoju. Srinudzi i Panaghiotis byli już głęboko pogrążeni w rozmowie. Usłyszałem kilka zalatujących kadzidłem sformułowań chrześcijańskiego pocieszenia. Srinudzi kiwał głową, jak na mędrca Przysało. Cóż za sztywność i opanowanie w zachowaniu Pana. Mogłem sobie tylko wyobrażać, jaka spotkała go strata. On

1 Maja byli ze sobą blisko.

.Artretyzm", powiedziała starsza pani, zerkając na mnie

2 dołu. Dlatego nie mogła przyjść na pogrzeb. Muszę ją skiero-

181

wać w stronę Kąty i moich siostr; wszystkie trzy stały z głowami blisko siebie, bez wątpienia omawiając tajemnicze pojawienie się Phoebe.

Gdzie ona jest? Czyżby postanowiła nie przyjść? Ale nie właśnie stanęła w drzwiach.

Uśmiechnięta. Nina, moja siostra' wita się z nią. Okrzyki. Wzajemne zaskoczenie, radość.

„To był okropny dzień, zwierza się starsza pani. Musiałam wziąć dodatkowe tabletki na kolana”.

Phoebe się rozgląda, jeszcze mnie nie zobaczyła. Nina prowadzi ją do Suki i Kąty. Właśnie zdołałem się wyswobodzić i przesuwam się przez pokój, gdy ktoś chwyta mnie z tyłu za rękę.

— Słowo — odzywa się głos z tyłu. — Moje królestwo za słowo.

Prosiaczek kiwnął mi przed oczami swoją whisky.

— Nie teraz, Prosiaczku.

— Coś knujesz, przyjacielu.

Jeszcze nigdy, przez te wszystkie lata, odkąd go znam, nie czułem takiej irytacji. Próbowałem iść dalej, lecz on wciąż trzymał mnie za ramię.

— Nie tak prędko, młodzieńcze. Kim jest twoja blond kumpelka?

— Znałem ją przed laty.

— Ale z ciebie czarny koń, co? — mruknął Prosiaczek.

— Stara znajoma. Nie widzieliśmy się od lat. Powędrowałem za jego spojrzeniem do Phoebe, stojącej

z moimi siostrami i Kąty. Mówiły szybko, z gorliwością kobiet, które się zeszyły i nad czymś

konferują. Phoebe stała tyłem do mnie i śmiała się, przenosząc ciężar ciała z jednej nogi na drugą.

— Zdawało mi się, że leci na ciebie.

— Na litość boską, nie widziałem jej od czterdziestu lat!

— „Ileż musiało być łez przy rozstaniu?” — wydeklamował Prosiaczek. — Zaiste prawdziwy z ciebie miłości siewca!

— Straciłam nadzieję — mówiła Phoebe, kiedy do nieb podeszliśmy. — To było tak, jakbyście zniknęli z powierzchni planety. — Uśmiechnęła się do mnie promiennie. — Mamusia

1 William Szekspir, Tragedia Ryszarda II, przekład Leona Ulricha

182

^ przed śmiercią wybrała się do Indii i próbowała odnaleźć twoją mamę-- I wtedy dowiedziała się, że przez cały czas byliście w Anglii. Była zdumiona. Tyle lat. Potem usiłowałam odszukać twoją mamę, ale w książce telefonicznej nie było ani

śladu-

__ Numeru mamy me ma w książce — wyjaśniła Nina, jak gdyby Maja nadal była wśród żywych.

__ Zwykle mówią, że numer istnieje, dopiero potem odmawiają podania go...

— Ona figuruje pod panięńskim nazwiskiem. — Nina wciąż trzymała się czasu teraźniejszego.

— Pod panięńskim? A to czemu?

— Nigdy nie chciała nam tego powiedzieć — odparła moja druga siostra, Suki.

— Ale my nie mogłyśmy znaleźć żadnego z was — powiedziała Phoebe.

Nie było w tym nic zaskakującego. W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym trzecim obie moje siostry były już zamężne, a my z Kąty figurowaliśmy w książce jako Księgarnia Shawa.

— Właściwie — wtrąciłem się do rozmowy — to my też próbowaliśmy was znaleźć. Niedługo po naszym przybyciu do Anglii. W latach siedemdziesiątych. Ale nie trafiliśmy na żaden ślad.

— Długo byłam za granicą — odparła Phoebe. — A moja świętej pamięci mamusia nigdy nie miała telefonu.

— Więc jak nas znalazłaś? — zapytała Suki. Kąty jej odpowiedziała.

— Phoebe zauważyła imię Mai w „Telegraphie”.

— Nie w „Telegraphie” — sprostowała Nina. — To musiał być „Times” albo „Guardian”.

— Może to był „Times” — przyznała Phoebe.

— Dalibyśmy ogłoszenie w „Telegraphie” — ciągnęła uparcie Nina — ale pomyśleliśmy, że nikt ze znajomych Mai go nie zobaczy.

— Była taka dobra. Świetnie ją pamiętam — powiedziała Phoebe. — Troszczyła się o ludzi.

Mamusia ją kochała. — „odniosła kieliszek, jakby chciała wznieść toast za nasze nieobecne matki.

— Jaka szkoda, że się więcej nie spotkały. Ale

183

teraz pewnie już są razem. I plotkują sobie do woli o u wszystkich.

— Wątpią — stwierdziła Nina. — Kiedy umieramy, to u dobre.

Skoro tak jest, pomyślałem, to dlaczego nie potrafisz zmusić się do używania czasu przeszłego?

— Khattam. Skończone — powiedziała moja siostra. -^ Maja miała rację. Nie ma co ulegać sentymentalizmowi. Ja nie wierzę w duchy.

— Ja w nie wierzę — oznajmiła Phoebe. — Iz mojego doświadczenia wynika, że bynajmniej nie mają one nic wspólnego z sentymentalizmem.

To wyznanie spowodowało krótką ciszę.

— Maja uważała, że ludzie żyją poprzez swoje uczynki -powiedziałem.

— Maja była kopalnią nonsensów — zauważyła Nina.

— Trudno w to uwierzyć, dopóki ktoś sam tego nie zazna — rzekła Phoebe. — Mamusia ciągle do mnie mówi, a ja chciałabym, żeby przestała.

Znacznie dłuższą chwilę ciszy, która po tych słowach nastąpiła, przerwał mój przedpołudniowy kompan, który przy-dreptał do nas z wyciągniętą rączką.

— Jestem Prosiaczek. Wszyscy mnie tak nazywają.

— Prosiaczku — powiedziałem. — To jest Phoebe Killigrew. Ostatnio widzieliśmy ją... myślę, że

to było jakieś trzydzieści pięć lat temu. Nina musiała wtedy mieć...

— Biedny Bhalu, gędzi trzy po trzy — przerwała mi szybko Nina, odwracając się do Phoebe. — Nie pamiętam cię zbyt , dobrze. Pewnie dlatego, że byłam o wiele młodsza, a ty byłaś tylko jedną z koleżanek Bhalu.

— Więcej niż koleżanką — odparła Phoebe. — Bhalu był moim bohaterem.

— Naprawdę? — zdziwiła się Kąty, jak zdziwić mógł się tylko ktoś, kto żył ze mną od dwudziestu lat.

— Kiedy go ostatnio widziałam, był chłopcem, ale rozpoznałam go od razu. Jak tylko go zobaczyłam, pomyślałam tak, to mój Bhalu.

Jak ona powiedziała „mój Bhalu”.

184

Uczył mnie, jak się robi różne rzeczy. Nawet teraz, jeśli eSt coś, co powinien zrobić mężczyzna, często myślę: szkoda,

że:

ihie mam Bhalu

Szkoda, że ja nie mam takiego Bhalu — powiedziała łąty i rozejrzała się po pokoju. — Czy nie wspominałaś, że jesteś mężatką? Twój mąż jest tutaj?

po krótkiej chwili niezręcznego milczenia Phoebe odparła:

— Peter nie mógł przyjechać. Jest w domu. W Yorkshire.

— Z dziećmi?

—Nów zawahanie.

—Nie mamy dzieci.

Kolejny anioł przeleciał nad głową.

— Powiedziałas w Yorkshire? — zawołał Prosiaczek, wykorzystując chwilę. — Gdzie dokładnie?

— Słucham?

— Gdzie mieszkasz w Yorkshire?

— Na pewno nie będziesz znał — odparła Phoebe. — To maleńka miejscowość.

— Jestem pewien, że będę — oświadczył Prosiaczek. — Nasza banda często urządza tam manewry. Jak się nazywa?

— To malutka miejscowość — powtórzyła Phoebe. — Nieopodal Richmond.

— „Idź, idź, złóż swoje losy z Richmond”1. I ja tam bawiłem, przyjemnie spędzałem chwile, jak nigdy nie powiedział bard. A właściwie powiedział, tylko trochę inaczej. Znam Richmond.

Robiliśmy tam Bosworth, pod zamkiem. Jakies trzy lata temu. Może widziałaś?

— Jesteś w wojsku?

— Osobista straż króla Ryszarda, do usług — odparł Prosiaczek. — Zbrojny. Ściśle rzecz biorąc, halabardzista. Noszę coś w rodzaju topora na kiju. — Zaczął wyliczać rozmaite oddziały rodzaje broni, potrzebne do odtwarzania wojennych potyczek z epoki Yorków.

— Boże, jak on dotrze do domu? — szepnęła mi do u*a Suki.

William Szekspir, Król Ryszard III, przekład Stanisława Barańczaka. „Złóż swoje losy z Richmondem. Idź, idź”

185

Phoebe słuchała wyczerpujących opisów armat, toporów i ostrzałów z kusz.

— I tak to wygląda — rzekł wreszcie. — No więc jak sje nazywa twoja wioska? Pod bramą Yorku twardo stańmy, zginąć nam lub zwyciężyć. Założę się, że tam biwakowałem.

— Moja wioska? — Jowialna, szekspirowska tyrada Prosia-czka, wygłoszona ze szkockim akcentem, chyba wytrąciła Phoebe z równowagi. Wpatrywała się w tytuły książek na palisandrowym regale Mai, obawiając się pewnie, że jeśli щи powie, któregoś dnia na progu jej domu stanie niezapowiedziana kompania średniowiecznych moczymordów. — Nie nazwała-bym tego wioską. Tylko nasz dom i kilka farm. Sleeman. Nie znajdziesz na mapie.

Odsiecz wydawała się bardzo pożądana, a ja właśnie spostrzegłem wysoką postać Joan Barboushjian z turbanem na głowie. Wziąłem Phoebe pod rękę i powiedziałem:

— Wybaczcie, tam jest ktoś, kto znał matkę Phoebe.

— Gratulacje, Bhalu — odezwała się Papież Joanna. — Szalenie wzruszająca ceremonia. — Grzeczność czy sarkazm? Trudno orzec. — Ostatnimi czasy nie widywałam Mai zbyt często. Szkoda. Wszyscy jesteśmy do odstrzału. Ja pewnie następna.

Przedstawiłem Phoebe i powiedziałem:

— Na pewno poznałaś mamę Phoebe w Bombaju? Sybil Killigrew?

Papież Joanna zwróciła swe pterodaktylowe spojrzenie na Phoebe.

— Patrzcie, patrzcie. Więc ty jesteś córką Sybil. Wcale nie jesteś do niej podobna.

Phoebe puściła mi konspiracyjnie oczko i znów byliśmy dziećmi, z pompą przedstawianymi koleżankom naszych matek.

— Czy pamiętam Sybil? Ależ oczywiście, że pamiętam! Spotkałam się z nią kilka razy u Mai, lecz nigdy jej dobrze nie poznałam. Po prostu zniknęła. Słyszało się różne historie, ale... — Przerwała, jakby się reflektując, i nie dokończyć zdania. — Co się z nią stało? Wyszła ponownie za męż?

186

I Niestety nie — odparła Phoebe. — Nigdy więcej nie ^szła za męż.

— Bhalu, mój mały psotny Bhalu — powiedziała Phoebe. —

\lój najstarszy przyjaciel. Całe lata czekałam na tę chwilę.

Wreszcie zostaliśmy sami. Tyle rzeczy jej chciałem powiedzieć, nie mogłem się tego doczekać, a teraz, gdy wreszcie nadarzyła się okazja, język mi skołowaciał.

Z- Nie zmieniłeś się — stwierdziła. — Patrzę na ciebie i widzę w środku małego chłopczyka, który stoi na palcach i wygląda ci z oczu.

— Twoje zdrowie!

— Nasze zdrowie! — odrzekła. — Starych przyjaciół. — Stuknęła kieliszkiem w mój kieliszek i upiła długi łyk. Potrzebowała go tak samo jak ja. — Tak — powiedziała, kierując na mnie badawcze spojrzenie. — Jesteś trochę bardziej szorstki, a twoje paznokcie są czystsze niż wtedy, ale tak naprawdę się nie zmieniłeś.

— Jak możesz to stwierdzić?

— Nie wiem, po prostu mogę. — Robiła taką sztuczkę, polegającą na tym, że pozwalala głowie opaść nieco na jedną stronę. — A jak ja się zmieniłam?

— Co za pytanie!

— Jaka będzie odpowiedź?

— Pomijając rzeczy oczywiste...

— A więc...? — Znów to kokietyjne przechylenie głowy. Przypomniałem sobie tę sztuczkę.

Zawsze ją robiła.

— Pozbyłaś się okularów.

— Tak.

— Pewnie nikt nie ciągnie cię już za włosy.

— Nie.

— Palisz.

— O cholera, to aż takie oczywiste? Byłam grzeczna, nie Zapaliłam tu ani jednego.

— To naprawdę nie jest takie ważne.

— Co jeszcze?

Doroślaś, chciałem powiedzieć. Co się z tobą działo? Pamię-

187

tasz Ambona? Wciąż łazisz po drzewach? Jak to się stało u licha, że zrobiła się z ciebie taka fantastyczna babka?

— Nie jesteś już małą dziewczynką — powiedziałem.

— Może nigdy nią nie byłam — odparła z nieco smutny^ uśmiechem.

— Wracasz czasem? — zapytała. — To znaczy, do Indii? Był tam taki chłopiec, z którym się bawiliśmy. Julia? Pamiętam go bardzo wyraźnie. Ciekawe, gdzie teraz jest.

Rzadko bywałem w Indiach i nie widziałem Juli od z górą dwudziestu lat, ale zacząłem jej opowiadać, jak urósł i został Mitrą, czeladnikiem drukarskim, i jak kumplowaliśmy się w bazarze Dongri.

— Dongri? Gdzie to jest?

— To muzułmański bazar w samym centrum Bombaju.

— Najpierw chcę usłyszeć coś o tobie — powiedziała. — Opowiedz mi o swoich córkach. O księgarni.

Jak ognia bałem się chwili, gdy będę jej musiał wyznać, jakie khichdi {kedgereel) zrobiłem ze swojego życia. W rzeczywistości poszło zaskakująco bezboleśnie. Każdemu rodzicowi łatwo mówić o swoim potomstwie, więc opisałem różne wydarzenia z życia bliźniaczek: jak Kąty uczyła je jeździć konno, jakie były dumne ze swoich pucharów i medali oraz szkolnych świadectw, i jacy czuliśmy się zagubieni, kiedy poszły na uniwersytet. Phoebe była dobrą słuchaczką, i wkrótce opowiadałem smętną historię moich straconych lat: o potyczkach z przemysłem filmowym w Soho, o tanich filmach klasy B, a potem reklamach, wreszcie o pijaństwie, nocach we French Pub i innych knajpach; wszystko to się skończyło, gdy antykwariat ocalił moje małżeństwo i pewnie moje życie. Gładkie, puste zdanie. Z odpowiednią dozą samokrytycyzmu.

— To cud, że dziewczynki tak świetnie sobie poradziły. A dodałem. — Wziąwszy pod uwagę, że w pewnej chwili całkiem serio uważałem się za alkoholika.

1 khichdi, kedgeree — indyjska potrawa składająca się z ryby, gotowanego ryżu i jaj

188

- Ciągle ten sam głupty — powiedziała Phoebe. — Zawsze malowałeś siebie w ciemnych kolorach, nawet jako dziecko. Usłyszała tylko często powtarzaną, oczyszczoną wersję. Udoskonalaną przy każdym kolejnym opowiadaniu. Nie posiedziałem jej o tym, czego naprawdę się wstydzilem: o Puszcie, ciemnych włosach, tanim winie, choć Kąty wiedziała i mi przebaczyła. I jeszcze o czymś, o czym nigdy nikomu nie wspomniałem. O tym, jak pewnego dnia, w tym samym strasznym okresie, niespodziewanie wróciłem wcześniej do domu i stałem się świadkiem czegoś, czego nie powinienem był zobaczyć. Kąty nigdy się nie dowiedziała, że widziałem. A ja miałem świadomość, jak blisko byłem jej utraty.

— Nie wiesz wcale, jaki jesteś ważny — powiedziała Phoebe.

— Ważny? — Ja nie użyłbym tego słowa.

— Tak, ważny. To nie znaczy być bossem czy grabą rybą. To znaczy być kimś szczególnym dla innych ludzi. Dobrym. Takim, jakim byłeś dla mnie, gdy byliśmy dziećmi... Nie masz nic przeciwko temu, że zapalę?

Zwykle nie mogę znieść, gdy ktoś przy mnie pali, ale pokręciłem głową.

— Nie, skądże. Pal.

Zapaliła papierosa i wydmuchnęła dym.

— Myślałam o tym, słuchając w kaplicy, jak mówisz o swojej matce. O tym, w co wierzyła. Że ważne są małe dobre uczynki, bo one trwają, trwają ich następstwa. Tak rzeczywiście jest. Ludzie pamiętają takie rzeczy długie lata. Nie zapominają.

To było niezupełnie to, co Maja miała na myśli, ale wzruszyłem się.

Phoebe stała, kręcąc kieliszkiem, obserwując, jak wino wspina się na ścianki, a potem przelotnie rzuciła okiem na Kąty, stojącą po drugiej stronie pokoju i rozmawiającą z Prosiaczkiem i Panaghiotisem.

— Szkoda, że mnie tam nie było — rzekła. — Nie posoliłabym ci doprowadzić się do takiego stanu.

Przez chwilę nie rozumiałem, o czym mówi, a potem zdjął mnie lęk.

Źle ci to przedstawiłem. Kąty to najłagodniejsza dusza

189

pod słońcem. Niewiele kobiet miałoby tyle cierpliwości. Wspierała mnie, gdy chciałem rzucić pracę w Londynie, choć zo. staliśmy prawie bez grosza. Zawsze będę jej za to wdzięczny

— Przepraszam, to było niezręczne — powiedziała szybko Phoebe. — Nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało... Jesteś pewna, że Kąty zrobiła wszystko, co mogła.

Stypa dobiegała końca. Srinudzi i Prosiaczek zbierali kielj. szki. Z kuchni dobiegały odgłosy zmywania. Kąty podeszła i podniosła talerzyk z gzymsu kominka.

— U was wszystko w porządku? — zapytała.

— Kąty jest urocza — powiedziała Phoebe. — Szczęściarz z ciebie. Jak ją poznałeś? To było wkrótce po tym, jak skończyłem kurs w Sussex, ten, na który przyjechałem specjalnie z Indii. Podyplomowe studia filmowe. Miałem mieszkanie w Brighton i jeździłem do Londynu na rozmowy kwalifikacyjne do wytwórni filmowych. Żeby się utrzymać, znalazłem sobie pracę w księgarni i miałem pod swoją pieczę półki z książkami o koniach, psach i kotach. Dziewczyna z ładnym tyłeczkiem, często opiętym bryczesami (o tym Phoebe nie wspomniałem) przychodziła oglądać książki o koniach. Więc zacząłem specjalnie zamawiać wszystkie tytuły poświęcone jeździectwu, jakie pojawiały się w katalogach wydawców. Niebawem mieliśmy największą sekcję końską w mieście, a ja przeglądałem książki, żeby mieć o czym z nią rozmawiać. W taki sposób się poznaliśmy. Chodziliśmy na kawę, czasem na jakiś niewielki posiłek w taniej kafejce przy Lanes, na spacer po plaży. To było niesamowicie gorące lato. Kąty zabrała mnie do domu, żebym poznał jej rodziców, którzy mieli małą farmę na nizinie.

— To takie romantyczne — westchnęła Phoebe. — Ale ty zawsze byłeś romantykiem.

— Ja raczej bym się tak nie określił.

— Nakłanianie dziewczynki do rozrywania robaków też jest całkiem romantyczne, na swój sposób.

— Kiedy powiedzieliśmy jej rodzicom, że się zaręczyliśmy' ojciec był chyba zaszokowany, ale zrobił wszystko, żeby to

190

l[^]yć. Wziął mnie na stronę i powiedział, żebym nie popękał Kąty do małżeństwa. „Ona jest taka młoda”, powtarzał „r kółko.

_ Więc kiedy go zawiodłeś?

__ Jesteśmy małżeństwem nieco ponad dwadzieścia dwa lata. Bliźniaczki obchodziły urodziny tuż po śmierci Mai. — Chciałem zmienić temat. — Nie powiedziałaś mi jeszcze nic peterze. Jak długo jesteście ze sobą?

__ - Cholera, chyba od zawsze — odparła, ale zaraz uciekła wzrokiem gdzieś w bok.

— Phoebe, pamiętasz Tygrysi Skok?

To było jedno z moich najżywszych wspomnień z Phoebe. Tego ostatniego lata my, dzieciaki, poczuliśmy, że cienie ze świata dorosłych zaczynają nas dosięgać. Późne popołudnie pewnego dnia, gdy deszcz przestaje padać i wszystko śpiewa. Ona stoi na skraju urwiska przy Tygrysim Skoku, spoglądając w miedzianą mgłę, z której wyrasta samotny, stożkowaty wierzchołek. Żartowaliśmy, że wygląda jak pierś ze sterczącym sutkiem. Phoebe zdejmuje okulary, wystawia twarz do słońca i mówi w ten swój dziwny sposób, niczym dorosła kobieta: „Jestem taka szczęśliwa. Jeśli kiedyś mnie coś zasmuci, przypomnę sobie tę chwilę”.

W ciągu następnych lat sam się tego nauczyłem: gromadzić chwile szczęścia i obwarowywać się nimi w ciemnych czasach.

Phoebe zmarszczyła brwi.

— Pamiętam różne dziwne rzeczy. Niektóre jak przez mgłę. Ale pamiętam wszystko, co razem robiliśmy.

— Wiesz, zawsze miałem nadzieję, że jeszcze się spotkamy.

— Miałeś nadzieję? — spytała, zniżając głos niemal do szeptu. — Ja wiedziałam! Wiedziałam, że dotrzymasz obietnicy.

Musiałem mieć pusty wzrok, bo dodała:

— Obiecałeś, że przyjedziesz do Anglii i mnie znajdziesz. Podszedł Prosiaczek i zapytał:

— Wracasz do Lewes, Bhalu? Załapię się z tobą co? — UaPtynął, spoglądając na zegarek. Pewnie obliczał, czy zdąży ZaJrzeć do Charlotte.

191

— Czas na mnie — oznajmiła Phoebe. — Czy ośmielę Sje jeszcze raz cię pocałować?

Ale tym razem tylko cmoknęła mnie w policzek.

— Będę w kontakcie — obiecała. — Teraz, kiedy cię 0(j. znalazłam, już cię nie puszcze.

— No, no — mruknęła Kąty, patrząc, jak Phoebe żegna się z moimi siostrami. — Więc to jest ta legendarna Phoebe? Widać, że musiała być bardzo ładna za młodu. Miałeś z nią niezłe używanie, co?

— Kąty, na litość boską, byliśmy dziećmi.

— Ale teraz już nie jesteś dzieckiem — powiedziała Kąty. -^ Mimo że matka być może powtarzała ci coś wręcz przeciwnego.

Srinudzi zmierzał w naszą stronę, żeby się pożegnać. To dziwne, lecz teraz, gdy wiedziałem już, dlaczego zgolił wąsy, prawie go polubiłem.

— Twoja matka i ja — rzekł ten zaskakujący człowiek, odprowadzając mnie na bok — lubiliśmy grać w moamma. -~ Znasz tę grę?

Nie znałem.

— Moamma znaczy zagadka, dylemat. Pierwszy gracz cytuje linijkę wiersza z brakującym słowem. Drugiemu graczowi przedstawia dwa słowa, z których oba pasują. Które jest właściwe? Żeby wygrać, trzeba znać język i literaturę. Ta zabawa pochodzi z Lucknow. Grano w nią w czasach nababów. Oczywiście, dworzanie grali o tysiące, ale kiedy w zeszłym roku byłem w domu — zapomniałem, że Srinudzi pochodzi z tego samego miasta co moja matka — na każdym rogu grano o stawkę pięciu rupii. Kupony można było dostać w cukierni i w sklepie rowerowym. Co tam profesorowie poezji, w Lucknow każdy riksarz chce rozmawiać o najnowszym zadaniu z moamma. Zademonstruję to na prostym przykładzie: Na tk kuchch to luka tha, kuchch na hota to luka hota... Masz do wyboru malik i khuda.

Oba słowa były muzułmańskimi określeniami Boga.

— Nigdy bym nie pomyślał, że usłyszę od ciebie o Khu-dzie. — Nie miałem pojęcia, po co mi to wszystko mówi.

— Jakkolwiek Go nazwiemy, na górze zawsze siedzi Te" Sam. Chciałbyś zagrać?

192

— Dobrze — zgodziłem się.

L- Podam ci kuplet z Kabira. Piya chaaheprem ras, raakha chaahe luka, eh myaan men do khadag, dekha sunā na kaan. Chcesz skosztować eliksiru miłości i zachować, luka, lecz dwa sztylety w jednej pochwie, tego nikt jeszcze nie widział". Możesz wybrać jaan albo maan.

— Życie lub honor?

— Otóż to.

— Które to słowo?

— To ty masz wybrać.

Powiedziałem mu, że się zastanowię, lecz już czułem, jak narasta we mnie ta cicha, gwałtowna radość.

'''

Kostka mydła 501

Jak gąsienica, pastuszek Jula, stał się poczwarką, która z kolei zmieniła się w drukarza Mitrę?

Mając trochę czasu, postanowiłem z myślą o Phoebe przelać na papier historię Juli. Zaczęła się ona, co oczywiste, w Ambona, lecz po latach poznałem go na nowo, w innych okolicznościach, w Bombaju. Jeśli Ambona wywarła decydujący wpływ na moje dzieciństwo, czas spędzony razem na bazarze Dongri był najbardziej ekscytującą częścią początku mojego dorosłego życia. Ambona i Dongri — to dwa najważniejsze miejsca w moim życiu, a Jula vel Mitra był ze mną w obu. Nigdy wcześniej o tym wszystkim nie opowiadałem, a tym bardziej nie pisałem. Moja relacja zaczęła się jako list, lecz po kilku dniach gryzmołenia i zmazywania uświadomiłem sobie, że tak naprawdę piszę dla siebie.

Od naszej wyprowadzki z Ambona upłynęło prawie sześć lat, nim znów zobaczyłem Julę. Był styczeń tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego szóstego roku. Miałem szesnaście lat i właśnie skończyłem szkołę na północy, do której posłano mnie, kiedy ty wyjechałaś do Anglii. W tamtych czasach w Indiach kończyło się szkołę po zaliczeniu, z grubsza rzecz biorąc, odpowiednika brytyjskiego gimnazjum. Szliśmy na studia w niedorzecznie młodym wieku. Ja miałem iść na uniwersytet Saint Stephen's w Delhi, razem z wieloma przyjaciółmi, ale następnych kilka miesięcy należało do mnie. Maja i mój ojciec mieszkali zno« w Bombaju — co dziwne, w tym samym mieszkaniu, które zajmowaliśmy przed wyprowadzką do Ambona. Marzenie ka-

194

itana Sahiba o różanym ogrodzie — pamiętasz jego uwielbienie dla róż, długie wykłady o herbacianych krzyżówkach

naZwami takimi jak Doktor K. Biswas czy Deenabandhu j?everend Andrews? — zostało zredukowane do kilku pleśniejących krzaków, z trudem łapiących oddech w bombajskim sfflOgu. Pobyłem w mieście kilka tygodni, a potem postanowiłem wsiąść w pociąg do Ambona. To miała być moja pierwsza wizyta po wyprowadzce.

Wszystkie indyjskie dworce pachną podobnie, węglowym pyłem, smarem silnikowym, środkami dezynfekującymi, troszeczkę jaśminem i dymem beedi.

Dworzec VT, Victoria Terminus, był zapchany wieśniakami. Koszyki z jajkami, oberżynami, szpinakiem i wiklinowe klatki i drobiem kołysały się na głowach tragarzy w czerwonych koszulach z mosiężnymi blaszkami przywiązanymi do prawego ramienia. Wypiłem herbatę, mieszankę Indian Railways, gęstą, słodką, z domieszką kardamonu, i poczułem się idiotycznie szczęśliwy. Nawet rozmazane litery AMBONA, wydrukowane na tekturowym bilecie, zdawały się płasnąć w górę i w dół, jak gdyby czuły takie samo uniesienie jak ja. Podróżowałem trzecią klasą. Lubilem zatłoczone przedziały i niesamowitą mieszaninę ludzi, przypadkowo zebranych razem.

Bombaj jest jak palec wskazujący na południe w stronę Morza Arabskiego. Ambona leży na południowy wschód, lecz żeby się tam dostać, koleją albo samochodem, trzeba pojechać prawie pięćdziesiąt kilometrów na północ, i dopiero wtedy można skrócić ku góróm.

Phoebe, pamiętasz, co czyni tę podróż niezapomnianą? Pociąg wyje i nurkuje w tunel, w ciemność, w której słychać tylko przytłumiony stukot kół, a czerwone lampy migają za oknem jak piekielne kamienie milowe. Mija dużo, dużo czasu, nim dotknięcia światła na załomach szorstkiej skały zwiastują błyskawiczne zbliżanie się końca tunelu — błysk dnia, rzut oka na strome brązowawe ściany, i już jesteś w następnym — rycząca czarna paszcza otwiera się i cię połyka; ludzkie głosy szumią kiwnie; światło jest tak słabe, że ledwie widzisz twarz sąsiada, ^el ciągnie się i ciągnie, aż błyski lamp tworzą iluzję od-Ptywania w tył. Wreszcie światło znów zaczyna rzeźbić ściany

195

i raptem —jasność, pociąg kołysze się nagle spokojniej, i narar po prawej stronie, wiele metrów niżej, otwiera się dolina z polami upstrzonymi stogami siana. Krajobraz biegnie w stronę morza z mgiełką na horyzoncie; kilometr dalej lokomoty\ya gwizdże i przez chwilę widzisz ją, sapiącą zabawkę na hA^ miniaturowego toru. Dwadzieścia sześć tuneli, prowadzących pociąg na wzgórze i przez nie, wynurza się nagle, tworząc surrealistyczną scenerię pętli powrotnej; wiadukt niesie \im kolejową nad przepaścią pod niesamowitym kształtem Książę, cego Nosa. Niecałe pięć minut później wjeżdżamy na żółtą stację z tablicą, na której widnieje napis w marathi, aTZafrrt AMBONA.

Znalazłem auto-rikszę na dworcu i kazałem kierowcy zawieźć się do wioski Karvanda. Długa droga, ale ja chciałem od razu zobaczyć się z Julą. Nic się nie zmieniło. Na rynku miasteczka wciąż stał pomnik Jerzego V, na dachach między dachówkami wyrastała trawa, a niebo miało ten sam błękitny, górski kolor. Nawet zapach był ten sam.

Rikszarz był nastolatkiem w moim wieku. Jechał za szybko i ciągle zerkał w lusterko.

— Pan mi wygląda znajomo, sir.

— Kiedyś tu mieszkałem.

— Jak się pan nazywa? Powiedziałem mu.

— O psiakrew — zaklął i zrobił gwałtowny wiraż na rogu uliczki, tak że riksza zakołysała się na dwóch kołach. — Nie poznajesz mnie? Chodziliśmy razem do szkoły.

Miał na imię Razak. Przypomniałem go sobie. Jego ojciec jeździł ciężarówką w bazie morskiej.

Kolegowaliśmy się, dopóki nie zabrano mnie i nie posłano do snobistycznej szkoły z internatem.

— Ben wstąpił do marynarki — mówił Razak. — Jest teraz kadetem, w Khadakvasla. — Tak nazywała się akademia wojskowa koło Poony.

— Jadę zobaczyć się z Julą — wyjaśniłem, kiedy już wy mieniliśmy się nowinami. — Znasz go?

Zdaje się, że przyszedł

196

, szkoły kilka lat po moim odejściu. W naszym wieku, tyle że kilka klas niżej.

__Trochę tępy?

__Przeciwnie. Bystry. Tylko później zaczął.

__Nie znam żadnego Juli — rzucił, płosząc kurczaki na drodze.

__Z wioski Karvanda. Nazywa się Kashele.

__- A, mówisz o Mitrze.

Riksha przetelepała się po długiej grobli monsunowego jeziora. Dalej, na wprost, wznosiła się Bicchauda. Czuję w nozdrzach jej mineralny oddech. Pięć lat — co mogło się zmienić? Ale nic się nie zmieniło. Wszystko było tak, jak zapamiętałem. Zimowy poziom jeziora, konie i owce na brzegach, pasące się na skrajach łąk, które znajdują się sześć metrów pod powierzchnią wody, gdy przyjdą deszcze. Między stadami przesuwali się mali pastuszkowie, ich turbany wyglądały jak maciupkie jasne stożki. Wszystko było na swoim miejscu. Czasem nęka człowieka lęk, że wystarczy się odwrócić, a świat zniknie, lecz wzgórze jakby czekały na mój powrót. Spójrz, mówią, pilnujemy, żeby wszystko było w najlepszym porządku. Są drzewa, są zwierzęta, zinwentaryzowane jak należy. Wszystko wygląda tak samo jak wtedy, gdy wyjeżdżałeś, i tylko czeka, aż wrócisz.

Las na Bicchaudzie był suchy i pokryty zimowym kurzem, ale niektóre drzewa już wypuszczały nowe liście, żółte, blado-seledynowe. Tu i ówdzie strzelały karmazynowe bukietypalasy, leśnego płomienia. Posuwaliśmy się mozolnie wokół jeziora. Wysoko nad nami wznosiła się stroma skalna ściana, z której spadła Rosie. Jedna ciemna plama w pamięci, jedyna rzecz związana z Ambona, o której chciałbym zapomnieć. Riksha, frzując się, pojechała dalej, nad przełęczą, wokół wzgórza, i znalazła się na trakcie prowadzącym do naszego domu i wioski. Wszystko na swoim miejscu.

Na pierwszy rzut oka nasz dom się nie zmienił. Był za-

197

mknięty. Brama z zardzewiałym łańcuchem obrosła chwastami. Nie otwierano jej od wielu miesięcy, chwasty rozpleniły się w czasie monsunu, dawno zwiędły i pożółkły. To dziwne, ale minąłem dom bez żalu. Ucieszyłem się, że nikt tam nie mieszka.

Ścieżka stała się za trudna dla rikszy. Zapłaciłem i patrzyłem jak podskakuje, zjeżdżając ku jezioru w tumanie czerwonego pyłu; potem odwróciłem się w stronę wioski. Droga wiała się po wystającej ostrodze Bicchaudy, przez dolinę, a potem w górę po łagodnym stoku następnego wzgórza, Dagali. Zacząłem lustrować wzrokiem zbocza usiane plamkami krów i bawołów w poszukiwaniu małej postaci w wystrzępionych szortach. Ze zwieńczonego dżunglą szczytu Dagali ściana spadała niemal pionowo w las. Właśnie tam się wspinaliśmy, szukając Katho-diego. Wydawało się to niemożliwe. Jak dotarliśmy tam z taką łatwością?

Wreszcie dobrze znane podejście do wioski. Karvanda nic się nie zmieniła. Chaty ze strzechami i trawiastymi dachówkami wyglądały tak, jakby wyrosły z ziemi i były tam od zawsze.

Więść o tym, że się zbliżam, musiała już dotrzeć do wioski, bo na ostatnich stu metrach eskortowała mnie gromada dzieciaków. Wszedłem do domu Juli i zastałem tam jego matkę, kaszlącą, ocierającą łzy z oczu i pobrzękującą bransoletami. Postarzała się, przygarbiła jak staruszka, choć musiała być młodsza od Mai.

Podeszła i schyliła się, żeby dotknąć moich stóp. Powstrzymałem ją.

— Nie, matko, to tylko ja.

Uścisnąłem ją. Położyła mi rękę na głowie, zamknęła oczy i wymamrotała jakąś mantrę, błogosławiąc mnie. Potem zwróciła się do jednego z malców kręcących się w drzwiach. „Na co się gapisz? Idź poszukać Mitry, powiedz mu, że Bhalu przyjechał... Pomaga mniejszym dzieciom w szkole, wyjaśniła. W tej, którą założyła twoja matka”.

Zapytała o Maję, powiedziała, że święta z niej kobieta i III wszyscy pamiętają czasy, gdy tu mieszkała, i pragną jej powrotu.

„Jula!”.

Ledwie go poznałem. Mój mały przyjaciel obdartus urósł

198

; schudł. Nosił małe, okrągłe okulary, które nadawały mu ^gląd studenta. Uśmiechnął się szeroko i wyciągnął dłoń, czego nie zrobiłby kiedyś.

— Bhalu bhail

— Co to ma znaczyć, że wszyscy mówią na ciebie Mitra?

— Shambhumitra. To moje prawdziwe imię. Jula to tylko przydomek. Wiesz o tym. Oznacza bliźniaka. Kiedy się urodziłem, miałem siostrę bliźniaczkę, ale umarła. Mama nazywała runie Jula, żeby upamiętnić moją siostrę, że ona też się urodziła.

Tego akurat nie wiedziałem.

— Musisz zobaczyć szkołę. Chodź, chodź. — Wziął mnie za rękę i poprowadził. Budynek szkoły został przebudowany, był teraz z cegły i miał dwie klasy. Jula, a właściwie Mitra, krzyknął, i ze szkoły wyszedł młody mężczyzna. — To jest Rameshbhai, nauczyciel. Jest tutaj od dwóch lat. Przyszedł po odejściu naszego pierwszego nauczyciela. Pamiętasz Harięgo Prasada? — Nie pamiętałem.

— Twoja matka nadal przysyła pieniądze dla nauczyciela. Co miesiąc.

Chcieli mi wszystko pokazać. Podręczniki, elementarze w marathi i po angielsku, tablicę z napisanymi kredą liczbami i nazwami roślin.

— Bhalu, to wspaniała szkoła. Dwadzieścioro dzieci uczy się czytać i pisać, a wszyscy to dzięki twojej matce.

Później powiedział do mnie:

— Nie rozumiem tylko, czemu posłała cię do tamtej eleganckiej szkoły.

Ja też tego nie wiedziałem i nie śmiałem mu opowiadać

O mojej szkole w Radżasthanie, z marmurową wieżą i pawilonem do krykieta z rzeźbionego piaskowca, na którego stopniach, podczas dorocznej ceremonii rozdawania nagród, chłopcy ubrani w oficjalne achkany i turbany z Radżput wyglądali jak rzędy kosztownych tulipanów. W szkole Juli chłopcy nosili tanie granatowe szorty i białe koszulki. Ich matki jakoś utrzymywały je w nieskazitelnej czystości, piorąc mydłem Bar Soap 501 i szorując na kamieniach.

Jula miał siedemnaście lat, lecz wciąż chodził do Kej Dži III do końcowego egzaminu został mu jeszcze rok. Jego ojciec,

199

Dhondu, był chory. Nie mógł już regularnie pracować, więc Jula znalazł sobie wieczorową pracę w herbaciarni w Ambona

„Między Mumbai i Pune jest coraz większy ruch, rzekł, używając nazw miejscowości w marathi. Mamy mnóstwo roboty. Zarabiam kilka rupii, wszystko się przyda”.

Jula — nie mogłem się przyzwyczaić, żeby w myślach nazywać go Mitrą — powiedział mi, że chce się nauczyć drukarstwa, by móc robić podręczniki szkolne. „Musimy pomagać prostym ludziom. Twoja matka nam pomogła. Teraz my musimy pomóc sobie samym. Musimy opowiedzieć naszą prawdziwą historię, taką jaką my znamy”.

„Spójrz, napisałem to”. Pokazał mi zeszyt, w którym spisana była w hindi opowieść o Shivadźim, wodzu Mahratta, który panował na tych wzgórzach sto lat temu.

Rozpoznałem historię, którą opowiadała mi matka. Ghorpaty, olbrzymie jaszczurki... Jednak z pozbawionej artyzmu wersji Mitry była jakaś świeżość, wigor; była jak sadzonki jego ojca, mocno zakorzenione w żyznej glebie.

— Chodzisz jeszcze do lasu? Roześmiał się i otoczył mnie ramieniem.

— Chodź, popasujemy krowy — rzekł.

Nasha

Minęło pół dekady. Był rok tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty pierwszy, miałem dwadzieścia jeden lat. Skończyłem college w Delhi i przyjechałem do Bombaju, żeby znaleźć sobie pracę w małym biznesie. Obie moje siostry dorosły i poszły do college'u. Maja i kapitan Sahib wciąż mieszkali przy Cuffe Parade, ale było już widać oznaki zbliżającego się kryzysu. Maja pracowała nad wielkim nowym projektem, scenariuszem filmowym, ale niezbyt jej się przy nim szczęściło. Odrzuciło go wielu reżyserów. Ojciec kupił trochę ziemi w Luck-now i mówił o zbudowaniu domu. Marzył o swoim gul-e-stanie, ogrodzie różanym, i ciągle opowiadał o różach, które teraz nosiły inne nazwy: Patiala Durbar, Yamini Krishnamurthi, Biała zakonnica, Muzibar. To dziwne, że pamiętam je

grupami, róże z odrębnych okresów, jak gwiazdy filmowe lub filmy.

Pewnego dnia zawołano mnie do telefonu. Mitra. Powiedział, że jest w Bombaju i uczy się u drukarza. Mieszkał tam już od roku.

„Teraz umiem czytać po angielsku nie tylko w przód, ale i w tył!”.

Nauczył się składać czcionki, czytać litery odwrócone tyłem laprząd i układać je w ramkach oddzielonych sztabką odpowiedniej wielkości. Nie było to łatwe, ale opanowywał tę sztukę.

spotkaliśmy się na dworcu Churchgate i zrobiliśmy sobie Pacer Marine Drive, żeby popatrzeć na dziewczyny. Mitra rośł jeszcze bardziej, ale wciąż był chudy. Jego spodnie

201

opadały prostą linią od talii do kostek. Uda miał cienkie jgu ołówki, a koszula nadymała się wokół talii, której każda dziewczyna mogła mu pozazdrościć.

Później pojechaliśmy autobusem do jego drukarni. Brudny budynek przy zaułku w Dongri, w sercu muzułmańskiej dziel, nicy bazarowej. Mitra powiedział, że zostały mu jeszcze dwa lata do końca czeladniczego stażu. Miał głowę pełną planów.

„Twoja matka mi pomaga, zorganizujemy spółdzielnię”. 1

Z ogromnym entuzjazmem tłumaczył mi, że w firmie, którą założą wszyscy pracownicy, od redaktora do chapraasi, będą dostawali takie same pieniądze.

„Zacniemy drukować książki, na które będzie stać zwykłych ludzi. Nie tani chłam, ale książki dobrej jakości. Możemy drukować klasyczne utwory z objaśnieniami. Możemy tłumaczyć zagraniczne książki. Wędrowałem po mieście i patrzyłem, jak żyją tu ludzie. Chodź ze mną Bhalu. Pokażę ci rzeczy, o jakich ci się nie śniło. Ludzie przyjeżdżają ze wsi i szukają pracy, nowego życia, a znajdują próg zamiast poduszki. Dlatego będziemy wydawali książki samopomocowe. Jak zorganizować lobby na rzecz wody pitnej, elektryfikacji. Wiesz, Bhalu, nauczyłem się, że nawet sposób mówienia nosi piętno klasy społecznej i uruchamia stereotypy. Zmienimy to. Nasze książki otworzą ludziom oczy. Pokażemy im, jak można żyć bez kast i dogmatów”.

Powiedział, że takie było jego przeznaczenie, że on, chłopak ze wzgórz, miał zdobyć wykształcenie. Tak jakby Bóg wybrał go do spełnienia misji, a moją matkę uczynił narzędziem swej woli.

„Powtarzam jej imię w modlitwach. To niezwykła kobieta. Gdyby nie ona, wciąż pasłbym krowy albo pchał pług z irrlą na głowie”.

Kilka tygodni później zadzwonił znowu i powiedział, żebyśmy spotkali się u niego w pracy.

„Dzisiaj zabiorę cię w niezwykle miejsce”.

Był wieczór, jeszcze widno, nad dachami krążyły chóry gołębi. Przeszliśmy przez muzułmański kwartał, labirynt ulicze* zarzucony jak sieć na tylne partie starego miasta.

W końcu znaleźliśmy się na niepozornej alejce. Kilka sznurowych łózek (ich nazwa, charpay, dosłownie oznacza „czworo-

202

nóg”) sta*° °k°k dużej żelaznej bramy, za którą widać było ciemne podwórko.

— Co to za miejsce?

— Adda niejakiego Moosy.

Adda znaczy „jaskinia”. Może się odnosić do każdego miejsca, w którym ludzie, zwykle mężczyźni, zbierają się w jakimś określonym celu. Były addy hazardu, addy pijalnie, addy walk kogutów...

— Jaka adda?

— Zaraz się dowiesz.

Przywitał nas młody facet, którego Mitra przedstawił jako sharfu, kierownika lokalu, eleganta w zapiętych na guziki luźnych spodniach i kamizelce w prążki. Chłopak schylił nieśmiało głowę, życzył nam przyjemnych wrażeń i wyciągnął z kieszonki foliową torebkę pełną małych czarnych kuleczek. — Chillum chahiyel

— Ja mam — odparł Mitra, wyciągając krótką, stożkowatą fajkę. — Ale pošlij jakiegoś chłopaka po herbatę.

— Co teraz? — zapytałem.

— Nic. Po prostu usiądź i patrz, jak świat przepływa ci przed oczyma.

Z początku było mi nieswojo. Wydawało mi się dziwne, że Mitra chadza w takie miejsca. Nie

czułem się bezpiecznie. Był Hindusem, a to było terytorium muzułmańskie.

— Bhalu bhai — rzekł Mitra, pakując chillum i dokładnie ubijając — na Bicchaudzie są rzeczy, o których nigdy się nie dowiesz. Pamiętasz, gdzie gubiła się krowa Pandri, tam gdzie zaczynał się las? Wejdz tam w dżunglę. Dojdiesz do polany, na której są setki roślin. Mój ojciec popalał kiedyś trochę, w chillum takim jak to. Mówił, że przynosi mu to ulgę w bólu pleców. Tamto nie było dobre. Szajs, tak naprawdę. Nawet oglądało jak kozie bobki. Nie tak jak to.

Ze wstydem pomyślałem o ojcu Juli — Mitry — zgarbionym P^{ez} cały dzień nad naszymi warzywami. Dużo luSzi tego używało? ~ Dużo, bardzo dużo. Zimą kobiety jadły nasiona. Podobno

203
robi się od nich cieplej. Życie tych ludzi jest tak ciężkie, ^ mają prawo do drobnych przyjemności, zgadzasz się? Zwłaszcza jeśli jest to dar Mahadeo. Niech bogacze popijają sobie szampana i whisky, to jest nasha ubogiego człowieka.

Zaciągnął się, obserwując mnie sponad krawędzi сЫИИш przytrzymał dym w płucach, zdawało się, w nieskończoność' a potem wypuścił wielką chmurę, z satysfakcją kiwając głową! „Dobre”, powiedział, gdy już zdołał otworzyć usta, i podał mi fajkę.

Haszysz Moosy był czarny i miękki, uformowany w kuleczki, nakrapiane lekko perlistym grzybem. Przenosił cię od razu w narkotyczne głębiny — Mira przysięgał, że było w nim co najmniej ćwierć zawartości opium—przyspieszał myśli, wyobrażenia, skojarzenia, obrazy, uczucia, które łączyły się w fantastycznym tempie, tak szybko, że język nie był w stanie za nimi nadążyć.

Upłynęła godzina, a może minuty. Miałem wrażenie, że moje ciało spowiła aura chłodnego, błękitnego światła. Przez całą ulicę przepłynął ogromny ładunek radości, całkowicie ją odmieniając. Wątki czerwony kurek na dachu naprzeciwko wydał pierś i zapiał gromko. Moje obawy znikły bez śladu. Wydawało się, że siedzenie w tej brudnej alejce i popijanie herbaty jest czymś najnaturalniejszym w świecie. Dwaj starsi muzułmańscy dżentelmeni wyszli na przechadzkę, w czystych, rozplaszczonych na głowach czapeczkach, które kontrastowały z brodami w kształcie łopatk (poruszającymi się przy każdym słowie). Ogolone górne wargi przydawały wizerunkom mężczyzn mezopotam-skiego kolorytu. Nadszedł ślepy żebrak. Luźne kędziory włosów, niewidzące oczy jak u homeryckiego barda. Moje myśli rozpierzchły się nad Moosa jak stado gołębi, zmagających się z wiatrem — coraz wyżej i wyżej — kołując i wirując na niebie, które nabierało soczyście błękitnej barwy. Jakaś ręka złapała mnie za stopę; podskoczyłem. Mały chłopczyk wczółgał się pod łóżko, żeby wyciągnąć kulkę. Obserwowałem, jak japrzytka, zgiąwszy środkowy palec tak samo jak my, gdy byliśmy dziećmi. Grupka obdartych dziewczynek przykucnęła w rynsztoku, podpalając jakiś papier, który zwinął się i powoli rozplął w płatkach ognia, pochwyconych przez leciutkie prądy powietrzne.

204

parter budynku naprzeciwko zajmował szereg małych sklepików. Nad jednym z nich wisiał malowany ręcznie, koślawy ^yld: FIRMA HANDLOWA SAURASHTRA, z listą sprzedawanych artykułów poniżej: CURRY MASALA, SUSZONE OWOCE, BAKALIE, NOŻE PRZEMYSŁOWE, PIŁY IOST-gZA, WYROBY BAWELNIANE I PRZĘDZA. Patrzyłem na ten stary budynek, jego architekturę, szeregi okien, butwiejące drewno, warstwy łuszczącej się farby — na wszystko to, co pienieło go z magazynu, którym był kiedyś, w ponurą rudere. Budynek zdawał się mówić, opowiadać historię swoją i miasta. Został wzniesiony na otwartym terenie w tysiąc osiemset pięćdziesiątym ósmym roku, roku powstania, jako skład bawełny sprowadzanej z Gudżeratu do nowych przedziałni zbudowanych przez dalekowzrocznych Parsów. Cała ulica z radością powitała doniesienia o wybuchu wojny w Ameryce. Nagle przedziałnie w Lancashire zapragnęły indyjskiej bawełny — kłębków surat—która przechodziła przez ten magazyn. Bazary powstały później, wypełniając pozostałe luki. Na przełomie wieków, mówił budynek, magazyn nie był już wykorzystywany do przechowywania bawełny. Składowano w nim bele łydyg cynamonu, czarny pieprz, gałki muszkatolowe i czosnek, suszony imbir, chili, kardamon i orzechy betelowe. Wciąż czuło się w powietrzu woń cynamonu. W latach pięćdziesiątych powojenny bum gospodarczy sprawił, że budynek zamieniono w kamienicę dla średnio zamożnych rodzin. Pozbawiony większości instalacji, w niektórych przypadkach nawet wody i podstawowych urządzeń

sanitarnych, stał się domem dla ponad czterystu ludzi. Czasem w jednym pokoju mieszkało osiem lub dziesięć osób, a każdy z owych pokoi cuchnął innym rodzajem korzeni.

„Daj mi jeden fakt i goli od Moosy, mawiał Dost, a wysnuję 2 tego cały świat”.

Nazywał się Mohammed Khan, więc przezwaliliśmy go Dost^{oo}- imienia słynnego wodza. Bez troski Dost, strapienie miej-^{owycfc}-mułłów, był najszcześliwszy, gdy szedł do kina. eśo wiedza o filmach była imponująca. Potrafił kilka razy Sc na film, który mu się spodobał, a czasem, nawet

gdy

205

mu się nie podobał. Pracował na pół etatu w dhabie (ггш}e-przydrożnej traktierni), która należała do jego wuja, i том nam, że dorabia jako kurier miejscowych oprychów. Zm doskonale — tak twierdził — podskórne życie miasta, wy. muszenia, czarny rynek, przemyt. „Jeśli czegoś wam trzeba — chełpił się — mogę to załatwić. Bez rozlewu krwi» Jeżeli potrzebowałeś jakiejś części samochodu albo radi0 konkretnej marki, on wiedział, do której budki wejść na Chor Bazaar (Złodziejskim bazarze). Nasza trójka drażniła się ze sobą ciągle na temat dziewcząt, wielkości członków doświadczeń seksualnych lub ich braku, obrzezania i tym podobnych. Mitra nadal miał zwyczaj łapania niewidzialnych much, więc został makkhimar, muchomorem. (Muchomor to po rosyjsku zabójca much). Ja, rzecz oczywista, byłem Bholā Bhalu. Jeździliśmy motorem Dosta; ja siedziałem za nim, ściskając go w pasie, a Mitra stawał na błotniku, trzymając się mnie.

Dost miał fascynujący sposób robienia skrętów. Jego palce były długie i kościste, jak nogi pająka: brał papierosa i obracał go w palcach, cierpliwie wyciskając tytoń na dłoń. Pedantycznie wyciągał ze środka długie nitki, które wyrzucał. Gimnastykując palce jak ciało w czasie ćwiczeń jogi, brał goli, kulkę haszyszu wielkości fasolki, nadziewał ją na zapałkę i przypiekał, aż zaczynała skwierczeć, a potem kruszył ją w tytoń i mieszał palcami. Brał pustą papierową gilzę, którą wcześniej wkładał między kostki palców i wydmuchiwał. Z niewiarygodną cierpliwością wypychał tytoń z powrotem do gilzy, bez przerwy skręcając go i ściskając. Cała ta bizantyjska procedura trwała od pięciu do sześciu minut, ale widziałem też, jak robił to w dwie minuty, na wietrze, który pprzywał papierowe flagi — zielone z białymi półksiężycami — Tniósł z szelestem po ulicy.

Noce w palarni zlewały się w jedno. Pamiętam ślepego żebraka, który śpiewał przy akompaniamencie brzęku kieliszków. Pewnego wieczora w alejce zebrała się spora gromada ludzi. Na ulicę wyniesiono więcej charpayów. Zjawilo się dwóch mężczyzn niosących tajemniczy cylindryczny obie» długości mniej więcej dwóch i pół metra. Położyli go i zaczęli

206

njego ściągać długą połąć płótna. Następnie przynieśli liny . j^ywiązali je po przeciwnych stronach alejki. Luźne końce ostały przyczepione do łopoczącego płótna, które uniosło się powietrze i stało się ekranem kinowym. Gdy mężczyźni

ciągali ekran, na ręcznym wózku podjechał projektor i został ustawiony na środku alejki, blokując ją całkowicie. Ludzie o0wynosili z domów krzesła i wkrótce na piachu siedział tłum jj/ieci ze skrzyżowanymi nogami. Publiczność zajęła miejsca po obu stronach ekranu. Zdarte głośniki długo piszczwały, a potem film ożył.

Fabula opowiadała o bombajskim reporterze, który poddawany jest naciskom, by ukręcił łeb doniesieniu o korupcji na wysokim szczeblu. W historię są w jakiś sposób zamieszani gangster i piosenkarka. Jest w filmie scena miłosna, w której rozmazane, szare i białe kształty ich twarzy zawisają w ciemności. W pewnej chwili na mój charpay wdrapał się koziół i leżał tam, żując coś i obserwując mnie złymi, żółtymi ślepiami. Co jakiś czas na pustym ekranie ukazywały się wirujące kropki domina, sygnalizując koniec rolki; widzowie bili wtedy brawo. Rolek było dużo, o wiele za dużo. Kiedy film dobiegł końca, tłum rozproszył się równie szybko, jak się zebrał. Znow byliśmy sami.

— Ale szajs, co? — odezwał się głos z ciemności.

— Ty pewnie coś o tym wiesz — odpowiedział głos Mitry.

— Jak ty zaczniesz robić filmy, Bhalu — rzekł Dost — daj sobie spokój z ciężkimi społecznymi przesłaniami, skup się na rozrywce.

— Na razie mi to nie grozi — odparłem. Nie miałem szczęścia przy szukaniu pracy. Nawet

wstawiennictwo Mai nic dało.

— Nie słuchaj go — wtrącił się znów Mitra. — Sztuka zawsze powinna dążyć do tego, żeby zrobić coś dla ubogich. Coś namacalnego.

To od Mitry dowiedziałem się, że Maja pracuje nad ważnym Projektem, o którym niechętnie mówi; wiadomo było tylko tyle, że — podobnie jak w filmie, który przed chwilą widzieliśmy — miał dotyczyć morderstwa i korupcji w policji. Mai ■ He było łatwo go sprzedać, dodał Mitra. Jej styl już zaczynał chodzić z mody.

207

Dost obstawał przy tym, że trzeba robić filmy w stylu masala.

— Jaki sens pokazywać w filmach rzeczywistość, skoro filmy w żaden sposób nie mogą jej zmienić?

— Wszystko odwróciłeś do góry nogami. Dobry film połyka, nie uczy, i w ten sposób doprowadzać do zmian.

— Ile może nauczyć film? Na kogo wpłynie?

— Pokaż świat taki, jaki jest, aby ludzie mogli rozpoznać swoją własną sytuację. Będą wiedzieli, co zrobić. A twoje mirch-masala — o co w nim chodzi, poza robieniem pieniądza, czy?

— To czysty snobizm — zaoponował Dost. — Ty po prostu lubisz się nad sobą litować. Po co robić z tego dyskusję pod tytułem sztuka kontra komercja?

— Powiedz mi — rzekł Mitra, który najwyraźniej się rozgrzewał — ile z twoich okrzyczanych, gwiazdorskich filmów nauczyło kogoś czegokolwiek pożytecznego?

— Jakoś nie zauważyłem, żeby filmy społeczne wstydziły się pokazywać wielkie gwiazdy — odparował Dost. — Czy Jahnni Walkar albo Guru Dutt ściągają tłumy do kin dlatego, że grają prostych ludzi, czy dlatego że są gwiazdami?

— Nie w tym rzecz. Rzecz w tym, jaki jest zamysł.

— Czy twórcy twoich poważnych filmów dbają o widownię? — zapytał Dost. — Są zbyt zajęci zdobywaniem nowych terenów i zbieraniem nagród na zagranicznych festiwalach filmowych. Jeśli poważne kino chce wyciągnąć masy z bagna, powinno przemawiać w sposób, który ludzie docenią. A ludzie lubią, kiedy się ich bawi.

Pomyślałem o Bubblesie Royu, którego spotkałem ostatnio na przyjęciu w czyimś domu na plaży Juhu. Bubbles, który zdążył już wtedy zapomnieć o artystycznych aspiracjach i na dobre pograżył się w tym, co miało się później stać Bolty-woodem (było to zaraz po sukcesie filmu Sheikh Piru, opowiadającego o życiu zhinduicyzowanego dramaturga, który przypominał Szekspira), powiedział mi, że Maja mogła zostać gruba.

I filmy masala — filmy charakterystyczne dla kinematografii indyjskiej — jest w nich taniec, śpiew, wartka sensacyjna akcja i wątek miłosny

208

ba w przemyśle filmowym, gdyby nie była tak przywiązana do swojego społeczno-karmistycznego konika.

Maja wpadła we własne sidła. Ona gorąco pragnie sprawiedliwości, mając jednocześnie świadomość, że ten świat jest głęboko niesprawiedliwy. Jest ślepym, przypadkowym chaosem. Staraj się to zmienić za wszelką cenę, ale twoje dobre dzieła są jak opróżnianie wiadra morza nieszczęścia. Dlatego mamy Boga, piekło i niebo. Żebyśmy mogli znieść ból, który towarzyszy nam w każdej chwili. Niegodziwcy odrodzą się jako robaki, żebracy obudzą się jako książęta. Ale twoja matka nie przyjmuje boskiej pomocy, Bhalu. Walczy, szamoce się, zмага z kosmosem. Pokazuje nam w swoim dziele okrucieństwo życia. Uświadamia nam, że nie ma nadziei, że „nasza wolność jest w codziennym znoju. Wszystko to bardzo szlachetne, ale widzowie w kinach nie chcą o tym słyszeć. Ich życie i bez tego jest dość podłe. Chcą uciezki, i jeśli ich kochamy, powinniśmy im w tym pomagać”.

Tako rzekł niegdysiejszy intelektualista, odziany w hawajską koszulę, a umalowane hurysy wiszące mu u ramion uśmiechnęły się i przewróciły wielkimi oczyma.

Pewnego wieczoru Dost zabrał nas do kafejki swojego wuja, Dżam-i-Dżam, tętniącego życiem lokalu z lustrami na ścianach, mieszczącego się przy ulicy pełnej ludzi robiących zakupy, na której

naftowe lampy syczały nad piramidami pomarańczy, grejpfrutów i melonów. W środku krzepki mężczyzna wrzucał do rondla pokory, które skwierczały jak sztuczne ognie. Jego ręce były włochate, pot ściekał z niego delikatnie do potrawy. Usiedliśmy przy stoliku na ulicy, która cuchnęła kozami i gnijącymi warzywami. To dziwne, ale było cudownie. Przyniesiono potrawy na małych talerzykach. Jak tylko skończyliśmy jedno danie, stawiano przed nami następne: jaja w cieście, mózdzki, cuny z baraniny. Chleb był szorstki, dobry do wycierania sosu ze złotymi okami baraniego tłuszczu. Wszystko było przesycone aromatem dymu z drewna. Pojawiały się kolejne dania, talerzyki Piętrzyły się na nierównym stole, aż wreszcie nie mogłem

209
więcej zjeść. Palce Mitry, kruszące czarny hasz we włókna tytoniu. I piosenka, hinduska piosenka z filmu, populara w owym czasie, którą Dost ciągle pośpiewywał.

Zahid, sharab pine de, masjid min baith kar,

y a wohjagah bata dējahan khuda na ho...

Mujhko yaaron maaf karna, main nashe men hoon

Pozwól mi, kapłanie, usiąść w świątyni z dzbanem wina słodkiego,

A jeśli nie, to zaprowadź mnie łaskawie tam, gdzie Boga nie ma żadnego...

Wybaczcie, przyjaciele, jestem w swojej nashy.

Nasha to słowo, którego nie sposób przetłumaczyć. Może znaczyć „upicie się”, „upojenie”, „otępienie”, lecz w podtekście ma też „trans” i „wizję”, z aluzją do bezlitosnego niszczenia. To właśnie nasha wstąpiła w boga Sziwę, pana pijaństwa, narkotyków, muzyki i seksu, gdy rzucił czapkę w powietrze i wytańczył koniec świata.

#

Wojna

(Bombaj, grudzień 1971)

Był rok tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty pierwszy, we Wschodnim Pakistanie doszło do poważnych starć, było tysiące uchodźców. Ludzie mówili, że będzie wojna. W mieście panowało napięcie, wprowadzono zaciemnienie, reflektory pojazdów zaklejono grubym brązowym papierem. Naszą alejką nie jeździły żadne samochody. Moosie i jego kompanom odpowiadało prowadzenie interesów w ciemności, zakłócanej tylko pomarańczowymi ognikami naszych fajek, lecz dzielnica Dongri była twierdzą muzułmanów; ostrzeżono nas, Hindusów, że nie jesteśmy tam bezpieczni. Wszędzie powiewały zielono-białe flagi Pakistanu.

W noc, kiedy wojna w końcu wybuchła, nasza trójka wybrała się na motorze Dosta do Hadzi Ali.

Siedzieliśmy na nadbrzeżnym murku i patrzyliśmy, jak zbliżający się przypyływ oblewa biały meczet w morzu. Później pojechaliśmy do Colaba. W ciemności powstał ogromny korek.

Unieruchomieni w szeregu ledwie majaczących pojazdów, zsiadliśmy z motoru, żeby się rozejrzeć.

Dost zapalił papierosa.

Gdy rozbłysła zapalka, z ciemności dobiegł okrzyk:

— Zgasić to!

— Czemu?

— Jest zaciemnienie! Chcesz, żeby nas pozabijali? Drugi głos dodał:

— Nic ni" iecie? Pakistan zbombardował nasze lotniska. Dwie godziny temu.

211

— O Boże, o Boże — zawodził pierwszy głos. W bramie kulił się niski mężczyzna z walizką.

— Nie gadaj głupstw—powiedział Dost. — Czy pilot lecący z prędkością dźwięku na wysokości trzech tysięcy metrów może zobaczyć papierosa? Zwłaszcza gdy księżyc oświetla mu drogę,

Wskazał gestem błądy sierp na czystym niebie. To był pakistański księżyc, jeśli coś takiego istnieje. Odezwał się nowy głos:

— To muzułmanin. Co ty sobie myślisz? Pokazujesz swoim pieprzonym kumplom, gdzie mają zrzucić bomby?

Mitra i ja zaprotestowaliśmy. Zaczął się wściekły mecz na wyzwiska i obelgi. Dost zignorował nas wszystkich i dokończył papierosa.

Na zapleczu, za bożkami w hinduskiej świątyni w Colaba, kupiliśmy kulki miękkiego, gorzkiego opium. Usiedliśmy na nabrzeżu, niedaleko miejsca, w którym ostami brytyjscy żołnierze odpłynęli z Indii; narkotyk trzymaliśmy za górnymi przednimi zębami, gdzie język mógł od czasu do czasu zabłądzić i liznąć gumowatą substancję. Jakiś facet siedzący nieopodal miał radio tranzystorowe, nastawione na wiadomości. Pakistańczycy zbombardowali indyjskie lotniska w Amritsarze, Srinagarze, Avantipurze, Jodhpurze, Ambali, Pathankocie, Agrze i Agartali. W wyobraźni widziałem nurkujące nad samotnymi lotniskami wrogie samoloty z kadłubami oświetlonymi blaskiem rogatego księżyca, mężczyzn biegających w ciemności wśród wycia syren.

Pani Gandhi miała wygłosić przemówienie o północy. W zatoce stały łodzie dhow, zarysy takielunku widać było w błękitnym ogniu.

Północ zastała nas w Wiszących Ogrodach. Miasto leżało pod nami jak rozsypana zawartość worka klejnotów. Mimo zaciemnienia, w wielu budynkach migotały światła, zielonkawe, niebieskie, żółte. Gdzieś z dołu dobiegły krzyki i brzęk tłuczonego szkła.

„Każą ludziom gasić światła, powiedział Mitra. Domagaj* się, żeby przestrzegać zaciemnienia”.

212

j

Kafejka o nazwie Naaz wciąż była otwarta. W ciemności ^{okół} radia skupiła się grupka klientów. Przemówienie zostało odłożone; pani Gandhi nadal była na posiedzeniu rządu. Przez następnych dwadzieścia minut z radia dobiegała poważna muzyka — myślę, że była to Raga Durga, grana na sarodzie, zgrzytliwa melodia ze skaczącymi dźwiękami, zbudowana na powtarzającej się frazie z zaskakującą, twardą nutą na końcu linii- Potem na antenę weszła pani Gandhi i oznajmiła, że Indie wypowiedziały wojnę Pakistanowi.

Tuż przed drugą w mieście ogłoszono alarm lotniczy. Siedzieliśmy w ogródku, spoglądając w niebo. Nie było słyhać nic prócz wycia syren. Ich zawrodozenie wypełniło powietrze. Wysokie gmachy za nami zmieniły się w ciemne kształty, dziwnie oświetlone przez blednący księżyc, okryty całunem cienkiej chmury. Dźwięk syren zdawał się płynąć między budynkami i nad nimi, wypełniając każdą szczelinę. Ten sam księżyc świecił nad północą, nad zbombardowanymi miastami, nad zimną pustynią, nad żołnierzami i ich posterunkami. Nad całą północną częścią kraju zawisło to samo uczucie wyczekiwania, a życie zostało przygniecione rykiem odległych syren po obu stronach granicy.

Wojna nabierała temperatury. Prezydent Nixon ogłosił „przesunięcie uwagi na Pakistan”, a lotniskowiec USS „Enterprise” ruszył pełną parą przez Zatokę Bengalską ku rozpadającym się resztkom Pakistanu Wschodniego.

Chodziliśmy do Moosy tak samo często, jak przedtem, i słuchaliśmy wiadomości Radia Pakistan. W zaułkach mało mówiono o wojnie. Nic dziwnego, zważywszy na tradycyjne więzy łączące mieszkańców dzielnicy z „wrogiem”. Wielu ludzi, tak jak Dost, miało krewnych w Karaczi i miasteczkach rozrzuconych aż do granic Iranu i Afganistanu.

Był to czas partii politycznych. Słyszało się różne plotki pogłoski. W hinduskich częściach miasta szukający poklasku Politykierzy starali się wzbudzić niechęć do muzułmanów. Krążyły obłąkańcze gadki o dwustronnej inwazji na Bombaj. Uzbrojona po zęby elitarna jednostka miała wylądować z morza,

213

a z bazarów wysypać się armia obszarpanych fanatyków i 2a atakować broniących się Hindusów od tyłu. Cynicy twierdzili” że prawdziwym celem tych plotek była Indira Gandhi i ;J Nowy Kongres. Jej popularność, rosnąca już przed wojną poszybowała bardzo wysoko. W prasie porównywano ją 3 Durga My, rani Jhansi, Joanny d'Arc, Boudiki i innych kobiet wojowników, które nasuwały się na myśl.

Niektóre pogłoski były wręcz śmieszne. Na himalajskiej granicy zbudowano ponoć już wcześniej sieć pierwszorzędných dróg, po których bez przerwy jeździły ciężarówki, jako paliwa używające nie benzyny czy ropy, lecz sklarowanego masła. Jednak najdziwaczniejsza historia ze wszystkich

po-chodziła od sprzedawcy herbaty na dworcu kolejowym w Delhi, który przysięgał, że dwa dni przed wybuchem wojny zamówiono u niego czterysta pięćdziesiąt kubków herbaty, które podał szympansom ubranym w indyjskie mundury. Powiedziano mu w sekrecie, że małpy zostały wytrenowane do tego, by wrzucać granaty do wywietrzników w czołgach wroga, choć nikt nie potrafił wyjaśnić, jak odróżniały jedne czołgi od drugich.

Mój ojciec miał wysokich rangą przyjaciół w marynarce. Pewnego wieczoru, gdy miasto przywykło już do pokazów reflektorów na niebie i ognia baterii przeciwlotniczych, znalazłem się na przyjęciu, na którym starszy admirał przemawiał do grupy z Ameij ninem, przedstawionym jako attache rolniczy przy konsulacie USA. „Wiecie, co bym zrobił, gdybym był głównodowodzącym Korpusu Wschodniego?”, zapytał marynarz. Wysłałbym dwie łodzie podwodne i posłał «Enterprise» na dno — bum, bum! Pani Gandhi musiałaby mnie wywalić na pysk, ale prywatnie poklepałaby mnie po plecach i powiedziała Shabaash". Amerykanin zbył to śmiechem, ale widziałem, że aż go świerzbiło, by popędzić do telefonu i przekazać tę informację wywiadowczą jeśli słowa admirała można było określić tym mianem. Nie zrobił tego jednak, tylko stał tam nadal ze szklanką w dłoni, podczas gdy admirał odebrał telefon, odłożył słuchawkę, wyraźnie wzburzony, i popędził do swojej

214

patery. Nazajutrz rano dowiedzieliśmy się, że nasza fregata „Khuri” została zatopiona na Morzu Arabskim przez pakistańską łódź podwodną

poszło do rozruchów w moholli. Grupa wyrostków została osaczona i pobita przez Hindusów.

Arabowie przeprowadzili szereg akcji odwetowych. Mimo to Mitra i ja, choć Hindusi, nie wierzyliśmy w niebezpieczeństwo. Może tydzień po zatopieniu „Khuri” spotkaliśmy się z Dostem w addzie, jak to mieliśmy w zwyczaju. Było ciemniej i ciszej niż zwykle. Jedyna lanipa w alejce padła ofiarą zaciemnienia, i scenę oświetlało tylko nieziemskie światło księżyca i demoniczny blask naszych chillumów. Okazało się, że siedzę obok mężczyzny ubranego w ciężką bawełnianą tunikę, jakie widuje się na całym Środkowym Wschodzie. Na powitanie skinął mi nieznacznie głową a potem wieczór odpłynął w przyjemny, hipnotyczny stan.

Gwiazdy, rozmazane cienko na zimnym granatowym niebie, cudownie kwaśna woń haszyszu, ostry, kozi zapach tuniki obok mnie — wszystko zlało się w jedną całość. Mógłbym to wyrazić jednym słowem, gdybym je znał. Słowo zaś napęczniało i zmieniło się w cały zbiór obrazów, niekoniecznie ze sobą powiązanych. Nie siedziałem na brudnej uliczce bazaru w Indiach, lecz w alejkach wszystkich bazarów wszystkich czasów. Wyobraziłem sobie olbrzymie, obracające się z wolna w zielonej wodzie koła i wiedziałem, że to koła Babilonu. Kozie bobki spadły na ziemię kilka tysięcy lat temu. Dobiegające z oddali podniesione głosy były częścią tych samych swarów, które toczą się między ludźmi od zarania dziejów.

Później, na ulicach, około pierwszej w nocy. Pusto, ludzi niewiele. Wzdłuż uliczek rozsiadły się przeważnie sklepy i drobne firmy, zamknięte na noc. Po drugiej stronie ulicy, na bazarze Bhendi, kilkaset merów dalej, nadal toczyło się życie. Zawsze można było dostać coś do jedzenia, bez względu na porę dnia czy nocy. Zawsze było gdzie usiąść i napić się herbaty albo zjeść kebaba.

Szliśmy coś przekąsić, Mitra na czele, Dost i ja

215

trochę z tyłu, gdy natrafiliśmy na grupę podrostków wypróbujących silnik skutera.

Ktoś coś powiedział, nie usłyszałem, co.

Obskoczyli Mitrę, który zniknął we mgłę pięści i otwartych rąk. Ktoś próbował go kopnąć.

Podbiegliśmy. Dost chwycił jednego z napastników i odepchnął go na bok. Ja próbowałem

odciągnąć drugiego. Mitrze spadły okulary. Miał krew wokół nosa, ale wciąż na nich krzychał. » —

Dość! — ryknął Dost. — To mój kumpel. Biorę za niego odpowiedzialność.

— A ty, kurwa, kto?

— Powiem tak — odparł Dost — nazywam się Mohammed Khan.

— Więc jesteś pieprzonym wielbicielem Hindusów — zawołał inny głos.

Ten, który odezwał się pierwszy, wyszedł naprzód. W rękę trzymał nóż.

— Nie sądzę, żebyś był muzułmaninem.

Wtedy Dost zrobił coś niewiarygodnie odważnego. Stał przed Mitrą i rzekł:

— Dobrze, wobec tego będziesz musiał mnie zabić. Ale najpi: ' spójrz na to...

Rozpiął sznurek w spodniach.

W tamtej chwili wszystko mogło się zdarzyć. Wtedy jeden z nich roześmiał się i napięcie się rozładowało.

— To jest kompletnie pojebane — powiedział Dost, wiążąc szarawary. — Jakby nie było dosyć ludzi, którzy naprawdę nas nienawidzą, musieliście wybrać akurat tych, którzy są naszymi przyjaciółmi.

Wciąż tam byliśmy, gromada kłócących się wyrostków, gdy zjawiała się policja.

Aresztowali nas i zabrali na posterunek, gdzie stanęliśmy (nie było na czym usiąść) w klatce razem z innymi wyrzutkami. Żebracy, paru pijaków, czerwonoooki mężczyzna, sprawiający wrażenie niedorozwiniętego. „Jestem Rudra, mówię wam. Popatrzcie na mnie. Jestem Rudra”. Co jakiś czas padał na posadzkę i wstrząsały nim konwulsje. Ktoś zaczął walić w kraty celi, lecz nikt nie przyszedł.

216

Kilka godzin później zabrali nas na przesłuchanie. Prosiłiśmy, . . y nas nie rozdzielali, ale najpierw wzięli Dosta. Mitrę i mnie 1 sadzili do pomieszczenia o brudnych ścianach, które kiedyś były 'ebieskie. Na gwoździu wisiał kalendarz z wizerunkiem Ganesza.

policjant w cywilu zaczął nas przesłuchiwać.

__jesteście Hindusami. Co robicie o tej porze w tej dzielnicy? D° kogo przyszliście? Czego tu szukacie?

__Pracowałem do późna — odparł Mitra. — Kolega był ze

^a. Szliśmy, żeby złapać autobus...

Uparcie trzymał się tej historyjki. W końcu, gdy policjanci ustalili, że rzeczywiście pracuje za rogiem, pozwolili mu odejść.

__A ja? — spytałem. — Przecież byłem z nim.

— Z tobą sprawa jest trudniejsza.

Spędziłem tam całą noc. Wypuścili mnie raz, żebym mógł odwiedzić dziurę w podłodze, z której wylewały się ekskrementy.

Było przedpołudnie, kiedy przyszedł mnie zobaczyć następny policjant. Starszy mężczyzna, także ubrany po cywilnemu. Musiał być kimś ważnym, bo miał eskortę złożoną z dwóch mundurowych, a ten, który mnie wcześniej przesłuchiwał, traktował go z wielkim szacunkiem. Przyniesiono mu na tacy herbatę i talerzyk z ciastkami. Czy będzie potrzebny magnetofon? Stwierdził, że nie, i usiadł, popijając herbatę i gapiąc się na mnie.

W końcu zwrócił się do swoich podwładnych i kazał im poczekać za drzwiami.

— Znam twoją rodzinę. — To było pierwsze zdanie, które do mnie powiedział.

Momentalnie ogarnęło mnie poczucie ulgi. Wreszcie skończy się cały ten absurd.

— Jesteście wichrzycielami.

Moje iluzje prysły. Ten człowiek nie przyszedł, żeby mi pomóc.

— Twoja matka pisze propagandowe brednie. Wiem, co chce osiągnąć. Powinna uważać. Mam taką grubą teczkę! — Rąbnął pięścią w stół i chwycił wymaglinowane dossier grubości co najmniej pięciu centymetrów. — A teraz jej syn. Następne Pokolenie. Co robisz w tej dzielnicy? Nie wiesz, że prowadzimy wojnę?

— To są Indie — odparłem. — Ludzie, którzy tu mieszkają, 4 Indyjczykami.

217

— Czyżby? Wiesz, ilu agentów Pakistan ma w tej dzielnicy) Twój ojciec był w marynarce.

Spotykasz się z ważnymi ludźmi. Ludźmi, którzy znają ruchy naszych okrętów. Spotykasz się z nimi, a potem tu przychodzisz. Po co?

— Byłem z moim przyjacielem. On jest Hindusem.

— Wiem, gdzie byłeś tej nocy, gdy zatopiono „Khuri” ^ rzekł policjant. — Ale gdzie byłeś poprzedniej nocy?

Milczałem. Nie ośmieliłem się powiedzieć mu o Moosie.

— Ja wiem, gdzie byłeś — ciągnął. — To mnie ciekawi. Wiem o tobie wszystko. Możesz się

uważać za szczęściarza, że nie oskarżę cię o coś o wiele poważniejszego niż palenie charasu z ulicznikami.

Wstał i wyszedł.

W porze lunchu zjawił się adwokat mojego ojca i mnie zveMyjno.

— Dost, ty draniu — rzekł Mitra. — Twój kutas ocalił mi życie.

Miał okulary sklezione taśmą. Siedzieliśmy na dachu naszej kamienicy przy Cuffe Parade.

— Jak to się stało, że wyszedłeś najwcześniej z całej naszej trójki? — zapytałem.

— Co w tym dziwnego? — odpowiedział pytaniem. — To była moja dzielnica. Wiecie, jak to jest z policją w tym mieście. Albo danda, albo dhanda. (Pałka albo łapówka).

„Teraz jestem winien życie po dwakroć, powiedział mi później Mitra z poważnym wyrazem twarzy. Raz twojej matce, a drugi raz Dostowi”.

Jakieś dwa miesiące później moja mama oznajmiła — padło to jak grom z jasnego nieba — że wystarała się dla mnie o podyplomowy kurs filmowy na uniwersytecie Sussex w Anglii. Semestr zaczynał się dopiero jesienią, ale miałem wyjechać natychmiast.

Oksymoron

(Sussex, styczeń 1999)

Dopiero gdy skończyłem pisać te wspomnienia o Juli, uświadomiłem sobie, że nie mamy adresu ani numeru telefonu Phoebe.

„To nie moja wina, powiedziała Kąty. To ty odbyłeś długie tete-d-tete”.

Zadzwoiłem do sióstr. Na próżno. Musiało dojść do przeoczenia. Jednak Phoebe miała moje dane i byłem pewny, że niedługo zadzwoni. Minęły tygodnie, papiery na moim biurku przykrył kurz.

Phoebe, która nagle i tajemniczo zjawiła się ponownie w moim życiu, znów z niego zniknęła.

— Musiała coś zostawić. Wizytówkę? Kartkę? Skrawek papieru? Kopertę z kilkoma słowami? — powiedziałem trzy miesiące później, gdy siedzieliśmy, odhaczając nazwiska na liście kartek z życzeniami bożonarodzeniowymi.

— Bhału, ona ledwie zamieniła ze mną dwa słowa. Interesowała się t o b a. Jeśli chcesz wiedzieć, uważam, że jej stosunek do mnie był dość obraźliwy. Jak gdybym cię uprowadziła.

Zazdrość tak dalece nie pasowała do repertuaru Kąty, że ten niewielki wybuch połechtał moją próżność. Gdy zbłądziłem jeden jedyny raz, w moim podejrzanym londyńskim okresie, przebaczyła mi bez wielkich ceregieli. A gdy sama dała mi Powód do zazdrości, poczułem tylko coś w rodzaju obezwładniającej fascynacji, i nigdy jej nie powiedziałem, że wiem, ani co wiem. Zazdrość seksualna była figurą nieznaną w naszym małżeństwie (co za ironiczny dobór słów), więc starcie dwóch obiet w walce o mnie było dla mnie czymś nowym. Nowym, e bynajmniej nie niemiłym.

Sam siebie oszukujesz, cholerny gtuPcze, pomyślałem.

219

Trzy miesiące bez słowa. Zabrałem się do długiej roboty polegającej na katalogowaniu książek Mai. Poza tym r0;' rutynowe zajęcia biegły swoim zwykłym torem. To musiało być tuż przed Bożym Narodzeniem, kiedy listonosz, wśród zwykłe, go żniwa rachunków i innych śmieci, doręczył list z Bombaju

„Blitz” już nie istnieje, teraz jest „Cineblitz”. Poszedłem osobiście do biura gazety i spotkałem pana Vohrę, zacnego człowieka, który pozwolił mi obejrzeć archiwa. Sprawdziłem wszystkie numery z kwietnia 1959 roku i nie znalazłem żadnej wzmianki o takim morderstwie. Doszedłem do sierpnia, a potem cofnąłem się do stycznia. Zapewniam pana, że nie było doniesień o morderstwie, które pan opisał.

Zapomniałem o moim śledztwie. Ledwie pamiętałem Pokutę oraz powód, dla którego tak mnie zafascynowała. Nawet osobiste rewelacje w Łowcy węgorzy wydawały się teraz odległe — jeszcze jedna historia Mai, studium opowieści, tym razem z sobą w roli głównej. Nie było morderstwa, nie było Pana Love. Jeśli zaś chodzi o sekret jej decyzji, żeby nie wracać do Indii, po jej śmierci już nigdy nie poznam odpowiedzi, więc i to przestało być ważne. t\

Ciemny, mroźny poranek na początku stycznia. Długo przed świtem. Siedzieliśmy w kuchni, ogrzewając dłonie kubkami z herbatą.

— Bhału, będziesz musiał wyprowadzić Morona — powiedziała Kąty. — Jeśli Prosiaczek

przyjdzie na lunch, powinnam włożyć to do piecyka, zanim wyjdziemy. Później nie starczy czasu. — A co z tym? — zapytałem, machając ręką. Było Trzech Króli, ostatni dzień świąt, w którym trzeba w końcu ściągnąć dekoracje, a drzewka i gałązki wrzucić do ogniska.

— Prosiaczek nie będzie miał nic przeciwko temu — odparła Kąty.

Ściany i sufity w naszym domku wciąż zasnute były serpentynami, lametą i papierowymi łańcuchami. W kącie dużego pokoju choinka bezgłośnie ronila igły. Na drewnianym kufrze, 220

π sznurem migoczących światełek, stał żłóbek. Żadne z nas nie Lło religijne, ale zawsze mieliśmy żłóbek. Bliźniaczki stawiały c0 roku na podstawie z kamieni, zastępujących judejską ustynię-Budowały szopkę z gałązek połączonych żdźbłami Lwy i umieszczały w niej woły, wielbłądy, owieczki, mędrców : gwiętą Rodzinę, gliniane figurki, które zrobiły i pomalowały wiele lat temu— było to ich szkolne zadanie. Uroczyste otwarcie szopki następowało zawsze przy akompaniamencie Koncertu skrzypcowego e-moll Mendelssohna, zgodnie ze zwyczajem, którego początki giną w pomroce dziejów rodzinnego folkloru. Wedle najczęściej przytaczanej wersji, I & I, które miały wtedy może osiem lat, pracowicie układały kamienie i splatały trawę, gdy Maja położyła tę płytę na adapterze.

„Babciu, dlaczego ta muzyka jest taka smutna?“, spytała Isobela.

„Dlatego że Mendelssohn był Żydem“, odparła Maja.

Bliźniaczki uznały, że zawołanie skrzypiec doskonale pasuje do nagich, kamiennych stoków i historii, która zakończyła się tak tragicznie.

W tym roku nasze „bachantki“, jak czule nazywał je Pana-ghiotis, pojawiły się i znikły. Zostały ślady ich pobytu, jak po przejściu trąby powietrznej: rozrzucone ubrania, zapomniany telefon komórkowy, worek pełen rzeczy do prania. Odeszły z przyjaciółmi i chłopakiem, w tej kolejności. Kąty i ja tęskniliśmy za nimi. I za Mają.

Było jeszcze ciemno, gdy wyszedłem, ziejąc parą z ust, żeby załatwić sprawy z Moronem. Koń Kąty. Naprawdę nazywał się Oksymoron, a to ze względu na to, że jego stopy pozostawały ze sobą w ciągłej dysharmonii. Nie przewracał się o nie, ale jako czworonóg był tego bardzo bliski. Więc nazywaliśmy go czule Moronem1.

Zarżał w ciemności, kiedy usłyszał, że nadchodzi. Wiedział, że mam dla niego miętusa. Wzięliśmy Morona ze schroniska dla zwierząt. Powiedziano nam, że właściciele używali go do moron (ang.) — kretyn

221

ciągnięcia wozu, a Kąty stwierdziła, że musiał być bard^ bity, bo odsuwał głowę i był nieufny wobec ludzi, zwłaszcza mężczyzn. Z początku założenie mu ogłowia było koszmarem Dlatego dokładałem szczególnych starań, żeby być dla niego miły. Kiedy szedłem do stajni albo na pole, żeby go złapać miałem kieszeń pełną miętusów. Stopniowo się zaprzyj^! niliśmy.

Teraz pozwalał mi wsunąć sobie ogłowia na łeb i zapiąć pasek. Bez problemu. Chwytny wargi sięgnęły do mojej dłoni i podniosły cukierek. Jego uszy przesunęły się do przodu, może z zawstydzenia, gdy głupawym głosem, którym ludzie zwracają się wyłącznie do koni i małych dzieci, zacząłem go pouczać: „Będziesz dzisiaj doobrym konikiem, co? No kto będzie doob-rym konikiem?“. Moron przewrócił oczami i przysunął pysk do siatki z sianem. Kąty trenowała go, żeby kłusował i cwałował prosto, bez zbaczania, i żeby podchodził do skoku, zamiast parskać i podrywać łeb. Po „ćwiczeniach płaskich“, cokolwiek to znaczy (czyżby Moron miał płaskostopie?), przyszły „ćwiczenia układów“, które polegały na tym, że na polu trzeba było ustawiać przeszkody — drągi oparte na starych blaszanych beczkach — w ciągle zmieniających się kombinacjach, i przeprowadzać go przez nie. Kąty okazywała w tym niewyczerpaną cierpliwość.

„Kąty ciężko nad tobą pracowała, co?“. Pchnąłem zad Mo-rona, żeby się obrócił, przywiązałem lonżę i wyprowadziłem go, żeby Kąty mogła go przygotować na jego wielki dzień. Dziś rano po raz pierwszy mieli razem skakać w konkursie.

ONA: Bhalu, widziałeś gdzieś moje dobre dzodpuryl

JA: Nie. Ile razy mam ci powtarzać, że nazwa tych spodni pochodzi od nazwy miasta Jodhpur, z długim O, tak jak w imieniu Joe? W hindi nie ma głoski takiej jak w kot-płot-młot.

ONA: Do licha z tymi twoimi hinduskimi pretensjami. Nigdy ci nie przeszkadzało, gdy nazywałam spodnie džodpurami,]^ próbowałeś się wśliznąć do środka.

Halowe zawody hippiczne to straszna rzecz o każdej porze roku, lecz szczególnie zimą. Te miały się odbyć w ogromnej

222

dole z drewnianymi ścianami. Kiedy tam dotarliśmy, tro-s, p0trwało, zanim udało nam się nakłonić Morona do wyj-c, ja i przyczepy — było to równie trudne, jak przekonanie żeby do niej wszedł. Ale potem nie miałem wiele do oboty- Kąty i Moron zniknęli, pochłonięci rozgrzewką. Usadawiłem się na trybunie dla widzów, w otoczeniu matek

pony Club w nawoskowanych barbourach. Kiedy zawody «reszcie się zaczęły, podochocone panie zaczęły krzyczeć na swoje córki: „Z kopyta, Samantha, z kopyta!” albo „Trzepnij

i” g°! • potem przyszła kolej Kąty, schludnie wyglądającej w swoich

spodniach nie do wymówienia i czarnym żakiecie. Moron zachowywał się nienagannie. Przeszedł pierwszą rundę jak profesjonalista. Nie pokazał żadnej ze swoich starych sztuczek: dodatkowego kroku przed płotem, co kończyło się kocim susem nad drągami, czy próby biegu w różne strony naraz. Pokonał czysto wszystkie przeszkody.

W drugiej mierzono czas. Na prowadzeniu była dziewczynka, której matka, ubrana jak na polowanie, siedziała bardzo blisko mnie i zachowywała się wyjątkowo hałaśliwie. Kiedy nadeszła kolej Morona, rozpaczliwie pragnąłem, żeby powtórzył swój wcześniejszy sukces. Trącając drągi, przemknął jakoś nad dwoma pierwszymi płotami, a potem wykonał jeden ze swych dziwnych bocznych manewrów nogami, co musiało kosztować kilka sekund. Kiedy skręcili, zobaczyłem, że Kąty pochyla się, żeby coś do niego powiedzieć; Moron położył uszy po sobie i zrobił nabieg na wysoki potrójny płot. Biegł prosto w stronę miejsca, gdzie siedziałem. Wstałem i krzyknąłem: „Dawaj, Moron!”.

Oksymoron zerknął w górę i zobaczył mnie; jego myśl musiała błyskawicznie skierować się na miętusy, bo spojrzał, jakby próbował się do mnie uśmiechnąć. Pewnie właśnie wtedy Postanowił uchylić się od skoku, lecz zrobił to w swoim niepowtarzalnym stylu. Ani trochę nie zmieniając kroku, teleportował się dookoła płotu. Kąty podniosła się z piasku, spojrzała na trybunę i powiedziała samym ruchem ust: „Wielkie dzięki!”.

»Dla takiego wykroczenia nie ma wybaczenia”, rzuciła ko-

223

bieta ubrana na polowanie, odprowadzając mnie wzrokw pełnym najwyższej dezaprobaty, gdy wychodziłem.

Jechaliśmy do domu, z budą kołyszącą się z tyłu. Kąty spytała:

— Bhalu, to nie jest tak, że ty nienawidzisz swojego życia prawda?

— Co chcesz przez to powiedzieć?

— Żałujesz czasem, że się ze mną ożeniłeś?

— Głupstwa pleciesz. Czemu miałbym żałować?

— No wiesz, to wszystko razem: konie, Sussex. To jest moje życie, ale twoje może nie.

— Oczywiście, że jest moje. Wybrałem je. I mi się podoba.

— Wielmożni panowie, damy i dżentelmeni, zaintonował Prosiaczek. Albo może pani... Nie wiem, czy Bhalu można zaliczyć do dżentelmenów. Wyśmienita uczta wymaga równie wyśmienitej rozrywki.

Skończyliśmy lunch; naczynia zostały sprzątnięte, lecz woń pieczeni nadal wisiała w powietrzu. Na środku stołu stała butelka wina, opróżniona niemal do osadu.

Prosiaczek wydobyl z kieszeni kilka złożonych kartek i założył okulary.

— Przeczytam wam scenę z Prawdziwej tragedii króla Ryszarda III. Proszę was, żebyście wyobrazili sobie dzikie wybrzeże Bretanii. Jest ciemno, zbliża się północ, na szczycie urwiska pełni straż dwóch wartowników.

Zaczął czytać grzmiącym głosem:

Wybrzeże morskie w Bretanii. PIERWSZY WARTOWNIK:

O dziesiątej godzinie kazano nam

Wypatrywać okrętu, który z Anglii niedawno wyruszył. DRUGI WARTOWNIK:

Patrz, oto płynie; żagle wydęte rwącym wichrem,

Czarny okręt trzęsie się na Neptunowej grzywie,

224

po połowy wciągnęła go topiel; to w górę się pnąc, to spadając

Biedny statek sunie, zalany, w wodnej skąpany otchłani; Bezlitosne fale, piasek i rafy strzaskaniem mu grożą. PIERWSZY WARTOWNIK: Wciąż jednak żyje!

prosiaczek zrobił pauzę i niespokojnie zaczerpnął tchu. Spojrzał na nas ponad szklami okularów, badając naszą reakcję.

— Naprawdę ty to napisałeś? — spytała z podziwem Kąty.

— Można tak powiedzieć, nie właściwie nie — odpowiedział jednym tchem. — Podobało wam się „zalany, w wodnej skąpany otchłani”?

— Bardzo — zapewniłem.

— Naprawdę? — spytał Prosiaczek.

— Tak.

— Nie mówisz tego, żeby mi zrobić przyjemność?

— Nie.

— Och, zamknij buzię, Bhalu! — zawołała Kąty. — Rozwalił się ten cholerny statek czy nie?

— Ach! — zawołał Prosiaczek, przesuwając okulary z powrotem na ich stanowisko bojowe.

DRUGI WARTOWNIK: Nie może zatonać, niosąc na swym pokładzie tego, Którego nikczemność, skryta i czarna jak samo jądro nocy Tak jest wielka, że nawet zielone, przepastne kiszki Neptuna Ogarnąć jej nie zdołają i wchłonąć, Lecz niczym pijak zwymiotować muszą Tego, któremu sucha śmierć na brzegu pisana: Jamesa Tyrella, para Anglii, bo on to się zbliża. Wchodzi James Tyrell.

DRUGI WARTOWNIK: Ja za niego ręczę, że nie utonie, choćby okręt nie był silniejszy od łupiny orzecha, a nieszczelny jak dziewczyna podczas miesiączki f.

William Szekspir, Burza, przekład Włodzimierza Tarnawskiego

225

I

III

— Zauważyliście jakieś szwy? — spytał Prosiaczek.

— Ja nie — odparła Kąty. — Brzmi jak normalny Szekspy.

— Bo to jest Szekspir. No, może oprócz moich paru skrój* nych linijek.

— Które są twoje? — zapytała sennie Kąty.

— To wy musicie mi powiedzieć. A teraz proszę was o mya. gę, bo oto miejsce, w którym zostaje zmieniona historia.

Miejsce, w którym zostaje zmieniona historia. Słuchając Prosiaczka, zastanawiałem się, czemu ludzie czują tak nie. odpartą potrzebę wymyślania na nowo historii takiej, jaka powinna być.

Plantagenetów nie ma od pięciuset lat. Tudorzy, którzy ich zastąpili, też odeszli. Tak samo jak Stuartowie. Jakże to może mieć dzisiaj znaczenie? Może to wino mnie usypiało bo mój umysł zaczął błędzić. Przyszło mi do głowy, nieproszone, coś, co Maja powiedziała w Łowcy węgorzy.

„Tych luda wyzwolono, by mogli dalej pisać na nowo historię”. Nieprzeniknione, Majańskie stwierdzenie. Nie miałem pojęcia, co może znaczyć, wiedziałem tylko, że w jakiś niejasny sposób wiąże się z powodem, dla którego obwiniała się o wybuchy nienawiści między Hindusami i muzułmanami w Bombaju.

TYRREL:

Nie pierwszy to raz ląduję na

Tej niegościnniej ziemi; gdym tu był poprzednio,

Czyż niedogodne wiatry nie sprzysięgły się,

By skierować mnie ku rodzinnym stronom?

Wicher ludzkim głosem zdawał się ostrzegać

„Nie szukaj gniazda skorpionów, nie stawiaj nogi
Na zdradzieckim brzegu". Jam jednak
Przeklął łagodne podmuchy, co mnie do domu pchały,
I kazałem się nieść ku bretońskim skałom.
I oto znów jestem. To nie wściekle morze i bałwany
Zniszczyły mnie i cisnęły u plugawych stóp hańby:
Moje splamione życie ze zdradą Tudorów związane.
Jak to możliwe, by obcy najem
Wykrzesać ze mnie zdołał taką iskrę zła?
Zdrado, tyś nasyciła swą żarłoczność
Krwią niewiniątek. Edwarda dzieci zamordowane!

226

Niech Bóg da odpoczynek ich małym duszyczkom. Najżałośniejsza, najgorsza zbrodnia, Jaka
kiedykolwiek zhańbiła się ta ręka, Bo Tudor nie chciał być ich mordercą Lecz mnie zlecił tę
nikczemną misję.

PIERWSZY WARTOWNIK: Zdaje mi się, że nie ma na sobie piętna topielca, a ma szubienicę
wyraźnie wypisaną na gębie !

TYRELL: Już czyn okrutny i krwawy spełniono. Dighton i Forrest, których namówilem...2

— ...A resztę znacie!

— Brawo! — zawołałem, kiedy Prosiaczek skończył. — Więc w taki sposób przypinasz małą
księżniczkę Henrykowi Tudorowi!

— Otóż to! Reszta łzawego wyznania Tyrella brzmi tak samo, jak w ortodoksyjnym tekście. Żeby
zmienić historię — mówił, pochyliwszy się w moją stronę z wyciągniętym kieliszkiem — trzeba
powiedzieć mnóstwo mało znaczących prawd, a potem złożyć z nich wielką bujdę... Ja właśnie
odkręciłem wielką bujdę Szekspira.

Zaczął opowiadać o szekspirowskich scenach morskich.

— Zwróćcie uwagę, jak często Szekspir używa słów „zdaje się”. Ocean „zdaje się miotać”, „zdaje
się bełtać wodę”, niebo „zdaje się wypluwać z siebie cuchnącą smołę”. Zauważcie, że to dwie różne
sztuki. Podejrzewam, że nasz stary Szekspircio nastrojał się na morską poetykę, notował skrzętnie,
co mu tam do łba przyszło, wrzucał do teczki i odkładał. A kiedy potrzebował sceny z morzem czy
sztormem, brał po prostu parę wujek z gotowca. Wycinanie kawałków z jego tekstów i wpa-
sowywanie w inne miejsce to czysta przyjemność.

^ William Szekspir, *Burza*, przekład Włodzimierza Tarnawskiego William Szekspir, *Żywot i śmierć
Ryszarda Trzeciego*, przekład Macieja ^omczyńskiego

227

Prawie spaliśmy przed kominkiem. To uczucie, gdy zdaje • się, że twoje kolana i łydki zaraz zaczną
dymić, a plecy c zamarzają. Dorzuć jeszcze kilka szczap. Potrzebuję ognia, żefo, odtajać. Głos
Prosiaczka dudniący o rytmie, opadającym, o pje ciu silnych akcentach w wersie. Już nie pisze się
wierszy w ten sposób. Kto wie, może mu płacili od linijki. Cóż, bywały czasy że poezję
sprzedawano na wagę. Maja kupowała oprawione w skórę księgi na kilogramy. Albo na metry, z
błyszczący^ złotymi tytułami. Prosiaczek energicznie strząsa parasol, wchodzi do starej księgarni,
schyliwszy się, przechodzi pod łukiem do małego pokoiku, w którym skacze ogień w kominku za
kratą. Skórzane grzbiety połyskują w blasku płomieni. Szczupły, szpakowaty mężczyzna podnosi
głowę znad książki. Jego brązowa skóra i ciemne oczy zdradzają orientalne pochodzenie. Ów
cudzoziemiec pyta grzecznie, czym może służyć. Prosiaczek zaczyna opowiadać o królu Ryszardzie
III. Śniady cudzoziemiec uśmiecha się. Prosiaczek wkroczył do serca jego wszechświata, w
pajęczynę. „Bhalu”, szepcze głos. Tak, to ja, Bhalu Sahib, jestem pajakiem. Bhalu, zdrobnienie od
Balachan-dra. Bhalu, niedźwiedz w Księdze dżungli — którego imię Anglicy wymawiajątak, jakby
był kuzynem Kasi Ballou. Nawet Kipling je tak pisał, Baloo, choć powinno się je wymawiać z
warczeniem jak bhhaaaalu. W tym chłopcu czai się warczenie. Może on nieszczęśliwy. Czy jesteś
nieszczęśliwy, warczący chłopcze? Nie mogę powiedzieć, że jestem nieszczęśliwy. Niespełniony,
być może. Przydryfowałem tutaj. Przyniosła mnie fala, jak meduzę, i utknąłem w tym chłodzie i

szarości. Tęskno mi do słońca. Ten syn nie poszedł w ślady ojca. Ani dziadka, ani pra-, ani po dwakroć pra-. Był jeden, który umknął. To ja byłem. Sen się zmienia. Głosy przemykają drwiąco na drugą stronę. Jestem z Mają, która leży na łożu śmierci, czytając ze śmiechem jakąś sztukę. Mamo, przynajmniej jestem wolny od przekleństwa większości ludzkiego rodzaju, przymusu życia według pomysłów innych. Nie tak jest! To uluda, woła ona. Tak jak ja! Nie zdołasz uciec przed przeszłością, mój ty naj-bhola Bhalu. Nie twoją, nie przed wiecznie się toczący!11 kiedyś-do-teraz, zostawionym ci przez przodków, do których i ja należę, mój ty manushya, mały mężczyzno, mówi ona,

228

Wkładając książkę. Nie, właśnie dlatego tu jestem i łowię meduzy- Sama mi to powiedziałaś, Matko. Żeby uciec przed ^di właśnie konsekwencjami. Nawet w ten sposób, mówi ioja matka, odododgrywasz moją dodoktrynę, spędzisz życie, „róbując ododoczarować moje. Ale nie można odczarować Morderstwa, ono wypłynie. Co się stało, nie może się odstać, 8 to, co popełniono wśród burzy, grzmotów i deszczu, było morderstwem. Tak, bo kiedy ci niewinni śpią skuleni w swoich ramionach, z ustami jak cztery płatki róży, kryjąc się przed duchami, nie słyszą uderzeń piorunów. Stuk-puk. Stuk-puk. niechaj was zbudzi, dziatki moje, to pukanie. Obyście się zbudziły. Coś zmaćliło powierzchnię mojego snu. Kąty mną potrząsała. „Bhalu, powiedział jej głos. Zbudź się, Bhalu. Phoebe tu jest".

I

Halucynacje

(Sussex, styczeń 1999)

Weszła i stanęła we frontowych drzwiach, jakby nie była pewna, czy jest tu mile widziana.

— Halo? Nie przeszkadzam? Nie przyszedłam w złym momencie, prawda?

Wyglądała całkiem inaczej niż ostatnio. Miała na sobie dzinsy i krótki żakiet. Wiatr hulający na wzgórzach potargał jej włosy. Uśmiechnęła się do mnie i w tej samej chwili mały zielony ptaszek wleciał do mego serca i zaśpiewał.

— Nie, nie! — zawołałem. — Co za niespodzianka! Wejdz! Prosiaczek tu jest.

— Pamiętasz, powiedziałam ci, że mamusia zapisała coś Mai? — spytała Phoebe, zdejmując żakiet i wieszając na kołku obok mojego wytartego palta. — Mam to ze sobą. Przejeżdżałam wtedy, więc pomyślałam, że mogłabym wpaść i zostawić. Nie macie nic przeciwko temu?

— Jasne, że nie, ale...

— To miało być dla twojej mamy — ciągnęła Phoebe, wygładzając włosy. — Boże, przydałoby się lusterko, na pewno okropnie wyglądam... Logicznie rzecz biorąc, ta rzecz powinna trafić do ciebie, tylko że... — Uśmiechnęła się przepraszająco. — To zabrmi trochę dziwnie, ale zanim ci to wręcę, spełnisz pewną niecodzienną prośbę?

— Z pewnością — odparłem. — To niesamowite, że zjawiasz się w taki sposób, całkiem niespodziewanie.

— Powinam była wcześniej zadzwonić.

— Chciałem to zrobić, ale nie miałem twojego numeru. Ani adresu. Właściwie nijak nie mogłem się z tobą skontaktować-

— Jakie to dziwne. — Zrobiła swoją sztuczkę z głową-

230

«tein pewna, że ci podawałam. Albo komuś innemu. Jestem

«ma, że pamiętam, jak coś zapisywałam. P ___jsfo cóż, to zagadka.

phoebe położyła dłoń na moim ramieniu.

___ Zanim wejdziemy... — Pochyliła się i pocałowała mnie

osto w usta, tak jak na pogrzebie Mai. Tym razem nikt nie Ldział, staliśmy wciśnięci między palta.

— Dużo o tobie fflyślałam — powiedziała, patrząc na mnie wielkimi szarozielonymi oczyma.

___ A ja się bałem, że cię wystraszyłem.

___ Głuptas. Skądże znowu. Szkoda, że nie utrzymywałam

kontakty. Chciałam, ale... — Wzruszyła bezradnie ramionami, — Wiesz, jak to bywa.

— Ale w końcu jesteś — odparłem, nie mając zielonego pojęcia, jak to bywa, lecz wciąż

dochodząc do siebie po pocałunku. — Wejdz. Nie mów mi, że przyjechałaś samochodem aż z Yorkshire?

Nadal na mnie patrzyła, ale już bez uśmiechu.

— W środku jest cieplej. Zaparzę herbaty. Jest Prosiaczek. Czytał nam swoją nową sztukę. No może niezupełnie swoją, ale...

— Zaczekaj — przerwała mi Phoebe. — Wyjdz ze mną na chwilę. Do samochodu.

— To jest twoja dziwna prośba?

— Nie — odparła. — Tylko na chwilę. Muszę coś wyjaśnić. Było mroźne popołudnie, takie samo jak poranek. Słońce

zniżało się do ziemi za kępą brzoź. Oksymoron na wybiegu podniósł łeb i zarżał. Para gołębi wracała do domu, trzepocząc skrzydłami.

Samochód Phoebe stał na drodze przed naszym domkiem. Kiedy otworzyła bagażnik, kłapa podniosła się powoli na amortyzowanych sprężynach. Elegancki wóz. Czysty, nowoczesny, zwłaszcza w porównaniu z naszym. W bagażniku leżał duży, kanciasty przedmiot, przykryty płachtą materiału.

Jeśli zjawi się Kąty, pokazuję ci to — powiedziała. — Tę ^ecz, o której mówiłam, tę, którą moja mamusia ci zostawiła. W Porządku?

~ Dobrze, ale po co ta cała tajemnica? Czy coś jest nie tak?

231

Phoebe stanęła tyłem do otwartego bagażnika i odparła;

— Sytuacja jest trochę niezręczna. Muszę ci coś wyzna-

— Wyznać?

— Nie byłam z tobą całkiem szczerą. Jeśli chodzi o aod-e. i numer telefonu. Miałaś rację. Nikomu ich nie podałam.

— Ale dlaczego? Czy jest jakiś problem?

— Ledwie się znów spotkaliśmy. Nie wyobrażasz sobie jakie to dla mnie ważne. Nie mogę zaczynać od kłamstwa.

— Będiesz to musiała wyjaśnić, bo mam mętlik w głowie

— Bha!u, nie mogę ci podać mojego adresu ani вдщеги telefonu. Nie w tej chwili.

— Ale dlaczego? — spytałem, szczerze zdziwiony. — c0 może być w tym złego?

— Nie mogę ryzykować, że się ze mną skontaktujesz.

— Czemu nie?

— Mój mąż. On nie rozumie, co nas łączyło. Myśli, że... Mniejsza z tym.

Zamurowało mnie. To była ostatnia rzecz, jaką spodziewałem się od niej usłyszeć.

— Ale, Phoebe... Co tu jest do rozumienia?

I wtedy wypowiedziała swoją dziwną prośbę.

Kąty słuchała ponuro, stojąc w kuchni.

— Chce żebyś dokąd jutro pojechał?

— Do Brighton. Na spotkanie się z medium. Tak powiedziała.

— Więc nie wraca dzisiaj do Yorkshire? Gdzie zamierza nocować?

— Nie wiem.

— A więc, Phoebe, gdzie dzisiaj przenocujesz? — spytała Kąty, szturchając sennego Prosiaczka. — Herbata, Prosiaczku. Ciasto, albo resztki świątecznego puddingu, do wyboru... Nie możemy cię puścić do hotelu — ciągnęła, odwracając się do Phoebe, która przycupnęła niewygodnie na brzegu kanapy. III Musisz zostać u nas. Przygotuję ci pokój gościnny. To potrwa chwilę.

232

^ Och, nie — odparła Phoebe. — Dziękuję, ale mam fZyjaciół w Kencie. To właśnie dlatego się tutaj znalazłam. Lłaffl u n*cn wcześniej, a potem zajrzałam do was.

,- Przyjechałaś rano? Z Yorkshire jest daleko, prawda?

__ Wyjechałam przed świtem. Droga była bardzo oblodzona.

__ No cóż, jeśli jesteś pewna.

__ - Dziękuję — powiedziała Phoebe. — Obiecałam, że

wrócę-

— Nonsens — zawołał Prosiaczek, który wrócił do życia. — J&k może dzisiaj dojechać do Yorkshire? To setki kilometrów.

— Przenocuje u przyjaciół niedaleko stąd — wyjaśniłem.

— Straciłaś przedstawienie — oznajmił Prosiaczek. — Pierwsze czytanie, prapremiera.

Historyczny moment, na swój sposób. A propos historyczny, miałem powiedzieć Bhalu, że szukałem na mapie tej twojej wioski. Jak ona się nazywała?

Phoebe nic nie odpowiedziała, spoglądając to na Kąty, to na mnie.

— A, tak, pamiętam — ciągnął Prosiaczek. — Sleeman. Dziwna nazwa. Nielatwo zapamiętać, ale jak jajuż zapamiętasz, to trudno zapomnieć. Próbowałem ją zlokalizować. Sprawdzałem na wojskowej mapie o dużej skali, z której korzystamy w naszych eskapadach. Ani śladu Sleeman.

— Cóż, nie wszystko można znaleźć na mapie.

— Podrzucę Prosiaczka do domu — oznajmiła Kąty. Skończywszy herbatę, wyszliśmy do kuchni na szybką naradę. Z sąsiedniego pokoju dobiegał dudniący głos Prosiaczka tłumaczącego, jak Szekspir wykorzystywał w swych sztukach postaci drugoplanowe.

— Ty zostaniesz i rozmówisz się z Phoebe. Może zechce zostać na kolacji. I powiedz, że może zostać na noc, jeśli śnieni zdanie. — Zrobiła pauzę, a potem dodała: — Jestem pewna, że nie ma żadnych przyjaciół w Kencie. Miałam wraże-nie, że zmyśliła to na poczekaniu.

— Nie planowała u nas zostać.

233

— W Brighton jest mnóstwo hoteli — zauważyła Kąty. Może ma romans.

— Romans?

— To całkiem prawdopodobne, że kobieta w jej wiek, farbująca włosy na blond, może mieć romans.

— Nie bądź śmieszna — powiedziałem. — Z kim miałaby romansować?

— Z kimś w Brighton, rzecz jasna.

To przynajmniej pasowałoby do zazdrosnego męża. W sumie nie można było tego wykluczyć, ale ja nie chciałem uwierzyć

— Po wyjeździe z Ambona wsiadliśmy na statek do Anglii, Wydaje mi się, że ojciec wybrał pierwszy, jaki się trafił. Handlowy. Zatrzymał się w jakimś porcie na północ od Bombaju i przez tydzień ładowano na niego worki z nawozem. Ja wisiąłem nad relingiem i obserwowałem barki. Oraz kulisów siedzących na barkach i łowiących sobie lunch. Mieli linki, które spuszczały do wody, a potem wyciągali makrele, węgorze, małe rekiny. Ćwiartowali je, a następnie smażyli z pomidorami i papryką w wielkim, poczeriałym rondlu. Czymś w rodzaju dużego woka.

— Karahi — wtrąciłem. Siedzieliśmy przy stole, jedząc kolację; przez cały dzień nie robiliśmy nic, tylko jedliśmy. Phoebe zgodziła się w końcu zostać. To by było na tyle w kwestii romansów.

— Tak, uwielbiałam curry — ciągnęła Phoebe. — Te prawdziwe, indyjskie, nie te okropne, angielskie, które tutaj podają, z masą rodzyneków i kawałkami jabłka. Tęskniłam do porządnych, ostrych indyjskich curry. To była jedna z tych rzeczy, przez które się ze mnie śmiali w szkole w Anglii. Dziewczęta mówiły, że mam indyjski akcent... Nienawidziłam Anglii! I chyba nadal nienawidzę.

— Phoebe, znałaś taki dziecienny wierszyk w hindi. Pamiętasz go jeszcze?

— Oczywiście — odparła, po czym wyrecytowała: — Mw fety Mai, dahi malai, ghaas pe baith ke khayi.

Wciąż słyszałem dziecko w jej głosie.

234

^, Zawsze mi się zdawało, że mówisz to tak bardzo po ^gielsku.

_. Zgadniesz, co znaczy ta rymowanka? — spytała Phoebe,

^ogładając na Kąty.

Ti- To mała panna Muffet — odparła moja żona. — Zapomiesz, że żyję z Bhalu od prawie ćwierć wieku.

— Rzuciłam szkołę, kiedy miałam osiemnaście lat — mówiła Phoebe. — Poszłam do szkoły

artystycznej. Mieszkałam w Slade, studiowałam malarstwo. Odeszłam przed końcowymi egzaminami. Teraz często żałuję, że nie skończyłam studiów, ale chciałam się z tego wyrwać. Bardzo pragnęłam podróżować. Wakacje spędzałam z mamusią. Była wtedy sama. Przeprowadziła się do Lincolnshire. To była stara, waląca się rudera, ale tylko na tyle było ją stać. Nie zostało nam wiele. Pieniądze od ojca przestały przychodzić. Mamusia nigdy nie miała pracy, kiedyś szła różne rzeczy, na przykład patchworki. W każdym razie, po odejściu z akademii mieszkałam z nią trochę, a potem znalazłam pracę w Londynie.

— Tam poznałaś męża? — spytała Kąty.

— Nie — odparła Phoebe. — To było o wiele później.

— Miałaś kogoś? — zapytałam. — Chłopaka? Musiałaś mieć chłopaków.

— O tak, wielu. Nie zapominaj, że to były lata sześćdziesiąte. Swingujący Londyn, Beatlesi, dzieci kwiaty. Trochę mi odbiło, byłam zwariowaną hipiską. Festiwale rockowe, trawka i malarstwo. Teraz to chyba niemożliwe, prawda? Ty też musiałaś to wszystko przejść, Kąty.

— Byłam za bardzo pochłonięta końmi — odparła z uśmiechem Kąty. — Próbowałam parę razy trawki, ale po prostu nie usypiała.

~ Nie nazywajcie tego „trawką”, mówcie haszysz albo charas — powiedziałam. Przyszło mi do głowy, że Phoebe z Przyjemnością będzie czytała o Dongri.

7~ Bhału ciągle się mnie czepia o indyjskie słowa — stwierdziła Kąty. — Nie mów dzodpury, tylko Joe'dpoory. Nie „Hi-malaje”, tylko „Himm-er-layer”.

235

— Tak samo robił, gdy byliśmy dziećmi — dodała Phoebe. — Nie mów „Jula”, tylko... wciąż nie umiem tego wymóty*.

— Juldla — powiedziałam i obie parsknęły śmiechem.

— Naprawdę chciałam tylko malować — ciągnęła Phoebe. — Miałam nawet swoją mansardę. Ale nie mogłam wiele sprzedać. Więc zajęłam się czymś innym, co zawsze mi się podobało. Znalazłam sobie pracę na statku wycieczkowym jako intendentka na stażu. Pływaliśmy po Morzu Karaibskim. Spędziłam tam kilka lat.

— I tam poznałaś Petera? — Tym razem to ja zapytałam.

— Nie. Miałam kilku chłopaków, ale tylko jednego traktowałam serio. Miał na imię Ronnie. Jakiś czas mieszkaliśmy razem. Był Amerykaninem. Niesamowity romantyk. Miał szalę na plaży... może nie szalę, to było coś lepszego, ale niewiele... na Wielkim Kajmanie. Koktajle na plaży białej jak talk. Nosiałam czerwone buty. To był mój znak rozpoznawczy.

— Musiało być przyjemnie — zauważyła Kąty. — Czemu się nie pobraliście?

— Weszłam kiedyś do domu i zastałam tam obcą kobietą. Powiedziała, że jest żoną Ronniego... Byłam w absolutnym szoku. Spojrzałam na niego, ale on tylko siedział i milczał. Okłamał mnie. Wyobrażacie sobie? Ta kobieta zaczęła na mnie wrzeszczeć. Powiedziałam: „Proszę posłuchać, to jest mój dom, nie może pani tak po prostu się tu wpakować. Nie wiedziałam o pani”. Kazała mi się wynosić. Po prostu mnie wyrzuciła.

— Cóż, można ją zrozumieć — powiedziała Kąty.

Po kolacji razem zmywaliśmy naczynia. Phoebe nalewała płyn i płukała, a mnie kazała wycierać i odkładać.

— Nie wiem, gdzie co jest w twoim domu — powiedziała. — Samo w sobie jest to trochę dziwne — dodała. — Kiedy znaliśmy się w dzieciństwie, twój dom był też moim domem.

Polerując te przekłete talerze, aż piszczały, stwierdziłam

— Chyba nadszedł czas, żebyś powiedziała mi o Peterze.

— Musimy o nim rozmawiać? Wolałabym nie.

236

„Wybacz, ale z tego, co mówisz, można wywnioskować, że jesteś szczęśliwa.

P Ale będę — odparła Phoebe. — Masz na to moje słowo.

Wolny pokój został przygotowany. Kąty ogłosiła, że idzie odc. Phoebe i ja siedzieliśmy przy kominku i rozmawialiśmy. Porównywaliśmy daty. Gdzie byłem, kiedy ona chodziła do szkoły? Co

robiła, kiedy ja włóczyłem się po Dongri z Julą ; postem? Przyszły mi na myśl moje wspomnienia, które wciąż leżały na biurku w sklepie. Już miałem powiedzieć, że wyślę je pocztą, ale w porę sobie przypomniałem. — Pojedziemy tam jutro ; je zabierzemy.

Z opowieści Phoebe wylaniał się obraz życia o wiele ciekawszego niż moje. Wyjechała na Karaiby mniej więcej w tym samym czasie, kiedy ja poznałem Kary, i tańczyła w czerwonych butach fandango na białej jak cukier plaży, gdy ja kręciłem się po Wardour Street, pisząc komentarze do drugorzędnych, nis-kobudżetowych reklam biur podróży, a potem produkując te siermiężne filmiki.

— Pewnie sporo razem podróżowaliście — powiedziała Phoebe.

— Raz pojechaliśmy do Indii.

Zaraz po ślubie zabrałem Kąty do Kumharawy, żeby poznała mojego ojca i dziadków. Rodzice Mai już nie żyli, zginęli w kraksie samochodowej na trasie Delhi-Lucknow, Wielkiej Centralnej Magistrali, opiewanej przez Kiplinga. Pijany kierowca ciężarówki wyprzedzał w nocy na zakręcie. Jeden z setek wypadków, które czynią indyjskie drogi tak niebezpiecznymi. Maja, jakżeby inaczej, próbowała nam wyperswadować tę podróż. Wyjaśniła, że rozmawiała z astrologiem, który powiedział, że ona i jej rodzina powinni unikać Indii.

— Czy to był pan Srinudzi? — zapytała Phoebe. — Kąty spodobały się Indie?

To była kusząca perspektywa, zwalić na Srinudzię winę za Wszystkie głupstwa Mai, lecz nie pojawił się jeszcze wtedy na Cenie. Kumharawa musiała być dla Kąty trudnym doświadczeniem. Wprawdzie starzec był dumny ze zdrowego życia na

237

wsi, ale nie było tam kanalizacji. Bez względu na pog0(i trzeba było kucać w latrynie w rogu ogrodu. Bobki i «j sływały przez dziurę w murze do brudnego rowu przy a. dze. Wodę do kąpieli trzeba było czerpać ze studni. J^ah powiedziała, że lubi Indie, ale nie wyobraża sobie, żeby \J mieszkać.

— Później niewiele już podróżowaliśmy — powiedziałam. — Kilka razy wybraliśmy się na wakacje do Grecji.

— Myślałam, że twoja praca polegała na kręceniu podróźniczych.

Tak. Szukałem pracy w wielu miejscach, bez powodzenia i wreszcie zatrudnili mnie w małej wytwórni, której nazwę zobaczyłem na końcu kiepskiego filmu dokumentalnego o Sin-gapurze. Ja bym to lepiej zrobił, pomyślałem. Wszedłem więc prosto z ulicy i zaproponowałem, że napiszę im film o Bombaju. Z pasją opowiadałem o mieście, którego turyści nigdy nie oglądają — Dongri, naturalnie — i wspominałem, że mogę wejść z kamerą do palarni haszyszu, której jeszcze nigdy nie odwiedził żaden cudzoziemski hipis.

Zainteresowało ich to, ale z innego powodu.

„Czy może pan przekonać linie Air India, żeby zaspon-sorowały podróż naszej ekipie?”

Powiedziałem, że zawsze mogę spróbować. Oznaczało to napisanie listu.

„Czy może pan przekonać Indyjską Komisję Turystyki, żeby zapewniła nam nocleg?”

Następny list. To był przekręt, rzecz jasna. Chodziło o to, by nakłaniać zagraniczne ministerstwa turystyki do fundowania wakacji „ekipie”, czyli w efekcie właścicielowi firmy i jego żonie. Ta para starszych ludzi wystawiała przez okno taksówki obiektyw starego, szesnastomilimetrowego boleksa, kręcąc ffl kupionych za bezcen „końcówkach rolek” (przez to kolory bez przerwy skakały i znikwały). Ja dostawałem to, co znalazło si? na taśmie, i miałem ciąć. Pracowałem na starym stole montażowym — nikt tego już tak nie robi — z kawałkami taśm)' dyndającymi jak węgorze na hakach. Ostatnim aktem tej machlojki było doprowadzenie do emisji „dokumentalnego ĩIII podróźniczego” w kinie razem z wielką hollywoodzką prodi»

238

. j zgarnięcie rządowych pieniędzy przeznaczonych na wspie-°> je rodzimej kinematografii.

— Szkoda tego filmu o Bombaju — powiedziała Phoebe. — vf0głeś nakręcić coś naprawdę ciekawego.

— Ciągłe zdarza mi się o nim myśleć. Kocham księgarnię, le mił° byłoby zrobić czasem coś innego.

— Myślałeś kiedyś o powrocie? — zapytała. — To znaczy, a0 Bombaju? — Patrzyła na mnie

trochę zamglonymi oczami. Jak po zażyciu belladony. Oboje czuliśmy zmęczenie. Było po trzeciej.

___ Zastanawiałem się, czy nie zaproponować dokumentu

0 Ambona. Pomyślałem, że BBC mogłoby się tym zainteresować. Ustawilibyśmy kamery przed początkiem deszczów, żeby pokazać, jak to wygląda. Jałowa, spalona ziemia. Wszyscy czekają na deszcz. Krowy na wzgórzach, poletka ryżowe udręczone suszą. Pierwsze burze. Gromy, błyskawice. Ulewa. Woda, wszędzie woda. A następnego dnia wszystko zielone.

— Łowienie ryb — dodała Phoebe. — Te śmieszne kapelusze przeciwdeszczowe. Powinieneś to zrobić, Bhalu. Wciąż powinieneś to zrobić. Nikt jeszcze czegoś podobnego nie widział.

Ale BBC odrzuciła mnie razem z moim pomysłem. Jakiś znajomy powiedział, że firma reklamowa szuka redaktora. Tak zaczęła się moja dziesięcioletnia kariera w strefie zmierzchu między filmem i reklamą. Dowiedziałem się, ku mojemu zaskoczeniu, że indyjski przemysł filmowy jest przedmiotem drwin. Nikt nie słyszał o Guru Duttie ani Madžroohu. Wymóg, by w każdym filmie znalazło się kilkanaście piosenek, uważano za absurdalny. Nasza najślawniejsza sopranistka, powiedział roi ktoś, ma głos wyjątkowo nieznośny dla uszu, niczym zgrzyt świdra wierzącego cynkową blachę.

Już nienawidziłem tego, czym stało się moje życie (aj, aj, aj, co za zdanie), a miało być jeszcze gorzej. Tak, teraz w końcu Powiem najgorszą prawdę. Yaaro mujhko maaf karna, main ncshe men hoon. Ten tekst Shailendry, który był przebojem, §dy objąłem się po Dongri z Mitrą i Dostem, nabrał dla mnie nowego znaczenia. Ja wybrałem sobie nashę alkoholową. *■ Przepracowanymi spikerami, aktorami bez pracy, artystami

239

od dubbingu i od siedmiu boleści piłem w George'u, w Smy francuskim pubie (nigdy nie mogłem zapamiętać jego pra ' dziwej nazwy) i stałem się czymś w rodzaju bon viveura. FaCet" którego poznałem przy paru butelkach wina u Macready'es ' zaproponował mi pracę producenta — oczywiście, zrW reklamy. Miałem fundusz reprezentacyjny, a moja prawdziwa praca polegała na zapraszaniu „twórców" z agencji reklarn0. wych na wystawne lunche i zabawianie ich. Praktycznie miesz. kaliśmy w restauracji Tatę (chateau lafite po sto czterdzieści pięć funtów za flaszkę). Mój szef, Titus Golinkin — cóż za olśniewające nazwisko — beształ mnie, że za mało wydaję „Tylko czterysta funciaków? Co się stało, straciłeś apetyt? Nie wolno nie doceniać lunchu". Wtedy też zaczęły się jazdy taksówką późno w nocy, pijackie monologi. Taka jest prawda a ja wciąż wolę jej nie pamiętać.

— A dziewczyny? — zapytała Phoebe. — Musiały być jakieś kobiety. Czy w przemyśle filmowym nie roi się od pięknych dziewcząt? Kąty się nie martwiła? Ja bym się martwiła na jej miejscu.

— Tak, ale...

Kąty strasznie się męczyła, ale była uporczywie lojalna. Rzuciła się w wir pracy przy projektowaniu wnętrza i jeździła konno. Jej śliczny tyłek przybrał kształt kowadła od ciągłego obijania się o siodło.

— Ale...?

Ale była tylko jedna, chciałem powiedzieć. Sekretarka w agencji reklamowej, wysoka dziewczyna o silnym charakterze, wielbicielka Puszkina. To właśnie czytanie Eugeniusza Oniegina — w każdym razie, tak to widzę z perspektywy czasu — pociągało mnie w niej bardziej niż niezaprzeczalnie dobra figura czy długie czarne włosy, które czesała po kolacji i pospiesznym stosunku w jej kawalerce przy Fulhaffl Pałace Road.

„Jak często latem, gdy nad Newą noc była cicha i pogodna, gdy przezroczyste lśniło niebo...".

Unosiła głowę znad kartki i wzdychała z satysfakcją. Romans trwał kilka tygodni. Potem.

1 Aleksander Puszkina, Eugeniusz Oniegin, przekład Adama Ważyka

240

napadzie siedemdziesięcioprocentowej szczerości, powiełałem Kąty. I wtedy...

^_ Nigdy mnie nie kusiło — skłamałem Phoebe.

___ Jesteś mężczyzną. Musiałeś odczuwać pokusę.

___ Może nie jestem typowym mężczyzną.

Tamto drugie zdarzyło się mniej więcej w tym samym czasie. peWnego dnia wróciłem wcześniej do domu, wszedłem do środka i usłyszałem dziwną muzykę. Śpiew egzotycznych ptaków. Ilekroć

słyszę tę muzykę, wraca do mnie to wspomnienie. To ona musiała zagłuszyć moje kroki. Po tym zdarzeniu postanowiłem rzucić Londyn.

— Nigdy nie byłem dobry w kontaktach z kobietami — powiedziałem.

— Znów źle się oceniasz. Jaka szkoda, że ludzie tak robią, — Powiedziała to z dziwną zapalczywością, ale zaraz się uśmiechnęła. — Jesteś bardzo atrakcyjnym mężczyzną, Bhalu. Byłem zbyt wyczerpany, by ucieszyć się z komplementu. Ale żeby dokończyć tę część mojej historii, która nadaje się do opowiedzenia (Phoebe była już tak zmęczona, że oczy jej się zamykały): ocaliła mnie — teraz to jest jasne — śmierć mojego dziadka. Zostawił trochę pieniędzy, a Maja znalazła sposób, żeby ściągnąć je z Indii. Moja część spadku okazała się całkiem spora, nawet po przeliczeniu na funty szterlingi. To Kąty znalazła mi antykwariat.

— O mój Boże — powiedziałem. — Spójrz na zegarek! Było tuż po piątej rano.

Po cichutku wdrapaliśmy się do gościnnego pokoju. Phoebe szepnęła:

— Jest już prawie za późno, żeby spać. Usiadła na łóżku i zsunęła buty.

— Przynieść ci filiżankę herbaty? — zapytałem.

— Jesteś uroczym i troskliwym mężczyzną — odparła. — Ab nie, dziękuję. Jestem zbyt zmęczona, by spać. Tak naprawdę to chciałabym wziąć prysznic.

Natrysk znajdował się w czymś w rodzaju wykładanej kafelkami szafki. Drzwi były w naszej sypialni.

241

— Będziesz musiała się prześliznąć.

— Zrobię to po cichutku. — Wstała i zaczęła rozpij dzinsy. — Mogę pożyczyć ręcznik?

— Oczywiście — odparłem. Wróciłem z ręcznikiem kąpie. lowym i podałem go jej, wsuwając rękę przez drzwi. Phoebe wyszła szybko z pokoju, wzięła ode mnie ręcznik i owinęła się

— Boże, jak zimno — powiedziała.

Byłem zmęczony, może miałem halucynacje. Wyraźnie wy. czuwałem jej nagość. Dopiero kiedy zniknęła w naszej sypialni i usłyszałem szum prysznica, dotarło do mnie, że nic na sobie nie miała. O szóstej poszliśmy na spacer po ciemnym jeszcze lesie, do strumienia, nad którym unosiła się mgła. Usiedliśmy na pniu drzewa; wschodziło słońce. Rzucaliśmy patyki do wody, a potem wróciliśmy do domu i zastaliśmy zdziwioną Kary, zajęętą parzeniem porannej herbaty.

Chang

(Brighton, 1999)

Morze, widziane przez wąską przerwę na końcu ulicy, wyglądało jak rzędy szarych ściegów zrobionych szydełkiem. Pacłł deszcz, zimne, napastliwe krople siekły nas po karkach. Szła z podniesionym kołnierzykiem zakietu, który unosił i rozsiewał jej włosy wokół uszu, tworząc efekt, jaki bardzo lubię. Zatrzymała się przed małym zwyczajnym domkiem i nacisnęła dzwonek.

— Bhalu, dziękuję ci, że tu przyszedłeś — powiedziała. — Możesz to uważać za nonsens, ale ja muszę spytać mamusię o pozwolenie.

Drzwi otworzyła jasnowłosa kobieta z ustami jak rozsmarowany hibiskus. Przedstawiła mi się jako madame Stella. Zostaliśmy wprowadzeni do pokoju przytłaczającego zagraceniem. Za dużo obrazów: psy, święte serca, rogate bożki, bogini z gwiazdzistą koroną czerwoni Indianie, hinduscy mędrcy.

Na środku podłogi stał mały ołtarzyk, przykryty udrapowaną serwetą na którym stały dwie zapalone świece, pałeczka dżoss oraz wyblakłe czarno-białe zdjęcie przedstawiające dwie kobiety: pierwsza, wyglądająca jak młoda Ava Gardner, wskazywała ręką aparat, a drugą ubraną w sari, fotograf uchwycił z głową odrzuconą w tył, śmiejącą się perłście. Za nimi rósł krzew bugenwilli, którego szare kwiaty, o czym wiedziałem, w rzeczywistości są różowe. Kobieta w sari była moja matka.

..W wewnętrznych kręgach jest teraz ciepła wiosna, oznajmiła Madame Stella. — Twoja matka cię oczekuje, moja droga jboebe. Matka tego džentelmena także. Hinduska, nieprawdaz? Uiang rozmawiał z obydwoma dziś rano. Kazały wam przekąsi że mają się dobrze. To dobra pora, żeby szukać wskazówek.

243

W wewnętrznym kręgu toczy się właśnie wielka duchowa narada. Masz dla mnie małe co nieco, kochanie?"

Phoebe sięgnęła do kieszeni żakietu i wyjęła kilka banknotów „Zaraz wracam, powiedziała madame. Usiądźcie sobie

Phoebe, kochanie, wiesz, co robić. Pokaż panu, jak się wygodnie umościć. To wszystko".

Zabrała pieniądze i czmychnęła z pokoju.

— Phoebe, co to ma, u licha... — zacząłem.

— Ciii! Wiem, co sobie myślisz — szepnęła. — Sceptycy jest dopuszczalny, nie musisz wierzyć. Chodzi o to, że wiele z tego, co ona mówi, się sprawdza.

— Bywasz u niej regularnie? — Przypomniałem sobie prośby Mai kierowane do Ganesza; nigdy nie chciała przyznać, że to modlitwy.

— Nie za często. Raz na trzy, cztery miesiące. Madame Stella znów weszła do pokoju. „Pańska matka,

powiedziała do mnie, chce, żeby słucał pan dzisiaj ze szczególną uwagą. Ma dla pana ważną wiadomość. Coś, czego nie mogła panu powiedzieć, kiedy żyła". Madame usadowiła się w dużym fotelu niedaleko sofy, na której siedzieliśmy ściśnięci z Phoebe, przykrytej kapą, która mogła pochodzić z jakiegoś bazaru w Tunisie.

Kobieta medium wskazała obraz przedstawiający mężczyznę, który przypominał wodza Siuksów.

„To jest Chang, mój chiński przewodnik. Kiedy przenika, możecie zadawać pytania, ale ostrzegam, że był kiedyś mandarynem, gubernatorem prowincji w Chinach. Przywykł, by okazywać mi szacunek. Nie spodoba mu się, jeśli będziecie przerywali. A teraz weźmy się za ręce".

Zerknąłem na Phoebe, żeby zobaczyć, jak na to wszystko reaguje, ale miała zamknięte oczy i czoło zmarszczone lekko w wyrazie skupienia. Madame pozwoliła swoim grubo pomalowanym na zielono powiekom opaść, oblizwała usta. Uśmiechnęła się, a potem jej twarz znów przybrała surowy wyraz. Na jej obliczu malowały się emocje, których nie sposób było zidentyfikować. Zrobiła kilka głębokich, spazmatycznych wdechów, po czym z jej gardła wydobyła się seria powolnych czknięć. Było to fascynujące, jak występ w jednym z filmów masala, tak wielbionych przez Dosta. Jej głowa opadła bez-

244

władnie i przetoczyła się w naszą stronę, obfitym ciałem wstrząsnęły westchnienia i stęknienia.

Język wysunął się z karminowych warg i madame zaczęła chrapać.

Raptem oczy otworzyły się szeroko i zapatrzyły na dywan, a potem — to musiała być sekwencja wzięta z horroru — głowa z wystającym językiem obróciła się z wolna i zaczęła się nam przyglądać ze złośliwą uwagą. Język schował się, wysunął na chwilę by oblizać wargi, a potem głęboki głos, z akcentem bardziej berlińskim niż pekińskim, przywodzącym na myśl skojarzenia z doktorem Strangelove w wykonaniu Petera Sellersa, rzekł: „Witaj, Phoebe, witaj moja indyjska przyjaciółko". Welcome Veebee, welcome my Indian friend\

— Witaj, Chang — odpowiedziała cichutko Phoebe. Chang przewrócił oczami i wbił we mnie wzrok. Poczulem łokieć phoebe między zębami.

— Witaj, Chang.

— Rada duchów jest świadoma waszej obecności. Zee zbirit gounzil is aware of your presence. Wasze matki tam są. Mozzers.

Chang znów przewrócił oczami i rzekł: — Och, jak one ślicznie wyglądają. Dwie tak piękne kobiety. Na mą duszę! bφ-Y- Vyootifuh Zoul (Lovely, beautiful, soul). — Ta kwestia zdecydowanie wymagała pewnej łobuzerskiej galanterii.

— Phoebe, dwoją madka jezd blizgo. Tag. Tag. Tag. Już nadchodzi. Łączy się z nami dźwiękiem modzno na wibracjach. Może nie pogaże się w pogoju hrazem z nami, ale do mnie mówi...

Ciało Phoebe, przyciśnięte do mojego, zaczęło drżeć. Ze wszystkich sił starałem się zdławić chichot. Uścisnąłem jej rękę.

— Tag, Zybil, złyżę cię... czegaj, j ezd tu j edzde j eden dugh... zbliż się, Zybil. — Pomyślałem, że ten drugi duch musi się okazać Mają. Ale jednak nie, bo Chang, nieznoszącym sprzeciwu, iście

gubernatorskim tonem ryknął: — Ty! Tag, ty! Ty długi dughu! Bodżegaj łazgawie na zwóją kolej... co mówisz? Nazywał się Ming i jezdeś brzewodnigiem tego dzendelmena? To zwiednie, Ming, doprawdy zwiednie... Jezdem bewien, że naza hrozmosfera będzie owodzna... giedy już bohrozmafiam zZybil... Nie, Ming, bhroże!... Boczegaj na zwojąkolej, hroz-

'C i następne kwestie medium wypowiada łamaną angielszczyzną

245

mawiam z Zybil. Zybil jezdz tu tehraz. Jezdz tehraz z nanv w bogoju.

Ciało Phoebe wciąż się trzęsło. Przycisnąłem się do uci ■ i ścisnąłem jej dłoń, przypuszczając, że podobnie jak ja, walczy z napadem śmiechu. Lecz zerknąwszy na nią, zauważyłem *j jej powieki są mocno zaciśnięte, jak u dziecka, a usta ściągnęły się w wyrazie autentycznego bólu.

Poszliśmy do kawiarni nad morzem. Jednej z takich, do których chodziliśmy z Kąty, kiedy się poznaliśmy: -To dziwne, jak rzeczy zataczają kręgi. Usiedliśmy przy stoliku koło okna i zamówiliśmy kawę. Wszystkie kafejki nad brzegiem morza ze względu na widok mają duże okna. Ale to nie był dzień na podziwianie pejzaży, morze było szare, fale deszczu siekły w okno i ściekały mniejszymi i większymi strumieniami. Niedaleko od tego miejsc-cafznajdowało się molo West Pier, z dziurą, przez którą przebił się statek. Sklecieli tam jakąś kładkę. Krażyły nad nią szpaki, wiecznie w ruchu, niezmordowanie chwytając podmuchy wiatru.

— Phoebe, o co w tym wszystkim chodzi? Zapatrzyła się na ptaki kołujące nad molo. Musiały ich być

tysiące, bo wyglądały jak olbrzymia chmura, zmieniająca kształt, gdy skręcała, unosiła się i opadała. W jednej chwili była ogromną elipsą, a w drugiej galaktyką z ciągnącymi się z tyłu ramionami rozgwiazdy.

— No dobrze. Już wcześniej postanowiłam ci powiedzieć. Właśnie dlatego przyjechałam.

Przywiozłam kuferek. Ale to, co w nim jest, jest tak osobiste...

— Ale ty nie wierzysz, że Sybil naprawdę tam była.

— Ja wiem, że tam była. — Zapaliła papierosa, wciąż obserwując nadmorskie szpaki, demonstrujące jedyną prawdziwą lekcję historii. Potem westchnęła i zaczęła swoją opowieść.

— Bhalu, pewnie nie pamiętasz, jaka była kiedyś nwja mama. Tam, w Ambona, czuła się bardzo nieszczęśliwa. Mam na myśli, jaka była wcześniej. Była uroczą, radosną kobietą-Uwielbiała chodzić na przyjęcia, bawić się. Wydaje misia, że

246

już okazał się dla niej trochę za sztywny, ale jakoś doszli ze obądo ład. Potem coś się stało.

Mama się rozkleiła. Właśnie Ledy CIEIIIle uciekała do Ambona. Twoja matka, Maja, bardzo ■ wspierała. Przyjmowała nas, opiekowała się Sybil. Potem wracałyśmy do Bombaju i przez jakiś czas mama czuła się dobrze. Tego ostatniego roku myślałam, że jej się poprawiło. Nie „дет, jakby się wszystko potoczyło, gdybyśmy... Gdybym ja... __ Myślisz o biednej Rosie. To nie była twoja wina. Ani moja.

__ - Chciałabym w to wierzyć — odparła Phoebe. — Ale gdybym nie upierała się, żeby tam wejść... Od tej pory zawsze „mię to dręczyło. A potem zostałyśmy odesłane. I znalazłyśmy się tutaj.

— I zniknęłyście — dodałem.

— Po wyjeździe z Indii mamusia nie chciała nikogo widywać. Byli z tatą w separacji i po kilku latach mama poprosiła o rozwód. Powiedziała, że nie chce niczego dla siebie, ale potrzebuje pieniędzy dla mnie. Nigdy nie miała swoich pieniędzy. Lecz pojawił się kłopot, bo, jak wiesz, w tamtych czasach było niesłychanie trudno wydestać pieniądze z Indii. A tam były wszystkie nasze pieniądze.

— Pamiętam. Kiedy leciałem do Anglii, pozwolono mi zabrać tylko trzy funty.

— Ale ty miałeś pieniądze dziadka — powiedziała z lekkim, nieodgadnionym uśmiechem. — Kochany tatuś, mimo że jego rodzina była w Indiach od wieków albo raczej właśnie przez to, nigdy nie zrozumiał, że po tysiąc dziewięćset czterdziestym siódmym Hindusi naprawdę trzymali wszystko w rękę. Wydawało mu się, że urzędnicy sana jego rozkazy. Zalażł im za skórę. Więc nigdy nie dostałyśmy pieniędzy...

Przypomniałem sobie wysoką, posępną postać na cmentarzu w Ambona.

— Tatuś chciał, żebym wróciła do Indii i zamieszkała z nim, ale mamusia powiedziała, że umrze, jeśli to zrobię. Stwierdziła, że równie dobrze mogłaby się zabić. — Naśladując wyrazisty, Powojenny akcent matki, powiedziała: — „Kochanie, będzie lePiej, jeśli umrę, wszystkim ułatwi to sprawę. Wtedy będziesz ftogła wrócić do ojca”.

247

— I co było dalej? — zapytałem, pamiętając, jaka czarując i wesoła potrafiła być jej matka, i jaka nieszczęśliwa by} w Ambona.

— Tatuś miał przyjaciela — ciągnęła Phoebe — partnera w interesach. Myślę, że w czasie wojny służyli razem w wojsb Ten człowiek mieszkał niedaleko Cheltenham. Wydaje mi sjc że zawarli jakiś układ. Pieniądze dla mamusi przychodziły ^ niego. Płacił też moje chesne w szkole. Domyślałem się, że tatuś zwrócił mu pieniądze w Indiach. Nazywał się moim opiekunem Był wysoki, tak jak tata. Musiał się schylać w drzwiach i uuu} jasne niebieskie oczy, które patrzą przez ciebie na wskroś, jeśli wiesz, co mam na myśli. Bardzo wysoko cenił tatę, ale mamusie uważał za coś w rodzaju pospolitej dziwki. Nigdy nie umiał zachować się wobec niej uprzejmie. Uważał, że nie jest godna, by nosić nazwisko Killigrew. Myślał tak samo jak niania... W każdym razie, nie dawał jej dość pieniędzy na utrzymanie. Mamusia powiedziała, że musi sobie znaleźć pracę. Miała trochę pieniędzy od rodziców, których starczyło na malutki, zaniedbany domek na odludziu w Lincolnshire. Tylko na tyle było ją stać. Jeździłam tam w czasie wakacji.

— Zawsze wyobrażałem sobie ciebie mieszkającą w wielkim domu z lokajem, grającą w tenisa, pływającą łodzią po Tamizie.

— Ha! Chyba żartujesz — parsknęła Phoebe, spoglądając przez okno.

— Obserwujesz ptaki — zauważyłem.

— To tak jak z płomieniami albo wodą. Można siedzieć i patrzeć bez końca. One zawsze były. Spójrz na te zdjęcia.

Zauważyłem fotografie na ścianach kawiarni. Wyblakłe, zrobione wiele lat temu, kiedy miasteczko przeżywało rozkwit. Nad moło unosiła się ciemna, ciągle się zmieniająca, a zarazem niezmienna chmura ptaków.

— Po odejściu z akademii pojechałam na jakiś czas do mamy. Już wtedy była żałosna. Zostały ledwie strzępy osoby, którą była kiedyś. W obecności innych ludzi wciąż umiała być duszą towarzystwa, przechodziła samą siebie. Ale tylko grała! W środku była wypalona. Opiekowałam się nią. Miałam dwa-

248

, jeścia jeden lat. Zmęczyło mnie to. Napisałam do ojca, że uSi coś zrobić. Że nawet jeśli ją porzucił, mnie porzucić nie O2e. Właśnie wtedy wróciłam do Londynu. Nie dawałam O7tje rady jako malarka, więc znalazłam pracę na statku. Od ;sU statkiem do Anglii zawsze chciałam pracować na liniowcu. rhciałam być intendentką, opiekować się pasażerami... przerwała, żeby zapalić następnego papierosa. __ Minęło kilka miesięcy. Byliśmy na morzu, kiedy dostałam Od tatusia depeszę z wiadomością, że przyjeżdża do Anglii. Chciał, żebym tam była. Więc napisałam mu, kiedy wrócę. I przyjechał. Przyjechał do Anglii.

_ - Mamusia nie chciała wpuścić go do domu. Stał na progu, trzymając kapelusz. Wyglądał tak smutno. Przebył całą drogę z Indii. Uściskałam go i wprowadziłam do środka. Nie mógł oderwać ode mnie wzroku. „Czy to jest moja mała dziewczynka?“, powtarzał w kółko. Kiedy mnie widział ostatnio, miałam jedenaście lat. Mamusia nie chciała z nim rozmawiać. Zamknęła się w sypialni i nie chciała wyjść. Myślę, że była już wtedy trochę obłąkana...

— Przykro mi — powiedziałem.

— Zanim wyszedł, kazał mi przyrzec, że będę się opiekowała Sybil. Powiedział, że powinnam z nią zostać, dopóki on jakoś tego nie rozwiąże. Nie wiem, co zamierzał zrobić. Potem wyszedł. Odprowadziłam go na przystanek autobusowy i patrzyłam, jak macha ręką, dopóki nie zniknął mi z oczu. Nawet teraz widzę ten zielony autobus, coraz mniejszy i mniejszy. Wtedy się załamalam. Rozplakałam się. Boże, jak ja płakałam. Szłochałam całymi dniami. A potem... O Boże, przepraszam. Nie lubię być taka przygnębiająca. Muszę wziąć chusteczkę...

...Nie posłuchałam go, Bhalu. Uciekłam. Porzuciłam ją. Taka jest prawda. Po powrocie na statek

przysięgam sobie, że nigdy więcej moja noga nie postanie w Anglii. Bez wdawania się w szczegóły powiem, że znalazłam się z Ronnim w Indiach zachodnich. Spędziłam tam, z przerwami, prawie trzynaście lat. Tego dnia, gdy mama go odprawiła, gdy był taki miły i dobry — wtedy widziałam go po raz ostatni. Mój ojciec [^]arł, kiedy byłam na Karaibach.

Deszcz wciąż bębnił w wielkie okno kawiarni, wychodzące

249

na morze. Raczej wyczuwało się krople, niż je widziało. Xafl szyby, rozgrzana ciepłem wnętrza lokalu, zmieniła się w zasł0,, pary. Doświadczałem osobliwego wrażenia, że jestem w zupełnie innym miejscu. Słuchając opowieści Phoebe, tak siła" odczuwałem bliskość przeszłości, bliskość innego deszczu na innej szybie, że zdawało mi się, iż wystarczy wyjść z kawiarni/ i tuż za rogiem będzie droga do Ambona. Phoebe przechyli}, się na bok i zrobiła ręką na szkle duży mokry krąg. Na płaski szarym niebie szpaki ciągle krążyły nad West Pier.

— Kiedy wróciłam, mamusia wciąż mieszkała w domku ale pieniądze przestały przychodzić. Po śmierci taty opiekun powiedział, że nigdy nie było żadnych pieniędzy, że robi} to wszystko dla mojego tatusia. Skoro tata odszedł, a ja pracowałam, nie widział powodu, żeby nadal dawać pieniądze. Napisałyśmy listy do banku taty i jego dawnych adwokatów, lecz na odpowiedź czekałyśmy w nieskończoność. Potem przyszedł list, z którego dowiedziałyśmy się, że tatuś był prawie bankrutem i że sprzedał swoją część rodzinnej firmy. Ale niewiele tego zostało po spłaceniu długów. Tylko meble i obrazy, które zawsze miał. Nie mogli pojąć, co się stało z majątkiem. Nie było żadnych innych rzeczy, które mogłyby tłumaczyć zniknięcie pieniędzy. Mamusia nie miała nic, a była zbyt dumna, by prosić mnie o gotówkę. Nie mogła też zniżyć się do pobierania rządowego zasiłku. To oznaczałoby stanie w kolejce w biurze ubezpieczeń społecznych, Boże broń, żeby miała to robić. Powiedziała mi, że żywi się liśćmi mleczu. „Na miłość boską, weź ode mnie trochę pieniędzy", prosiłam, ale ona była nieprawdopodobnie uparta. Straciłam cierpliwość i zaczęłam na nią krzyczeć. Oskarżyłam ją, że zachowuje się tak, żeby oszalała ze zmartwienia. Mama wzięła nóż i powiedziała: „Nigdy więcej tak do mnie nie mów. Nienawidzę ludzi, którzy na mnie krzyczą i grożą. A tych, których nienawidzę, zabijam". Phoebe spojrzała mi w oczy. — Bhalu, coś się stało tam, w Indiach. Coś strasznego, co zniszczyło życie nam wszystkim.

CZĘŚC IV

Sybil

r

fCufer

Kufer był drewniany, rzeźbiony, z namalowanymi pnącymi różami, pomarańczowymi i różowymi. Szokujące kolory Radża-stanu. Jego zawiasy, podobnie jak klucz, były zardzewiałe. Stał, kwadratowy, na malowanych nogach w kącie mojego gabinetu. W środku znajdowały się dwadzieścia dwa dzienniki i notatniki, niektóre oprawione w skórę, inne ze spiralnymi grzbietami. Wszystkie wypełnione, od deski do deski, ładnym, lecz trudnym do odczytania pismem Sybil. Duża torba z angielskiego sklepu spożywczego zawierała arkusze żółknącego papieru, ze smugami od nierównych czcionek starej maszyny do pisania. Niektóre z nich, z podwójnymi odstępami między wierszami i rdzawymi śladami po spinaczach, były rękopisami. W jeden z notatników wciśnięty był plik listów zaadresowanych do Sybil, kruchych jak płatki kwiatu. Na samym wierzchu leżała koperta zawierająca odręcznie pisaną notatkę.

Moon Cottage, 1993

Moja droga Maju!

Jeśli to czytasz, to znaczy, że bystra Phoebe Cię znalazła. Tak bardzo żałuję, iż po naszym wyjeździe z Indii straciłyśmy kontakt. Póki żył Killy, Indie wydawały się bliskie, ale to było dawno temu. Wróciłam tam raz, żeby Cię odszukać. W tym roku. Wszystko się zmieniło. Nie było Bombaju, który znałam, i Ciebie też nie było. W sztabie marynarki powiedziano mi, że kapitan Sahib jest „poza miejscem zakwaterowania". Wreszcie nawiązałam kontakt z Homi, który zabrał mnie na lunch do Gourдона — przynaj-

253

mniej to zostało. Oczywiście, nie rozpoznał starej kwoki która zjawiła się w jego domu, ale po

początkowej konsternacji znalazł się niezwykle szarmancko. Jest łysy, wąsy i wąsy posiadał. Po jakimś czasie złapał mnie za rękę i zaczął się do mnie zwracać per „kochanie”, co wzbudziło moją wielką niechęć. Powiedział mi o Twoim rozwodzie i dowiedziałam się, że pojechałaś za dziećmi do Anglii, ale od lat nie było » od Ciebie wiadomości. Po powrocie próbowałam Cię odszukać, ale zniknęłaś. Gdzie jesteś? Och, Maju, jak bardzo żałuję! Wyobraź sobie, że przez te ostatnie lata mogłyśmy być sąsiadkami — mogłyśmy siedzieć razem w długie, jasne angielskie wieczory i przypominać sobie, jak nagle zapadał zmierzch w Indiach. Zanim ten list do Ciebie dotrze, jeśli w ogóle, ja będę już w miejscu, którego, jak wiesz, się lękam, bo nie wiem, co mnie tam czeka. Jesteś bodaj jedyną osobą, która może to sobie wyobrazić. Nigdy nie mogłam porozmawiać o tym z Phoebe, choć powiedziałam jej niektóre rzeczy. Tyle lat upłynęło, lecz wspomnienia nadal są zbyt straszne. Maju, nie udało mi się zrobić w Indiach tego, co chciałam zrobić. Zostawiam ci moje notatniki. Są wszystkie, oprócz ostatniego, który muszę spalić, i tego, o którym pamiętasz... Miałam nadzieję, że wciąż go masz, i że jeśli Cię znajdziesz... Cóż za głupota! Ach, teraz to i tak bez znacze-

f
Oly i Billy dziennik Sybil 1948-56)

Dzienniki niekoniecznie są autobiograficzne — codzienne zapiski Sybil częściej dotyczyły innych osób niż jej samej, lecz z fragmentów w notatnikach i poprzekładanych kartek listów (często trzymała kopie napisanych przez siebie listów) zdołałam złożyć w całość jej historię.

Dorastała przy niepozornej uliczce w Croydon, skąd została ewakuowana w pierwszych latach wojny. Pod koniec wojny Sybil była dość dorosła, by znaleźć sobie chłopaka, Kanadyjczyka, z którym upiła się w tłumie wiwatującym w Dniu Zwycięstwa. Podobnie jak wielu innym ludziom, życie po wojnie wydawało jej się dziwnie puste. Chodziła do liceum, w którym — zarażona entuzjazmem nauczyciela angielskiego — marzyła o karierze pisarki, lecz zamiast tego została maszynistką w Londynie. Wtedy poznała Killy'ego. W tysiąc dziewięćset czterdziestym szóstym był od niej o kilkanaście lat starszy, między trzydziestką a czterdziestką, i wypalony po trzech burzliwych latach spędzonych w Birmie z chinditami' Orde'a Wingate'a, do których został wybrany, ponieważ znał język hindustani. Rodzina Killigrew mieszkała w Indiach od pokoleń. Plotka głosiła, że kiedyś trudnili się handlem opium. Plyje o tym powiedział, wyjaśniając jednocześnie, że obecnie handlują bawełną i maszynami. Killy był wysoki — prawie Metr dziewięćdziesiąt — i miał krzaczaste, sterczące do góry

chinditami nazwano oddział dowodzony przez brygadiera Orde'a Win-Sate'a, złożony z Brytyjczyków i Gurkhów, który 14 lutego 1943 wyruszył mdyjskiego miasta Imphal i do 24 kwietnia tego samego roku prowadził *Cie sabotażowe w Birmie, za liniami Japończyków
255

brwi. Jak na tak rosłego mężczyznę, był lekki w tańcu. Sybji albo raczej Billy, bo tak ją nazywał — czuła się jak n[^] w jego ramionach, i jak należało oczekiwać, dała się ponie* jego opowieściom o słońcach, zachodach słońca wśród pai mowych liści i służących w turbanach. Mówił jej o polowaniach na tygrysy, srebrnych rolls-royce'ach i komicznych mahara dżach. Spragniona przygody, ślepo wierząca w miłość i n,[^] znaczenie, Sybil zgodziła się jechać z nim do Bombaju jak jego żona.

Killy i Billy wpłynęli do Bombaju w monsunowym szkwak jesienią tysiąc dziewięćset czterdziestego ósmego roku. „r0 nie będzie tak, jak sobie wyobrażasz”, ostrzegł ją. Była należy. cie nieprzygotowana na zapachy, dym, hałas, kurz, tłumy, chaos a nade wszystko upał, który dławił usta i nos jak gorąca wilgotna flanelowa szmata. Październik to najgorętszy miesiąc w Bombaju. Sybil nie była przygotowana na wilgoć ściekającą po skroniach i zamieniającą pachy w słone bagna. Wiedziała, że Killy jest zamożny, lecz zaszokowały ją rozmiary domu, do którego ją zawiózł. Nie spodziewała się, że będzie tam tak mrocznie: niekończące się pokoje pełne bogato rzeźbionych indyjskich mebli. Onieśmielające swym ogromem małżeńskie łóżko miało na rogach cztery słupki; Killy powiedział, że urodził się w nim zarówno on, jak i jego ojciec. Ściany były obwieszane głowami zabitych zwierząt. Sybil nie wiedziała, jak zwracać się do pokojówek, które traktowały ją z uroczystym szacunkiem; jedna natychmiast pobiegła po balię, a druga, żeby zaparzyć herbaty. W ciągu pierwszych miesięcy miała wrażenie, że oczy służby śledzą ją wszędzie.

Któregoś ranka odkryła pokój z ogromnym stołem bilardowym. Ustawiła bile i natarła kij kredą, podniosła głowę i zobaczyła pełne wyrzutu spojrzenie lokaja.

Zaskakiwały ją dziwne rytuały domu: każdego ranka kucharz Killy'ego przynosił jej rachunek z rynku, hissab, żeby pokazać kupione warzywa, produkty żywnościowe i herbatę. Co tydzień z zakłopotaniem patrzyła, jak dhobi rozkłada na podłodze salonu brudną bieliznę do prania, liczy rzeczy jedną po drugiej, a potem wiąże w ogromny tobolek, kładzie go sobie na głowie i odchody kołyszającym się krokiem. W jej dzienniku znalazł się rachunek z rozmazanymi słowami na pożółkłym papierze:

256

Domingo Pereira

DOSTAWCA CHLEBA

Piekarnia Colaba, Sassoon Dock 165

Colaba, BOMBAJ

Data 19/2/ 19 49

Na

ARTYKUŁY Razem Rupii As. Ps.

Per 63 7 12

Re

Bochenki białego chleba @ "

Słodkie ciemne

Chleb kanapkowy

Chleb razowy

Gootlies " " 12 1 8 6

Bułeczki obiadowe

Cakers " "

Opłaty piekarskie " "

Ogółem 9 4 6

Opłata przyjęta przez Data wpłaty

E.&O.E

Sybil napisała na nim: „Co to są u diabła, Gootlies? Zapytać kucharza”.

Lecz najdziwniejszy w tym wszystkim był Killy — Sybil nie spodziewała się, że ostrzeżenie, które jej dał, będzie dotyczyło się także jego. Gdy minął szok pierwszych kilku miesięcy, uświadomiła sobie, że przede wszystkim jest samotna. Bombaj był brzydkim miastem, z niszczącymi budynkami, na których ruszczyła się farba. A służący w turbanach tracą swój czar, gdy Przyłapujesz głównego lokaja — albo inaczej kitmugara, jak kazał go nazywać Killy — siedzącego po turecku i starannie wyłuskującego wszy z turbana.

. Killy często wyjeżdżał z domu, by nadzorować rodzinne ceresy w całym kraju. A gdy wracał, przesiadywał w klubie

257

z drętowymi nudziarzami, którzy po obiedzie lubili sobie poić . w bilard, a kobiety zostawiali, żeby poplotkowały, jak gdy/ nigdy nie było wojny, jak gdyby świat się nie zmienił. W Anoi[^] Killy błyszczał. W Indiach wydawał się zwyczajnie stan, a Sybil czuła się nie tylko od niego młodsza, ale i gorsza, to' na poziomie.

Dla Jamesa Killigrew i jego kręgu, Indie były niepodleg}e tylko z nazwy. Wszędzie widać było ślady radżu \ Ulice wciąż? znało się pod brytyjskimi nazwami: Apollo Bunder, Ridge Road Horny Vellard, Marine Drive, Nepean Sea Road, Flora Fountain „Psom i Hindusom wstęp wzbroniony”, głosił napis na bramie europejskiego klubu pływackiego w Breach Candy. Killy był w Komitecie klubu. Kiedy Sybil stwierdziła, że napis jest oburzający—jego budząca zakłopotanie treść powstrzymywała ją przed zapraszaniem hinduskich przyjaciół — Killy stwierdził, że zawsze tam był. „Relikt przeszłości. Wisi tylko ze względu na tradycję. Nikt nie traktuje go poważnie”.

— Ale wy nie wpuszczacie do środka Hindusów — zauważyła.

— Spróbuj zrozumieć — odparł Killy. — To nie jest tak, że my nie chcemy Hindusów albo ich nie

lubimy. Chodzi o to, że jest to jedno z niewielu miejsc, które zostały dla ludzi naszego pokroju. Lecz przyjaciele Killy'ego nie byli ludźmi pokroju Sybil.

Jego ulubiona książka to przesycony nienawiścią tomik, który należał do jego ojca. Napisany przed około siedemdziesięciu laty, w zamyśle wybiega sto lat naprzód, przedstawiając najbardziej niewiarygodną przyszłość: wolne Indie rządzone przez Hindusów. Nosi tytuł Indie w 1983 roku. Killy z lubością nazywa go „cudownie profetyczną książeczką”. Kilka dni temu wyjął go przy gościach podczas kolacji i przeczytał na głos: „Spośród trzystu sześćdziesięciu czołowych hinduskich myślicieli tworzących zgromadzenie, trzystu pięćdziesięciu dziewięciu ogłosiło zamiar wprowadzenia ustawy, zgodnie z którą zabicie krowy będzie karane doży-

1 radź — brytyjskie panowanie kolonialne w Indiach

258

^otnimi przymusowymi robotami”. Jego angielscy przyjaciele, nawet kobiety, zatrzęśli się ze śmiechu. Wilmott „twierdził: „Gandhi chciał wprowadzić zakaz uboju krów Od pierwszego dnia niepodległości”. Julia Wilmott zaszczębiotała inteligentnie: „Ale oni ubili jego”. Po tym zdaniu przy stole zapadła cisza, którą przerwał dopiero Killy: „Tak, i zrobili to Hindusi... Ich umysły nie działają tak jak nasze”. Spochmurniał i dodał: „Boże, dopomóż temu biednemu krajowi. Mam nadzieję, że nie dożyję tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego trzeciego roku”.

W ciągu tych pierwszych miesięcy Killy często zastawał ją płaczącą. „Czemu nie znajdziesz sobie czegoś do roboty?”, pytał bezradnie, po raz kolejny widząc zapłakaną twarz ładnej dziewczyny, w której zakochał się w Anglii. „Zapisz się do klubu, znajdź sobie jakieś drobne zajęcie. Inne kobiety coś robią. Wyjdź z domu. Zabaw się”.

Więc wyszła, i stopniowo miasto przestało być takie obce. Opis jej spotkania z bombajskim paanwallahem wywołał uśmiech na mojej twarzy.

W niszy nad chodnikiem koło naszego domu siedzi pulchny, półnagi mężczyzna sprzedający smakołyki z liści betelu, zwane paan. Połyskliwe, sercowate liście, ułożone pod względem wielkości i kształtu, nanizane na nitkę, dyndają nad głową sprzedawcy. Z jakiegoś powodu, mijając go, przeważnie unikałam jego wzroku. Ale dzisiaj spojrzałam, a on uśmiechnął się i wskazał gestem na swój towar. Pod wpływem impulsu postanowiłam spróbować. Uradowany sprzedawca zawołał kilku kręcących się w pobliżu mężczyzn, żeby podeszli i popatrzyli na ten komiczny spektakl. Poczułam się głupio, stojąc tam w angielskiej sukience i słomkowym kapeluszu. A gdyby Killy lub któryś z jego przyjaciół albo, broń Boże, służących znalazł się tam i mnie zobaczył? Paanwallah koniecznie chciał ze mną pomówić w hindi, a ja, naturalnie, nie rozumiałam ani słowa. Nawkladał do liścia przeróżnych rzeczy, położył na wierzchu szczyptę różowych wiórków kokosowych i uśmiechnął się, gdy wło-

259

żyłam to wszystko do ust. Przypraw było za dużo, a któraś z nich zabarwiła mi język na purpurowo. Potem byłam z siebie całkiem dumna.

Killy, poza tym, że był członkiem Klubu Pływackiego Breacj, Candy, należał do większości starych brytyjskich stowarzyszeń. Bombajskiego Koła Jeździeckiego, Willingdonu, Królewskiego Klubu Jachtowego. Na początku lat pięćdziesiątych większość z nich miała już za sobą bolesny proces dopuszczania Hindusów do członkostwa i Sybil poznała tam wielu spośród zamożnych obywateli miasta.

Spędziłam zbyt wiele wieczorów w apartamentach bogaczy. Ludzie, których tam poznałam, opętani byli tymi samymi mrzonkami, od których, jak mi się wydawało, zdołałam uciec. Ich nieznośnie nudne rozmowy obracają się wokół umów handlowych, niedawnych zdrad i ceny whisky na czarnym rynku. Niektórzy lubią się obnosić z bogactwem przed nowymi znajomymi, takimi jak ja. Byłam świadkiem, jak podchmielony biznesmen opróżnił przez okno trzy butelki scotcha tylko po to, by dowieść, że go na to stać. Myślę, że wszyscy cierpią na swoiste ennui'. Niespokojne kobiety pytają mnie, czy przyjechałam do Indii, aby się odnaleźć... Podejrzewam, że indyjska ulica jest dla nich taką samą zagadką jak dla mnie. Mam ochotę złapać je — zwłaszcza te, których życie upływa na zamartwianiu się o modę, kosmetyki i pokazywaniu się na właściwych przyjęciach — i potrząsnąć. Ale nigdy tego nie robię. W ich towarzystwie bierze mnie we władanie coś w rodzaju

lekkomyślniej obojętności i nie mogę zrobić nic, żeby się z niej otrząsnąć. Ilekroć wracam z któregoś z tych straconych, frustrujących wieczorów, jestem zdumiona, że po prostu stamtąd nie wyszłam.

To była ulga, gdy się okazało, że jest w ciąży. Wreszcie było coś, co należało tylko do niej. Poświęci się matczynym obowiązkom. Lecz ciąża okazała się trudna. Sybil dużo chórowa»
ennui (franc.) — nuda

260

feSkiła za Anglią i, co ją samą zadziwiło, za matką. Po irfodzie czuła się rozbita i pełna niedowierzania. Killy, wezwana do domu „gdzieś z głębi kraju”, zjawił się w szpitalu z bukietem kwiatów. Sybil uśmiechnęła się słabo. Ból już minął. Poinformowała Killy'ego, że ma córkę. Chciała ją nazwać Barbara, lecz Killy nalegał, żeby dać jej na imię Phoebe, na jego matce. (Za to byłem mu wdzięczny; nie mogłem sobie wyobrazić Phoebe jako Barbary). Killy miał dla niej jeszcze jedną niespodziankę. Przy następnej wizycie towarzyszyła mu stara, niska i tęga kobieta w wyblakłej, długiej do kostek spódnicy.

Muffety Mai dahi malai, ghaas pe baith ke khayi. Ek badaa saa makdaa, kapda ko pakdaa... Dziecko musiało mieć nianię. Stara ayah Killy'ego dawno wróciła na swej wieś na Goa, ale przysłała do opieki nad dzieckiem swoją młodszą wersję. Jak mogłeś podjąć taką decyzję beze mnie, chciała zapytać Sybil, lecz była wdzięczna, gdy nowo przybyła, Rosie, niezwłocznie zabrała się za pieluszki, butelki, kołysanie do snu, i w ogóle zaczęła wcielać w życie prastarą abrakadabę hinduskiej ayah.

...aur bhaag gayi Muffety Mai!

Killy, rycząc ze śmiechu, potrafił dokończyć zwrotkę. „To Mała Parma Muffet, nie rozumiesz?”. Tak minęło kilka lat. Phoebe stała się małą dziewczynką. Ayah przejęła obowiązki zarządzania domem. Z dzienników Sybil z połowy lat pięćdziesiątych wyłania się obraz innej kobiety. Znalazła sobie własnych przyjaciół. Indyjskich przyjaciół, którzy mieli podobny gust i byli dla niej przewodnikami w jej poszukiwaniach kulturalnych. Nie zdumiewali jej już Pwwallahowie. Polubiła indyjską muzykę, zaczęła czytać indyjskich pisarzy.

Homi nauczył mnie dostrzegać, że sposób, w jaki Hindusi mówią po angielsku, jest w istocie bardzo ładny, lecz uważa,

261

że to zbyt subtelne, by było docenione przez kogokolwiek kto nie zna kraju. Urządził mi wycieczkę po kraju wedle akcentów: szorstkiego, gardłowego angielskiego w Pendźa-bie, lekkiego, wargowo-językowego bengalskiego i pofu. dniowego z trzaskającymi spółgłoskami. Kiedy następna razem Killy zażartuje na temat tak zwanej babumowy powiem mu, że jest to pieczołowicie zachowany osiemnastowieczny angielski i pokażę list, który odkryłam w biografii lorda Nelsona. Nelson zwraca się w nim z prośbą o dostawę beczek z wodą dla swej floty, kończy typowym, często wykpiwanym zwrotem babu: „Proszę łaskawie spełnić, co należy”.

Nowi przyjaciele Sybil rozbawili Killy'ego. „No cóż, przynajmniej nie mazgaisz się z braku zajęcia. Ale uważaj, powiedział. Ja znam tych ludzi. Oni zawsze patrzą swojej korzyści”.

„Oczywiście się myli”, notuje z oburzeniem Sybil w swym dzienniku.

Poznaje kogoś takiego jak Homi, widzi brodę bitnika i nie ma zielonego pojęcia, jak go odebrać. Cytuje stare, obraźliwe wierszydła dziewiętnastowiecznych fanatyków. Nie przyjdzie mu do głowy, że ktoś taki jak Homi przeczytał Steinbecka, Hemingwaya, Camusa, Becketta, Goldinga, Theodora Roethkego, Salingera. Killy nawet nie słyszał o połowie z nich. Zastał mnie przy lekturze Buszującego w zbożu i zapytał, czy to powieść Thomasa Hardy'ego.

Przyjaciele Sybil w większości pracowali w reklamie, filmie albo w teatrze. Sybil wstąpiła do trupy teatralnej Zafyque'a i pojechała na tournée, podczas którego wystawiali Śmierć komiwojażera Arthura Millera oraz przełożoną na hinduski sztukę Łysa śpiewaczka nowego paryskiego

dramaturga Eugène'a Ionesco. Byli w Delhi, Kalkucie, Madrasie i, co ciekawe, w Pondicherry. (W dalszej części dziennika powód wizyty w Pondi staje się jasny. Zafyque, pragnąc dać przynajmniej jedno przedstawienie Śpiewaczki choć częściowo w oryginale, potrzebował publiczności znającej francuski, a jedynym niiejs-

262

które przyszło mu na myśl, była stara francuska kolonia. przedstawienie było najwyraźniej dziwne, niektórzy aktorzy usieli' jak napisała Sybil, faute de mieux' wypowiadać fonetycznie kwestie, których nie rozumieli. „Publiczność była bar-Hzo przyzwoita. Przyjmowała to z dobrodziejstwem inwentarza, ■жо element osobliwości sztuki”).

gornbaj, dziesięć lat po niepodległości, wydaje się niesłychanie kosmopolitycznym miastem. Odpryski wojny. Nazwiska ff dzienniku: Pieter „Franzi” Bloch, Hersh Cynowicz, Josephine Tuor, Burjor Paymaster, sir Richard i lady Tempie, Karl Bendlin, Charmain Nadim, Feisal Zahid, Faust Pinto.

Telefon z Indyjskiego Klubu Turystycznego, żebym wstąpiła do ich komitetu, jestem też zaproszona na kolację i dyskusję o 8.30 w Horizon View z niejakim panem Purs-’ ramem. Szukałam na próżno pana Pursrama, ale znalazłam otwarte miesikanie niejakiego pana Bassama. Przywitał nas konsul Republiki Dominikany, który, stojąc z rękami na radioodbiorniku Grundig, wielkim i wulgarnym jak kinowe organy, powiedział: „Nasz drogi przyjaciel pan Bassam, czołowy arabski kupiec, był tak łaskaw i zaprosił nas wszystkich wieczorem na tańce. Jak państwo wiedzą (nie wiedzieliśmy), nigdy nie jadamy kolacji przed jedenastą”. Kilku Arabów, żadnego nie znałam. Killy raz po raz pytał: „Więc który cię zaprosił?”. Zapalono czerwone światło, wszystkie pozostałe zgaszono; ludzie zaczęli tańczyć. Niesamowite wrażenie, a ja tymczasem skamieniałam ze złości! Usiadłam niczym lodowy posąg na fotelu pod czerwoną lampą i słuchałam, jak dominikański konsul chrupie orzeszki. Gospodarz zjawił się później i włączył radioodbiornik z tysiącem i jedną gałką. Przy kolacji drobny, przypominający mysz człowieczek z Klubu Turystycznego, Sharma, pyta, opierając się o serwantkę: „A więc, pani Killigrew, jak się pani podobają tańce przy kolacji?”. „Szalenie”. „Więc będzie mnie pani zapraszała na uroczne wieczorki? Koktajlowe przyjęcia z mnóstwem drinków?”. Uff.

] r

Jaute de mieux (franc.) — dosłownie: z braku czegoś lepszego

263

Była to epoka prywatek. Bale urządzone przez reklamiar²^ filmowców mieszkających na plaży w Juhu, bombajskina Mali bu. W Willingdon stale się coś działo. Były koktajle wydawań przez wojowników z indyjskiej marynarki wojennej, walcza cych w latach 1939—45 na brytyjskich okrętach wojennych z których część stoi teraz na kotwicy na przystani w Bombaju Okręt kapitana Sahiba, INS „Delhi”, kiedyś nosił nazwę HMs „Achilles” i pochodził z zatoki River Plate. Sybil zabrała Phoebe na przyjęcie z lunchem na pokładzie i była rozbawiona, gdy córka napisała w księdze gości: „Ten statek jest bardzo* ładnie pomalowany i ma bardzo dobre drinki”. (Okolo ośmiu szklanek soku z mango). Odczytom, koncertom i przyjęciom nie było końca.

W dzienniku z tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego siódmego-roku znajduje się opis przyjęcia wydanego przez niejakiego Subramaniuma, dyrektora firmy farmaceutycznej. Sybil znała jego żonę, Noor. Ta historia mnie zainteresowała, gdyż Noor należała do kręgu mojej matki.

Przyjeżdżała na wieczorki Mai w Ambona. Według pamiętnika Subramanium albo Sub, jak nazywała go Noor, przez kilka miesięcy błagał ją, żeby przestała flirtować. „Jestem porządnym człowiekiem. Ofiaruję ci moje serce, moją duszę, miłość i rachunek bankowy”.

Noor śmiała się z tego ze swoimi przyjaciółkami. „Zawsze się przyznaję, kiedy jestem niewierna, ale nigdy nie mogłabym mu powiedzieć, że mąż to tylko uśmiech na twarzy. Kochanek to uśmiech w sercu”.

„Ciekawe, jak to jest, mieć uśmiechnięte serce”, napisała Sybil.

Sub nalegał, żeby samemu zrobić wszystkie przygotowania do przyjęcia z okazji swoich

czterdziestych urodzin, i osobiście doglądał każdego szczegółu. Godzinami planował ze służbą ucztę z biryani ipulaos. Pojechał zamówić kwiaty na Crawford Market i telefonicznie obstał u znajomego szmuglera pół tuzina butelek whisky Johnnie Walkera z kontrabandy. Kazał szoferowi precyzyjnie się wską a alejką koło fortu, z drukarniami i sklepami skórzanymi, i zatrzymać się przed cukiernią Marosa, gdzie przed ślubem przychodzili

264

z Noor na kawę i ciastka, kiedy Sub był biedny (Noor nigdy nie była biedna). Zamówił olbrzymi tort, spróbował go najpierw, by upewnić się, że czekolada Morosa wciąż pachnie tak jak zawsze nektarem gruszkowym. Wziął pięknie tłoczone kartki, które zamówił dwa tygodnie wcześniej, i osobiście wpisał każde nazwisko gęstym, granatowoczarным atramentem. Niczego nie pozostawił przypadkowi.

Zaprosił wszystkich swoich przyjaciół, krewnych, a zwłaszcza wszystkich znanych sobie kochanków Noor, byłych i obecnych, pojechał mercedesem na północ przez zatłoczone przedmieścia Bombaju i drogą wzdłuż wybrzeża, przemykając przez kokosowe zagajniki, między którymi przeblyskiwały dalekie srebrzyste odbłaski, aż znalazł się w lesie Aarey Milk Colony. Godzinę zajęło mu znalezienie doskonałego miejsca. Wjechał ogromnym wozem na polanę między sosnami i wcisnął wąż do rury wydechowej, używając do u. zczelnienia gumowej rękawiczki kuchennej.

Znaleziono go nazajutrz rano — jego unikalny samochód był jedną z najbardziej znanych atrakcji w mieście — przez grupę piknikowiczów z Goan. Obok niego, na siedzeniu pasażera, leżała kartka do Noor. Jednocześnie zaproszenia zaczęły docierać do eleganckich apartamentów w całym Bombaju, do Malabar Hill i Marine Drive, do willi na plażach Juhu i Marve, gdzie mieszkało filmowe towarzystwo.

СЛалѣ&' дішлспшилип/

/UZ/ иЛ<ЪСЯиоЛе> p/tZwLęcias Z< аКЛХЫЛ; &Л&04&А' АаГШЬЪСЛл

Noor była właśnie w łóżku z Bagranim, kiedy ktoś zatelefonował; lokaj przyniósł aparat do sypialni, z przepaszającą miną odwracając wzrok. Wpadła w histerię i zaczęła okładać ^aggy'ego małymi piąstkami, krzycząc, że jej życie też jest skończone. „Jak on mógł mi to zrobić? Myślałam, że jest silny, że jest moim towarzyszem”.

Sub zginałby, gdyby nie zapomniał napełnić zbiornika paliwa przed wyruszeniem w podróż do krainy zapomnienia. Silnik zakrzuszył się i zgasł, zanim zdążył wpompować do

"MbrdMirkci

nta przy

I ^badama.pistacjowe.zkBmei^ostóezMnei I"1' Ъ Magazynów Owoców Suszonych pr Y №ѣ&* Bhelwala V^«™ѣ Z0bac: 'S'V l z Bade M!yan przy Colaba. Zawsze • ***Lem №

dużych pochodów <I od goliatów na Cra^d ^ ;^oWelodyOSmakupistac3S^ A wafalach, od Rustoma i z Ctaircn» .^oMpbonso od sprzedawców owoców

' JylWalkeshwar zaroego ryn*

. ^angi' «cy Johnnic Walker z ^

^^kszość ludzi, korzystam^ ^

!№ll w okolicy Dongn, ale me cnooz „me, a ja Ci to załatwię..

^todi) - angielski albo Anglicy

"■к» Bali;

|f**Dock

gj^H

wnętrza wozu dostateczną ilość tlenu węgla. Subramanium ocknął się w szpitalu i wydobrzył w samą porę, żeby zjawić się jako gość honorowy na swojej własnej stypie.

„Typowa Sub-ludzka niekompetencja, stwierdziła Noor odzyskawszy fason. Nie umiał nawet

porządnie się zabić".

W dziennik wsunięta była kartka, przypuszczalnie zapisana ręką Suba. „Droga Sybil! Dziękuję Ci za twe życzenia. Czuje się dzisiaj znacznie lepiej po dobrym odpoczynku. Pytałaś skąd wytrzasnąłem [sic!] te wszystkie rzeczy? Zrobiłem dla Ciebie listę".

- * Kwiaty od kwiaciarzy przy Warden Road
- * Girlandy koło Teen Batti, Nepean Sea Road
- * Mograsy z Teen Batti
- * Różowe badami gulab z Crawford Market
- * Panir (ser) z Parsi Dairy Farm przy Queens Road
- * Kulfi (lody) jak wyżej
- * Duży tort urodzinowy z Marosa's Fort
- * Samosy z irańskiej kawiarenki koło kina Metro
- * Chaat (gotowane warzywa) od Kailasha Parbata przy Colaba Causeway
- * Rasgullasy od Mithai-Wallaha przy Kemp's Corner
- * Małe ciasteczka mowa i pav od Kyaniego
- * Sos do sałatki od Rustoma, Colaba
- * Stamtąd też importowany ser, dipy, sosy do mięsa
- * Dhansak z Ratan Tata Institute
- * Berry Pulav z Irani Cafe Brittanie w Ballard Estate
- * Sztućce z bazaru Chor
- * Bombaj ska kaczka (suszona ryba) z Sassoon Dock
- * Ryba hilsa z Crawford Market
- * Świeże warzywa z Grant Road
- * Wndaloo (bardzo ostre curry) od Mrs George, milej, starszej Angloindyjki z Bandra East
- * Ryż basmati od naszego miejscowego baniya
- * Wspaniałe, cienkie jak papier roomali rotisy od szefa kuchni w Bhopali, Gangarama, którego adres Ci podam, choć dowiedziałem się, że prawdopodobnie cierpi na trąd

266

- * Orzeszki badama, pistacjowe, ziemne i włoskie z Amerykańskich Magazynów Owoców Suszonych przy Flora Fountain
- * Sev od Vithala Bhelwala przy dworcu VT
- * Kebaby z Bade Miyan przy Colaba. Zawsze zobaczysz przed kramem kilka dużych samochodów
- * Kurczaki od goaswallahów na Crawford Market
- * Krajankowe lody o smaku pistacjowym, podawane w kruchych waflach, od Rustoma i z Churchgate
- * Mango Alphonso od sprzedawców owoców z Breach Candy i Walkeshwar
- * Firangi' whisky Johnnie Walker z czarnego rynku. Tak jak większość ludzi, korzystam z usług Saqi Baby z Char Nuli w okolicy Dongri, ale nie chodź tam sama. Poproś mnie, a ja Ci to załatwię.

Pięć rupii za seerł

(Dziennik Sybil, 1956-57)

Wśród osób, które Sybil poznała dzięki trupie teatralnej Zafyque'a, znalazła się moja matka, Maja. Obie uwielbiały czytać i miały ambicję, żeby pisać. Sybil zakochała się w nowej książce Lawrence'a Durrella Justyna, która eksplodowała na oczach zdumionej rzeszy czytelników niczym skrzynia pełna farb. Powieść dopiero ukazała się w Anglii, lecz co sprytniejsi bombajscy handlarze uliczni już zdążyli zrobić pirackie kopie. Durrell to geniusz, orzekła Sybil. Nigdy nie było takiego przedstawienia miasta jak jego obraz Aleksandrii. Odcienie krajobrazu: stłuczona śliwka, róż, palona siena. Umiała cytować dłuższe fragmenty. Sybil wyobraziła sobie podobną powieść osadzoną w Bombaju, lekko zawoalowany portret jej przyjaciół, których poczynania wypełniały jej dzienniki. Spisała historię Suba i jego stypy z mglistym zamysłem, że wokół występujących tam postaci zacznie snuć dłuższą opowieść.

Maja zaoponowała, mówiąc, że z wyjątkiem jej idola, Manto (który niestety właśnie zmarł w

Lahore), William Faulkner jest najczystszej wody, najwierniejszym rzeczywistości żyjącym pisarzem. Wkrótce zostały przyjaciółkami. Maja pokazała Sybil miasto, oprowadzała ją po najlepszych sklepikach ze starzyzną, targowała się za nią na bazarach.

Znów z Mają na bazarze Chor, nasza taksówka prze niczym pług wśród tłumu sunącego po każdym skrawku chodnika na muzułmańskim bazarze i wylewającego się na

1 seer (hindi) — jednostka wagi w Indiach, od około pół kilograma półtora, w zależności od regionu

268

ulice. Powietrze wypełniają pokrzykiwania i piski klaksonu, 2dy taksówkarze, rzucając wyzwanie prawom Newtona, 0 centymetry unikają kolizji. Maja zabrała mnie do swojego ulubionego bukinisty, czarującego mężczyzny, który roztacza wokół siebie aurę wykształcenia. Ma bardzo białe, zaczesane do tyłu włosy, a jego sklepik to sięgające od podłogi do sufitu stosy oprawionych w skórę tomów, pochodzących najpewniej z bibliotek sahibów, którzy opuścili na zawsze kraj.

Znalazłam kompletny Upadek cesarstwa rzymskiego w pozłacanej skórze. Ledwie odważyłam się zapytać o cenę. Ale księgarz — ma na imię Sharif — podniósł zestaw i powiedział, że jakieś dwanaście rupii. Nieco później, gdy dołożyłam kilka książek, znów spytałam o cenę. Ku mojemu zdumieniu, sprzedawca nawet nie spojrzał, jakie pozycje wybrałam, ani ich nie otworzył, żeby spojrzeć, ile kosztują. Poukładał książki, skórzane okładki na jeden stos, płócienne na drugi, i zważył każdy na dużej mosiężnej wadze, wyjaśniając mi, że „skóra jest po pięć rupii za seer, płótno za dwa”.

Maja ma też swojego introligatora, drobnego Hindusa, który nie umie powiedzieć ani przeczytać ani słowa po angielsku, ale jakoś udaje mu się bezbłędnie układać tytuły. Dla niego alfabet to wyłącznie symbole, precyzyjne i nieprzeniknione, tak jak dla mnie chińskie pismo.

Z jakąż olbrzymią zazdrością to czytam. Seer to nieco mniej niż kilogram, a pięć rupii w owych czasach miało wartość może czterdziestu pensów. Odczułem przelotną pokusę... Ale było nie do pomyślenia, żeby tacy księgarze uchowali się do dziś w otchłaniach bazaru Chor.

Sybil była oczarowana, tak jak z początku wiele osób, osobliwą wizją historii i następstwa zdarzeń, wyznawaną przez Maję. Opowiadały sobie nawzajem historie swych rodzin. Pod freunkiem Mai Sybil Cku zdziwieniu i radości Killy'ego) Zaczęła uczyć się hindi. Ćwiczyła pisanie. Na kartce, na której ^alazły się też wykonany ołówkiem szkic dawy oraz brązowy

269

okrąg po filiżance herbaty, przeczytałem następujące, zagadkowe definicje: „dhaivat — pieśń żaby w porze deszczowej-miyan ki malhar — pieśń grzmotu; nivar — dziki ryż; ^hdldkshi — wielkooki”.

Dużo rozmawiały z Mają o tym, co piszą albo co chcą; nadzieję napisać. Maja opublikowała już wtedy kilka opowiadań i z pewnością zaczęła pisać scenariusz Badnaami ka dilaasa ale mówiła, że brakuje jej odwagi, by wziąć się za coś dłuższego. Sybil zmagala się z powieścią o Bombaju.

Najwyraźniej jej nie szło, bo na kartce datowanej w lutym tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego ósmego roku, wsuniętej w pamiętnik, opisanych jest dwadzieścia jeden prób — samych falstartów — z coraz bardziej lakonicznymi komentarzami:

a) Jeden arkusz zapisany na starym remingtonie zaczyna się: „Jak zwykle znaleźliśmy, pożałuj Boże, dorożkę Selima czekającą koło nabrzeża...”

b) Strony szkicu 39—68, fragment zaczyna się: „Obecność przekaźnika była niepokojąca... Przepisać, zamieniając ustępy opisowe na dialogi.

c) Strony 1—126, w częściach I—XIII z pojedynczym odstępem, „Wiatr zawodził wśród lin...”.

d) Strony 1—128, kopia maszynopisu na kalce, „Jak zwykle znaleźliśmy, pożałuj Boże, dorożkę Selima...”.

e) Strony 1—35, stron 11—20 brak. Zaczyna się: „Jak zwykle znaleźliśmy, pożałuj Boże, gharri' Selima...”.

f) Jeden arkusz, „Szary notes”, zaczyna się: „Kiedy Marlenę przybyła do Indii, ostatnią rzeczą, jaką ją zaprzętała...”.

g) Strony 1—56, brakuje wielu stron, zaczyna się: „Indie stały się prawdziwe pewnego

wieczoru...".

h) Strony 1—5, perforowane, oprawione w skoroszyt Tha-kur; „Indie stały się prawdziwe o zmierzchu pewnego mglistego dnia...".

i) Strony 1—42; „Jak zwykle znaleźliśmy, pożał się Boże, fiakra Selima...".

' gharry (hindi) — taksówka, dorożka

270

i) Strony 1—15, zatytułowane „Spotkanie"; zaczyna się: „Przybyłam do Indii jesienią tysiąc dziewięćset czterdziestego ósmego. Chciałam podróżować...".

k) Jedna stronica, tytuł taki sam jak (j), zaczyna się: „Gorai. Ryba, jajka, ryż i arak o jedwabistym smaku, jak najlepsza whisky od Saqi Baby...".

l) Strony 1—3, ; opisane na maszynie, spięte spinaczem; zaczyna się: „Słone porywy wiatru zawodziły jęklonie w takielunku...".

m) Strony 1—12, zapisane na maszynie, ciemna nowa taśma; zaczyna się: „Moim domem jest wyspa o nazwie Gorai...".

n) Strony 1—6, opatrzone notatką w tekście; zaczyna się: „James, zastanawiam się, jak ci to wszystko wyjaśnić...".

o) Strony 1—5, na dobrej jakości papierze; rozpoczyna się: „Gdzieś za Madgaon zaczyna się miłość...".

p) Strony 1—15, brakuje dwóch, podwójne odstęp; zaczyna się: „Marlenę Dance zakochała się w deszczowy dzień, który w jej rodzinnym Surrey...".

q) Surowe notatki, w większości odręczne.

r) Strony 1—44, podwójne odstęp, dobra próba; zaczyna się: „Zazdrość to infekcja oka...".

s) Strony 1—5, „On mieszka z tą straszną blond dziwką w Taj...".

t) Strony 1—32, „Dwa piętra niżej, odbłaski światła przędły się po falach bulgoczących na skałach...".

u) Strony 1—68; „Jak zwykle znaleźliśmy, pożał się Boże...".

Kim był ów Selim, który tak bardzo zaprzętał jej myśli, mgdy się nie wyjaśniło. Może wytworem fantazji. Ciągnięte przez konie gharry, jak je nazywała, funkcjonowały tylko "uędzy ekstrawagancko krzykliwym hotelem Taj (gdzie rezydowała blond dziwka) i pętłą, obejmującą część Colaba Cause-^aY i krótki odcinek Marine Drive. Biedne szkapiny były Wychudzone, ich żebra sterczały jak belki niedokończonych °w zapelniających brzeg zatoki Back. . Jedną z osób, którym Maja przedstawiła Sybil, był powieś-

°P[sarz Mulk Raj Anand, który, zapytany przez nią o radę,

271

jak napisać powieść o Bombaju, odparł: „Nie jestem powi»-ciopisarzem, staram się być człowiekiem. Spalcie wszystv swoje wspaniałe poematy i opowiadania. Dajcie mi prawdziJ obraz życia naszych najuboższych ludzi".

Mniej więcej po roku trwania przyjaźni Mai z Sybil i rodzice zaczęli się przymierzać do przeprowadzki na wzg<W Pod koniec tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego siódmego rob Maja i Sybil wybrały się pociągiem do Ambona, żeby obejrzeć dom, który znalazł przyjaciel Mohana Apte. To była szczęśliwa podróż, obie chyba dużo się śmiały. Sybil była czarująca otwartą, pełną życia kobietą. Uległa czarowi wzgórz równie szybko, jak każde z nas. Jej dziennik, zdradzający niewątpliwy wpływ ulubionego autora, notuje:

Dzień targowy. Szczupłe wieśniaczki opatulone w zielo-no-czerwone sari, balansujące niczym tancerki z koszami na biodrach. Kroczą przez tłum wspaniałych, dumnych stworzeń, nosząc swoje ubóstwo jak rubiny. Ogromne ryby z czerwonymi, rozplatanymi brzuchami leżą na czarnym kamieniu, ich bezmyślne oczy mrugają do much. Ręce wazą je i unoszą między bryły pokruszonego lodu. Przepiórki, dzikie ptactwo, perliczki. Pardwy kwilące w wiklinowych koszykach.

Nieostrożne, schwytane w kosze pułapki, zwabione prosem przez nieokrzesanych, sprytnych chłopców. Na rynku obraca się muzykant z winą na ramieniu. Muzyka mnie pobudza. Ludzie rzucają drobniaki w kurz, judaszowe monety, suche i słone srebro... Noc spada jak pantera. Po drodze znalazłam zrzuconą wylinkę węża i przyniosłam ją do domu. Wieśniacy wierzą że węże

mają magiczną moc. Wieszają suche płaty skóry na ścianach domów i świątyń. Dziś nie było księżycy. Słyszeliśmy odgłosy bębnów z wioski i dźwięki fletu.
Mai najwyraźniej nie przypadło to do gustu, bo się P° sprzeczały.

272

Gdy przeczytałam jej te fragmenty, Maja dość mocno się rozzłościła. Powiedziała, że moja reakcja na Indie mnie zdradza. Mam oko cudzoziemki, wszędzie szukające egzotyki. Maja była ze mną na bazarze, kiedy grał muzykant, lecz dostrzegła całkiem inne rzeczy. Powiedziała, że wieśniaczka, której krzykliwe sari przykuło mój wzrok, po cichu liczyła drobne monety w dłoni, zastanawiając się, bez których spośród Wielu potrzebnych rzeczy będzie musiała się obyć. Kiedy nadjechał autobus, sporo wieśniaków wsiadło, lecz ta kobieta została. Może musiała przejść do wioski osiem lub dziesięć kilometrów. Dotarła na rynek pieszo; Maja zapytała, czy nie zauważyłam kurzu, który pokrywał jej stopy aż do kostek, jak skarpetki? Życie tej kobiety, mówiła Maja, to codzienna konfrontacja z bezradnością. Powiedziała, że muszę przestać zadowalać się dostrzeganiem tego, co zewnątrz. W ubóstwie nie ma żadnej egzotyki. A Hindusi nie rozmawiają ze sobą dziwnym, śmiesznym, trzeciorzędnym angielskim — prowadzą rozmowy w językach, którymi mówią bez obcego akcentu i bez błędów. Oczywiście, byłam doszczętnie przybita tą tyradą, lecz na swoją obronę powiedziałam, że nie da się napisać czegokolwiek o Indiach, przynajmniej po angielsku, żeby nie zabrzmiało to egzotycznie. Maja założyła się ze mną. Powiedziała, że mogę wybrać dowolną historię, tak romantyczną jak mi się podoba, a ona zademonstruje dwa sposoby jej opowiedzenia. Najpierw zgodnie z manierą Rumer Godden, jak ją nazwała: rzeki zielonego jedwabiu, kokosy, świątynne dzwony. Potem w sposób, który jej odpowiada: rzeczywistość, sól i czarna ziemia Manto. Podjęłam wyzwanie i zaproponowałam, żeby opowiedziała historię tancerki Nafisy Jaan. Maja obiecała napisać dwie wersje. Jedną „słodką”, drugą „gorzką”.
Odłożyłem dziennik Sybil, nie mogąc dalej czytać. „Śmierć zwodzi, zadając cios, maskuje głębszą stratę. Dopiero po jakimś

I Rumer Godden, brytyjska autorka opublikowanego w 1939 roku bestsel-«owego melodramatu Black Narcissus (Czarny narcyz) którego akcja dzieje się w klasztorze w Himalajach

273

czasie przychodzi świadomość, że ci, którzy odeszli, odeszli zawsze". Słowa mojej matki z Badnaami. Kiedy Maja zmarł nie umiałem płakać, nie umiałem żałować. Trzeba było aż h, miesięcy, żebym uświadomił sobie, że straciłem nie tylko Ma-lecz wszystko, co wiedziała: jej wspomnienia, opowieści z dziejów ciństwa, strzępy historii rodziny, anegdoty, daty, wierszyki" piosenki — cenne rzeczy, które należały tak samo do mnie jak do niej, a które zawsze powierzałem jej opiece. Więc g(jv dotarłem do części pamiętnika Sybil, z której bez przerw! wybiegało do mnie imię mojej matki, nie mogłem czytać Schowałem dziennik z powrotem do malowanego kufierka założyłem maleńką kłódkę i schowałem klucz.

kobięcy dar

(Dziennik Sybil, 1957)

phoebe skontaktowała się ponownie dopiero w marcu. Poczta dostarczyła paczkę z Londynu. Wewnątrz była dziecinna książka. Na wyklejce, napisane charakterem mojej matki, widniało moje nazwisko, Bhalu Sahib, Ambona, 1959.

„Trzymałam ją dość długo, napisała w liście Phoebe. Przynajmniej zdążyłam ją oddać w porę dla Twoich wnuków”.

Kilka dni później zadzwoniła rano do antykwariatu.

— Gdzie się podziewałaś? — spytałem, gdy wymieniliśmy uprzejmości. — Dlaczego tak długo się nie odzywaś?

Przeprosiła. Powiedziała, że była tu i tam. Zajęta. Masa spraw na głowie.

— W każdym razie, nie chciałam cię nękać. Czytałeś je, Bhalu?

— Masz na myśli dzienniki twojej mamy?

— Tak, oczywiście.

— Zacząłem — odparłem, po czym spróbowałem wyjaśnić, czemu przestałem.

— Bhalu, gdybyś tylko zechciał przeczytać je jeszcze raz, przeczytać naprawdę, może odgadłbyś,

co się działo.

— Nic się nie działo. Nic, co tłumaczyłoby to, co mi powiedziałaś. W każdym razie, sądząc na podstawie tego, co do tej Pory przeczytałem.

— Ale nie przeczytałeś wszystkiego. Proszę cię, obiecaj mi, że przeczytasz resztę.

Chciałem wyjaśnić moje oczywiste zaniechanie i zacząłem opowiadać Phoebe, jak sam siebie zaskoczyłem, czując wzruszenie, gdy czytałem o Mai jako o młodej kobiecie.

— W pamiętnikach Sybil ona jest prawie dwadzieścia lat młodsza niż ja teraz.

275

Powiedziałem jej, co mi przyszło do głowy, o fragmencie z Badnaami ka dilaasa mówiącym o tym, co naprawdę znaczy strata kochanej osoby: utratę ich opowieści, wspomnień...

— Boże drogi — rzekła Phoebe po drugiej stronie linii — jakże byłabym wdzięczna, gdyby to była prawda.

Znalazłem więc klucz i otworzyłem skrzyneczkę.

Sybil używała dużych notesów i szybko je zapeniała, więc w ciągu jednego roku mogło ich być dwa lub nawet trzy. Musiała być samotna, skoro miała czas na pisanie, a przecież oprócz dzienników pisała też bez końca kolejne wersje po-wieści — po szybkim przeliczeniu wyszło mi sześćset sześćdziesiąt osiem stron — choć wykorzystywała w nich mnóstwo napisanego wcześniej materiału. To był cud, że znajdowała czas na te wszystkie przyjęcia.

Niebawem z pamiętników zaczęła się wyłaniać mroczniejsza opowieść. Sybil tkwiła w pułapce zimnego, kulawego małżeństwa, skazana na długie okresy samotności w domu Killy'ego. Jej córka, Phoebe, była już w szkole, więc osobą, z którą Sybil stykała się w ciągu dnia najczęściej, była Rosie, ayah. Najwyraźniej się nie cierpiały.

Przez pewien czas byłam przekonana, że Rosie mnie szpieguje. Jest coś niemal feudalnego w jej lojalności wobec Killy'ego, którego uwielbia. Jeśli chodzi o mnie, jestem niegodną parweniuszką. Rozmowy z nią, kiedy zniża się, żeby ze mną pomówić, pełne są opowieści o „Starej Killymem”, matce Killy'ego, którą jak twierdzi, wielokrotnie widywała. Stara Killymem wiedziała, jak się zatroszczyć o swojego sahiba. Kiedy wracał o świcie z polowania, stół uginał się pod ciężarem srebrnych naczyń z jajami, nerek gotowanych w piwie, bekonu, połaci wołowiny (skąd ją brali, teraz jest w zasadzie nie do zdobycia) i grubych wieprzowych kiełbas (jak wyżej). Wieczorami zaś odbywały się tutaj prawdziwe bale, z panami w olśniewających mundurach i damami w eleganckich sukniach balowych. W ustach Rosie brzmi to jak urywki z powieści Jane Austen.

276

Słucham z uśmiechem tych wszystkich andronów, lecz gotuję się w środku i zauważam, że świat się zmienił. Piękni pułkownicy i majorzy są gatunkiem tak samo wymarłym jak brontozaury. Lecz gdy rozmyślam o tym, jak żyli, ogarnia mnie niedowierzanie. Brytyjczycy w Indiach zamieszkiwali w świecie własnej fantazji, żywego snu, który w żadnym punkcie nie stykał się z prawdziwym życiem milionów, którymi rządzą. Cud polega na tym, że radz trwał tak długo. Jakże się cieszę z jego śmierci...

.. Rosie zaczęła mnie wypytywać, dokąd chodzę wieczorami. Przychodzi do mojego pokoju, puka i staje w drzwiach. „Killymem, mówi, wczoraj w nocy, kiedy wróciła pani tak późno, bardzo się martwiłam. Nocą w mieście nie jest bezpiecznie. Powinna pani mówić, dokąd idzie, wtedy moglibyśmy zatelefonować...”. Zastanawiam się, czy zanoszi to wszystko Killy'emu. Jeśli Killy się o mnie martwi, to nigdy tego nie okazał, ale, rzecz jasna, on bywa tu tak rzadko, że trudno, by okazał cokolwiek. W każdym razie, wszystko co robię, jest zapisane w tych pamiętnikach, które mieszkają w szufladzie mojego biurka. Być może Rosieje czyta, kiedy mnie nie ma. Jeśli tak, Killy, to wiesz, że nie zrobiłam niczego, za co ty, ani ktokolwiek inny, mógłby robić mi wyrzuty.

Mniej niż tydzień później w pamiętniku pojawia się wzmianka, że w czasie wycieczki do antykwariatu Starego Popli za Taj Sybil zobaczyła śliczny malowany kuferek na nóżkach.

Pomyślała, że świetnie nadałby się jako szkatułka na biżuterię. Był zaopatrzony w skobelek zamykany na malutką klódeczkę. Kupiła go, lecz wróciwszy do domu, nie włożyła do środka biżuterii. Schowała w nim swoje dzienniki i zamknęła, a klucz powiesiła na łańcuszku na szyi. Killy wrócił do domu i spuścił bombę. Oznajmił, że dobiega Pięćdziesiątki. Nadszedł czas, by

przyjąc do wiadomości, że świat, który znał, prawie całkowicie znikł. Nie widzi w Indiach Przyszłości dla córki. Zaczął mówić o powrocie „do domu”, eż Sybil nie chciała wyjeżdżać, a powód zamknięcia szkatułki № się wkrótce jasny. Jej pamiętnik zaczął się wypełniać powieścią, o której dotąd nie śmiała wspomnieć.

277

Sybil poznała mężczyznę, Hindusa. Był przystojnym, zamożnym kawalerem, absolutnie czarującym, i ubóstwiał ją.

Wczoraj wieczorem obrzydliwie się nudziłyśmy z S w Willingdon. Wszyscy twierdzili, że wyglądamy jak bliźniaczki, więc postanowiłyśmy zamienić się tożsamościami. Osaczył mnie jakiś wstrętny, stary libański bankier, więc dałam mu numer S, co było z mojej strony okropne, bo mąż tej biednej dziewczyny naprawdę wyjechał. Z rozbawieniem usłyszałam, że ona zrobiła mi to samo. Później przedstawiłam ją L.

Coś w tym fragmencie wydało mi się bardzo znajome. Byłem pewny, że już to czytałem. Potem uświadomiłem sobie z przerażeniem, że jest to część zagadkowego opowiadania Mai zatytułowanego Pokuta. Czytałem chciwie dalej. Kilka następnych stron zapełniały trywialne drobiazgi. Kawa z Homim i moją matką, wycieczka do Galerii Jehangir. Wkrótce zwrócił moją uwagę nowy wpis.

Ludzie powiadają, zwykle złośliwe kobiety lub mężczyźni, którzy są po prostu zazdrośni, że L to kobieciarz. Mówią, że jeśli widzi na przyjęciu samotną, piękną kobietę, podchodzi do niej i pyta, czy zechce z nim zatańczyć. Ale trudno to nazwać zbrodnią. Raczej dobrymi manierami, choć my akurat nie tak się poznaliśmy. To stało się u Noor. Byłam z grupką znajomych, zauważyłam go w kącie pokoju. Spozstrzegł, że patrzę, i uśmiechnął się. Jakiś czas później podszedł do mnie i się przywitał. Resztę wieczoru spędziłyśmy razem. Był samą grzecznością. Kiedy nadszedł czas powrotu do domu, zaproponował, że mnie odwiezie. Jego wóz czekał. Nowy ambasador, prawdziwe cacko, oznajmił z dumą, podkreślając, że samochód jest nowiutki, ledwie co odebrany z dostawy. Ta wulgarna dygresja była jedyną irytującą rzeczą, jaką zrobił tego wieczoru, ale przypuszczam, że można to uznać za pochlebstwo, gdy ktoś próbuje ci zaimponować. Pojechał via Marinę Drive; wysiedliśmy i przespacerowa-

278

liśmy się po piasku na Chowpatty. Od tej pory spotkaliśmy się kilka razy. Wczoraj wieczorem zabrał mnie do teatru.

Gdy wróciłam, Rosie, rzecz jasna, kręciła się po domu, a nazajutrz rano odebrałam telefon od wścibskiej Noor, która koniecznie chciała wiedzieć o wszystkim, co się stało od chwili, gdy wyszliśmy. Ostrzegła mnie, żebym uważała. „...On lubi kobiety, których mężowie często są poza domem”. No cóż, mój mąż z pewnością do takich należy. Tak dawno sienie kochaliśmy, że zaczynam się czuć nieatrakcyjna. Czy można się dziwić, że sprawia mi przyjemność, kiedy przystojny mężczyzna dostrzega we mnie kobietę?

Czytałem to z rosnącym podekscytowaniem. Oto w pamiętniku Sybil wracały do życia postacie opisane w Pokucie. Kilka stron później stało się.

L zaprosił mnie dzisiaj na lunch. Zabrał mnie do Gourдона i zamówił homara Thermidor, który, jak mi wiadomo, jest najdroższym daniem w karcie. Żartobliwie zganiłam go za tę ekstrawagancję. Odpowiedział, że kobieta taka jak ja zasługuje tylko na to, co najlepsze. Nie przepadam za pochlebstwami, więc próbowałam zbyć to śmiechem. Powiedziałam mu, że wiem o jego reputacji. „Wierzysz w te historie?”, zapytał. „No cóż, odparłam, z powodzeniem mógłbyś udawać casanowę”. Wyglądał na dotkniętego albo takiego udał, po czym odparł, że choć przyznaje się do tego, że lubi kobiety i że ma wśród nich wiele przyjaciółek, w jego życiu nie ma nikogo, kto zajmowałby specjalne miejsce. „A tymczasem ja mam wielką potrzebę, by kogoś kochać”, rzekł. Coś takiego! Pewnie nie wyglądałam na przekonaną, bo powiedział, że zdradzi mi sekret. Ten występ szalenie mi się podobał. L nachylił się do mnie blisko i patrząc na mnie ciemnymi, bezbronnymi oczyma, wyszeptał, że w hindi jego imię oznacza „miłość”. Nie zdołałam wytrzymać ani chwili dłużej. Po prostu ryknęłam śmiechem i nie mogłam przestać. Śmiałam się tak głośno, że ludzie siedzący przy innych stolikach odwracali się i patrzyli. A on siedział i uśmiechał

się, spoglądając na mnie wzrokiem skrzywdzonego psiaka. „Myślisz, że jestem śmieszny?“, spytał, kiedy przestałam. „Masz dobre imię“, odparłam. „Mały Narcyz w każdym calu. Od tej pory będę cię nazywała Panem Love“.

Pan Love! Więc on istniał naprawdę. A Sybil była jed^z jego kochanek. Ale którą? Jedyką czy Dwójką? Czy to znaczy, że reszta historii też jest prawdziwa? Pan Love w ręczniku kąpielowym? Czarne usta, które wypowiedziały słowo zapowiadające koniec jego życia? Pan Love zginął zamordowany. Jednak mój entuzjazm stepił się, kiedy sobie przypę. mniałem, że według mojego człowieka w Bombaju, „Blitz“ nie donosił o żadnym takim morderstwie. Znacznie bardziej prawdopodobne było wyjaśnienie, że Maja lubiła osnuwać swoje historie wokół samorodków rzeczywistości, wydarzeń z życia własnego lub swoich przyjaciół. Czyżby wzięła historię romansu Sybil i Pana Love i wykorzystała ją jako tworzywo utworu o fikcyjnym morderstwie?

Z drugiej zaś strony, był jeszcze Łowca węgorzy, w którym Maja obwiniła siebie o morderstwo Pana Love. Morderstwo, którego nigdy nie było?

Miłość, czymże jest? W małżeństwie, luksusem. Małżeństwo zabija miłość, czyż nie? Sybil zwierzyła się mojej matce ze swoich uczuć.

Spotkałam się z Mają na kawie w kawiarni Moskwa. Nie mogłam utrzymać tego w sobie. Kipiało to we mnie, chciało eksplodować, domagało się, żebym komuś opowiedziała. Musiałam. Mam nadzieję, że nie była zaszokowana. To uczucia. Tylko uczucia. To nie było tak, że coś zrobiłam. Nie można nie mieć uczuć. Rzecz w tym, żeby nie robić tego, co dyktują. Zapewniłam Maję, że jestem zdeterminowana nie ujawnić nigdy moich uczuć L, bo boję się tego, co mogłoby się stać. Maja sądzi, że podchodzę do tego roztropnie. Mówi, że to prawdopodobnie nic więcej poza zauroczeniem.

Illia opowiedziała Sybil o doświadczeniach swojej przyja-ⁱg; zakochanej w mężczyźnie, który przez całe lata traktował

Ropnie — raz zachowywał się tak, a raz inaczej. Przyjaciółka!

* Mai tęskniła do niego, cierpiała przezeń katusze. Pewnego

t wróciwszy z jednej ze swych długich zagranicznych odróży, zabrał ją na lunch. Przy zupie zauważyła kawałek listka rzeżuchy, który przykleił mu się do wąsów. Roześmiała je głośno. W tej chwili zrozumiała, że go nie kocha. Był śmieszny. Wciąż tam siedział, uśmiechając się, gdy odsunęła ijzesło i wyszła. Nigdy więcej go nie zobaczyła.

Lecz gdy Pan Love zabiera Sybil na lunch, nie ma zupy, nie ma wypolerowanej srebrnej łyżki. Jest tradycyjna hinduska potrawa, je się ją palcami, więc — mogę ci pokazać? — Sybil wyciąga rękę, bierze w palce ryż i sos i formuje miękką kulkę— a potem wkłada mu do ust — o rety, broda — pozwól, że umyję ci palce — ociera je chusteczką zamoczoną w miseczkę z wodą różaną— smakuje ci? dobre? — podnosi palec do jego ust, przesuwa po jego wilgotnych wargach i koniuszku języka, ssie lekko — mmm, pycha, babcia robiła takie samo. Sybil doświadcza wrażenia jak przy spadaniu z wielkiej wysokości. Uzmysławia sobie, że to dziwne doznanie to miłość i że nigdy przedtem jej nie czuła.

Posiadam cudowny sekret, szczególne uczucie, jak dar, który przyszedł do mnie i obudził ze snu. Nie ma ani jednej minuty, żebym o nim nie myślała, i sama nie mogę wyjść ze zdumienia nad swoją głupotą. Nad moimi szalonymi mrzonkami. Wspólna ucieczka, całe nowe życie. Wiem, że byłoby to absolutne szczęście i wiem też, że nie jestem realistką. Siedzę, próbując wyobrazić sobie jego twarz, w kółko przywołuję w myślach garść tych samych obrazów: każdy jego uśmiech świadczący, że mu się podobam, jego najdrobniejsze gesty, najbanalniejsze uwagi. Dziś rano Phoebe mówiła coś do mnie, a ja po chwili uprzytomniłam sobie, że nie słyszałam ani słowa. Bez przerwy muszę ściągać się do mojego ziemskiego świata, podczas gdy w rzeczywistości jestem na

innym planie. Czasami ogarnia mnie desperacja i chcę walić głową w stół. Kiedy indziej znowu wiem, że to najwyższe szczęście. Gdy kładę płytę na gramofonie, każda śpiewana piosenka przemawia bezpośrednio do mnie, jest śpiewana tylko dla mnie, niesie treść skierowaną wyłącznie

dla mnie. Płyte When I Fall in Love L puszcza dwadzieścia razy z rzędu. Śpiewam sobie te piosenki, nawet kiedy Killy jest w pokoju, i czuję się dziwnie wyzwolona, bo moje życie nie ma już z nim nic wspólnego. On coś mówi, a ja zaskoczona podnoszę głowę. W moim umyśle tyle się dzieje, że nie wiem nawet, iż godzinami nie odzywam się ani słowem. Przestałam jeść. Odsuwam talerz, nasycona wyższą wiedzą, odziana w zbroję i niezwyciężona. Przenika mnie nieustanna świadomość własnego ciała. Jest intensywnie ożywione, chciwe dotyku. Killy to spostrzegł. Robi uwagi. Dzisiaj powiedział, że promienieje. To go nastraja do amorów. Wczoraj wieczorem przyszedł do mojego pokoju. Spodziewałam się go, zastał mnie gotową na miłość, jak otwarty kwiat. Trzymając go w ramionach, nie miałam poczucia, że robię coś złego, że jestem niewierna wobec kogoś z nich. On o tym nie wie, ale to był ostatni raz. Nie umiem się kochać z kimś, kogo już nie kocham. Wczoraj w nocy to nie był on i ja, ani ja i ktokolwiek inny. To była intensywna namiętność, lecz ślepa, wszechogarniająca. Mógł być każdym, kimkolwiek i czymkolwiek, a ja czułam się w pełni kobietą.

To, co kiedyś czuła do Killy'ego, nie było miłością, nie mogło nią być, bo miłość to właśnie oszołomienie, które ją teraz ogarnęło. To, co do niego czuła, było podziwem, szacunkiem — a ona przez pomyłkę wzięła to za miłość. Wtedy by» taka młoda, taka niedoświadczona. To, co czuła teraz, nie dało się z niczym pomylić. Podekscytowanie, drżąca, zaprawiom poczuciem winy świadomość własnych uczuć, gdy jego palce spoczywały w zagłębieniu na plecach, kiedy ze sobą tańczy" czasem pod okiem jej męża. Tęsknota, by się stopić, by stać si jednym — przelewała te uczucia do swoich dzienników. By* pewna, że Killy nigdy nie zniżyłby się do wypytywania jej *z 282

oosie nie umie otwierać wytrychem zamków. Ale na wszelki ^adek zaczęła przypisywać swoje uczucia postaci w powieści i P° raz Pierwszy niektóre fragmenty zostały zapisane ^nograficznymi robaczkami Pitmana. Musiała się czuć pewnie, bo między kartkami pamiętnika leżało wsunięte brązowe zdjęcie mężczyzny Miał przyjemną twarz, gęste brwi, łagodne oczy i pełne, wygięte w łuk usta. Na odwrocie było napisane, typo-y/ym. hinduskim charakterem: „Z wyrazami miłości, L". Patrząc pierwszy raz na Pana Love, byłam pewny, że go znam. Jego twarz wydawała się znajoma. Nie umiałem jednak powiedzieć, gdzie ani jak go poznałem.

Przez długi czas Sybil opierała się swoim uczuciom i awansom L. Najpierw odmawiała spotkań sam na sam, lecz stopniowo jej zdecydowanie słabło. Pan Love miał mieszkanie niedaleko morza, w Malabarze. Mieszkał ze swoją siostrą, która wnet została przyjaciółką Sybil. To dało jej pretekst, żeby go odwiedzać. Killy, który spędzał ostatnio więcej czasu w domu, niczego nie podejrzewał; cieszył się, widząc Sybil szczęśliwą. Co nie oznacza, że miał powód do podejrzeń. Nie licząc uczuć, których nie sposób zmienić, Sybil nie zrobiła nic złego. L naciskał ją, rzecz jasna, żeby poszła z nim do łóżka, ale ona ciągle odmawiała. Sybil uwielbiała L, lecz ku własnemu zaskoczeniu odkryła staroświecki szacunek dla małżeńskich ślubów. Nie kochała już Killy'ego, lecz nie szukała taniego romansu. L był taki zrozpaczony, napisała, taki nieszczęśliwy. Biedny chłopiec, zżerany przez namiętność. Myślał o niej bez przerwy, błagał, żeby zechciała się z nim zobaczyć. Spędzanie z nią czasu było jedyną rzeczą, która pozwalała mu znosić życie. Poczwała, że ma obowiązek złagodzić jego cierpienie. W ich spotkaniach me mogło być nic złego dopóty, dopóki nie ujawni mu swych uczuć. Biedny romantyk, czytał jej wiersze indyjskich poetów, uk przepełnione wzniosłymi figurami, że nie mogła powstrzymać śmiechu. Zgodnie z prawdą powiedziała, że lubi jego °Warzystwo, a potem skłamała, mówiąc, że pragnie tylko mieć w nim przyjaciela.

była zakochana, lecz trzymała się małżeństwa. Co sprawiło, 283

że zmieniła zdanie? Czyżby możliwość, odrzucona kiedyś jat lekkomyślna mrzonka, pewnego dnia stała się realna? L wsn ° mniał o małżeństwie. Killy znów wyjechał. Pan Love zaprosił nową piknik. W jakimś wyjątkowym miejscu. Pojechali je? nowym wozem przez północne przedmieścia do pylisteg powiatu Borivili. Z prędkością piechura lawirował samochodem w alejkach tętniących ludźmi i zwierzętami, aż dotarli d0 strumienia. Drewniana łódź rybacka załadowana wieśniakami przewiozła ich kilometr na drugi brzeg. Czekala na nich fur-manka, taka jakich używa się na wsi; woły cierpliwie przeżu-wały siano. Sybil pierwszy raz jechała takim wozem. SkrzypiąCy pojazd

przejechał kilometr między kokosowymi zagajnikami i wynurzył się w oślepiającym, błękitnobiałym blasku morza i nieba. Plaża biegła od wioski rybackiej, opustoszałej w upalny dzień, do wzgórza z czerwonego piaskowca, na którym sterczały resztki portugalskiego fortu. Zardzewiała armata nadal mierzyła w niebo przez płataninę lantany. Morze wyłobilo w podstawie wzgórza groty, w których odpływ zostawiał mnóstwo interesujących stworzeń: Jeżowców i rozgwiazd, małych włóknistych krewetek i maleńkich fragmentów koralowca, misternych jak skryształizowana ślina".

W jednej z takich sadzawek, kilka centymetrów pod powierzchnią, Sybil zauważyła kamień z doskonale odcisniętym skamieniałym liściem. Pan Love, jak przystało na mężczyznę, zakasał rękawy, lecz Sybil kazała mu odłożyć kamień z powrotem do wody, gdyż były do niego przyczepione maleńkie stworzenia. Zjedli piknikowe przekąski w szałasie, który, jak powiedział L, należał do jego przyjaciela.

Chatka pachniała słodko, a ciemna posadzka z wysuszonych krowich placków była przyjemnie chłodna. L powiedział, że wieczorem jedynym oświetleniem będą lampiony ze świecami... Wyspa leżała w słonecznym blasku, otepiała. Byłam świadoma tysięcy cichych odgłosów. Gulgotanie i plusk błotnych skoczków, nieustające zawodzenie cykad, szmer wiatru w palmach. Poszliśmy pływać. Unosiłam się na wodzie w kostiumie. L powiedział, że wyglądam jak elegancka rozgwiazda.

284

js[ie było elektryczności ani wody, tylko cztery ściany i dach z liści palmowych. W tym pieczołowicie wybranym i przygo-toWanym miejscu poprosił ją, żeby za niego wyszła, i zostali kochankami.

później spotykali się w jego mieszkaniu z oknami wycho-^ącymi na Morze Arabskie. Jej dziennik opisuje fale drażniące się ze skałami pod jego oknem jako miłosną grę wody i ziemi.

Jego pieszczoty są jak miękkie morskie lawiny. Narastający przypyły, który mnie pochłonie. Chcę się dla niego otwierać coraz bardziej i bardziej. Jestem zawilcem, rozwierającym się, by pochwytać i wciągnąć w siebie jego palce, język, wszystko. Tak, pragnę jego całego i wszystkiego, całego zewnętrznego świata. Chcę wchłonąć w siebie wszechświat i przemienić go wewnątrz mojego ciała, na-• prawić jego wady, skorygować błędy, udoskonalić w sobie, a potem wydać ten udoskoniony świat na zewnątrz, świat odrodzony w sobie, lecz lepszy niż przedtem — to jest dar kobiety.

:o

Rywalki

(Dzienniki Sybil, 1958)

Maj. Najgorętszy miesiąc w roku. Miasto leży, dusząc się pod miedzianosrebrnym niebem, do deszczów zostały jeszcze tygodnie. Ale Sybil była szczęśliwa. Przeżywała najjaśniejszą miłość, a jej kochanek, ucieleśnienie miłości, Pan Love, był w niej zakochany. Wciąż zadreślał ją prośbami, żeby za niego wyszła, i Sybil wiedziała, że jeśli jeszcze raz poprosi, powie „tak". Wiedziała też, że musi powiedzieć mężowi, lecz ta myśl budziła w niej lęk. Bóg jeden wie, co Killy może zrobić. Poza tym, mimo że ją tak bardzo zaniedbał, nie chciała go ranić. Był wystarczająco dotknięty faktem, że nie chciała już z nim sypiać. Nie wiedział, czemu. Między nimi wiele się zmieniło, tylko tyle mu mówiła. Nie czuła już do niego tego, co kiedyś. Teraz, gdy wiedziała, że ich małżeństwo jest skończone, patrzyła czasem na męża, na jego siwiejącą głowę z okularami na nosie, schyloną nad książką, i ogarniała ją czułość. Poczucie winy targało nią to w jedną, to w drugą stronę. Nie wiedziała, co począć. Nikt, nawet jej najbliższa przyjaciółka, moja matka Maja, nie wiedziała, że jej przyjaźń z L wkroczyła na słone grzęzawisko cudzołóstwa.

Spotykamy się u niego w domu, kiedy nie ma siostry. Już nie tracimy czasu na rozmowy. Jest go mało, i potrzebujemy całego. W mgnieniu oka jesteśmy w sypialni i niecierpliwie ściągamy ubrania jedno drugiemu albo rozbieramy się sami-Ledwie się rozbierzemy, padamy na łóżko, dotykając się palcami i językami, ocierając się, badając: przyprawia mnie to o dreszcze, a potem leżę, obezwładniona wstydem.

:o

286

wjłosne wyznania Pana Love, za każdym razem, gdy ją zbierał, a ona schylała się, żeby zdjąć mu buty, tak jak według i wyobrażeń czyniłaby hinduska żona, stawały się coraz J retsze, lecz udręczona poczuciem winy Sybil nie oddawała •e już całkowicie. Delikatnie zaczęła odtrącać jego awanse. Pan Love się przestraszył. Zaczął się skarżyć, że go nie kocha, fzy nie cnce' ^Y s^ pobrali? Powiedziała, że musi zrozumieć. \[je może się z nim kochać, dopóki sprawy się nie wyjaśnią. Oznaczało to powiedzenie Killy'emu. A do tego wciąż nie mogła się zebrać. L zachowywał się jak niezdolny dzieciak, ale mężczyźni właśnie tacy są, wpadają w histerię, jeśli nie dostają tego, czego pragną, zwłaszcza jeśli chodzi o seks. Jej umysł był gdzie indziej. Niech najpierw pomyślę i wszystko zaplanuję, powiedziała sobie. Martwiła się o Phoebe. Jak zachowa się Killy? Chciała, żeby wszyscy troje, ona, Phoebe i Pan Love, byli razem. Co do jednego nie miała wątpliwości: nigdy w życiu nie była szczęśliwsza.

Jeśli to się okaże chimera, fałszywym brzaskiem dnia, niech i tak będzie. Będę się uważała za błogosławioną, że było mi dane aż tyle, że poznałam, czym może być miłość. Pielęgnując w sobie ideał, można dojść tylko do pewnego momentu w życiu. Gdy marzenia się rozwiewają, ideał czernieje, zarażony rozczarowaniem, frustracją, agnostycyzmem, goryczą, desperacją i rozpaczą. I nagle — gdy człowiek daje za wygraną i postanawia odmierzać swe życie poślednią miarką — samotne, niespełnione, martwe, lecz zachowujące resztki godności — nagle, po jednym zaledwie ostrzegawczym dreszczu, staje twarzą w twarz z ideałem ucieleśnionym, doskonalszym w rzeczywistości niż w marzeniu. W takiej chwili, i w tych, które dopiero przyjdą, mówi sobie: „To jest wszystko, czego kiedykolwiek pragnąłem. A jednak życie mnie nie zawiodło”. Później powtórzy te słowa w liście, który wysłała do swego "Ucieleśnionego ideału, doskonalszego w rzeczywistości niż w marzeniu", Pana Love. Trzymała kopie tych listów, wciśnięte Pamiętnik. Czasem pisała po trzy na dzień.

287

Biedna Sybil. Z bólem czytałem jej przepelnione ufhoś ■ słowa, wiedząc z Pokuty, co nastąpi później. Była tak pe%^'^ szczerości Pana Love, prawdziwości jego uczucia, że pewne a wieczoru, gdy po raz kolejny odmówiła pójścia z nim do IóżyT nie wzięła całkiem serio jego rzuconych mimochodem słów * ma rywalkę.

„Wiesz, jeśli za mnie nie wyjdiesz, są inne. Inne, które t zrobią”.

„Jakie inne?”, zawołała żartobliwie, myśląc, że się z nja drażni.

„To nie ma znaczenia. Ale mogę ci powiedzieć, że jest przynajmniej jeszcze jedna kobieta. Ona nie tylko tego chce ale rozpaczliwie pragnie”.

„Nie wierzę ci”, powiedziała Sybil.

„Mam ci tego dowieść?”.

Wyglądał tak poważnie, chyba nie żartował. To nie może być ta angloindyjska dziewczyna, powiedziała sobie Sybil. Zapewniał ją, że to tylko plotki. Przyszło jej do głowy jeszcze kilka innych imion, ale to nonsens, one się nie liczą. Nagle uderzyła ją pewna myśl.

„Och, mój ty biedaku, powiedziała. Właśnie to sobie uświadomiłam. Nic dziwnego, że tak ci spieszo. Nie martw się, uratuję cię. Tylko bądź cierpliwy jeszcze trochę”.

„O czym ty mówisz?”, zapytał jej ukochany.

„To chyba oczywiste. Rodzice znaleźli ci inną dziewczynę”.

„Co za bzdura”.

„A ty się zżymasz, bo pewnie nie jest bardziej kusząca niż poprzednia”. Śmieje się. Przypomina sobie babsztyla, którego zdjęcia jej pokazał. Znów parska śmiechem. „Nie zaprzeczaj. Ta nadąsana mina do ciebie nie pasuje. Wiem, jak pogardzasz aranżowanymi małżeństwami, ale nie martw się, kochanie. Nie oddam cię jej”.

„To nie jest kwestia zaaranżowanego małżeństwa”, odparł, nieco już poirytowany. Jej niezmacony dobry humor musiał go dziwić. „Jeśli naprawdę chcesz wiedzieć, ta druga kobieta fl» wiele wspólnego z tobą”.

„Co chcesz przez to powiedzieć? W czym jest do mme podobna?”.

288

„Chcę powiedzieć, że jest Angielką”.

Tego Sybil się nie spodziewała.

„Kim ona jest? Gdzie ją poznałeś? Kiedy ją poznałeś?”. Nie chciał powiedzieć. „Kochasz ją?”.

„Ależ skąd, kochanie. Pisze do mnie, ale jej listy nie są tak abawne, jak twoje. Posłuchaj, jeśli chcesz, przeczytam ci jeden •

Leżeli obok siebie na łóżku, on nagi, nienasycony, lecz nadal pełen nadziei, ona z potarganymi włosami, ale wciąż z grubsza ubrana. Ich spotkania, sądząc z pamiętnika, zamieniły się w szamotaniny, typowe dla nastolatków, zwykle kończące się klótniami. Jako kompromis — bo nie chciała być okrutna — pozwalała mu rozpinąć sobie stanik i bawić się sutkami, aż twardniały, i zwilżać palce między jej udami. Miał nadzieję, że ją pobudzi. Ona, nie potrzebując pobudzania, znalazła inne sposoby zaspokajania jego potrzeb.

Pan Love przetoczył się i zsunął z łóżka; Sybil usłyszała chrobotanie, jakby czegoś szukał. Kiedy się ukazał, trzymał w rękach arkusz papieru listowego.

„Mam. Chwileczkę, muszę założyć okulary do czytania”.

.Zaczekaj, powstrzymała go Sybil. Nie powinieneś mi czytać czyichś listów”.

Spojrzał na nią ponad oprawkami okularów, jak gdyby mówiąc, no cóż, sama widzisz, do czego mnie zmuszasz, i zaczął czytać: „Wczoraj w nocy, kiedy mówiłeś o swoim pragnieniu małżeństwa i różnych dziewczętach, z którymi możesz się ożenić, coś we mnie zadrżało i zrozumiałam, że nie zniosłabym myśli o tym, że kochasz inną i jesteś z nią blisko...”.

Nie trwało długo, zanim tożsamość rywalki wyszła na jaw. Pan Love sprawiał wrażenie, jakby nie mógł się doczekać, żeby ją ujawnić, lecz imię, które wypowiedział, było tym, które Sybil najmniej spodziewała się usłyszeć.

Jej rywalka to kobieta nazywana przez nią S, „bliźniaczka”, z którą zamieniła się tożsamościami w Willingdon. Opis Sybil tak bardzo przypominał ten z Pokuty, że Maja musiała stworzyć swoje opowiadanie na podstawie listów Sybil.

Szok zmienił się w gniew. Została zdradzona. „Jak ona Mogła?”. Sybil nadal nie obwiniąta Pana L.

„Była moją przyja-

289

ciółką. Przedstawiła nas sobie”. Wtedy dotarło do niej w peł. znaczenie listu. „Ona o mnie wie? O nas?”.

„Nie wierzą w sekrety”, odparł.

„Co to znaczy «jesteś blisko z inną»? To suka! Ona wie że to ja!”.

„Sybil, uspokój się, proszę cię, rzekł Pan Love, który musiał być tym wszystkim zachwycony. Przesadnie sobie to wszystko wyobrażasz”.

„Czemu jej nie powiedziałaś, że już mi się oświadczyłeś? Powiedziałaś jej?”.

„Ależ oczywiście”, odparł z pustym uśmiechem.

„Więc nie rozumiem, jak ona mogła...”.

„Posłuchaj. Nie masz się czym martwić. Ja jej nie zachęcałem. Biedna dziewczyna jest zauroczona, ale nic dla mnie nie znaczy. Inaczej niż ty”.

„Mówisz jej to samo, co mnie?”.

„Ależ skąd!”.

Ha! Kłamca!, pomyślała Sybil (tak zapisała w notatniku, a ja, czytając, radowałem się w milczeniu, co było głupie, zważywszy na to, że znałem zakończenie), ale już była gotowa dać się udobruchać.

„Właściwie, ciągnął Pan Love, S sama przyznaje, że nie ma z tobą szans”.

„Czy ona myśli, że bierzemy udział w jakimś konkursie?”.

„Nie umiem powiedzieć, co ona myśli. O, posłuchaj tego. «Kochany, chciałabym być inteligentna i błyskotliwa, chciałabym napisać list, który by Cię rozbawił». Widzisz? Czemu tak mówi? Z kim się porównuje?”.

„Nie wiem”, odparła Sybil.

„Mówi o tobie! Kto inny przysłała mi takie zabawne listy?”-

Znów zanurkował pod łóżko i po chwili jego głos dobiegł gdzieś z dołu. „Posłuchaj, co ty napisałaś”. Czyta urywki niewidocznego listu. „«Nie mogłabym się kochać... z kimś, kogo nie kocham... W tym jestem szczerą...». To było wtedy, kiedy przestałaś z nim spać. «A on

powiedział, że to nienaturalne, niemożliwe, nienormalne, pruderyjne — bryła lodu! IW zaskoczony, bo stwierdził, że gdy mnie pierwszy raz zobaczy-pomyślał, że jestem nimfomanką! Właściwie, to nie chcąc ranie

290

^oich uczuć, okazał się na tyle miły, że zamiast wypowiedzieć to słowo, zaczął je literować: N-I-M-F..., kiedy mu przerwałam-» Widzisz, co mam na myśli? Jesteś taka zabawna!". Ale Sybil się nie śmiała.

Myślałam o zdradzie, o tym, jak gorzko się zawiodłam na kimś, kogo uważałam za przyjaciela. Moją głowę wypełniał gniew. Gdy czytał mi mój list, igła bólu przeszła przez moje serce. Tylko że nie był to ból, lecz wstyd. Killy może nie jest najczulszym, najwrażliwszym mężem, ale nie zasługuje, by drwił z jego nieszczęścia mężczyzna, który przyprawia mu rogi.

Głowa przyprawiacza rogów wyskoczyła obok łóżka i uśmiechnęła się, ukazując dwa szeregi białych zębów. „Sama widzisz, kochanie. Nie ma porównania. Ona o tym wie”.

„Chwileczkę, powiedziała Sybil. Skąd wie? Skąd może wiedzieć o moich listach? Nie mów mi, że czytałeś jej moje listy”.

„Oczywiście, że czytałem”, odparł Pan Love.

„Przeczytałeś jej to? O Killym?”.

„Ależ oczywiście, że nie przeczytałem jej akurat tego fragmentu, wycofał się czym prędzej kochanek, widząc, że wzburzył Sybil. Za jakiego człowieka ty mnie uważasz? Czytam jej niegroźne rzeczy, zręczne żarty, twój zabawny sposób przedstawiania spraw. A czemu to zrobiłem? Jego głos podniósł się, przybierając ton słusznej samoobrony. Żeby jej pokazać, jakim jesteś dla mnie skarbem. Żeby nie snuła marzeń i nie robiła sobie złudnych nadziei. Żeby jej uświadomić, że nic nie może stanąć między tobą i mną”.

Uśmiechnął się i zaczął tańczyć koło łóżka, nagi tak jak stał, podśpiewując: „Oo ty jesteś jedna, ta jedyna, ta jedyna dla mnie”.

Wyglądał idiotycznie, płasząc tak z podskakującymi Jądrami i penisem.

„Przeستاń!, krzyknęłam. To brzmi jak jedna z tych sznurowatych pioseneczek z listy przebojów Binaca”.

„Ty, najdroższa, jesteś tą jedną, jedyną kobietą, z którą

291

chciałem się ożenić. Z początku było to straszne uczucie, jak wpadanie w pułapkę. A skąd wiedziałem, że tak właśnie należało zrobić? Bo tęskniłem za tobą, kiedy cię przy mnie nie było. Z innymi kobietami nie jest w łóżku tak zabawnie jak z tobą. Rozmowa z nimi jest nijaka. Ty byłaś zabawna. Rozśmieszałaś mnie. Z niecierpliwością czekałem na twoje listy. Znajdowałem preteksty, żeby do ciebie dzwonić. Byłem sobą zdegustowany, widząc, że się złościsz, kiedy flirtujesz z innymi mężczyznami. Drwiłaś z tego, co nazwałaś moim «uwielbieniem dla lusterka». Przewalaś mnie Panem Love”.

„Jesteś diabłem!, krzyknęłam, trochę przerażona, a trochę rozbawiona. Nie wiem, czy ci wierzyć. Bawisz się nami obydwoma”.

Jego zagrywka zrobiła swoje. Kiedy wdrapywał się z powrotem do łóżka, moje ubranie już się ze mnie zsuwało.

Pan Love nie zaprzeczał; że sypia z S. Wprost przeciwnie — z premedytacją powiedział o tym Sybil. Była zraniona, ale uznała, że najlepiej będzie zbyć to śmiechem. „Głuptas, pewnie zrobił to, żeby wzbudzić we mnie zazdrość”. Napisała mu, że może robić, co mu się podoba. „Twoje wyobrażenie o małżeństwie sprowadza się do tego, żeby zaciągnąć dziewczynę do łóżka. W ten sposób «żenisz się» ze mną często, bardzo często. A potem, gdy tylko się odwracam, żenisz się z kimś innym! Jak mogłeś? (Tak, wiem, że powiedziałam Ci, że możesz). Proszę, nie żęń się ponownie, zanim znów się z tobą zobaczę...”.

Niedługo znajdzie w sobie odwagę, żeby pomówić z Killym. Ujawni wszystko, zniesie jego gniew i położy kres kłamstwom. Między kartkami notatnika tkwiło kilka wielokrotnie poprawianych szkiców listu, który parę dni później wysłała do kochanka, mówiącego o tym, jak spełnia jej najszlachetniejszy ideał.

Mój drogi L! Zaczęłam pisać do Ciebie wczoraj, lecz zachorowałam i musiałam się położyć do łóżka. Nic poważnego. Cieszę się z tej choroby, bo właśnie pisałam do Ciebie bardzo długi list i jestem pewna, że każde jego słowo

292

budziłoby Twoją złość. Było w nim tyle afektacji. Pewnie przyczynił się do tego, że dostałam gorączki, bo jego fragmenty krążyły mi w głowie między jednym a drugim atakiem bólu. Jeśli nasza miłość okaże się chimera, fałszywym brzaskiem dnia, niech i tak będzie. Będę się uważała za błogosławioną, że było mi dane aż tyle, że poznałam, czym może być miłość... później następowała reszta fragmentu z dziennika, z kulminacyjnym, strasznym momentem ironii: „Życie mnie jednak nie zawiodło”.

W postscriptum dodała:

S i ja jesteśmy takie podobne, obie tracimy wagę i zainteresowanie życiem, kiedy jesteśmy samotne. Nie gniewaj się na mnie za te słowa. Wznoszę modły do Boga, żebym była z Tobą — Sybil.

Czy Pan Love docenił wielkoduszność, która kazała Sybil napisać z takim współczuciem o kobiecie próbującej jej go skraść? Wątpiłem w to. Podczas następnego spotkania z rywalką Sybil była pewna, że tamta nie żywi dla niej żadnych wielkodusznych uczuć.

„Ona musi mnie nienawidzić. Miała taką ściągniętą twarz i zaciśnięte usta, ręce jej się trzęsły, kiedy przypalała papierosa. Zachowywała się z zimną uprzejmością”.

Upłynęło kilka tygodni parnej pogody. Przyszły deszcze. Sybil, pragnąca wierzyć w szczerość Pana Love, musiała mieć wątpliwości, bo ciągle jeszcze się wahała. Zrobić to czy nie? Potem odkryła coś, co pomogło jej podjąć decyzję.

Gdzieś za Churchgate

(Dziennik Sybil, 1958)

Lipiec. Padało. Była taka szczęśliwa w ten dzień, dzień dobrej nowiny. Kupiła kwiaty i zabrała je do mieszkania L Weszła sama, otworzywszy kluczem, który jej dał. (S nie miała klucza, Sybil dokładnie go o to wypytała). Pan Love spał zażywając popołudniowej sjesty. Zanim się obudził, Sybil już zdjęła ubranie i ze śmiechem rzuciła mu się w ramiona.

Potem, leżąc z głową na jego ramieniu, wyszeptwała, że ma dobrą nowinę.

— To coś wspaniałego — powiedziała. — Wiem, że pragniesz tego tak samo jak ja.

— Niech zgadnę — rzekł, opierając się na łokciu i wodząc palcem po jej ustach. — Twój mąż wyjechał w kolejną podróż. Wybierzemy się gdzieś razem, w jakieś ładne miejsce? Na plażę w Gorai? Do Khandala, popatrzeć na wodospady? Byłoby przyjemnie, prawda?

— Moja nowina jest o wiele lepsza — powiedziała, spodziewając się wybuchu jego radości.

— Jeszcze lepsza? Co może być lepszego? No powiedz.

— Jestem w ciąży — odparła, czekając na jego uśmiech. Pan Love milczał.

— Będziemy mieli dziecko — powiedziała, jak gdyby nie rozumiał od razu. — Mówiłeś, że bardzo tego chcesz.

Uśmiech nadal nie pojawiał się na twarzy Pana Love. Jego palec błędził wokół jej warg.

— Dziecko? — zapytał. — Ależ kochanie, to niemożliwe. Myślałem, że się zabezpieczasz.

— Przestałam — odparła. — Kiedy skończyłam... z Kiltym-A my też tego nie robiliśmy. Więc przestałam. — Teraz ogaiw8

294

. niepewność. Nie wiedziała, jak rozumieć jego milczącą 'akcje.- — Nie cieszysz się? — spróbowała jeszcze raz. — Będziemy mieli własne dziecko.

L raptownie cofnął palec.

„To nie jest najlepszy moment — rzekł, odsuwając się.

Wstał i zaczął się ubierać.

„Nagle poczułam się obnażona, napisała później Sybil w swoim dzienniku. Byłam naga, ale dopiero w tej chwili nagość stała się niewłaściwa. Myślałam, że go znam, lecz nagle pojawiło się to uczucie, jakbym była rozebraną nierządnicą w łóżku obcego mężczyzny”.

— Oczywiście, że chcę się z tobą ożenić — mówił Pan L, wciągając spodnie. — Ale to nie jest

odpowiedni moment.

Zaczął zapinać rozporek, guzik po guziku, skręcając lekko materiał i po kolei przeciskając przez dziurkę każdy malutki dysk. Musi być cierpliwa. Guzik. Tymczasem nie wolno jej się martwić. Guzik. On wszystkim się zajmie. Guzik. W przyszłości będzie czas na inne dzieci. Nie mogła uwierzyć, że to słyszy. Potem, oczywiście, dotarło do niej. Ulga. Ależ z niego wcielony diabeł.

— Żartujesz! — powiedziała, siadając z uśmiechem. — Ty okropny draniu. Drażniłeś się ze mną! Uśmiechnął się lekko.

— Ja się drażnię? Kto się tu z kimś drażni? — „Z kim”, poprawił jej wewnętrzny głos pisarki, lecz nic nie powiedziała. — Jeśli ja się drażnię, to powiedz mi łaskawie, czemu to zrobiłaś? Przez to będą tylko kłopoty.

— Jakie kłopoty? — zaprotestowała, wciąż przekonana, że sobie z niej żartuje. — Kochamy się. Nie wstydzimy się tego. Niech mój mąż i cały świat mówią sobie, co chcą.

— Będziesz musiała mu powiedzieć, że to jego dziecko.

— Och, przestań ze mnie żartować — powiedziała ze śmiechem, ale niczego już nie była pewna. Nie spałam z Killym °d... od kilku cykli. To musiało się stać... — Zamilkła, przypomniał sobie, że to musiało być tego popołudnia, gdy powiedział jej, że ma rywalkę. — W każdym razie, to twoje dziecko — rzekła. — Wiesz o tym.

— Musisz powiedzieć mężowi, że to jego.

295

— Kochanie, proszę cię, nie mów takich rzeczy. Jak mog}a, bym, nawet gdybym chciała? To twoje dziecko. Jest w połowyje hinduskie.

— Więc się go pozbadź — rzekł Pan Love. Popatrzyła na niego zdumiona.

— Kochanie, potrafisz być taki okrutny. Nie mów rzeczy których nie myślisz. Wiem, że lubisz się drażnić, ale błagaj cię, nie żartuj sobie z tego.

— Ja nie żartuję — odparł ten, którego uważała za Dusze Miłości. — Musisz być szalona, jeśli uważasz to za żart. Przychodzisz tu i oświadczasz, że jesteś w ciąży. Mówisz, że nie jest to dziecko twojego męża. Że jest w połowie hinduskie. Dobrze, przyjmuję to. Może i jest w połowie hinduskie, ale skąd mogę mieć pewność, że jest moje?

— Boże, jakiś ty okrutny. To nie zasługuje nawet na pogardę. Wstała i zaczęła się niezręcznie ubierać, lecz jej palce za bardzo się trzęsły, żeby mogła zapiąć guziki.

— Nie wiem, czemu to robisz — powiedziała. — Nie mogą uwierzyć, że mówisz to wszystko poważnie. Może nie powinnam zaskakiwać cię tą nowiną, ale myślałam, że będziesz szczęśliwy! To nasze dziecko, na litość boską. — Płakała. — W końcu mamy się przecież pobrać.

Następne zdanie, które wypowiedział, rozdarło jej serce:

— Uważasz, że powinienem się żenić z każdą kobietą, z którą spałem?

„Naprawdę uważasz, że powinienem się żenić z każdą kobietą, z którą spałem?”. Odwrócił się i odszedł. Usłyszawszy te słowa z ust Pana Love, Sybil osłupiała. Potem na kilka chwil łzy, które ją osłepiały, zamieniły się w gniew. „Nie mogę uwierzyć, że to powiedziałeś! Naprawdę nie mogę!”. Pan Love trzymał koło łóżka butelkę wody. Sybil podniosła ją za szyjkę. On odwrócił się plecami do niej i stanął przy oknie, spoglądając na morze. Sybil podniosła butelkę. Przez chwilę zamierzała trzasnąć go nią w głowę. Potem odłożyła ją i wyszła, ocierając się o rozmazaną w jej załzawionych oczach

296

Ostać służącego, który, usłyszawszy podniesione głosy, kręcił •e przy drzwiach sypialni. Wyszłam z mieszkania L przy Nepean Sea Road i ruszyłam przed siebie. Padał deszcz, ale nie miało to znaczenia. Xak samo jak to, dokąd idę. Dokądkolwiek. Wszystkie miejsca były takie same. Wspięłam się na szczyt Malabar Hill, do Wiszących Ogrodów, gdzie stoi But Staruszki. Łzy nie chciały przestać płynąć. Ludzie gapili się, więc poszłam dalej Ridge Road do Walkeshwar, do świątyni Hanumana. Po raz pierwszy w dorosłym życiu stałam i modliłam się, niepomna faktu, że wznoszę modlitwy do hinduskiego bóstwa. Modliłam się, jakby miało mi pęknąć serce, prosząc o wskazówkę, o objaśnienie, błagając, żeby to wszystko okazało się pomyłką, żeby L zadzwonił do

mnie i powiedział, że jednak się ze mną drażnił. Nie pamiętam, kiedy postanowiłam zejść na dół, lecz w pewnej chwili, gdzieś w połowie długiego stoku wzgórza, znalazłam się na wysokości Domu Gubernatora. Ileż to razy jedliśmy tam kolację z wytwornymi przyjaciółmi Killy'ego? Co pomyśleliby o niej teraz, o tej kobiecie, która nigdy nie nadawała się na mem-sahib, o tej przemokłej, udreżonej postaci włóczącej się bez celu wśród pospolitych ludzi na plaży Chowpatty?

Przy Marine Drive doszła do siebie, siedząc na nadbrzeżnym murku gdzieś za Churchgate. Deszcz przestał padać i niebo się przetarło. Nad morzem zachodziło słońce. Ubrane na biało rodziny na wieczornym spacerze spoglądały na nią ciekawymi oczami. Minał ją przekupień sprzedający orzeszki ziemne, z garnkiem rozżarzonych węgla świecących w coraz głębszym błękitcie zmierzchu. Pomarańczowe i fioletowe pasma nad morzem, ostra woń węgla drzewnego, piekących się orzeszków — wszystkie te rzeczy Sybil zapamięta do końca życia.

Nie chciała wracać do domu, a nie miała dokąd pójść. Wreszcie zatrzymała taksówkę i pojechała. W domu wszystko było całkiem normalnie. Ayah chciała położyć Phoebe do łóżka, nieobe protestowała, że chce poczekać i zobaczyć tatę. Sybil Powiedziała, że tak, oczywiście, przeczyta jej bajkę. Bogu

297

dzięki, Bogu dzięki, Bogu dzięki, powtarzało coś jej w głowie że nie miała dość honoru, by powiedzieć КИШ'ети. во ' dzięki.

Mimo to jej sytuacja była nieprzyjemna. Cięży nie triożna długo ukrywać. Pragnęła zatrzymać dziecko, ale uświadomiła sobie, że Killy nigdy się na to nie zgodzi. Co powinna zrobić? Czy mąż ją wyrzuci? Rozwiedzie się? Zmusi, żeby oddała dziecko do adopcji? Chyba że... ale nie, to niemożliwe. Być może dla kobiety takiej jak Noor, z indyjskim mężem i indyj. skim kochankiem. Albo dla każdej innej kobiety tam, w domu Lecz w jej przypadku faktu cudzołóstwa nie można było zataić, Dotarło do niej z całą mocą, że jest sama w obcym kraju i nie ma ani jednej osoby, do której mogłaby się zwrócić o pomoc. Nigdy wcześniej nie potrzebowała dużej sumy pieniędzy, lecz2 teraz zaistniała właśnie taka potrzeba. Myśl o aborcji ją przerażała. Aborcje były niebezpieczne, nielegalne i bardzo kosztow-.ne. Skąd weźmie pieniądze? Kogo może poprosić? Jak je zwróci? Po maju przyszedł czerwiec, a z nim deszcze. Killy zauważył, że jego ładna żona snuje się po domu „kompletnie rozbita”, jak to ujął, i pomyślał, że może cierpi na załamanie nerwowe. To wyjaśniało, dlaczego jej uczucia do niego uległy zmianie, dlaczego nie chce już spełniać małżeńskich obowiązków. Załamania nerwowe były pospolitym składnikiem życia Brytyjczyków w Indiach. Bywało ich sporo za dawnych dobrych czasów. Żołnierze, którzy nie mogli dłużej znieść upału, much i kurzu, tak często bywali „kompletnie rozbiti”, że w małym garnizonie Deolali w stanie Bombaj otwarto specjalny szpital psychiatryczny. O pacjentach mówiło się: „dulali go wzięło”. Sybil wzięło dulali. Te objawy. Niekończące się deszcze na zewnątrz. Deszcz w środku. Wzbierający wewnętrzny ocean, ciągle rozdrażnienie, niezdolność do koncentracji, łzy, gotowe w każdej chwili trysnąć. Poczucie, że wszyscy przyjaciele skądś wiedzą o jej sekretnej hańbie i dlatego jej unikają. Telefon w domu przestał dzwonić. Czasami nie chciał przestać, lecz wszystkie telefony były do Killy'ego. Desperacja. Spojrzenia na morze, które lśniło między jednym a drugim szkwałem pragnienie, by umrzeć. Myślała o samobójstwie. Nie mog*

298

poczucie winy. Myśl o tych, których zostawia. Nade wszystko potrzeba chronienia niewinnej córki. Wszystko to zapisała w dzienniku, zamknęła w kuferku, a klucz ukryła między piersiami.

Przyjaciółka, której imienia Sybil nie podaje w pamiętniku, dała pieniądze. Ta sama nienazwana przyjaciółka pomogła jej, p0 dyskretnym śledztwie, znaleźć lekarza, który gotów był przerwać jej ciążę. Aborcjonista był Europejczykiem. Sybil powiedziała mu, że chce umrzeć, a on dostosował się do jej życzenia, tnąc ją z tak dziką niekompetencją, że krwawiła przez tydzień. Operacja została przeprowadzona rano. Sybil ucałowała Phoebe wychodzącą do szkoły, a potem wzięła taksówkę i pojechała przez zalane deszczem ulice miasta. Musiała starannie wybierać drogę na ostatnich kilku metrach, między kałużami cuchnącej brązowej wody. Bombajskie ścieki miały zwyczaj wylewania

po obfitych opadach. „Klinika” okazała się pojedynczym, niehigienicznym pomieszczeniem nad ruchliwą drogą. Lekarz pracował bez pielęgniarki, w zasadzie bez żadnej pomocy. Tylko on i Sybil w pokoju z wilgotnymi ścianami i stołem przykrytym ręcznikiem, na którym miała się położyć. W kącie, na podłodze, stał prymus z krzywo postawionym rondlem, w którym syczała wrząca woda. Na ręczniku obok leżały noże i strzykawki. A także słoiki z herbatą i cukrem oraz paczka biskwitów.

— Jestem zawsze dobrze przygotowany — oznajmił doktor, gdy Sybil, przerażona, lecz starająca się być dzielną, zwróciła na to uwagę. — Spędzimy tu trochę czasu.

Jasnowłosey, czterdziestoparoletni, mówił z silnym niemieckim akcentem. Powiedział Sybil, żeby się nie martwiła, że studiował medycynę w Berlinie przed wojną. Naziści wypędzili go z kraju. Kazał jej zdjąć bieliznę i położyć się na stole.

7~ Nie powinnam się przebrać? Założyć czegoś odpowiedniego? — Przed przyjściem tutaj wyobrażała sobie zielone artuchy, lekarza z wyszorowanymi rękami, w masce i rękawiczkach.

~7 Nie ma potrzeby ściagać góry. Tylko majtki.

Nie było gdzie się przebrać.

p Więc nie będę pytał, co pani robiła — powiedział, gdy

299

Sybil sięgnęła pod spódnicę, żeby zdjąć figi. — Proszę pani „•” mówić. Nie chcę wiedzieć. A teraz proszę na stół.

Nie miała gdzie schować majtek, więc zwinęła je i włożyła do torebki. Wgramoliła się na stół i położyła sztywno jak tn,a Łzy zaczęły płynąć, gdy poczuła na sobie jego ręce, j^»' podciągnęły spódnicę na biodra, podniosły kolana i rozsunek, je. Jej ciało trzęsło się, zalewane falami wstydu i upokorzenia

— O Boże — szlochała. — Chcę umrzeć. Proszę pozwolić mi umrzeć.

— Hmm, to oznaczałoby dla mnie pewne problemy - _ odparł jowialnie lekarz. — Proszę się odprężyć. Wszystko będzie dobrze. Widziałem wiele kobiet w pani sytuacji. Zawsze ładne, zawsze żal, zawsze za późno. A jeśli Europejki, to zwykle dlatego, że ojciec nim nie był. Czy nie tak, hę?

— Pochylił się nad nią. — Trochę zaboli — usłyszała Sybil. — Niedługo. Kilka minut. Nie tak bardzo. Nie może pani hałasować. To, co robimy, jest nielegalne.

W miejscu, które jeszcze niedawno pieściły ciepłe palce L, poczuła zimne dotknięcie metalu.

Uplłynęły godziny. Nie wiedziała ile. Leżąc na plecach, poznała każdą rysę na suficie, oszałała z bólu. „Żadnego ryzyka, zapewnił lekarz. Chciałbym dać pani środek przeciwbólowy, ale nie mogę. One różnie działają, a ja nie mam sprzętu, żeby poradzić sobie z komplikacjami”.

W pewnej chwili zrobił jej zastrzyk. Długą igłą, prosto w łono. Prawie się nie odzywał, lecz Sybil słyszała, jak nuci pod nosem. Melodia z Lohengrina. Nie powiedział jej, co się może stać, więc bez ostrzeżenia ból ściskający ją w środku buchnął płomieniem i ogarnął całe jej ciało. Zaczęła krzyczeć, i lekarz zatkał jej usta ręką. „Cisza! Chce pani, żeby przyszła policja?”. Po chwili paniki dodał: „Potrzebujemy kawałka tkaniny. Co pani zrobiła z majtkami?”.

Poczuła, że wciska jej materiał między zęby. „Niech pani to gryzie, nakazał. I, na litość boską, proszę być cicho”.

Poczuła, że gmera instrumentami w jej kroczu, potem ból znów się rozpałił, i już jej nie było.

300

We śnie Sybil była daleko, na wyspie z L. Leżała na wznak na plaż:y- Było gorąco, morze śpiewało pieśni Wagnera. Pan Love uśmiechał się, zapewniając ją, że wszystko będzie dobrze, pochyle się nad nią i powiedział, że wyskoczy tylko po coś do jedzenia i niedługo będzie z powrotem.

Sybil wróciła do świadomości na falach bólu. Jej ciało, wstrząsane skurczami, wznosiło się jak morze, próbujące wyrzucić coś na brzeg. Z bardzo daleka usłyszała głos lekarza: już prawie, już jesteśmy blisko”.

" Usiadła. Lekarz, trzymając kubek z herbatą, patrzył na coś między jej nogami. Spojrzała w dół i zobaczyła ogromny krwawy strzęp. „Och, proszę to zabrać!, krzyknęła. Proszę!”. Lecz lekarz powiedział, że nie może, dopóki nie wyjdzie łożysko. Sybil leżała na stole całą wieczność, starając się nie dotknąć dziecka.

- Co teraz będzie? — Za jedynym, brudnym okienkiem pokoju panowała ciemność. Nadeszła noc, przynosząc kolejną falę deszczu. Ból odpłynął, odsłaniając duszę, cuchnącą jak nadbrzeżne bagnisko.

— Teraz? Pójdzie pani do domu.

— Pytałam, co się stanie z...

— Niech się pani o to nie troszczy — odparł lekarz. — Ja się tego pozbędę.

— Tak, ale... — Przerwała, widząc jego twarz.

— Nie ma pani dość koszmaru? — zapytał. — Na końcu drogi jest odpowiednie miejsce.

Więc płód zostanie pogrzebany na mokrym, cuchnącym wysypisku miejskim niedaleko stacji Churchgate. Rozpłakała się na myśl o tym, że jej dziecko zostanie wyrzucone na śmietnik. Deszcz nie przyniósł ukojenia.

Odliczanie

(Dziennik Sybil, 1958-59)

Chorowała przez kilka tygodni. Pokaleczył ją w środku. Nie ośmieliła się pójść do rodzinnego lekarza. Jej przyjaciółka (czemu nie wymieniła jej imienia, przecież to jasne, że chodziło o Maję?) odwiedziła ją chciała zabrać do kliniki, która zgodziła się ją przyjąć. Sybil odmówiła. Dali jej leki, które uśmierzyły ból, lecz nie powstrzymały koszmarów. Uciekła do Ambona, żeby dojść do siebie, i zabrała Phoebe. To było pierwsze lato spośród trzech, które z nami spędziły.

Zaden koszmar nie jest gorszy od obrazów, które podsuwa mi wyobraźnia na jawie. Przez wiele tygodni po tym, jak ją straciłam, czułam, jak się we mnie szamoce. Nawet teraz wyobrażam sobie, że pamiętam jej ostatnie kopnięcie na moim lewym boku. Chciała przyjść na świat, ale nie miała siły, biedactwo. Siostrzyczka Phoebe, jestem pewna, że to była dziewczynka, urodziłaby się w lutym.

Data wskazywała, że pisząc to, Sybil była z nami w Ambona. Teraz wiem, dlaczego wyglądała tak źle, dlaczego była tak bardzo zamknięta w sobie, a nie taka jak kiedyś, radosna i tryskająca energią; dlaczego mała Phoebe płakała za kurnikiem i dlaczego matka Juli wyczytała smutek w jej oczach. Świat jest piękny, a ja jestem pusta. Przy innych ludziach muszę zachowywać twarz. Zwłaszcza ayah niczego nie może podejrzewać. Maja próbuje podnosić mnie na duchu, a ja, ze względu na Phoebe, staram się być wesoła, lecz gdy zostaję sama, w tym miejscu, w którym ból, wstyd i gniew zbierają

302

się razem, zaczynam płakać i nie mogę przestać. Znalazłam w gniewie jakąś siłę. Kołyszę się jak wahadło między łzami a morderczym nastrojem. Przeciwno L za jego okrutną zdradę, przeciwko Killy'emu za zaniechanie mnie, ale najbardziej przeciwko samej sobie. Chciałam tego dziecka, lecz brakło mi odwagi, by je zatrzymać. Powinnam była posłać ich wszystkich do diabła. Z powodu mojej słabości dziecko zginęło potworną śmiercią. Miała prawo czuć się bezpiecznie w moim łonie, a została z niego wyrwana, i spotkał ją los, o którym nawet nie umiem myśleć. Urodziłaby się w lutym. Ciągłe próbuję sobie wyobrazić, jak by wyglądała. Czuję się tak, jak gdybym popełniła morderstwo.

Właśnie wtedy moja matka opowiedziała nam historię Nafisy Jaan. Nic dziwnego, że Maja nie chciała... Nic dziwnego, że prosiła Sybil, aby wybrała coś innego. Czemu Sybil nalegała? Czy po to, by jeszcze mocniej rozpałiła swój gniew? Powtórnie przeczytałem Pokutę. Kilka tygodni po pogardliwym odprawieniu Sybil, Pan Love odebrał jej telefon; połączenie było okropne: „coś trzaskało na linii, głos zanikał, przerywały go głośnie huki i grzmoty”. Wyjaśniła mu, że jest burza. Za mało powiedziane, jeśli określiła w ten sposób tamto popołudnie.

Poinformowała mnie, że nie jest już w ciąży (z powodu złego połączenia niewiele usłyszałem), ale chyba zrobiła aluzję do jakiejś mętnej legendy z przeszłości. Lecz jej ostatnie słowa, zanim odłożyła słuchawkę, były absolutnie wyraźne: „To mężczyźni tacy jak ty zasługują na śmierć, a nie nienarodzone dzieci. Przysięgam ci, będzie pokuta!”.

Sybil wróciła do Bombaju roztrzęsiona. Emocjonalne rany spowodowane aborcją nie zagoiły się, lecz dwa miesiące z dala od męża uczyniły ją silniejszą. Mimo to przerażała ją myśl o powrocie do niego, o powrocie do miasta. A jeśli wpadną na ~ w klubie albo na tańcach? Czy zdradzi ją jej

reakcja? Jednak Phoebe musiała iść do szkoły i nie było innego wyjścia: trzeba ^acać i stawić czoło temu, co się może zdarzyć.

Ku zaskoczeniu Sybil, Killy był pełen wyrozumiałości. Sama

303

dobroć. Nigdy w czasie ich małżeństwa nie okazywał jej ь, uwagi. Wiedział, że Sybil była chora, ale oczywiście, nie z*! przyczyny. Zmartwiony jej nieustępującą depresją, nacisW żeby mu się zwierzyła. Nawet jego delikatność ją irytował' W wybuchu gniewu powiedziała mu, że nienawidzi \щ-' nienawidzi swojego życia, że chce umrzeć. Spodziewała się, 7 będzie zły, lecz jego reakcja ją zdziwiła.

Powiedział, że obwinia siebie o to, że ją zaniedbał, Bombaj w czasie monsunu to piekło.

Zaproponował, żeby zabrała Phoebe do Anglii na długie wakacje. Może się zatrzyma u swoich rodziców, a on spróbuje do nich później dołączyć na kilka tygodni. Mając nadzieję, że Sybil się zgodzi, już zarezer-wował dwa bilety na samolot do Anglii. Super Constellation To miał być pierwszy lot w życiu Sybil. Ona jednak, nie będąc w stanie uwierzyć w jego dobre intencje, pomyślała: Chce się mnie pozbyć. Zwraca mnie jak wadliwy towar. Ale jak się wkrótce okazało, nie miała racji.

Po ponad dziesięciu latach spędzonych za granicą, Sybil była zdumiona. Anglia wydała jej się taka czysta. Mokre, równe drogi, samochody i ciężarówki przesuwane się po nich w uporządkowanym pochodzie. Żadnej kakofonii klaksonów. Żadnych paanwallahów przykucniętych we wnękach ulic w South Croy-don. Rodzice Sybil byli wniebowzięci na jej widok i nie posiadali się z radości, gdy pierwszy raz w życiu ujrzeli swoją wnuczkę, Phoebe, wciąż opaloną po pobycie w Ambona.

Pojechali do londyńskiego zoo, żeby popatrzeć na tygrysy.

„Pewnie widziałas ich dużo w Indiach”, powiedział dziadek.

„Tygrysów, nie, odparła Phoebe. Przeważnie lamparty i dzikie świnie”.

Babcia powiedziała do Sybil: „Uroczę z niej maleństwo. I niedługo pozbędzie się tego okropnego indyjskiego zaśpiewu”

Po kilku tygodniach pedantyczność matki zaczęła drażnić Sybil, tak samo jak niewyrażone głośno zatroskanie ojca, chodzącego ciągle z zaciśniętymi ustami. Wtedy przyjechał Killy. Oznajmił, że wziął dwa miesiące urlopu, a Sybil wtf' działa, że musiało to być trudne do załatwienia. Miał mnóstwo

304

łanów na ich wspólne wakacje. Zabierze ją na tańce. Odwiedzą «/szystkie stare miejsca, w których „zalecali się do siebie”, cybil siC uśmiechnęła, słysząc to staroświeckie wyrażenie. 7jedli kolację przy świecach w małej francuskiej restauracyjce a, Soho, w której jej się oświadczył. Starszy kelner bardzo -kakał nad Sybil i powiedział, że dobrze ich pamięta.

Co za nonsens, stwierdziła. Założę się, że go do tego namówiłeś”.

jśjly się przyznał i oboje zaczęli chichotać. Wziął ją za rękę i po raz kolejny powtórzył, że bardzo żałuje, że tak ją zaniedbał. Znała go dość dobrze, by wiedzieć, że mówi szczerze. Killy powiedział, że uświadomił sobie, jak ciężko musiało jej być w Indiach. Ale teraz będzie inaczej. Udowodni jej, poprawi się. Sięgnął do wewnętrznej kieszeni i wyjął bilet.

„Tylko dla nas dwojga, rzekł. Nasz drugi miesiąc miodowy”.

Bilet na prom. Wynajmą samochód i pojedą. Do Dijon... Do Chamonix... Do Wenecji... Killy był cudowny. W olśniewającej scenerii Alp Sybil zapomniała o smutku, opaliła się. W pamiętniku były dwie kartki listu, który napisała do Mai.

...W Chamonix, gdzie szczyty wyglądają tak, jak malują je dzieci. Noszą szpiczaste kapelusze ze śniegu niczym czarodzieje. K jest taki dobry. Spodziewałam się czegoś zupełnie innego. Nie wiem, co myśleć. Byłam pewna, że nasze wybory się dokonały, lecz teraz — nie wiem — po raz pierwszy od miesiący zaczynam myśleć, że jest nadzieja, i boję się. Mój Boże, gdyby on wiedział. Muszę uważać, żeby tego nie zobaczył. Wie, że do Ciebie piszę.

Później. Wczoraj wieczorem w końcu dotarliśmy do Wenecji. Mieszkamy w małym hoteliku przy Canareggio. K od razu chciał iść na spacer. Przeszliśmy po szerokim moście i znaleźliśmy się w labiryncie uliczek i wąziutkich kanałów, a potem na Moście Westchnień. Dalej, kolejnymi

uliczkami, na plac św. Marka, gdzie usiedliśmy przy stoliku i słuchaliśmy skrzypka przy Cafe Florian. Podszedł do nas ciemnoskóry chłopiec sprzedający róże, K kupił mi jedną. Mówię ci, jestem bardzo roztrzęsiona. Ten chłopczyk przypominał mi syna ogrodnika z Ambona, te same ogromne,

305

ciemne oczy... Pomyślałam o Tobie, o wielkiej dobroci, jaką mi okazałaś tego lata. Co ja bym bez Ciebie zrobiła... Właśnie byliśmy na lunchu. On wciąż jest uroczy. To ja się zamartwiam, jestem skołowana. W przyszłym tygodniu K wraca do Bombaju. Odlatuje, wyobraź sobie! Chce, żebyśmy zostały z Phoebe w Anglii jeszcze kilka tygodni, do listopada. Ale myślę, że już podjęłam decyzję. Wracam. K obiecuje, że wszystko będzie inaczej. Będzie więcej czasu spędzał w domu. Będziemy razem. Na Boże Narodzenie pojedziemy do przyjaciół w Simli i powitamy Nowy Rok. 1959. Czy to nie dziwne, Maju, że tyle lat spędziłam w Indiach i nie widziałam Himalajów?

Gdy nadszedł czas odlotu K do Bombaju, Sybil nie chciała żeby wracał. Mroźna Anglia wydawała się nie do zniesienia.

W listopadzie, gdy w Bombaju zaczyna się „zimna pogoda”, Sybil wyzdrowiała na tyle, by wracać. Czy Killy znów zacznie się zachowywać po swojemu? Co będzie, jeśli ona spotka Pana Love?

Lecz Killy ciągle był tym samym, nowym, troskliwym Kil-lym. Przyjaciółki uradowały się na jej widok i natychmiast powtórzyły najnowsze plotki: Moja droga, słyszałaś o tym szalonym Subie? Co zrobił tym razem? Stopniowo zaczęła odbudowywać swoje życie.

Parę tygodni później Killy zabrał ją do przyjaciół w Simli. Śnieg za oknem i ogień w kominku. Spędzili przyjemnie Boże Narodzenie i Nowy Rok. Killy wciąż bardzo o nią dbał, i po raz pierwszy od dziesięciu lat Sybil pomyślała, że warto było wychodzić za męża. Wiosną była już w pełni sił. Niektóre wpisy w dzienniku w nowym, tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym dziewiątym roku.

3 stycznia

Killy jest pod bronią, gdyż w dzisiejszych gazetach ukazał się artykuł o „dyskryminacji rasowej” w jego klubie Breach Candy. Nie rozumiem, skąd to zaskoczenie, bo to oczywiste,

306

że stosuje się tam politykę „żadnych czarnuchów”. „Blitz” opublikował APEL DO WSZYSTKICH PATRIOTÓW, by wzięli udział w masowym wiecu w Dniu Republiki, dwudziestego szóstego. Killy mówi, że Hindusi są absurdalnie drażliwi na punkcie narodowej dumy, a „demonstracja” w Dniu Republiki to bezwstydnie podgrzewanie krwi. „Blitz” zamieścił zdjęcie napisu wiszącego w klubie, wraz z dziwną kapitalizacją, którą postaram się wiernie tutaj odtworzyć:

Ten GMACH jest DZIEDZICTWEM EUROPEJSKICH MIESZKAŃCÓW BOMBAJU.

Powierzonym ich pieczy po wsze czasy AKTEM NADANIA datowanym TRZECIEGO LUTEGO 1876. Tylko oni i ich goście EUROPEJSKIEGO pochodzenia, na których rozciągają ów przywilej, mają prawo wstępu.

6 stycznia

Konkurs literacki Daldy wygrała niejaka Coralie Atzen-weiler. Ciekawe, czy Maja ją zna. Nazwa brzmi cokolwiek idiotycznie, jeśli się wie, że dalda to biały tłuszcz do smażenia, przypominający śliski smalec. Nagrody pocieszenia również trafiły do osób o absurdalnych nazwiskach, a wśród laureatów znalazł się pan D. D. Dhanjikanjibar-fiwala.

10 stycznia

SZEŚĆDZIESIĄT LAT TEMU. 1899: ZBRODNIA NAMIĘTNOŚCI. Straszna tragedia w Bandorze koło Bombaju. Kapitan Iremonger z Pułku Lekkiej Piechoty Durhamskiej został postrzelony przez inżyniera nazwiskiem Gregory, pracownika firmy kolejowej Great Indian Peninsular Rail-way. Pan Gregory następnie zastrzelił swoją żonę, a potem, palnął sobie w łeb. Kapitan Iremonger znajduje się w ciężkim stanie. Jak podaje „Central News”, motywem zbrodni była ponoć zazdrość, pani Gregory ciągle przebywała w towarzystwie kapitana.

24 stycznia

Biedny stary Killy. Dzisiejsze wiadomości są zupełnie surrealistyczne. „Blitz” wydrukował list otwarty mera Bona, baju o Breach Candy, pełen pięknie brzmiących frazesów i szczerego oburzenia. Killy stwierdził ponuro, że niedaleki jest już czas, gdy trzeba będzie dopuścić do klubu Hindusów.

„Przygnębiająca myśl, nieprawdaż?”. Dla mnie nie, ale jestem tak wdzięczna Killy'emu za jego cudowną przemianę, że nie mam serca się spierać. Killy przeczytał mi część listu, który jeden z członków klubu zamierzał wysłać do „Times of India”. „Drodzy Hindusi, wiemy, że bardzo nas kochacie. Tak bardzo, że chcecie robić wszystko to, co my robimy, i nie odstępować nas ani na chwilę, gdziekolwiek jesteśmy. My też bardzo Was kochamy. Prosimy tylko o to, żebyście zostawili nam jakieś miejsce, gdzie będziemy mogli być sami od czasu do czasu”.

Ktoś podpisany jako „Vox Populi” napisał do księcia Filipa o „dyskryminacji rasowej”, lecz Filip i reszta brytyjskiego establishmentu najwyraźniej wciąż nie mogą się otrząsnąć z szoku wywołanego faktem, że Rosjanie wysłali w kosmos coś, co nazywa się „Sputnik”.

31 stycznia

Córka Nehru, Indira Gandhi, ma zostać prezesem Indyjskiego Kongresu Narodowego. Czy to możliwe, by pewnego dnia kobieta została nawet premierem?

14 lutego

Nowy film Hitchcocka, Zawrót głowy, ma u nas być w kwietniu. Cytuje się słowa reżysera: „Suspens jest j kobieta: im więcej zostawia się wyobraźni, tym większ podniecenie”.

20 marca 1959

Cóż za rozpaczliwa sytuacja w Tybecie. Dalajlama, [sic. zbiegł do Indii z tysiącami swoich mnichów. Jego ulubion powiedzenie brzmi: „Póki trwa przestrzeń, I póki istnieją żywe istoty, Obym i ja tak długo tu był, Aby rozpraszać nieszczęście tego świata”.

308

18 kwietnia 1959

Wybraliśmy się z Kilym i Phoebe do Excelsioru na Światła rampy. W Regalu grają Zawrót głowy. Nie możemy zabrać Phoebe. Ale w przyszłym tygodniu w Metro będzie Tomcio Paluch i Killy mówi, że możemy iść wszyscy razem. Stanowimy zwyczajną, małą rodzinę, a ja jestem znów szczęśliwa po raz pierwszy od lat.

27 kwietnia 1959

Lunch u Bombelliego. Grałam w U i Nie-U z Zafyque'em i Jo. Co za ulga! Jestem w przeważającej części U.

Tego dnia dzienniki Sybil nagle i zatrważająco się kończą.

Hotel

(Południowe Kensington, maj 1999)

Phoebe zadzwoniła, żeby mi powiedzieć, że jest w Londynie i poprosić mnie o spotkanie w hotelu. Nie powiedziała, dlaczego. Zjedliśmy lunch w dziwnej, podziemnej jadalni, z czarnymi ścianami ozdobionymi orientalnymi, lakierowanymi ptakami. Sprawiała wrażenie podenerwowanej; jako przystawkę wzięła sałatkę z cienko krojonego pomidora ze szczyptą bazylii i odrobiną oliwy.

— Dziewięć siedemdziesiąt pięć za coś takiego? Trochę słono, co?

— Ale to moja uczta — odparła. — Wiem, że księgarze zawsze są bez grosza.

— Nie wszyscy. James Heneage nie jest bez grosza. On jeden. — Z przyjemnością, nie zepsutą przyzwyczajeniem, zjadalem zupę imbirową z malutkimi kluskami krewetkowymi.

— A, przypomniałam sobie, mam dla ciebie mały prezent — powiedziała Phoebe. — Pochyliwszy się, dodała tajemniczym szeptem: — Ale mogę dać ci go dopiero później. Nie pozwól mi zapomnieć.

Miała na sobie jedną z tych letnich sukienek, które zaprojektowano chyba po to, by odsłaniały więcej, niż zasłaniają. Optymizm, pomyślałem, ubiera się na lato w maju. Kiedy widziałem ją ostatnio, był środek zimy. Potem nastąpiła tajemnicza cisza.

— Z wielką przyjemnością czytałam o Juli, ale nie mogłam przyzwycząić się do tego, że nazywasz go Mitrą. I o Doście. Dobrze wymawiam jego imię? Dost? Tak jak tost?

— Prawie. — Powinna była użyć miękkiego, zębowego „d i „t”, ale te głoski nie występują w angielskim.

Tym razem była między nami jakaś niezręczność, która

310

cZeśniej nie istniała. Domyślałem się, że Phoebe myśli

dziennikach matki. Czyżby żałowała, że dała mi je do przeczytania? Były takie intymne i pełne cierpienia. I urywały się wtak szokujący sposób. W każdym razie, szokujący dla mnie, jjo wvedałem, co nastąpiło potem. Albo tak mi się zdawało. »jje można było mieć pewności. piałem twardy orzech do zgryzienia: Byłem teraz pewny, że pokuta powstała z inspiracji dziennikami Sybil. One zaś urwały się dwudziestego siódmego kwietnia tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego dziewiątego roku, w dniu, w którym, według Pokuty, został zamordowany Pan Love. Ale mój znajomy sprawdził archiwum „Blitza” między styczniem a sierpniem. Nie było żadnej wzmianki o takim morderstwie. Czyżby Maja, rozwijając wątek „morderczych” nastrojów Sybil, zakończyła Pokutę fikcyjnym morderstwem? To była jedna możliwość. Z drugiej strony, jeśli morderstwo zostało wymyślone, czemu Maja podała tak dokładną datę? Dlaczego Sybil właśnie tego dnia porzuca na zawsze swój pamiętnik? I dlaczego kilka dni później zabiera Phoebe ze szkoły i ucieka do Ambona z Rosie i pospiesznie wyznaczonym Daruwallą? Phoebe uważała, że w Indiach zdarzyło się coś, co zrujnowało życie jej rodziców. Zakładałem, że wie o nieudanym romansie Sybil i aborcji. Lecz dzienniki nie mówiły nic o morderstwie. Pytanie brzmiało: Czy powinienem?

— Podobał mi się opis bazaru z palarnią haszyszu — powiedziała Phoebe. — Ale to dziwne pomyśleć, że ty tam byłeś.

Jak dotąd, mimo że paliła się, by zacząć mnie wypytywać, starannie unikała wszelkich wzmianek o dziennikach. Postanowiłem nie poruszać tej kwestii. Zastanawiałem się, dlaczego znów upłynęło tyle czasu, zanim się ze mną skontaktowała. Powietrze między nami mieniło się od duchów. Tym właśnie jest duch, mawiała Maja, pytaniem bez odpowiedzi.

— Nie zawsze byłem zatwardziałym nudziarzem — odparłem.

— Już ci mówiłam, żebyś się nie deprecjonował. Jesteś Wezwyczajnym, fascynującym mężczyzną. Jej oczy wpatrywały się w moje ponad chusteczką, którą Podniosła do ust. Ku mojemu ogromnemu zdziwieniu, nie żartowała.

311

— Na pewno nie mylisz mnie z kimś innym? — Gdy byllllly dziećmi, nikt nie wspierał mnie tak lojalnie jak Phoebe. Odtei pory nigdy nie zaznałem takich nieograniczonych względów ze strony żadnej istoty rodzaju żeńskiego. A gdy się ostatnio widzieliśmy, wcisnęła mnie między piaszcze i pocałowała.

— Przewiduję, że pewnego dnia, już niedługo, sam siebie zaskoczysz — powiedziała. — Czy mógłbyś zawołać kelnera?

Mężczyzna zmaterializował się jak na zawołanie między dwoma lakierowanymi smokami, żeby zabrać nasze talerze Phoebe nalala wina. Mój kieliszek wciąż był prawie pełny, a jej — pusty. Co najmniej trzeci. Sięgnęła do torebki i wyłowiła złotą zapalniczkę.

— Nie masz nic przeciwko? Wiem, że nie powinnam między daniami, ale...

Zapaliła tego przekłętego papierosa — nie cierpię ich -I a jej podenerwowanie było wręcz namacalne. I zaraźliwe. Na czym polegał problem? Dlaczego tak niespodziewanie zaprosiła mnie na lunch? Czy rzeczywiście chodziło o pamiętniki jej matki sprzed czterdziestu lat? A może o coś innego? Może powinienem był zapytać o jej męża albo powiedzieć: „Czy nie czas, abys powiedziała mi, gdzie mieszkasz?”. Tylu rzeczy o niej nie wiedziałem.

— Pewnego dnia chciałabym zjeść coś z tobą w tej kafejce — rzekła Phoebe. — Na tej ulicy o warzywnym zapachu. Niemożliwe, by tamten lokal bardzo się różnił od tego. — Uświadomiłem sobie, że nadal mówi o moich wspomnieniach o Juli. — Twoja matka była pisarką. A ty myślałeś kiedyś o tym? To znaczy, o napisaniu czegoś. Mógłbyś to zrobić?

W rzeczy samej, myślałem o tym. Każdy księgarz wart kurzu na półkach swojej księgarni uważa, że poradziłby sobie równie dobrze, jak autorzy książek zapelniających te półki. Wiemy, co ludzie kupują, mamy nosa do tego, co się sprzedaje. Czemuż by nie?

— A więc o czym ona jest, ta twoja historia?

Znów ta dziecinna maniera przechylania głowy na jęto stronę, zanim coś powie, uważne obserwowanie moich ust, gdy odpowiadam. Wydawała się teraz osobliwie bliska.

— O czym była? Nie tknąłem jej od lat.

Była to opowieść o mężczyźnie takim jak ja, który między czterdziestką a pięćdziesiątką spostrzeża, że tęskni za odrobiną przygody (sam będąc księgarzem, uczyniłem go księgowym), pewnego dnia znajduje w gazecie reklamę korespondencyjnego jfursu dla prywatnych detektywów i zgłasza się pod wpływem kaprysu. Każda kolejna lekcja uczy innej umiejętności — jak śledzić obiekt, żeby nie zostać zauważonym, jak podsłuchiwać rozmowy, jak szukać dowodów w śmieciach, jak otwierać listy za pomocą pary wodnej, jak podrzucać rzekomo źle zaadresowane listy — a on ćwiczy na sąsiadach i znajomych, ze śmiesznymi, a wreszcie katastrofalnymi skutkami.

— Brzmi fajnie. Dlaczego ją zarzuciłeś?

— Wciąż leży gdzieś w szufladzie.

Zjawił się kelner, manewrując wspaniałymi paterami z czarnej porcelany ze złotymi zdobieniami; każda zawierała zaaranżowane minimum, które można nazwać posiłkiem: dla niej jakaś ryba, może halibut, gotowana na parze w małych paczuszkach z sałaty, a dla mnie tagin jagnięcy z cytryną i oliwkami.

— Więc jaka siła popycha twojego bohatera do działania? — zapytała, gdy napełniliśmy kieliszki i zajęliśmy się miniaturowymi porcjami. — To znaczy, w gruncie rzeczy?

Cóż, to wymagało zastanowienia. Miałem postać, kilka epizodów, a nawet pomysł na zakończenie, lecz większość fabuły nadal spowijała jasna mgiełka. Chciałem, by mój bohater opowiedział swoją historię w tym zgranym jak talia starych kart stylu narracji w pierwszej osobie, który jest niemal de rigueur dla poważnej prozy detektywistycznej, ale co pchało go do działania? Nigdy nie byłem tego całkiem pewien. — Miłość — powiedziałem, choć bez większego przekonania. — Tak przypuszczam. W gruncie rzeczy, miłość.

— Każdy pisze o miłości — zauważyła Phoebe. — Może powinieneś spróbować pisać o czymś ciekawszym?

— Na przykład?

O zemście — odparła. — Może on chce się zemścić.

— To nie taki charakter. — Nie mogłem sobie wyobrazić, °y mój niespełniony detektyw pragnął się na kimkolwiek zemścić. — W zemście nie ma zbyt wiele humoru.

~ Nie o to mi chodziło. — Phoebe pochyliła się i nadziała

na widelec oliwkę z mojego talerza. Polizała ją, potrzymała chwilę między zębami, a potem wessała i przegryzła.

— Bha!u, miałam na myśli nie historię o zemście, Je,, napisaną po to, by pomścić.

— Nie rozumiem.

— No dobrze. Weźmy twojego księgarza. Księgowego Pewnego dnia dowiaduje się, że wiele lat temu uczyniono coi bardzo złego komuś, kogo kochał. Coś niewybaczalnego. Popej. niono straszną, okrutną zbrodnię, która zniszczyła jej życie Lecz zbrodnia nigdy nie wyszła na jaw, a zbrodniarz nie został ukarany. Więc wracasz, żeby ją zbadać.

— Chwileczkę — przerwałem. — Jak wiele lat temu? Dokąd wracam? Kto wraca? — A więc wreszcie, pamiętniki jej matki. Cóż za koszmarnie męczący sposób dojścia do tematu.

— Nieważne, jak dawno. To, co się stało, było tak straszne, że nigdy nie powinno być zapomniane ani wybaczone. Musi zostać ukarane.

Mówi o okrucieństwie Pana Love, pomyślałem. Ale dzienniki jej matki urwały się przed zakończeniem historii. Phoebe najwyraźniej nie wie, że Pan Love został za swe grzechy zabity.

— Phoebe, a jeśli ten mężczyzna, albo kobieta, oczywiście, który popełnił ten straszny czyn, nie żyje?

— Czemu uważasz, że to była kobieta? — spytała ostro Phoebe.

Dopiero wtedy przyszło mi do głowy, że nigdy się nawet nie zastanowiłem, kto zamordował Pana Love.

Wyśmienity, choć efemeryczny posiłek dobiegł końca. Oparliśmy się wysiłkom podobnego do wojownika ninja kelnera, próbującego nas skusić na commę czekoladową, jagodowe coulis,

jeżynowe mousse i topiący się ser, który, jak powiedział, jest gatunkiem wegetariańskiego brie. Nasza kawa, przyprawiona kardamonem, kosztowała więcej niż całe danie w kafejkach, do których chodziłem w Lewes. Phoebe siedziała, mnąc w palcach chusteczkę. Zauważyłem, że nie założyła obrączki. Znow wkradła się między nas wcześniejsza niezręczność.

— Dziękuję za wspaniały obiad — powiedziałem. — Nie-

314

eSto tak jadam. Właściwie, to jeszcze nigdy takiego nie jadłem-

' Wydawało się, że Phoebe podjęła decyzję. Nachyliła się do mnie-

___ Bhalu, muszę ci to powiedzieć. Rozpaczliwie chciałam je zobaczyć. To znaczy, sam na sam.

___ Naprawdę?

Od razu się przekląłem za tę nietaktowną odpowiedź. Przyszła mi do głowy niemożliwa myśl, że Phoebe znow chce mnie pocałować.

___ Tak, naprawdę. Widzisz, jest coś, co chcę ci powiedzieć jfje wiem, czy powinnam. Walczyłam ze sobą.

— Jeśli chcesz, to powinnaś.

— Mogę?

— Oczywiście.

— Wszystko?

— Absolutnie wszystko. Westchnęła.

— Tak właśnie myślałam. Widzisz, Bhalu, jesteśmy bliźniaczymi duszami. Połączyło nas przeznaczenie. Ty też to czujesz?

Wyciągnęła ręce i ujęła moje dłonie.

— Jestem pewna, że nie przez przypadek znowu się spotykamy. To, co nam się stało, kiedy byliśmy dziećmi, nadal nas wiąże. Widzisz to? Twoje i moje życie są ze sobą splecione. Jako dziecko miała warkoczyki w kolorze siana, na których nie mogła się utrzymać żadna wstążka, bez względu na to, jak mocno i przemyślnie była zawiązana. Biedna, nieszczęsna Rosie złościła się, gdy Phoebe wracała bez nich do domu. Wzgórza w Ambona musiały być zaśmiecone skrawkami satyny. Teraz włosy Phoebe opadały miękko na jej szyję i były obcięte w stylu wciąż preferowanym przez kobiety, które dorastały w latach sześćdziesiątych, z grzywką wpadającą w oczy. Jaka była w młodości? Straciłem najlepsze lata jej życia, a ona mojego

— Bhalu, inni ludzie nie rozumieją. Kąty uważa mnie za Zagrożenie. — Przesunęła palcami po moim czole. — Nie barszcz brwi. A propos, z siwizną na skroniach jest ci do twarzy.

Nonsens!

315

— Nie. Już widzę, że otwierasz usta, żeby mi powiedz--że się mylę, ale ja się nie mylę. Kobiety mają instynkt, a ty podpowiada mi, że Kąty mnie nie lubi. Ani troszeczkę. }y[0, myśli, że spróbuję jej ciebie odebrać. Ale nie ma racji. Jaj^ cię mam. My już siebie mamy. Należymy do siebie, odkąd mieliśmy po osiem lat. Jesteś najwierniejszym, najprawdziwym przyjacielem, jakiego kiedykolwiek miałam. Ale staliśmy się sobie obcy. Tak się boję, że nie czujesz tego samego co ja

Wziąłem ją za ręce. Oto było źródło naszej niezręczności. Oboje tak bardzo pragnęliśmy udowodnić, że nasza dziecięca przyjaźń bez wysiłku przełoży się na terażniejszość, że nie śmieliśmy się przed sobą otworzyć jako dorośli, z obawy, że odkryjemy, że jednak nie mamy ze sobą nic wspólnego. A mnie się zdawało, że tylko ja się martwię, że tylko ja się boję, że dorosły, którym się stałem, zdradził obietnicę dziecka, którym kiedyś byłem. Phoebe miała rację. Byliśmy ze sobą związani i byliśmy sobie obcy. Z pewnością bardzo chciałem ją poznać. Mimo naszej długiej rozłąki była mi droga, tak jak ludzie, którzy kochali się z absolutnym oddaniem małych dzieci.

— Miałam poczucie, że mogę ci wszystko powiedzieć -ciągnęła Phoebe. — Absolutnie wszystko, a ty nie będziesz mnie osądzał. Czuję, że nie pomyślałbyś o mnie źle...

— Nie umiem sobie wyobrazić...

— Bhalu, a gdybym okazała się osobą, z którą nie chciałbyś się zadawać?

— Znam się i zadaję z Prosiaczkiem, więc nie sądzę, żebyś miała się czego obawiać — powiedziałem, niepewny, dokąd to wszystko zmierza. — Czy próbujesz mi powiedzieć, że zrobiłaś coś złego?

— Nie — odparła. — W każdym razie jeszcze nie.

Jej usta złożyły się jak pączek róży, a potem rozszerzyły się powoli w rozkosznie szelmowski uśmiech.

Szukając wskazówek na jej twarzy i nie znajdując niczego prócz uśmiechu, który już zniknął, uświadomiłem sobie, jak wiele straciłem. Nie znałem jej, gdy kształtowała się jej twarz, i mogłem tylko zgadywać, co uformowało zmarszczki od śmiechu w kącikach oczu i linie obok ust — lecz jej oczy, szare, nakrapiane zielonymi plamkami, były oczyma, które znałem z dzieciństwa-

316

— Miałaś kiedykolwiek romans?

To mnie zupełnie zaskoczyło.

— Nie — skłamałem. — A ty?

Chciała coś powiedzieć, ale udaremniło jej to nadejście Inera, całego w czerni, doskonale komponującego się z kryp-topodobną jadalnią.

Potem zaprowadziła mnie do swojego luksusowego apartamentu, tonącego w bieli, urządzonego w stylu corfiot, z łóżem i czterema słupkami, spowitym w obłoki muślinu. Oprócz stopnia w miejscu, gdzie podłoga spadała w niszę okna, nie było na czym usiąść, więc usiedliśmy na łóżku.

— Bhalu, na pewno się domyśliłaś, że nie zaprosiłam cię tutaj tylko po to, by zjeść lunch — powiedziała Phoebe.

— Nie? A więc po co?

Miałem nadzieję, że nie zauważy tego, co zabrzmiało w moim głosie. Głupio było to sobie wyobrażać, tym bardziej o tym myśleć... Ale przez cały czas przy posiłku byłem jej świadomy — jej perfum, wdzięcznego zagłębienia między piersiami, gdy pochylała się, by wziąć oliwkę, potem zwiniętego języka, który ją polizał... A Phoebe zapytała, czy miałem romans...

Ujęła mnie za rękę.

— Tak trudno w to uwierzyć. Tyle lat rozdzieleni, a uczucia pozostały.

— O Boże — powiedziałem — ty drzysz.

— Bhalu, bardzo się tego boję... Tego, co z tobą tutaj robię. To prawdopodobnie zły pomysł.

Cokolwiek się stanie, nie chcę, żeby to coś zepsuło.

Wpatrywała się we mnie tymi dziwnymi oczami z dzieciństwa. Czulem, jak moje wątpliwości się rozplývają, budzi się zwierzęcy instynkt. Byłem gotów do zdrady.

— Nie sądzę, żeby to mogło coś zepsuć.

Tak jak mówiłam, czuję, że mogę ci we wszystkim zaufać. Mogę?

Oczywiście, że tak. Puściła moją dłoń, wsunęła rękę do torebki i wyciągnęła ^by notes w zielono-
żółtej okładce.

317

— Przyniosłam to. Chcę, żebyś przeczytał. To ostatni dzie niki mamusi. Od tysiąc dziewięćset
dziewięćdziesiątego tr> " ciego roku.

Notes leżał na łóżku między nami. Poczulem, że osuwam si w coś, co, jak sobie tłumaczyłem, jest
ulgą, lecz co bard? przypominało żal.

Phoebe zaczerpnęła tchu.

— O Boże, Bhalu, tak się tego boję. Co sobie pornyśliS27 Ten dziennik zaczyna się w Anglii, i jest
w nim bardzo dużo Ale kończy się w czasie podróży, którą odbyła do Indii jakieś sześć lat temu.

Nie chciała mi powiedzieć, po co tam jedzie A gdy wróciła, nie chciała powiedzieć, dlaczego
pojechała Kilka miesięcy później zmarła, a ja znalazłam to obok jej łóżka

Pożądanie odplýwa tak boleśnie powoli.

— Mam go ze sobą zabrać?

— Nie — odparła. — Wolę, żebyś przeczytał teraz. Tylko ostatnich kilka stron. Nie chcę

ryzykować, że ktoś jeszcze to zobaczy. Powinnam była go spalić.

— Czemu, co w nim jest?

— Przeczytałeś pamiętniki?

— Tak. — Wciąż nie powiedziałem jej o Pokucie.

— Wiesz, że moja matka miała romans... który źle się skończył. Zrobiła aborcję.

— Tak, przykro mi.

— Nigdy czegoś podobnego nie miałam, to znaczy poza-mażeńskiego romansu, więc nie wiem, wybaczyć mi... Zastanawiałam się, czy ty...? Ten mężczyzna został zamordowany.

Panika przebiegła po moim kręgosłupie niczym strumień prądu. W jednej chwili straszliwe znaczenie Pokuty stało się jasne. To była prawda. Zatem wszystko, co było z nią związane, też było prawdą... A Maja przyjęła na siebie winę za śmierć tego człowieka.

— Skąd o tym wiesz? — spytałem wreszcie.

— Mamusia mi powiedziała. I tutaj jest to opisane — °d' parła, stukając w notes długim paznokciem. — Bhalu, bardzo się boję, że wiem, kto go zamordował.

Ostatni dziennik" Sybil

(Bombaj, 1993)

Arabowie siedzą na falochronie, śmiejąc się w deszczu. Przyjeżdżają tutaj o tej porze roku, okryci kurzem synowie pustyni, w większości z Dubaju, żeby podziwiać monsun. Powiedział mi o tym Shankar, kelner obsługujący pokoje. Mówi, że personel ich nie lubi, bo są brudni, pozwalają dzieciom sikać na podłogę i robić kupę do szafek, ale hotel znosi to, bo dają duże napiwki, setki rupii, i płacą za wszystko z nadwyżką. Przez moment zdawało mi się, że widzę między nimi siedzącego na murze L. W jednej chwili wszystko wróciło, amoniakalna zmasa, która przykleiła się do mnie i nie opuszczała w czasie tych miesięcy po morderstwie, ciągły strach, że zostanę odkryta. Myślałam, że nigdy się z niego nie otrząsnę, lecz z czasem stał się mniej straszny i — choć nie wiem, ile upłynęło lat — nadszedł dzień, gdy obudziłam się i nie była to pierwsza myśl, która przyszła mi do głowy.

Wróciłam do Indii na trzy tygodnie, a trudno mi wytrzymać trzy dni. Mijają, zmarnowane, tak jak wtedy, gdy pierwszy raz tu przybyłam w tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym. Zapachy, stęchlizna, wilgotna gorączka, nieświeże łóżka, gorycz w chlebie, wszystkie składniki ogólnej niechluj-ności wciąż tu są. Czuję tę samą frustrację, gdy zbliża się wieczór; wiatrak kotłuje gorące powietrze, a ja leżę, niewygodnie skulona na rozgrzebanym łóżku, udając, że czytam, podczas gdy kolejny dzień przechodzi w noc, bezowocnie.

Może L wrócił, żeby mnie prześladować. W końcu czy

nie po to tu jestem, żeby przespać się z duchem, tak jak kiedyś spałam z mężczyzną? Shankar, kelner, właśnie przyniósł mi butelkę whisky. I dwie butelki wody sodowej. Na krawędzi szyjki, pod zerwanym kapslem, widać rdzę. Shankar położył rękę na sercu, uklonił się i wycofał z pokoju. Ma znak kasty na środku czoła. Dużą czerwoną kropkę. Dziura po kuli, takiej jak ta, która zabiła L. Z dołu dochodzi odgłos bicia w bębny. Pierwszy raz oglądałam wschód księżyca w Indiach od czasu, gdy byłam z Mają w Ambona. Boże, indyjska whisky jest obrzydliwa. Dlaczego wróciłam? W Londynie żartowałam, że przywiozę podarunki dla tych, którzy jeszcze mnie pamiętają, i zostaną tak długo, by kupić prezenty, które zabiorę do domu. Phoebe powiedziała: „Nie jesteś domokrażcą rozwożącym prezenty i towary innym ludziom”. Moja misja była inna. Moim prezentem na sześćdziesiąte dziewięte urodziny będzie uwolnienie się od ludzi koszmarów, ostatnich, którzy jeszcze są. Powiedziałam sobie: „Wrócę do Indii i odszukam Maję. Pojedziemy razem do Ambona. Ona będzie wiedziała, jak załatwić to, co musi być załatwione”. Trzydzieści dziewięć lat temu wyjeżdżałam stąd. Teraz chcę pojechać do redakcji „Times of India” i poczytać stare gazety, by przeżyć jeszcze raz to, co wtedy czułam. Ból, lęk przed ujawnieniem. Niemal słyszałam zachłystywanie S, mojej rywalki w miłości: „Naprawdę myślałaś, że ci się upiekło, prawda, moja droga Sybil?”. L nie żył, ale oni nie pozwolili skończyć historii. Szukali, grzebali, wtykali nos i byli bardzo blisko, lecz nigdy nie poznali prawdy, a gdy nic nie zostało do opisanego, jego duch zaczął się pokazywać w całym mieście.

Nawet teraz, po tak poważnym upływie czasu, wraca ta migotliwa histeria, którą poczułam, gdy

przeczytałam, że widziano ducha L chodzącego w pobliżu mieszkania przy Nepean Sea Road. Dwie noce po tym debiucie pojawił się znowu, tym razem przy Flora Fountain. Obserwacje się mnożyły. Na Memonwada Street, koło Chor Bazaar, duch zaczepił mężczyznę idącego do meczetu Chicken-moholla. Wspiął się na posąg czarnego konia przy Kalaghoda i siedział, uśmiechając się krzywo, za Edwardem VII. Wzleciał

z pociągu na dworcu VT i rozpląnął się w stadzie gołębi, profesor uniwersytetu zauważył go palącego fajkę na schodach Biblioteki Azjatyckiej. Widziano go wykonującego obsceniczne gesty na forkaście niszczyciela i jednocześnie zebrzącego u kierowców przejeżdżających samochodów przy Kemp's Corner. Podczas pierwszej wycieczki widmo L miało na sobie poważnie wyglądający, służbowy garnitur, lecz później zawsze było ubrane w zakrwawiony ręcznik kąpielowy. Mniej więcej w tym czasie uliczni przekupnie w całym mieście zaczęli sprzedawać repliki ręcznika, który nosił L, gdy umierał, z wydrukowanymi na czerwono dużymi, ociekającymi krwią literami. Jego prawdziwe imię, rzecz jasna, a nie „Pan Love”; to jak go tak przezwałam, a prócz mnie tylko Maja знаła ten przydomek. Co za gorzkie nieporozumienie. Nie przepuścił szansy, by mi powiedzieć, że jego imię znaczy w hindi „miłość” — przypuszczam, że to samo mówił wszystkim innym mężatkom, które padły jego łupem. Maju, cóż to za ironia, że przybyłam tu, by Cię szukać — przysłana przez Żula w anielskim przebraniu — tylko po to, by dowiedzieć się, że od lat mieszkasz w Anglii. Jak to się stało, że straciłyśmy ze sobą kontakt? Byłyśmy bliskie jak siostry, les inséparables' — czyż nie tak nazywał nas Sub? Lecz później nienawidziłam wszystkiego, co miało związek z Indiami — tak, nawet Ciebie, Maju. To wszystko wydaje się niemożliwie odległe: Ambona, góry przykucnięte pod falami deszczu tego lata, kiedy powiedziałam ci o moim poronionym romansie, o lęku, że Killy się dowie. Zdrada była wystarczającym złem, ale z Hindusem? A było to przed śmiercią L. Opowiedziałam Ci o tym, jak dowiedziawszy się, że będę miała dziecko z L, poszłam do niego, wyobrażając sobie jego radość, i powiedziałam: „Oto nasze dziecko, którego chciałeś”. O jego twarzy, na której nie pojawił się uśmiech. O jego zimnej reakcji, moich łzach niedowierzania, a potem zasługującej na pogardę, niewybaczalnej sugestii, bym powiedziała mężowi, że to jego dziecko. Boże, jak on musiał mną gardzić. Nawet wtedy miał w zanadrzu

les inséparables (franc.) — nierozłączne

jeszcze jedną obelgę, którą we mnie rzucił. „Uważasz, że powinienem się żenić z każdą kobietą, z którą spałem?”.

Teraz nie pozostało nic. Nie spotkamy się już w tym życiu. Moja nadzieja w tym, że zostanę uwolniona. Droga Maju, na pewno zdziwisz się, gdy otrzymasz ten list ode mnie — od poprzedniego musiało upłynąć trzydzieści lat. Maju, co za żal. I cóż za ironia, że przebyłam tak długą drogę, by Cię znaleźć. Najdroższa Maju, wyobrażam sobie Twoje zdumienie, gdy dostaniesz list od swojej dawnej przyjaciółki Sybil Killigrew; mniej Cię zdziwi, że przychodzi z Bombaju, choć będzie musiał wrócić do Anglii, by Cię odnaleźć. O Boże, myśl o moim powrocie przeraża mnie, zadanie, dla którego tu przyjechałam, niewykonane, a jeśli zastanawiasz się, co tutaj robię, przyjeżdżam szukać Ciebie, posłana przez anielskiego Żula w przebraniu, bo uznałam, że muszę coś zrobić i tylko ty mogłaś mi pomóc. Ale, na Chrystusa, Ciebie tu nie ma. Najdroższa Maju, oto ja, stara poczciwa Sybil K., przeczesuję cuchnącą kupę śmieci, jaką jest Bombaj, w poszukiwaniu Ciebie, i okazuje się, że przez cały czas jesteś w Anglii, i to w separacji, o czym dowiedziałam się od Homiego Mehry. Starość niestety wcale a wcale go nie poprawiła. Maja jest w Anglii, powiedział, ale nikt nie wie, gdzie, od lat nikt nie miał od niej wiadomości. A więc niech i tak będzie. Jutro pojedę sama do Ambony, żeby tego poszukać...

Więc pojechałam i wskazówki, które nosiłam zamknięte w mózgu przez niemal czterdzieści lat na nic sienie zdały. Absolutnie na nic. Potrzebuję Cię, Maju, ale jakie wskazówki zaprowadzą mnie do Ciebie? Spójrz, oto pusta butelka. Jeśli wyjdę na balkon i zamachnę się dość mocno — wcześniej włożę do środka wiadomość, będzie miała taką samą szansę dotarcia do Ciebie — czy doleci do morza?

Nie doleciała. Narobiła koszmarnego hałasu, odbiła się od samochodu³ roztrzaskała w rynsztoku. Schowałam się i zgasiłam światło. Wina spadnie na Arabów.

Sybil K wykonuje dobrze znaną sztuczkę Houdiniego. Pisze w ciemności. Księżyc wciąż wisi na niebie, ale ma zaciętą, złą twarz i jest wysoko. Nie widzi? ale słyszy. Fale pękają na falochronie, pijane słowa galopują po kartce. W ciemności ich głosy mogą do mnie wrócić. L i jego dziecko zamordowane w przeciągu roku, czaszka ojca podawana w sądzie z ręki do ręki? żeby prześledzić drogę pocisku, zwłoki jego latorośli ciśnięte do kosza na śmieci. Cóż za pomieszany umysł przeżył, który kochał was oboje?

Mow, dziecię. Wróciłam — o jedną lub dwie morskie fale od miejsca, gdzie cię poczęto. Skontaktuj się ze mną dziś w nocy; wystarczy zetknięcie umysłów, nic więcej, żebym została uwolniona. Nad twoim morzem, wśród szmeru fal i z ojcem, który jest z tobą, uwolnij mnie ty, abym mogła skończyć tę sztukę. Dziecię nienarodzone, tylko za twoim przyzwoleniem mogę odejść w sen. Wymaż resztę. Nigdy nie znalazłam na tym świecie miłości równej mojej... Jestem jaskinią i ryczącym morzem; historią i czasu upływem. Zabijam moje młode, gdy tak mi akurat pasuje. Mów, śmieciu! Ty, któryś skończył na wysypisku Churn-

>rzez tego, [Itlerem —

zadriego miłosierdzia — sarn uciekł przed Hitlerem, lecz noża, odszecełł[^]na stertę odpadów oczekuj ącacię.

Czyń jak wola. Diabeł nie błaga. Bóg szafuje miłością, ale ja śmiercią. Okaż wyrozumiałość, a zabiję was znowu oboje. L mnie nie kochał. Tak mi powiedział. Inni ludzie też. Jeśli wykorzystasz kogoś w imi miłości, zasługujesz, by ci zamordowano.

Na fale & cuchnąc, morze, sze.sc kul inoz wspomnijcie mnie Nepe m Sea,. Prem Anudz. i jegodziecie, wspomnij cie. Dlatego że nie by łam коспдпа, zabiłam..

Jam jest twój pokutą!

CZĘŚĆ V

Szatan

Głęboka studnia

phoebe ani na chwilę nie spuściła ze mnie wzroku, gdy czytałem ostatni dziennik jej matki. Podnosząc głowę, widzia-jem, jak mi się przypatruje, niemal ze strachem. Raz sięgnęła nerwowo po papierosa, ale odłożyła go, nie zapalając. Kiedy doszedłem do czarnych fal nienawiści, w których tonęła Sybil, gdy pisała coraz bardziej chaotycznie, gdy litery stawały się większe i bardziej koślawe, pióro ślizgało się, zostawiając poszarpane pętle, i dźgało papier, czułem coraz większą fascynację i przerażenie; wreszcie słowa spuchły, nabierając monstualnych rozmiarów i kształtów, tak że wystarczały zaledwie trzy, rozciągnięte na papierze, by wypełnić linijkę — wtedy pojawiło się oszałamiające zdumienie, przyszedł szok, od którego zatrzęsała się ziemia i runęły mury świata. — O Boże! — krzyknęła Phoebe. — Gdybyś mógł zobaczyć swoją twarz! Więc teraz już wiesz. Tak, teraz wiedziałem.

Phoebe bała się przeraźliwie, że jej matka była morderczynią. Wydało mi się to tak niedorzeczne, że parsknąłem śmiechem.

— Phoebe. Phoebe, kochanie, twoja matka go nie zabiła. A więc w końcu jednak ją obejmuję, tulę, wyciskam pocałunki na jej deszczowym policzku.

— Kochanie, posłuchaj. Wiem, że Sybil mówi, że go zabiła, «iem, że myślisz, że to zrobiła. Ale ona tego nie zrobiła! Nie mogła.

Prawda była o wiele dziwniejsza. Tak niesamowita, tak Przytłaczająca, że nie wiedziałem, jak jej to powiedzieć.

327

Phoebe płakała, cichutko pociągając nosem. Ciekło i • z niego, ale ona zdawała się tego nie zauważać. Deja vJ W takim stanie ją kiedyś znalazłem, przykucniętą wśród kurcząt. Jeszcze raz ucałowałem ją w policzek, a potem puściłem.

— Nie płacz, moja droga, kochana Phoebe — powiedzia. łem. — Pokażę ci to, udowodnię, że twoja matka była absolutnie niewinna.

Wziąłem notes i otworzyłem w miejscu, gdzie kończył się zapis, zrobiony ogromnymi, drukowanymi literami. Phoebe pokręciła głową jak małe dziecko.

— Spójrz tutaj. Widzisz? Wreszcie podaje nazwisko Pana Love. Podaje nam jego prawdziwe nazwisko...

Przerwałem. Widok tego nazwiska sprawił, że wstrzymałem oddech. Oczywiście, myślałem, oczywiście, że to niemożliwe. Nie mogło tak być. Phoebe oparła się o białe, obite satyną wezgłowie łóżka, wpatrując się we mnie mokrymi oczami i nic nie mówiąc.

Phoebe, gdyby to nazwisko cokolwiek dla ciebie znaczyło, wiedziałabyś, że Sybil nie zabiła tego człowieka. Nie miała szans. Nawet jednej na milion. Phoebe, ja wiem, kim był Pan Love. Wiem, kto go zabił. Wszyscy to wiedzą. To się stało, kiedy mieszkałem w internacie, z dala od domu. Ogromny skandal. Wszystkie gazety się o tym rozpisywały. Posłuchaj...

Opowiedziałem jej tę historię, na ile pozwoliła mi pamięć. Bogaty uwodziciel, z pochodzenia Sind, i angielska żona indyjskiego oficera marynarki. Zazdrosny mąż idzie do domu playboya i zabija go z pistoletu. Skandal, sensacyjny proces. Wciąż nie mogłem uwierzyć, że historia opowiedziana w Pokucie nawiązywała do tego morderstwa, bo jeśli tak, to matka Phoebe i moja były uwikłane (niewiarygodna myśl) w najsztywniejszą sprawę, jaka kiedykolwiek stała się na wokandzie indyjskiego sądu: proces komandora Kawasa Nanavatiego z indyjskiej marynarki, oskarżonego o zabicie Prema Bhagwandasa Ahudży-

Phoebe wysłuchiwała mnie w ciszy, z twarzą pozbawioną wyrazu. Dziwna reakcja na dobrą wiadomość.

Kiedy zamilkłem, powiedziała:

328

— Przykro mi, ale to nie ma sensu. Bo jeśli to jest prawda, «balu, to powiedz mi, czemu moja matka była szantażowana?

Szantażowana?

Znów zaczęła płakać i nie mogła przestać. Gwałtowność jej żalu była przejmująca. Co mogłem zrobić? Przytuliłem ją; poczułem, jak głośne szlochy wstrząsają jej ciałem, unoszą klatkę piersiową, rozplaszczają jej piersi na mojej piersi. Przestań, Fever, proszę, już dobrze, ciii. Przycisnąłem usta do jej policzka, a potem do ust, ale ona nie przestawała. Byłem zupełnie bezradny. Jej płacz brzmiał jak zawroźnienie małego, zrozpaczonego zwierzątka, szlochającego, wydającego ciche popiskiwanie i pełne zdumienia krzyki bólu.

Czyjeś kroki zbliżyły się do drzwi pokoju, zatrzymały się i oddaliły. Przyszło mi do głowy, że ktoś z hotelu pomyślał, że robię Phoebe coś złego. Ale nie, w takim wypadku zapukaliby. Ktokolwiek podszedł do drzwi, uznał, że szlochy i płacz wyrażały czystą rozkosz, a ja po królewsku posuwam ją w tym pałacowym łożu. Przypominając sobie, jak godzinę wcześniej marzyłem na jawie o takim właśnie zakończeniu, zrozumiałem, jakie to straszliwie smutne, że nie wiem nic o kobiecie, którą trzymam w ramionach, absolutnie nic.

W końcu uspokoiła się, westchnęła i uśmiechnęła leciutko.

— Nazwałeś mnie Fever — powiedziała.

— Chyba nie wierzyłaś naprawdę, że twoja matka zamordowała Pana Love?

— A co innego mogłam myśleć? Przecież sama tak mówi, prawda? Mówi, że go zabiła.

Jednoznacznie. Przez wiele lat, prawie tak długo, jak sięgam pamięcią, wiedziałam, że musiałyśmy opuścić Indie, bo jej kochanek został zamordowany, a ją szantażowano. Ale nigdy naprawdę nie zrozumiałam dlaczego. To miało coś wspólnego z listami, które do niego napisała. Znalazłam notatnik po jej śmierci. Sześć lat temu. I wtedy Wszystko nabrało oczywistego, straszliwego sensu. Szantażowano ją, bo zamordowała kochanka.

— Wiedziałaś o tym wszystkim, o morderstwie i szantażu... °d jak dawna? Od dziecka?

329

m

- . użyj

licami, •calem

maku-me ■

ïwier, ob-

) ista, i nie

fcWmc zarys, ale

.boko

dlatego z twoja.

Lich pisać, to było takie gh

— ^wyobrazić...? Matę listy, i

musisz to zachować w sekreci

Ł Nie wiem, co się z nami stanie

■ tysiąc, a ja mu powiedziałam: «1

(pieniędzy. Wyciągnął pan ode mni

mężczyzna — na to: «Może pani zd

i: «Wie pan, że nie mogą go o to pi

^panizdobędzie pieniądze od innych

sztyderstwo w głosie tej parszywe;

.prosić. Wydałam pensję, którą d

JJw prosić Mai. I nie mam z czego zaf

Łochanie, ibyć może tym razem cię wyrzi

kucharzowi, bo wszystko zabrali. Nie śm

mu ojcu. Jak mogę tak dalej żyć? Powi

W ciągu kilku dni od śmierci Pana Lo Iwestia proceduralna. Krótka wizyta v wystarczy". A w

biurze: „Czy to pani «twierdzić, że napisała te listy? Dziej

Miesiąc później następny telefon. „1 ^ że musimy pomówić. Niestety, s III Oficjalne dokumenty.

Coś taki «niepowołane ręce. Żeby pewni ludzi' IIIiiY życzymy, trzeba koniecznie..

,*' k°chanie, nie ośmieliłam się< ^dział. Nie śmiałam, po pros

rwiesz, jesteś tylkO dzieckien

w^—Odebrały mi ciebie. Pos r*} byłabyś bardzo biedna. > i^ Wlesz ojcu, odbierze mi cię i o3 A b

muszę zapłacić temu 'ch groźbach Sybil szeptła % siedziała, że nie wie. Uwa III^Y nie wymieniła

jego nas

Uśmiechnęła się do mnie smutno.

— Gdyby nie ty, mój kochany Bhalu, nigdy nie miałabw szansy być dzieckiem.

— Och, prawie zapomniałam o prezencie dla ciebie. Sięgnęła do torebki i wyjęła małeńkie,

lakierowane indyjskie

puzderko. W środku znajdowała się bryłka ciemnej, aromatycz. nej substancji.

— Pomyślałam, że moglibyśmy spróbować razem — n0. wiedziała. — Oczywiście, potrzebne są

papierosy. Proszę, użyj moich.

Siedziała i patrzyła, jak manipuluję niepewnymi palcami Uplynęło co najmniej dwadzieścia lat od

czasu, gdy skręcałem jointa. Robiąc to, czułem się dość głupio.

— Prem — powiedziała, obracając słowo na języku, smaku-jąc je. Zrymowała je z hem. A

powinno się zrymować z shame',

— Więc czemu nazywała go Panem Love?

— Bo prem oznacza w hindi „miłość" — wyjaśniłem, obstukując mieszankę tytoniu z haszyszem,

na modłę Dosta, i wciskając ją z powrotem do papierowej rurki. Ciągle nie mogłem w to uwierzyć.

Morderstwo Nanavatiego.

To było kuszące. Pamiętałem bardzo mało, ledwie zarys, ale wiedziałem, że to była bardzo głośna i ważna sprawa.

— Opowiedz mi o tym szantażu — poprosiłem. Phoebe pstryknęła złotą zapalniczką. Zaciągnęła się głęboko

jointem i głośno wypuściła dym.

— Mama mówiła mi różne rzeczy. Nie mogła rozmawiać z moim tatą więc ja byłam jej

powierniczką. Właśnie dlatego tak lubiłam do ciebie przyjeżdżać, bo wtedy rozmawiała z twoją

matką, a nie ze mną.

— Co ci mówiła?

Kolejny głęboki sztach. Przytrzymanie. Dym snujący się z jej nosa.

— Mówiła na przykład... — Phoebe zaczęła naśladować modulację głosu matki: „On ma listy, które napisałam. Nie

1 hem (ang.) — rąbek materiału; shame — hańba, wstyd

330

„owinnam była ich pisać, to było takie głupie, ale jak mogłam Kie coś takiego wyobrazić...? Ma te listy, i tyle. Mówię ci o tym -chanie, musisz to zachować w sekrecie. Nikt się nie może doWiedzieć. Nie wiem, co się z nami stanie. On chce tysiąc rupii kolejny tysiąc, a ja mu powiedziałam: «Nie mam. Nie będzie więcej pieniędzy. Wyciągnął pan ode mnie wszystko». A on — ten mężczyzna — na to: «Może pani zdobyć od męża», a ja odparłam: «Wie pan, że nie mogę go o to prosić». A on: «Trudno, jjiech pani zdobędzie pieniądze od innych przyjaciół». Powinnaś usłyszeć szyderstwo w głosie tej parszywej bestii. Aleja nie mam kogo poprosić. Wydałam pensję, którą daje mi tatuś, nie mogę giów prosić Mai. I nie mam z czego zapłacić za twoją szkołę, kochanie, i być może tym razem cię wyrzucą. Nie mogę zapłacić kucharzowi, bo wszystko zabrali. Nie śmiem powiedzieć twojemu ojcu. Jak mogę tak dalej żyć? Powiedz. No jak...?"

W ciągu kilku dni od śmierci Pana Love zaczęły się telefony „Kwestia proceduralna. Krótka wizyta w moim biurze powinna wystarczyć". A w biurze: „Czy to pani charakter? Może pani potwierdzić, że napisała te listy? Dziękuję, to wszystko"

Miesiąc później następny telefon. „Proszę pani, wydaje mi się, że musimy pomówić. Niestety, sporządzono kopie pani listów. Oficjalne dokumenty. Coś takiego łatwo może wpaść w niepowołane ręce. Żeby pewni ludzie postąpili tak, jak sobie wszyscy życzymy, trzeba koniecznie... rozumie pani...".

„Nie, kochanie, nie ośmieliłam się pozwolić, żeby twój ojciec się dowiedział. Nie śmiałam, po prostu nie śmiałam. Ty tego nie zrozumiesz, jesteś tylko dzieckiem. On by mnie zabił Tak zrobiłby to. Odebrałby mi ciebie. Posłałby cię do szkoły z internatem, i byłabyś bardzo biedna. Nie chcesz tego, prawda? •tesli powiesz ojcu, odbierze mi cię i nigdy więcej nie pozwoli zobaczyć. Ale muszę zapłacić temu człowiekowi albo.. "

O czyich groźbach Sybil szeptała na ucho bezradnej córce?

noebe powiedziała, że nie wie. Uważała, że to jakiś urzędnik. ^atka nigdy nie wymieniła jego nazwiska. Musiał być blisko

331

śledztwa lub sprawy sądowej, żeby dobrać się do listów SvVi do Ahudzy. Może policjant. Albo urzędnik sądowy. Miał kon jej listów i zaczął od groźby, że pokaże je КиИу'ети, jeśli Syh^ odmówi współpracy. Chciał dużo pieniędzy. Ona, bogata ra graniczna suka, z bogatym zagranicznym mężem, może sobi" na to pozwolić. Sybil wiedziała, że powinna powiedzieć Kil Iy'ети, ale nie mogła. Po raz pierwszy od lat odnaleźli wspólne szczęście. Nie mogła znieść myśli o zranieniu czy ponizeniu go. Musiała kłamać. I po raz drugi w ciągu dwóch lat rozpacz-liwie potrzebowała pieniędzy. Sprzedała to, co miała. Wymy^ lała bardzo ważne wyjazdy, których wcześniej nie było, i konieczne rzeczy, których nigdy wcześniej nie kupowała. Kradła КиИу'ети. Ale szantażyście wciąż było mało.

„Pani Killigrew?", odezwał się zimny głos w słuchawce. „Złamała pani słowo. Paczki to nie ma, a umówiliśmy się. Czy mam wskazać konsekwencje?"

„Pieniądze, Phoebe. Tego chce ten człowiek. Coraz więcej pieniędzy. A ja powiedziałam — bo poszłam ze łzami do jego biura, wyobraź sobie, jakie to straszne, płakać przed tym potworem — powiedziałam: «Nie mam więcej, bo wszystko pan zabrał». A on na to: «Adwokaci prowadzący sprawę wiedzą o listach. Nie zamierzają ich użyć, ale jak długo mogę to trzymać z dala od prasy? Ktoś zacznie mówić, i właśnie dlatego tak bardzo staram się pani pomóc. Ale jeśli nie może pani płacić, to może załatwimy to jakoś inaczej?». Chyba wiesz, co miał na myśli, prawda? Nie muszę tego mówić. Wybiegłam z obrzydzeniem z jego biura i właśnie dlatego jestem taka zrozpaczona, ale nie mogę iść do twojego ojca i nie mogę zwrócić się znów do Mai. Ona zrobiła już wszystko, co mogła, żeby mi pomóc. Och nie płacz, kochanie. Nie chcę cię denerwować, jesteś jedyną osobą, z którą mogę rozmawiać. Jesteś taka spokojna, taka mądra, dajesz mi tyle siły. Jesteś moją opoką.

Jedynym powodem, dla którego nadal żyję. Powiem ci coś w sekrecie. Nie wolno ci nikomu mówić. Nie powiesz? Obiecujesz? Wytrzymamy buzię...".

— A potem opowiadała mi kolejne straszne rzeczy. O tym, jakie to było straszne stracić dziecko. Bhalu, ona opowiedziała mi wszystko, z najokropniejszymi szczegółami. I jak się czuła,

332

jej jej kochanek został zamordowany. Opowiadała mi te rzeczy, ja musiałam słuchać, być silna za nią i sugerować, co może d-obić. Siedziałyśmy i spiskowałyśmy razem. Mama mówiła: jesteś moją najlepszą przyjaciółką. Jesteś jak głęboka studnia. i ylogC wrzucić do niej moje tajemnice i wiem, że nigdy nie ^dostaną się na powierzchnię". Ale ja słyszałam w sobie głos wyczący: „Nie, nie mów mi tych rzeczy! Nie mogę ci pomóc, mamusiu, bo jestem tylko dzieckiem".

Pomyślałam o małej dziewczynce, która rozpaczliwie pragnęła wejść do kapliczki na szczycie góry, żeby jej życzenie się spełniło.

Popołudnie płynęło. Wypaliliśmy jeszcze dwa zaprawione haszyszem papierosy, leżąc na łóżku ramię przy ramieniu i rozmawiając. Wino po lunchu w połączeniu z trawką sprawiło, że poczułem się senny. Czuję się o wiele lżej, wyszeptala phoebe. Bogu dzięki. Dzięki tobie, Bhalu. Teraz wiem, że nie ona to zrobiła. Wiedziałam, że mi pomożesz!

Oparła się na łokciu, nachyliła nade mną i przycisnęła usta do moich ust. Nie oszukuj się, to tylko alkohol i trawka, pomyślałam, rozpluwając się pod ciepłym jej oddechem. Poza tym, całowała mnie już w taki sposób. Jest impulsywna i czuła, pocałunek nic nie znaczy. Lecz tym razem jej oczy były zamknięte, a język przesuwiał się po moich mocno zaciśniętych wargach. Kapitulacja była nieunikniona. Ja też zamknąłem oczy i nasze języki zaczęły uprawiać nieprzyzwoite, rozkoszne gry. Czulem smak wina w jej ustach, naprężony sutek jednej z jej piersi mocno wciskał się w moje żebra.

Phoebe przetoczyła się na plecy i sięgnęła po papierosa.

— Spotkałam go raz — powiedziała, kierując chmurę dymu na baśniowy baldachim łoża. — Tego mężczyznę, który ją szantażował.

— Co takiego?! — Straszliwy ból sponiewieranej żądz.

— To musiał być on. Zabrał mnie raz ze szkoły. Hindus, w samochodzie. To był bardzo upalny dzień. Powiedział, że Jest przyjacielem mamusi i że poprosiła go, by zawiózł mnie w miejsce, gdzie możemy popływać. Powiedział, że mamusia Później do nas dołączy. Więc z nim pojechałam.

Znów oparła się na łokciu.

333

— Z początku myślałam, że jedziemy do Breach Candy ai on był Hindusem. Wjechaliśmy na szczyt Malabar Hill. paiL e tasz Bombaj, Bhalu? Drogę, która schodzi do plaży Chowpatty) Samochód pojechał tamtędy, ale po pewnym czasie skręci w prawo w prywatną drogę prowadzącą do morza. Ten meż czyzna powiedział mi, że to jest Dom Gubernatora. I że ma dc niego wstęp. Była tam niewielka plaża. Czy umiem pływać?) Powiedziałam, że nie za bardzo. Powiedział, że mnie nauczy Przywiózł mi kostium kąpielowy. Nie mój. Byłam przerażona Powiedział, że mogę się przebrać w samochodzie. Sam rozebrał się za ręcznikiem. Miał na sobie czarne szorty.

— Dlaczego uważasz, że to był szantażysta? Nie mógł być po prostu przyjacielem Sybil?

— Nie mógł — odparła. — Wiem, bo kiedy wróciłam do domu, mamusia była w hysterii. Rosie stała przed bramą szkoły, czekając na próżno. Przyniosła mamie kartkę ze szkoły. Było na niej napisane: „Zabrałem twoje kocię, żeby się utopiło".

— Sukinsyn.

— Tak, ale to nie był jedyny powód.

— Czemu? Co ci zrobił? Dotykał cię?

— Nie. Opowiedział mi coś. Pływaliśmy, a on trzymał mnie jedną ręką pod brzuchem. Patrzyliśmy na brzeg. Były tam duże ogrody, wspinające się wzdłuż drogi, wysoko na stok wzgórze. Ten mężczyzna zaczął mi opowiadać o morderstwie, które zdarzyło się na jednym z bazarów. Takim, na jaki chodziliście z Julą. Kobieta została zasztyletowana. Człowiek, który to zrobił, odciął jej głowę. Schował ją do torby i przeszedł przez cały Bombaj. A potem wyrzucił za mur. Głowa zatrzymała się

w żywopłocie, gdzie znalazł ją ogrodnik. Mężczyzna — ten, który zabrał mnie nad morze — wskazał na gęsty żywopłot na wzgórzu. Powiedział, że tam właśnie znaleziono głowę. I kazał koniecznie opowiedzieć tę historię mamie.

Coś przyszło mi do głowy.

— Czy to było tuż przed waszym przyjazdem do nas, za trzecim razem? To musiał być tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty rok.

— Nie wiem. Nie pamiętam. Potem mama powiedziała, że nigdy nie powinnam znikać Rosie z oczu.

334

— Tak. Strasznie się martwiły tego dnia, kiedy poszliśmy julą szukać Kathodiego. Pamiętasz?

— Najlepsza część mojego dzieciństwa to chwile, które spędziłam z tobą z daleka od tego wszystkiego — powiedziała.

— Nic dziwnego, że tak się martwiły. Powiedziały, że ayah ^gdy nie może spuszczać nas z oczu. A później, w nocy, kiedy poszliśmy do świątyni, powlokła się za nami, a myśmy myśleli, że to dlatego, że jest taka wścibska. A jeśli powiedziano jej, że m-ozi nam niebezpieczeństwo?

— Nie mogę o tym myśleć, Bhalu.

Aleja mogłem. Wszystko do mnie wróciło: ciemność, podekscytowanie i trwoga tej nocy. Postać wyglądająca jak zjawa ff blasku błyskawicy. I przeciągły krzyk.

— Fever, przypuśćmy, że jej śmierć nie była wypadkiem.

- Nienawidzę go — powiedziała Phoebe. — Całe życie go nienawidziłam.

Na jej usilną prośbę zrobiłem następnego jointa. Trzymałem go w palcach, gapiąc się na muslinowe obłoki nad moją głową gdy Phoebe zakręciła nogami i usłyszałem stuknięcie butów o podłogę.

Nagle na tle baldachimu ukazała się stopa. Phoebe opuściła nogę, trzymając ją sztywno jak tancerka, a potem podniosła dragą i wyprostowała pionowo. Miała długie, pięknie ukształtowane nogi, a gdy je podniosła, sukienka opadła jej na biodra.

— Rozumiem cię — powiedziałem, ledwie łapiąc oddech.

— Romans mamusi źle się skończył. Jej dziecko zostało z niej żywcem wyskrobane. Boże, zastanawiasz się, dlaczego nigdy nie chciałam mieć dziecka? Potem zamordowano jej kochanka. To z pewnością dość udreki jak dla jednej kobiety. Ale nie. Pojawia się ten człowiek, który wie najwięcej o tej strasznej historii. Czy okazuje współczucie? Nie. Czy próbuje jąchronić? Nie. Wyciąga korkociąg. I zaczyna metodycznie dręczyć kobietę, która i tak już niemal oszalała z żalu i poczucia winy.

Noga wciąż była w powietrzu. Podąłem Phoebe jointa i noga w°bo powędrowała w dół.

Bhalu, to jeszcze nie wszystko. Wiesz, co było gorsze? Nic nie może być gorsze.

335

— Kochanie, to co zrobił mojemu ojcu, było gorsze. I tunc Tatuś z nikim nie romansował. Ani ja, dopóki... — Wyprostowała się gwałtownie i uklękła obok mnie. — Zgaś to — powiedziała. — Czuję się tak dziwnie. Podniosła głowę, roześmiała się a potem usiadła na mnie okrakiem i pochyliła się tak, że jej włosy dotknęły mojej twarzy. — Boże, jak ja cię kocham.

Myślałem, że za chwilę znów mnie pocałuje, ale ona zmarszczyła brwi i z twarzą oddaloną o centymetry od mojej powiedziała:

— Bhalu, ten mężczyzna. Nie rozumiesz? On wciąż gdzieś tam jest. Stary i bogaty dzięki pieniądzom, które wymusił od różnych ludzi w czasie swojej nikczemnej kariery. Nigdy mu nie wybaczę. Nigdy. Kiedyś marzyłam o tym, że go zabijam. Chciałam mu obciąć uszy i przebić oczy. Teraz chcę go tylko zobaczyć, spotkać twarz w twarz. Bhalu, chcę go odnaleźć. Musisz mi pomóc. Chcę, żebyś poleciał ze mną do Bombaju i znalazł go. Powiedz, że to zrobisz, kochany. Proszę! Usta Phoebe zbliżyły się do moich ust, i w tym momencie lekko jej się odbiło; wyprostowała się i powiedziała:

— Źle się czuję.

Wstała i zatoczyła się. Złapałem ją, położyłem i zacząłem zwijać kołdrę po drugiej stronie łóżka.

— Nie mogę spać w ubraniu — powiedziała. — Rozbierz mnie.

— Ale...

— Głuptas. Widziałeś już to wszystko.

Wsunąłem rękę pod jej plecy i podniosłem ją. Wyśliznęła się z sukienki. Rozpiąłem stanik. Ciężkie, ciepłe piersi. Sutki nie wzniesione. Szczupłe ciało. Blizna po wycięciu wyrostka. Nie miała tego w wieku ośmiu czy dziewięciu lat, czy iluś tam, gdy kąpaliśmy się pod wodospadem w Edenie.

Uniosła biodra. Ściągnąłem wilgotny skrawek materiału z J ud. Kąty się myliła. Phoebe nie potrzebowała farbować włosów

Już spała, oddychając chrapliwie przez nos. Odkąd wstali od stołu, jakimś cudem upłynęło osiem godzin. Było dobrze jedenastej. Za późno, żeby złapać ostatni pociąg. Nie, J

336

wyjdę od razu. Po chwili namysłu zdjąłem buty i skarpetki. Znieruchomiałem. Potem ściągnąłem spodnie i koszulę i wspia- } ern się na ogromne łożo. Chryste, co ja, u licha, wyprawiam? Co powiem rano Kąty? No cóż, nic się nie stało. Prawie nic. Co najmniej pół kilometra między mną i Phoebe. Nic się nie stanie, po prostu zasnę. Leżąc w ciemności, słuchając pochrapywania phoebe, przeżywając na nowo jej niezwykle rewelacje i wszystko, co nastąpiło potem, uświadomiłem sobie, że ani razu nie wspomniała o mężu. Prawie nic o nim nie wiedziałem.

Czemu położyłem się z nią do łóżka?

Wziąłem kasetę z Nagim instynktem i puściłem początek. Same napisy. Jeśli dojdiesz do kobiety w blond peruce z nożem do lodu, jesteś za daleko; potrzebujesz tylko napisów, gdy ekran pełen jest ruchomych świateł i cieni. Zamknij oczy i słuchaj muzyki.

To niesamowita, niepokojąca muzyka, piękna i zawierająca przestrozę. Sugeruje, że za chwilę znajdziesz się w czymś, co przekracza twoje pojmowanie. Walczysz, próbując się uwolnić, lecz muzyka jest za silna, jej słodycz wciąga cię z powrotem; nie ma powrotu, jesteś stracony.

Anioł Zul

(Z ostatniego dziennika Sybil)

Spała jeszcze, kiedy się obudziłem. Umyłem się w łazience najciszej, jak mogłem. Żeby jej nie obudzić, mówiłem sobie ale w gruncie rzeczy chciałem jak najprędzej uciec. Musiałem przetrząsnąć jej kosmetyczkę w poszukiwaniu pasty do zębów. Krem do złuszczenia naskórka. Krem pod prysznic. Foliowe opakowanie z trzema kondomami. Wyśliznąłem się, napisałem jej kartkę z podziękowaniem za lunch (!) i informacją że pożyczyłem sobie dziennik Sybil. „Nie uciekaj do Indii, dodałem. Dowiem się o tej sprawie tyle, ile zdołam”.

Wychodząc z hotelu, nikogo nie widziałem. Nad South Kensington zaczynał się brzask. Victoria opustoszała, pociąg do Lewes pusty. Siedziałem, marząc na jawie. Gdyby tak dużo nie wypila... nie wypaliła haszyszu... a w ogóle, skąd ona go, u licha, wytrzasnęła? Co mogłoby...? Jakbym musiał pytać. Wiedziałem dokładnie, co by się stało, do jasnej cholery. A więc odpowiedzmy sobie na inne pytanie: czy chciała, żeby to się stało? Czego chciała? Z całą pewnością pocałowała mnie tak, jakby tego chciała. Chwileczkę. Przypomnijmy sobie ten pocałunek. Ciepły, długi, wilgotny. Więcej szczegółów, proszę. Kwiecisty bukiet, ciepły, rozplywający się na języku. Pełno-krwisty, zdecydowanie. Owocowy, melon z truskawką na wierzchu, zobaczyłem je później, trzeba pamiętać, nie miała ich w wieku dziewięciu lat. Gładki finisz z nutką miodu i tytoniu. Tak, chciała tego.

Kondomy. Bez cienia wątpliwości. Boże, i te nogi... niech to szlag, kolejne pytania. Niewinna? Jak to możliwe? Nie jest już dzieckiem, prawda? Te nogi, tak bardzo chciałem je pogłaskać. A potem...

„Rozbierz mnie, powiedziała-

338

na

^działeś już to wszystko...". Nie mogła me wie^j^ • . jonie działa. Wpatrywałem się w ten rowek, którJ i oStatnio widziałem, był niewinny jak szczelina ^ fL-0agiej skale. Teraz, jak łożysko strumienia poS2e śladJaeJ' głębioe w ciągu wielu pór deszczowych, leżał na ^JJJ® l^Z Y gęstych zaroślach. To tyle, jeśli chodzi o n*ta£0rvTVj^ ale w czasie lunchu, spoglądając w jej dekolt, myślę Nelwne' woZie oddzielającym Bicchaudę od Dagali. Phoebe iai,€III ° IT ^enie wzgórz w Ambona. Jako ucieles'

Muszę usunąć ją z myśli. Pomyśleć o Kąty i cie'S2v - • • do niczego nie doszło. Kochałem Kąty.

x0 poczc ° S'^ ZC Dobra. Kochająca. Dająca wsparcie. Równie atr^3-dUSZa' swój sposób, jak Phoebe. Myśleć o czymś innym C^na' na Bogu dzięki, że pociąg był pusty.

Zmusiłem się, by otworzyć dziennik Sybil Skór-» I stowa obłędu.

niego

...Prem na to zasłużył. Ucierpiała niewinna istota Π nie powinno było zostać zamordowane. uę kochasz ° będzie zwrócone, tą samą miarką. Moja miarka jest € °-! bardziej wielkoduszna i wybacząca niż wasza, wy w ' CZ którzyście myśleli, że mnie znacie, i skazaliście m ■ ^' proces trwający trzydzieści lat albo i więcej OdDow j °&

. nj • . J' v "'edzcie

na to... Odpowiedzcie.

Prem Ahudza. Prawie o nim zapomniałem. Sybil i u ■ w to wszystko uwikłane, tyle lat temu.

Dowód oszał -^^ mocy Phoebe: nasha tak potężna, że niemal zapomniał IIIII"a*CE'^ sensacyjnym odkryciu. ein ° iYr

Biedna Sybil. Minęło trzydzieści lat i nie przv i spokoju. Co sprawiło, że tak nagle, w tak tajenS?0 ^ sób, postanowiła wrócić? Wtedy zauważyłem пюю' S^o" wewnętrznej stronie okładki, nabazgrany tym samyJ M W6~ wanym charakterem, co końcówka jej rojeń- To jP Zwano" dziennik Sybil Killigrew". W delirycznym podnie statnl Przyszło mi do głowy pytanie, skąd sama Sybil ^ IIIЄ wiedzieć. Iio^a to

339

Dziennik Sybil, 28 czerwca 199 i Wczoraj zaczęłam zdierać farbę z desek w kuchni Pomyślałam, że zdrapię ją do czystego drewna, a potem wypoleruję tak, żeby lśniły.

Przez cały ranek skrobałam. Było kilka warstw. W zielonym kolorze limony. Pod spodem brązowa.

A jeszcze głębiej granatowa. Rozboliła mnie ręka i nim nadszedł czas lunchu płakałam z bólu.

Poszłam do stołowego i położyłam się. Wszędzie zapach wilgoci. Pomyślałam, mam dość. Chcę umrzeć, teraz. Gdy rozległo się pukanie do drzwi, pomyślałam, że to pewnie listonosz.

Na zewnątrz stał przyjaciel, którego nie widziałam od trzydziestu lat. Zul Lalvani. Kiedyś był producentem filmów dokumentalnych. Zul musi być w moim wieku, ale wyglądał mniej więcej tak samo jak zawsze. Miał na nogach eleganckie buty i był od stóp do głów ubrany w garnitur, którego każdy szew został zrobiony ręcznie. Jednym słowem, wyglądał nienagannie. Zul! Jak mnie odnalazł? Byłam taka szczęśliwa.

„Billy!, rzekł. Moja droga Billy! Czy ty wiesz, że twoi przyjaciele szukali cię przez te trzydzieści lat?”

„Wielkie nieba, Zul!, zawołałam. Jak to możliwe, że się nie zmieniłeś?”

„Nie daj się nabrać, Billy, odparł. To farba do włosów”. Wtedy uświadomiłam sobie, że stoję w szlafroku, który jest cały w plątkach farby, wyglądającej jak kolorowy łupież. Z kieszeni wystawała drapaczka.

„Zul, nie mogę zaprosić cię do środka, powiedziałam. Tak mi wstyd. Dom nie nadaje się, żebyś go oglądał”.

„Och, daj spokój, Billy, rzekł, omijając mnie. Czy nie po to tu jestem?”. A potem obszedł mój cały próchniejący dom, pokój po pokoju, lecz zamiast widzieć to, co złe — plamy wilgoci, miejsce, gdzie brakuje deski w podłodze — zobaczył wszystko to, co piękne, wszystkie możliwości. Od razu zauważył, nie musiałam mu mówić, że bezsensowny stryszek można zamienić w pokój typu studio. Zaczęłam mu opowiadać, do czego już się zabrałam (niedokończone malowanie w holu, patchwork na ścianach, zrobiony przez naklejanie

340

wycinków z magazynów i książek z próbkami tapet), a on ani razu nie powiedział mi, że jestem głupia, albo robię źle, tak jak mówi Phoebe (kiedy już łaskawie tu przyjdzie). Pochwalił wszystkie moje pomysły i powiedział, że dom będzie piękny, kiedy skończę.

Weszliśmy do kuchni z na wpół odrapaną ścianą. „Miałam nadzieję, że dzisiaj skończę, powiedziałam. Naprawdę się starałam. Ale jestem taka zmęczona. Nie dam rady”.

„Billy, wiem dokładnie, co trzeba zrobić, rzekł Zul. Usiądź sobie tutaj, a ja zaparzę ci filiżankę

herbaty".

Gdy wszedł z herbatą, miał na sobie fartuch. Wyglądał tak śmiesznie w fartuszkach zawiązanych na eleganckim garniturze, że zaczęłam się śmiać.

„To pójdzie migiem, powiedział. Zostaw wszystko mnie. Siedź tu sobie, pij herbatę, i absolutnie o nic się nie martw”.

Uprzątnął dom od góry do dołu. Trwało to godzinami. Zrobił wszystko. Usłyszałam skrobanie w kuchni i poszłam zobaczyć, co robi. Właśnie skończył zdierać farbę i wcierał oliwę, żeby nadać deskom połysk.

Kiedy skończył, dom wyglądał nieskazitelnie.

Potem powiedział: „Billy, teraz musisz zająć się sobą. Nie możemy pozwolić, żebyś się rozchorowała. Musisz porządnie jeść”.

W domu nie było nic do jedzenia oprócz puszek brzoskwiń, wgniecionej, którą znalazłam w supermarkecie na półce z przecenionymi artykułami.

„Przykro mi, Zul, powiedziałam, ale nie mam ci co dać. Jutro zamierzałam iść na zakupy”.

Zul zdjął fartuch i rzekł: „Poczekaj tu i odpręż się. Za sekundę wracam”.

Kiedy wyszedł, spanikowałam. A jeśli jest naprawdę zde gustowany i nie wróci? Ale godzinę później usłyszałam jego kroki i pogwizdywanie. Stał w drzwiach, obładowany torbami ze sklepu.

„Pobiegłem tu niedaleko, oznajmił. To powinno nam wystarczyć”.

Siedziałam w kuchni, a on się krzątał; wyczyścił miedziane rondle, aż lśniły. Zrobił risotto i ubił kogel-mogel,

341

moją ulubioną potrawą od zawsze. Pomyślał nawet o winie. Od lat nie czułam w ustach smaku wina.

Przy kolacji powiedział, że ma pewien projekt, film dokumentalny o samotności; Zul chciał, żebym napisała scenariusz. Odparłam, że byłabym szczęśliwa, ale nigdy wcześniej czegoś takiego nie robiłam. Powiedział, że nie szkodzi. „Siedzieliśmy w parę osób w Bombaju, rozmawiając o tym i owym. Kiedy ktoś rzucił ten pomysł, pomyślałam o tobie”.

„Ale skąd wiedziałeś, gdzie mnie szukać?”, zapytałam.

„Ha, odparł. My bombajskie szczury wiemy, jak zabrać się do rzeczy”.

Wtedy się przeraziłam. „Jeśli ty mnie znalazłeś, każdy może to zrobić”, powiedziałam.

„3iHy, tamta sprawa skończyła się wiele lat temu, odparł Zul. Nikt już o niej nie pamięta. Powinnaś wrócić do Bombaju i sama zobaczyć. Wszyscy twoi starzy przyjaciele wciąż tam są”.

„Tak, odparłam. I on też. Ten, który mnie prześladował”.

„On?, roześmiał się pogardliwie Zul. Teraz ten człowiek jest nikim. Nikim! Powinnaś stanąć przed nim i domagać się zwrotu wszystkich swoich pieniędzy. Musiałby ci oddać. Inaczej go zdemaskujemy”.

Gdy skończyliśmy jeść, uparł się, że pozmywa. Nie pozwolił mi kiwnąć palcem. Potem powiedział: „Moja droga, muszę dzisiaj wrócić do Londynu, ale niebawem znów przyjadę. Tymczasem masz tu zaliczkę za scenariusz”.

Wręczył mi zwitek banknotów. Pamiętam, że kiedyś Zul nosił ze sobą duże sumy pieniędzy.

Chodziliśmy słuchać śpiewaków i czasem, gdy występ lub wykonawca mu się spodobał, wyciągał banknoty i rzucał artyście do stóp. W rolce były same pięćdziesięciofuntówki. Musiało tam być tysiące funtów.

„Nie mogę tego przyjąć”, powiedziałam.

„J* Aż oczywiście, że możesz, odparł. Niedługo zaczniesz pracować przy moim projekcie, a to ledwie pokryje twoje koszty”.

Byłam taka wdzięczna. Moje uczucia wylały się na zewnątrz. Powiedziałam, że myślałam, że nikt o mnie nie dba.

Że wszyscy zapomnieli. Przez jakiś czas byłam częścią ich życia, a potem po prostu zniknęłam. On wszystko zmienił. Był jak anioł zesłany z nieba, żeby mi pomóc.

„Billy, kochanie, rzekł. Nie musisz martwić się takimi rzeczami. Twoi przyjaciele są tutaj. Zaopiekujemy się tobą”.

Odprowadziłam go. Pomachał mi i powiedział, że niedługo wróci. Patrzyłam, jak odchodzi ścieżką, żwir przetykany trawą skrzypiał pod jego miejskimi butami.

Nazajutrz rano obudziłam się z lekkim sercem po raz pierwszy od lat. Weszłam do kuchni i zobaczyłam do połowy oskrobaną ścianę i rondel z zaschniętymi resztkami jedzenia na kuchence.

Oiseaux exotiques I

(Sussex, maj 1999)

— Nie zapytam, gdzie byłeś — powiedziała Kąty. Przyszedłem pieszo z dworca przez pola głośnie od śpiewu

ptaków. Kąty nie było w domku. Zostałem ją przy nakładaniu na taczkę słomy i gnoju ze stajni Morona.

— Wiesz, gdzie byłem. — Przed wyjazdem powiedziałem jej, że jadę do Londynu, żeby zjeść lunch z Phoebe.

— Nie spodziewałam się, że wrócisz wcześniej — odparła. — Ale nie myślałam, że zostaniesz na całą cholerną noc.

— Nie chciałem. Słowo. Zrobiło się późno. Kiedy zauważyłem, która jest godzina, było za późno, żeby dostać się do Victorii... — Jak nędznie zabrzmiała ta wymówka.

— Myślałam, że pociągi chodzą przez całą noc — powiedziała Kąty, wbijając widły w kupkę gnoju.

— Nie. Ostatni odchodzi tuż po północy. — Bogu dzięki, że sprawdziłem.

— O północy? To musiał być lunch, że ho, ho.

— Nie w tym rzecz — odparłem. — Phoebe zrobiło się niedobrze. Ktoś musiał przy niej być. A potem było późno.

— W takim razie dlaczego nie zadzwoniłeś? Martwiłam się.

— Pomyślałem, że będziesz w łóżku. Czas po prostu zleciał.

— A jakże. Więc zrobiło jej się niedobrze. W restauracji? To musiało ich ucieszyć. Dokąd ją zabrałeś? Do szpitala?

Pokręciłem głową. Jakiej wiarygodnej odpowiedzi mogłem jej udzielić?

1 oiseam exotiques (franc.) — ptaki egzotyczne

344

__ Spędziłeś z nią noc?

przeleciał koło mnie deszcz gnojowych meteorytów.

__ Niezupełnie.

__ Niezupełnie? Co to znaczy?

__ Nie w takim sensie, o jakim myślisz — odparłem. —

naprowadziłem ją do hotelu. Położyła się do łóżka i momentalnie zasnęła. Ja spałem na kanapie.

Daję ci słowo, że nic nie zaszło.

— Wierzę ci, Bhalu.

To mnie dziwnie ubodło.

— Dlaczego? Myślisz, że mój czas już minął? Że jestem niezdolny?

— Co chcesz mi teraz powiedzieć? Że jednak z nią spałeś?

— Nie, przed chwilą ci powiedziałem, że nie.

— A więc co chcesz powiedzieć? Spałeś czy nie? Deszcz gnoju na bis.

— Myślę, że nie jestem w jej typie. Jak sądzisz?

Kąty przerwała pracę, oparła się na widłach i odgarnęła kosmyk włosów z twarzy.

— Kobiety takie jak ona nie dbają o to, jaki mężczyzna jest, obchodzi je tylko to, co mogą od niego wyciągnąć.

— To śmieszne. Co Phoebe mogłaby ode mnie wyciągnąć?

— Zawsze mówiłeś o niej, odkąd cię znam, jak o małym aniołku. Nie widzisz, co wyrosło z twojego aniołka?

— Widzę absolutnie normalną kobietę.

— Czyżby? Otwórz oczy, Bhalu. Ten makijaż. Włosy prosto z butelki. Sukienki o dziesięć lat za młode. Daj spokój, to nie jest twój anioł.

— Przedstawiasz ją tak, jakby miała nieodparty urok. Kąty odwróciła się. Nabranie na widły, obrót, rzut. Nabranie,

obrót, rzut. Robiła to codziennie, w każdą pogodę.

— Jeśli zamierzasz tak stać i patrzeć, równie dobrze możesz coś zrobić. Zajmij się wodą.

Przyciągnąłem wąż i włożyłem końcówkę do niebieskiego kubła Morona. Drobnutkie kawałeczki trawy wirowały w strumieniu przy ścianie, tańcząc wodnego walca.

— Jest w niej coś takiego... — powiedziała Kąty, machając widłami. — To zniszczony towar,

Bhalu. Nie angażuj

345

się. Cokolwiek jej się kiedyś przytrafiło, to nie jest twoja sprawa.

Słowo zawisło w powietrzu, trzaskając siarkowym pj0. mieniem.

— Już jestem zaangażowany — odparłem. — Odkąd miałem osiem lat.

— Nie jesteście już dziećmi, do jasnej cholery! —zawołała Kąty.

Zakręciłem kurek i patrzyłem, jak ostatnich kilka kropel z małego zielonego pyska węża skapuje do wiadra.

— Mam przestać się nią przejmować tylko dlatego, że dorosła? Jeśli jest zniszczona, jak to ujęłaś, to czy nie potrzebuje przyjaciół?

— Ale to nie jest wyłącznie przyjaźń, prawda? Nie chciałem, żeby na tym stanęło.

— Jeśli kochało się kogoś jako dziecko, to wydaje mi się, że to uczucie nigdy nie odchodzi — powiedziałem. — Zostaje na zawsze. Nie zmienia się. W tym właśnie rzecz, Kąty. Uczucie się nie zmienia. To jest tak, jakbyśmy byli bratem i siostrą...

Ledwie to świętoszkowate zdanie oderwało się od moich ust, już wiedziałem, że jest fałszywe.

Nigdy nie było do końca prawdziwe, nawet gdy byliśmy dziećmi.

— Kłamczuch! — krzyknęła Kąty. — Jest dla ciebie siostrą tak samo jak dla tych mężczyzn, od których wyciąga pieniądze. Nie musisz mi mówić, jak zarabia na życie, to jest na niej wypisane od góry do dołu.

— O czym ty, u diabła, mówisz?

— To kobieta, która żyje z mężczyzn, Bhalu.

— Więc nic nam nie grozi. Czy mam coś, z czego mogłaby żyć?

— Ona należy do tych kobiet, które sypiają na prawo i lewo. I nie dba, czy mężczyzna jest żonaty. Miała romans z żonatym facetem. Sama nam to powiedziała.

Ty hipokrytko, pomyślałem, przypominając sobie, jak kiedyś wróciłem z pracy, a nasz domek wypełniony był śpiewem egzotycznych ptaków.

— To niesprawiedliwe — zaoponowałem. — Ona nie wiedziała.

346

— Tak twierdzi. Ale jest kobietą, która zaprasza męża innej na lunch z zamiarem, by go uwieść. Śpiew egzotycznych ptaków rozbrzmiewał mi w głowie.

— Bhalu, ja ci naprawdę ufam. Siedzieliśmy przy stole w kuchni.

— Ona czegoś od ciebie chce. Dobrze, to nie mogą być pieniądze. — Roześmiała się cicho, cynicznie. — Coś mi mówi, że to nie jest romans. Więc co?

Nic nie odpowiedziałem. Próbowałem ustalić, a propos czego był jej śmiech. Pieniądze, ha, ha?

Czy, ha, ha, romans?

— Ona chce, żebym wybrał się z nią do Indii — powiedziałem.

Spodziewałem się wybuchu, ale Kąty sączyła kawę i popatrzyła na mnie z namysłem nad filiżanką.

— Phoebe?

— Tak.

— Dlaczego?

Opowiedziałem jej historię. Wszystko, od Pokuty do Ostatniego dziennika Sybil i odkrycia, że Panem Love był Prem Ahudza.

— Nie chodzi wyłącznie o Phoebe. Moja matka też była uwikłana. W jakiś sposób się w to wmieszała. Ta sprawa wpłynęła na nas wszystkich. Kąty, myślę, że to jest powód, dla którego Maja opuściła Indie, że to miało związek z groźbami i szantażem. Chcę się dowiedzieć, jaki to był

związek.

— Ale to nonsens, Bhalu. Co dobrego może wyniknąć z tego, że tam pojedziesz? Czterdzieści lat za późno. Daj temu spokój.

Wstała i podeszła do kuchenki; mieszała w rondlu energicz-lymi, okrężnymi ruchami, od których kołysał jej się tyłek.

Pewnie masz rację — przyznałem, stając za nią i kładąc Monie na ponętnych, drżących półkulach.

— Nie teraz, Bhalu — powiedziała. ~~ Chodźmy na górę.

Nie! Właśnie szykuję lunch. ~- A więc później. — Otoczyłem ją ramionami i przycis- Uąłem się do niej od tyłu.

347

— O rety! — Odwróciła się w moich objęciach, żeby staną' twarzą do mnie. — Ty na poważnie.

Cóż, będziesz musiał poczekać do wieczora.

Przez chwilę staliśmy objęci, prawie dotykając się twarzami a potem Kąty odsunęła się i odwróciła do piekarnika, w któryś leżały obok siebie dwie piersi kurczaka, nabierając rumieńców

— Ta podróż do Indii... Myślisz, że ona naprawdę chce jechać?

— Wydaje mi się, że tak.

— W takim razie obawiam się, że z nią naprawdę jest coś nie tak. Bo dlaczego teraz? A nie wiele lat temu? Dlaczego nie wybrała się tam z matką? Czy to nie miałoby więcej sensu?

— Mam wrażenie, że między nimi się nie układało. Jej matce chyba trochę odbiło.

— Dostaję od tego dreszczy — stwierdziła Kąty.

— Od czego? — spytałem, rozkładając talerze.

— Ona powiedziała, że jej matka wciąż do niej mówi. Nie pamiętasz? A potem zawlokła cię na spotkanie z medium. Jeśli chcesz znać moje zdanie, ona jest bardziej szalona niż jej matka.

Po moim ciele przebiegł spazm niepokoju. Przypomniałem sobie strach na twarzy Phoebe, gdy zdawało jej się, że Sybil jest razem z nami w pokoju.

— Bhalu, załóżmy, że ona znajdzie tego człowieka. Co wtedy zrobi?

— Ona mówi... — to było coś, nad czym sam się zastanawiałem — że chce go tylko zobaczyć. Dać mu do zrozumienia, że wie.

— A potem?

— To znaczy?

— Załóżmy, że spojrzy mu w oczy i powie: „Wiem”. A on popatrzy na nią i powie: „No i co z tego?”. Co wtedy?

— Nic. Zrobiła to. Jest wolna. To kwestia psychologiczna. Zamknięcie niezakończonych sprawy.

Pożegnanie z duchem. — Uświadomiłem sobie, że cytuję Ostatni dziennik Sybil.

— Nie wierzysz w to, tak szczerze? — Kary przemykała po kuchni, zerkając na piekarnik, mieszając w rondlu. — Powiedziałeś, że w czasie tego waszego lunchu mówiła o zemście-

— Tylko jako o temacie książki.

348

_ Skąd możesz wiedzieć, że nie wyciągnie pistolem i nie zastrzeli tego człowieka?

_ - Nie bądź śmieszna.

_ - Skąd masz taką pewność? Prawie jej nie znasz. Bądźmy precyzyjni- W ogóle jej nie znasz.

Onajest dla ciebie kompletnie obcą osobą.

— Obcą osobą, którą znam zaledwie od czterdziestu lat.

— Skołowane, nieszczęśliwe dziecko, które znałeś kilka tygodni — bo tak to w sumie było — przed czterdziestu laty. Dorosła kobieta, w której tajemniczym towarzystwie spędziłeś wszystkiego, a jakże, trzy dni. I jedną noc. Tymczasem ze mną dzieliłeś łóżko przez dwadzieścia dwa lata.

Wzięła ściereczkę i przeniosła naczynie na stół.

— Voila — powiedziała. — Piers kurczaka i zielona papryka, amafacon.

Jakiś czas później, przy jedzeniu, stwierdziła:

— Jeśli wybierzesz się z nią do Indii, na pewno będziecie mieli romans.

Nic nie odpowiedziałem. Kąty pozwoliła przedłużyć się milczeniu, obserwując mnie. Jej oczy były błękitne jak topazy. Kiedy nakładała makijaż, co nie zdarzało się często, potrafiła sprawić, że

stawały się ogromne. Moim zdaniem, im była starsza, tym ładniejsza.

— A więc — powiedziała, gdy upłynęło dość czasu. — Widzę, że nie zaprzeczasz.

— Czy mężczyzna i kobieta nie mogą być tylko przyjaciółmi?

— Ty mi powiedz. To ty miałaś romans. Ja nigdy nie miałam. Znów nic nie odpowiedziałem. Ale to nie była ta sama cisza.

Była częścią innej ciszy. Ciszy sprzed trzynastu lat.

Pewnego ranka — to był najgorszy ze złych okresów — dojechałem do Londynu i zastałem naszą ulicę zamkniętą, dostęp do biura odcięty. Podejrzewano wyciek gazu czy coś w tym rodzaju.

Golinkin stał na chodniku, przerzucając ter-

349

minarzyk. „Wezmę wolne godziny, oznajmił ponuro. Właściwi mógłbym wziąć cały dzień”.

Złapałem pociąg powrotny 11 Lewes i postanowiłem przejść się do domu na piechotę. Jasny letni dzień. Doszedłem do skraju miasta (hurtownie nad rzeką ciepłe zapachy browaru) i ruszyłem ścieżką wzdłuż brzegu, a drugim brzegu rosły w szeregu topole, stojące na wysokiej, nogach wtopionych w spokojny, opadający stok. Nasz domek stał jakieś trzy kilometry dalej, zasłonięty skarżą skracającą doliny. Odbiłem w pola, na których zbierano zboże. Skraj łąnów porastały maki i chabry, w zaroślach i żywopłotach nawoływały ptaki. Pamiętam, że pomyślałem, jak to miło mieć dla siebie dzień, całkiem niespodziewanie. Zaskoczę Kąty, zaproponuję żebyśmy wzięli pieczonego kurczaka, butelkę zimnego wina i urządzili sobie piknik na trawie na wzgórzach.

Podszedłem do domku. Nikogo nie widać. Bliźniaczki, I & i były w szkole. Otworzywszy drzwi, uświadomiłem sobie obecność dziwnej muzyki we wnętrzu domku: kilka akordów fortepianowych, które przyspieszyły nagle, jakby w jęśliwym arpeggio, i zakończyły się szczebiotem, bez wątpienia ptasim. Pikujące tony klarnetu, tryle i pienia. Świergot piccolo. Basowe kwakissimo oboju. Lekki, misterny rytm, jak szybkie stukanie ołówkiem w drewnianym kubku, i ciężki, regularny pomruk. Nigdy czegoś podobnego nie słyszałem. Ta dziwaczna muzyka wtórowała — a może one nie były jej częścią? — dźwiękom wokalnemu, dziwnym niskim głosom, okrzykom, rozpaczliwym pomiaukiwaniom.

Drzwi dużego pokoju były lekko uchylone; właśnie spoza nich dochodził muzyczny śpiew ptaków. Kąty musiała włączyć telewizor. Czasem oglądała coś przy prasowaniu. Chciałem zawołać, ale coś, nie wiem co, mnie powstrzymało. Podkradłem się do drzwi i przyłożyłem oko do szpary obok zawiasu. Ukazał mi się zamazany, pionowy pasek pokoju stołowego, a wraz z nim przedziwny widok. Nad oparciem naszej zniszczonej, niebieskiej kanapy unosiły się w powietrzu nagie kobiece nogi. Między nimi tak samo obnażony męski zad i ramiona poruszał się uparcie w przód i w tył, jak gdyby ich właściciel, schylał i heblował deskę. Ich ruchy wydawały się dziwnie, choreografie nie skoordynowane z ptasimi trylami — to w rytm, to z s;

350

leopowym przesunięciem. Mężczyzna przesunął się do przodu, opychając nogi tak daleko w tył, jak to było możliwe. Nogi (jrzały lekko i stopy wyciągały się, a palce mierzyły prosto w górę. Jej ręce ścisnęły uda, chciwie podciągając je do góry i rozsuwając na boki. Dźwięki zamieniły się w to, czego się spodziewałem od samego początku. Ciche, miękkie okrzyki, postękiwania, jakieś wypowiedziane półgłosem słowo.

Nie wiem, jak długo stałem, schowany za drzwiami. Pewnie nie dłużej niż trwa tuzin uderzeń serca. Czułem się odłączony, ffcalle niezaszkokowany. Bardziej surrealistyczne niż to, co widziałem i słyszałem, było to, że złapałem się na próbach przypomnienia sobie terminów z lekcji baletu moich córek. Bliźniaczki, w wieku lat dziewięciu, planowały zostać baleriniami, a także mistrzyniami akrobatyki i weterynarzami. Zawsze chciały nam pokazać, czego się właśnie nauczyły, i spierały się o nazwę każdego kroku czy pozycji. „Iso, to ma być dessous, a nie dessus”. „Och, na miłość boską, Imo (obie miały zwyczaj naśladowania wykrzykników, których używali rodzice), zrobiłaś demnt, a nie derriere”.

Co robi teraz stopa tej kobiety, jak to się nazywa? Palce wyciągają się, podeszwa układa w łuk, jest na to odpowiednia nazwa. Allonge? Degagel On, en arriere, wycofuje się, jej noga powoli się rozwija, en l'air \ pełne niewidzialnych ptaków. Jego epaulement, quelques mouvements derriere, a

teraz znów msza, en avance\ Jej ręce, nie ma baletowego terminu na to, co robią, trzymają mocno za kolana, które zgięte, nie tak jak w plię, nie mogłyby być — nie, dopiero teraz — bardziej odciągnięte do tyłu. Znów to lekkie drżenie i raptowny trzepot stopy (petit battement), a klarnet, lub tancerka w tym horyzontalnym pas de dem, słyszy nagrodę: gardłowe okrzyki zamoczenia. Przy trzynastym uderzeniu serca wszystko się zajmuje. Cisza. Słowo lub dwa, wypowiedziane po cichu. Ona sm'uje się. Zaciska nogi na jego talii. Znów podejmują swój V4 znów jego bas, jej klarnetowe solo. Wtedy nie miałem rń WątP.liwości> czego jestem świadkiem, i wycofałem się ^•e cicho, jak się podkradłem.

i en ' air (franc.) — w powietrze

351

Stojąc w zalanym słońcem ogrodzie, zastanawiałem się robić. Stare mury z cegły i krzemienia nasiąkały upałem. Ra-' zasadzone przez Kąty, wspinały się po nich, wystawiając li słońcu kremowobiałe i różowe parasole. Zepherine Drouha Kiftsgate. PauPs Himalayan Musk. Alberic Barbier. Γ3r- ; Weselny. Rozsiewają zapach. To dziwne, jak indyjskie ogroHv mające za dużo słońca, kochają deszcz, a angielskie, z nad miarem deszczu, uwielbiają słońce. Mój ojciec byłby durnm, z naszych róż. Kąty się nimi zajmowała, przycinała je i obrywała martwe kwiaty, zawsze w odpowiednim czasie, by żywe mogły się lepiej rozwijać. Ruszyłem wzdłuż krzaków róż i obszedłem narożnik domu z myślą, że muszę znaleźć się daleko stąd Skierowałem się do tylnej bramy i ścieżki prowadzącej w pola Niedaleko, nisko nad ziemią, widziałem szeroko otwarte okno z którego dochodziła niezwykła ptasia symfonia.

„To nie jest Kąty”, powiedział bardzo spokojny głos w mojej głowie. „Kąty wypożyczyła komus dom na popołudnie, jakiejś koleżance. Kąty tu nie ma. W tej chwili jest pewnie w Brighton”, Wtedy — ależ oczywiście! — przypomniałem sobie, jak mi mówiła, że jedzie do domu klienta, żeby czegoś dopilnować. To miało związek ze ścianami! Jakiś specjalny efekt malarski!

Przecieranie?

Pod oknem rósł krzew sięgający do połowy szyby, który na początku lata obsypywał się niebieskimi, szcztokowatymi kwiatuśkami, chyba nazywa się Ceanothus albo jakoś tak; Kąty wspominała o tym, żeby go ściąć, bo odcina dopływ światła do pokoju. Zawróciłem, podkradłem się za niego i rozchyliłem gałęzie. Światło słońca pada jak długie smugi złotego syropu na deski podłogi, rozjaśniając róg perskiego dywanu i unosząc oko na kanapę, która nie stoi już tyłem do mnie. Teraz widzą, kto na niej jest i co robi. Chciałem powiedzieć, wiem, zamiast widzę, lecz wiedza zakłada zrozumienie. Widzę, co zdają się robić. Ona, naga, leży na wznak, z głową na końcu kanapy bliższym mnie, z kolanami przyciśniętymi do piersi ciężarem obnażonego mężczyzny klęczącego nad nią. Teraz go poznaje—Jeden z jej klientów. Ma coś wspólnego z wydziałem muzycznym uniwersytetu. Byliśmy w jego domu i jedliśmy kolację z nim i jego żoną. To u niego miała dzisiaj być. Muzyk. To

352

tłumaczy, czemu nigdy wcześniej nie słyszałem tej ptasiej gyrnfonii. Sprytny pomysł, przecieranie z akompaniamentem ptasich śpiewów. W każdym razie, to właśnie ten rzemieślnik oieStrudzeme podtrzymywał zabawę w tę i we w tę. Teraz, w ramce z blaknących kłębków Ceanothusa, cofa się, chwytając ją za łydki nad kostkami, odpycha w tył, a potem przysuwa się, yęcząc z szeroko rozwartymi kolanami. Przemknęło mi przez myśl, że zaraz zsunie się z kanapy. Pachnący różami podmuch wiatru, przemykający się niestosownie obok krzewu, w którym stoję ukryty, wnika do pokoju, witany drganiem zasłonek. Unosi muzykujące ptaki wysoko, jeszcze wyżej, i ukazuje smugę słonecznego światła z wirującymi drobinkami kurzu niczym strumień z projektora w kinie, nad głową, wyświetlającego scenę, której me mogłem uznać za bardziej realną niż obraz z filmu, rytm, muzykę, odbierane z niedowierzaniem, w oderwaniu od rzeczywistości.

Ile razy odtwarzałem sobie tę scenę? Ich głowy blisko siebie. Później podmuch wiatru puszczający w ruch drobinki kurzu, gałąź kołysze się, światło słońca sięga ich bliźniaczych głów i maluje je złotem. Teraz on odsuwa się, dopasowuje swoje ciało i żaden szczegół nie umyka już moim oczom. Jej biodra unoszą się na spotkanie jego ciała, zderzają się, odsuwają i spotykają znowu, poruszając się równomiernie, jak podwójna istota, której połówki złączone są mięsistą pepowiną, wydłużającą

się i skracającą, czasem całkowicie znikającą. Większość mężczyzn na taki widok, widok innego mężczyzny różnego ich zone, poczułaby gniew, ból, zazdrość, żal. Ja nie poczułem żadnej z tych rzeczy, tylko rodzaj zdumienia zanurzonego w ogromnym spokoju. To, co w tamtej chwili widziałem, zdawało się me mieć nic wspólnego ze mną. I mimo bólu, który uderzył mnie później, nigdy nie czułem, że w tym, co robili, było coś odrażającego, ani nawet zmysłowego — raczej wydało mi się to nieuniknione. W ich parzeniu się było coś czulego, co podkreślała osobliwa muzyka, ich okrzyki tonęły w ptasiej otchłani.

V ■■■.•;-

Wyszedłem z ogrodu i ruszyłem ścieżką. Kilkadziesiąt metrów od domku stał zaparkowany samochód. Zdezelowane, czerwone renault. Chodziłem po falujących polach, trzymając

353

się blisko linii chabrów i maków. Usiadłem na stoku wzg0_rza i patrzyłem, jak zmienia się światło w dolinie; słońce i chmury goniły się na zboczach, które ożyły tuzinami puc. sujących plam zieleni i błękitu. Widziałem nasz domek, ma_lenką zabawkę stojącą wśród pól, stróżkę drogi, czerwony samochód.

Kiedy wszedłem wieczorem do domu, wszystko było zwyczajnie. Bliźniaczki wróciły ze szkoły. Kąty przywitała mnie całusem i powiedziała, że próbowała dodzwonić się do mnie do biura, ale nikt nie odbierał. Powiedziałem, że byłem na spotkaniu. Wieczór jakoś minął. Siedzieliśmy na niebieskiej kanapie, oglądaliśmy telewizję i rozmawialiśmy o bliźniaczkach. W nocy w łóżku zbliżyłem się do niej, nie wiedząc, jak zareaguje, ale była chętna. Kochaliśmy się z namiętnością, która wprawiła mnie w zdumienie. Niewiele razy wcześniej było tak intensywnie. Kąty całkowicie się otworzyła. Nadszedł moment, kiedy dotarłem do samego końca, poczułem, że ona topnieje, i pozwala mi wnikać jeszcze głębiej, głębiej niż wydawało się to możliwe; potem leżeliśmy złączeni bez tchu, tak blisko siebie, jak blisko może być dwoje ludzi. „To było fantastyczne”, powiedziałem. Kąty odparła: „Tak jak w tę noc, kiedy zrobiliśmy bliźniaczki”. Nigdy nie wspomniałem o tym, co widziałem, nigdy ani przez chwilę nie przestałem jej kochać, ale tej ostatniej uwagi też nie mogłem jej do końca wybaczyć.

To musiało być dwa lata później, kiedy byłem już usadowiony na dobre w księgarni; tamten mężczyzna przestał mi zagrażać, razem z żoną przenieśli się na uniwersytet w Walii. Pewnego razu włączyłem radio i drgnąłem ze zdziwienia, słysząc te same dźwięki, co w tamto popołudnie. Wysłuchałem do samego końca. Trwało to mniej niż kwadrans. Potem rozległ się głos spikera: „Było to wykonanie Oiseawc exotiques Olivier Mes-siaena...”.

W łóżku Kąty wznowiła atak.

— Popelnisz wielki błąd, jeśli się z nią zadasz — powiedziała w ciemności. Leżeliśmy skuleni pod kołdrą, tyłem do siebie. Za oknem»

354

w polu, jakieś zwierzę pokrzykiwało w rytmie staccato. Może lisica. Odwróciłem się i przesunąłem ręką po biodrze Kąty.

— Uwielbiam ten zmysłowy łuk. Właśnie tutaj, gdzie opada i przechodzi w twoją talię.

— Jestem za bardzo śpiąca — mruknęła. Potem, sięgając za siebie, powiedziała głośno, całkiem rozbudzona. — O rany, ale cię ta suka podkręciła.

Odwróciła się twarzą do mnie. Nasze usta były blisko siebie, wdychaliśmy swoje oddechy. Objęła mnie i powiedziała:

— Ty i ja jesteśmy silni razem. Jesteś moją opoką.

— Kocham cię.

— Bhalu, nikt nie może być bliżej niż my — westchnęła Kąty i pocałowała mnie w policzek. — A teraz śpijmy.

Rano przy śniadaniu powiedziała:

— Ona będzie ci działała na nerwy, wiesz. Przekonasz się, że jest absolutnie nieznosna.

— Przyrzekam ci, że z nią nie ucieknę — odparłem.

Morderstwo Ahudży

(Bombaj, 27 kwietnia 1959)

Mój człowiek w Bombaju pracował wydajnie. Nie upłynęły nawet dwa tygodnie od mojego lunchu

z Phoebe, gdy do księgarni wszedł doręczyciel z ciężką paczką, którą cisnął na moje biurko.

„Ciekawiło mnie, co pan tam ma, rzekł rozglądając się. Teraz wiem”.

Lecz nie były to książki. Po należytym wybebeszeniu paczki okazało się, że zawiera stenogramy z procesu Nanavatiego, fotokopie fragmentów książki poświęconej sprawie, w hindi, oraz, co najważniejsze, odbitki właściwych stron „Blitza”. Ponad dwieście stron grubego, zwijającego się papieru. Mój człowiek przeproszał za to, że poprzednio niczego nie znalazł. „Blitz” nie donosił o morderstwie od razu po fakcie, ale dopiero po tym, jak sprawa trafiła do sądu w październiku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego dziewiątego roku.

Z przedziwnym wrażeniem deja vu zacząłem czytać historię morderstwa Ahudży. W artykułach pisano o „wiecznym trójkącie”, lecz ja wiedziałem, że były dwa trójkąty, nierozłącznie ze sobą splecione. W Pokucie (którą znałem już tak dobrze, że mogłem ją cytować z pamięci) Pan Love igra z Sybil i S i ginie z nieznaney ręki. Wedle relacji „Blitza”, Pan Love, teraz znany już pod właściwym nazwiskiem, igra tylko z S i zostaje zabity przez jej męża.

Doniesienia prasowe sprzed czterdziestu lat miały dla mnie niepokojące znamiona podobieństwa, a jednocześnie niepodobieństwa do Pokuty, niczym prawie identyczne bliźnięta. Ta

356

zaś była ukrytym, drugim obliczem legendy. Z tego, co wiedziałem, Phoebe i ja byliśmy jedynymi żywymi ludźmi, którzy ^ają całą historię. Publiczności przedstawiono tylko połowę, jakie to dziwne, że tak jak zostało napisane w Pokucie, dwie kobiety były do siebie podobne jak bliźniaczki, nie tylko z wyglądu, ale i z imion. Sybil zawsze nazywała swoją rywalkę g. Teraz wiedziałem dlaczego.

Wczesnym popołudniem dwudziestego siódmego kwietnia tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego dziewiątego roku komandor marynarki indyjskiej Kawas Nanavati, oficer przeznaczony do wysokiego awansu, zawiózł swoją angielską żonę Sylwią i ich małe dzieci do kina Metro na seans Tomcia Palucha.

Inne kina w mieście wyświetlały różne filmy: Regal — Zawrót głowy; Strand — Przygodę w Japonii; Maratha Man-dir — Amar Deep; Excelsior — This Happy Feeling (tydzień wcześniej były to Światła rampy); Opera House — Hira Moti.

Komandor Nanavati nie został na seansie, lecz pojechał do portu i wszedł na pokład swojej jednostki, krążownika „Myso-re”, dawniej HMS „Nigeria”, obecnie flagowego okrętu indyjskiej marynarki. Zszedł do zbrojowni, powiedział, że wybiera się do Aurangabadu (niektóre relacje mówią o Ahmednagarze) i potrzebuje broni dla własnego bezpieczeństwa. Pokwitował odbiór rewolweru i sześciu naboí.

O godzinie szesnastej dziesiąt Nanavati zadzwonił do drzwi luksusowego apartamentu w budynku Jeevan Jyot przy Nepean SeaRoad. Lokaj Ahudży, Andżani, znający Nanavatiego, przygotowywał tacę z herbatą. Powiedział komandorowi, że jego pan odpoczywa. Nanavati przepchnął się obok niego do sypialni i trzasnął drzwiami. Służący usłyszał gniewne okrzyki, a potem strzały. Wbiegł do pokoju i znalazł Ahudżę umierającego w kałuży krwi.

Nanavati, wciąż z rewolwerem w dłoni, wyszedł z mieszkania, mówiąc że idzie na posterunek policji, ale zamiast tego Poszedł do dowódcy morskiej żandarmerii wojskowej, komandora Samuela.

Dziesięć minut później zastępca komisarza Lobo z bombaj-

357

skiej policji odebrał telefon od Samuela, który poinformował go, że wysłał Nanavatiego, aby ten oddał się w ręce runu cjonariuszy na komendzie Gamdevi.

„Wysłał go pan pod eskortą?”, spytał Lobo. Kilka miesięcy wcześniej marynarz z okrętu Nanavatiego udusił kobietę w ta-nim pensjonacie, i dowódca żandarmerii wysłał go na police pod strażą.

„Oczywiście, że nie, odparł Samuel. Jedzie swoim samochodem. Kawas Nanavati to dżentelmen”. Rankiem tego feralnego dnia Nanavati pokłócił się z żoną, Sylwią. Jego okręt wrócił niedawno z rejsu i komandor miał zapewne nadzieję, że powita go pełna zapału kochanka, a tymczasem Sylvia była zamknięta w sobie, wyraźnie w złym nastroju. Wyjechali na kilka dni z jego bratem i bratową,

a zachowanie Sylvii nadal było dziwne. Po powrocie odrzuciła zaproszenie na kolację u szwagra bo, jak wyjaśniła, wcześniej umówiła się z przyjaciółką Mamie, siostrą Prema. Państwo Nanavati znali Ahudzę i jego siostrę od kilku lat. Co jakiś czas spotykali się we czwórkę na brydżu. Nanavati wiedział, że Ahudża cieszy się sławą playboya, który upodobał sobie samotne żony oficerów na służbie.

Istnieją różne wersje tego, co stało się rankiem dwudziestego siódmego kwietnia. Nanavati miał kilka rutynowych spraw do załatwienia. Musiał zabrać psa do weterynarza. Po południu rodzina planowała wycieczkę do kina. W innej relacji opisany jest ich wyjazd do kina Metro po bilety na film. W drodze do domu zatrzymali się ponoć na Crawford Market i poszli kupić jakieś produkty spożywcze. Atmosfera w samochodzie była napięta. Jeśli wierzyć „Blitzowi” i kilku innym barwnym relacjom, należy wyobrazić sobie następującą scenę, gdy dotarli do domu.

Salon w domu Nanavatic, duży komfortowy pokój z rozległym widokiem na morze. SYLVIA siedzi na kanapie z magazynem „Eves Weekly”. Udaje zaabsorbowaną, ale nie może się skupić. Jej mąż, KAWAS, przystojny mężczyzna po trzydziestce, nerwowo krąży po pokoju. Siada obok SYLVII.

358

ON: Sylvio, proszę cię. O co chodzi?

Ona milczy, przerzucając kartki czasopisma. ON: Proszę. Powiedz, co się stało? ONA: Nic. Czemu mnie dręczysz?

On otaczają ramieniem. ON: Kochanie, coś jest nie tak. Powiedz mi. ONA: (wzdrygając się pod jego dotknięciem) Nie rób tak!

On nie odsuwa ręki, próbuje jeszcze raz. ON: Sylvio... {Pospiesznie zabiera rękę, gdy wchodzi służący}. SŁUŻĄCY: Sahibie, memsahib, lunch gotowy.

Służący i państwo Nanavati wychodzą. Pokój jest pusty przez pół godziny; musimy sobie wyobrazić, że w tym czasie jedzą lunch przy rodzinnym stole. SYLVIA wraca, siada na kanapie i bierze magazyn, po czym zaczyna znów go kartkować. Upływa kilka kolejnych minut, nim pojawia się KAWAS.

ON: Ach, tu jesteś. Czekałem w sypialni. Pomyślałem, że będziesz chciała odpocząć po lunchu. Ona ignoruje go, nadal przeglądając gazetę. On siada na drugim końcu kanapy. ON: Sylvio, musimy porozmawiać.

Ona odwraca głowę. ON: Sylvio, czy ty mnie jeszcze kochasz?

Cisza. ON: (szorstko albo łagodnie, według różnych relacji) Jesteś zakochana w kimś innym?

Cisza. ON: (teraz już pewnie szorstko) Na litość boską, musisz mi powiedzieć. ONA: Tak. ON: Kim on jest?

Ona kręci głową i nie chce odpowiedzieć. ON: Czy to Ahudża? ONA: (po długiej ciszy, mruczy) Tak. ON: Czy zachowałaś... honor?

Ona opuszcza głowę, a potem znów nią kręci. On zrywa się i zaczyna chodzić po pokoju, bardzo wzburzony. ON: O Boże! O Boże! O mój Boże! ONA: Co zamierzasz zrobić? ON: Co jeszcze można zrobić?

359

On podejmuje decyzję. Zatrzymuje się. Siada obok niej. ON: Czy on jest gotów postąpić honorowo? Ożeni się z tobą? Zaopiekuj się twoimi dziećmi? ONA: (zwiesza głowę) Nie wiem.

ON: Sylvio, posłuchaj, mogę ci przebaczyć. Jestem gotów to zrobić Ale musisz go rzucić. Powiedz mi prawdę, kochanie, rzucisz go? ONA: Nie mogę na to w tej chwili odpowiedzieć.

On znów się zrywa, tym razem gniewnie. ON: Muszę iść i załatwić sprawę z tą świnią. ONA: Nie, nie. Nie możesz tam iść. On może cię zastrzelić. ON: Mną się nie przejmuj. To i tak bez znaczenia, bo sam zamierzam się zastrzelić.

ONA: (wstaje i łapie męża za ramię, żeby go uspokoić) Czemu miałbyś się zastrzelić? Ty jesteś niewinny.

ON: O Boże, spójrz na zegarek. Niech wszyscy wsiadają do samochodu, bo spóźnimy się na Tomcia Palucha.

Proces przed Sądem Okręgowym w Bombaju okazał się równie sensacyjny jak morderstwo. Istniało

ogromne poparcie opinii publicznej dla skrzywdzonego bohatera marynarki i powszechna odraza do Ahudży, uwodziciela, który zrujnował małżeńską cnotę żony.

Sylvia zjawiała się w sądzie w białym wdowim sari i perfekcyjnie odegrała rolę naiwnej, skruszonej żony, sprowadzonej na złą drogę przez łotra. Opisała dzień morderstwa. Jak musiała walczyć ze sobą, by wyjawić mężowi złą nowinę, że kocha innego mężczyznę. Nie umiała okłamywać go w kwestii tego, co zdarzyło się pod jego nieobecność.

Opowiedziała o tym, jak Nanavati zastał ją po powrocie rozkojarzoną i w złym humorze, jak pod wpływem jego łagodnych indagacji wyznała, iż kocha innego mężczyznę i że — nie, nie chciała go oszukiwać — nie była wierna. Mąż oświadczył, że pójdzie rozmówić się z Ahudżą. Miał go zapytać, czy zamierza ożenić się z Sylvią i — tu sala zareagowała falą westchnień — poprosić, by zaopiekował się dziećmi. Sylvia błagała go, żeby tam nie szedł. Ostrzegła, że Ahudża może go zastrzelić (co było równoznaczne ze stwierdzeniem, że Ahudża ma broń). Właśnie dlatego, zeznał Nanavati, wziąłem pistolet

360

ze statku. Dla własnego bezpieczeństwa. Albo żeby się za-trzelić. Lub jedno i drugie. Co za historia! A DO TEGO JESZCZE CZASZKA!, wrzeszczał „Blitz”.

Tłumy ludzi wlewały się na teren wokół sądu, by choć przez chwilę spojrzeć na Nanavatiego, który pojawił się i zniknął w eleganckim marynarskim mundurze ozdobionym medalami i odznaczeniami. Entuzjastyczne okrzyki rozdzierają powietrze, ilekroć wchodzi i wychodzi z gmachu sądu. Wiele studentek kolegów straciło ponoć serca dla przystojnego komandora. Niektóre zemdlały na jego widok. Inne podobno słały mu sturupiowe banknoty z odciskami szminki. Kilka usychających z miłości nimfę tek złożyło mu propozycje małżeńskie, spodziewając się jego rozwodu. Oprócz tłumu, w nadmiarze wypełniającego salę sądową, przysłuchującego się wywodom obrońcy i oskarżyciela, jest tam jeszcze jeden niemy i bezoki „widz”: CZASZKA AHUDŻY, dowód w sprawie, stojąca na stole blisko ław prasowych, złowieszczo szczerząca zęby.

Ławnicy, podobnie jak tłumy na zewnątrz, byli zdecydowanie po stronie oskarżonego i słuchali, kiwając głowami, każdego stwierdzenia, które obrońca uzyskiwał od zhańbionej, choć skruszonej żony. Bohater zamierzał spotkać się z Ahudżą kierując się honorowym (tak) i nacechowanym odpowiedzialnością (taktaktak) motywem: chciał poznać jego zamiary wobec Sylvii i dzieci. A Sylvia ostrzegła męża, że Ahudża może go zastrzelić. (To oczywiste, że Ahudża miał broń — wszak nie można nikogo zestrzelić bez pistoletu). Zatem Nanavati wziął pistolet dla własnej obrony (tak). Poza tym, potrzebował rewolweru, żeby zastrzelić siebie (o taktak), co jest najbardziej honorowym (starorzymskim, japońskim, tragicznym, heroicznym) sposobem uniknięcia hańby, mimo że w całej sprawie był on niewinny.

Na nieszczęście dla obrony, sędzia Sądu Okręgowego w Bombaju nie był skłonny zaakceptować koncepcji pojedynku rewolwerowców rodem z Dzikiego Zachodu. W mieszkaniu Ahudży nie znaleziono pistoletu. Znaleziono kilkadziesiąt butelek po alkoholu i pudło z listami miłosnymi, ale pistoletu —

361

nie. Ahudża nie mógł więc zastrzelić Nanavatiego. W każdym razie, jak zauważył uczony prokurator, aby ta linia obrony był do przyjęcia, czyn powodujący śmierć musi wynikać bezn 3 średnio z nieodpartego, niekontrolowanego impulsu, który, z kolei musi być następstwem poważnej i nagłej prowokacji. Oskarżyciel zauważył, że od wyznania żony do strzałów upb nęły trzy godziny. W tym czasie Nanavati zawiózł rodzinę do kina, pojechał na okręt, wziął stamtąd broń, załatwił urzędowa sprawę i dopiero potem udał się do biura Ahudży, a nie zastawszy go tam, do jego mieszkania. Miał mnóstwo czasu na to, by się uspokoić. Sięgnięcie po broń po upływie trzech godzin było premedytacją, a zatem i morderstwem.

Obrońca wezwał wówczas na świadka Nanavatiego i osłupiały ze zdumienia sąd został poproszony o wyobrażenie sobie kolejnej sceny.

Sypialnia Ahudży. Pokój z rozległą panoramą morza. Całkowicie zdominowany przez łóżko. W pobliżu stoi toaleta z dużym lustrem. Także szafa i radioodbiornik. Jedne drzwi prowadzą do łazienki. Drugie do pozostałej części mieszkania. AHUDŻA leży nago na łóżku. Według niektórych

wersji siedzi przed lustrem w ręczniku kąpielowym i czesze się. Dzwoni dzwonek (poza sceną). Słychać niewyraźny pomruk głosów (poza sceną). Drzwi sypialni otwierają się gwałtownie i staje w nich NANAYATI z pękatą kopertą w dłoniach, zawierającą rewolwer, o czym nie wie AHUDŻA (przyniesiony wyłącznie dla własnej obrony, na wypadek gdyby AHUDŻA próbował go zastrzelić). AHUDŻA łapie ręcznik, żeby się okryć lub, w zależności od tego, którą wersję woli publika, z leniwą wzgardą nadal się czesze. NANAVATI: Ty nędzny psie!

AHUDŻA jest zaskoczony, lecz zachowuje się z wyzywającą arogancją.

NANAVATI: Jesteś gotów ożenić się z Sylwią i zaopiekować się jej i moimi dziećmi?

AHUDŻA: Naprawdę uważasz, że będę się żenił z każdą kobietą, z którą sypiam? Wynoś się stąd w tej chwili, bo cię wyrzucę!

Zbliża się groźnie do NANAVATIEGO. NANAVATI (nie chcąc używać rewolweru) kładzie brązową kopertę na radioodbiorniku i podnosi pięści. NANAYATI: Na Boga, dam ci nauczkę!

362

AHUDŻA, uchylając się od walki na pięści, próbuje złapać kopertę (skądś wie, że jest w niej rewolwer), lecz NANAYATI chwytą ją pierwszy, wiedząc, że AHUDŻA zastrzeli go bez litości, jeśli dostanie broń w swoje ręce. AHUDŻA, nie okazując strachu, łapie rękę NANAVATIEGO i zaczyna ją wykręcać, żeby przeciwnik wypuścił kopertę. NANAVATI, bez wątpienia w samoobronie, wyciąga pistolet i (nie mierząc do AHUDŻY), rozkazuje mu się cofnąć. AHUDŻA, w gwałtownym wybuchu agresywnego szału, nie czyni tego, tylko rzuca się przed siebie, próbując wyrwać przeciwnikowi broń. Dochodzi do szamotaniny. NANAYATI, w trwodze o swoje życie, lecz rozpaczliwie starając się nie użyć rewolweru, odpycha AHUDŻĘ do drzwi łazienki. AHUDŻA zasypuje NANAYATIEGO gradem ciosów i wciąga do środka. Z całej siły stara się wyrwać NANAYATIEMU broń. Jest bardzo silny. Jego uścisk jest tak mocny, że boleśnie zaciska dłoń NANAYATIEGO na rewolwerze. NANAYATI nie może puścić, nawet gdyby chciał. AHUDŻA przekręca dłoń NANAYATIEGO. W czasie tej walki rozlega się strzał. AHUDŻA rozluźnia uścisk i upada na podłogę. NANAYATI natychmiast wychodzi z łazienki.

Jest oczywiste, wnosi z tego obrona, że od początku do końca odpowiedzialność za śmierć Ahudży spada na niego samego. Nanavati okazał najdalej idącą samokontrolę. Jego uprzejme (w tych okolicznościach) i rozsądne pytanie o zamiary Ahudży spotkało się wyłącznie z obelgami i groźbami. Zrobił, co w jego mocy, by załatwić sprawę tak, jak stoi napisane w ewangelii według Johna (Wayne'a), za pomocą pięści. Lecz Ahudża, okazując się godnym pogardy tchórzem, jak również krewkim, aroganckim narwańcem, próbował wyszarpnąć mu kopertę. Nanavati musiał chwycić za rewolwer, bo w przeciwnym razie Ahudża bez wątpienia zastrzeliłby go z zimną krwią. Usilnie starał się n i e użyć broni przyniesionej dla własnego bezpieczeństwa (czyż zachowanie Ahudży nie potwierdziło, jak przezorne było to posunięcie?), lecz Ahudża tak silnie zaciskał dłoń Nanavatiego na pistolecie, jednocześnie zasypując go ciosami i próbując wykręcić nadgarstek... Reszta to karma. Zarazem, rzecz jasna (w razie gdyby ktoś pamiętał, że oddano frzy strzały, a niejeden), Nanavati zniósł kolejną niewybaczalną

363

provokację w postaci straszliwie obraźliwej uwagi Ahud' mianowicie: Czy Nanavati naprawdę myśli, że on, Ahud>' będzie się żenił z każdą kobietą, z którą spał? (Było ich t v wiele, że nie sposób zliczyć — między innymi żona Nanavati go). Był to więc wypadek przy próbie samoobrony, podjet ■ w reakcji na niewybaczalną provokację. Krótko mówiąc, trzv okoliczności na obronę oskarżonego składają się w całość! lecz w efekcie możliwy jest tylko jeden werdykt.

Establishment, równie gorąco jak opinia publiczna i „Z0}. ta" prasa, chciał uniewinnienia Nanavatiego. Marynarka, pra-gnąc uniknąć skandalu, poprosiła o dyskretny proces przed sądem wojskowym. Zastępca komisarza John Lobo musiał wyjaśnić szefowi sztabu marynarki, że skoro Nanavati zabił cywila w Bombaju, nie da się uniknąć publicznego procesu. Mimo to marynarka zrobiła, co w jej mocy dla swojego człowieka. Przed sądem stawił się kapitan Kohli z „Mysore", który wydał pozwolenie na pobranie broni w ów feralny dzień. Szef sztabu marynarki wojennej, admirał Katari i minister obrony Krishna Menon także zeznawali w obronie rycerskiego komandora. Rzecz jasna, bardzo głośnym orędownikiem jego sprawy był „Blitz", który poświęcał

znaczną część każdego numeru apelom, by sentyment wziął górę nad prawem.

Sęk w tym, że w opowieści Nanavatiego nic nie zabrzmiało wiarygodnie.

Bolesna szczerłość Sylvii. Oszukiwała męża przez ponad rok i sumienie jakoś jej nie dręczyło.

Czemu raptem stała się moralnie niezdolna do kłamstwa? Bardziej prawdopodobne było to, że zmęczyło ją czekanie, aż Ahudza się zdecyduje, i postanowiła przyspieszyć sprawę. Jak mogła przewidzieć, że jej dobry, łagodny mąż złapie pistolet i wyruszy na polowanie?

Potrzeba wzięcia ze sobą broni. Wniosek, że Ahudza posiadał pistolet i był niebezpieczny, opierał się wyłącznie na słowach Sylvii.

364

Szamotanina w sypialni. Lokaj znajdujący się poza sypialnią zeznał, iż upłynęły zaledwie sekundy od trzaśnięcia drzwi do huku potrójnego wystrzału.

niewybaczalna prowokacja. Rzekoma obelga Ahudży — coś takiego może powiedzieć łotr do zapłakanej kobiety, a nie do rozgniewanego męża wymachującego pistoletem.

„Blitz” doniósł, że kiedy przysięgli weszli znów na salę I gotowym werdyktem, pewna urodziwa ławniczka puściła Oko do bohatera.

Niewinny!

Ukrzyżowanie Pani?

(Lewes, czerwiec 1999)

— Macie na pieńku z Kąty? — wydyszał Prosiaczek, gdy siedzieliśmy u Charlotte, dopijając drugie piwo.

— Skąd wiesz?

— Zadzwoiła któregoś dnia wieczorem. Późno. Koło jedenastej. Pytała, czy u mnie jesteś.

Powinienem być zełgać?

— Ależ skąd.

— To ta blondyna, co? Ta co mieszka w Sleeman. Tajemnicze miejsce, o którym nikt nie słyszał.

Nie powiedziałem mu, ale już rozwiązałem tę zagadkę.

Książki Mai trafiły na górę — wysokie stopy kartonowych pudeł, wypełniające większą część powierzchni dwóch pokoiów nad księgarnią. Kiedy tylko mogłem, rozpakowywałem je po trochu i klasyfikowałem. Niektóre miały zasilić mój magazyn, resztę chciałem włączyć do prywatnych zbiorów.

Parę dni po lunchu z Phoebe otworzyłem pudło pełne książek, które mieszkały kiedyś w palisandrowej szafce Mai. Wśród nich było kilka tytułów poświęconych powstaniu indyjskiemu. *The Indian War of Independence, 1857* (Indyjska wojna o niepodległość, Veer Sarvarkar, Drukarnia Karnatak, Chira Bazaar, Bombaj, 1947. Eg. nr 252 z ograniczonej edycji 1000 egzemplarzy, 552 str., z frontyspistem przedstawiającym Savar-kara i jego słynną szczękę. Wiele kolorowych tablic. Książka wydana po raz pierwszy w Anglii w 1909 roku i od razu objęta zakazem publikacji). *The Tale of the Great Mutiny* (Opowieść o wielkim buncie, W. H. Fitchett, Smith Elder & Co, Londyn, 1901, 384 str., pierwsze wyd., z portretami i mapami).

366

Journey through the Kingdom of Oude (Podróż przez krainę nudę¹, Generał Major sir W. H. Sleeman, Richard Bentley, Londyn 1858, 2 tomy z mapami, 424 str.).

Sleeman?

Teraz to do mnie wróciło. Po pogrzebie Mai, gdy Prosiaczek naciskał Phoebe, żeby podała mu nazwę wioski, w której „lieszka, Phoebe wpatrywała się w palisandrową szafkę. I posiedziała „Sleeman”.

Od naszego wspólnego lunchu walczyłem z podnieceniem, fantazjami, nadzieją żalem i wątpliwością. Phoebe wcisnęła mi już więcej kłamstw, niż kiedykolwiek zdarzyło się między Kąty i mną. Tylko jedna rzecz leżała niewypowiedziana w naszym małżeńskim łóżu, prawdopodobnie dlatego, że Kąty nie chciała mnie zranić. Ból z powodu tego, czego miałem nie zobaczyć, raz tępy, to znów dotkliwy, wyblakł z upływem lat, tak jak oboje wyblakliśmy. Już dawno jej wybaczyłem, tak jak ona wybaczyła mnie. Ja też zbłądziłem. To był zły okres dla nas obojga. Kąty była dobra, czuła, kochająca i wierna — tak, wierna — w tym najistotniejszym sensie. Kochała mnie i ze mną

została.

A Phoebe? Kąty miała rację. Nie wiedziałem o niej absolutnie nic. O jej mężu, jej małżeństwie, nie wiedziałem nawet, gdzie mieszka. Lecz Kąty również się myliła. Phoebe była dla mnie kimś więcej aniżeli dorosłą obcą kobietą. W jej twarzy wciąż widziałem dziewczynkę, którą kochałem, tak jak ona widziała w mojej twarzy chłopca. Teraz, gdy znów się spotkaliśmy, zrozumiałem, czego brakowało w moim życiu przez te wszystkie lata. Arystoteles sądził, że miłość to tęsknota duszy do utraconej części samej siebie. Ona była drugą częścią jaźni, którą jak mi się zdawało, utraciłem wiele lat temu. Nie mogłem tak po prostu pozwolić jej odejść. W mojej głowie kształtowało się postanowienie. Dziecko, którym byłem, nie umarło. Nadal tam było, żywe, i czekało na wezwanie. Jakos odnajdę Phoebe,

Oude albo Oudh to nazwa historycznego regionu w północnej części łódkowych Indii, którego aneksja przez Anglików w 1856 roku stała się bezpośrednią przyczyną powstania indyjskiego, zwanego inaczej wielkim buntem

367

stanę z nią twarzą w twarz. W taki czy inny sposób rozwia? zagadkę. Nie wiedziałem, co się stanie później, ani nie chciałem o tym myśleć.

To nie jest głupie, powiedziałem sobie. Mam ważny powód żeby chcieć się z nią znów zobaczyć.

To, co ostatnio prze' czytałem, mówiło bardzo wiele o cierpieniach jej matki.

Werdykt w procesie Nanavatiego spotkał się z hałaśliwym aplauzem tłumów czekających przed gmachem Sądu Okręgowego w Bombaju, lecz ich radość — niczym motyl latający w czasie krótkich, upalnych przerw w czasie monsunu — była równie efektowna, co krótkotrwała. Po mieście błyskawicznie rozeszła się wieść, że sędzia podważył werdykt. Stwierdziwszy, że doszło do złamania zasad sprawiedliwości, odesłał sprawę do Wysokiego Trybunału, a Nanavatiego do więzienia. Ponowny proces wyznaczono na luty tysiąc dziewięćset sześćdziesiątego roku. Phoebe uważała, że szantażysta zaczął wymuszać pieniądze już przed pierwszym procesem. Zanim rozpoczęły się przesłuchania przed Wysokim Trybunałem, mocno dokręcał śrubę. Gazety rozłożone na moim biurku powiedziały mi dlaczego. Zaczynało mu brakować czasu. O listach Sybil, znalezionych w pudełku pod łóżkiem Ahudży, nie wspomniano w pierwszym procesie ani słowem, gdyż sędzia orzekł, że nie mają znaczenia dla sprawy. Lecz adwokaci Nanavatiego potrzebowali czegoś nowego na rozprawę przed Wysokim Trybunałem. Musieli dać Nanavatiemu mocniejszy powód, by poszedł zobaczyć się z Ahudżą. A gdyby udało się dowieść, że Ahudża miał zwyczaj uwodzenia kobiet za pomocą obietnicy małżeństwa? Sybil miała zostać wciągnięta do sprawy. Pod łóżkiem znaleziono dwadzieścia sześć listów. Trzy były od S, reszta od innych kobiet, z których każda musiała żyć w lęku przed ujawnieniem. Jak to napisała Sybil? „...amoniakalna zmaza, która przykleiła się do mnie i nie opuszczała w czasie tych miesięcy po morderstwie, ciągle strach, że zostanę odkryta”. Tylko trzy listy pochodziły od Sybil, lecz były to te listy, które Pan Love, tak jednoznacznie okazując swoje grubiaństwo, przeczytał na głos S. Może to właśnie jest powód, dla którego jedyną kobietą którą S postanowiła ujawnić, była Sybil. D'a którego postanowiła nagłośnić tylko i wyłącznie jej listy.

368

\V swoim Ostatnim dzienniku Sybil napisała, że niemal słyszy» jak jej rywalka zachłystuje się z radości. „Naprawdę myślałaś, że ci się upiekło, prawda, moja droga Sybil?”.

WTARGNIĘCIE TAJEMNICZEJ PANI? W PROCES NANAVATIEGO

Bombaj: Tajemnicza kobieta — Pani? — która napisała trzy rozpaczliwe listy miłosne do Prema Ahudży w krytycznym momencie jego intymnej znajomości z Sylwią Nanavati, dramatycznie wtargnęła w sensacyjny proces w tym tygodniu, kiedy obrońca Pan A. S. R. Chari rozpoczął swoje wystąpienie przed Panem Sędzią Shelatem i Panem Sędzią Naikiem z Wysokiego Trybunału w Bombaju.

KIM JEST TA TAJEMNICZA DAMA? CO ŁĄCZYŁO JĄ Z AHUDŻĄ? CZEMU NAPISAŁA DO NIEGO TE LISTY — WSZYSTKIE TEGO SAMEGO DNIA? JAKA BYŁA TREŚĆ OWYCH LISTÓW? GDZIE JEST TERAZ TA KOBIETA? CZY WYSTĄPI OTWARCIE I UJAWNI SWOJĄ TOŻSAMOŚĆ?

Do tej pory ujawniono tylko tyle, że Pani(?) jest mężatką i ma dzieci. Z doniesień wynika, iż przyznała, że od dawna nie utrzymywała kontaktów z mężem i że w listach pisze o „pięciu latach celibatu”. Pan Sędzia Shelat po przeczytaniu listów zauważył: „Ona musi być zapaloną pisarką”. Oświadczywszy, że charakter pisma, napisanych przez ową tajemniczą Panią(?) listów, został zidentyfikowany przez Syhię Nanavati, żonę komandora Nanavatiego, oskarżonego o zamordowanie Ahudży, jego obrońca Chari donośnym, stentorowym głosem przekonywał, że sędzia Sądu Okręgowego w Bombaju Pan R. D. Mehta popełnił poważny błąd, wykluczając te listy ze względu na brak związku ze sprawą, i nie dopuszczając do włączenia ich do dowodów rzeczowych.

Listy Sybil zaczęły krążyć po sali sądowej jako najnowsza rewelacja w tym procesie, w którym taką rolę odgrywały czaszki i skandale. Została zidentyfikowana jako „Pani(?)”, lecz listy 369

były jej, bez cienia wątpliwości. W „Blitzu” zamieszczono długie ustępy. Miejscami są one zgodne, słowo w słowo z fragmentami dziennika Sybil z tysiąc dziewięćset piątym dziesiątego ósmego roku. Obrona, dążąc do udowodnienia że Ahudża zwodził S to w jedną, to w drugą stronę (jak rzeczywiście było), rzuciła się na list, w którym Sybil w ironiczny sposób zezwala L na sypianie z S. Pisała o „małżeństwie”. Był to oczywiście eufemizm, lecz nikt nie mógł zbudować prawnego argumentu na tym, co mogło to oznaczać. Listy Sybil w żaden sposób nie zmieniały sytuacji Nanavatiego. Wciąganie jej do procesu nie miało najmniejszego sensu. Było to całkowicie zbyteczne okrucieństwo.

Aby rozpalić poparcie publiki dla tracącej grunt pod nogami obrony, „Blitz” organizował spotkania i zamieścił petycję, podpisaną przez tysiące czytelników. Lecz tym razem nie było ławy przysięgłych, którą można było zakołysać. Sędziowie Shelat i Naik, podtrzymując orzeczenie przewodniczącego sądu niższego szczebla, uznali Nanavatiego za winnego morderstwa i skazali go na dożywotnie zesłanie (do kolonii karnej na wyspach Andamanach). Jego adwokaci niezwłocznie zgłosili apelację do Sądu Najwyższego, a pan Sri Prakasa, gubernator stanu Bombaj, nie znając, rzecz jasna, jej wyniku, natychmiast zawiesił wykonanie wyroku. Niektórzy dziennikarze i prawnicy wyrazili zaniepokojenie tym oczywistym lekceważeniem orzeczenia sądu.

„Blitz” napisał:

Oto opiniotwórczy redaktorzy i legaliści podnoszą larum: „Demokracja w niebezpieczeństwie!”, nie bacząc na fakt, że ich kampania zmierza do zniszczenia samego fundamentu demokracji, którym jest suwerenność narodu wyrażona przez ławę przysięgłych oraz inne oznaki vox populi w procesie o zamordowanie Ahudży.

Moralność klasy średniej

...Postulujemy tylko podkreślenie ludzkiego i demokratycznego aspektu tego wydarzenia. Opiera się on na bezlitośnie wyszydzonym i wyśmianym pojęciu zwanym moralnością klasy średniej.

Bezsprze-

370

cznym faktem jest, iż prawie co druga osoba należąca do klasy średniej, a w istocie do wszystkich innych klas z wyjątkiem wyrafinowanej wyższej klasy społeczeństwa lub amoralnej mniejszości inteligencji [siei], z radością wita w Nanavatim tego, który oddał strzały w JEJ IMIENIU—to znaczy bronił świętości swojego domu i swojej rodziny — przed plagą korupcji i moralnego zepsucia, które zżerają ciało, umysł i duszę narodu.

Prem Ahudża, choć żałujemy, że został zabity, i potępiamy to, stał się symbolem owych bogatych, skorumpowanych, niemoralnych i z gruntu społecznych sił, które traktują naród i jego integralność jak towar na sprzedaż, Nanavati zaś, mimo publicznego potępienia gwałtownego rozwiązania, które znalazł dla tragedii swojego zrujnowanego domu, został w powszechnym poczuciu reprezentantem wymierzającego zemstę sumienia ludzkości.

Apelacja Nanavatiego została odrzucona przez Sąd Najwyższy, który podtrzymał dożywotnie zesłanie. On jednak spędził na nim zaledwie trzy lata. W jego obronie wystąpił indyjski minister obrony i teraz szczekanie vox populi zakłóciło nawet spokój premiera.

Siostra Nehra, pani Vijaylakshmi Pandit, została nowym gubernatorem Maharashtry, części

dawnego stanu Bombaj, w której ludność posługiwała się językiem marami. Zastosowała wobec Nanavatiego prawo łaski. On zaś wyemigrował z żoną i dziećmi do Kanady i zniknął z kart historii. Skończyłem czytać, gdy łagodne światło letniego wieczoru w Sussex dotykało grzbietów moich książek, jednego po drugim, w moim sanctum sanctorum, zapalając je niczym świece.

Czemu odczuwam taki gniew?, zastanawiałem się.

Kilka dni później nadarzyła się okazja, żeby zadzwonić do Srinudziego. Maja mianowała go wykonawcą swojego testamentu, którego sama nie miała czasu wykonać. Mieszkanie Przy Sloane Square w końcu się sprzedało, należało omówić

371

różne sprawy. Srinudzi powiedział, że ma dla mnie czek i trochę papierów do podpisania.

Zaproponowałem, że przyjadą do Londynu, ale on powiedział, że sam mnie odwiedzi. Kiedy nazajutrz rano przyszedłem otworzyć sklep, zastałem go czekającego na ulicy. Ze zdziwieniem muszę się przyznać, że gdy zobaczyłem go w stroju guru, z szalem chroniącym przed chłodnym porannym powietrzem, doświadczyłem czegoś w rodzaju czułego przywiązania.

— A więc — rzekł swoim pięknie modulowanym urdu, kiedy wprowadziłem go do środka i podałem filiżankę herbaty — jak się miewasz, Bhalu?

— Brakuje mi jej.

— Mnie też. Podejrzewam, że nikt z nas nie uświadamiał sobie, jaka była wyjątkowa. Jedną z rzeczy, którą musimy omówić, to wysyłanie co rok skromnej sumy do banku w Ambona. Jak się wydaje, przez te wszystkie lata, nie wspominając nikomu ani słowem, płaciła pensję wiejskiemu nauczycielowi.

Otworzył zniszczoną walizeczkę, przypuszczalnie zabytek z czasów, gdy był księgowym, i wyjął plik papierów.

— Po pierwsze, twój czek.

Gapilem się z niedowierzaniem na ogromną sumę.

— Będę potrzebował twoich podpisów na tych dokumentach.

Zacząłem czytać. Srinudzi wziął z mojego biurka numer „Blitza”, obejrzał go od góry do dołu i odłożył, jak gdyby gazeta go ugryzła. Z początku uznałem to za dziwne, że w żaden sposób tego nie skomentował. I wtedy uderzyła mnie pewna myśl.

— Ty o wszystkim wiedziałeś, prawda? — powiedziałem, odkładając długopis. — O tym morderstwie w Bombaju. O procesie Nanavatiego. Wiedziałeś, że Maja była wmieszana w tę sprawę.

Po jego twarzy przemknęło coś dziwnego. Co to było? Czyżby lęk?

— Tak. Ale mogę zapytać, skąd ty wiesz?

— Phoebe Killigrew miała dziennik swojej matki.

— Powinienem być zgadnąć, że do tego dojdzie, jak tylko mademoiselle Phoebe zjawiała się na scenie.

372

W rzeczywistości użył słowa bibi, które rymuje się z jej imieniem. Dziwnie to zabrzmiało: Phoebe-bibi. -- Powiedziała, że jej matka, Sybil, była szantażowana. — Nie tylko ona — rzekł Srinudzi. — - Co takiego? I tak w końcu usłyszałem historię w pełnym kształcie.

„Nie znam jego nazwiska, powiedział Srinudzi. Wiem tylko, że był urzędnikiem państwowym. Czy pracował w policji, wymiarze sprawiedliwości, czy może w jakimś politycznym urzędzie, tego nie jestem pewny. Moje wrażenie, nic więcej, jest takie, że był wysokiej rangi policjantem”.

W ciągu trzech dni po śmierci Ahudży człowiek ten wezwał Sybil do swojego biura. Sybil przypomniała sobie później, że miejsce, które odwiedziła, znajdowało się w „dużym budynku rządowym”. Zwykły pokój, stół pokryty szarymi teczkami, parę krzesełek, wiatrak obracający się wolno w lepkim powietrzu.

Urzędnik był nadzwyczaj uprzejmy. Zaproponował Sybil filiżankę herbaty i wyraził ubolewanie, że musiał ją fatygować. Pokazał listy, które napisała do Ahudży, i poprosił o potwierdzenie, że są jej. Sybil ze strachem zapytała, czy zostanie ujawniona. Mężczyzna odparł, że skoro nie ma

wątpliwości, kto zabił Ahudzę, nie widzi powodu, dla którego miano by upubliczniać listy. (W rzeczywistości, oprócz listów S, żadne inne nie figurowały na liście dowodów oskarżenia). Ale niczego nie może zagwarantować. To nie zależy od jego decyzji. Nie może przewidzieć, co zrobi obrona. Sybil, zatrwożona, wyszła z biura i uciekła do Ambona, do swojej przyjaciółki, mojej matki.

Przez kilka tygodni było spokojnie. Pewnego dnia ktoś zadzwonił z Bombaju i poprosił Sybil. Ten sam mężczyzna, to samo służalcze ubolewanie. Ma złe wiadomości. W związku z listami. Jakies typy pozbawione skrupułów. Nie można temu zapobiec. Bardzo się obawia... Nie było potrzeby mówić tego śłośno. W wyobraźni Sybil dręczące widma już wykonały za ^ego robotę. Hańba, szeptaty, publiczne poniżenie. Nie tylko

373

jej, ale męża i córki. Sybil zaczęła go błagać o pomoc. Okazał krzepiące współczucie. Oczywiście, że zrobi wszystko, Co się da. I choć oficjalnie nic nie może zrobić, istnieje pewna nieoficjalna możliwość, lecz on waha się, czy może o niej powiedzieć... Obrzydliwa rzecz, sprzeczna z jego zasadami Wstyd mu to powiedzieć, lecz Sybil sama rozumie, prawda jak to się robi w Indiach? „Bogu dzięki, zawołała. Jeśli ternu człowiekowi chodzi tylko o niewielką sumę, niech pan god powie, że się zgadzam. Albo nie, proszę załatwić to za mrue. Zwrócę pieniądze”.

— Powiedziała twojej matce, co zrobiła — ciągnął Srinu-dzi. — To Maja poinformowała ją, że właśnie padła ofiarą szantażu.

„Nie, to przyjaciel”, upierała się Sybil.

— Ale Maja twierdziła, że okaże się diabłem. Nazwała go pan Szatan.

„Myliłaś się”, powiedziała Sybil do Mai, gdy minęło lato i nie było dalszych telefonów. Ale Maja pokręciła głową.

Zaczął się znów, gdy Sybil wróciła do Bombaju. Niestety, oznajmił urzędnik, zbliżający się proces Nanavatiego budzi olbrzymie zainteresowanie. Problem odżył. Urzędnik wyraził żal z powodu przekupności swojego pozbawionego skrupułów kolegi, i przykro mu to sugerować, ale... Żądanie znów było stosunkowo skromne, lecz potem dzwonił często. Sybil płaciła i płaciła. Kiedy nic jej nie zostało, zaczęła kraść pieniądze mężowi i pożyczać od przyjaciół. Pierwszy proces skończył się i o jej listach nie wspomniano, lecz szantaż trwał nadal, a im bliżej było do drugiego, tym pazerniej sze stawały się żądania urzędnika. Wtedy Sylvia Nanavati zidentyfikowała listy rywalki — „Blitz” ogłosił istnienie Pani(?), i Sybil musiała radzić sobie z niezdrowym zainteresowaniem Killly'ego, który powiedział przy śniadaniu: „Zwróć uwagę, że to Angielka. Cholera, dobrze jej tak. Po pierwsze, nie powinna była wychodzić za Hindusa”.

Sybil myślała, że oszaleje. Jej romans legł w gruzach. Została w najbardziej pogardliwy sposób rzucona przez mężczyzn?)

374

którego ubóstwiała. Straciła dziecko, a płód trafił na wysypisko śmieci. Ucieczka z mężem do Europy przyniosła nieoczekiwaną nadzieję, że jej małżeństwo odżyje. Szamotała się, próbowała zostawić za sobą traumatyczne przejścia. Kule jsfanavatiego strzaskały jej złudzenia tak samo, jak czaszkę Ahudży.

Drugi proces zakończył się równie niejednoznacznie, jak pierwszy. Nanavati był na wolności i czekał na wynik apelacji w Sądzie Najwyższym. Dla „Blitza” to było ziszczenie marzeń, publiczność ustawiała się w kolejkach po każdy kolejny numer. Potrzeba było nowych zwrotów akcji. To właśnie wtedy duch Ahudży zaczął się włóczyć po mieście w zakrwawionym ręczniku. Tożsamość Pani(?) była tajemnicą wartą swej ceny w krwi. Szantażysta dzwonił prawie codziennie. Wszelkie ślady uprzejmości znikły. W jego głosie pojawił się nowy, szyderyczy ton. Urzędnik mówił kategorycznie, nie udając już, że działa w interesie Sybil. Jego żądania rosły. Może wyczuł, że Sybil jest na granicy wytrzymałości. Złota żyła miała się lada chwila wyczerpać. Sybil po raz ostami spróbowała się postawić. W desperacji powiedziała, żeby przestał dzwonić, bo sama pójdzie do dziennikarzy. Jego odpowiedzią było zabranie pewnego popołudnia Phoebe ze szkoły. To musiało być tego dnia, gdy pływała na plaży przed Domem Gubernatora. Zabierając ze sobą Phoebe i ayah, Sybil po raz trzeci uciekła do Ambona.

„Właśnie wtedy twoja matka postanowiła interweniować, ciągnął Srinudzi. Ten czyn zdecydował o przyszłości was wszystkich. Odezwał się telefon. Ten sam głos, co zwykle, poprosił Sybil. Twoja matka widziała, jak przyjaciółka drżącą ręką podnosi słuchawkę. Maja złapała słuchawkę i w gniewie wykrzychała szantażyście, że już dość, że powinien nie tylko zostawić Sybil w spokoju, ale zwrócić pieniądze, które mu zapłaciła. Bo w przeciwnym razie ona, Maja Sahib, osobiście postara się, żeby został zdemaskowany... Maja powiedziała, że kazała Sybil spisać wszystko: jego nazwisko, to, co jej mówił, sumy, które wymusił, daty, godziny, sposoby i miejsca, gdzie fflu płaciła. Sybil może opisać wnętrze jego biura. Wie rzeczy, które mogą zniszczyć jego karierę. Wszystko to jest zapisane,
375

Łzo/iem-1

Lv. III może

•ka i si< zab; rvo*d<- 4Vll

Svbił nie ezem z córką b

. , | sie. USpO-

•i apelacji i w koń-

rnęli

■ opuści!

o na

nicy, ani

którzy nadal

u a drugim — twoja

j telefony mac. iją ją

icrz^t le_, że

n, co .. Ty.

mter-

telei. kazania okazuje

|0 być fabuła osnuta wokół mon ała go zatytułować Gunah-e-ishq.

m z nim stało? — zapytałem, ugięcie kwapił, żeby go wyprodukowa Dorianą, że to wpływ tego człowieka, k

■£ kim był ten Szatan?

półwiek był, był bardzo potężnym <

^ jej papierach nie ma nawet śladu wz I pozwól mi dokończyć opowieść... Posj OeIII i upłynęło wiele lat, nim wróciła

: n0Cy wdałeś się w rozróbę w oko Ńo bazaru. Aresztowano cię i spędziłeś nc

Γ T^ ale po kilku godzinach mnie wyp

I fsfie wiedziałeś jednak, że twoja matka

, sam budzący trwogę głos. „Pani syn

cymano go wczoraj w nocy w muzeum:

Uąda na wicherzyciela podobnego do pani.

bec o swoim durnym scenariuszu, pani karie

tezę mi dać to, czego chcę. To ostatnie o;

-Właśnie dlatego, Bhalu, twoje hasai

ipośpiechem, który musiał cię zaskoczyć.

uniwersytet na drugim końcu świata. Dli

III z siostrami za tobą i nie chciała w

ty którekolwiek z was postawiło nogę w

feiek żyje.

Γ A czy on nie umarł? Musi być bardz Z tego, co mówiła, sędzę, że jeszcze ' fego nazwisko jest zapisane w notę

&0 wie, czy w ogóle istniał? — odpi

!° wymyśliła, żeby przestraszyć t<
raz o nim wspomniała, fakt istnie)
GyCroBi1 żadnej różnicy. Mógł istn
Jr^ właśnie tego szukała Sybil -
wała się do Indii, by odnaleźć ĩ
powiedziała twoja matka, i jeśli szantażysta nie przestanie dzwonić, zostanie wykorzystane".
Odpowiedź urzędnika napelniła Maję trwogą.

„To głupie z pani strony, że mnie pani straszy, rzekł. Pani pozycja też nie jest nieskazitelna. Pani kontakty z cudzoziemcami i elementami wywrotowymi zostały zauważone. Wierny o pani ostatnich działaniach, sianiu niepokoju wśród wieśniaków. Powinna pani uważać. Taka kobieta jak pani może sobie przysporzyć wrogów. Mieszka pani w dzikiej okolicy. Syn włóczy się całe dnie po wzgórzach bez nadzoru. Kto wie, co się może stać?"

Kilka tygodni później Rosie spadła z urwiska i się zabiła.

— Twoja matka nie wierzyła, że to był wypadek — mówił Srinudzi. — Sybil też. Zaraz po śmierci niani policja przetrząsnęła wasz dom w Ambona. Po co? Czego szukali? Sybil nie mogła tego dłużej znieść. W ciągu kilku dni razem z córką były w drodze do Anglii... Gdy tylko wyjechała, sytuacja się uspokoiła. Nanavatiemu skończyły się możliwości apelacji i w końcu — gdy politycy, zdeterminowani, by go uwolnić, odsunęli na bok orzeczenie Sądu Najwyższego — on również opuścił kraj, nieświadom drugiej zbrodni, szantażu zbudowanego na jego zbrodni. Bhalu, nikt o tym nie wiedział. Ani prawnicy, ani sądy, ani prasa. Wiedziało tylko dwoje ludzi, którzy nadal mieszkali w Indiach. Jednym był szantażysta, a drugim — twoja matka.

Niebawem -także Maja odczuła nacisk. Zaczęły się telefony z żądaniem, by „dostarczyła paczkę”, bo inaczej spotkają ją określone konsekwencje.

— Odmówiła — ciągnął Srinudzi — wierząc, jak myślę, że bezpieczeństwo zapewni jej wiedza o tym, co się stało... Ty, Bhalu, na wszelki wypadek zostałeś wysłany do szkoły z internatem tysiące kilometrów dalej.

W ciągu kilku następnych lat Maja wciąż odbierała telefony, lecz było ich coraz mniej; to, co miał jej do przekazania szantażysta, brzmiało mniej więcej: „cieszę się, że okazuje pani rozsądek”.

— Tymczasem było inaczej — powiedział Srinudzi. — Napisała scenariusz do filmu, który opowiadał całą historię szan-

376

fx. Miała to być fabuła osnuta wokół morderstwa Nana-yatiego. Chciała go zatytułować Gunah-e-ishq. Zbrodnia miłości.

— Co się z nim stało? — zapytałem.

— Nikt się nie kwapił, żeby go wyprodukować. Twoja matka była przekonana, że to wpływ tego człowieka, którego nazwała Szatanem.

— Ale kim był ten Szatan?

— Kimkolwiek był, był bardzo potężnym człowiekiem.

— W jej papierach nie ma nawet śladu wzmianki o nim.

— Pozwól mi dokończyć opowieść... Poszedłeś na studia w Delhi i upłynęło wiele lat, nim wróciłeś do Bombaju. Pewnej nocy wdałeś się w rozróbę w okolicy mużulmańskiego bazaru. Aresztowano cię i spędziłeś noc na posterunku policji.

— Tak, ale po kilku godzinach mnie wypuszczono.

— Nie wiedziałeś jednak, że twoja matka odebrała telefon. Ten sam budzący trwogę głos. „Pani syn jest w areszcie, zatrzymano go wczoraj w nocy w mużulmańskiej dzielnicy. Wygląda na wicherzyciela podobnego do pani. Może pani zapomnieć o swoim durnym scenariuszu, pani kariera jest skończona. Proszę mi dać to, czego chcę. To ostatnie ostrzeżenie”.

— Właśnie dlatego, Bhalu, twoje hasanie się skończyło i z pośpiechem, który musiał cię zaskoczyć, zostałeś wysłany na uniwersytet na drugim końcu świata. Dlatego twoja matka pojechała z siostrami za tobą i nie chciała wrócić. Nie chciała, żeby którekolwiek z was postawiło nogę w Indiach, póki ten człowiek żyje.

— A czy on nie umarł? Musi być bardzo stary.
— Z tego, co mówiła, sędzę, że jeszcze żyje.
— Jego nazwisko jest zapisane w notesie. Ale gdzie jest notes?
— Kto wie, czy w ogóle istniał? — odparł Srinudzi. — Być może go wymyśliła, żeby przestraszyć tego człowieka. Ale skoro raz o nim wspomniała, fakt istnienia czy nieistnienia notesu nie robił żadnej różnicy. Mógł istnieć.
— Może właśnie tego szukała Sybil — powiedziałem — kiedy wybrała się do Indii, by odnaleźć Maję.

377

— Być może — zgodził się Srinudzi. — Cierpienie. pragnienie zemsty. Na dopełnienie tych rzeczy czasem nie starcza jednego życia, potrzeba wielu.
Przed oczami stanął mi pewien obraz. Phoebe podczas lunchu, mówiąca: „To, co się stało, było tak nikczemne, że nigdy nie może być wybaczone ani zapomniane”.
Wziąłem głęboki oddech i postanowiłem mu powiedzieć.
— Phoebe chce, żebym wybrał się z nią do Indii i pomógł jej odnaleźć człowieka, który to zrobił.
— I pojedziesz?
— Jaka jest twoja rada?
— Już ci jej udzieliłem. Pamiętasz naszą grę w moammal

Dziki jedwab

(Londyn, czerwiec 1999)

— Halo? — powiedziałem do telefonu. — Niedawno mieszkaliśmy z żoną w państwa hotelu. Jakież trzy tygodnie temu — nazywa się Phoebe Killigrew.
Chwila ciszy.

— Tak? — Usłyszałem lekkie zaskoczenie w głosie.
— Zostawiła zapalniczkę... złotą z inicjałami. Mieli ją państwo przysłać pocztą ale nie nadeszła. Może mi pan powiedzieć, pod jaki adres ją wysłaliście?
— Chwileczkę, proszę pana. — Jakies szept.
— Mieliśmy białą sypialnię. Styl corfiot, zdaje się. Pauza. Ściszone głosy. Wydawało mi się, czy słyszałem chichot?
— Tak, proszę pana, pamiętam. A jaki jest pański adres?
— Mamy dwa adresy. Żona rezerwowała apartament i nie wiem, który adres podała. Czy to było...
— Szukam wymaganego adresu. — Sleeman Road siedemnaście, Crediton, Devon?
— Nie, proszę pana, to nie jest ten adres, który mamy.
— Więc jaki macie adres?
— Obawiam się, że nie możemy podawać danych naszych gości przez telefon.
— Do licha, jestem jej mężem! Dłuższa pauza.
— W takim razie nie musi pan pytać mnie o swój własny adres, sir.

Nazwałem ją żoną—wielu ludzi myślało kiedyś, że Phoebe będzie moją żoną. Ben, syn zawiadowcy stacji. Matka Juli,

379

która, śmiejąc się aż do zakrztuszenia nad kopącym paleniskiem, upominała się o zaproszenie na nasz ślub. Maja i Sybil gdy Babu, kierowca, oznajmił im, że ich przeznaczeniem jest zostać teściowymi. One też się śmiały. „Przeznaczenie to nie jest to, co będzie, powiedziała Maja. Przeznaczenie jest tym, Co czynię teraz”.

Czy naszym przeznaczeniem było to, co ona uczyniła? Czy on, mężczyzna, którego nazwiska nie znałem, a którego Maja nazwała Panem Szatanem, diabłem? A gdyby był uczciwy i spełnił swój obowiązek, chroniąc słabych i niewinnych, za co brał pensję, zamiast złamać prawo, którego przysiągł strzec — jakie mogłoby być moje życie? Cóż, nie straciłbym Phoebe, mojej pierwszej, dziecięcej miłości, jaan-e-janaan, życia i duszy, ale też nie poznałbym Kąty.

Kocham dwie kobiety. Która z nich jest moją bratnią duszą? Czy dusza może mieć więcej niż jednego brata? Czy muszę wybierać? Wyczuwam, bardziej z przerażeniem niż z ironią że wpadłem

w sidła tego samego dylematu, przed którym tyle lat temu stanął Pan Love. Jakie to dziwne, że znalazłem się też w tej drugiej sytuacji, tak nieznośnej, że pchnęła Nanava-tiego, człowieka honoru, do zabójstwa. Czy nie czując wówczas morderczych porywów, utraciłem honor? Wtedy obwiniałem siebie, a nie Kąty czy tamtego mężczyznę. Teraz, spoglądając wstecz na ów dzień przez otchłań i czeluść czasu — „otchłań i czeluść czasu”, skąd się to wzięło?, pomyślałem, że to Szekspir, ale nie, więc pewnie Prosiaczek — rozumiem, czemu nie czułem gniewu, tylko byłem zdumiony i wstrząśnięty.

Jakieś pięć lat temu przeglądałem ilustracje w jednej z niewielu naprawdę cennych ksiąg, które przeszły przez moje ręce, siedemnastowiecznym dziele poświęconym alchemii, którego imponujący tytuł zaczynał się: Amphitheatrum Sapientie JEterna, Solius Verce, Christiano-Cabalisticum, Mageicum, Phy-sico-chymicum, Tertriumum, Catholicon: Instructore Henricus KunrathLips. Theosophice Amatore Fideli, et Medicince utrius-que Doctore, a kończył: Hallelce-Idh! Hallelce-Idh! Phy diabolo. Książka zawierała szereg luźnych tablic z innego tekstu, ręcznie pokolorowanych przez kogoś z dawnych właścicieli. Jedna

380

z owych rycin, której piękno aż zaparło mi dech w piersi, przedstawiała wszechświat w postaci koncentrycznych kręgów zawierających tęczę, słońce, chmury i płomień, które otaczały centralną sferę świetlistej nocy z gwiazdami i sierpem księżyca, pod gwiazdami rozpościerał się przesycony głębokim spokojem frajobraz, pośrodku którego leżeli złączeni uściskiem czer-wonawobrazowy mężczyzna i biała kobieta, a obok ich stóp zjawiało się złote słońce i srebrny księżyc. Pod spodem autor umieścił linie tekstu:

Biała kobieta, jeśli poślubi brązowego mężczyznę,
wnet się uściska, a w uścisku złączą.

Z siebie się rozpląną

i przez się stopią,

że gdzie było dwoje, będzie jak jedno ciało.

Przypomniałem sobie niesamowitą nieziemską ptasią muzykę, i przyszło mi do głowy, że jest to muzyka, która towarzyszy tworzeniu życia. Tak, właśnie tak było, kiedy poczęte zostały I & I. Płynne jak miód ruchy, ciała falujące w idealnej harmonii, połączone kokonem należącym do obu albo do żadnego — wszystko to było na rycinie. To, co ujrzałem w tak bezlitosnym zbliżeniu, ze wszystkimi szczegółami, było odsłonięciem samej esencji: zobaczyłem alchemiczne połączenie dusz. Sens tej wizji był zarazem jasny i zaciemniony: tym mężczyzną powinienem być ja. Lecz kim była kobieta?

Złapałem pociąg do Londynu i kręciłem się w pobliżu hotelu. Moja cierpliwość została w końcu nagrodzona widokiem znajomej, smętnej twarzy kelnera, który obsługiwał nas trzy tygodnie temu; właśnie szedł do pracy. Zamieniliśmy kilka zdań, Jakiś banknot przeszedł z rąk do rąk. Kelner kazał mi poczekać w kafejce na końcu ulicy. Zamówiłem kawę, mieszając ją zauważyłem, że drży mi ręka.

Przy stoliku nieopodal przytulało się do siebie dwoje młodych ludzi. Chłopak wyciągnął z kieszeni paczkę papierosów i ot-

381

worzył. Wypadło z niej coś, co wyglądało jak prezerwatyw. Dziewczyna szturchnęła chłopaka.

Parsknęli śmiechem. Jakie-pół godziny później przyszedł kelner. Dałem mu następne dwadzieścia funtów, a on podsunął mi skrawek papieru. Był to londyński adres, mniej niż półtora kilometra od miejsca, gdzie się znajdowałem. Brighfs Lane, W8.

Kensington, zaraz na południe od High Street, to dzielnica eleganckich kamienic. Ona, albo jej mąż, musieli mieć pieniędzy jak lodu. Tego i tak można się było domyślić, sądząc po eleganckim ubraniu, wozie i hotelu. Adres przy Brighfs Lane — to brzmiało pociągająco. Wyobraziłem sobie jedną z owych zacisznych alejek, przy których w weekendy widuje się maklerów giełdowych, majstrujących z podwiniętymi rękawami przy aston martinach i starych jaguarach E-type. Lecz ulica Brighfs Lane zrobiła mi niespodziankę. Okazała się bowiem zaułkiem z rozstawionymi regularnie koszami na śmieci, biegnącym na zapleczu sklepów przy High Street. Numer dwanaście

miał pomalowane na czarno drzwi, do połowy otwarte. Było kilka dzwonek, lecz na żadnym nie umieszczono nazwiska. W środku, w ciemnym holu z gołymi deskami stały przy ścianie foliowe worki na śmieci. Wszystko było brudne. Nie mogłem uwierzyć, że Phoebe tu mieszka. Wszedłem na pierwsze piętro. Dwoje drzwi z łuszczącą się farbą. Zza jednych dochodziło dudnienie basu, które ucichło, gdy zapukałem. Drzwi otworzył młody facet ze strąkowatymi włosami. Za nim, w mieszkaniu zobaczyłem zdezelowaną kanapę z opartą gitarą, na której grał.

— Phoebe? — rzekł w odpowiedzi na moje pytanie. — Na górze. Na samej górze. Nie wiem, czy jest. Przeważnie jej nie ma.

— A jest może jej mąż?

— Mąż? Przykro mi, stary, ale nie mam pojęcia. — Spojrzał na mnie dziwnie i zamknął drzwi. Wchodząc po schodach, znów usłyszałem dźwięki gitary.

Drugie i trzecie piętro były takie same jak pierwsze. Przed jednymi drzwiami stał zardzewiały wózek pełen pustych torebek po płatkach kukurydzianych. Nie wyglądało to na miejsce, w którym mogłaby mieszkać Phoebe. A jej mąż? Sąsiad z do-

iu — sąsiad? co za dziwna myśl — sprawiał wrażenie, jakby DjC o nim nie wiedział. Czyżby to było coś w rodzaju pied I terrel Czyżby wybrała tak nieprawdopodobne lokum, żeby nikomu, na przykład mężowi, nie przyszło do głowy jej tu szukać? Schody na najwyższe piętro były równie gołe i zniszczone, jak reszta budynku. Prowadziły do małego podestu i pojedynczych drzwi pomalowanych w wyblakłe kolory tęczy. Chwila paniki. Nie byłem już pewien, czy chcę się dowiedzieć, co za nimi jest. W głowie słyszałem głos Kąty: „To zniszczony towar, Bhalu. Bardziej szalona niż jej matka. Wcale jej nie znasz. Jest kompletnie nieznaną kobietą”.

Zebrawszy się na odwagę, zapukałem. Żadnego odzewu. Zapukałem jeszcze raz, dźwięk rozległ się echem w całym budynku. Z dołu dochodziło słabe dudnienie basu.

Pół godziny później, skołowany i bardziej niż trochę przestraszony, siedziałem w winiarni, która usilnie, choć z mizernym skutkiem, próbowała czarować kontynentalnym urokiem. Ale przynajmniej nie było tam młodziana rozsiewającego kondomy z pudełka papierosów. Bez zapału przejrzałem listę przesadnie drogich, nijakich win i postanowiłem wziąć kawę. Niedługo zacnie mi się przelewać. Co za niesamowity dzień. Postanowiłem zaczekać godzinę i wrócić. Była siedemnasta czterdzieści pięć. Jeśli Phoebe pracuje — czemu nie? niczego nie mogłem już być pewien — to możliwe, że niedługo wróci. Usiadłem przy stoliku koło okna i obserwowałem ulicę. Po drugiej stronie znajdował się salon o nazwie Laserowa Brzytwa (jeśli ktoś chce się pozbyć włosów i wyglądać beztrzęsco, nie musi dłużej szukać). Trzy dziewczyny z prawie identycznymi opaleniznami i włosami w blond pasemka wyszły na ulicę; jedna zamknęła drzwi, a koleżanki poczekały na nią chwilę. Później przeszły na "«ngą stronę ulicy i usiadły przy stoliku obok. Dochodziły do mnie fragmenty ich rozmowy.

„...ten z włochatymi plecami. No i pyta, czy możemy mu aobić tyłek”.

382

383

„Akurat!”.

„Tak mu właśnie powiedziałam, a on spuszcza gacie...”

Jedna z dziewczyn, rozglądając się za kelnerem, spojrzała mi w oczy i zauważyła, że słucham.

Posłałem jej pełen współ, czucia uśmiech.

„...schyla się i rozsuwa te swoje cholerne policzki. Miał kawałek papieru przyklejony do włosów”.

„Boże! Ale przegięcie!”.

Fryzjerka szepnęła coś do koleżanek. Trzy blond głowy odwróciły się i spojrzały na mnie.

Podniosłem filizankę. Prawie słyszałem, jak myślą: „Wstrętny, stary świntuch”.

Wtedy zobaczyłem Phoebe. To na pewno była ona — jasne włosy takie same jak u fryzjerek przy sąsiednim stoliku, T-shirt, wyblakłe dzinsy; szła ulicą po drugiej stronie, z torbą na zakupy. Skręciła za rogiem i ruszyła w stronę alejki. Dałem jej kilka minut, zapłaciłem i wyszedłem.

Budynek wydawał się ciemniejszy i bardziej opustoszały niż przedtem. Za drzwiami mieszkania gitarzysty basowego panowała cisza. Moje kroki hałasowały na schodach. Podeszedłem do tęczy drzwi. Ze szpary przy podłodze sączyło się światło. Ktoś włączył cicho muzykę, radio

albo telewizor. Zaczerpnałem tchu i zapukałem.

— Kto tam? — zapytał głos Phoebe. Nie śmiałem odpowiedzieć.

— To ty, Mario?

Szczęk odsuwającego zamka. Drzwi się otworzyły.

Phoebe krzyknęła i próbowała je zamknąć. Wsunąłem stopą w szczelinę, niczym bohater taniego thrillera. Takiego jak detektyw z mojej powieści.

— Phoebe, zaczekaj, muszę z tobą pomówić.

— Wyjmij nogę z drzwi.

— Nie. Phoebe, wpuść mnie, proszę.

— Nie mogę — odparła.

— Dlaczego?

— Bo trzymasz nogę w drzwiach!

— Och. — Wyciągnąłem stopę. Drzwi się zamknęły, brzęk-

384

nę spadający zamek i znów się otworzyły. Phoebe stała w nich z dłońmi na biodrach.

— Na mą duszę, toż to mój mały przyjaciel Bhalu. — Uśmiechała się. — No cóż — rzekła po długiej jak wieczność chwili, w czasie której gapiliśmy się na siebie. — Zadałeś sobie wiele trudu, żeby mnie znaleźć. Nie chcesz wejść?

Pokój był ogromny, z dużymi oknami wychodzącymi na High Street. Podłogi z polerowanego drewna przykrywały orientalne dywany, wszędzie stały ciężkie meble, jakich nie widziałem od lat. Indyjskie meble, z epoki, której prawie się już nie pamięta, nawet w Indiach. W kącie stała serwantka z rzeźbionego palisandru. Było biurko do pisania, też z palisan-dru, a także kanapa obita bladym jedwabiem, z oparciem ozdobionym rzeźbionymi gałęziami ze stadami małych i ptaków. To z pewnością nie było pied a terre. Na ścianach wisiało mnóstwo zdjęć i obrazków w ciężkich złożonych ramach; portret Anglika w husarskim mundurze; pulchnego, odzianego w brokaty radży ze sznurami pereł i szmaragdów, których zakup doprowadziłby do bankructwa niewielkie państewko. Pod ścianą stały niedokończone płótna.

— Nie patrz z takim przerażeniem — powiedziała Phoebe. — Tym razem nie dostałem całusa. A ona ciągle stała z dłońmi na

biodrach, najwyraźniej rozbawiona widokiem faceta z otwartymi ustami, obracającego się powoli wokół własnej osi na środku pokoju.

— Wybacz, jestem trochę... oszołomiony.

W najdalszym kącie było coś, czego nie widziałem od dzieciństwa: głowa tygrysa z rozwartą groźnie paszczą, w której połyskiwały żółte kły.

— To może dam ci drinka. Siadaj. — Podążyła za moim spojrzeniem. — Nie bój się. Nie ugryzę cię.

— Więc tutaj mieszkasz?

— Tak.

— Sama?

— Tak. Jak mnie znalazłeś?

— Przekupiłem kogoś w hotelu. Uniosła brwi.

385

i

\

hotelu-

er-

...lem.

prze-

kułem ukłucie irytacji. Nie, HCwnommlaś powody żeby.

ЛЪС nazwać rzecz po imieniu.

[jałbym r t auisa chwiięspogiadalamiw

"* u wa bałam się, że właśnie ta !СЪ0Гtat to odebrać? -Zatc

L A Jalc Co z Peterem, twoim m
\$t S\o edzie on mieszka?
PsaIfu nie ma żadnego Petera.
ГЙ chce powiedzieć, że nigdy
pst^a^Nogdynlew
x*«zkam tu od czasów studer, rr^cokdwiakZtego,comi :мДаЙ%e był- na Karaiba

pero-

^j S\ecman

iVś ją na

^ pytamami

I 'Ir i Rhalu ty nie możesz te L цю! Bnaiu, iy , ^ ma, zwróciłam i zamieszka*im powała z tej mansardy ale m

TL jakieś swoje miejsce, d **, tóedy mieszkalam na Ka fe.N.wkm dlaczego, jakisz

Makolisty ruch ręką. -Nicze%

■ tylko jeden pokój, ten. Ale te

^lokatorką i właściciel men

BI całe ostatnie piętro. Spójrz.

*Йa i otworzyła podwójne ш

z ogromnego, belkowanego W najmniej połowę zajm

N jeden zabytek z dawnycb Mami, obwieszone azjatyckie i To poddasze to pałac t Błac ukryty w slumsach ■ |%śli, że jak zrobi się tu

— Sprytnie. Ale ty zawsze umiałeś sobie poradzić, prawda l)

— Czyżby? — Poczulem ukłucie złości. Jak mogła tak lekk0 mówić o tym, że mnie okłamała?

— Przepraszam — westchnęła. — Chciałam ci powiedzieć ostatnim razem, ale... — Otworzyła serwantkę, odsłaniając szklany las w środku. Schyliła się, żeby coś wyjąć, prezentując mi obciążony dzinsem tyłek i długie nogi tancerki. Uff! Laserowe blondynki się nie myliły. Stary świntuch. Okropność Nie mogłem na nią patrzeć bez pożądania, które siało zamęt w moich uczuciach. Między jej udami pojawiło się zielone denko butelki. Cichy, niestosowny odgłos wyskakującego korka.

Phoebe wyprostowała się i naląła, stojąc tyłem do mnie. __

Bhalu, jestem bardzo zakłopotana. Tym, co się stało w hotelu...

A czym dokładnie?, pomyślałem.

— Udało ci się złapać pociąg?

— O tak — odparłem w końcu.

— Cieszę się — powiedziała Phoebe, odwracając się z dwoma kieliszkami czerwonego wina. — Martwiłam się o Kąty.

Wino było przyzwoite, zienjjste i ciemne jak palisander.

— Phoebe, czy twój mąż wie o tej kwaterze? — zapytałem. Spojrzała na mnie i zrobiła swoją starą sztuczkę z przechyleniem głowy.

— Nie.

— Dlaczego?

— Zgaduj, mój drogi Bhalu. Masz jedną szansę.

— Wiem o Sleeman — powiedziałem nieco zdesperowany.

— Sleeman?

— To nie jest wioska w Yorkshire koło Richmond. Sleeman to autor książki A Journey Through Oude. Zobaczyłaś ją na regale mojej matki, kiedy Prosiaczek zadreślał cię pytaniami o to, gdzie mieszkasz.

Phoebe usiadła na kanapie, skrzyżowała nogi i poklepała poduszkę, która leżała obok.

— Usiądź sobie, Bhalu.

— A więc? To prawda czy nie?

— Zapomniałam to nazwisko — odparła. — Bardzo inteligentnie z twojej strony.

Znów poczułem ukłucie irytacji. Nie, coś gorętszego.

— Na pewno miałaś powody żeby... po prostu kłamać, jeśli miałbym nazwać rzecz po imieniu. Nie będę o nie pytał, ale-

Przez dłuższą chwilę spoglądała mi w oczy, a potem powiedziała:

— Cholera, bałam się, że właśnie tak to odbierzesz.

■— A jak mam to odebrać? — Zatoczyłem ręką krąg. — Zgubiłem się. Co z Peterem, twoim mężem? Jeśli mieszkasz tutaj sama, to gdzie on mieszka?

— Bhalu, nie ma żadnego Petera.

— Chcesz powiedzieć, że nie jesteście już razem?

— Nie, chcę powiedzieć, że nigdy go nie było. Zmyśliłam go. Nie jestem mężatką. Nigdy nie wyszłam za mąż.

— Mieszkam tu od czasów studenckich.

— Czy cokolwiek z tego, co mi powiedziałaś, jest prawdą? Myślałem, że byłaś na Karaibach. A może to też była fantazja?

— Nie! Bhalu, ty nie możesz tego zrozumieć. Jak było, kiedy wróciłam i zamieszkałam z mamusią. Ona chciała, żebym zrezygnowała z tej mansardy, ale nie zgodziłam się, bo musiałam mieć jakieś swoje miejsce, do którego mogłam uciec. A potem, kiedy mieszkałam na Karaibach, trzymałam je dla siebie. Nie wiem dlaczego, jakiś szósty zmysł. Poza tym... — Zrobiła kolisty ruch ręką. — Niczego więcej nie miałam. Wtedy był to tylko jeden pokój, ten. Ale teraz jestem najdłużej mieszkającą lokatorką i właściciel nie może się mnie pozbyć, więc dał mi całe ostatnie piętro. Spójrz.

Wstała i otworzyła podwójne drzwi w kącie. Światło wlało się z ogromnego, belkowanego pomieszczenia ze stropem, którego co najmniej połowę zajmował świetlik. Pośrodku stał Jeszcze jeden zabytek z dawnych Indii, rzeźbione łoże z czterema słupkami, obwieszone azjatyckimi jedwabiami tussore.

— To poddasze to pałac.

— Pałac ukryty w slumsach — dodała Phoebe. — Właś-c,ciel myśli, że jak zrobi się tu bardzo źle, to się wyniosę.

Ale mnie pasuje tak, jak jest. Kto chciałby się włamywać d takiej rudery?

— A inni lokatorzy? Spotkałem faceta z gitarą.

— Mario. Studiuje barokowe skrzypce w Royal College Większość ludzi, którzy tu mieszkają, to moi przyjaciele.

Spoglądając na stare kremowe i brązowe jedwabie — dzikie nie utkane przez pospolite jedwabniki morwowe, lecz odwinięte z kokonów wielkości kurzego jaja, tkanych przez ogromne cynobrowe i ochrowe ćmy z sowimi oczami na skrzydłach i księżycowe ćmy o długich ogonach, których fosforyzujące skrzydła bębniły w okna naszego domu w Ambona — przypomniałem sobie o małżeńskim łożu Sybil, które tak ją przerażało gdy była młodą mężatką.

— Phoebe, skąd wzięłaś te meble?

— Od tatusia — odparła. — To wszystko, co zostawił, i wszystko, co po nim odziedziczyłam.

Rozejrzawszy się jeszcze raz, zauważyłem, że mieszkanie pełne jest portretów tego samego człowieka. Rozpoznałem go: wysoki, surowo wyglądający mężczyzna z krzaczastymi brwiami, który stał obok Phoebe na pogrzebie Rosie. Na niektórych wyblakłych zdjęciach był w mundurze z Birmy. W dniu ślubu z Sybil, w otoczeniu straży honorowej kolegów oficerów. Uśmiechnięty, z jedną nogą na leżącym nieruchomo tygrysie. Czarno-białe fotografie. Tatuś z panditem Nehru. Z dość posepną miną odbierający jakieś odznaczenie od polityka ubranego w stylu Partii Kongresowej, w białą bawełnianą czapkę i długi surdut. Tatuś w kąpielówkach obok dużego basenu, którym mógł być basen klubu Breach Candy. Tatuś w dżipie, w otoczeniu hinduskich farmerów. Zdjęcia wisiały na wszystkich ścianach, zapępniały każdą powierzchnię. Czyżbym ich wcześniej nie zauważył?

Poza zdjęciem ślubnym nie było ani jednej podobizny matki, tylko parę zdjęć młodej Phoebe. Tak,

była olśniewająca. Phoebe w bikini na plaży, pewnie na Karaibach. Phoebe siedząca z jakimś mężczyzną na stopniach domu. Poznałem jeszcze jedną fotografię. Jasnowłosa dziewczynka i ciemnoskóry chłopiec w ogrodzie w Ambona, w tle wysoki, tnący chmury grzbiet Bicchaudy.

388

Lecz zdjęcia Killy'ego były wszędzie. Największy, olejny portret przedstawiający ojca Phoebe w tweedowym ubraniu, ze strzelbą na kolanach i spanielem u stóp, musiał zostać namalowany w późniejszych latach jego życia. Wisiał w masywnej ramie na środku ściany. Zauważyłem, że otacza go girlanda z suszonych róż. Na stole poniżej stały dwa małe portrety i dwa srebrne lichtarze z do połowy wypalonymi świecami.

Pomieszczenie było sanktuarium zmarłego ojca Phoebe.

Opiumowy kufer

Ojciec Phoebe przypatrywał się mojej twarzy ze swego pigmentowego świata, spomiędzy róż tak samo martwych jak on. Miał lekko zmarszczone czoło. Nie znałem go jako dziecko; spotkałem go tylko raz, w wyjątkowych okolicznościach na cmentarzu w Ambona, w siąpiącym deszczu. Czy nie spodobało mu się, że najlepszy przyjaciel jego małej córeczki jest Hindusem? W dzienniku Sybil znalazła się rada, której udzielił jej, gdy stali przy relingu parowca, a zapach Bombaju wybiegał im na spotkanie ponad wodą: „Mamy obowiązek zachowywać się przyjaźnie wobec Hindusów, ale nigdy nie wolno nam zapominać, że nasze dusze się różnią”. Głębsze kontakty nie wchodziły w rachubę: „Ryby nie mogą żenić się z pomidorami” (przekonanie, które dzisiejsi bio-Frankensteini zawzięcie starają się wykorzenić). Może Killy nie czuł do mnie niechęci, gdy byłem dzieckiem, lecz jego portretowi ze strzelbą nie przypadł do gustu pomysł, że mogę być chłopakiem jego córki. Jego oczy wydawały się nienaturalnie żywe. W horrorach często widzi się gałki oczne gapiące się przez dziury wycięte w płótnie. Oczy na portrecie nasuwały właśnie takie skojarzenie, lecz otwory były namalowane, a wymiar za nimi, z którego ojciec Phoebe tak nieufnie mnie taksował, był wiecznością, która wyszła spod pędzla malarza.

Artysta dodał szczegół świadczący o życiu Killy'ego w Indiach. Obraz w obrazie. Ciemny połysk złoczonej ramy za modelem, otaczającej mughalski grobowiec z zapadniętą kopułą, zarośnięty trawą, na równinie, na której pasło się stado dzikich osłów. Żaden kaprys, lecz nawiązanie do potęgi Brytyjczyków, którzy rządzą tam, gdzie kiedyś zażywał chwały

390

[upajał się alkoholem Dżamszed, i którzy polowali na tygrysy w miejscach szkodliwych harców Bahrama Wielkiego Myśliwego (gdzie on teraz jest — czyżby dziki osioł stapał nad jego głową?). Można przypuszczać, że Killy najbardziej lubił przekład poezji Omara Khayyama autorstwa Fitzgeralda. Ciekawe, czy Killy wiedział, że w perskim oryginale wers o Bah-ramie, królu, który lubił polować na dzikie osły, zawiera śmiertelną ironię. Słowo gur, dziki osioł, a zarazem przydomek cesarza Bahrama, znaczy śmierć.

A Killy Wielki Myśliwy — gdzie jest? Brytyjczycy także odeszli w swoim czasie, razem ze swoimi sojusznikami. Kruszył się i porastał trawą pałac w Kumharawie, który stał się grobowcem dla biednej Nafisy Jaan. Portret Killy'ego również był elementem grobowca. Usiadłem ciężko na kanapie. Nagle wszystko, co znajdowało się w mieszkaniu, nabrało posępnego charakteru.

Nazwałem je sanktuarium, lecz było raczej grobem, pełnym pośmiertnych skarbów zmarłego króla. Kryptą, w której tkwiła zamknięta najwyższa kapłanka jego kultu, jego córka.

— Złapałeś mnie w ostatniej chwili, powiedziała Phoebe. — Jeszcze kilka dni i by mnie nie było. Tak, i do tego ją zaskoczyłem. Gdy zobaczyła, kto stoi za drzwiami, po jej twarzy z całą pewnością przemknęła konsternacja. Teraz znów prezentowała beztroską nonszalancję, która, co uświadamiałem sobie coraz wyraźniej, była pozą. Na mgnienie oka ujrzałem jej duszę, przesadną, struchlałą ze strachu, że duch matki może być blisko. Płakała w parnej kafejce w Brighton, gdy opowiedziała mi, jak ostatni raz widziała ojca. W hotelu wpadła w histerię. Ale... może wyczytała irytację na mojej twarzy, bo powiedziała:

— Chciałam się skontaktować, kiedy wrócę, Bhalu. Naprawdę. Mam ci coś ważnego do powiedzenia.

— Phoebe — odparłem — przestań w tej chwili. Jeśli masz dla mnie choć trochę szacunku, skończ

tę komedię. Czemu powiedziałaś mi, że jesteś mężatką? Czemu nie podałaś swojego adresu? Czemu zabrałaś mnie do hotelu? A ta kwatera — czy Jest bezpieczna? Dlaczego tu mieszkasz? Przecież masz pienią-

391

dze... — Nagle coś mi zaświtało. — A może naprawdę masz gdzieś drugi dom? Czy tak właśnie jest? Mario powiedział, że często cię nie ma. Dokąd chodzisz? Co robisz?

Już w restauracji zwróciłem uwagę na jej sposób trzymania kieliszka w obu dłoniach, jak średniowieczny puchar i patrzenia nad jego brzegiem tymi wielkimi, szeroko otwartymi oczyma. Słuchała grzecznie, jak wylewają się ze mnie pytania, które zbierały się we mnie przez wiele miesięcy.

— Dlaczego tu mieszkam? No dobrze. Po pierwsze dlatego, że zawsze tu mieszkałam. Po drugie, tu jest tanio. I wreszcie dlatego, że nie zamierzam zostawać w Anglii. Pewnego dnia zaoszczędzę dość pieniędzy, zniknę i nigdy nie wrócę.

— Ty zawsze znikasz. Powiesz mi, gdzie? Nie odpowiedziała.

— Ta poza zagadkowej damy zaczyna pękać na szwach. Wiesz o mnie wszystko. Byłaś w moim domu, poznałaś moją żonę. Poprosiłaś mnie, żebym wybrał się z tobą do Indii. Teraz powiedz mi prawdę! Dokąd chodzisz? Jak zarabiasz na życie? Ten hotel...

— Przestań! Proszę cię! — Jej twarz nagle przybrała zmęczony wyraz. — Ten hotel jest własnością mojej przyjaciółki, Nataszy. Znamy się od dawna. Byłyśmy razem w Slade... — Zamilkła, a ja czekałem, zdeterminowany, żeby tym razem zmusić ją do wyjaśnienia wszystkiego.

— Jeśli chcę przyjąć kogoś w szczególny sposób, zabieram go tam. Nigdy nie muszę płacić. W każdym razie, nie pieniędzmi.

— Nie pieniędzmi?

Chciała coś powiedzieć, ale zmieniła zamiar. Czekałem. Opuściła głowę, jak gdyby jakaś wewnętrzna sprężyna nagle się rozwinęła.

— Bhalu, kiedy byliśmy w hotelu, pamiętasz, jak mówiłam, że jest coś, o czym chcę ci powiedzieć? Ale bałam się. Bałam się, że nie będziesz chciał się z kimś takim zadawać.

— Tak, ale opowiadałaś o dzienniku swojej matki. Potrafię zrozumieć, skąd się brał twój lęk.

— To ma związek z tamtym, Bhalu, ale nie w tym rzecz.

392

już miałem pojęcie, co mogę za chwilę usłyszeć. Przelatywały mi przez głowę najbardziej szalone myśli. Obcesowe stwierdzenie Kąty: „Kobiety takie jak ona obchodzi tylko to, co mogą wyciągnąć od mężczyzny”. Jaka kobieta zabiera mężczyzn do takiego hotelu? Dlaczego nie musiała płacić? £jm jest — dziewczyną na telefon?

Phoebe przyklekła przed kufrem z czerwonego drewna z kar-mazynowym paskiem wokół, po którym goniły się rzeźbione smoki.

— Podejdz tutaj.

Otworzyła wieko. W środku znajdowała się taca podzielona na małe kratki, zrobiona z tego samego dziwnego drewna. Skrzynia wydzieliała aromatyczną woń, przypominającą kadzidło, jak pudełko od cygar.

— Czy to jakiś rodzaj sandałowca? Nigdy takiego nie widziałem.

— To drewno toon. Smoki są zrobione z orzecha.

— Co to takiego?

— Kufer na opium. Należał do mojego pradziadka. Jak ci się wydaje, w jaki sposób rodzina Killigrew zbiła fortunę?

Kolejne rojenia. Phoebe znika na długie tygodnie w Pakistanie, żeby zbierać opium? Przemysł narkotyków? Handel opium?

Lecz w przegródkach nie było grudek opium. Były tam kasetki starannie oznaczone nalepkami i uporządkowane według dat. Były też paczki ze zdjęciami. Przyszło mi coś do głowy.

— Kiedy przed chwilą powiedziałaś, że nie płacisz pieniędzmi... Czy w ten sposób płacisz?

Rzeczami? Przedmiotami?

— Ależ nie — odparła Phoebe. — Często daję Nat jakiś obraz.

— Obraz?

— Tak, na pewno ci mówiłam. Jestem malarką.

— Mówiłaś, że próbowałaś malować, ale to rzuciłaś.

— Nigdy nie rzuciłam. Tylko w ten sposób zarabiałam na życie, zawsze.

Otworzyła paczkę ze zdjęciami, przerzuciła je i podała mi jedno, z którego spozjrzał na mnie rosły mężczyzna z jasną brodą.

393

— To jest Wulf. Przyjaciel. Ma cudowne nazwisko, Beownif Cooper.

— Czy to twój chłopak? — Au. Wystrzeliło to ze mnie zanim zdążyłem pomyśleć. Momentalny powrót do złych ko rzeni. Zachowałem się jak zazdrosny Hindus. Nanavati. Kip czułem czegoś podobnego wobec Kąty.

— Czemu wyciągasz pochopne wnioski? — spytała Phoe-be. — Wulf to mój dobry przyjaciel. Tylko przyjaciel. Prowadzi... coś w rodzaju komuny. W Szkocji. Można tam pojechać żeby odpocząć, pomyśleć, pomedytować... i malować. Pokażę ci. — Wyciągnęła więcej zdjęć. — To jest wyspa, tuż obok zachodniego wybrzeża. Niezbyt duża. Była tam kiedyś farma ale teraz jest tylko komuna.

Patrzyłem na płaską, zieloną wysepkę wznoszącą się nisko nad spokojnym, intensywnie błękitnym morzem. Zdjęcie zostało zrobione z łodzi, fale ciągnące się jej śladem wyglądały jak grzbiety wyrzeźbione w niebieskim drewnie.

— Stoi tam parę domków — ciągnęła Phoebe, wskazując grupkę białych pudełek w dolinie. — Z łądu raz w tygodniu przyplływa łódź, przy dobrej pogodzie. Zimą trzeba ją wzywać, co bywa trudne, bo nie ma tam telefonu. Wulf go nie chce.

Więc dlatego nigdy nie zadzwoniła ani nie podała numeru.

— A co się dzieje w razie jakiegoś wypadku?

— Mamy radio, które jest zamknięte na klucz. Kiedyś go potrzebowaliśmy, a ono nie chciało działać. Więc zapaliliśmy ognisko tam, na szczycie Luinne Bheinne. Wzgórze śmiechu... Nazwa może też znaczyć wzgórze gniewu.

Kolejne zdjęcie. Phoebe w dżinsach i grubym swetrze, stojąca na szczycie pagórka. Za nią morze, błękitna płaszczyna rozciągająca się aż po niezmacony horyzont.

— Jest tam plaża, ale nie widać jej na tym zdjęciu. Latem morze jest wystarczająco ciepłe, żeby w nim pływać.

— Co tam robisz?

— Maluję. Kiedy mam dość obrazów, wracam do Londynu. Przy Cork Street jest mała galeria, która zwykle bierze po kilka... Pieniędzy starcza na opłacenie tego mieszkania i na wysłanie Wulfowi... Zostaję tu tydzień, może dwa. Najwyżej miesiąc. Potem znów wyjeżdżam.

394

— Co jeszcze robisz? — Wiedziałem, że jest coś, o czym nie mówi.

— Ciężko pracuję. Jest mnóstwo roboty. Gotowanie, sprzątnie, naprawy... praca w ogrodzie. Duża część tego, co jemy, pochodzi z naszych upraw.

— Phoebe, co to jest za komuna?

— No cóż... — Wzięła głęboki oddech. — Muszę ci to powiedzieć, więc raz kozie śmierć. — Mimo to zamilkła.

— Mów dalej, proszę cię. Możesz mi zaufać.

— To takie miejsce, do którego ludzie mogą pojechać, jeśli chcą uciec od różnych rzeczy... jeśli mają zaburzenia. To znaczy, psychiczne.

— No dobrze. — Mój umysł pracował jak śruba, która wkręciła się w wodorosty. — Ale ty... po co tam jeździsz? Pomagać Wulfowi?

— Bhalu, jeżdżę tam, bo tego potrzebuję.

Wciąż klęczeliśmy przy kufierku na opium. Upłynęła co najmniej minuta, a ja nie odpowiadałem. Phoebe powiedziała cicho:

— Och, Bhalu, nie patrz tak na mnie. Nie powinnam była ci mówić.

Objąłem ją, przytuliłem i uścisnąłem, a potem ukołysałem w ramionach.

— Teraz ja tu jestem. Zaopiekuję się tobą.

Na dworze zaczął przygasać długi letni wieczór.

— Kiedy zmarła mamusia, wtedy to się zaczęło... Jeśli nigdy nie miałeś głębokiej depresji, Bhalu, nie możesz sobie wyobrazić, jak to jest.

— Więc mi powiedz — poprosiłem. — Opowiedz mi, jak to jest? Pomogę ci się tego pozbyć. Muszę.

(Boże, wybacz moją napuszczoną ignorancję. Naprawdę tak myślałem).

Leżę na czterosłupkowym łóżku Phoebe, okienko w dachu nade mną ma głęboki granatowy odcień. W przestronnym pokoju panuje lekki półmrok. Już nie dzień, jeszcze nie noc. Kobięcy głos, głos Phoebe, tuż koło mojego ucha, mówi:

395

„...kryjesz się w ponurej pościeli przez cały dzień?”. Głęboki szkocki głos, równie bliski, odpowiada pytaniem: „Przed czym się kryjesz w ponurej pościeli?”.

PHOEBE: To ja, prawda? Uświadamiam sobie, że to ciągle ja.

WULF: A kim ty właściwie jesteś?

PHOEBE: (z gorzkim śmiechem) Kobieta, która starzeje się bez kochanka, (długa pauza) Wiem, czym jest miłość. Wiedziałam, gdy byłam dziewczynką, gdy byłam bardzo młoda. Wtedy wiedziałam, czym jest miłość...

WULF: A teraz?

PHOEBE: Tymi wszystkimi jaźniami uwięzionymi jedna w drugiej, związanymi i splątanymi ze sobą... Małą dziewczynką, która nie rozumie, czemu tatuś ją odesłał. Studentką malarstwa, która uciekła na morze, ale nigdy nie nauczyła się malować tak jak Gauguin, córką, która próbowała uciec od matki... ale nie ma ucieczki, prawda? (On nie odpowiada. Głośny lament mew. Odległy pomruk, który może być morzem. Łatwo ich sobie wyobrazić, siedzących na zboczu, być może wzgórza śmiechu i gniewu, przy włączonym magnetofonie). To paradoks. Śpię w dzień, bo nie mogę znieść jawy. W nocy nie śmiem spać z lęku przed snami. Zostawiam zapaloną nocną lampkę, potem budzę się wczesnym rankiem, przerażona, że zobaczę światło padające na dobrze znane rzeczy. Zegar. Książka. Szklanka wody. Zwykłe przedmioty są potworne... są dowodem, że wszystko jest wciąż tak, jak było... (wiatr świszczę w mikrofon i co jakiś czas ją zagłusza) ...rodzaj zmierzchu między jawą i snem... (wiatr hula jeszcze głośniej). Potem zaczynają się szepty.

WULF: Kto szepcze?

PHOEBE: Wiesz, kto!

WULF: Wiem to, co mi powiesz. Kto szepcze? (długa cisza ze świstem wiatru). ...szepcze?

PHOEBE: (kolejna długa pauza). Moja matka.

WULF: Co szepcze?

PHOEBE: Rzeczy, których nie powinnam wiedzieć. Nie chcę ich słyszeć.

WULF: Co czujesz?

PHOEBE: Przerażenie.

396

WULF: Co cię przeraża?

PHOEBE: Że ona wróci. Że ją zobaczę.

WULF: No dobrze, więc jesteśmy w punkcie wyjścia... (Kobięce pociąganie nosem.

Przedmuchiwanie). Co ci mówi?

PHOEBE: Czy muszę?

{Wulfnie odpowiada. Długa cisza przerywana krzykami mew}.

PHOEBE: Mówi, że musi wrócić do Indii. To właśnie powraca w moich myślach, rozmowa, którą z nią odbyłam, zanim wyjechała. Ciągle prosi mnie o pożyczanie pieniędzy na bilet i hotel. Mówi: „Wszystko, czego potrzebuję, to tani hotelik”.

WULF: I co robisz?

PHOEBE: Daję jej te pieniądze. A właściwie, kupuję bilet. Nie ma jej jakieś pięć tygodni. Potem przychodzi kartka, na której jest data powrotu... mama prosi, żebym ją odwiedziła.

WULF: Co dalej?

PHOEBE: Nie chcę o tym mówić.

WULF: Nie chcesz, ale będziesz, bo jesteś silna. Masz dość siły, żeby się temu przyjrzeć z bliska.

PHOEBE: Nie, spójrz na mnie. Jestem kompletnie rozpieprzona.

WULF: Patrzę na ciebie. Widzę atrakcyjną kobietę, zadbaną. Widzę przyjaciółkę, którą darzę szacunkiem. Nie jesteś nic a nic rozpieprzona... I co dalej?

PHOEBE: Zbliża się data. Data jej powrotu. Wiem, że powinnam pojechać na lotnisko, ale nie jadę. Czuję się okropnie, czuję się podła, bo ona będzie bez grosza... musi całkiem sama wrócić do Lincolnshire. Ale nie jadę. Znajduję coś innego, co trzeba koniecznie zrobić. A jeśli myślisz, że... Nie, nie miałam wtedy depresji, czułam się po prostu winna i cholernie beznadziejna.

WULF: No dobrze. I co dalej?

PHOEBE: Nadchodzi ten dzień. Mama musiała już wrócić. Wiem, że powinnam ją odwiedzić, ale... WULF? Ale?

PHOEBE: Odkładam to. Znajduję wymówki.

WULF: Ale w końcu jedziesz. Wiem o tym. Co sprawiło, że zmieniłaś zdanie?

PHOEBE: Przypomniałam sobie sen. Mama powiedziała mi, że miała sen, który skłonił ją do podróży do Indii (załamanie). Była taka samotna... Zostawiłam ją tam, samą.

397

WULF: Więc jedziesz. I co się dzieje?

PHOEBE: Tak, jadę. W końcu, do jasnej cholery, jadę.

WULF: Powiedziałaś to z gniewem. To dobrze. Ten gniew, który trzymałaś w sobie, zamienia się w depresję. Wypuść go! I co dalej?

PHOEBE: Wsiadam w samochód i jadę. Z każdym kilometrem jest coraz trudniej. Kiedy jestem daleko, mogę się odciąć, albo odciąć ją. Jest tam, tkwi w czymś w rodzaju bąbla. Zawsze tam była, zawsze będzie. Siedzi w domu, czyta albo gotuje. Jest taka biedna. Dawniej wysyłałam jej pieniądze, kiedy mogłam—więcej albo mniej, czasem dużo, setki funtów. Wystarczało na jakiś czas, ale nigdy nie było dość.

WULF: Zrobiłaś dla swojej matki, co mogłaś. Zobaczysz się z nią... Jedziesz samochodem...

PHOEBE: Tak, jadę. Siedzę w samochodzie. Wyjeżdżam z Londynu, ruszam na północ. Opuszczam swój świat, wkraczam w jej świat. Z każdym kilometrem czuję rosnące przygnębienie, ale... jak mam je opisać? Ono nie jest moje—jajuz jestem tak nieszczęśliwa, jak to tylko możliwe. To jej przygnębienie, które sięga do mnie. Znaki przy drodze... A! Północ, Grantham 80 kilometrów... to posłania samotności od niej do mnie. Stopniowo cały krajobraz, i wszystko w nim, zamienia się w jej wysłanników. Nazwy wiosek i miast, przez które przejeżdżam, oskarżają mnie. Bitchfield, na przykład, Ingoldsby, Humby... tablice z nazwami krzyczą na mnie, gdy je mijam: „My nie uciekłyśmy. Zostałyśmy tu, blisko niej”, (szlochanie). „Nie porzuciłyśmy jej”.

WULF: To dla ciebie bolesne. Ale nie przestawaj. Musisz mówić dalej.

PHOEBE: Nie mogę... Nie chcę widzieć...

W samochodzie Phoebe płacze, przypominając sobie, jaka była jej matka, gdy ona była mała. Jestem jej dzieckiem, myśli, to mój obowiązek opiekować się nią a ja zostawiłam ją samą. Za oknami samochodu przesuwa się płaski pejzaż Lincolnshire, rozległe pola. Z niektórych unosi się dym, pali się rżysko po żniwach. Widzi w promieniu wielu kilometrów, a każda stodoła z czerwonej cegły, każda farma i pub przypomina, że tuż za horyzontem czeka jej matka. Prowadzi z płaczem, jej szczupła dłoń sięga w dół, żeby zmienić bieg; samochód zwalnia za ciągnikiem, którego kierowca macha jej ręką. Phoebe jedzie dalej, nie odwracając się.

398

Wreszcie ulga po monotonii podmokłej niziny, zielony grzbiet ^yyrastający na wprost. Szosa wiję się przez bagnistą dolinę i wspina do wioski; zarysy budynków odcinają się od granatu nieba. Phoebe dojeżdża do pierwszych domów. Małeńka miejscowość. Cicha. Wóz przesuwa się obok pubu, starego młyna. jeszcze jeden kilometr. Przed sobą dostrzega przerwę w żywopłocie, dróżkę dojazdową do parterowego domku matki. Samochód sunie, podskakując na dziurawej drodze. Po jednej stronie ptaki kłóca się na zaoranym polu. Wóz zatrzymuje się, silnik gaśnie. Na kilka długich

chwil nad sceną zapada cisza: mały domek, zapuszczony, w dzikim ogrodzie. Z tyłu ciemne drzewa. Drzwi samochodu otwierają się i Phoebe wysiada.

Nic się nie zmieniło. Ścieżkę do domku zarosły chwasty. Phoebe ledwie jaodnajduje. Obfitość mleczy, które jadła matka, tak w każdym razie twierdziła. Jeżyny sięgające aż do okien. Cały gąszcz ciężkich od owoców gałęzi. Przegniłe, rozpadające się okna. Phoebe jest we łzach. Ogarnia ją wstyd. Puka do drzwi, zerka na zegarek. Cisza. Dzwonek nie działa. Podchodzi do okna, żeby zajrzeć do środka. Pokój stołowy jest pusty. Może Sybil wyszła.

Phoebe stoi przez chwilę z ręką na głowie, zastanawiając się, co robić. Potem okrąża narożnik domu i wchodzi do części ogrodu otoczonej kruszącym się murem. Okna sypialni matki strzeże zasłona z malin. Ostrożnie odsuwa jedną ciernistą gałąź, a potem drugą, zerka do środka. Nagle zaczyna szarpać łodygi malin gołymi rękami, za wszelką cenę chce się dostać do okna. Gałęzie sprężynują rozdierającej ręce. Dłonie spływają krwią. Gruba zielona łodyga przecina policzek. Phoebe dostaje się do okna. Przystawia twarz do szyby. Nie ma nikogo, kto mógłby usłyszeć odgłos, który zaczyna się jak jęk, a potem zamienia w wycie.

Pokój w zielonkawym zmierzchu. Phoebe widzi łóżko i leżącą na nim postać swojej matki. Wali rękami w szybę. „Mamusi! Mamusi, obudź się!”. Szkło pęka i dłonie Phoebe oblekają się w karmazynowe rękawiczki. Wsuwa je do środka... °Boże... ten smród... i buczenie, ogłuszające buczenie. Otwiera Śląkno i wspina się. Chwieje się, jakby miała runąć do środka.

399

Szkarłatną dłonią przysuwa chusteczkę do ust. Głębokje wdechy zamieniają się w szloch przerażenia, gdy zbliża się do łóżka. Potem straszliwe, suche odruchy wymiotne. Sybil nje ma już twarzy. Tam, gdzie się znajdowała, jest teraz czarna, lśniąca, połyskliwa powierzchnia. Córka staje obok. Jej dzinsy ciemnieją z przodu, pokrywa je rozszerzająca się plama ciem. ności. Phoebe kuca przy łóżku. Twarz Sybil rozpada się i eju. ploduje rojem much plujek. Obsiadają Phoebe, a ona macha rękami, wrzeszcząc jak obłąkana.

1

W głąb bardol

Nad głową, przez architekturę wielkiego łoża Phoebe, widziałem ciemne okno w dachu z jaśniejszymi smugami chmur oświetlonych niewidocznym księżycem. Błyszcząca zielona kropeczka wskazywała miejsce, w którym na podłodze stał magnetofon. Głos Phoebe, przerywany szlochami tak gwałtownymi, że brzmiały jak wymioty, zamilkł nagle, i rozległo się syczenie dziewiczo czystej taśmy przesuwającej się po głowicach. Wreszcie dał się słyszeć cichy stuk, a potem zapanowała cisza i ciemność. Nie wiem, ile czasu upłynęło. Myślałem o czymś, co opowiedział mi ojciec o ostatnich dniach życia mojego dziadka. Staruszek chorował od pewnego czasu. Miał słabe serce. Z trudem oddychał, więc kazał wynieść swoje łóżko na podwórze, w to samo miejsce, w którym pół wieku wcześniej skorpion spadł z dachu na łóżeczko mojego śpiącego ojca. Kobiety uwijały się koło niego z wywarami z włoskiego kopru i gałki muszkatołowej. Przynosiły z bazaru nepalski miód i używały go zamiast cukru do słodzenia mleka, które było jedynym pożywieniem, jakie przyjmował. Starzec stracił do nich cierpliwość. Odpędzał je, machając rękoma, i zażądał swojej fajki, hookah, klnąc na kobiety, póki mu jej nie przyniosły, a potem znów, gdy zbiorniczek był nieodpowiednio napełniony, węgielki źle ułożone, albo gdy zapomniały odświeżyć pomarańczową wodę, przez którą dym z gulgotaniem odbywał długą wędrówkę od mosiężnego cybucha do jego ust.

1 bardo (tybet.) — bar — pomiędzy; do — zawieszony lub ściśnięty. Tybetańczycy używają tego słowa na określenie stanu pomiędzy śmiercią a kolejnymi narodzinami

401

Kobiety wygładzały nawierzchnię podwórka cienkim roz tworem gliny i krowich odchodów, kolorowymi proszkami wypisywały na nim yantry i sigile i odprawiały pudzę w u. tencji powrotu chorego do zdrowia. Kiedy to nie przyniosło skutku, wezwano bramina, który usadowił się niczym żywy portret w ramce mistycznych emblematów i natychmiast zabrał się do, dzieła, mamrocząc niezliczone imiona Boga i obracając w grubych palcach różaniec z pomarszczonych nasion rudh-raksh.

Dziadek był dla niego okropnie niegrzeczny. „Czemu marnujesz mój czas tym bakwasem (nonsensem)? Koniecznie chcesz zepsuć tych kilka ostatnich godzin, które mi zostały?”.

Kapłan, pomny godności swojego powołania, albo może zapłaty (sto pięćdziesiąt rupii dziennie plus dwa pełne posiłki), przełknął dumę razem z ryżem, curdem, dałem i dwoma rodzajami warzyw, a także domowymi piklami i nadziewanym ziemniakami paratha z najprzedniejszym ghee, i dalej pełnił swą niewdzięczną wartość, w każdej chwili gotów zacząć szeptać opis mapy nieba, której starzec będzie potrzebował w zaświatach. Jego dusza, uwolniona z więzienia czaszki miłosiernym ciosem syna, mojego ojca, wzniesie się ze stosu i uleci w powietrze, które otworzy się jak okrągła dziura w osi ciągniętego przez woły wozu, jak naczynie fajki ho-okah, jak usta głodnego dziecka. Dziadek nie miał czasu na słońca, księżycy i bożków. Przez całe swe dorosłe życie był członkiem Arya Samaj, hinduskiego ruchu reformistycznego, wyrażającego zniecierpliwienie dla rytualnego bełkotu, odrzucał bałwochwalstwo i prowadził kampanię na rzecz emancypacji kobiet i zniesienia systemu kastowego, którego mamroczący śpiewnicze przedstawiciel właśnie przed nim siedział. Leży więc na łożu, ze zmarszczonym czołem wydmuchując dym na ogoloną głowę bramina, który w końcu skarży się, nieco absurdalnie: „Baba-ji, palenie jest bardzo szkodliwe dla zdrowia”. „Ale dobre dla twojej łysej pały”, odpala dziadzio, zdeterminowany, by wycisnąć tyle radości, ile się da, ze swoich ostatnich chwil; każe ugotować wyskrobiny z wczorajszego

402

nabicia fajki z olejem musztardowym, żeby zrobić gorącą papkę stymulującą porost włosów. Domownicy trajkoczą, próbując go mitygować, a bramini mówi: „Niepokoisz się, więc jesteś roZdrażniony. To naturalne. Spróbuj radować się myślą o przyszłym życiu, bo bez względu na twoją karmę, na ten ułamek sekundy, zanim się odrodzisz, twoja dusza powraca do Boga, do królestwa bez bólu”.

„Do diabła z tobą, mruczy dziadek. Nie ma świata bez bólu. A gdyby był, nie warto byłoby w nim żyć”.

Obraz w mojej głowie zmienia się. Widzę matkę. Leży oparta na poduszkach. Ninu, Suki i ja jesteśmy obok, klęczymy przy łóżku. Twarz Mai jest wychudzona, jej oddech chrapliwy. Nie może już mówić. Może nie słyszy tego, co my mówimy. Jej karma napawa ją przerażeniem. Dlaczego? Bo jej karma nie jest kwestią nagrody bądź kary w jakimś przyszłym życiu. Jak często to powtarzała? Nie dla niej ważenie serca w pierzastym pałacu Ozyrysa ani sąd przed wielkim białym tronem z Apokalipsy, gdzie rozdziela się sprawiedliwych od niesprawiedliwych, tak jak zdrowych od chorych na bocznicy kolejowej w Oświęcimiu. Maja nie potrzebuje mapy ze wskazówkami do życia po życiu. Wie, że nie będzie musiała wkraczać samotnie w wysokie, wietrzne regiony bardo: jej nagie skały, urwiska i pustkowia (to tybetańska, nie hinduska wizja, lecz Tybet, lotem ptaka, nie leży daleko od naszej wioski — z dachu domu dziadka widać Himalaje jako brudną smugę nad północnym horyzontem). Tak jak dziadek, nie lęka się spotkań z potworami, szyderstw mętnych, ostatnich bóstw czy pokusy wejścia w któryś z ciemnych otworów jaskiń wiodących do odrodzenia w kolejnych wcieleniach.

Maja nie wierzy w żadne życie po śmierci, a tym bardziej w życie po życiu po kolejnym życiu. Lubiała cytować Nietzschego, który powiedział: „Ostateczną nagrodą zmarłych jest to, że nie muszą więcej umierać”. Maja dodawała od siebie: „Gdyby urodził się Hindusem, powiedziałaby: «nie muszą więcej żyć»”.

403

Według Mai, karmy doświadcza się tu i teraz. Ona zaś wcia? jest „tu”, ale ledwo, ledwo, i nie zostało jej już wiele „teraz”. Wkrótce przestanie doświadczać swojej karmy, lecz będzie ona trwać w naszym życiu. Stąd jej lęk. Gdy otwiera oczy, żeby spojrzeć po raz ostami w nasze twarze, jej wzrok mówi: „Nie boję się o siebie. To o was się martwię”. Klęczymy przy jej łóżku, szepcząc słowa miłości i pocieszenia; zapewniamy, że zrobiła dla nas wszystko, co trzeba, że może odejść ze spokojnym umysłem, bo jesteśmy szczęśliwi, silni i odporni na każdy cios. Moja matka umiera w obecności swoich dzieci, z dziwnym, lekkim uśmiechem na twarzy.

Potem myślę o Phoebe, przykucniętej na piętach w pulsującej chmurze much.

W powietrzu wisiła niepokojąca woń. Słodycz kadzidła, ale coś jeszcze oprócz tego. Pod

podwójnymi drzwiami do drugiego pokoju widać żółtą linię światła. Faluje i drży. Lęk, skumulowana siła odkryć tego dnia, podrywa mnie z łóżka i rzuca do drzwi. Otwieram je jednym ruchem i stoję w zdumieniu.

Ciemność dużego frontowego pokoju rozświetlają dwa kręgi ognia: koncentrycznie ustawione świece, przyklejone do spodków, wciśnięte w butelki po winie, oblepione woskowymi stalaktytami, i gliniane lampy, na których błyszczą nieruchome, żółte płomienie. W środku tej przedziwnej, gwiazdnej konstelacji, na dywaniku siedziała ze skrzyżowanymi nogami Phoebe. Wyglądała na pogrążoną w medytacji.

Jej głos, dobiegający z półmroku wśród małych płomieni: „Chodź tutaj, Bhalu”.

Zbliżyłem się, ale zatrzymał mnie pierwszy krąg świec. Demon wywołany z piekieł przez średniowiecznego czarnoksiężnika też nie przedarłby się przez ten zaczarowany krąg. Doznałem kompletnego pomieszania uczuć. Wstyd, że w nią wątpiłem. Współczucie z powodu tego, co wycierpiała. Była moją najstarszą przyjaciółką. Chciałem do niej podejść, wziąć ją w ramiona, pogłaskać po włosach, pocieszyć, lecz nie zrobiłem żadnej z tych rzeczy. Stałem, sparaliżowany osobliwością

404

sCenerii, a może jakimś instynktem pokrewnym instynktowi samozachowawczemu.

— Przykro mi, że ci nakłamałam — odezwała się po chwili phoebe.

— To już się nie liczy. — Nic nie mogło się liczyć po tym, co właśnie usłyszałem.

— Niestety, liczy się. Jeśli musisz kogoś okłamywać, to znaczy, że nie kochasz wystarczająco tej osoby.

— My zawsze się kochaliśmy — odparłem. — Odkąd byliśmy małymi dziećmi. Nic nie może tego zmienić.

Nie odwróciła się ani nie otworzyła oczu, ale słyszałem, jak westchnęła.

— Co miałam robić, Bhalu? Gdybym ci o sobie opowiedziała — o tym mieszkaniu, o całej reszcie

— co byś pomyślał? Czy chciałbyś mnie znać?

— Oczywiście, że tak.

— Jak mogłam być tego pewna?

— Jak mogłaś nie być?

— Ludzie się zmieniają.

— Nie! — zawołałem z gwałtownością, która musiała ją zdziwić. — Ludzie się nie zmieniają, tam w głębi. — Ja się nie zmieniłem. Wciąż byłem chłopcem, który prowadził ją do świętego lasu Kathodich i do nawiedzanej kapliczki na górze Bicchauda.

Phoebe otworzyła oczy.

— Usiądź tutaj. Naprzeciwko mnie. Tak żebym cię widziała.

Jak człowiek wchodzący na nieznane terytorium, przekroczyłem płomienie i znalazłem się w królestwie jej szaleństwa.

— Mamusia się zmieniła — rzekła Phoebe. Pochyliła się i objęła za kolana. W niepewnym świetle, z cieniami zmieniającymi rysy, trudno było zobaczyć wyraz jej twarzy.

— Phoebe, tak mi przykro... z powodu twojej matki. To musiało być... — Ach, ten pusty słownik pocieszeń. — Gdybyśmy tylko, to znaczy my wszyscy, Maja... — Teraz jednak to ostrożność związała mi język, powstrzymała mnie przed powiedzeniem, bo mogło to zabrzmieć jak wyrzut, że gdybyśmy wiedzieli, Sybil nie musiałaby się czuć taka samotna.

405

— To nie zrobiłoby żadnej różnicy — powiedziała szorstk Phoebe. — Nie masz pojęcia, jak źle z nią było. Jechałam d niej, a ona siedziała, o tak... — Zaczęła się kołysać w przód i w tył, jak czasem robią ludzie z zaburzeniami. — Czasem ni? odzywała się przez cały czas, gdy tam byłam, dwa albo trzy dni. Gniewało mnie to. Powinnam była być delikatniejsza. -^ Podniosła twarz i spojrzała na mnie; widziałem wilgotne ślady na jej policzkach. — Bhalu, ci którzy mówią o tym, że rozpacz jest czarna, nie rozumieją. Rozpacz to nie tylko ciemność, brak nadziei, noc bez gwiazd. To coś gorszego. Bhalu, spróbuj przypomnieć sobie, jakie były noce w Ambona...

Spojrzałem i zobaczyłem krajobraz w całkowitej ciemności niebo rozświetlone ogromną rzeką

gwiazd.

— Rozpacz jest wtedy, gdy boisz się gwiazd. Przypomniałem sobie jej słowa nagrane na taśmie, o tym, że

budziła w niej obrzydzenie potworna realność codziennych przedmiotów.

— Gdy zmarła, jej depresje przeniosły się na mnie. Mój jedyny spadek, jedyna rzecz od niej, którą zatrzymałam. Dom został sprzedany, ale rzeczy, które w nim były... Nie mam pojęcia, co się z nimi stało. Zostawiłam wszystko. Nie mogłam tam wrócić. Jedną szafkę, jak się później dowiedziałam, wypełniła książkami. Ściany były wilgotne, więc książki po bokach i od spodu zgniły i zamieniły się w papkę. Trzeba je było wyskrobywać szpadlem...

Ciałem Phoebe wstrząsnął dreszcz, jej ręka poderwała się do ust. Nie myślała już o książkach.

Siedziałem, bezradny, nie będąc w stanie wejść do tego dalszego królestwa bólu, który dzieliła razem z matką. Przypominałem sobie dzień, przed wielu laty, gdy kobieta w ciemnych okularach wysiadła z pociągu, a za nią mała, jasnowłosa dziewczynka ubrana w sukienkę Alicji z Krainy Czarów.

— Bhalu, kiedyś myślałam, że jestem dobrym człowiekiem. Ale się myliłam. Jak mogłam ją opuścić? — Zakryła oczy rękami i znów zaczęła się kołysać. Nie była to już demonstracja cierpienia jej matki, lecz przejaw jej własnego. Spoglądając na tę nieszczęśnicę, siedzącą tuż przede mną, wiedziałem, że miała rację, nie wyjawiając mi swoich sekretów.

406

— Rozpacz jest jak emocjonalne samobójstwo, Bhalu. Gniew zwrócił się przeciwko sobie. Wulf powiedział, że tak się ^ieje, gdy gniew nie może być skierowany przeciwko właściwemu celowi. Zapytał, na kogo jeszcze, oprócz siebie, się gniewam. Powiedziałam, że na mamusię, ale potem uświadomiłam sobie, że na nią nie mogę się już gniewać. Za dużo wycierpiała. Wulf naciskał dalej. Więc powiedziałam, że gniewam się na tatusia, za to, że nas zostawił... ale on też cierpiał. — Skądś wyłowiła chusteczkę do nosa (kobiety są nieskończenie zaradne, jeśli chodzi o chusteczki) i wytarła nos. Była taka smutna i samotna, siedząc w kręgu świec i lamp, że chciałem ją uściskać, wycisnąć z niej żal.

— Nie znałeś mojego ojca, Bhalu. On nie był potworem, którego robiła z niego mamusia. Mój ojciec był dobrym człowiekiem. Zrobił wszystko, żeby ocalić ich małżeństwo... Wiesz, na czym polegała prawdziwa tragedia? Mama martwiła się niepotrzebnie.

Nagle uświadomiłem sobie, co chce mi powiedzieć. Że Killy przez cały czas wiedział o romansie Sybil.

— Powiedział mi, wtedy gdy przyjechał do Anglii. Obwinił siebie. Wspierałby ją, gdyby doszło do skandalu. Był na to przygotowany. Wiedział o wszystkim oprócz szantażu. Gdyby tylko z nią pomówił...

Ironia tych słów — „gdyby tylko"! Gdyby Killy, przed czterdziestu laty, otworzył swoje serce przed Sybil, mogłaby powiedzieć szantażyście, żeby się od niej odpieprzył! Nie — zrobiliby to razem.

Zdemaskowaliby go. Prawdopodobnie doprowadziliby go do ruiny. Maja by się nie uwikłała.

Mogliśmy nigdy nie opuszczać Indii. Powolna dezintegracja Sybil w samotności, cierpienie Phoebe

— wszystkiego tego można było uniknąć. Lecz Killy postanowił nie mówić, i ten wybór miał konsekwencje. Czy można sobie wyobrazić klarowniejsze potwierdzenie mylności poglądu Mai, że karma jest moralnym przewodnikiem? Karma to nic więcej tylko podszyte ironią zrozumienie tego, co było.

— Dlaczego jej nie powiedział? — spytałem.

— Myślał, że tak będzie delikatniej. Gdybyś dowiedział się czegoś, a ktoś nie chciałby, żebyś to wiedział, co byś zrobił?

407

Pomyślałem o Kąty i nic nie powiedziałem.

— To był rodzaj kłamstwa — ciągnęła Phoebe. — Udawał że nie wie. Nie kochał jej dość mocno, żeby usunąć kłamstwa na bok.

— Czemu tak przy tym obstajesz? — zapytałem, nagle poirytowany. — Twój ojciec kłamał właśnie dlatego, że kochał swoją matkę. Może nie była gotowa na przyjęcie prawdy. Do tego

potrzeba dwojga.

— Tak — zgodziła się Phoebe. — Do tego potrzeba dwojga. Wiesz, czym jest miłość, Bhalu? Nawet w najlepszym momencie nie ma na to pytanie właściwej odpowiedzi, więc tylko poruszyłem niezobowiązująco głowę.

— Przeczytałam wszystko, co na temat miłości napisały autorytety — ciągnęła Phoebe — od Owidiusza do Stendhala, od Jana, umiłowanego ucznia Chrystusa, do Fromma, i żaden z nich nie powiedział, czym naprawdę jest miłość.

— Czym jest? — zapytałem, nie mogąc się powstrzymać.

— To ogień — odparła — w którym człowiek musi być gotów wszystko poświęcić. Pochodnia, która wypala sekrety zasklepiające komnaty duszy. Absolutna szczerość, całkowite oddanie się, nieukrywanie niczego...

— Wulf ci to powiedział?

— Rozmawialiśmy o tym.

— Kochasz Wulfa?

Po raz drugi spojrzała mi prosto w oczy. Ślady łez znikły, uśmiechała się.

— Nie tak jak ciebie, Bhalu. — Pochyliła się i z gorliwym przekonaniem powiedziała: — Kiedy dwoje ludzi akceptuje się nawzajem, sekrety nie są już potrzebne. Nic nie musi być ukrywane. Potrafimy przyjąć siebie dokładnie takimi, jakimi jesteśmy. A kim jesteśmy? Tym co jest tutaj... i tutaj. — Dotknęła ręką głowy, a potem położyła ją na sercu. Wulf mawia: „Z niczym przychodzimy na świat i z niczym go opuszczamy”-Tym właśnie jesteśmy.

Słuchałem ze zdumieniem tego dziecinnego filozofowania. W każdej innej sytuacji powiedziałbym coś cynicznego, lecz nie wtedy.

408

— Bhalu, czy mógłbyś zaufać komuś aż tak? We wszystkim? Czy potrafisz kochać kogoś tak bardzo, że się przed nim nie kryjesz? Że jesteś gotów być sobą do samego końca?

— Wydawało mi się, że tak — odparłem, myśląc o Kąty.

— Czy my dwoje możemy być ze sobą tacy, jacy jesteśmy, absolutnie? Sobą i niczym więcej. Możemy?

— Tak — odparłem, nie wiedząc, co ma na myśli.

— Zdejmij ubranie.

Pomyślałem, że się przesłyszałem, ale ona wstała, skrzyżowała ręce i ściągnęła koszulkę. Biała linia, jej stanika odpadła i poleciała na kanapę. Phoebe rozpięła dżinsy i musiała je ściągnąć razem z bielizną, bo była naga. Popatrzyłem na ciało, które już widziałem, tym razem bardziej z przestachem niż z pożądaniem.

Usiadła znów na dywaniku po turecku, tak jak przedtem, i zamknęła oczy. Nie zwracała już na mnie uwagi.

Migotliwy blask świec. O Boże, myślałem, to najdziwaczniejsza chwila w moim życiu. Jak to się stało, że wprost z mojej bezbarwnej egzystencji przeskoczyłem w coś takiego? Ta kobieta, którą kochałem od dziecka, okłamywała mnie raz po raz. Wszystko, co robiła od chwili, gdy się ponownie spotkaliśmy, było wykalkulowane i odegrane, jak szereg inicjacji, przez które musiałem przejść, żeby się do niej zbliżyć. Teraz przyznała się do kłamstw i obróciła je w dowód świadczący o tym, że mnie kocha. Lecz ile znaczy taka miłość?

Siedziałem i patrzyłem, jak miękkie światło rzeźbi jej ciało, przesuwając się po jego płaszczyznach i zagłębieniach. Wchłaniałem każdą jego część, bez pożądania, widząc tylko ludzką, kobiecą istotę: ciężkie piersi — niemal za ciężkie na wąską klatkę piersiową — zagłębienie z guzikiem pępka, gładkie wzniesienie ciała wokół niego i ledwie widoczny pasek włosów w miejscu, gdzie brzuch zakrzywił się w dół. Nie wiedziałem, co robić. Jedna część mnie mówiła: „Ta kobieta jest skołowana i być może nie całkiem przy zdrowych zmysłach”. Druga zaś odpowiadała: „Takie miało być moje przeznaczenie, od kiedy byłem dzieckiem, od kiedy bawiliśmy się pod wodospadem, a później zostaliśmy zrugani”.

409

Pochyliłem się, zdjąłem jeden but, potem drugi. Skarpety koszulę. Rozpiąłem spodnie. Zawahałem

się, lecz po chwili ściągnąłem z siebie ostatnią część ubrania. Podeszedłem do skrzyni na opium i ułożyłem na niej równo wszystkie rzeczy. Wkroczyłem z powrotem w krąg światła, świadom mojej nagości. Rok do pięćdziesiątki. Ale stanąłem przed nią a ona otworzyła oczy i nie zmieniając wyrazu twarzy, przesunęła wzrokiem po mojej sylwetce: dość szczupłej, a nawet kościstej, powiedzieliby niektórzy. Wyraźnie zaznaczone żebra, lekki brzusek, syndrom braku ruchu. Spojrzenie zeszło niżej, nie zatrzymując się, na chude łydki i duże stopy.

— Usiądź, Bhalu. Naprzeciwno mnie. Tam. Jej ciało białe, moje brązowe.

— Teraz — powiedziała — jesteśmy tylko ty i ja. Już nie księgarz, już nie malarka. Już nie żonaty mężczyzna i niezamężna kobieta. Tylko ty i ja. Bhalu i Phoebe. Istnieje piękna indyjska opowieść o Sziwie i Kali. Powiadają, że kiedy Kali tańczy, to Sziwa porusza się w jej kończynach, a gdy Sziwa tańczy, to moc Kali porusza się w nim. Właśnie tym jest prawdziwa miłość, dwoje ludzi, którzy całkowicie oddali się jedno woli drugiego, którzy działają jak jedno... Bhalu, znów jesteśmy razem, tak jak przed laty. Sprawy, które wtedy się rozpoczęły, muszą znaleźć rozwiązanie.

— Phoebe — przerwałem jej — dokąd to wszystko zmierza?

— Wyobraź sobie, jak potężna jest ta miłość, a potem wyobraź sobie nienawiść, równie silną. Bhalu, ja nie umiem wybaczyć temu człowiekowi, który dręczył moją matkę. Wciąż czuję przerażenie, kiedy o nim pomyślę. I gniew. Wulf powiedział, że to jest moja rozpacz. Kiedy ją zrozumie, zniknie. Ale nie zniknęła. Wtedy rzekł, spotkaj się z nią i pozwól jej odejść. Więc powiedziałam ci tego dnia w hotelu, że zamierzam pojechać do Indii i znaleźć tego człowieka. Chcę spojrzeć mu prosto w oczy i pokazać, że nie ma już nade mną żadnej władzy. Pamiętasz? Powiedziałam, że nie mogę zrobić tego sama. Poprosiłam cię, żebyś ze mną pojechał. Milczałem. Tak, powiedziała to wszystko, i jeszcze to, że chce przeciąć temu człowiekowi oczy i rozpruć mu gardło.

410

— Pamiętam — odparłem wreszcie.

— Wiedziałam, że się zgodzisz. Nie gniewaj się. Bhalu. Mówiłam, że mam ci coś ważnego do powiedzenia. Właśnie to. Wszystko dla nas zaplanowałam. Kupiłam bilety do Bombaju i zarezerwowałam miejsca w tym samym hotelu, gdzie...

Musiałem jej przerwać.

— Phoebe — powiedziałem — bardzo mi przykro, ale nie polecę z tobą do Indii.

f 1

o

N

Apollo Bunder

(Bombaj, lipiec 1999)

Studiuje mapę, przez którą wije się gigantyczna rzeka, z dopływami równie szerokimi jak ona sama, połączonymi ze sobą w dziwny, kpiący z grawitacji wzór, wpływającymi i wypływającymi z kilku innych; niektóre nawet przepływają przez siebie nawzajem. „Opowieść to rzeka, mówi moja matka tonem zarezerwowanym dla swoich głębokich przemyśleń, utworzona z połączenia wielu strumieni”. Temu wspomnieniu towarzyszy obraźliwy, drwiący i chrapliwy odgłos, który zmusza moje oczy do skupienia. Leżę na wznak na wilgotnym łóżku. To, co wziąłem za pląsy rzecznych nitek, jest istną Amazonią rys na tynku malowniczo brudnego sufitu.

Znów ten obraźliwy dźwięk.

Spogląda na mnie czarna twarz. Rozszczepia się i wysuwa ostro zakończony język w kolorze węgla drzewnego.

„Kraaa!”

Gawron, pochyliwszy się w otwartym oknie, przeskakuje lekko w bok. Schyla głowę jeszcze niżej, żeby na mnie zerknąć. „Kraaa!”

Chrapliwe krakanie odblokowuje uszy. Wpadają inne dźwięki. Dobrze znane dźwięki, niesłyszane

od niemal trzydziestu lat. Stukające klip-klop gharry, szum taksówki, poświst drugiej, warkot motocykla, klaksony. Głosy. Wyskakuję z łóżka, podchodzę do okna. Gawron wpada w panikę i nurkuje w trzepocie czarnych skrzydeł. Za oknem: blask nad bombajską przystanią. Zieleń wody. Słońce na statkach zakotwiczonych dalej od brzegu.

Indie wracają do mnie bardzo szybko. Momentalnie. Upał. capach, ciężka oleista woń złożona z zapachów spalin ciężarów-

415

wek, jaśminu, dymu i ryb. Tłumy przed portem lotniczym wczoraj wieczorem, mimo że było tak późno, po pierwsze' w nocy, kiedy wychodziłem. Facet ze złotym łańcuchem błyś2. czącym na ciemnej skórze szyi, który poprosił o sto rupii, tebv mógł sobie kupić „porządną koszulę”. Urwisy nalegające, bym pozwolił im przenieść swoje bagaże do długiej kolejki rozklekotanych, czarno-białych taksówek.

Moim kierowcą jest rosły mężczyzna, pachnący kokosowa oliwą do włosów. Ze zgrzytem wrzuca wsteczny bieg, przY akompaniamentem głośniejszej, elektronicznej wersji Jingle Belk

— Skąd pan wraca? — pyta w hindi, przyspieszając wśród postaci, które zdają się rozpląwać na boki w ostatniej chwili.

— Z Anglii. Pierwszy raz od trzydziestu lat. Myślałem o tym, jakie wszystko jest niesamowicie znajome.

Wóz to zabytkowy fiat, który musiał jeździć po drogach już wtedy, gdy byłem dzieckiem. Na tablicy rozdzielczej niezdarnie namalowany białymi literami napis głosi ZASTAWIONE HIPOTECZNIE W BANKU DENA. Na każdej dostępnej powierzchni ponalepiane tandetne karteczki przedstawiające hinduskich bogów i boginie: Sziwa o błękitnym ciele, posmarowany popiołem, z księżycem na czole i olbrzymią kobrą owiniętą wokół szyi; Kali, tańcząca na bezgłowym trupie. Obląkańczo wytrzeszczone oczy i język wystający z szeroko rozwartych ust, zwisający prawie do pępka. Naszyjnik z obciętych głów, z których kapie starannie namalowana krew. Spłynęło na mnie przedziwne poczucie ulgi, wywołane widokiem tych dobrze znanych, absolutnie normalnych rzeczy.

— Mieszkam teraz w Anglii, ale Bombaj to moje rodzinne miasto.

Taksówka piszczy i grzechocze w bardzo przyjemny sposób. Widzę, że moje stopy spoczywają obok dziury, której skorodowane krawędzie trzepoczą delikatnie. Dwadzieścia centymetrów niżej przesuwa się błyskawicznie asfalt mojego miasta.

— W Anglii? Tak mi się zdawało. Kiedy usłyszałem, tam przed lotniskiem, jak pan mówi, pomyślałem, ten dżentelmen wygląda na Hindusa, ale mówi jak cudzoziemiec.

— Aż tak źle z moim akcentem?

- Źle? Co znaczy źle, w tym mieście? Powinien pan wie-

416

dzieć, że w Bombaju sub kucch chalta hai. Wszystko uchodzi. Aapun ko chai maangtai. Ja chieć herbata... — Śmieje się. — I¹ówił pan w hindi, ale zabrzmiało to jak angielski film, ffawhaw kissmiss.

Sięga lewą ręką i zapala zapalniczkę pod pałeczką kadzidelka przymocowaną jakoś do popielniczki. Taksówka skręca raptownie wśród ryku klaksonów nadjeżdżających z przeciwka samochodów.

— Wiele się tu zmieniło — mówię, rozkoszując się nowym doświadczeniem konwersowania w moim prawdziwym ojczystym języku, a nie jest to hindi, którym rozmawiałem z Mają czy Srinudżim, lecz miejski dialekt — łobuzerska, niegramatyczna i koszmarnie bezładna mieszanka hindi, marathi, konkani i angielskiego, z wieloma słowami, których nigdy nie słyszano poza tym miastem. — Co się stało ze starym lotniskiem?

— Ze starym lotniskiem? Mówi pan o Santa Cruz? Naprawdę długo pana nie było. Od lat jest wyłącznie lotniskiem krajowym. A nazwę zmienili na lotnisko Chhatrapati Shivadzi.

Shivadzi. Mój dawny bohater. Założyciel cesarstwa Maratha. Człowiek, który trzymał Mogołów z dala od naszych wzgórz, który pokonał wielkiego Afzal Chana, który wspiął się na niedostępne urwiska Sinhagarh, każąc przywiązać liny do olbrzymich jaszczurek, ghorpatów.

— Więc na którym lotnisku wylądowałem?

— To było nowe lotnisko. Międzynarodowe. Kiedyś nazywało się Sahar, ale niech pan zgadnie, jak je przemianowali?

— Jak, u diabła, mam zgadnąć?

— Teraz nazywa się Międzynarodowe Lotnisko Chhatrapati Shivadzi.

— Co? Oba nazywają się Chhatrapati Shivadzi? Czy to nie mylące?

Kierowca odwrócił się, żeby na mnie spojrzeć.

— Wrócił pan tu i spodziewa się znaleźć rozsądek? To jest Bombaj! A właściwie to już nie jest Bombaj. Zmienili nazwę. — Zbliżaliśmy się do przechylonej ciężarówki, obładowanej związanymi workami.

— Niech pan uważa! — krzyknąłem.

— ■ Teraz nazywa się Mumbai — powiedział taksówkarz,

417

skręcając lekko kierownicą, gdy ciężarówka mijala nas z rykiem. — Byłbym cały za, gdyby zmiana nazwy zmieniła cokolwiek na lepsze. Ale chodzi tylko o to, żeby zasrani politycy mogli zacierać ręce... Tego samego dnia, gdy przemianowali obydwie lotniska, rząd ogłosił, że zmienia też nazwę wielkiego

planu walki z ubóstwem. Sęk w tym, że już ją raz zmienili __
miesiąc wcześniej — więc zmieniali nazwę, która była już zmieniona.

— Po co te wszystkie zmiany nazw?

— Jesteś pan wykształcony. Domyśl się pan. Politycy zmienili nazwy, a jednocześnie sposób liczenia pieniędzy. I tyle, ale oni powiedzieli, że nowy plan, z nową nazwą, „zmieni oblicze indyjskiej wsi”. Ale oczywiście nic sienie zmieniło. W każdym razie, nie na lepsze. Nic się nigdy nie zmienia na lepsze.

Nagle bębnienie w dach przypomniało mi, że przybyłem do Indii w porze monsunu. Po chwili deszcz lał tak mocno, że droga przed nami znikła. Taksówkarz zatrzymał wóz.

— Wycieraczki nie chodzą. Drobiazg.

Wysiadł i przetaił szybę zamaszystymi ruchami ręki. Ruszyliśmy, ale niezadługo trzeba było powtórzyć manewr. W ten sposób posuwaliśmy się z wolna, skokami, przez ledwie widoczne ulice, z rzadka oświetlone latarniami. Ulewa skończyła się równie nagle, jak się zaczęła. Siedziałem i patrzyłem na przesuwające się za szybą miasto — brudne ściany budynków, ze smugami brudu i pleśni, pstrokate, popękane, zniszczone; brązowe żarówki w oknach, skaczący płomień lampki olejowej za workiem w drzwiach skromnej kwatery. Kiedy samolot podchodził do lądowania, nie widziałem w dole żadnych jasnych świateł, tylko mdłe punkciki, jak gdyby ludzie palili świece. Maleńkie światelka w ogromnej ciemności.

Na bazarach w Mahim panował tłok, choć była draga w nocy; strumień ludzi wlewał się do hinduistycznej świątyni, ze szpalerem sprzedawców wieńców przed drzwiami. Taksówkarz znów zatrzymał samochód, bez żadnego wyjaśnienia, wysiadł i znikł w tłumie. Minutę później zjawił się z girlandą nagietków i zawiesił ją na lusterku.

Koło Worli Naka stanęliśmy na skrzyżowaniu, którym dyrygował policjant z długą pałką. Przed samochodem przedefilo-

418

wała rodzina; mężczyzna ubrany był w stylu bombajskim, w wąskie spodnie kryjące patykowate nogi i bufiastą koszulę ściągniętą paskiem w chudej talii. Za nim podążały dwie kobiety w szarych sari, równie szczupłe, z gałązkami jaśminu we włosach. Jedna z nich odwróciła się i posłała policjantowi nieprzyzwoite spojrzenie. Pod wpływem impulsu zapytałem:

— Co pan sądzi o policji?

— O pandusach! — Parsknął krótko śmiechem. — To kolejna rzecz, która się nie zmienia. —

Podniósł dłoń i potarł o siebie dwa palce w geście oznaczającym pieniądze.

W pobliżu centrum ulice były opustoszałe, światła drogowe błyskały bursztynowo. Zbliżaliśmy się do dworca VT. VT! Stacja Victoria Terminus, gdzie zaczął straszyć duch Pana Love, skąd odchodziły pociągi do Ambona.

— Zmienili nazwę VT — powiedział kierowca. — Teraz dworzec nazywa się Chhatrapati Shivadzi Terminus.

Zamieszkałem w hotelu Rudolf przy Apollo Bunder, tym samym, w którym przed sześciu laty mieszkała Sybil. To Phoebe zdecydowała, że powinniśmy się zatrzymać w Rudolfie. Sądziła, że czegoś się dowiemy. Sybil wybrała się do Indii w konkretnym celu, którym nie było tylko odnalezienie mojej matki. Wygląd hotelu niewiarygodnie zgadzał się z jej opisem. Kiedy taksówka stanęła, zobaczyliśmy Arabów w długich kamizelkach* siedzących na murku od strony morza. Pierwszą rzeczą, którą zauważyłem, było to, że Shankar, boy hotelowy, nadal tam pracuje. Poznałem go natychmiast dzięki opisowi w Ostatnim dzienniku Sybil. Czerwona kropka na czole, usta umazane liśćmi paan. Zaprowadził mnie do pokoju i wycofał się tyłem, kłaniając się ze skrzyżowanymi rękami i serwilis-tycznymi okrzykami protestu, lecz surowy błysk w jego oczach mówił mi, że już zostałem zważony wedle standardów arabskich klientów i oceniony nisko. Nie zapytam go o Sybil, dopóki go lepiej nie poznam.

Stała właśnie w drzwiach ze śniadaniem, które zamówiłem Wczoraj wieczorem po przybyciu do hotelu. Omlet po indyjsku,

419

cienki jak naleśnik, posypany zielonymi drobinkami chili, i tost już czerstwiejący w dusznej gorączce. Nie miałem klarownego planu dnia, lecz przede wszystkim musiałem zadzwonić do Kąty. Dziesiąta rano. Tam jest wpół do szóstej. Kąty jeszcze śpi, skulona w naszym łóżku. Dopiero za pół godziny wyrwie ją ze snu dzwonienie starego budzika z miedzianym dzwonkiem stojącego na nocnej szafce.

Jadłem, siedząc przy gawronim oknie. Woda w porcie, gęsta jak zupa, falowała łagodnie. Nie dalej niż dziewięćdziesiąt metrów stąd Mitra, Dost i ja siedzieliśmy dwadzieścia osiem lat temu, w noc wybuchu wojny między Indiami i Pakistanem, i patrzyliśmy, jak ożaglowanie daw na przystani okrywa się błękitnym ogniem. Teraz nie było ani jednej dawy. Na wodzie uwijały się łodzie z turystami, przyplływające i odpływające od stopni pod Bramą Indii, monumentalnym łukiem z żółtego bazaltu, który miał upamiętnić pierwszą wizytę w Indiach rządzącego brytyjskiego monarchy, lecz, o ironio, utrwalił się w pamięci jako miejsce, w którym ostatnie brytyjskie oddziały wojskowe opuszczały Indie. Tuż na północ od Bramy znajdował się, niewidoczny z okna mojego pokoju, dok marynarki wojennej, gdzie Nanavati wziął pistolet ze swojego okrętu. Nieco dalej zaczynał się port handlowy, w którym ponad pół wieku temu Killy sprowadził na brzeg Sybil, ostrzegając ją, że Indie nie będą takie, jak sobie wyobrażała. Biedaczka, jak mogła przewidzieć, co ją czeka? Miasto było siedliskiem duchów. Jakie to znamienne, że powitał mnie gawron, strażnik bramy między krajobrazem żywych i królestwem zmarłych. (Indyjscy wieśniacy powiadają, że gawron kraczący z okna to pewny znak, że będzie się miało gości. Wierzą też jednak, że koklusz można wyleczyć za pomocą jazdy na niedźwiedziu). Czuję uniesienie, bez względu na obecność czy nieobecność duchów. Wróciłem! Będę robił rzeczy, którymi nie miałem okazji się rozkoszować od trzydziestu lat. Będę przechadzał się po Marine Drive, jadł pani-puri na plaży Chowpatty i pau bhaji tam, gdzie przyjdzie mi na to ochota. Będę szukał moich starych przyjaciół, Mitry i Dosta. Z Apollo Bunder przywiało pod okna hotelu cudowną, p0; wietrzną kakofonię. Podniesione głosy: „Ej! Ej! Ej!”, okrzyki

420

jak muzyka, z nakładającym się pomrukiem diesli, warkotem skuterów i końskim klik-klapaniem dorożek. Te ostatnie stały w szeregu nieco dalej na ulicy, przed Taj, licząc na cudzoziemską klientelę. Co jakiś czas któraś przejeżdżała pod oknem, wioząc grupkę arabskich kobiet ubranych od stóp do głów w czerń; konie ciągnące gharry miały zebra wystające jak kościotrupy i znosiły razy woźniców z żalonym stoicyzmem. Przyszedł mi na myśl Moron w komfortowej stajni w domu, gdzie o tej porze już świta. Kąty budzi się, idzie do kuchni, stawia czajnik na kuchence. Odczekam kwadrans, a potem zadzwonię. Nie cieszyłem się na myśl o tym telefonie.

— O, cześć — powiedziała chłodno, jak gdyby zaskoczona, że mnie słyszy. Czekałem na coś więcej, ale się nie doczekałem.

— Jestem w Bombaju. Tu mamy jedenastą rano. Czekałem, żeby do ciebie zadzwonić. Co

porabiasz? Parzysz herbatę?

— Właśnie postawiłam czajnik — odparła Kąty, wciąż tym samym chłodnym głosem. — Czemu pytasz? Chcesz się napić?

Ogarnęła mnie dziwna radość. Moje kalkulacje okazały się trafne. Moje drugie życie ciągle toczyło się normalnie.

— Wyobrażałem sobie siebie tam, w domu — powiedziałem.

Na dłuższą chwilę po drugiej stronie zapadła cisza. Potem Kąty odparła:

— Właśnie miałam wyjść do stajni.

— Jaka pogoda? Jak się miewa Moron?

Nie czekając na odpowiedź, zacząłem opowiadać jej o koniach przy Bramie Indii. Przerwała mi.

— Bhalu, ten telefon musi kosztować fortunę. Nie musisz udawać, że się mną interesujesz... — Jej głos był bardzo odległy. Zdziwiłem się, jak obco brzmi.

— Ja nie udaję.

— Ona jest teraz z tobą?

— Wiesz, że nie.

— Tak mówisz. Jeśli tam jest i słucha, proszę cię, nie dzwoń do mnie więcej.

— Kąty, posłuchaj mnie. Ona jest w Londynie. W każdym

421

razie, o ile mi wiadomo. Sprawdź, jeśli mi nie wierzysz. Podam ci jej numer.

— Bhalu, jeśli mam cię sprawdzać, to już cię straciłam. ■— Rozległo się stuknięcie i osiem tysięcy kilometrów kabla i eteru pogrzyżyło się w martwej ciszy.

— Phoebe, bardzo mi przykro, ale nie pojedę z tobą do Indii. Zanim zdążyła odpowiedzieć, podniosłem rękę.

— To nie znaczy, że nie pojedę w ogóle... Pojadę, ale pod warunkiem, że zrobię to sam.

Powiedziałem jej, że dowiem się tyle, ile zdołam. Jeśli uda mi się wpaść na trop człowieka, który szantażował jej matkę, dam jej znać, i wtedy postanowimy, co dalej. Nie wiem, czego się spodziewałem. Łez, na pewno, może ataku hysterii. Phoebe mnie zaskoczyła.

— Bhalu, myślę, że to bardzo dobry pomysł — powiedziała.

— A więc ustalone.

Uśmiechnęła się i zamknęła oczy. Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu.

— Rzecz w tym — mówiłem, głośno myśląc — że z początku zakładałem, że jeśli pojedę, zrobię to dla ciebie. Ale chcę jechać dla siebie samego. Moje życie zostało ukształtowane przez to, co zrobił ten człowiek. Poza tym uważam, że ja też go spotkałem. Dobija mi się do głowy myśl, że to właśnie on, na pewno tak było, załazł mi za skórę, kiedy zostałem aresztowany. W Dongri.

— Bogu dzięki! — wykrzyknęła Phoebe. — Wreszcie coś zaczynamy robić! — Zerwała się na nogi i podeszła do ser-wantki; wyjęła butelkę wina i zupełnie bez skrupowania wykonała procedurę odkorkowywania w wersji na golasa.

Oboje wciąż byliśmy nadzy, otoczeni skaczącymi niepewnie płomieniami świec. Sceneria, która jeszcze kilka chwil temu wydawała się nieomal groźna... no cóż, w nagości jest coś komicznego. Siedzieliśmy, pijąc wino i patrząc na siebie.

— Phoebe — powiedziałem — to wszystko jest troszkę-głupie.

— Tak — przyznała. — Ale tylko troszkę.

422

Wstała i podała mi rękę, żebym wstał. Potem ujęła moją tv^arz w dłonie i pocałowała. Nie jestem wysoki, jesteśmy jniitiej więcej tego samego wzrostu. Jej piersi przywarły do mojej klatki. Moje ręce powędrowały za jej plecy; rozluźniła się. Zsunąłem dłonie na jej pośladki i przycisnąłem ją do siebie.]y[usiała poczuć, jaki jestem pobudzony. Może właśnie dlatego uwolniła się z moich objęć, spojrzała czule z odległości dziesięciu centymetrów i pocałowała mnie w nos.

— A ty jesteś kochany — powiedziała. Następnie zabrała swoje rzeczy i znikła w sypialni.

Ubrałem się niezgrabnie, nie będąc w stanie zebrać myśli. Obszedłem pokój, spoglądając na zdjęcia, i zatrzymałem się przed regałem ze starymi książkami.

Książki, książki, książki, wieczna fascynacja.

Lays of Ind (Pieśni Ind) Alipha Cheema.

Bullet and Shot (in Indian Forest, Plain and Hill), (Pocisk i strzał [w indyjskiej puszczy, na równinie i na wzgórzu]) C. E. M. Russella.

Medical Hints for Hot Climates (Wskazówki medyczne dla gorących klimatów) Charlesa Heatona.

Notes on Stable Management (with glossary of Hindustani words), (Uwagi o utrzymaniu stajni [ze słownikiem słów hinduskich]) pułkownika J. A. Nunna.

To były książki jej ojca.

Następny tytuł przyciągnął mój wzrok. „Cudownie profetyczna książeczka” Killy'ego. „Przesycony nienawiścią tomik”, tak pogardzany przez Sybil.

Indie w 1983 roku.

Gloria orientального splendoru

Rok 1983 był pamiętnym rokiem w historii Anglii... dwa tytuły, które rościły sobie prawo do miejsca w pamięci przyszłych pokoleń, były takie, że podczas jego trwania wreszcie oddano władzę w kraju niepowstrzymanym aspiracjom narodu irlandzkiego oraz że to, co przez wszystkich roztropnych polityków i postępowych myślicieli było potępiane jako nieopisana anomalia, a mianowicie Imperium Brytyjskie w Indiach, upadło ostatecznie i oficjalnie...

Tak zaczynała się książka Indie w 1983 roku, pożyczona przeze mnie od Phoebe i przywieziona do kraju, który zainspirował jej powstanie.

„Farsowy opis hipotetycznej ewakuacji Brytyjczyków z Indii i późniejszych rządów Babu Radż”, głosiła notka na stronie tytułowej. Książka została napisana w tysiąc osiemset osiemdziesiątym trzecim roku, zaledwie dwadzieścia pięć lat po powstaniu, i jej anonimowy autor musiał wybiec myślą sto lat w przyszłość, by wyobrazić sobie Irlandię i Indie jako wolne kraje. Zapewnił jednak czytelników, że naprawdę była to „hipotetyczna ewakuacja”, a pogardliwe określenie „Babu Radż” wyrażało jego zdanie w kwestii, czy Hindusi kiedykolwiek będą w stanie z powodzeniem sobą rządzić. „Profetyczna książeczka”, orzekł Killy.

Przez pierwsze dwa tygodnie wieczory w Bombaju ciążyły mi nieznośnie. Bardzo dużo czytałem. Głównie Indie w 1983 roku i Ostatni dziennik Sybil. Dni upływały mi na brodeniu ulicami, na których po każdej ulewie tworzyły się bajora brunatnej wody, pieszych wędrówkach od jednej biblioteki do

424

drugiej w poszukiwaniu wszystkich publikacji dotyczących sprawy Nanavatiego. Zbierałem nazwiska ludzi z nią związanych — oficerów śledczych, urzędników sądowych, prawników i ich asystentów, dziennikarzy, polityków i ich personelu, oficerów — którzy mogli mieć dostęp do listów znalezionych w mieszkaniu Ahudży. Wieczorami dokonywałem przeglądu tego, co wpadło mi w sieci. Nazwiska spoglądały na mnie z kartek, puste i pozbawione znaczenia. Sybil i Phoebe uważały, że szantażysta był jakimś urzędnikiem rządowym. Zdaniem Srinudźiego Maja sądziła, że był wyższej. rangi policjantem. Ale nie wiedzieliśmy tego na pewno. Tylko kobiety można było wykluczyć z całkowitą pewnością.

Potem przyszło mi na myśl, że szantaż to zbrodnia głowy, a nie serca. Pudło pod łóżkiem Ahudży zawierało listy od sześciu kobiet. Czy szantażysta nie naciskałby na wszystkie? Czemu miałby wybrać Sybil, a zignorować pozostałe? Lecz kim były te kobiety? Kto mógłby wiedzieć?

— Bhalu! To ty?

Jakież zdziwienie i radość głos po drugiej stronie linii tchnął w te słowa.

— Tu, w Bombaju? Arrel Kiedy przyleciałeś? Zafyque, stary przyjaciel Mai. Znał też Sybil. Łysa śpiewaczka wfaute de rieux francuskim.

— Gdzie mieszkasz? Czemu wybrałeś akurat ten hotel? On ma opinię... jakby to ująć... podejrzanego.

— To długa historia — odparłem.

— Może byś wpadł na kolację? Nie jesteśmy daleko.

— Dobrze, kiedy mogę przyjść?

— Przyjdź teraz. Shahnaaz nie ma. Jestem sam. Zrobisz mi przyjemność.

— Teraz? Ale już prawie dziesiąta.

— I co z tego? Kto w Bombaju jada przed dziesiątą?

Przeszedłem przez dzielnicę maleńkich sklepików, z których część mieściła się w budach z blachy falistej, niewiele więk-

425

szych od budki telefonicznej. W jednym z nich, przypominają, cym szafę, nie było nic oprócz pęku zielonych kokosów zawieszonych na jasnoniebieskiej ścianie. W sąsiedniej budzie, z szyi dem FIRMA HYDRAULICZNA MAHARASHTRA, \vystłJ wiono kawałki rur ułożonych według grubości. Pusta izba brudna ponad wszelkie wyobrażenie, prezentowała się dumnie jako RESTAURACJA PARADISO. W środku siedział w kucki mężczyzna w podkoszulku, gotując coś na małym naftowym palniku. Jego klienci jedli przy stolikach na ulicy, nie zwracając uwagi na psy grzebiące w odpadkach u ich stóp.

Kilka zakrętów i zwrotów w kierunku, który podał Zafyąue, zaprowadziło mnie do wysokiego mura wyłożonego okruciami szkła, nad którym wznosiła się odrapana fasada starego pałacyku.

Chowkidar drzemiący przy ogromnych, wzmocnionych kutym żelazem drzwiach potwierdził, że sahib Zafyąue naprawdę tu mieszka. Wpuścił mnie do środka. Wspiąłem się po wysokich schodach na czwarte piętro i zostałem wprowadzony przez służącego do sali zastawionej prawie po sufit książkami i papierami brązowymi od starości, w większości niedotykanymi od lat, sądząc po warstwie kurzu.

— Bhalu, chłopcze, witaj w domu! — ryknął jowialny, aktorski głos. — Tutaj, tutaj! — Zastałem go rozciągniętego w wiklinowym fotelu, sączącego drinka na tarasie, na którym morska bryza unosiła cieniutkie firanki niczym sukienki tancerki. Zafyąue musiał być w tym samym wieku co Maja i Sybil, lecz jego włosy wciąż były czarne, a broda sterczała z wigorem jak broda Szekspira. Wstał, żeby się ze mną przywitać; uściskaliśmy się.

— Chodź, siadaj — zaprosił. — Scotcha. — Było to stwierdzenie, nie pytanie. — Tak mi przykro z powodu twojej matki. Była cudowną kobietą. Miała w sobie coś takiego... — Chyba nie miał pewności, co to było. — Napisała mi o pewnej sztuce. Jaki ona miała tytuł? Coś związanego z Jerozolimą?

— Via Dolorosa.

— Właśnie. Widziałeś ją?

Oczywiście, że nie. Pielęgniarka z pomalowanymi paznokciami u nóg otworzyła drzwi mieszkania Mai i bilety zostały, niewykorzystane i zapomniane, w mojej kieszeni. Kąty znalazła

426

je później i oparła o ścianę na gzymsie kominka w naszej sypialni, gdzie pewnie stoją do tej pory. Zafyąue powiedział mi, że jest pochłonięty nowym przedstawieniem, i zaczął opisywać kłopoty, jakie ma z odtwórczynią głównej roli. Słuchałem, patrząc, jak światła bazaru sięgają do ciemnej, twardej linii wyznaczającej brzeg morza.

— Ale co cię sprowadza do Bombaju, po tylu latach?

— Pamiętasz Angielkę nazwiskiem Sybil Killigrew? Robiliście razem Łysą śpiewaczką.

— Ach! Bazar! Balzak! Bazooka! — Wyrzucił ręce w powietrze, deklamując:

Une pierre prit feu Le chdteau prit feu La fóret prit feu Les hommes prirent feu Les femmes prirent feu...'

Przypomniał mi się jego występ w bistro w Battersea, gdy gawędził z kelnerką ze swoim najlepszym akcentem buon-giorno.

— Pamiętam te wersy od czterdziestu lat! — oznajmił z dumą. Potem, jak gdyby coś do niego dotarło, zapytał: — Ale jaki to może mieć związek z twoją wizytą?

Więc mu powiedziałem.

Służący postawił przed nami kolację, nazywając każde danie po kolei. Musiało ich być z tuzin, dla nas dwóch.

— Mój drogi młodzieńcze — rzekł Zafyąue, kiedy skończyłem opowiadać — to niewiarygodna historia.

— Ale prawdziwa.

— To prawda, że Sybil miała romans z Ahudżą. Wszyscy o tym wiedzieliśmy. Ale reszta? Ten

rzekomy szantaż?

— ...też jest prawdą.

une pierre prit feu... (franc.) — kamień się zapalił; zamek się zapalił; las stC zapalił; mężczyźni się zapalili; kobiety się zapaliły

427

— Tak myślisz, i jestem pewien, że mówisz szczerze. N0 dobrze, niech to będzie prawda. Jak ją udowodnisz?

— Nie możemy, bez notatnika, tego, w którym jest nazwisko tego człowieka. Ukryły go Maja i Sybil. Ale możemy stanąć z nim twarzą w twarz.

— Abstrahując od trudności, a nawet, powiedziałbym, niemożliwości znalezienia go... Ale dobrze, założmy, że ci się uda. Co zrobisz?

O to samo zapytała Kąty.

— Phoebe uważa, że powinniśmy wszystko udokumentować i opublikować.

— Czy to nie jest aby walenie na oślep?

— Dlaczego?

— Skandal związany z jej matką. Czy rodzina chciałaby, żeby to odgrzebywać? Co dobrego może z tego wyniknąć, po tylu latach?

— Może pomóc mojej przyjaciółce odzyskać spokój.

— Ta przyjaciółka, Phoebe... Mówisz tak, jakby była ci bardzo bliska. Czy jesteście... wybaczyć, że pytam?

— Nie — odparłem. — Jesteśmy tylko przyjaciółmi.

— Bhalu, prosisz mnie, żebym przypomniał sobie rzeczy, które zdarzyły się pół życia temu. Wielu z tych ludzi nie żyje.

— Jeśli pamiętasz wiersze z tego okresu, to czemu nie ludzi?

— Nigdy nie znałem dobrze Ahudży. Tylko z reputacji. Pamiętam, jak Sybil zaczęła się z nim zadawać, lecz nie wiem, kim były pozostałe kobiety... I jeszcze jedno — rzekł. — Twojej matce odbiło na punkcie tego wątku. Głośne morderstwo, korupcja policji. Próbowwała doprowadzić do nakręcenia filmu. Pisała scenariusz za scenariuszem. Ale niczego nie zwojowała. Nikt nie chciał tego tknąć.

— Scenariusz nosił tytuł Gunah-e-ishq. Był do niczego?

— To była historia, której nikt nie chciał słyszeć... Nie sądzę, żeby coś się zmieniło. Poważnie ci radzę, żebyś dał temu spokój.

Nieco później powiedział:

— Wiesz, jakie było prawdziwe znaczenie sprawy Nanava-tiego? To nie miało nic wspólnego z historią romansu i morder-

428

stwa, którą opisywał „Blitz”. Namiętność! Zdrada! Zazdrość! Cóż to byłaby za sztuka! Gdyby tylko Nanavati zastrzelił najpierw swoją żonę, a potem siebie, mielibyśmy indyjską wersję Otella! Ciekawe, czy pamiętał inną przenicowaną wersję sztuki, z Otellem kobietą w koronkowej bieliźnie, duszącą potężnego, muskularnego mężczyznę Desdemonę.

— W istocie powstał film na podstawie tej historii — ciągnął Zafyau. — Mam go na wideo — pożyczę ci. Ale tak jak wspominałem, prawdziwy sens tej sprawy był inny. Po pierwsze, wyrok przysięgłych uświadomił politykierom, że ławnicy mogą być niebezpieczni, że nie można ich kontrolować. Więc znieśli system ław przysięgłych w Indiach.

— Jeśli nie ma ławników, pozostaje tylko sędzia, którego trzeba wziąć w ryzyko?

— Mamy wielu dobrych sędziów. Dzięki Bogu ten kraj nie jest do końca przegniły. Krążą nawet plotki o jednym czy dwóch szczerych politykach. Ale łapówkarstwo to subtelny problem. Przed pierwszą rozprawą pan sędzia otrzymuje dwie brązowe koperty. Jedna jest od powoda, druga od pozwanego. Sędzia prowadzi sprawę, wydaje sprawiedliwy wyrok. Koperta przegranego zostaje zwrócona, nieotwarta. Pytanie brzmi: czy można to nazwać łapówką?

Wszedł służący i w milczeniu zaczął sprzątać po posiłku.

— ...Druga kwestia. Nanavati został uznany za winnego przez trzy różne trybunały, łącznie z

Sądem Najwyższym. Mimo to ulaskawiono go i wypuszczono na wolność. To podawało w wątpliwość inne wyroki dożywocia. Był taki człowiek nazwiskiem Gopal Godse, który siedział w więzieniu od śmierci Mahatmy Gandhiego. Gopal był młodszym bratem Nathurama, tego, który oddał strzały...

The Case of The Fan-Dancer's Horse. Wielbiciel Perry'ego Masona, Nathuram Godse, który zamordował Mahatmę Gandhiego.

— Od śmierci Gandhiego minęło pięćdziesiąt lat, lecz nienawiść, która go zabiła, dalej robi swoje na tym świecie. Kontrowersje się nie skończyły. Skąd to wiem? Bo w zeszłym roku napisano sztukę o Nathuramie. W marathi. Wywołała

429

wielką tamaasę, bo przedstawiała punkt widzenia mordercy Zakazano jej. Wielu ludzi, ja również, uważa to za błąd. Dziej sztuki nie powinno się zakazywać. Sztuka była niebezpieczna ponieważ wyrażała inną wersję historii. Tę, która nie pasuje do tego, czego uczono nas w szkole, ani do tego, co głosili ze swoich ambon politycy po odzyskaniu niepodległości. Ale właśnie ta wizja historii zaczyna teraz zyskiwać akceptację... Kiedyś Ghandhi-ji był bohaterem. Teraz byłoby ci trudno, przynajmniej w tym mieście, znaleźć dwóch ludzi, którzy powiedzą o nim dobre słowo. Chodzi o to, że ludzie zapominają. Gandhi był przeciwny bigoterii i waśniom etnicznym, stawał w obronie zarówno Hindusów, jak i muzułmanów. Ludzie widzieli to wówczas na własne oczy. Mieli przed sobą jego moralny przykład. Słyszeli, jak przemawia. Co teraz zostało? Obwieszane girlandami portrety w publicznych gmachach? Pochlebstwa kilku pokoleń zepsutych polityków, którzy patrzą tylko swojego interesu i zdradzili wszystko, o co walczył Gandhi. Teraz jego równe traktowanie wszystkich jest uważane za antyhinduskie. Oczywiście, mamy podręczniki historii, ale istnieje coś takiego jak pisanie historii od nowa.

Zafyāque spochmurniał. Przypomniałem sobie, że podczas zamieszek etnicznych w Bombaju w tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym trzecim musiał trzymać drzwi domu zamknięte na żelazną sztabę.

— Nasi dzisiejsi politycy to bardzo nędzna rasa, Bhalu. Większość z nich widzi w publicznym urzędzie sposób na napchanie sobie kieszeni. Dla władzy zrobią wszystko. W Wielkiej Brytanii Enoch Powell wyleciał z hukiem z partii torysów za uwagi na temat rasy. Tutaj każdy łotr, który potrafi wzniecić etniczną wrzawę, może ubiegać się o urząd... Widzisz, rzecz w tym, że Gandhi się mylił. Nie w tym, co mówił i robił — to było szlachetne. Jego błąd polegał na tym, że uważał, iż ludzie znajdą w sobie odwagę i siłę, by za nim pójść. Był też w pewnych sprawach naiwny. W tysiąc dziewięćset trzydziestym, gdy jego zwolennicy wyruszyli za nim w Marsz Solny¹, szli nieuzbrojeni, z gołymi głowami, prosto na szeregi policjantów

¹ Marsz Solny, kampania protestu obywatelskiego przeciwko państwowemu monopolowi solnemu w 1930 roku, prowadzona przez Mahatmę Gandhiego

430

z pałkami... Grad razów powalił ich na ziemię. Ghandhi-ji powiedział, że nie powinniśmy obwiniać policjantów, Hindusów, którzy dopuścili się bicia. Zostali wyprowadzeni na manowce przez swoich brytyjskich mocodawców. Kiedy uzyskamy niepodległość, mówił, policja nie będzie już potrzebna. Społeczeństwo wchłonie policjantów. Między ludnością i policją zapanuje miłość. To chory żart. Należę do organizacji walczącej o prawa człowieka. Kilka lat temu wpadł nam w ręce raport Amnesty International o Indiach. Nie było tam niczego, czego byśmy wcześniej nie wiedzieli. Bicie, tortury, a czasem nawet zabijanie podejrzanych na komisariatach. Gwałcenie kobiet. Kiedy czytałem ten raport, tylko jedna myśl dudniła mi w głowie: Ghandhi-ji, Bogu dzięki, że nie dożyłeś tych czasów i nie usłyszałeś tych historii.

Była pierwsza w nocy. Już dawno powinienem był wyjść. Zafyāque odprowadził mnie do drzwi.

— Przykro mi, że nie mogę ci pomóc... — rzekł, przytrzymując dłużej moją dłoń. — Bhalu, jeśli koniecznie chcesz chodzić i wypytywać ludzi, zwłaszcza o działania policji, bądź ostrożny, proszę cię.

Zapuszczony kwartał, przez który wcześniej szedłem, zaryglował się na noc. Mimo że była pora deszczowa, ludzi spali, owinięci w prześcieradła, na stopniach sklepów. Na charpayach, pod byle

jakimi dachami. Moje rodzinne miasto było olbrzymimi slumsami, w którym bogaci kryją się w bunkrach-pała-cach, a biedni koczują u ich bram.

Koło hotelu jakiś pijak wytoczył się z bramy i ruszył w moją stronę. „Hej, sir! Sir! Chcesz pan dziewczynę? Angloindyjkę? Dziewica!”.

Mój wzrok przykuł szyld nad jego szczerzącą zęby głową. ZAMIESZKAJ W GLORII ORIENTALNEGO SPLENDORU.

Kazałem przynieść sobie do pokoju magnetowid i puściłem kasetę Zafyque'a. Film nosił tytuł Yeh Raaste Hain Pyaar Ke (Takie są drogi miłości). Odtwarzacz, podobnie jak wszystko w hotelu Rudolf, był tak beznadziejny, że aż komiczny — co Zafyque miał na myśli, mówiąc, że hotel jest „podejrzany”?

431

Obraz był niewyraźny, po ekranie skakały zygzakowate ॥ucę zbieżność pionowa szwankowała i obraz co jakiś czas podjeżdżał nagle do góry, lecz w trakcie otwierającej piosenki zdołałem zobaczyć kobietę w białym sari, leżącą u podnóża kapliczki To z pewnością była skruszona żona bohatera, S, zmieniona piórem scenarzysty i magią kamery w szlachetną, choć naznaczoną skazą winy, hinduską niewiastę. Biel żałoby i żalu Lecz jaki żal czuła prawdziwa S, spokojnie składająca zeznanie przed sędzią, uznane przez niego za fałszywe, w obecności przeszytej kulą czaszki byłego kochanka? W jaki sposób zmieniła się tak nagle i gruntownie, z kobiety niemogącej znieść obecności męża w skruszoną, lojalną żonę? Jak mogła znieść widok czerepu Ahudży szczerzącego zęby na jej krzywoprzysięstwo?

Jedna rzecz intrygowała mnie naprawdę. Czemu S postanowiła wciągnąć w to Sybil? Żeby ocalić męża, którego tak rozpaczliwie pragnęła porzucić? Listy Sybil nie mogły go uratować. Czy może wciąż uwierało ją wspomnienie owych ciekawych literacko, irytująco zabawnych listów, które Pan Love z okrutną premedytacją czytał jej na głos? Czy był to po prostu ostatni akt złości? Zdołała usunąć Sybil z życia Pana Love. Przez rok miała go dla siebie. A mimo to on ciągle jej nie chciał. Czyżby winiła za to Sybil? Dlaczego tobie miałoby to ująć płazem, skoro ja cierpię? Czy tak myślała? Czyżby w obliczu katastrofy i hańby postanowiła pociągnąć za sobą Sybil? Cokolwiek chodziło jej po głowie, jakiekolwiek były jej motywy, to, co zrobiła, było odrażająco okrutne. Sybil dość wycierpiała z jej rąk. Nie było potrzeby wciągania w wir drugiej rodziny i niszczenia jej. Z wolna rozpaliał się we mnie gwałtowny gniew. Obraz łoża śmierci Sybil. Klęcząca obok Phoebe. Jej rozpacz. Nie czuję nic oprócz odrazy dla Nanavatic i ich krwawego upadku, pomyślałem. Tak samo jak dla Prema Ahudży. Nie chcę ich więcej w moim życiu. Niech się z niego wynoszą w cholerę. Co mnie obchodzi zazdrośnik z pistoletem i niepohamowaną złością albo playboy z rozpustnym okiem czy pustogłowa suka, która zrujnowała życie tak wielu ludziom? „Myślałaś, że ci się upiekło, prawda?”, spytała S.

432

„Twojemu mężowi się upiekło, ryknąłem do białej postaci na ekranie. Ale już ty przypilnowałaś, żeby Sybil się nie wywinęła”.

Mniej więcej o drugiej otwarto się niebiosa i zesłały na port rześistą ulewę. Arabowie siedzący na nadbrzeżnym murku zaczęli biegać i pokrzykiwać. Wziąłem Ostatni dziennik Sybil, napisany w tym hotelu, może nawet w tym pokoju. Sybil borykała się z nieadekwatnością języka, który nie umiał wyrazić okropności dźwięków atakujących ją z ulicy, cichych nawoływań, przytłumionych głosów; często słyszała swoje imię: „Hej, Sybil mem”. „Och, Sybil mem”. „Och, Killymem”. Tylko że nie mogło ich być, bo nikt nie wiedział, że ona tam jest. Echa, ale czego? Zdjęta trwogą Sybil kulila się w hotelowym pokoju i zakrywała uszy. Nie była w stanie się ruszyć. Nie była w stanie wyjść. Usłyszała chrobotanie u drzwi, jakby jakieś zwierzę drapało w nie pazurami. A potem ciche, naglące pukanie. Na korytarzu stał Shankar, boy hotelowy.

„Czego chcesz?”.

„Wołała mnie pani, madame?”.

„Nie”.

Po paru minutach znów się zaczęło, szur-szur, stuk-puk, stuk-puk. Przykryła sobie głowę poduszką i próbowała zasnąć.

Obudziłem się, wciąż zły. Poranna gazeta przynosiła bogaty samorodek ironii.

O CZYM PISAŁY GAZETY STO LAT TEMU

LONDYN 1899: Zbrodnia namiętności. Straszna tragedia w Banderze koło Bombaju. Kapitan Iremonger z Pułku Lekkiej Piechoty Durhamskiej został postrzelony przez inżyniera nazwiskiem Gregory, pracownika firmy kolejowej Great Indian Peninsular Railway. Pan Gregory zastrzelił następnie swoją żonę, a potem palnął sobie w łeb. Kapitan Iremonger znajduje się w ciężkim stanie. Jak podaje „Central News”, motywem przestępstwa była zazdrość, pani Gregory ciągle przebywała w towarzystwie kapitana.

433

Kiedy Shankar przyszedł zabrać tacę po śniadaniu, zapytałem go, czy pamięta pobyt Sybil w hotelu. — Angielska dama w starszym wieku. To było jakieś sześć lat temu.

Zapamiętał ją, bo była niecodziennym gościem. Anglicy rzadko trafiali do tego hotelu, a tacy starzy—nigdy. Powiedział że siedziała w pokoju. Prawie nie wychodziła. Ludzie dzwonili i zostawiali dla niej wiadomości. Shankar je doręczał. Nie zapomniał jej, bo pewnego wieczoru na jej prośbę przyniósł butelkę whisky. Bardzo się upiła i krzyczała w środku nocy. Niektórzy z arabskich gości się skarżyli.

— Sahib, pamiętam jedno. Kiedy wróciła ze swojej wycieczki, zjawiała się tu policja. Rozmawiali z nią. To było tuż przed jej wyjazdem do Anglii.

— Wycieczki? Jakiej wycieczki? Dokąd się wybrała?

— To też mogę panu powiedzieć — odparł. — Kupowałem jej bilet. Pierwsza klasa na „Królową Dekanu”, powrotny do Ambona z VT.

Zapytałem go o policjantów. Kim byli? Z którego komisariatu? Czy podali nazwisko? Ani przez chwilę nie wierzyłem, że przyszedli z powodu butelki whisky.

Lecz Shankar nie wiedział, nie wiedział, nie wiedział.

— Ta angielska memsahib, który zajmowała pokój?

— Ten, oczywiście! Trzymamy go dla gości nie-Arabów. Ach, więc dlatego sufit był popękany, dywan śmierdział,

a po włączeniu klimatyzacji zaczynało cuchnąć jak zwierzęcą padliną. Później zadzwoniłem do Phoebe, żeby przekazać jej wiadomość. Poza odkryciem, że Sybil wybrała się do Ambona, nic nie wskórałem.

Stuk-puk. Dwie noce później, bardzo, bardzo późno. Stuk--puk. Stuk-puk. To działo się naprawdę. Dźwięki, które przeraziły kiedyś Sybil. Ktoś z całą pewnością pukał cicho do moich drzwi.

„Bhalu, nie śpisz?”.

Wsunęła się do pokoju, bez słowa zdjęła buty i wśliznęła się do mojego łóżka.

434

„Nie gniewasz się, że przyjechałam?”.

Pokręciłem głową. Długo leżeliśmy blisko siebie. Musiała wiedzieć, co czuję; było to tak widoczne, że aż wstyd. Potem się rozebrała, i po chwili jej długie nagie ciało zbliżyło się w świetle wpadającym z ulicy. Weszła do łóżka, lecz nie mojego, tylko do tego, które stało obok.

Wyciągnęła rękę i dotknęła mojego ramienia.

„Bhalu, dasz mi dwadzieścia dłuzków?”.

Frances

— Rozwiązałam tę zagadkę — oznajmiła. — Wiem, gdzie jest notes. Uprzytomniłam to sobie, kiedy do mnie zadzwoniłeś i powiedziałeś, że Sybil pojechała sama do Ambona... Pamiętasz ten dzień, dzień pogrzebu Rosie? Cmentarz w Ambona? W grobie umieściliśmy puszkę. Chciałam oddać Rosie medalik. Każdy coś włożył.

— Puszka została zakopana — wtrąciłem — ale nie z trumną. Położyliśmy ją tuż pod ziemią i przykryliśmy.

— I tam właśnie jest! — wykrzyknęła Phoebe. — One włożyły notes do puszek. To było miejsce, do którego nikt nie ośmieliłby się wtargnąć. Założę się, że mamusia chciała go później zabrać.

Tylko że do akcji wkroczył tatuś i nagle znalazłyśmy się na statku płynącym do Adenu. Właśnie po to moja matka pojechała do Ambona, Bhalu. Żeby wziąć notes. A ja jestem pewna, że nie

przywiozła go ze sobą do domu. Więc jeśli twoja matka go nie zabrała, nadal tam jest!

— Sugerujesz, żebyśmy rozkopali grób?

Dworzec Victoria Terminus może i został przemianowany na Chhatrapati Shivadzi Terminus, lecz jego wygląd i zapach się nie zmieniły. Ostatnio byłem tutaj, kiedy jechałem do Ambona, żeby zobaczyć się z Julą. Teraz Phoebe, w ciemnych okularach, z włosami upiętymi pod chustką, stała obok mnie wśród krzątającej tragarzy i podróżnych. Piliśmy herbatę, prawdziwą herbatę Indian Railways. Ona też, Bogu dzięki, się nie zmieniła.

— Wróciłaś do Indii. Jak się czujesz? — Zzerała mnie

436

ciekawość, co czuje, chciałem wyczytać wszystko w jej oczach. Byłem podekscytowany, że wracamy razem do Ambona, lecz jednocześnie bałem się, że ten powrót zagrozi naszym starym, cennym, pieczołowicie przechowywanym wspomnieniom.

Gromadka małych żebraków zgromadziła się wokół nas, przyciągnięta widokiem firangi, angielskiej damy. Phoebe otworzyła portmonetkę i z uroczystą miną wręczyła każdemu po monecie. Obszarpańcy uśmiechali się w podzięcie, a potem przysyłali do nas swoich braci, siostry, kuzynów i kolegów.

„Wiem, że nie powinnam dawać dzieciom, powiedziała Phoebe. Wszyscy tak mówią prawda?... Masz jakieś drobniaki?”.

Nie dawaj żebrakom. To standardowa mądrość. Możesz litować się nad dziećmi, ale pieniądze i tak zostaną im odebrane. Pracują dla dorosłych, dla gangów, same nic nie dostają. Żeby dać tym dzieciom szansę, trzeba wykorzenić żebractwo. Ale czy to możliwe w kraju, gdzie dawanie jałmużny jest świętym obowiązkiem, gdzie najbiedniejszy naród świata bez skargi utrzymuje populację pięciu milionów wędrownych ascetów? Jest też faktem, że tysiące bezdomnych dzieci pracuje straszliwie ciężko, zbierając łachmany i foliowe torebki, czyszcząc buty i robiąc wszystko, łącznie z żebraniem, żeby zdobyć posiłek. Pamiętałem, z jakim wstydem siedziałem w taksówkach, nie chcąc widzieć błagalnych spojrzeń i małych palców za szybą.

W drodze do pociągu dobroczynność Phoebe została wystawiona na surowszą próbę. Mężczyzna w łachmanach — mógł być pijany, naćpany lub chory — leżał na peronie, sikając przez spodnie; kałuża moczu rozszerzała się pod nim. Nikt nie zwracał na niego uwagi. Phoebe ścisnęła mnie za rękę. Musieliśmy przejść nad żółtą strużką. Mężczyzna jęknął i przetoczył się na bok.

— Bha!u, musimy znaleźć pomoc.

— Nie widzę tu żadnej pomocy. Spóźnimy się na pociąg.

— Ktoś musi być. Idź i poszukaj. Ja przy nim zostanę.

— Phoebe — odparłem — temu człowiekowi nikt nie pomoże. Żaden lekarz do niego nie przyjedzie.

— Więc ty zaczekaj — powiedziała i już jej nie było.

437

Po kilku minutach wróciła z niskim, starszym dżentelmenem z walizeczką. Wyjaśniła, że jest lekarzem. Okazało się, że weszła do zatłoczonej głównej hali, gdzie kupuje się bilety i głośno poprosiła o pomoc.

Lekarz pochylił się nad głową mężczyzny, a potem szybko się odsunął.

— Madame, ten człowiek pił.

Przez ten czas zgromadził się wokół nas zaciekawiony tłumek, komentując i udzielając rad.

„Zostawcie go”. „Nie, trzeba go stąd wyrzucić, flejtucha”.

— Ten człowiek może otrzymać pomoc w J. J. Hospital — powiedział lekarz do Phoebe. — Zapytam, czy można go tam zabrać.

— A pieniądze? Uśmiechnął się.

— Nie, nie, leczenie jest darmowe. Madame, może pani wsiąść do swojego pociągu.

Phoebe przyklękła obok mężczyzny, otworzyła mu dłoń i wsunęła w palce zwinięty banknot.

Lekarz odwrócił się do mnie i powiedział w hindi:

— Proszę ją szybko zabrać. Jest cudzoziemką i narobiła zamieszania, więc policja zaraz tu będzie. Obawiam się, że wyrzucą go na ulicę. Na pewno go stłuką. Ta pani ma miękkie serce, trudno będzie

jej to znieść.

Gdy pociąg sunął przez wschodni Bombaj, wziąłem ją za rękę i powiedziałem:

— Phoebe, jest mi wstyd.

— Niepotrzebnie — odparła. — Jeśli otworzysz się na cierpienie wokół, oszalejesz. Tak powiadają, Bhalu. Ale co robić, jeśli już się oszalało?

Bombaj urósł. Pociąg toczył się obok wielkich, nowych osiedli. Tam, gdzie kiedyś na podmokłym terenie mieszkały tylko skoczki mułowe, stały teraz nowe bloki. Z dala od morza budowano całe nowe miasto. Środek ciężkości przesunął się na północ i starą część miasta, zwaną już południowym Muffl-bai, spotka kiedyś dziwny los odległego przedmieścia.

438

Poza tym, niewiele się zmieniło. Za oknem rozwijał się pejzaż zalanych poletek z szeregami zgiętych w pół kobiet wciskających w muł garście ryżu. Dobrze wiedziałem, jak to jest stać w tym bloku, czuć, jak wciska się miękko między palce. Skraj poletka aż pulsuje od krabów, czarnych i żółtych, wśród lodyg ryżu znajdzie się czasem ryba, której obecność trudno wytłumaczyć. Dwadzieścia sześć tuneli otworzyło się przed nami dokładnie tak, jak zapamiętałem. Potem wydostaliśmy się w światło dnia wśród wzgórz przyodzianych w monsunową zieleń. Olbrzymie urwiska[^] ryczące wodospady. Wreszcie po prawej stronie zamajaczył dobrze znany kształt Książęcego Nosa. Poczulem wzbierającą we mnie ogromną falę radości: to zawsze będzie centrum mojego świata, miejsce, w którym czuję się całkowicie i absolutnie w domu.

Ambona nie do poznania. Miasteczko rozrosło się i sięgało teraz za linię kolejową, a wzdłuż głównej drogi stał szereg dużych hoteli i sklepów. Ryneček ze starymi domami wciąż był na swoim miejscu, lecz stanowił teraz zaledwie narożnik znacznie większego bazaru, rozciągającego się jak okiem sięgnąć. Pomnik króla Jerzego znikł, zastąpił go posąg kobiety z dzbanem na wodę. Alejki zapelniali mężczyźni na skuterach, lawirujący między kałużami. Wieśniaczki, krowy spacerujące w tłumie. Krzątania, handel. Nikogo, kto nosiłby biedę jak rubiny. Phoebe w dżinsach, T-shircie i ciemnych okularach przyciągnęła niewielki tłumek. „Skąd? Skąd?“, krzyczały dzieci.

„Z Indii, odparła. Urodziłam się w Indiach. Jestem Indyjką”.

Chrześcijański cmentarz w Ambona leży przy bocznej drodze biegnącej od bazaru w stronę jeziora. Opadający stok wzgórza z drzewami, zarośnięty do wysokości pasa pełnymi elegancji roślinami ze zwisającymi liśćmi w kształcie łopaty. Zielone światło. Deszcz padający przez korony drzew. Groby zanurzone w morzu liści. Tu i ówdzie marmurowy anioł czy uma stercząca z dżungli. Odgarnialiśmy liście, próbując odczytać nazwiska

439

na płytach nagrobkowych i drewnianych krzyżach. Niektóre miały nazwiska, większość nie. To miejsce wcale nie pasowało do moich wspomnień, choć z pewnością był to ten róg. Lecz teraz wyglądał całkiem inaczej.

Pośród dzikich zarośli stała niewielka kapliczka, zielona od mchu i pleśni. Drzwi były zamknięte na klucz, lecz z tyłu znajdowała się otwarta drewniana szopa. Przy jej ścianach widać było drewniane skrzynki z narzędziami i przyrządami; było też trochę rozrzuconych ubrań. W tylnej części chaty na poczeriałym piecyku naftowym bulgotał garnek. Na środku stał duży drewniany fotel, z oparciem na ręce jak tron. Nagle zza fotela wychynał nagi mężczyzna, który siedział tam w kucki. Był bardzo chudy i bardzo czarny, a jego okrągła twarz jakby chciała się przymilić.

„Chwileczkę, wujku, właśnie brałem kąpiel. O redy! Ciocia też! Thylko założę spodnie. Wejdźcie, wejdźcie. Wujku, madame. Thutaj. Siadajcie thutaj, sir, siadajcie, siadajcie”.

Mówił ze starym, angloindyjskim akcentem, jak rodzice Bena. Nie słyszałem czegoś podobnego od trzydziestu lat. Zniknął znowu i usłyszeliśmy szmer ubrania. Po chwili krzyknął, że ma na imię Frances. Jest dozorcą. Powiedział, że mieszka w tej maleńkiej chatynce.

Kilka minut później podążaliśmy za nim mokrymi ścieżkami wśród grobów, szukając nagrobka Rosie.

— Jakie nazwisko mówiliście, Richards? Mamy Richardsa, o thutaj, przyszedł zeszłego roku. Richards?

— Nie Richards — sprostowała Phoebe. — De Mello. Czterdzieści lat temu.

Na całym cmentarzu płyty i pomniki wyzierały spomiędzy morza wysokich roślin. U ich podstaw rosły dziwne kwiaty, sukulenty, które pamiętałem z dzieciństwa. Spytałem o ich nazwę.

— De kwiały nazywają się gauri, Hindusi je thak nazywają-Kupują te kwiały po dwadzieścia, czydzieści rupii sztuka. Biorą je i używają do pudży. Ganpati pudża, thak, sir... Przepraszam, jakie było to nazwisko, co mówiliście?

— De Mello.

— Proszę pana, pan nie chodzi po gołej ziemi, sir — ostrzegł

440

niejasno Frances. — Padało, padało i padało czy dni, ziemia przesiąknięta, zapadnie się pan. Niech pan thędy idzie, sir, thędy. Czyli to jest De Mello, chodźcie więc, chodźcie thędy. — Ale po kolejnej rundzie wokół grobów, ledwie widocznych wśród wysokich, opadających lilii gauri, nie byliśmy ani trochę bliżej znalezienia starej niani Phoebe.

— Niech pan idzie thutaj, sir, chcę pokazać... — Zatrzymał się przed grobem przykrytym splekanym piachem. — Pan patrzy, sir, to był thaki ładny marmur. Ludzie przychodzą w nocy, przeskakują przez mur, tam siadają, od strony Bori. Zabrali marmur. Jakie do było nazwisko? Na niektórych grobach kopce czerwonej ziemi ghat zostały zmyte przez deszcz, i zostały po nich błotne rzeźby, jak miniaturowe termitiery.

— De Mello.

— Mamy Da Silvę. Pamiętam. Chodźcie, chodźcie. Chyba thutaj. Niedawno przyszła? Thego roku?

— Dawno temu. Prawie czterdzieści lat.

— Dżderdzieści lat, o redy! Była prodestantką?

— Katoliczką.

— Okay, sir, ja poszukam po thej stronie, a wy po thej... Słyszeliśmy, jak przedziera się z hałasem przez zarośla, wciąż gadając:

— Chłopcy przechodzą przez mur od strony Bori. Rzucają kamieniami do owoców. Krzyczę, gonię ich, ale oni uciekają. Pothem wracają i też rzucają we mnie kamieniami.

— Coś z nim nie tak — szepnąłem do Phoebe i ze zdziwieniem ujrzałem nagłą złość na jej twarzy.

— On jest samotny! Jakbyś się czuł, gdybyś musiał mieszkać sam na cmentarzu? Założę się, że nie ma rodziny. Biedak.

— Przepraszam — powiedziałem, całując ją. — Masz więcej współczucia ode mnie. Miałaś rację, sprowadzając pomoc dla tego człowieka na peronie.

— To było coś więcej niż współczucie — odparła. — Ja wiem, jak to jest.

Przypomniałem sobie kasety, Phoebe klęczącą obok łóżka matki. Ten wieczór, jej sypialnia, świece, Kensington, Londyn — wszystko to wydawało się nieprawdopodobnie odległe.

441

— De Mello? Bokser, thak? Jakież piądź lad themu — odezwał się głos Francesa.

— Nie — powiedziała cierpliwie Phoebe. — To była ayah Czterdzieści lat temu.

— Ayah, dżderdzieści lad themu, nawed się nie urodziłem. Ach, musieli ją położyć z kim innym.

— Z kim innym? — zapytaliśmy jednocześnie.

— Jak nazwisko? Da Silva?

— De Mello.

— Och sir, już do mnie idzie, już ją mam. Widziałem ją. De Mello? — Prowadził nas z powrotem w górę po zboczu wzgórza, do nowego miejsca. — Już ją czuję, sir. Thędy, thutaj, przynieśli ją w thym roku, otworzyli inny i ją włożyli. De Mello, ayah, dżderdzieści lad themu. Pan szuka niebieskiego krzyża, sir.

Lecz na grobie, przed którym staliśmy, widniał napis JO-SEPHS.

— Sir, zapydam pisarza w kościele, sir. On ma archiwum. Rano zapydam, sir. Jak długo thutaj zostanieie? Do jutra. Thylko pójdę i zapydam.

Nie mogliśmy znaleźć grobu.

— Jestem pewna, że to było gdzieś tutaj — powiedziała Phoebe, zatrzymując się przed aniołem ze złamanym skrzydłem, pokrytym zielonym mchem i monsunowym śluzem.

— Ja też jestem pewien — potwierdziłem. — Staliśmy tutaj, w jednej linii...

Lecz na grobie było obce nazwisko.

— Co pan miał na myśli, że położyli ją z kimś innym? — spytała Phoebe.

— Co powiedziałem, madame?

— Powiedział pan, że mogli ją położyć z kimś innym.

— Wszystkie stare groby są pozmieniane, madame. Nie ma miejsca. Od jakichś siedmiu, ośmiu lat. Zanim ja nastąpiłem.

Sybil była tu sześć lat temu. Spóźniła się. Groby zostały inaczej rozmieszczone. Bóg jeden wie, co się stało z puszką.

— Co się dzieje, kiedy brakuje wam miejsca? — zapytała Phoebe.

— Każdy ma czy czy lada — odparł Frances. — Powiedzmy,

442

że umieram, madame, i idę do grobu. Czy lada później wujek umiera, otwierają grób i kładą wujka... Po czech ladach ciocia umiera, kładziemy ciocię do tego samego grobu. Dużo miejsca tam jest, madame... Chodźcie, chodźcie, pokażę wam. To najstarsza rzecz, widzi sir, widzi madame, tego anioła ze złamanym skrzydłem? To najstarsza rzecz, z tysiąc osiemset sześćdziesiątego pierwszego.

Poprowadził nas z powrotem obok swojej szopy. Phoebe weszła do środka i rozejrzała się szybko.

— Bhalu! — powiedziała. — Ten biedak pił naftę.

Dzień, który wcześniej jawił mi się jako dzień radosnego powrotu do domu, stawał się czymś zupełnie innym. Wróciliśmy na bazar, pokonani, a za nami ciągnęli tubylcy z rozdziawionymi ustami.

— Zniknął sklepik Batlibhoya — zauważyłem. — Stał w tym miejscu. Pamiętasz? Babu nas przywoził, kupowaliśmy słodczyce.

— Nie pamiętam.

Zanim znaleźliśmy riksę, już bałem się powrotu. Co jeszcze się zmieniło?

— Znasz Abdula Razaqa? — spytałem młodego kierowcę. — Mój kolega, też jeździł czymś takim.

— Przykro mi, nie wiem. To duże miasto.

— Nie było duże, kiedy ja tu mieszkałem.

— Ambona to teraz ważny region turystyczny — wyjaśnił riksarz. — Ludzie zjeżdżają się z Bombaju. Mnóstwo wielkich hoteli. Pięciogwiazdkowych też. Turyści przybywają dla krajobrazów. Dla przyrody.

Lecz co zostało? Kiedy wyjechaliśmy na drogę do jeziora — stare walące się bungalowy z różnymi ogrodami nadal stały — pierwszy raz ujrzałem nasze góry. Widać było linię tamy, a dalej stok Bicchaudy. Monsun zazielenił zbocza, poprzecinane wodospadami. Błyszcząca połać skały znaczyła miejsce, w którym spadła Rosie. Ale góra się zmieniła. Zniknął las.

Nad brzegiem monsunowego jeziora (jeziora Ambona), teraz odgradzonego płotem od mrowia turystów, zatrzymaliśmy się

443

u stóp wodospadu, przy straganie z bambusów i maty, w którym mężczyzna o łagodnych oczach i chuda kobieta siedzieli przy kucnięci obok piecyka. Zamówiliśmy herbatę.

— He kaay ae? — zapytała Phoebe, wskazując na talerz z przekąskami i po swojemu lekko przechylając głowę. Zapragnąłem ją pocałować.

— Zna pani marathi! — zdziwił się mężczyzna. — x0 są vada pau.

Mieli na imię Kali Das i Mangala. Mieszkali w wiosce Arda. On był młodszy ode mnie, tak mi się zdaje. Mógł być jednym z tych malców z zaokrąglonymi brzuskami i z oczami pod-malowanymi proszkiem antymonowym, biegających całkiem nago, przepasanych sznurkiem, którzy zbierali się z kubkami, kiedy Maja przychodziła do wioski z mlekiem w bańce ze znakiem Czerwonego Krzyża, niesionym na drągu przez dwóch wieśniaków z Karvandy. Spytałem, czy pamięta, jak roznoszono mleko...

— Tę kobietę, co przynosiła mleko?—przerwał mi. — Chodziła z ogromnymi bankami, o takimi.
— Wskazał pojemnik wysokości czterech stóp. — Pamiętam — powiedział. — Moja siostra i ja piliśmy to mleko, kiedy byłem mały.

Miałem zamiar powiedzieć im, że tą kobietą była moja matka, lecz z jakiegoś powodu nie powiedziałem.

Phoebe spoglądała na dużą górę po drugiej stronie jeziora, do połowy ukrytą w chmurach.

— Jak się nazywało to wzgórze? — spytała. — Zapytaj Kali Dasa.

— One nie mają imion — odparł.

— Ależ mają — sprostowałem. Znałem ich nazwy, przynajmniej angielskie. Wysokie wzgórze nazywało się Głowa Cukru; była to pozostałość po brytyjskich czasach, gdy w tej okolicy mieszkała niejaka pani Atkinson, która wślawiła się polowaniem na tygrysy. — Są trzy: ta duża to Głowa Cukru, potem jest mniejsza, a dalej Książęcy Nos. — Ileż razy staliśmy na wierzchołku Bicchaudy i spoglądaliśmy przez jezioro, podziwiając widok.

— Nie, nie — zaprzeczył Kali Das. — Są tylko dwie góry. Ta i Książęcy Nos. — W jego ustach nazwa zabrzmiała jak

444

iCsiężynus. Czyżby wszystko mi się pomieszało? Czy naprawdę zupełnie zapomniałem te wzgórza? Ten facet mieszkał tu przez całe życie, od małości. Powinien wiedzieć.

Jadąc riksą do Karvandy i naszego starego domu, rozwikłałem zagadkę. Gdy przejeżdżaliśmy przez wioskę Ardau, Książęcy Nos, z jego zakrzywionym podwójnym wierzchołkiem, był łatwo rozpoznawalny, lecz mniejsze, środkowe wzgórze wyglądało jak wypustka wyrastającej naprzeciwko Głowy Cukru. Z Bicchaudy, nad naszym domem widać było wyraźnie trzy odrębne góry. Kali Das doliczył się tylko dwóch, co oznaczało — to aż niewiarygodne — że nigdy w życiu nie zawędrował na drogę do Karvandy. Albo nie używał oczu. Dlaczego to właśnie jemu, a nie mnie, przypadł w udziale przywilej spędzenia tu całego życia?

Hałaśliwie przetoczyliśmy się skrót, który nazywaliśmy przełęczą Khyber. Droga do Karvandy była kiedyś traktem dla furmanek, wspinającym się pod górę od tego miejsca. Jeśli szło się tędy na bosaka, czerwony piasek pulsował między palcami i obmywał stopy miętko jak talk. Teraz była to asfaltowa szosa, wijąca się stromo szeregiem wąskich jak agrafka zakrętów. Riksza telepała się przez mgiełkę, a właściwie chmurę, po wzgórzach, na których zboczach usadowiły się wygodnie dziesiątki maleńkich, bagnistych sadzawek; unosił się z nich szaleńczy rechot żab. Było tu więcej lasu. Czereda małych bardzo niebezpiecznie kołysała wysokim drzewem. W miejscu, gdzie powinniśmy odbić na wschód i w górę, nowa droga skręcała w innym kierunku i zbliżała się do krawędzi zapierających dech w piersi urwisk naprzeciwko Tygrysięgo Skoku. Pojawiła się polana, punkt widokowy. Kazałem kierowcy stanąć. Chcieliśmy zapytać o drogę. Opadli nas przekupnie, oferując herbatę i bhutty — pieczone kolby kukurydzy, polane sokiem z limony i posypane chili.

— Hataanichjevto — powiedziała Phoebe, wznosząc się na wyżyny swego czaru. Bhutty były przepyszne. Od jakiegoś chłopca dowiedzieliśmy się, że stara droga do Karvandy wciąż istnieje, lecz dochodzi się do niej w innym miejscu. Ostrzegł nas też, żebyśmy uważali na tygrysy.

— Co? Są tutaj tygrysy?

445

— A jak pan myśli, dlaczego to miejsce nazywa się Tygrysi Skok?

— Zdawało mi się, że to tylko nazwa.

— To jest nazwa — powiedział. — Ale właśnie taka, a nie Jeleni Skok czy Wiewiórczy Skok.

— Widziałeś tygrysy? — spytałem.

— Jest jaskinia, tygrysia jaskinia, w urwisku pod miejscem gdzie pan stoi.

— Naprawdę? A ty widziałeś kiedyś tygrysa?

— Pewnie. Ile razy! Nie boję się ich. Przetłumaczyłem to Phoebe, która skwitowała:

— Jest dokładnie taki, jak ty w jego wieku.

Poranna mgła rozproszyła się i od morza nadpłynął jasny, gorący dzień. Ruszyliśmy drogą pod górę, w dole przed nami otwierały się widoki. Wreszcie zjawiała się ona, nasza Bicchauda, strzelająca prosto w błękit, z resztkami dżungli parującymi na jej bokach. Było mniej drzew, więcej

nagiej skały, rozleglejsze pastwiska. Lecz góra wciąż stała. Był też nierówny trakt odbijający od drogi i prowadzący po zboczu w bok, wzdłuż linii drzew...

Poprosiliśmy riksarza, żeby zaczekał, i poszliśmy w milczeniu, zbyt przejęci, by zamienić choćby słowo. Ostatni raz byłem tutaj trzydzieści lat temu. Ale właściwie niewiele się zmieniło.

Brama była zamknięta na kłódkę spinającą zardzewiały żelazny łańcuch. Zarośnięta chwastami, tak jak kiedyś. Spozregłem małe drzewko, które przecisnęło się między prętami. Od lat nikt tu nie mieszkał. To było surrealistyczne. Jakby nic, zupełnie nic się tu nie zmieniło. Kawalek muru odpadł, kiedy się na niego wspiałem. Zmęczone członki, prawie pięćdziesięcioletnie. Jak łatwo na niego wskakiwałem, gdy miałem dziesięć lat. Ale znalazłszy się w tym miejscu, w moim królestwie, znów w głębi duszy byłem sobą.

— Chodź, Fever — powiedziałem, z niewielką szczyptą poczucia absurdalności. Ona zaś wspięła się za mną, już nie kobieta w średnim wieku, lecz moja gibka, zwinna, mała dziewczynka, którą tak kochałem.

446

Zeskoczyliśmy po drugiej stronie w ogrodzie zarośniętym drzewami, całkiem sporymi. Dlaczego ktoś dopuścił do tego, żeby ogród osiągnął taki stan? Wtedy zobaczyliśmy dom: okiennice obsunięte na zawiasach, puste otwory drzwi, dzikie drzewa z dżungli zapuszczające konary do pokoi bez okien, podwórze z lantanami sięgającymi wyżej niż nasze głowy, popękana, pustą sadzawkę.

Co tu się stało? Weszliśmy do środka i stanęliśmy, oniemiałi ze zdumienia. Dom zamienił się w opuszczoną ruinę. Puste pokoje, ściany z plamami od deszczu, kraszący się tynk. Na każdej powierzchni panoszyła się pierzasta, czarna pleśń. W tym domu od lat nikt nie mieszkał.

— Bhalu, spójrz!

W pomieszczeniu, które było kiedyś naszą sypialnią, zostały wyblakłe ślady rysunku na murze. I to nie pierwszego lepszego rysunku, lecz wykonanego ręką małej dziewczynki uczącej się dopiero rysować: stara kobieta z wytrzeszczonymi oczami.

— Bhalu, nikogo tu nie było, od kiedy się wyprowadziliśmy!

Dongri nocą

Karvanda była na swoim miejscu, niewiele zmieniona, nie licząc nowych domów, które zaczynały się pięć w stronę zbocza Dagali. Zauważyłem kilka skuterów zaparkowanych w szopach obok starych drewnianych furmanek i antenę telewizyjną przytwierdzoną do martwej gałęzi wysoko na drzewie mango, na której przysiadł rząd małych zielonych ptaszków. Nad nami wznosiło się wysoko urwisko Kathodiego, nadal gęsto porośnięte dżunglą. Rodziny Juli już nie było. Dhondu zmarł dawno temu, żona poszła jego śladem niedługo potem. Obie siostry wyszły za męża, jedna mieszkała w Mumbai, druga w Pune. Bracia pracowali w Departamencie Leśnictwa w Pune. Dowiedzieliśmy się tego wszystkiego, popijając gęstą herbatę, od starszego mężczyzny, którym okazał się Rameshbhai — nauczyciel, którego poznałem przed tyloma laty. Szkoła nadal funkcjonowała.

— Teraz dostajemy rządowe fundusze — powiedział. — Potrzebujemy ich, bo szkoła jest dwa razy większa niż na początku. Ale pieniądze od twojej matki nadal przychodzą. Ani razu się nie opóźniły.

— Utrzymujesz kontakt z Julą? — zapytałem z nadzieją, pamiętając o jego planach wydawania ambitnych książek edukacyjnych.

— Z Mitrą? Od lat go nie widziałem. Wciąż mieszka w Mumbai, jestem tego pewien. Słyszałem, że wdał się w polityka. Obawiam się, że nie mam jego adresu.

Spytaliśmy o dom i dowiedzieliśmy się, że jest zamknięty i niszczeje, odkąd sięgnąć pamięcią.

448

— Kupił go jakiś ważny człowiek z Bombaju, ale nigdy się tu nie pokazał. Dom rozpada się od lat. Były oferty kupna, ale właściciel nie chce go sprzedać.

Wróciliśmy do Bombaju z poczuciem klęski. Hotel Rudolf i Shankar Czerwona Kropka, który przyglądał się z ciekawością dziwnej parze z paszportami na różne nazwiska, wynajmującej osobne

pokoje, a mimo to od przyjazdu Phoebe śpiącej w jednym, lecz — o ile oko doświadczonego boya hotelowego mogło ocenić — w dwóch łózkach.

— Dwa pokoje, dwie opłaty — rzekł z krzywym uśmiechem. — Moglibyśmy postawić podwójne łóżko w pańskim pokoju.

Moją odpowiedzią był uśmieszek, lustrzane odbicie jego miny.

Kilka dni później, w moim pokoju. Parne popołudnie, otwarte okna, wiatrak na pełnych obrotach. Phoebe leżała na swoim łóżku, oglądając telewizję.

— Phoebe, w dziennikach twojej matki... pamiętasz, był tam opis przyjęcia wydanego przez niejakiego Suba? To musiała być końcówka lat pięćdziesiątych. W dzienniku była długa lista wiktuałów i innych rzeczy.

— Hm? — mruknęła Phoebe, nie odrywając wzroku od ekranu, po którym skakały kształty w jaskrawych kolorach, przy akompaniamencie dramatycznej muzyki. — Patrz, on zmyka!

— Jestem pewien, że był tam wspomniany przemytnik, z którego usług wszyscy korzystali.

— Tak?

— Bądź łaskawa posłuchać mnie przez chwilę, proszę cię. Przekreśliła się i utkwiała we mnie spojrzenie wielkich

oczu. Miała na sobie szorty i top, odsłaniający zagłębienie między piersiami. Była prawie w moim wieku — jak ona, do licha, utrzymała taką figurę? Żałowałem, że nie utrwalilem tej chwili na kliszy. Wyglądała prześlicznie. Łagodne, smutne oczy, szarozielone, jak oczy żony bramina z dawnej epoki.

449

— Zastanówmy się. Nie mamy notesu. Nie mamy nazwisk. Nie mamy nawet zielonego pojęcia, kim były pozostałe kobiety...

— I żadnej nadziei — dodała Phoebe dziecinnym głosem. —

O jejku! Chyba powinniśmy pójść do miłego pana psiemytnika żeby dał Bhalu dwinka?

— Przestań — parsknąłem, zaskoczony tym nagłym atakiem zdzioczenia. — Słuchaj, pomyślałem o innej możliwości. Co znalazła policja w mieszkaniu Ahudży, oprócz listów?

— Damskie majteczki? — zapytała, wciąż tym samym denerwującym głosikiem. — Duzio fikuśnych majteczek? Podwiązki? Sztuczne penisy?

— Znaleźli mnóstwo alkoholu z przemytu.

— Ojejku, ale był z niego niegrzeczny chłopiec.

— Pomyślałem sobie... czy nie jest możliwe, że szantażysta naciskał też na przemytnika?

— Niegrzeczny, niedobry szantażysta, be.

— O ile wiem, wszyscy w tym mieście biorą. Więc można z powodzeniem założyć, że szmugler, kimkolwiek był, już opłacał gliny i sądy...

— Tak? — rzuciła Phoebe, wciąż zerkając jednym okiem na telewizor. — Patrz, on znowu to robi!

— Czy ty mnie wreszcie posłuchasz? Naszego szantażysty by to nie zniechęciło, prawda?

— Słucham? Co by go nie zniechęciło?

— To, że przemytnik już opłacał policję.

— Nie — powiedziała, wracając do swoich wygłupów. — Pan Siatan wcale nie jest grzecznym panem.

— Nie, to skończone bydlę.

— Bhalu jest be, brzydko się wyraził.

— Czy możesz być przez chwilę poważna? Zastanowiła się, a potem pokręciła głową.

— No dobrze! Dość tego! — Wskoczyłem na nią i zręcznymi palcami księgarza zacząłem fiszkować jej zębra.

— Nieee! — wrzasnęła, wijąc się ze śmiechu, nie mogąc złapać tchu. — To łaskoczcie! Przestań! Ratunku!

— Tylko jeśli obiecasz, że będziesz poważna. — Leżałem

450

na niej, przygniatając ją całym ciężarem ciała, zmuszając Oy mówiła cichymi stęknieniami.

— Nie chcę być poważna. Mdli mnie od bycia poważną. Och, proszę! Nie mogę być zawsze

poważna. To mnie zabije.

Znów ją połaskotałem, aż zanosła się histerycznym p5j śmiechem, pół szlochem.

— Ratunku! — wyjęczała. — Niegrzeczny Bhalu-alu! Przestań! Mamusiu!

W jej oczach mignął ciemny błysk, a potem znieruchomiały

— Teraz będziesz słuchała? — wycedziłem przez zaciśnięte zęby.

Szamotała się w milczeniu, zaciekle, wreszcie poddają się i zamarła bez ruchu. Patrzyliśmy sobie w oczy z tak bliska, że bliżej nie można. Nagle Phoebe uśmiechnęła się i poczułem (i) że wsuwa między nas rękę.

— Och, Bhalu — powiedziała dziecinnym głosem — inyślę, że mnie lubisz.

Stoczyłem się z niej na plecy i zamknąłem oczy. Po chwili poczułem, jak jej włosy przesuwają się po mojej twarzy.

— Kocham cię, Bhalu. Naprawdę cię kocham. Położyła głowę na moim ramieniu. Leżeliśmy dhig0 ze

splecionymi ramionami, tak jak zdarzało nam się często w dzieciństwie.

Cały dzień spieraliśmy się, co robić. Ja byłem gotów dać za wygraną i wracać do domu. Phoebe, która dołączyła do mnie później, chciała zostać i szukać dalej. „Ludzie zostawiają ślady”. Jakbym słyszał Maję. Przypomniała mi, że zgłębiałem, cnoć tylko korespondencyjnie, tajniki detektywistycznego fachu. „Na pewno wpadniesz na coś mądrego. Jeśli ktokolwiek może to zrobić, to właśnie ty”. Jej wiara we mnie była denerwująca. Jako dziecko chodziła za mną ufnie po dżungli i po krawędziach urwisk; nigdy nie przyszło jej do głowy, że mogę ją narazić na niebezpieczeństwo. Teraz oczekiwała ode mnie, że przeprowadzę ją przez labirynt Bombaju. Miasto, ogromne, nieprzystępne, drwiło z nas, ilekroć ruszyliśmy się z hotelu. Sama mnogość ludzi — tłoczących się na ulicach, przyczepionych do auto-

451

busów, zwisających z naładowanych pociągów wjeżdżających co minutę na Churchgate, kłębiących się w nabitych ponad miarę mohollach i chawlach — przytłaczała, a mimo to każdy z nich miał swoją unikalną historię, misternie połączoną z historiami innych. Jak miałem wysupłać jeden jedyne wątek, którego szukaliśmy, z tego kłębowiska opowieści, rozciągającego sienie tylko na sześćdziesiąt kilometrów kwadratowych miasta, lecz czterdzieści lat wstecz? W Anglii ten pomysł — że Phoebe powinna znaleźć człowieka, który dręczył jej matkę, i stanąć z nim twarzą w twarz — wydawał się w jakiś sposób logiczny, lecz tu, w Bombaju, czy raczej Mumbaju, zakrawał na beznadziejną naiwność. Nasze poszukiwania były stratą czasu. Popeliłem głupstwo, przyjeżdżając tutaj. Uprzytomniłem sobie, że w gruncie rzeczy przybyłem do Indii, by zaniknąć krąg, zakończyć wygnanie. Jeszcze raz zobaczyć Bicchaudę. Oddech uwiązał mi w gardle, gdy wyboistą drogą pokonywaliśmy kilka ostatnich kilometrów, gdy ukazywały się moim oczom stare, dobrze znane horyzonty, ale rzeczy, które miały mnie uradować — staruszek w przeciwdeszczowym kapeluszu (Phoebe przypomniała sobie, że taki kapelusz nazywa się irrla), spoglądanie w kałuże z maleńkimi rybkami, widok chłopaków z bambusowymi wędkami, przykucniętych nad sadzawkami, w których łowiliśmy sumy — rzeczywiście sprawiły mi wielką radość, lecz była to radość gorzka. Złapałem się na tym, że próbuję objąć tę ziemię w posiadanie na tuzin różnych sposobów. „Pamiętasz to?”, pytałem Phoebe. Podnosiłem kamień i uderzałem nim o drugi, tak że pękał niczym kokos, ukazując kryształowy kwarcu w środku. „Zapach siarki?”. Ale nie pamiętała. Moją tęsknotą — nie była to nostalgia, lecz desperackie pragnienie, by odnaleźć swoje miejsce — wychodziła w rozmowach o nazwach tutejszych gór z ludźmi takimi jak sprzedawcy herbaty Kali Das i Mangala, ze starcem w kapeluszu, którego przywitałem w dawno nieużywanym języku marathi pod pretekstem upewnienia się, że jesteśmy na dobrej drodze, ale naprawdę po to, by poinformować go, że kiedyś tu mieszkałem. Bałem się, że powrót zniszczy wspomnienia, lecz one pozostały — dalekie, niewzruszone, nietykalne. Ten lęk ustąpił miejsca innemu, trudniejszemu do zniesienia, że to miejsce nie będzie miało dla mnie żadnego czaru.

452

A Phoebe, co myślała? Martwiłem się, co może zrobić, jeśli zdołamy jakoś znaleźć szantażystę. To wydawało się teraz niedorzeczne. Nie licząc dziwnego napadu dzieciństwa, od początku pobytu

w Indiach była chłodna i opanowana jak przystało na elegancką memsahib w luźnych džinsach i idealnie wyprasowanych kostiumach, sięgających tuż za kolana. Kiedy brała mnie pod rękę na ulicy, ogarniała mnie duma zaprawiona poczuciem winy.

O Kąty prawie nie śmiałem myśleć. Po pierwszym telefonie zadzwoniłem do niej tylko raz. Była równie niemiała jak za pierwszym razem; uważała, że Phoebe jest ze mną. Od przyjazdu Phoebe nie dzwoniłem, bo nienawidzę okłamywać Kąty. Bezcelowe byłoby twierdzenie, że się jej nie spodziewałem — ucieszyłem się na jej widok — a nieszczerze mówienie, że nic między nami nie ma. Jak mogłem jej powiedzieć, że nie byliśmy ze sobą w łóżku i że ze sobą nie spaliśmy, skoro Phoebe często leżała w moich ramionach i spała w łóżku tuż obok? Czy się kochaliśmy? A czymże są pocałunki i czułe szepty? Wobec naszego szczególnego związku zwykle eufemizmy na określenie seksu zupełnie zawodzą. Jedyną prawdą było obcesowe, wulgarnie stwierdzenie, że się nie pieprzyliśmy. Byłem gotów wrócić do domu, ale najpierw chciałem odnaleźć dawnych przyjaciół. To wspomnienie Dosta nasunęło mi pomysł o przemytniku.

— Usługi Czarnorynkowe? — mówiła Phoebe do wyimaginowanego telefonu. — Czy to pan Mytnik? Halo, mówi pan Szatan z agencji ubezpieczeniowej... Nie, to całkiem inna branża...

Dzwonię w związku z tą nową sytuacją. Pańskie ubezpieczenie jest na wydarzenia z dnia na dzień, tego nie obejmuje. Chciałem właśnie poinformować, że należy się dodatkowa rata.

— Otóż to. Ta sytuacja była naprawdę wyjątkowa, więc czy pan Mytnik nie zapamiętałby pana Szatana? W dzienniku twojej matki Sub wymienia nazwisko przemytnika, z którego usług wszyscy korzystali. Nie pamiętam nazwiska tego człowieka, ale jestem pewien, że jego meta znajdowała się w Char Nuli.

— Co nam to daje?

453

— Char Nuli jest na terenie Dongri. Paliliśmy tam haszysz. To właśnie tam Dost chwalił się, że wszystkich zna.

— A więc — powiedziała Phoebe — wystarczy znaleźć Dosta.

— Włóż coś na siebie. Zabieram cię do Dongri.

Dawno, dawno temu, zanim Anglicy, Portugalczycy czy muzułmanie przybyli do Indii, zanim powstał Bombaj i Born Bahia, zanim wykuto jaskinie Elephanta, było siedem wysp, piekących się w słońcu, soli i ciszy. W czasie przyływu rozdzielało je leniwe morze, lecz gdy woda opadała, sięgały do siebie przez rozgrzane, malaryczne bagno, w którym węgorze wiły się wśród mangrowych zarośli, i przez płaskie grzęzawiska, pełne skoczków błotnych, zadrukowane odciskami ptasich stóp i nóg krabów, jak gdyby one, wyspy, już przeczuwały swój los. Znajdowały się tak blisko siebie, że z odległości półtora kilometra od brzegu widać było tylko nieprzerwaną, falującą gęstwinę palm kokosowych, a pod nią plaże z przechylonymi łodziami rybackimi i schnącymi sieciami.

Siedem wysepek, których pierwsi mieszkańcy, prości rybacy o skórze spalonej przez słońce prawie na czern, nazywali się Kolisami i mieszkali w wioskach, których nazwy opowiadały ich historię: Colaba — „Grunty Koli”, Mazgaon — „Rybie Miasteczko”. Najważniejszym miejscem archipelagu była bardzo stara świątynia bogini Mumba Amma. Bogini, wykuta w kamieniu, miała szerokie oczy, pomarańczową cerę i nie miała ust. Choćby zanurkowało się w największe głębiny języka, by wydobyć znaczenie jej imienia, zawsze sprowadza się ono do perlistej sylaby „Ma”. Od niej wywodzi swą nazwę wyspa, miejsce Mumbamai. Świątynia stała wśród lasków tamaryndowców, pod wzgórzem, które Kolsi zwali po prostu „Wzgórzem”. W ich języku — Dongri.

Życie na wyspach podporządkowane było rytmowi przyływów, które przynosiły, a potem zabierały z powrotem utopione ptaki i morskie węże, morszczyny, kokosy, kawałki drewna, wewnętrzne muszle małw, fragmenty masztów i takie-lunku (tak w ciągu wieków powstał niewielki zbiór mauryjskich

454

monet kharshapana, srebrnych tetradrachm z Bar-Kochby, miedzianych shivrais, znalezionych przez Chhatrapati Shiva-dziego oraz rozmaitych copperoonów, bazarucców, półduiów i picy). A gdy Kolsi pracowali tak w rytm przyływów, łowiąc z łodzi makrele, krewetki, pomfret, seerfish,

orłoryby, wstęgory, mieczniki, tuńczyki, pioszki, kalmary, homary i rzecz jasna niesławne bummallo, królowie, dynastie i imperia przychodziły i odchodziły, niezauważone. Dongri i jego świątynia przetrwały Satvahanów, Chalukiów, Rashtrakutów, Silharów, Yadavów, Ahmadshahów i Portugalczyków. Lecz gdy Anglicy zbudowali swój fort na południowym krańcu świątynnej wyspy, jego najbardziej na północ wysunięty bastion sięgnął do wzgórza Dongri.

Za fortem rozciągała się esplanada, pusta przestrzeń, którą można było zasypać siekańcami i kartaczami w razie powstania; po jej drugiej stronie zaczęło rosnać „miasto tubylców”. Dongri zostało wkrótce wchłonięte. Składy i magazyny zastąpiły tamaryndowce, a tam, gdzie Kolisi szyli swoje łańskie żagle, zjawiły się wysokie statki rejowe. Przybysze z całych Indii otwierali sklepy w wąskich, krętych uliczkach (nadal istnieją i często sprzedają nawet te same towary — opowiadałem to wszystko Phoebe, gdy jechaliśmy tamtędy taksówką). W Dongri i okolicy przybyszami byli zazwyczaj muzułmanie. Hindusi skupili się po zachodniej i północnej stronie. Jeśli chodzi o wydziedziczonych Kolisów, Brytyjczycy zaprzęgli ich do pracy przy budowie dróg przez bagno oraz kruszeniu i transporcie kamieni na falochrony, likwidujące odstęp między wyspami. Godząc się na tę pracę, która prawie doszczętnie zniszczyła ich dawny styl życia, dali językowi angielskiemu nowe słowo. Od tej pory nie było już Kolisów. Stali się kulisami. Bombajskie bazyliki nocą i oślepiający blask świateł. Kazałem kierowcy zrobić przejażdżkę po muzułmańskich mo-hollach i poczułem się jak turysta, pokazując Phoebe rzeczy, które — jak sądziłem — przypadną jej do gustu: kuchenki pod gołym niebem, serwujące biryani i kebaby, męczyzną smaży-

455

cego jalebi na wielkiej patelni. W pobliżu ulicy Masdzid na bazarze Bhendi poprosiłem taksówkarza, żeby zaczekał, i zabrałem ją na spacer zatłoczonymi uliczkami pełnymi kramów, w których sprzedawano buty i ubrania, do budynku, gdzie pracował kiedyś Mitra. Wiedziałem, że drukarni już nie ma — pierwsze, co zrobiłem po przybyciu do miasta, to zajrzałem na żółte strony książki telefonicznej. Na jej miejscu stała klinika weterynaryjna. Jednak w pobliskiej alejce znaleźliśmy warsztat Dawooda Khana, który, jak twierdził Dost, był jedynym krawcem w Bombaju umiejącym skroić koszulę. Dla mnie, spragnionego takich widoków, przechadzka była rozkoszą, lecz Phoebe czuła się nieswojo.

— Ludzie tu głodują.

— No cóż — odparłem — w nocy nie zobaczysz tu wielu cudzoziemców.

— Choop — powiedziała ze strasznym akcentem. Zamknij się. — Nie jestem cudzoziemką.

Wróciliśmy więc do taksówki i pojechaliśmy do Dongri. Kazałem kierowcy zwolnić, gdy zaczęliśmy się zbliżać do Char Nuli. Rozglądałem się za alejką odchodzącą od głównej ulicy. Czy ją rozpoznam po trzydziestu latach? Ulice tutaj były bardziej ponure. Bazyliki ustąpiły miejsca małym prywatnym firmom. Niektóre ze specjalności Dongri: naprawa samochodów, części do skrzyni biegów, wyroby skórzane, papiernictwo, książki relogijne (sic!), artykuły sanitarne, wyszywanie (ozdobne ścięgi), aprowizacja statków, chemikalia przemysłowe (oleożywice korzenne, olejki eteryczne), konfekcja modniarska (eksporterzy dziurek, manekinów, bielizny), dziesiątki firm zajmujących się naprawą dróg.

Mijaliśmy jedną alejkę po drugiej — ciemne luki z drewnianymi rudkami po obu stronach.

Ciężarówki i ręczne wózki zaparkowane na noc. Ta? Nie. Może ta?

— Stop! — powiedziałem do kierowcy.

— Jesteś pewien, że powinniśmy tu wysiadać? — zapytała Phoebe.

Luka szersza niż inne, zwięzająca się nagle w miejscu, gdzie wrzyna się w nią narożnik budynku. To właśnie tutaj przywiązywano liny, żeby zawiesić ekran kinowy, byłem tego pewny-

456

Odprawiłem taksówkę. W tej chwili nie czułem żadnego niepokoju o nasze bezpieczeństwo. Ta ciemna, bezimienna alejka była, podobnie jak Ambona, jednym z magicznych miejsc mojego życia. Tam krąg wzgórz, tutaj — charpayów. Ileż to razy wyobrażałem sobie, jak wynurzam się z mroku nocy i widzę Dosta, siedzącego ze swoim chillum w tamaryndowo--gorzkim obłoku haszyszowego dymu.

Jest! Tam! Moosa! Ukryty w cieniu łuk z wrotami z kutego żelaza. Tu siedzieliśmy na sznurowych łózkach, to właśnie tutaj koza oglądała ze mną film. Latarnia, stała dokładnie w tym samym miejscu, które zapamiętałem. Stara hurtownia naprzeciwko... ale coś się z nią stało. Na jej fasadzie widać było rozmazany ślad od ognia. SAURASHTRA TRADING COMPANY nadal była tam, gdzie kiedyś, lecz jej osmalony szyld prawie zniknął. Teraz napis brzmiał po prostu CURRY... PRZĘDZE.

Nagle uderzyło mnie, że na ulicy nie ma sznurowych łóżek. Nikt nie wyszedł nam na powitanie. Alejka była pusta.

— Bhalu, nie podoba mi się to — oznajmiła Phoebe. — Możemy sobie stąd iść?

— Nie wiem, co się tutaj stało—odparłem.—Zapytam kogoś.

— Proszę! — powiedziała Phoebe, pociągając mnie za rękę.

— Hej! Tak? Czego szukacie? — odezwał się głos z bramy. Chudy mężczyzna mniej więcej w moim wieku. Phoebe wciąż mnie ciągnęła. Wyjaśniłem, że szukam przyjaciela, którego nie widziałem od dawna.

— Mieszkał tu? Jak się nazywa?

Podanie jego prawdziwego nazwiska, Mohammed Khan, byłoby mniej więcej tym samym, co szukanie w Londynie Petera Smitha.

— Przyjaciele nazywali go Dost — odparłem. — Spotykaliśmy się na tej uliczce. Lata temu.

— Naprawdę? — spytał mężczyzna, gapiąc się na Phoebe, która nie rozumiała, co mówimy. — Co tu robiłeś?

. — Piliśmy herbatę. Gawędziliśmy, prowadziliśmy dyskusje... byliśmy studentami.

— Ach rozumiem — rzekł grzecznie. — Gdzie? Wskazałem w stronę ciemnej bramy Moosy.

457

— Hm, nie wiem. Przykro mi. Przyszła mi do głowy pewna myśl.

— Czy za rogiem wciąż jest herbaciarnia?

— To jest miasto herbaciarni.

Kafejka Dżam-i-Dżam (Puchar Dżamshidu), należąca kiedyś do wujka Dosta, nie zmieniła się. Pamiętne posiłki, które tu jadłem w czasie wojny, gdy w mieście obowiązywało zaciemnienie i wyły syreny, gdy siedzieliśmy niczym kamienni mis. tycy, obserwując pomarańczowe bąble rac wznoszące się powoli w ciemność. Ale nikt nie pamiętał Dosta. Zebrał się wokół nas mały tłumek, nim stało się jasne, że nikt nam nie pomoże. Adda odeszła w przeszłość. Nie mogłem znaleźć moich przyjaciół.

Dost

(Bombaj, lipiec-sierpień 1999)

Kilka metrów dalej stała zaparkowana taksówka z kierowcą drzemającym na tylnym siedzeniu.

Bombaj jest pełen taksówek. W Sewri, gdzie taksówkarze zbierają się na noc w stada jak kury na grzędzie, szeregi zaparkowanych wozów mają po osiem kilometrów długości. Kazałem szoferowi kierować się w stronę Mahalaxmi, mniej więcej w przeciwną stronę niż nasz hotel. Nie chciałem wracać do Apollo Bunder, siedzieć i rozmyślać. Nasza ostatnia porażka wydawała się najbardziej przygnębiająca. W zachowaniu ludzi, z którymi rozmawialiśmy, było coś dziwnego —

rozbawienie? bezczelność? arogancja? Będziemy wypytywali nadal, powiedziałem Phoebe, w innej knajpie z mojej młodości, w addzie nad brzegiem, koło grobowca Hadżiego Ali. Lecz wiedziałem, że nie znajdziemy ani śladu Dosta.

— Niech pan jedzie via Zaveri Bazaar — rzuciłem do kierowcy, dzięki czemu sunęliśmy w ślimaczym tempie przez małe alejki zapchane wózkami, rowerami i ludźmi, aż znaleźliśmy się w dzielnicy złotników.

— Proszę tu stanąć na chwilę.

Ponad gąszczem dachów i wiat wznosiła się różowo-biała wieża hinduistycznej świątyni.

— Świątynia Mumby. Tutaj ją odbudowali po tym, jak pierwsza została zburzona.

— Dlaczego ją zburzono?

— Anglicy — odpowiedziałem, zupełnie niepomny faktu, że dotyczyło to także przodków Phoebe (rodzina Killigrew była w Indiach od początku osiemnastego wieku). — W głębi duszy zawsze bali

się nas, tubylców. Uśmiechnięte twarze,
459

a w nocy tasaki. Byliśmy przebiegli, zdrażliwi, podstępni absolutnie niegodni zaufania. Dlatego oczyszczili teren wokół fortu. Żeby artylerzyści mieli wolne pole ostrzału w razie zamieszek. Świątynia Mumby stała właśnie w tej strefie, na esplanadzie. Zburzono ją, żeby zrobić miejsce dla jakichś fortyfikacji. Mumba Devi przeniosła się tutaj i już została.

— Skąd to wszystko wiesz?

— Jestem bukinistą. Co innego mam do roboty przez cały dzień, oprócz czytania?

Poprosiliśmy taksówkarza, żeby poczekał, i zrobiliśmy sobie spacer ulicą Mumbadevi: stragany obwieszane różańcami z koralików rudraksh — Srinudzi czułby się tu jak u siebie w domu — i plakatami tryskających radością bogów i bogiń. Sziwa o księżycowych brwiach. Kali w płasie zwycięstwa na bezgłowym trupie. Musiałem widzieć ten wizerunek setki razy, ale nigdy wcześniej nie zauważyłem, że odcięte głowy w jej naszyjniku są wyłącznie męskie. Na straganie z kwiatami przy bramie świątyni — jaśmin, nagietki, róże, lotosy — kupiłem girlandę z jaśminu i zawiesiłem Phoebe na szyi niczym potrójny naszyjnik z pereł.

W roku tysiąc osiemset osiemdziesiątym ósmym, jakieś sto lat po zburzeniu pierwotnej świątyni — mniej więcej wtedy, gdy pewien wzburzony Anglik poprawiał rękopisy swej futurystycznej fantazji Indie w 1983 roku — miejsce, gdzie stała, zaroilo się od kulisów dźwigających bambusowe drągi na rusztowania, marmury, ozdobne płytki, witraże, metal i cegły. Tam, gdzie od niepamiętnych wieków bogini rozdzielała swe rybie błogosławieństwa, wybudowano dworzec kolejowy i nadano mu imię Wielkiej Matki Zza Mórz. Victoria Terminus. VT. Później został przemianowany na Chhatrapati Shivadzi Terminus przez tych samych polityków, którzy w dążeniu do stworzenia na nowo brakującego fragmentu historii, do wypełnienia historycznej luki, nadali miastu imię bogini. Addy przy Hadzi Ali też już od dawna nie było. Nikogo tam nie znaleźliśmy, oprócz paru żebraków i strumienia wiernych,

460

wracających groblą z nadmorskiego meczem, gdzie właśnie skończył się ostatni tego dnia namaaz. Fale załamywały się u ich stóp. Wyglądali tak, jakby szli po wodzie.

Usiedliśmy na nadbrzeżnym murku i patrzyliśmy, jak woda pieni się wokół dargah Hadzi Ali. Biały marmur na tle niespokojnej ciemności.

— Masz ochotę pójść gdzieś na kolację?

Pomyślałem, że zabiorę Phoebe do jakiegoś małego lokaliku na bazarach, kafejki takiej jak Dżam-i-Dżam, gdzie usied-libyśmy przy stoliku na ulicy i zjedli coś pikantnego na gorąco.

Phoebe pokręciła głową.

— Jestem zmęczona. Ale mogę tutaj posiedzieć. Piękny jest ten meczet.

— Tak. — Czy pamięć płatała mi figle, czy ta wspaniała, stara budowla była kiedyś zeszepecona olbrzymim neonem reklamującym CIASTECZKA SHALIMAR? — Naprawdę cennych doświadczeń nie da się odtworzyć ani się nimi podzielić. Nie powinno się nawet próbować. To niemożliwe.

— Czemu to mówisz? — spytała, zapalając papierosa. — Tak smutno to zabrzmiało.

Opowiedziałem jej o kolacjach w Dżam-i-Dżam, które tak dobrze pamiętałem, przyjemności siedzenia na ulicy... — Ale ty byś tak tego nie odebrała. Zirytowałyby cię to. Ludzie by się gapili. Nigdy nie zrozumiesz, jak to jest.

— Już rozumiałam — odparła. — To było w tej historii, którą dałeś mi do przeczytania. O tobie, Juli i Doście... Ona działa się w miejscu, z którego właśnie wróciliśmy.

— Tak, a ty zobaczyłaś tam tylko przygnębiający, niebezpieczny zaułek. Jak mogę przywrócić to wszystko do życia i pokazać ci, jak było naprawdę?

— Zrobiłeś to. Napisałeś o tym.

— Takich rzeczy nie da się ująć w słowa. Trzeba je poczuć samemu.

— Nie mogę przeżyć twoich wspomnień — zgodziła się Phoebe. — Nie oczekuję, że ty przeżyjesz moje.

Chciałem, żeby powiedziała znów, tak jak przedtem, „kocham cie_”, ale ona siedziała na murku,

pałac papierosa i spoglądając

461

w morze, gdzie w oddali, na horyzoncie zagubionym w mroku nocy, błyszcząły światła statku. Kilka dni później sam wróciłem wieczorem do Rudolfa, wyczerpany włóczęgą uliczkami Dongri, zachodzeniem po drukarni i lokali wszystkich partii politycznych, jakie przysły mi do głowy, i pytaniem, czy ktoś zna Shambhumitrę Kashele, alias Mitrę, który był kiedyś naszym przyjacielem, Julą. Zamówię herbatę, pomyślałem, a potem pójdę odwiedzić Phoebe w jej pokoju. Przez kilka ostatnich nocy spała u siebie.

W recepcji jak zwykle słychać było pogawędki ubranych na biało Arabów. Spostrzegłem wśród nich rosłego faceta o nalanej twarzy, który przypatrywał mi się, gdy wchodziłem. Nie był Arabem. Jego koszula, rozpięta do połowy piersi, odsłaniała złoty łańcuch spoczywający w gęstwinie włosów. Kiedy nieznamy składał gazetę, błysnęło kilka sygnetów.

— Sir, ten pan czeka — powiedział recepcjonista.

— To on? — spytał mężczyzna wstając, po czym gruchnął rozgłośnym śmiechem. — Nigdy, przenigdy. Ani mowy nie ma. Nie wierzę.

— Przepraszam, pan mnie szuka?

— Uu, ale się z ciebie zrobił angielski dżentelmen.

— Czy ja pana znam?

— Chcesz powiedzieć, że mnie nie poznajesz?

— A powinienem?

— Powiem tak — odparł — gdybym nie był obrzezany... Recepcjonista, zbity z tropu tym ostatnim zdaniem, zdziwił

się niezmiernie, widząc, jak pędzę i obejmuję nieznanego, który rozłożył szeroko ramiona w serdecznym powitaniu.

— Jak mnie, u licha, znalazłeś? — spytałem, gdy znaleźliśmy się w moim pokoju i stanął przed nami czajnik z herbatą.

— To nie ja cię znalazłem, tylko ty mnie — odparł Dost, rozglądając się po nędznym umeblowaniu. — Co ty tu robisz, Bhalu bhail Nie wiesz, że to dość podejrzane miejsce?

— Ale ja nie mogłem cię znaleźć — powiedziałem. — Próbowałem od kilku dni. Poszedłem do Moosy, ale wszystko wyglądało inaczej. Co tam się stało?

462

— Później, później — odrzekł Dost. — Najpierw powiedz, gdzie ona jest?

— Ona?

— Twoja dziewczyna! Albo żona, wybacz... Blondynka z nadaśaną miną o której wszyscy mówią.

— Skąd wiesz? Kim są wszyscy?

— Elita koneserów herbatki, która przesiaduje w lokalu mojego wuja. Tylko że to już nie jest jego lokal.

— A czyj?

— Mój.

— Twój?!

— Mój — powtórzył, najwyraźniej dobrze się bawiąc.

— Ale ja tam byłem i pytałem o ciebie...

— Oczywiście, że pytałeś. To była najciekawsza rzecz, jaka zdarzyła się tam od lat. Już straciłem rachubę, ilu facetów podchodziło do mnie mimochodem, żeby powiedzieć: „Dost miyah, twój stary kumpel przyjechał z Anglii z...” — Tu nakreślił w powietrzu kształt klepsydry.

— Musiałem zapytać ze dwudziestu ludzi. Nikt cię nie znał.

— Nikt mnie nie znał? Wszyscy znali! Większość przechodniów na ulicach by mnie znała.

Mieszkam w tej okolicy całe życie. Cała moja rodzina tu jest. Oczywiście, że mnie znają.

— Ale...

— ...Ale nie mówią ci tego, co? Spójrz na siebie, Bhalu. Przychodzisz do Dongri. Czy wyglądasz jak Dongń-wallah"? Nie! Czy w ogóle wyglądasz na bombaitę? Nie! Jesteś przybyszem z kosmosu. Marsjaninem! Spójrz na te spodnie, na te buty. Twoja twarz ma normalny brązowy kolor, ale

wszystko inne krzyczy cudzoziemiec*. (Ostatnie słowo było angielskie, poza tym Dost mówił w urdu).

— A do tego jest z tobą ta kobieta. Czy mógłbyś przejść obok takiej babki, nie spojrzawszy na nią? Nie, bo ma różową skórę, włosy koloru masła i niebieskie oczy...

— Zielone — przerwałem ze śmiechem. — Ona jest tego absolutnie pewna.

— Kolor zielony bardziej mi się podoba — rzekł Dost. — Więc ty i zielone oczy zwróciliście już uwagę każdego durnego °biboka w okolicy. No dobrze, nic wielkiego. Moglibyście być

463

parą turystów, ale... co robicie? Wypytujecie o mnie. Moharn-med Khan, zwany kiedyś Dostem — cóż, to było w czasach mojej młodości, drogi przyjacielu, w czasach pełnych niedyskrecji i rzeczy, o których najlepiej zapomnieć. Mimo to z czystej ciekawości mogli cię do mnie przyprowadzić, ale wtedy ty przechodzisz samego siebie. Aapne saari duniya-jahaan mein dondipitwa di (walisz w bęben na cały świat), mówiąc: „Spotykaliśmy się kiedyś z Dostem tam, za rogiem”. Nie za jakimś tam pierwszym lepszym rogiem, lecz za tamtym rogiem, otam, wtej alejce. A potem, jakby tego było mało, informujesz wszystkich: „To miejsce należało do faceta nazwiskiem Moosa Ali”. — Dost zaczął się śmiać. — Ale to jeszcze nic, bo powiedziałeś bratankowi Moosy, że prowadziliśmy kółko dyskusyjne. — Dost ryczał ze śmiechu, aż jego oczy zrobiły się mokre od łez.

— Arre bhai, ty zawsze byłeś bhola Bhalu.

— A więc — rzekł, uśmiechając się. — Opowiadaj. Stary przyjaciel! Przez chwilę nie mogłem wydusić słowa.

Wezbrała we mnie słona fala i znieruchomiała, gotowa się wylać. Opowiadać? Co mogłem opowiedzieć? Dost zdawał się rozumieć, co czuję, bo przez dłuższą chwilę tylko siedzieliśmy i uśmiechaliśmy się do siebie.

— Jakajesttwojahistoria? Dokąd pojechałeś? Co się zdarzyło? Historie zaczynają się, zanim się zaczyną. Błękitny pokój.

Kalendarz z Ganeszem na ścianie. Policjant w cywilu, który mnie przesłuchiwał.

— Pamiętasz tę noc, kiedy nas aresztowali? Zacząłem mu opowiadać, co było potem: o moim życiu

w Anglii, o Kąty, o bliźniaczkach, straconych latach, antykwariacie. Dost słuchał uważnie, rzadko mi przerywając, tylko gdy czegoś nie rozumiał.

— Ta księgarnia — powiedział — jeśli na siebie nie zarabia, to jaki z niej pożytek?

— Jestem szczęśliwszy, odkąd przestałem zarabiać pieniądze

— Tutaj ten rodzaj szczęścia może zabić. Znasz pierwsza regułę życia w Bombaju... Agodar potoba, nantar yitthoba!

464

Najpierw Pan Brzuch, potem Pan Bóg.

— Widzę, że stosujesz się do swojej rady — zauważyłem, wskazując kameez napięty na jego brzuchu. A był to całkiem spory brzuszek. Najwyraźniej Dostowi nieźle się powodziło. Błysk złota na szyi i na palcach.

— Trzeba czasu i pieniędzy, żeby taki wyhodować — odparł, klepiąc się po Panu Brzuchu. — Po małżeństwie, po dzieciach, przestałem się wygłupiać. Ustatkowałem się. Przejąłem Dżam-i--Dżam... będzie jakieś piętnaście lat. Teraz mam dwie restauracje. I trochę interesów na boku.

— Obawiam się, że ze mną jest dokładnie na odwrót — powiedziałem. — To Kąty zarabia pieniądze w naszym domu.

— Więc ona nie jest twoją żoną.

— Oczywiście, że jest — odparłem, zaskoczony.

— Twoją żoną jest Kąty, która została w domu — sprostował cierpliwie Dost. — Więc kim jest ona, ta druga kobieta, z którą jesteś tutaj?

— Tylko przyjaciółką. — Jeszcze nie poruszyłem tematu Phoebe.

— Tylko przyjaciółką? Ale podoba ci się jak diabli, co?

— Dlaczego tak myślisz?

— Bo jeśli nie, przyjacielu, to czemuś zabrał ją do Hadzi Ali i siedzieliście tam na murku,

trzymając się za rączki jak młodzi kochankowie? A w drodze powrotnej do hotelu otoczyłeś ją ramieniem i nazwałeś darling!

— Skąd to wszystko wiesz?

— Wzięliście taksówkę spod kawiarni... Mój kuzyn Murad. Angielskiego nie kuma ani w ząb, ale naoglądał się dość filmów, żeby rozumieć słowo darling.

Przypomniałem sobie, że kiedy odeszliśmy od Hadzi Ali, ta sama taksówka zatrzymała się za nami i kierowca powiedział, że miał przecucie, że będziemy chcieli jeszcze dokądś pojechać. Wtedy nawet się nad tym nie zastanowiłem. Taksówkarz jak każdy inny, liczący na zwyczajowy napiwek od turystów.

— Co u Mitry? Często go widzisz? Nie możemy się doczekać spotkania z nim. Phoebe nie widziała go od czasu, gdy

465

wszyscy mieliśmy mniej więcej po dziesięć lat. Wtedy wołaliśmy na niego Jula... — Trajkotałem beztrudno, lecz po chwili zauważyłem, że Dost słucha w milczeniu.

— Nie kolegujemy się już — rzekł wreszcie. — Wiele się zmieniło.

— Co chcesz przez to powiedzieć? Mitra się zmienił? Na twarz Dosta wypłynął uśmiech.

— Czy on w ogóle się kiedyś zmieni? Wciąż jest tym samym poważnym, zasranym muchomorem, który wziął sobie na ambit, żeby naprawić świat. I nadal ma tę bliznę na ramieniu.

— Więc co...?

Dost westchnął, rozkładając ręce.

— Trudno wytłumaczyć... To nie Mitra. Bombaj się zmienił. Polityka wciska się wszędzie. Jak pleśń. Rujnuje wszystko, czego dotknie.

— Nie rozumiem. Słyszałem, że Mitra wciągnął się w politykę, ale jak to mogło wpłynąć na waszą przyjaźń?

— Ty naprawdę mieszkałeś na Marsie — stwierdził Dost. — Czy do was do Anglii nie docierają wiadomości? Naprawdę nie wiesz nic o tym, co...?

Zanim zdołał precyzyjnie określić charakter i rozmiary mojej ignorancji, rozległo się pukanie do drzwi. Weszła Phoebe, ubrana w wieczorową suknię, utrzymywaną, jak się zdawało, tylko przez jej oddech.

— Mam dość obijania się po slumsach! — oznajmiła, pokazując w piruecie tył sukienki, opadający do talii. — Dzisiaj idziemy tam, gdzie menu jest po francusku... — Zatrzymała się na widok nieznanego, który podniósł się niepewnie.

— Phoebe! Zgadnij kto to jest!

Stali, gapiąc się na siebie. Wyobrażałem sobie to spotkanie wiele razy, lecz nigdy nie przyszło mi do głowy, że między nimi będzie taka przepaść. Nie pamiętałem też o tym, że żadne z nich nie mówi w języku drugiego, więc kiedy krzyknąłem: „To Dost!”, zdziwiłem się, widząc, że Phoebe zrobiła krok do przodu, wyciągnęła rękę i powiedziała, zgodnie z najbardziej absurdalną angielską manierą: How do you do?

Zahe kismet! (Cóż za szczęście mnie spotyka!), odparł skonfundowany Dongri-waZ/a/i. Chciał dotknąć ręką swojej piersi,

466

ale jego dłoń zastygła w trakcie tego ruchu i niepewnie wyciągnęła się na spotkanie ręki Phoebe: przedziwny widok dwojga moich starych przyjaciół, próbujących zharmonizować swoje rytuały powitalne, znaleźć wąskie przejście, które otworzyło się między ich światami.

Zacząłem tłumaczyć Phoebe, jak Dost nas znalazł, a on tymczasem stał, wyglądając dziwnie nieśmiało.

— Więc taksówkarz był twoim kuzynem! — zawołała Phoebe.

— Przykro mi, nie mówić za dobrze angielski — odrzekł w tym właśnie języku.

— Jest lepszy niż mój hindi! — To była wypróbowana odpowiedź Phoebe.

— Bha! opowiedział mi o tobie. Poznać cię to dla mnie bardzo przyjemność... Bha! (do mnie, w urdu), to straszne, nie umieć się należycie wysłowić. Ona musi mnie uważać za wieśniaka. — Do Phoebe, od której biustu jego wzrok nie mógł się odkleić: — Proszę, ty weźmiesz jedzenie...

kolację... w moim lokalu...? — Do mnie: — No, chłopcze, mój samochód stoi na zewnątrz. Jesteście oczekiwani, wszystko przygotowane. To będzie noc... — Do wahającej się Phoebe: — Więc ty chodź, proszę? Teraz idziemy.

Spojrzała na mnie. Skinąłem głową.

— Dziękuję — powiedziała. — Z przyjemnością.

Nie chcąc wprawiać jej przy nim w zakłopotanie, powiedziałem: — Il faut que tu te change. Ta dicolletage est deli-cieuse, mais pas appropriate1.

— Et ton francais — warknęła Phoebe. — Ne s'est pas ameliore depuis l'scole! On ne dit pas „appropriate”, c'est „approprié”. Alors moi, je le suis toujours!...2. Przepraszam na chwilę — powiedziała do Dosta i wyszła z pokoju. Kiedy drzwi się za nią zamknęły, Dost parsknął śmiechem i klepnął mnie w ramię.

1 Il faut que tu te change... (franc.) — Musisz się przebrać. Twój dekolt jest apetyczny, ale niezbyt odpowiednio

2 Et ton francais... (franc.) — Jak twój francuski. Nie poprawił się od czasów szkoły. Nie mówi się „odpowiednio”, tylko „odpowiedni”. Ja się zawsze zachowuję odpowiednio

467

— Yaar, tumne kamaal kiya! Kya maal laaye ho! (Chłopcze, przeszedłeś samego siebie. Aleś przywiózł towar!).

Była ósma, na dworze ciemno. Światła statków na czarnej portowej wodzie. Silna ulewa oczyściła powietrze, które było, jak na Bombaj, prawie chłodne. Dost, który podniósł trzepnięciem palców kołnierz i założył ciemne okulary, poprowadził nas na dragą stronę ulicy. Przy nadmorskim murku stała zaparkowana taksówka, a w niej, na tylnym siedzeniu, drzemała znajoma postać.

— Twój szofer?

— Komu potrzebny samochód, kiedy w moholli są taksówki?

— Mogłem się domyślić — powiedziałem z wielką ulgą. Dost może jest twardy i cwany, Dongri-vra//a! od podniesionego kołnierzyka po czubki błyszczących kamaszy, ale w jego obecności o nic nie będzie trzeba się martwić. Załatwione. Hosakta hai. Da się zrobić. W domu Zafyque'a miałem wrażenie, że gospodarz jest równie bezradny wobec naszej misji jak ja sam. Dost nie będzie musiał się zastanawiać, co zrobić, on będzie wiedział. To było jego miasto.

— To jest Murad... Murad bhai, to są moi przyjaciele.

— Salaam aleikum — rzekł kuzyn Murad ze znaczącym uśmiechem, gdy darlingija wsunęliśmy się na znane już fotele. Phoebe przebrała się w długą spódnicę i bluzkę pod samą szyję, która nadawała jej wygląd rozwiązłej dyrektorki szkoły. — Memsahib, weź z powrotem. — Murad odwrócił się i wcisnął jej w dłoń zwitek rupii. — Nie, nie, nie — powiedział, kiedy zaprotestowała. — Mojego brata przyjaciel. Nie płacić.

— Więc Phoebe, pierwszy raz przyjechać Indie? — spytał Dost.

— Urodziłam się tutaj — odparła.

— Urodzić India? Czemu wyjechała? Czemu nie została? Po troszeczkę, przy moim pośrednictwie, zaczęła się wyłaniać

historia. Z każdym nowym szczegółem Dost był coraz bardziej zachwycony.

— Dziecięca miłość? Spotkać się po tak wielu latach? Tak samo jak filmowy romans.

— Bhalu nie jest ani trochę romantyczny — sprostowała

468

Phoebe. — Poprosiłam go, żeby wybrał się ze mną do Indii, a on powiedział „nie”!

— Powiedziałeś nie?

— Tak powiedziałem. Dost parsknął śmiechem.

— Yaar tu kab sudhrega? (Kiedy ty się poprawisz?). Więc przybrałaś odpowiednią pozę i powiedziałaś: „Nahi, main nahi aaunga”. (Nie, nie pojedę). A potem i tak pojechałaś. Wiesz, kogo wy dwoje mi przypominacie? Jest taki film, widziałeś go? Dilwale Dulhaniya Le Jaayenge.

Tłumaczyłem Phoebe:

— Przypominamy mu parę z filmu. Tytuł można przetłumaczyć jako Wierne serce zdobywa pannę młodą.

— Opowiedz fabułę, proszę cię — błagała Dosta.
— Ja powieźć Bhalu, Bhalu powieźć tobie. Ale Phoebe nie chciała o tym słyszeć.
— Twój angielski jest doskonały. Ty mi opowiedz.
— No dobrze, więc to jest fillim Yasha Chopry. Dilwale Dulhaniya Le Jaayenge jest — kya kahte hain (jak to się nazywa?) — megahitem! Ten fillim był kręcony w Europa pierwsze pół i drugie pół w Pendżab. Nasz aktor bohater Shah Rukh Khan gra chłopca Radź, a aktorka Kajol... — (Do mnie, na stronie, w urdu: „Mój Boże, ta Kajol, co za flir-ciara!)... — Kajol gra dziewczynę Simran. Obydwoje mieszkać w Anglia.
Kiedy tak mówił, mężczyzna w średnim wieku gdzieś zniknął i Dost znów był sztubakiem sprzed trzydziestu lat, który miał kręćka na punkcie filmów.
— Więc Radź błądzi w życiu i wyjeżdża do college'u w Cambraj z długi wysoki dżin, bardzo szybki. Nie jest dobry facet... aankhen-milaana, usko kya bolten hain?... dzięki... flirtować z dziewczynami i się bawić. Simran jest bilkul aap jaise, ładna dziewczyna... taka jak ty, czeka, żeby spotkać faceta marzeń.
— Co to jest ten długi, wysoki duch? — Dost użył słowa lambu-dżinni.
— Wóz, brachu. Lambu-dżinni to szybki samochód.
— Lamborghini — sprostowała Phoebe.

469

— Tych dwoje, dziewczyna Simran i chłopak Radź, on nie zna jej, ona nie zna jego, idą zobaczyć pahadon... góry... w Szwajsaria. Jedna szansa na masa ludzi spotykają się w pociągu. Ona się nim chyba nie interesować. Prosi Radża ty przyjeźdź na moje shaadi, ślub, w Indiach. On mówi jej, jak Bhalu mówi ci: Nahi, main nahi aunga. Z tego ona wie, że on w niej zakochany.
— Och! — zawołała Phoebe. — To po tym się poznaje?

Dżam-i-Dżam

Wyjechaliśmy z Apollo Bunder i minęliśmy hotel Tadź, ulubiony lokal tych, którym zdaje się, że rządzi miastem, by wrócić do miejsca, gdzie miasto się zaczęło. Ruszyliśmy na północ przez stary fort obok VT (CST), gdzie pierwotnie stała świątynia Ma, z powrotem do dzielnicy bazarów, nazwanej od wzgórza, zwanego przez Kolisów „Wzgórzem”, i wróciliśmy do Dżam-i-Dżam, gdzie tym razem amatorzy herbaty i stali bywalcy tłoczyli się, żeby nas przywitać — każdy chciał poklepać mnie po plecach i uścisnąć dłoń Phoebe, a gdy usiedliśmy przy stoliku w wewnętrznej sali z lustrami na ścianach, wszyscy przysunęli krzesła i otoczyli nas ze wszystkich stron.

— No to świętujemy! Czego się napijecie?

— Herbaty — powiedziałem z nadzieją, że Phoebe nie zażyczy sobie alkoholu.

— Herbaty — powtórzyła ku mojej wielkiej uldze.

— Dobrze, podajcie herbatę! — Zamówienie przebiegło przez szeregi. „Herbatę! Arre podajcie herbatę!... Gorąca herbata!”. Podano herbatę; przyniósł ją mały chłopiec, jakżeby inaczej. W szklankach, z mlekiem, słodką, ocieploną kardamo-nem. — Przekąski! — krzyknął Dost.

„Przekąski! — podchwyciło echo. — Samosy... i khichdal Podajcie im khichdę tak jak wczoraj... z kolendra! — Zjawiły się talerze, wszyscy siedzieli i obserwowali, jak jemy. Nikt inny niczego nawet nie tknął.

— Hej, szafa chalaol — Szafa okazała się odtwarzaczem kompaktowym podłączonym do pary rozklekotanych głośników, które zdawały się syczeć na śpiewaków.

471

— Phoebe — odezwał się Dost — ty nic nie jeść! Co ty zjesz? Ty chcesz biryani z baraniny?... Hej, kuchnia!

— Biryani z ryby jest lepsze — ktoś zawołał. Znów odezwał się chór. — Albo kurczak!

Specjalność Dżamdżammy!... Masala z mózdzku z jajkiem!... Będzie jej smakowało?... Sheekh anarkali to jest coś... Arre zapomnij o sheekh anarkali, przynieś gurda kaleji!... Mahi-e-aab! Dobrze świeże pomfret... A roń?... Niech spróbuje baida roti. Kurczak!... Kheema? Bhalu miyah, musisz koniecznie spróbować nalli nihari... Ale my tego nie robimy... A-bel Wiem, że nie robimy! Niech chłopak poleci do Noor Mohammadi i powie im, żeby przysłali cztery półmiski.

Jedliśmy więc, i stopniowo inni wokół nas też zabrali się do rzeczy. Musieliśmy ich powstrzymać,

żeby nie zamawiali więcej, chociaż Dost i jego znajomi przypomnieli sobie o jakimś specjale, którego w kuchni nie przygotowano, i chcieli po niego posłać. Nie było nawet co myśleć o słodyczach, kheerze, ladwasie, faloodzie i sutarpheni, które nam podsuwali.

— Wiesz, czego żałuję? — powiedziała do mnie Phoebe. — Że nie ma z nami Juli.

Dost musiał to usłyszeć i zrozumieć.

— Powiedz jej, że zabiorę was na spotkanie z nim. Przychodzi tutaj od czasu do czasu. Wciąż się sobie kłaniamy. Lecz on nie jest taki sam. Za dużo problemów. Ale między wami nie będzie problemu. Ucieszy się, kiedy was zobaczy.

— Co się właściwie stało? Nie wyjaśniłeś tego.

— Aie, baba, to przykra historia.

Phoebe swoim zwyczajem po jedzeniu wyjęła papierosy. Kobiety nie palą publicznie, przynajmniej w tej okolicy, lecz Dost bez mrugnięcia okiem wyciągnął zapalniczkę i podał jej ogień.

— Hej, może Phoebe chciałaby napić się wina? Przyniosę, na wszelki wypadek... Ej, dajcie wino!

— Niezwłocznie wsunięto mu do ręki butelkę i postawiono przed nami dwie duże szklanice, mokre po zmywaniu. Phoebe, której nikt nie spytał o zdanie, patrzyła, jak Dost odkręca nakrętkę i napełnia szklanki po brzegi, przechylając butelkę, aż z każdego naczynia na marmurowy blat spłynął krwisty strumień.

472

— Najlepsze indyjskie wino — obwieścił Dost.

— A ty się nie napijesz?

— Jestem muzułmaninem. Nie piję alkoholu.

Phoebe podniosła szklankę w dwóch dłoniach i spróbowała.

— Smakuje tobie?

— Wyśmienite. — Uśmiechając się z bijącą w oczy nie-szczerością, wyszeptwała: — Cest comme un sirop anti-tus-sif.

Mój francuski nie był dość améiore, żeby to zrozumieć, ale powiedziałem jej z normalną miną:

— Dommage, mon amour. Il faut boire tout le vin, ou U serait insulte².

Dost znów załapał, o co chodzi.

— Nie lubisz? Więc zostaw! Zostaw! — Zwracając się do mnie w urdu, wyjaśnił: — Nie mamy korkociągu. Wziąłem to wino, bo tylko ta butelka była z nakrętką... Ej, przynieście jeszcze herbaty.

Malec — który nie mógł mieć więcej niż dziewięć, może dziesięć lat — postawił przed nami naręczę szklanek.

— Jest taki młody i tak ciężko pracuje — zauważyła Phoebe. — Mogę mu dać napiwek? — Wyłowiła z torebki kilka monet.

— Ta pani chce ci dać napiwek — rzekł do chłopca Dost. — Co ty na to? — Dzieciak spojrzał głęboko w oczy Phoebe, położył rękę na jej dłoni, zakręcił biodrami i zaśpiewał wysokim, drżącym niepewnie głosem: Aati kya Khandala?

— Arre! Co to za battameezf! Ej! Cha! — Szturchnął czule malca. — Szczeniak myśli, że jest sadak chhaap... udaje twardziela jak mały ulicznik. Ale z ciebie pozer, co? A kto lata codziennie rano z teczką do szkoły?

Nie uchwyciłem sensu słów jego krótkiej piosenki.

— Bhalu, dla ciebie też coś mam — powiedział Dost. — Żeby przywołać wspomnienia. A może stworzyć nowe. — Ot-

1 Cest comme... (franc.) — To jak syrop przeciwkaszlowy

2 Dommage, mon amour. Il faut... (franc.) — Szkoda, kochanie. Musisz wypić całe wino, bo inaczej go obrazimy

473

worzył dłoń, w której spoczywało piękne małe chillum, wytoczone z jednego kawałka drzewa żelaznego, z mosiężnymi obręczkami na cybuchu i ustniku.

Później Dost zabrał nas do swojego domu. Wąskie przejście prowadziło z ulicy na małe podwórko, całkowicie zamknięte do którego przylegały rozmaite pomieszczenia na parterze i pierwszym

piętrze. Wspięliśmy się po schodach mokrych od przelotnej ulewy i weszliśmy do pokoju z balkonem wychodzącym na ulicę. Stała tam bordowa kanapa z jakiegoś pluszu, przykryta folią, na której usiedliśmy Phoebe i ja; Dost rozsiadł się naprzeciwko, na tapczanie z białą pościelą i wałkiem, i zaczął nabijać chillum tytoniem. Ile fajek? Dwie? Trzy? Pokój był oświetlony fluorescencyjną rurą, której blask odbijał się w ozdobionych zielonymi i złotymi arabskimi sentencjami lustrach, wiszących na każdej ścianie. W kącie szumiął wentylator, odwracając swoją księżycową twarz od jednego do drugiego z nas, jak gdyby śledził naszą rozmowę. Z drugiego pomieszczenia dochodziły dźwięki filmu wyświetlanego w telewizji, śmiechy i głosy... Phoebe położyła się na wznak z zamkniętymi oczyma. Śpi, czy uniósł ją magiczny dywan? Ostatnio zmieszała wino z haszyszem w hotelu w Kensington. Nasha Natashy. Milion kilometrów stąd. — Krótko mówiąc, mamy nadzieję, że pomożesz nam wytropić tego przemytnika... jeśli on jeszcze żyje.

Od godziny opowiadałem mu naszą historię. Całą. O romansie Sybil. Śmierci Pana Love. Odkryciu, że był ofiarą Nanava-tiego. Listach i butelkach znalezionych przez policję. O szantażu. Urowadzeniu Phoebe ze szkoły przez obcego mężczyznę. O śmierci niani. Policjancie, który mnie przesłuchiwał. Groźbach pod adresem Mai. Powiedziałem mu o naszej bezskutecznej próbie odnalezienia dziennika Sybil i którejś z kobiet związanych z Ahudzą. Historia, gdy ją relacjonowałem, brzmiała w moich uszach coraz bardziej fantastycznie, jak książka, którą mogłem zdjąć z regału w dalekim Lewes. Opowiedziałem Dostowi o spotkaniu z Zafyque'iem i jego radzie, żebym dał sobie spokój z tą sprawą. Wreszcie przedstawiłem moje przy-

474
puszczenie, że Pan Listonosz, jak nazwała go Phoebe, mógł też zarzucić sieć na przemytnika. Dost wysłuchał wszystkiego w milczeniu. Milczał, nawet gdy przestałem mówić. Pokój wypełniła głęboka cisza. Oddech wiatraka poruszał listkami bukietu czerwonych róż, zbyt doskonałych, by mogły być prawdziwe. Stały na małym stoliku między nami, na którym były też szklanki z wodą, torebka tytoniu i bryłka haszyszu, która, choć trochę się zmniejszyła, nadal była wielkości brzoskwini. Cisza gęstniała, wzmacniana kolejnymi warstwami milczenia, aż stała się całkowicie nieprzenikniona. Myśli krzyczały mi w głowie.

Wtedy cisza pękła.

— Nie będę miał pretensji — usłyszałem swój własny głupi głos — jeśli uznasz naszą historię za naciągniętą... Zafyque stwierdził, że brzmi jak fabuła filmu. Ale Maja próbowała zrobić z tego film i nikt go nie zechciał. Bombaj ski świątek filmowy krzyczał: Nie chcemy o tym wiedzieć!

— Zafyque nic nie wie — rzekł Dost, a ostatnie słowo zabrzmiało jak dziwne echo.

(Szwargotaliśmy w urdu, stąd wzięło się powtórzenie słów: Dost powiedział: Zafyque kucchjanta nahi, a producenci krzyczeli zgodnym chórem nahi, nahi, nahi).

— Gdzie on mieszka? W Colaba, tak? Pewnie w wielkim domu. Chowkidar. Służba, oczywiście. Wóz... Interesy... Nari-man Point... Inny świat... Widzę ich każdego ranka na Moham-med Ali Road, siedzących w samochodach, oznakach statusu, w kłębach smogu. Powietrze jest aż brązowe, szczypie w oczy... a oni słuchają raportów swoich sekretarzy i zachodniej muzyki, nie widzą, co się wokół nich dzieje. W Bombaju muszą być ludzie, którzy nigdy nie słyszeli o Madanpurze, na przykład... którzy nigdy nie postawili stopy w Maulana Azad Road... nie wiedzą o połowie tego, co dzieje się w tym mieście. Na tych ulicach życie każdego przechodnia mogłoby być fabułą filmu... Nie chciałem, żeby zbaczał w filmowe dygresje.

— Ale nie odpowiedziałeś na moje pytanie. O historię, którą ci opowiedziałem. Uważasz, że fantazjujemy?

— Wprost przeciwnie — odparł Dost. — Wcale mnie ona nie zaskakuje.

— To prawdziwa historia.

475

— Policjanci w tym mieście są jak larwy. Żywią się brudem Wątpią, czy jest coś, czego nie zrobiliby dla dolara.

— Więc możesz nam pomóc?

— Czterdzieści lat temu? Wasz przemytnik musi być stary., jeśli jeszcze żyje. A wy nie macie

nazwiska.

Zamknąłem oczy i spróbowałem przywołać obraz dziennika Sybil, przypomnieć sobie listę artykułów na niesamowite przyjęcie z okazji śmierci Suba, spisana jego wyrazistym, pochyłym charakterem. Nagle nazwisko wróciło do mnie z absolutną jasnością.

— Saqi Baba!

Na Doście nie zrobiło to wrażenia.

— I już? Saqi Baba?

— On zaopatrywał mnóstwo ludzi z tego kręgu. To jest nazwisko, od którego powinniśmy zacząć.

— Bhalu, wiesz równie dobrze jak ja, że Saqi Baba nic nie znaczy. To tak, jak powiedzieć „handlarz gorzałą”. Mógł być jednym z dziesiątków ludzi. Bombaj to miasto przemytu. A naszą dzielnicę, Dongri, nazywają tutejszym Palermo. Państwo mafii. Szmugielcity. W jedną stronę, w drugą stronę. Whisky. Złoto. Tytoń. Hasz. Co tylko chcesz.

— Ale ty masz kontakty...

— Chyba żartujesz — odparł, wypuszczając w powietrze wielką chmurę dymu i podając mi chillum. — Nie mam z tym nic wspólnego. Jestem właścicielem kawiarni. Nie chcą się w to mieszać.

Więc gdzie się podział ten zuch w eleganckiej bluzie Luck-nowi, obracający chillum w długich, zręcznych palcach, wolnych wtedy od sygnetów, który mówił mi: „Czegokolwiek zapragniesz, da się to załatwić yaar, pokojowo”.

— Myślałem, że znasz wszystkich reketierów.

— Pewnie tak ci mówiłem. To niezupełnie było prawdą. Pozowałem na cwaniaka. Jak jakiś durny tapori. Wiesz co to znaczy? Taki co chodzi po ulicach i udaje, że do niego należą. Miałem wielką gębę, a robiłem w gacie, i tyle.

Lecz ja pamiętałem, jak śmiało wystąpił przed Mitrę i mnie tej nocy przed wielu laty, i nie mogłem mu uwierzyć. Powiedziałem to.

476

- Zawsze byłeś romantykiem — odparł. — Zabawne. Patrząc na ciebie i pod skórą angielskiego dżentelmena widzę tego samego, starego Bhalu. Bholu Bhalu, Bhalu niewinny. Patrzyłeś na tę brudną ulicę takimi szeroko otwartymi oczami. Wszędzie widziałeś magię. W kozach, gnoju, odrapanych ścianach.

— To nie byłem ja, tylko to — powiedziałem, oddając mu chillum.

— To cię nie zmienia, po prostu otwiera okna — rzekł, biorąc fajkę i podnosząc ją do góry. — Wiesz, co to jest? Od tego pochodzi nazwa, którą wujek nadał kafejce. To jest Dżam-i--Dżam.

Puchar Dżamshidu. Powiadają, że puchar Dżamshidu odbija w sobie cały świat, cały kosmos.

Wszystko można zobaczyć, powąchać, usłyszeć, dotknąć i objąć myślą. Jest tam wszystko naraz.

Suma. Wszystkie odpowiedzi jednocześnie. Trzeba tylko uchwycić ich sens. Daj mi jeden fakt i goli od Moosy...

Więc kiedy misterna mała fajeczka wróciła do mnie — liczyła sobie sto pięćdziesiąt lat, powiedział Dost; kupił ją w Jodhpu-rze — zamknąłem oczy i spróbowałem zobaczyć najistotniejszy fakt, który musiał leżeć u sedna tajemnicy. Romantyk, tak nazwał mnie Dost. Może miał rację. Ugrzęzłem w bholajzmie. W niewinności. Zajrzałem w siebie. Tak, on wciąż tam był. Żywy, machał do mnie wążką ręką. On, dziecko Ambona, z wiecznym wyrzutem: „Czemu nie spełniłeś mojej obietnicy?”.

Obok niego siedziała jego nieco starsza wersja, ten, który znajdował piękno w smrodzie rynsztoków i proroctwa w płatkach zniszczonej farby. Ugrzęzłem w małym Bhalu i tam już zostałem. Odbylem podróż na drugi koniec świata, lecz nigdy nie opuściłem Ambona i Dongri. Kiedy pierwszy raz pomyślałem o tym, by spróbować swego pióra w beletrystyce, wiele lat temu, wszystkie moje pomysły obracały się wokół tych dwóch miejsc, jak gdyby żadne inne nie istniały. Nigdy nie miałem fabuły obejmującej różne wątki, płynącej szeroką rzeką, tylko girlandę odrębnych historii.

Każda postać ze swoją własną historią. Babu, opowieść myśliwego. Jula, opowieść pasterza.

Opowieść zawiadowcy stacji. Opowieść scenarzystki. Opowieść hodowcy róż. Opowieść

Kathodiego. W Dongri, opowieść żebraka. Opowieść Moosy. Dost, opowieść sowizdrzała.

477

Kiedys — to również musiało stać się pod wpływem haszu — przyszedł mi do głowy pomysł na książkę, której naczelnym, Dostiańskim faktem byłby jednoakapitowy list z zażaleniem do SAURASHTRA TRADING CO z Panwallekigalli 6, Dongri, brzmiący jak następuje: Szanowni Państwo! Dostawa herbaty, którą fakturowaliście nam 8 marca dotarła do nas wczoraj i została niezwłocznie sprawdzona, lecz z żalem zawiadamiamy, iż nie możemy jej przyjąć. Zamówiliśmy herbatę w pierwszym gatunku, a otrzymaliśmy wilgotne liście, których nie jesteśmy w stanie zbyć, poza tym większość skrzynek jest w bardzo złym stanie. Z tego powodu dziś rano wysłaliśmy Państwu telegram następującej treści: HERBATA SILNIE ZAWILGOCONA; NIE MOŻNA SPRZEDAĆ. ODMOWA PRZYJĘCIA. PRZECHOWUJEMY NA PAŃSTWA RYZYKO. WYSŁEMY LIST. Potwierdzamy powyższą depeszę i prosimy Państwa o niezwłoczne zabranie towaru i zwrot nakładów — 433 rapie — za przewóz koleją i akcyzę, poniesionych przez nas. Proszę łaskawie spełnić, co należy".

To bezbarwne zawiadomienie miało być opatrzone rozlicznymi przypisami (na przykład „Panwallekigalli”, „Dongri”, „herbata”, „wilgotne liście”, „państwa ryzyko”, „akcyza”, „proszę łaskawie spełnić, co należy”), a te przypisy miałyby dalsze przypisy (na przykład p.ł.s.c.n byłoby opisane jako zwrot Nelsonowski), które z kolei miałyby swoje przypisy, aż przypisy przypisów do przypisów rozciągnęłyby fabułę na większość krajów świata i kilka stuleci. Zamierzałem (to oczywiste) zatytułować książkę Przy Pisy albo Pad Yatra, czyli Słowna pielgrzymka; popełniłem jednak błąd, opisując pomysł Mai, która zdjęła po prostu z półki egzemplarz Błedego ognia, dając mi na swój sposób do zrozumienia, bez słowa, że w rodzinie jest miejsce tylko dla jednego pisarza...

Błady ogień, powieść Władimira Nabokowa

478

Tak. Jakże trudno jest, stając wobec kłęбка splątanych wątków, składających się na historię, rozpoznać luźne końce, które można nazwać początkiem i końcem. Przypomniałem sobie o falstartach biednej Sybil, jej powracających bez końca początkach, jakby umysł nie dał się skusić na wycieczkę na nowe terytorium, uparczywie wracając do punktu wyjścia — jaki właściwie był ten punkt wyjścia? Pożal się Boże dorożka Selima? Blond dziwka z Tadż? Biedna Marlenę Dance, która znalazła miłość w ulewie na wyspie Gorai, gdzie wieśniacy przywozili jaja, ryż i arak delikatny jak... Wdychając dym, zaciągając się głęboko chillumem z Dżodhpuru (to samo miejsce, z którego pochodziły bryczesy Kąty), szukałem i szukałem kluczowego faktu Dosta. Ale znajdowałem tylko historie. Historie, łańcuchy historii, opowiedzianych i nieopowiedzianych, leżące w wielkich, splątanych stosach, których niepodobna rozplatać. A gdzieś między nimi wskazówka prowadząca do powieści Szantażysty.

„...a ja wysnuję z tego cały świat”, zakończył Dost.

Cały ten mozolny proces myślowy zajął mniej czasu, niż Dost potrzebował na dokończenie zdania.

— ...Powiedz nam przynajmniej, kogo możemy zapytać?

— Bhalu, to nie takie proste. To nie jest tak, że istnieje jakiś krąg ludzi, których trzeba znać.

Dawniej, kiedy chodziliśmy do Moosy, było kilka wielkich nazwisk. Karim Lala, Hadzi Mastan. Teraz są dziesiątki gangów. Wolnych strzelców. Przedsiębiorców. Gość, który wczoraj należał do jednego gangu, wyłamuje się i zabiera ze sobą ludzi. I wtedy ma na pieńku z byłym szefem. Skaczą sobie do gardeł. Ludzie, którzy się przyjaźnili, stają się wrogami. Zmieniają się sojusze. Z kim powinienem pomówić? Gdzie w tym wszystkim jest moje miejsce? Odpowiedź brzmi: nigdzie. Nie chcę wiedzieć.

— Więc co możemy zrobić?

— Twój przyjaciel Zafyque rzeczywiście miał trochę racji — odparł Dost. — Do diabła z przeszłością. Opuść sobie. Jakieś

479

wydarzenie sprzed czterdziestu lat? Zapomnij o nim. Daj ternu spokój. Cokolwiek się stało, odpuść sobie. Czy nie powinniśmy być wdzięczni, że jesteśmy tu teraz, żywi, mamy rodziny przyjaciół, jedzenie na stole?

Phoebe, która nie miała rodziny, oparła się na moim ramieniu — nasz pierwszy bliski kontakt od

kilku dni __

i mruknęła:

— Co on mówi?

Więc jej powtórzyłem. Obudziła się i tak jak wentylator zaczęła spoglądać to na jednego z nas, to na drugiego. Na mnie, wciąż z chillumem w dłoni, na Dosta spowitego chmurą odurzającego dymu.

— Powiedz mu, że nie rozumie. Myślisz, że podoba mi się to, co mnie zżera? Ja chcę to sobie odpuścić, chcę zapomnieć. Ale co mam zrobić, kiedy to wdziera się w moje sny, zrzuca mnie w głębokie studnie? Nie mogę poprosić uprzejmie, żeby sobie poszło. Powiedz mu, że w taki czy inny sposób, z jego pomocą czy bez, znajdę człowieka, który szantażował moją matkę. Wtedy może będę w stanie zapomnieć.

Oczy jej się zamknęły i została tak, na moim ramieniu.

— Uwważaj, prawdziwa z niej phataaka — rzekł Dost. Bomba. Miał na myśli jej blond włosy, czy wybuchowy temperament? — Powinna przebaczyć, zacząć od nowa z czystą kartą. Połowa problemów tego świata wynika z tego, że ludzie nie odpuszczają sobie przeszłości. To jest jak historia. Do czego nam ona potrzebna? Czemu, do kurwy nędzy, się nią przejmujemy? Wszyscy bylibyśmy o niebo szczęśliwsi, gdybyśmy jej w ogóle nie znali. Wtedy sądzilibyśmy faceta siedzącego obok po jego uśmiechu, charakterze i czynach, a nie po tym, że należy do takiej czy innej społeczności. Spytaj o to Mitrę, kiedy się z nim zobaczysz. Spytaj, czy w głębi serca się ze mną nie zgadza.

Czułem, jak moje powieki stają się ciężkie. Próbowałem słuchać tego, co mówi Dost, lecz moje myśli wciąż mieszały się z jego słowami, i w pewnym momencie nie było już możliwe odróżnienie jednych od drugich...

Chciałeś wiedzieć, co się stało z tym budynkiem naprzeciwko Moosy. Tym, który był spalony...

Unepierre prit feu. La maison

480

prit feu. L'arrondissement prit feu. La cite prit feu. Les hommes prirent feu1... Pewnego dnia nadszedł tłum ludzi i rzucił w niego butelkę z benzyną... Dlaczego? Ano dlatego, że właścicielem był muzułmanin, a tłum składał się z Hindusów... Jak mogło do tego dojść w mieście, które uważa biznes za swoją religię? Najpierw Pan Brzuch, potem Pan Bóg. Ale szóstego grudnia tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego drugiego roku trzysta tysięcy hinduskich fundamentalistów, wielu zupełnie nagich, zaczęło gołymi rękami roznosić w kawałki Babri Masdzid, meczet w Ayodhya. Twierdzili, że był on pierwotnie hinduistyczną świątynią, i to nie pierwszą lepszą, lecz miejscem narodzin boga Ramy... Było to ze wszech miar zgodne z dziełem pana P. N. Óaka, historyka, obywatela Pune, który założył Instytut Pisania na Nowo Historii Indii, by wykazać, że Mogołowie nie wzniesli w Indiach niczego godnego uwagi, lecz po prostu zagrabilili i przebudowali istniejące hinduskie obiekty... Óak wydał takie prace jak Tadź Mahal to w rzeczywistości Tedžo Mahalaya (świątynia Sziwy). Można wnioskować, że zburzenie Babri Masdzid, którego to aktu przerażająco liczne grono indyjskich polityków nie potępiło, stało się precedensem prowadzącym do zdemolowania Tadź... Bhai sahib, w ciągu kilku godzin, gdy dotarła wiadomość o masdzid, w Bombaju wybuchły zamieszki... zaczęły się tu, w Dongri... poprzednie rozruchy w Don-gri miały związek z Szatańskimi wersetami... tłum rzucający kamieniami zebrał się koło masdzidu na Murgimohalla (Kurzym bazarze) przy Memonwada Road. Nazajutrz muzułmańskie wyrostki zaatakowały i uszkodziły hinduską świątynię Shaneshwar... wtedy nastąpił kontratak młodych Hindusów... przyszedli tą ulicą. Nieśli kamienie i szable. Wybijali szyby i podpalali budynki... Wstyd przyznać, lecz czy nie miał racji wiktoriański dogmatyk, który napisał Indie w 1983 roku? Czyż nie przewidział, do czego doprowadzi oddanie Hindusom władzy w ich własnym kraju?

1 Une pierre prit feu... (ftanc.) — Kamień się zapalił; dzielnica się zapaliła; miasto się zapaliło; ludzie się zapalili

481

Dochodziło do zamieszek, gdy grupa muzułmanów uznała, że zabicie krowy i skropienie jej krwią ludzi przechodzących akurat w pobliżu nie jest zdrożnym sposobem zmanifestowania swych uczuć... A gdy druga strona zastosowała retorsje, zabijając świnie i wrzucając ścierwo do meczetu,

zwykle następowało lekkie zakłócenie spokoju.

Ach, panie Bigot, kimkolwiek byłeś, nie mogłeś sobie wyobrazić, jak straszna będzie rzeczywistość. Dost opowiedział historię aktów przemocy i mordów: córka jego znajomego, wracająca ze szkoły, została złapana przez tłum z szablami, który poderżnął jej gardło; młodzi ludzie zakatowani na śmierć, podpalani, zwały trupów w kostnicy. Co zmieniło się później? Wszystko i nic. Jest lęk, nieufność, których przedtem nie było. Właśnie to wdarło się między nas, Mitrę i mnie. Jak to się mogło stać? Jak ludzie, którzy tak długo żyli obok siebie, zaczęli nagle podrywać sobie gardła... Maja, leżąc na łóżku, które miało się stać jej łóżem śmierci, zadawała dokładnie te same pytania, lecz wspominała rok tysiąc dziewięćset czterdziesty ósmy... Co spowodowało te ofiary? Nie religia, to był tylko pretekst. Przyczyną była, jak zawsze, pazerność żadnych władzy politykierów... Ghandi-ji, Bogu dzięki, że nie doczekałeś tych historii... gangsterzy i politycy ręka w rękę finansujący hollywoodzkie filmy... Zwyczajni ludzie mają dość niemoralnych polityków, ich kumpli bandytów i skorumpowanej policji, robiącej swoją brudną robotę. Obojętnie jaki przywódca, który ośmielił się temu przeciwstawić, zostanie bohaterem narodowym... jeśli przeżyje. Nie jest roztropnie straszyć kogoś z tej kliky. W tym mieście przynajmniej połowę morderstw popełnia policja. Otwórz gazetę. Niemal każdego dnia widzi się ten sam tytuł, mniej więcej tej treści: „Policja zabija w czasie akcji trzech ludzi”. Tylko nazwiska się zmieniają. Historia jest zawsze taka sama. Rzuca się wyzwanie jakiemuś dobrze znanemu gangowi „kryminalistów”. Ci nigdy nie chcą się poddać i otwierają ogień do policji. Dzielni pandusi odpowiadają tym samym i gangsterzy giną. Wszyscy wiedzą, że to bajki. Ilu jest naocznych świadków tych starć? Większość obywateli uważa,

482

że pociski wystrzelwane są na podwórkach komisariatów policji. Czy ofiary naprawdę są gangsterami, czy ludźmi, których policja chce usunąć? Bhalu, powiedz Phoebe, żeby nie ciągnęła tej wendety. Dajcie temu spokój. Nie wtykajcie kija w gniazdo os. Jeśli ten, którego szukacie, był wysokiej rangi glina, będzie miał kontakty z potężnymi ludźmi. Jego palec może się wyciągnąć z przeszłości i was dosięgnąć. Zabicie człowieka w tym mieście kosztuje pięćset rupii. Przeliczyłem. Wyszło nieco mniej niż siedem i pół funta.

Mitra

Było dobrze po północy, gdy wróciliśmy do hotelu, wciąż mocno zawiani. Nadmorski murek z Arabami w bieli. Swoim zwyczajem zasiadłem do dziennika, ale nic nie napisałem. Przede mną leżała grudka Dostowego haszu. Skrawek papieru, w który była zawinięta, informował, że C Khilar z Politechniki Bombaj skiej wygłosi odczyt poświęcony Formacjom nanoczas-teczkowym w odwrotnych układach micelarnych.

Strzępy piosenki gdzieś na dole. Arabowie zaczęli powoli klaskać. Wyszedłem na balkon i spojrzałem. Wokół szczupłej hinduskiej wokalistki z dobrym, mocnym głosem zebrała się ich spora grapa. Dziewczyna trzymała na biodrze niemowlę, a wolną ręką wybijała dwoma kastanietami żywy rytm. Arabowie tańczyli wokół niej, klaszcząc i wesoło podśpiewując. Wkrótce do jej stóp zaczęły sypać się monety, ale ona, z dzieckiem i kastanietami w dłoniach, nie mogła ich podnieść. Jeden z Arabów uniósł rąbek swojej długiej nocnej koszuli i przeprowadził zbiórkę. Po chwili koszula zrobiła się ciężka od srebra i banknotów. Nawet ja się wzruszyłem i rzuciłem banknot pięćdziesięciorupiowy. Skończywszy piosenkę, dziewczyna, nie puszczając dziecka, schowała kastaniety i wyciągnęła płócienną torbę, do której ten, który zbierał pieniądze, wrzucił jej nagrodę. Ledwie ją odebrała, gdy nadbiegła ubrana w mundur khaki policjantka z pałką i zaczęła wrzeszczeć na dziewczynę, która stała z ponurą miną, szukając ratunku u swojej publiczności. „Daj jej spokój”, mówili Arabowie. Ośmielona śpiewaczka odpowiedziała coś policjantce. I wtedy — nie mogłem uwierzyć własnym oczom — policjantka uderzyła w twarz dziecko. Matka krzyknęła. Rozgniewani Arabowie otoczyli policjantkę.

484

Wszyscy naraz zaczęli wykrzykiwać. Zdenerwowałem się i zbiegłem na dół, ale zanim dotarłem do zgromadzenia, dziewczyna była już odprowadzana. Nie mogło być wątpliwości, co się stanie z pieniędzmi. Wracając, ze zdziwieniem ujrzałem Phoebe w czarnej jedwabnej piżamie, kłócącą się z

kierownikiem hotelu.

„To zdarzyło się na waszym terenie — mówiła. — Jeśli jeszcze raz coś takiego zobaczę, doniosę na was mojemu znajomemu...”. Ostatnich kilka słów prawie utonęło w głośnym okrzykach Arabów. Może powiedziała coś w rodzaju: „Jak ona ją biła”, a może to haszysz stepił mi zmysły, bo mógłbym przysiąc, że usłyszałem: „...mojemu znajomemu, zastępcy prefekta”.

Nazajutrz zadzwonił Dost, żeby powiedzieć, że skontaktował się z Mitrą.

— Saala nie posiada się z radości. Ucieszył się nawet, że mnie słyszy. Przeprasza, że dzisiaj jest zajęty spotkaniami, ale zaprasza was jutro do swojego domu. Wyślę Murada.

„Idę na zakupy, oznajmiła Phoebe. Nie musisz ze mną iść, Bhalu. Mężczyźni są tacy uciążliwi w sklepach z ubraniami”.

W ciągu ostatnich paru dni wtargnął między nas wyczuwalny chłód. Nie wiem czemu, lecz zaczął się podczas naszej pierwszej wizyty w Dongri: dnia łaskotek i dziecinnego gaworzenia, bratanka Moosy o pokerowej twarzy i rozbawionych bywalców Dżam-i-Dżam. Potem, aż do zaskakującego pojawienia się Dosta, mało ją widywałem. Zaczęła wychodzić sama. Dokąd chodziła, pozostawało tajemnicą. Wieczorami pukałem do jej drzwi i słyszałem tylko echo albo jej głos mówiący, że nie czuje się dobrze i chce, żeby ją zostawić samą. Co otworzyło „głęboką studnię” depresji, bo z tym najwyraźniej miałem do czynienia, nie chciała powiedzieć. Odrzucała moje próby wsparcia. „Nikt nie może mi pomóc. Najlepiej jak będę sama. To w końcu przechodzi”.

Ale jak daleko było do tego końca? Dręczył mnie niepokój. Byłem w Indiach prawie od miesiąca i nasze poszukiwania zaprowadziły nas donikąd. Wiedziałem, że powinienem wracać

485

do domu i naprawić moje małżeństwo. Kilka razy próbowałem się dodzwonić do naszego wiejskiego domku i księgarni, lecz nikt nie odbierał.

Ranek tego dnia, w którym mieliśmy się spotkać z Julą. Zjedliśmy śniadanie na moim balkonie wychodzącym na przystań; powietrze było tak jasne, jak bywa po nocy z silną ulewą, gdy burza oczyszcza niebo. Wzgórza w głębi ładu były wyraźnie widoczne i bardzo zielone. Promienie słońca igrały w szklance soku pomarańczowego i zieleńiły kropki chili na moim omlecie (specjalność Rudolfa). Szczęście kryje się w drobiazgach.

— Siedem pięćdziesiąt? Wątpię. Będzie musiał zapłacić o wiele więcej, żeby się mnie pozbyć. Spodziewałem się, że będzie przestraszona albo przynajmniej zaniepokojona ostrzeżeniem Dosta. Ona tymczasem, jak się zdaje, wzięła to za żart.

— Jeśli zdołamy zbliżyć się do tego człowieka — mówiłem — jeśli poczuje się zagrożony... Dost naprawdę się martwił.

— Nie zamierzam uciekać. I wiem, że ty też nie. W końcu jesteś moim bohaterem.

Ubrana w nową kwiecistą sukienkę, tryskająca humorem Phoebe znów była sobą. Wieczór w Dżam-i-Dżam, a może perspektywa spotkania z towarzyszem dziecinnych zabaw, Julą--Mitrą, podniosła ją na duchu. Znów byliśmy przyjaciółmi.

— Nie jesteś podekscytowany, Bhalu?

Pewnie, że byłem. Nie widziałem go prawie trzydzieści lat. Od czasów, gdy bez grosza przy duszy przesiadywaliśmy u Moosy. Ale Phoebe miała się z nim spotkać pierwszy raz od wakacji w Ambona. Oboje byli wtedy dziećmi. Kiedy się ostatnio widzieli, ona była małą Muffety Mai, a on pastuszkim z irrlą na głowie.

Jak zwykle zastaliśmy Muradową, pozał się Boże, taksówkę czekającą przy murku. Powitał nas uśmiechem, koniecznie chciał otworzyć drzwi przed Phoebe i odkurzyć chusteczką fotel, zanim wsiadła. Adres, pod który jechaliśmy, znajdował

486

się w hinduskiej dzielnicy, sąsiadującej z muzułmańską. W tej samej, w której Mitra mieszkał, gdy pracował u drukarza w Dongri.

— Jaki on będzie? Mam nadzieję, że zostało w nim trochę dawnego Juli... Mam nadzieję, że nadal będzie mnie lubił. — Phoebe paplała jak dziecko. Odkąd byliśmy w Indiach, raz po raz zmieniała się z wyrafinowanej damy w małą dziewczynkę.

Trasa, którą wybrał Murad, prowadziła przez nieznaną mi okolicę. Zjechaliśmy z głównej ulicy,

zapchanej starymi jak świat, krzykliwie ozdobionymi ciężarówkami, przechylającymi się na boki pod ładunkami, które wydawały się niewiarygodne, i wtoczyliśmy się w labirynt zatłoczonych uliczek. Wałące się jopadpattisy, skupiska ruder, ciągnęły się wzdłuż każdej alejki, którą mijaliśmy. Biały pies z różową raną między uszami. Mężczyzna w brudnych łachmanach, z pozlepianymi włosami i wystającym ze spodni niczym owoc mango członkiem, sikający w czarne błoto przy drodze.

„Muszę spytać o drogę”, powiedział Murad, dodając tonem wyjaśnienia: „Dzielnica kaletników. Co za katastrofalne miejsce”.

Mitra mieszkał w starym chawlu, zespole ponurych bombaj-skich kamienic, zaprojektowanych pierwotnie jako tanie kwatery dla robotników z młyna. Popękane mury, z czarnymi smugami od deszczy padających od stu lat. Nieopodal kobiety napełniały garnki i wiadra z ulicznego hydrantu. Przerwały i zaczęły się nam przyglądać, gdy wysiadaliśmy z taksówki.

„Ej! Gdzie jest Mitra Kshele?”, zapytał Murad. Wszystkie kobiety na raz wskazały trzecie piętro. Wlokła się za nami gromadka małych dzieci, gapiących się na Phoebe szeroko otwartymi oczyma, gdy wspinaliśmy się zewnętrznymi schodami i przechodziliśmy balkonem, wciąż jeszcze mokrym po wczorajszej burzy. Z dołu śledził nas wzrok kobiet. Chór głosów krzyczał do nas w marathi: „Następne!”, „Tak, to!”, „To!”. Mitra był tu najwyraźniej dobrze znany. Dotarliśmy do drzwi, nad którymi cynobrową farbą nabazgrana była swastyka¹. Po obu stronach wisały na gwoździach sznury

¹ swastyka to między innymi symbol Słońca i powodzenia, znany w różnych kręgach kulturowych Europy, Afryki, Ameryki i Azji

487

wysuszonych liści mango, dokładnie takie same jak te, które zdobiły wejście domu jego rodziców w Karvandzie.

Drzwi otworzył mężczyzna, którego przygarbiona sylwetka maskowała prawdziwy wzrost i dodawała mu lat. Lecz ja nie miałem wątpliwości, że to Mitra. Nosił teraz okulary, lecz wciąż miał to samo zatroskane czoło, które tak dobrze pamiętałem. Mimo całej powagi, była to łagodna twarz. Miał na sobie prostą białą koszulę i spodnie i bose stopy, równie zrogowaciałe jak stopy jego ojca. Popatrzył na mnie krótko, zaczął się uśmiechać, a potem przeniósł wzrok na Phoebe.

— Nie! To nie może być Fever!

Phoebe (która była toujours appropriée¹), rzuciła mu się w ramiona z dzikim okrzykiem:

— Julia!

Mitra roześmiał się głośno.

— Tak, to ja, ale czy to naprawdę ty? I Bhalu też? Jak grom z jasnego nieba! Po tylu latach! Och, co za cudowny dzień! — Jego angielski poprawił się tak, że był nie do rozpoznania. Musiał nad nim ciężko pracować.

Potem wyciągnął do mnie ręce i powiedział:

— Bracie!

W którym miejscu miałem stanąć na tej wirującej ziemi?

Każdy z nas, gdzieś w głębi, jest jeziorem nienazwanej, nieopanowanej emocji, która co jakiś czas gwałtownie eksploduje i doświadczamy wtedy żalu albo radości, a czasem obu tych uczuć jednocześnie. Rodzaj katharsis, tymczasowe wyłamanie się ze starannie wyćwiczonej osobowości. Śmiałem się, kiedy spotkałem Dosta, ale gdy zobaczyłem znów Julę, zapłakałem.

Mieszkanko było bardzo małe i bardzo gołe. Dwa sznurowe charpaye zajmowały większość podłogi. Był stół zasłany papierami, z podstawką pod staroświecki kałamarz, pióro i stalówki. Kalendarz z okrągłutkim Ganeszem, który dosiadał szczura i obserwował wszystko ze ściany. Najbardziej zaskakujące były książki — setki książek ustawionych na półkach domowej roboty.

¹ toujours appropriée (franc.) — zawsze odpowiednia

488

— Wejdźcie, proszę, wejdźcie... — Wzruszyłem się, bo kiedy już siedzieliśmy wygodnie na charpayach, Mitra zaproponował nam herbatę, a potem powiedział, że z przykrością usłyszał o śmierci mojej matki.

— Maya-ji była niezwykłą osobą, Bhalu. Nie przesadzę, jeśli powiem, że zawsze stanowiła dla mnie inspirację.

— Byłaby z ciebie dumna, Mitra.

— Jula! Jula! — zawołała Phoebe. — Przepraszam, po prostu nie mogę nazywać cię Mitrą. Jaki świetny jest twój angielski!

— Studiowałem. Uczyłem się. Wszystko można, jeśli człowiek próbuje. No, prawie wszystko... Nie każde przedsięwzięcie kończy się sukcesem.

Wiedziałem od Dosta, że Mitra założył drukarnię, która upadła. Jakiś czas potem wstąpił do partii politycznej — Dost nie chciał o niej rozmawiać, bo przyłączyła się do sojuszu nacjonalistyczno-mundamentalistycznego, który doprowadził do zburzenia Babri Masdzid.

Mówiliśmy więc kiedy, kto, co i gdzie. Mitra opowiedział nam, jak odszedł z drukarni i wziął kredyt, żeby otworzyć własny interes.

— Chciałem wydawać książki. Pamiętasz? Właśnie twoja matka mnie do tego zachęciła. To było po tym, jak wyjechaliście do Anglii. Bardzo mi pomogła. Zacząłem więc drukować książki, które opowiadały nasze historie, z naszego punktu widzenia. Nie mówię wyłącznie o hinduskiej perspektywie, mówię o perspektywie z poziomu ziemi. Takiej, jaką znali ludzie z mojej wioski. Historia jest pisana przez rządzących i ich pomagierów, ale jedyna historia, którą warto zapisywać, to walka prostych ludzi o przeżycie.

Jakbym słyszał Maję.

— Sęk w tym, bhai, że ludzie żyjący na poziomie gruntu, przynajmniej w Indiach, często nie umieją czytać, a w każdym razie nie mają pieniędzy, które mogą wydać na książki. Miałem ogromne problemy z nakłanianiem szkół do kupowania książek, bo postrzegano je jako polityczne. Z pieniędzmi było krucho, interes podupadał. Czułem się pobity. Byłem zgorzkniały, zniechęcony. Ratowałem się, drukując polityczne pamflety. Okazało się, że to właśnie miała być moja przyszłość.

489
Przez działalność polityczną odzyskał szacunek dla samego siebie. — Ale nie przez zwykłą politykę. Nie mówię o pięknie brzmiących zasadach i obietnicach składanych, żeby zyskać głosy wyborców, ale o szczerzej, praktycznej robocie. Twoja matka w to wierzyła, Bhalu. I właśnie dlatego postanowiłem wstąpić do partii. Gdzie się toczy prawdziwa działalność społeczna w polityce? W Partii Kongresowej? BJP? Zapomnij. Przyłącz się do tych, którzy wchodzą między janata (zwykłych ludzi) i zakasują rękawy.

Mitra poświęcił wiele czasu, walcząc o bieżącą wodę i elektryczność dla mieszkańców slumsów, o kontrolę czynszów i ukrócenie wyzysku ze strony właścicieli kamienic.

— Słyszałem, że twoja partia jest antymuzułmańska. — Trzeba to było powiedzieć.

— To nieporozumienie. — Mitra szczerze się zasmucił. — Pracujemy dla naszego ludu. To znaczy maharashtrian. Większość ludzi mieszkających w tej okolicy ma podobne pochodzenie do mojego. Ale to nie czyni nas niczymi przeciwnikami.

— Dost opowiadał mi o zamieszkach.

Mitra machnął ręką w powietrzu, łapiąc niewidzialne muchy.

— Których zamieszkach? Zamieszek nie brakuje. W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym trzecim? O rozruchach? Co wam powiedział Dost bhai! Że to Hindusi byli podżegaczami, a muzułmanie niewinnymi ofiarami?

— Ktoś zaczął. Widzieliśmy zniszczenia, ślady pożaru w Dongri — odezwała się nagle Phoebe.

— Co się stało w tym kraju? — spytałem. — Jak wy dwaj mogliście się od siebie odsunąć? Byliście nierozłączni.

— To styl życia, a nie polityka nas dzieli. Dost to kochany chłop, ale można by go nazwać tapori, lekkoduchem. Brak mu gaandmirch. (Nie ma chili w tyłku).

Przynajmniej wciąż miał niewyparzoną gębę, która pakowała go w tarapaty, kiedy był mały.

— Jula, nie chce mi się wierzyć, że mógłbyś poprzeć przemoc — powiedziała Phoebe.

1 BJP (Bharatiya Janata Party) — prohinduska partia polityczna, która powstała w niepodległych Indiach

— Chodźcie, coś wam pokażę. — Otworzył drzwi i wypuścił nas na balkon, co spowodowało, że grupa kobiet i dzieci zebranych na zewnątrz rozpierzchła się w popłochu. — To ty budzisz ich ciekawość — rzekł ze śmiechem. — Twoje piękne złote włosy, Fever. Spójrzcie...

Na południu rozciągały się slumsy pełne klitek i szop. Kończyły się nagle na skraju rozległego pustkowia, miejscami bagnistego, gdzie zebrały się ogromne kałuże deszczówki. Po drugiej stronie znów się zaczynały.

— Po tamtej stronie mieszkają muzułmanie, w warunkach równie rozpaczliwych, jak ludzie tutaj. W czasie zamieszek mężczyźni po obu stronach zaczęli strzelać przez ziemię niczyją. Na tym budynku ciągle są ślady po kulach. Ale ja znam mojego odpowiednika stamtąd. Robi tę samą robotę, co ja, i często ze sobą współpracujemy. Phoebe, ja nie popieram przemocy. Nie lubię jej. Ale muszę z nią żyć, tak jak wszyscy tutaj. Wina leżała po obu stronach. Czy Dost opowiedział wam o hinduskiej rodzinie spalonej w chawlu takim jak ten? Nie jestem fundamentalistą. Ale trzeba też powiedzieć, że Hindusi w tym kraju czują się tak, jakby nie należało do nich zbyt wiele. Co to za demokracja, w której pragnienia większości są ustawicznie ignorowane po to, by uspokoić mniejszości?

— Jakie pragnienia? Masz na myśli zakaz uboju krów? — spytałem. — Przeczytałem gdzieś, że krowie odchody pomagają na rozstrój żołądka.

— Tak — odparł Mitra. — Przeciwdziałają też atakom serca i poprawiają pamięć, ryk krów koi pewne stany psychiczne, a zapach ich gnoju niszczy zarazki gruźlicy. Nie wolno też zapominać, że Pan Kriszna był pasterzem krów, a Budda doznał oświecenia po spożyciu kheeru.

— To coś w rodzaju słodkiego mlecznego puddingu — wyjaśniłem Phoebe.

— Jedliśmy to przedwczoraj w restauracji Dosta — powiedziała.

— Nie koniec na tym — ciągnął Mitra. — Pewien rosyjski uczony, którego nazwiska zapomniałem, utrzymuje, że mleko pomaga zwalczać skutki choroby popromiennej. A domy po-

491 kryte krowimi plackami są chronione przed szkodliwym pro. mieniowaniem...

— Wierzysz w to wszystko? — zapytałem.

— Wierzę, że gdyby nasi przywódcy w Delhi i gdzie indziej dbali tak samo o podstawowe prawa człowieka, jak o prawa krów, może warto byłoby na nich głosować. Z drugiej strony... — po jego twarzy przemknął szelmowski uśmiech — bardzo lubię krowy. Pamiętajcie, że tak jak Kriszna, też byłem pasterzem... choć Gaulan, Chandri i ta niesforna włóczęga Pandri nigdy nie zainspirowały mnie do wyrecytowania Bha-gavad Gity.

Rozległo się pukanie do drzwi i weszła kobieta z talerzami z jedzeniem, które postawiła na stole. Uśmiechnęła się nieśmiało, zasłoniła twarz sari i wyszła.

— Żona jest w pracy — wyjaśnił Mitra — więc sąsiedzi z zyczliwości się mną zajmują. Zjedzmy coś.

Posiłek był bardzo prosty. Ryż, dal i trochę warzyw z ciałkami owiniętymi w skrawki materiału, by nie ostygły. Absolutne przeciwieństwo pikantnych biryani i gurda kaledzi w Dżam-i-Dżam.

— Marynaty są domowej roboty — powiedział Mitra. — Rozpoznajecie te małe zielone kuleczki... podobne do fasoli?

Jagody kawanda.

— Jula, byliśmy w Ambona i widzieliśmy dom — odezwała się Fever. — Nikt tam po nas nie mieszkał... — Podobało mi się to „nas”. — Mój portret Rosie wciąż jest na ścianie!

— Ktoś go zostawił i pozwolił mu gnić — dodał Mitra. — Nikt nie wie dlaczego. Podobno kupił go jakiś wysokiej rangi policjant, przed wielu laty. Po wyprowadzce twoich rodziców, Bhalu. I tak została wywołana nasza historia. Słuchając, Mitra najpierw się zdumiał, a potem rozgniewał. Kazał nam wszystko powtórzyć, każdy szczegół, każde zdarzenie. W końcu powiedział:

— Bardzo bym chciał przygwoździć tego bahinchoda, który zrobił to twojej matce, Phoebe. I twojej też, Bhalu. Ale obawiam się, że muszę przyznać rację Dostowi. To strata czasu, rozgrzebywanie przeszłości. I rzeczywiście może to być niebezpieczne. Lepiej o tym zapomnieć.

492

— Chwileczkę! — krzyknęła Phoebe. — Jak mam o tym zapomnieć? Jak możesz lekceważyć

wszystko, co ci powiedzieliśmy?

— Ja tego nie lekceważę, ale nic nie mogę zrobić.

— Nic nie robiąc, pozwalasz, żeby to trwało. Wspierasz to.

W drodze powrotnej Phoebe milczała ponuro. Murad odwiózł nas inną trasą. Gdzieś w okolicy Girgaum zatrzymał nas policjant z drogówki. Z przodu dochodził śpiew.

Ganpati bappa morya purjya varsha laukarya Ganpati geley gavała chaiin pade re amhala

Pojawiła się ciężarówka pomalowana w fantastyczne wzory, wioząca jeszcze bardziej fantastyczny ładunek: ogromnego Ganesza, wysokości około trzech metrów, udekorowanego ornamentami, kwiatami i światełkami. Dwóch starców ryczało przez tuby religijne pieśni. Za nimi podążali mężczyźni bijący w dwustronne bębny i grający na cymbałach. Za parę tygodni odbędzie się doroczny festiwal Ganesza; jego wizerunek zostanie przeniesiony w jeszcze większej procesji na plażę Chowpat-ry i na zawsze oddany morzu. Dziwne, ale to najpopularniejsze ze wszystkich świąt (najpopularniejszego indyjskiego bożka) w znacznej mierze powstało z pomysłu działacza niepodległościowego Lokmanya Tilaka, który widział w nim szansę rozbudzenia gorączki patriotycznej, pod maską religijnej uroczystości.

— Stój! — zawołała nagle Phoebe. — Chcę pójść w procesji. Nie było szans się sprzeciwić, więc Murad i ja patrzyliśmy

tylko, wlokąc się z tyłu, jak Phoebe znika wśród rzeszy świętujących za ciężarówką. Co jakiś czas migała mi jej roześmiana twarz i jasne włosy. A potem zniknęła mi z oczu. Myślałem, że po kilku minutach znów się pokaże, lecz minęło pół godziny, a jej ciągle nie było.

— Wsiądę i poszukam jej — powiedziałem do Murada. — Jedź za mną.

493

I tak znalazłem się w samym środku procesji czcicieli Gane-sza, wśród roześmianych twarzy i kobiet rozdających prasad. Nigdzie nie widziałem Phoebe. Przebiegłem z jednego końca pochodu do drugiego i kilka razy przecisnąłem się wszcz, ale jej nie znalazłem.

Tymczasem Ganesz na ciężarówce dotarł na otwartą przestrzeń, gdzie miano wygłaszać mowy nawołujące do wsparcia finansowego. Tłum się rozrzedził i nie mogło już być wątpliwości: Phoebe zniknęła.

Bombaj w 1999 roku

Kilka godzin później, w hotelu, Phoebe wciąż nie było. Nie wiedziałem, co robić. Dost zadzwonił do mnie, po tym, jak zakłopotany Murad zaniósł wiadomość do Dongri. „Nie panikuj, rzekł. Pewnie jest jakieś proste wytłumaczenie. Może poszła na zakupy”.

Ale ja wiedziałem, że to niemożliwe. Zrobiła się siódma, potem ósma. Pięć godzin od zniknięcia Phoebe. Ogarnęły mnie mdłości. W głowie kotłowały mi się rozmaite przypuszczenia, co złego mogło jej się stać. Nie dawały mi spokoju myśli o tym, co mówił mi Zafyaue, o zbadanych przez jego organizację obrony praw człowieka przypadkach zaginięcia osób w areszcie, o krewnych, którzy o informację o zaginionych musieli błagać tych, którzy ich prawdopodobnie zamordowali. W końcu zatelefonowałem do brytyjskiego konsulatu, lecz usłyszałem tylko nagraną wiadomość, że urząd jest zamknięty.

Dziewiąta. Pora wiadomości w Anglii. Włączyłem telewizor z myślą że jeśli Phoebe miała jakiś wypadek, to będą o nim mówili. Niezliczone kanały z hinduską muzyką filmową, roztańczeni, rozśpiewani aktorzy. Magazyn biznesowy. Skacząc po kanałach w poszukiwaniu dziennika, usłyszałem słowa, które wcale nie poprawiły mi nastroju: „Naprawdę uważa pan, że jeśli policja jest skorumpowana, to my, a nie oni jesteśmy winni?”.

W studiu siedziało naprzeciw siebie dwóch mężczyzn: dziennikarz telewizyjny, który postawił pytanie, i jego gość — jak wynikało z napisu u dołu ekranu, był nim LUKE ORTO, REDAKTOR; odniosłem wrażenie, że jego miła powierzchowność całkowicie przeczyła poglądom, które głosił.

495

ORTO

Twierdzą, że korupcja to zło toczące społeczeństwo jako całość, a nie jakąś konkretną grupę zawodową. Może istnieje tylko dlatego, że ludzie gotowi są wręczać łapówki.

DZIENNIKARZ

A sami policjanci nie ponoszą żadnej odpowiedzialności za to, że je przyjmują?

ORTO

Czy byliby skorumpowani, gdybyśmy ich nie kusili? Gdyby pan był posterunkowym albo podinspektorem z piętnastoletnim stażem, który mieszka w walącym się chawlu i otrzymuje żalną pensję — mniejszą niż posłaniec w magistracie — też mógłby pan czuć tę pokusę.

Czy szantażysta, którego szukaliśmy, też był jednym z owych nieszczęśników gnieźdzących się w slumsach? Czy Sybil poszła do niego i błagała, żeby wziął pieniądze i nie pozwolił, by jej nazwisko przedostało się do prasy?

DZIENNIKARZ

Uczciwi ludzie mieszkający w podobnych warunkach mówią, że nie chcą płacić łapówek. Policjanci ich żądają. Ciągłe słyszy się opowieści o okrucieństwie policji.

ORTO

Wiemy, że jest paru policjantów, którzy dla pieniędzy zrobią wszystko, nawet wystąpią w roli cyngli. Ale odpowiedzią nie może być potępienie w czambuł całej policji. Musimy postawić winnych przed Biurem Anty-korupcyjnym. DZIENNIKARZ

A co ze „zbrojnymi starciami”, o których tyle się słyszy?

ORTO

Policjanci nie zostali „specjalistami od zbrojnych starć” dlatego, że lubią zabijać. To jest ich praca, która staje się drugą naturą. Ktoś musi to robić. DZIENNIKARZ

To znaczy co? Chodzić i szukać okazji do strzelaniny? Jak na Dzikim Zachodzie? Jak Wyatt Earp?

496

ORTO

Nasi policjanci nie mają wyboru. Są zmuszani do strzelania, bo postępowania sądowe są u nas długie i męczące, a odsetek skazanych niski. Prawo faworyzujące przestępców odziedziczyliśmy po Brytyjczykach. Ale nasza policja wygrywa w tej wojnie. Terrorysty i gangsterzy zostali nauczeni, kulą za kulę, że jeśli przyjeżdżają do Bombaju, to mogą go opuścić tylko w trumnie. Jestem przekonany, że gdyby naszej policji zdjąć polityczne kajdany, z dnia na dzień zmieniliby Bombaj w wolne od zbrodni, praworządne miasto.

„Lukę Orto, powiedział dziennikarz na zakończenie wywiadu, jest wydawcą «Society Samachar»”. Następnie, popełniając klasyczną freudowską omyłkę, dodał: „Pisze na różne tematy, lecz autorytatywnie i z pasją tylko o policji”.

Śniło mi się, że leżę w łóżku w hotelu Rudolf. W pokoju panowała ciemność. Usłyszałem drapanie czy chrobotanie do drzwi. Jakieś stworzenie z pazurami usiłowało dostać się do środka. W moim śnie leżałem, nie chcąc się zbudzić, przerażony tym, co jest za drzwiami. Znów rozległ się odgłos drapania paznokciami w stare drewno.

— Bha! to ja. Wpuść mnie.

Wyskoczyłem z łóżka i otworzyłem drzwi. Phoebe wtoczyła się do środka i omal nie upadła.

Złapałem jaj osunęła mi się w ramiona.

— Phoebe! Co się stało? Nic ci nie jest? Już zaczynałem wpadać w panikę.

— Nie wolno tego robić. Panika jest wulgarna — odpowiedziała z dziwnym śmiechem.

Uświadomiłem sobie, że jest pijana.

Zapaliłem nocną lampkę. Minęła trzecia rano. To niewiarygodne, ale na zewnątrz ciągle grała muzyka; Arabowie siedzieli na murku i urządzali jedną ze swoich całonocnych zabaw. Phoebe wyglądała okropnie. Makijaż jej się rozmazał. Usiadła w nogach mojego łóżka, w letniej sukience, którą włożyła na spotkanie z Mitrą.

497

— Masz coś do picia? — zapytała. — Jest powód do świętowania.

Pod szorstką beztroską w jej tonie było coś wyzywającego, jak u dziecka, które wie, że przeskrobało.

— Dlaczego uciekłaś w taki sposób?

Wyciągnęła papierosa, znalazła zapalniczkę i bardzo długo, aż stało się to denerwujące, próbowała ją zapalić.

— Powinieneś być ze mnie dumny — rzekła wreszcie, wypuszczając dym. — Rozwiązałam problem.

— Jak? Dokąd poszłaś?

— Na komendę główną policji.

— Co takiego? — Nic by mnie bardziej nie zaskoczyło, nawet gdyby powiedziała „do księgarni Shawa w Lewes”.

— Teraz jesteś zły. — Przesunęła paznokciem po moim policzku. — Gdzie trzymasz whisky? — Wstała, niepewnym płasem podeszła do mojej walizki i zaczęła szperać wśród bielizny. — No nie, Bhalu, ile to już tygodni, a ty jeszcze nawet się nie rozpakowałeś.

Nie powiedziałem jej tego, ale właśnie się spakowałem. Stwierdziłem, że muszę wracać do domu. Prawie miesiąc, a ja nie usłyszałem ani słowa od Kąty; kiedy do niej dzwoniłem, nikt nie podnosił słuchawki.

— Wyczerpały nam się pomysły — ciągnęła Phoebe, chlustając cyklopową dawkę do mojego kubka do mycia zębów. — Wiedziałam, że się nie zgodzisz. Więc musiałam zrobić to sama.

— To znaczy, iść na policję?

— Tak. Wybacz, że uciekłam się do takiej sztuczki, ale próbowałbyś mnie powstrzymać. Kłamie, pomyślałem.

— Nawet nie wiesz, gdzie jest komenda główna policji.

— Fakt. Więc wkręciłam się w ten hałaśliwy pochód, wyszłam po drugiej stronie i wzięłam taksówkę. I kazałam się tam zawieźć.

— Ale dlaczego? Co zrobiłaś, kiedy tam dojechałaś? — Przemknął mi przez myśl obraz Phoebe ciskającej cegłami w okna.

— Złożyłam skargę.

- Przeciw komu? O co? — Zaświtała mi przelotna nadzieja,
498

że może nabrał ją jakiś sklepikarz. Albo padła ofiarą napastowania, które prasa nazywa eufemistycznie (bagatelizując w ten sposób obrzydliwość występu) „kuszeniem Ewy”.

— Przeciwno człowiekowi, który szantażował moją matkę.

Opowieść Phoebe, o ile udało mi się nie zgubić jej wątku (Phoebe wciąż sobie przerywała irytującymi, zbędnymi dygresjami), brzmiała mniej więcej tak: wymknąwszy się Muradowi i mnie, wsiadła w taksówkę i kazała kierowcy wysadzić się przed komendą główną policji (przy wejściu wartownicy z karabinami — jak na nich mówicie, pandy? — nie, pandusi), weszła do środka i zażądała spotkania z prefektem. Rozbawieni policjanci przy okienku poinformowali ją, że to niemożliwe, ale ona nie chciała wyjść. Oznajmiła, że ma poważną skargę, i tylko sam prefekt może ją usłyszeć. Posadzili ją w którymś z pomieszczeń, gdzie czekała, aż wreszcie wyszedł do niej jakiś funkcjonariusz.

— Był przeuroczy. — Wypowiedziała to słowo z takim samym trudem, z jakim ja byłem w stanie jej uwierzyć. — Powiedział, że przykro mu, że musiałam czekać, i spytał, czy napiję się herbaty albo czegoś zimnego. Poprosiłam o herbatę i byłem pod wrażeniem, bo podali ją w biało-niebieskim czajniku z porcelany, na tacy, z mlekiem w dzbanuszkach...

— Tak, tak — przerwałem jej niecierpliwie. — I co mu powiedziałaś?

— Nie bądź głuptasem. A jak myślisz? Opowiedziałam mu całą historię.

— Całą historię? Wszystko?

— Tak. Wysłuchał bardzo grzecznie, ale sprawiał wrażenie trochę zakłopotanego. Jak gdyby był zbyt dobrze wychowany, by powiedzieć, że mi nie wierzy.

— A ty się temu dziwisz?

— Nie złość się, Bhalu. Rozwiązałam problem. W każdym razie, ten funkcjonariusz powiedział, że sprawa jest bardzo poważna i będzie musiał wezwać starszego stopniem kolegę. Kazali przynieść następną porcję herbaty. I samosy. Wszedł ten drugi policjant. Bardzo przystojny. Duże brązowe oczy, no i te idiotyczne wasy, które oni wszyscy noszą...

499

Nowo przybyły — Phoebe wyraźnie była pod wrażeniem jego urody (ilekroć wspominała, jaki był

przystojny, czułem ukłucie w żebra) — poprosił ją, żeby wszystko powtórzyła, a sam tymczasem robił notatki.

— Więc powiedziałaś mu, po co tu jesteś?

— Oczywiście. Musiałam mu wszystko powiedzieć.

— Czy to było rozsądne?

Zastanowiła się nad tym pytaniem, wciągając głęboko dym z papierosa.

— Co innego mogłam zrobić? Do niczego nie doszliśmy. Byłam rozzarowana, kiedy Dost odmówił nam pomocy. Potem, kiedy Jula kazał nam zrezygnować, nie mogłam tego dłużej znieść. Powiedziałam tym policjantom: „Może i upłynęło wiele lat, ale zostało popełnione straszliwe przestępstwo, a sprawca za nie nigdy nie odpowiedział”.

— I co oni na to?

— Że bardzo im przykro, że do czegoś takiego doszło. Nie wszyscy policjanci są tacy jak ten, na którego trafiła moja matka. Nadal miałam wrażenie, że nie wierzą w ani jedno słowo, ale powiedzieli, że zbadają sprawę i się ze mną skontaktują.

— Skontaktują się? Jak? Powiedziałaś im, gdzie mieszkamy?

— Nie musiałam. Już wiedzieli.

Jeśli miałem jakieś odczucia w związku z tym, co zrobiła — jak by nie patrzeć, wejście do jaskini lwa i poinformowanie go, że jest przedmiotem śledztwa, to czyste szaleństwo — zachowałem je dla siebie. Pozostało jeszcze tylko jedno pytanie.

— Czemu cię tak długo nie było?

— Och — roześmiała się. — Główny inspektor, z którym rozmawiałam, ten przystojniak, zabrał mnie na kolację. A potem poszliśmy potańczyć... Spójrzcie tylko na tę skrzywioną minę! Bha! nie możesz wiecznie być moim starszym bratem.

Wstała i przysunęła się, pochylając nade mną.

— Nie bądź zazdrosny, głuptasie.

Schyliła się i pocałowała mnie; poczułem spływający z jej języka smak brandy czy cokolwiek to było. Drżała, jak gdyby przez jej ciało przebiegał prąd.

— Bha! mogę zostać z tobą dziś w nocy?

500

- Oczywiście. — Nie spała w moim pokoju od wielu dni.

Sięgnęła za plecy z łatwością człowieka gumy, którą kobiety zdają się posiadać, rozsunęła zamek i ściągnęła sukienkę przez głowę. Stanik zsunął się prawie równocześnie, a pasek wokół jej bioder nie wytrzymał wiele dłużej. Widziałem to wszystko już wcześniej, lecz tym razem zachowywanie Phoebe było wyjątkowo zmysłowe. Przesunęła dłońmi pod biustem, potem dotknęła palcami brzucha (lekkko wypukłego, jak przystało na kobietę w średnim wieku) i z roztargnieniem podrapała się u nasady trójkąta włosów łonowych, jak gdyby poczuła tam lekkie swędzenie. Zwykle spała w drugim łóżku, lecz tym razem wsunęła się obok mnie; jej ciepłe ciało, wciąż rozedrgane dziwną energią, pulsowało niczym tysiące motyli skrzydeł.

„Ty też, powiedziała. Nic między nami”.

Zaczynało udzielać mi się podniecenie, które ją owładnęło, więc wstałem z łóżka, ściągnąłem piżamę i, nie bacząc na swoje wyraźnie widoczne rozbudzenie, położyłem się koło niej. Phoebe już spała.

Turbulentne sny. Tango, trampolina, trubadur, tank — sny zaczynające się na „t”, z absurdalnymi zakończeniami. Telefon musiał zadzwonić godzinę później. Już spałem. Nieprzytomny, podniosłem słuchawkę. Po drugiej stronie nikogo nie było, tylko odgłos podobny do chrapliwego dyszenia zwierzęcia. Może mi się przyśniło. Może przyśniło mi się też, że znów słyszę ciche pukanie do drzwi. Nazajutrz rano Shankar, ostentacyjnie odwracając wzrok od pukli jasnych włosów na mojej poduszce, powiedział, że nieco wcześniej do hotelu przyszło dwóch mężczyzn i o mnie pytało. Jakiego kraju paszport posiadam? Kto mnie odwiedzał? Jaki jest mój adres domowy?

Phoebe jeszcze spała, kiedy zadzwonił Dost. Miał wiadomość, o której należało pomówić. Nie przez telefon. Murad nas zabierze. Powtórzyłem mu relację Phoebe o przygodach z przystojnym inspektorem i powiedziałem o dwóch mężczyznach, którzy, jak twierdził Shankar, przyszli do

hotelu. Dost był poruszony.

— Twoja dziewczyna to nieszczęście. Sprawdź, czy z żoną jest wszystko w porządku.

Po raz kolejny zadzwoniłem do domu. W Lewes było w pół

501

do piątej rano. Pierwszy brzask nad równiną. Kąty musiała być w łóżku. Na pewno słyszała dzwonek na dole. Ale tak jak wcześniej, telefon dzwonił bez końca dryn, dryn, dryn, aż wreszcie odezwał się hotelowy operator i powiedział mi to, co sam już wiedziałem: „Abonent nie odpowiada, proszę spróbować później”.

Phoebe, obudzona moimi telefonami, ziewnęła, przeciągnęła się i potarła oczy; nie miała zamiaru się martwić. Włożyła sukienkę, pozbierała bieliznę i wyszła do swojego pokoju.

— Bhalu, jakiś facet nas śledzi, powiedział Murad z ustami pełnymi paan. Widzisz? Jakieś sto jardów za nami? Chudy saalaa na motorze? — Zręcznie strzyknął przez okno strumieniem czerwonego soku, o mało nie trafiając przechodnia, i zaczął rozmawiać przez telefon komórkowy. Zerknąłem na Phoebe, opartą na siedzeniu, z oczyma ukrytymi za ciemnymi okularami — po wczorajszych wyczynach musiała ją boleć głowa — ale oczywiście nie miała pojęcia, o czym rozmawiamy.

Pięć minut później w ślimaczym tempie zbliżaliśmy się alejką w Dongri do wąskiego skrzyżowania. Z bocznej uliczki wysunął się niebiesko-zółty nos sędziwej ciężarówki z obłuzowaną pokrywą silnika. Teraz utknęliśmy, pomyślałem, nigdy nie przejedziemy. Ale jakoś się prześlizgnęliśmy. Murad tylko się roześmiał. Ciężarówka, przesuając się centymetr po centymetrze przez skrzyżowanie, całkowicie zablokowała drogę i utknęła. Kierowca wyskoczył z kabiny i stał, patrząc na maskę silnika i potrząsając głową. Kilkadziesiąt metrów i kilka skrzyżowań dalej Murad skręcił w bramę magazynu, której wysokie skrzydła momentalnie się za nami zamknęły.

Phoebe prychnęła lekko przez nos i obudziła się.

— Gdzie jesteśmy?

Nie miałem pojęcia, ale tak czy inaczej nie odpowiedziałem, bo gdy przemykaliśmy przez bramę, doznałem nieoczekiwanej, przytłaczającej tęsknoty za domem. Wślizguję się przez tylne drzwi naszego domku i prawie słyszę jej głos, gdy krzyczy: „Nie trzeba pytać, gdzie byłeś”. Ogromne, puste podwórko cuchnęło politurą i wiórami. Kącik Prosiaczka, wypisz, wyma-

502

luj. Wszędzie, gdzie spojrzeć, stały meble, ozdobne indyjskie almirahy i łóżka z czterema słupkami, krzesła w stylu chippen-dale oraz stoły w różnych fazach wykończenia.

— Robimy tu antyki, wyjaśnił Murad bez cienia ironii. Wszystko na eksport.

Wprowadził mnie i słabo protestującą Phoebe na zaplecze, a potem wędrowaliśmy przez nieopisany labirynt przejść, łuków, balkonów, komór, sieni i podwórek, schodami i po płaskich dachach. W pewnej chwili wyszliśmy na jakąś podmurówkę i zobaczyliśmy rozpościerający się w dole stary bazar z dachami z czerwonej dachówki. Zewsząd, z gołębników, dochodziło trzepotanie skrzydeł i gruchanie. „Gołębie wyścigowe. Potrafią przelecieć stąd do Delhi”.

Dost siedział z mężczyzną drobnej postury, który przesunął okulary na czubek głowy. Nieznajomy roztaczał wokół siebie atmosferę oglądy i przynależności do innego świata, jak gdyby był uczonym, a nie, jak w rzeczywistości, krawcem.

— Bhalu, mój przyjacielu — rzekł Dost — nie możesz wrócić do hotelu. Doprawdy, nadszedł czas, żebyś przestał wreszcie odgrywać brytyjskiego dżentelmena i znów stał się Hindusem.

Niski krawiec zabrał się do roboty z centymetrem, biorąc mój naap, czyli męską miarę. Z wielką delikatnością powtórzył operację na Phoebe, która, jak zauważyłem, miała na sobie wczorajszą słoneczną sukienkę i, najprawdopodobniej, wciąż nic pod spodem. Doznawałem wobec niej szalenie sprzecznych uczuć; coraz trudniej mi było przywrócić do życia wspomnienie naszej dawnej przyjaźni i pogodzić je z moim raz po raz lekceważonym pożądanym. Ona zaś — byłem o tym przekonany — nie widziała już, patrząc na mnie, swojego bohatera, tylko słabość, tak bardzo pogardzaną przez moją matkę. Ogarnęła mnie 'ulga, gdy zobaczyłem kobietę, która stanęła w drzwiach i zawołała ją skinieniem dłoni.

— Poszedłem do pewnego człowieka — odezwał się Dost. — Nie musisz wiedzieć do kogo.

Bardzo stary, na wpół ślepy i tak graby, że prawie nie wstaje z łóżka. Co za smród!

503

Facet cierpi na jakąś paskudną dolegliwość, przez którą jego mieszkanie cuchnie szczynami. W każdym razie, podał mi nazwisko. Zapisałem je...

Podsunał mi skrawek papieru. Zapisanego na nim nazwiska nie rozpoznałem. Nic dla mnie nie znaczyło.

— Jesteś pewien, że to on?

— Niczego nie jestem pewien. A najmniej tego, że powinniście kontynuować swoje poszukiwania. Jeśli chcesz poznać moją szczerą radę, bierz Phoebe i wracajcie do Anglii.

— Jak możemy zdobyć adres tego człowieka?

— W tym nie mogę wam pomóc. — Po chwili zastanowienia dodał: — Ale Mitra mógłby, gdyby zechciał... Jego znajomi z politycznych kręgów.

Godzinę później byłem ubrany jak rodowity mieszkaniec Dongri. Spodnie od piżamy, związane tasiemką. Długi kameez w kolorze afgańskiej zieleni. Biała czapeczka z koronką. Do pomieszczenia weszła kobieta niosąca tacę z herbatą, ubrana od stóp do głów w czarną burkę. Postawiła ją ostrożnie na stole, a potem ukloniła się lekko w moją stronę.

— Dziękuję — powiedziałem w urdu. Kobieta zachichotała i odparła:

— Bhalu, wyglądasz jak wykapany Ali Baba.

Cynamonowy pył

Najdziwniejsze było to, że na ulicy, na bazarze, po raz pierwszy od lat poczułem się całkowicie jak u siebie w domu. Nikt nie obejrzał się za mną ani za odzianą w czerni muzułmanką u mego boku.

Szliśmy do domu Dosta; Murad prowadził, idąc kilka kroków przed nami. Ulica nie wyglądała już obco, była zwykłym miejscem, gdzie ludzie załatwiają swoje codzienne sprawy. Wchodzili do meczetu, żeby odprawić południowe modły. W każdym wschodnim mieście, stąd do Tangerangu, rozgrywały się podobne sceny. Jakie to dziwne^ pomyślałem, że ludzie w Anglii, mieszkający w schludnych, dobrze utrzymanych domach, każdego ranka jeżdżący metrem do City i co cztery lata kupujący nowy samochód, są szczerze przekonani, że wiodą normalne życie.

Minęło kilka godzin. Było upalne popołudnie, gdy Murad zjawił się z naszymi walizkami.

— Wasze rzeczy. Nie było łatwo je dostać. Policja znów węszyła, pytając o was. Znalazłem boya hotelowego, który powiedział, że spakuje wasze walizki. Myślałem, że będę go musiał przekupić, ale odmówił przyjęcia pieniędzy.

— Miał czerwoną tikkę na czole?

— Tak — potwierdził Murad. — Kazał powiedzieć, że pomaga z przyjemnością, bo zrobiłby wszystko dla madame.

Madame odpoczywała po swojej długiej nocy. Z sąsiedniego pokoju, gdzie spała, dochodziło ledwie słyszalne pochrapywanie. Jakie to charakterystyczne, że śpi sobie, nieświadoma trosk,

505

które wiły się w mojej głowie niczym kłęb robaków. Czemu policja nas szuka? Czy z powodu tego, co zrobiła Phoebe? Może chcieli tylko przekazać jej wyniki swojego śledztwa. A może nie...

Dlaczego Kąty ani razu nie odpowiedziała na telefon? Obok poczucia winy technienie lęku. A jeśli coś jej się stało? Przypomniałem sobie groźby pod adresem Mai. Czy powinienem zadzwonić do Prosiaczka? Ale jak? Prosiaczek nie był zwolennikiem telefonu. Nie było go na niego stać, a jeśli musiał zadzwonić, chodził do budki na High Street. Może zadzwonić do Białego Jelenia i zostawić wiadomość u Charlotte? Jedna część mnie chciała wsiąść w najbliższy samolot do domu, ale wtedy pomyślałem, w przypiływie czułości, o kobiecie śpiącej w sąsiednim pokoju, i ze zdziwieniem odkryłem, że większość skonfliktowanych głosów tworzących demokratyczną republikę Bhalu nalega, żeby doprowadzić naszą misję do końca.

Usadawiłem się na krześle na wprost wentylatora i rozejrzałem się za jakąś rozrywką, póki Dost nie wróci do domu. Nie licząc stosu magazynów filmowych, do spojrzenia na które nie mogłem się zmusić, królestwo Dosta było pozbawione wszelkich materiałów do czytania. Jakie przeciwieństwo w stosunku do naszego domku, gdzie żaden kącik nie był wolny od książek, a ubikacja służyła za małą biblioteczkę aktualnie studiowanych pozycji. W mojej walizce spoczywało ulubione dzieło

fabularne Killy'ego, które z lubością cytował na wieczornych przyjęciach. Indie w 1983 roku. Przewracając kartki, poczułem, jak atakuje mnie znajome uczucie odrazy. Już wcześniej zacząłem nienawidzić szyderczego tonu autora. Jednak im dłużej czytałem, tym mniej książka przypominała fabularną fikcję.

Po pierwsze, Narodowa Rada, posiadająca nieograniczoną kontrolę nad funduszami, była instytucją, której postępowanie każdy tubylec mógł całkowicie zrozumieć, podczas gdy nieczuły i nieprzekupny Anglik dawno został uznany za nieobliczalnego. Oto było ciało administracyjne, u którego można było liczyć na zrozumienie własnych słabości — które nadstawi uszu wujkowi pragnącemu zatrudnić swoich bratan-

506

ków, biedakowi z liczną rodziną, z sześcioma szwagrami i trzydziestoma sześcioma kuzynami, z których wszyscy potrzebują posady, które okaże zrozumienie przedsiębiorcy oszustowi — i na którego łonie drugi oszust, nadzorca, uznany za niezdatnego do służby w żadnej służbie administracyjnej, mógłby znaleźć gościnną przystań, a i zarobek. Dusze tych niewinnych i zacnych ludzi uradowały się, pieniądze zostały równo rozdzielone, a jeśli nie osiągnięto żadnej poprawy, to pewnie dlatego — o czym członkowie Rady dobrze wiedzieli, a czego Anglik nigdy nie był w stanie pojąć — że mieszkańcy Hindustanu z reguły wolą chodzić złą drogą, zamiast dobrą, i lubią znajdować urok w walącym się, brudnym seraju, którego dobrze utrzymany budynek dostarczyć nie może. Najwspanialsze było to, że w przypadku Komisji wiedziało się, na czym się stoi. Wszystko było urządzone na sposób orientalny, a na dnie charakteru tubylca istnieje głębokie zrozumienie dla orientalnych metod administracyjnych. Było absolutnie pewne, że większa część funduszy przyklei się do rąk członków Komisji, że cały personel będą stanowili ich krewni i znajomi, że żaden kontrakt nie zostanie zawarty, jeśli Prezes i Sekretarz nie dostaną słusznej prowizji, i że wszelkie zlecenia będą skonstruowane dokładnie tak, żeby przyczynić się do poprawy sytuacji Prezesa i członków Komisji. Wszystko to rozumiało się samo przez się, lecz w nikim nie budziło oburzenia, tylko proste pragnienie wzięcia udziału w podziale łupów.

Pomyślałem, że uprzedzeniem tego człowieka zadaje kłam szczodrość zwykłych ludzi, lecz politycy i szefowie policji w Indiach wychodzą ze skóry, by dowieść, że miał rację.

Nadszedł wieczór, pora gołębich lotów. Na dworze gorączka ciągle rosła. Jeden z owych dusznych wieczorów w środku monsunu. Zbliżała się nieprzyjemna noc, chyba że przyjdzie burza i oczyści powietrze. W moim portfelu spoczywał kawałek papieru z nazwiskiem. Kiedy wróci Dost, poproszę go, żeby

507

zorganizował drugie spotkanie z Mitrą. Zapadła ciemność, z ulicy w dole dochodziły wybuchy muzyki filmowej. Dost nie wrócił.

Musiała być jedenasta, kiedy rozległo się pukanie do drzwi. Wszedł młodociany kelner, który flirtował z Phoebe przy podawaniu herbaty. Przynosił wiadomość od Dosta. Mieliśmy natychmiast wyjść z domu. — Idź w miejsce, które znałeś wiele lat temu. Dost-wujek będzie tam na ciebie czekał. Powiedział, żeby nie zwlekać, nie zadawać pytań. Chodźcie ze mną, pokażę wam drogę. Wszedłem do sąsiedniego pokoju, żeby zbudzić Phoebe, i zobaczyłem jej długą czarną tunikę rzuconą na podłogę. Ona zaś leżała skulona nago na łóżku. Światło wsączające się z zewnątrz głąskało jej policzki, dotykało wzniesień i zagłębień jej ciała. Wyglądała bezbronne i po prostu ślicznie. Potrząsnąłem ją łagodnie za ramię, a potem mocniej, aż się poruszyła.

— Phoebe — szepnąłem. — Musisz wstać.

— Taka jestem zmęczona — wymruczała sennie.

— Musimy stąd natychmiast wyjść.

— Ale dlaczego? — zaprotestowała. — Dopiero przyszliśmy.

— Dost tak mówi. Policja nas szuka.

Usiadła i otworzyła szeroko oczy, jak gdyby mogły rzucić światło w ciemność.

— Policja? Czemu mielibyśmy się tym martwić? Zastanowiłem się nad tym i przyznałem, że nie wiem.

— Oni są teraz naszymi przyjaciółmi — powiedziała. — Pomogą nam.

Czy była tak strasznie naiwna, tak przekonana o swej atrakcyjności, zdolności oczarowywania mężczyzn, że naprawdę wierzyła w to, co mówi? To była jedna z tych chwil w owym czasie, które zapamiętałem najlepiej — wtedy stało się dla mnie jasne, że nigdy jej nie zrozumieć.

— Chodź tu — mruknęła. — Połóż się. Uwielbiam spać na twoim ramieniu.

Wyglądała tak pociągająco, że mimo ogromnego niebez-

508

pieczeństwa, mimo faktu, że w drugim pokoju czekał na nas chłopiec, a coś, Bóg jeden wie co, zbliżało się do domu Dosta, ogarnęło mnie pragnienie, żeby się rozebrać i z nią kochać. Było dla mnie zagadką, że tak często zbliżaliśmy się do tego, ale zawsze zdarzało się coś, co nam to uniemożliwiało. Wyciągnęła rękę.

— Chodź — powtórzyła. — Daj się utulić.

Już w chwili, gdy odpowiedź formowała się w mojej głowie, pomyślałem, że to, o co chcę ją prosić, jest głupie — szalone, wzięwszy pod uwagę okoliczności — lecz głosem tak szorstkim i zdławionym emocjami, że ledwo go rozpoznałem, tym bardziej że w uszach słyszałem gwałtowne dudnienie, powiedziałem:

— Phoebe, nie chcę, żebyś mnie tuliła, tylko żebyś się ze mną pieprzyła.

Powoli opuściła ramiona. Jej twarz przybrała prawie błagalny wyraz. Uśmiechnęła się.

— Bhalu...

Bicie mojego serca zamieniło się w łomot dochodzący gdzieś z głębi klatki piersiowej. Odgłos kroków na schodach. Chłopiec w sąsiednim pokoju krzyknął:

— Bhalu-ji, jacyś ludzie tu są!

To, co nastąpiło później, było tak dziwne, że często wątpię, czy w ogóle się zdarzyło. Może wcale nie było rzeczywistością, tylko snem...

Czekaliśmy w ciemności zalegającej w dawnej bramie Mo-osy, z plecami przyciśniętymi do żelaznej kraty, która kiedyś strzegła naszego królestwa. Za nią było podwórko, które pamiętałem, z krzewem limony i drzewkiem frangipani oraz schodami prowadzącymi do magazynu, o którym Mitra, w innym życiu, powiedział mi, że ma klimatyzację — po to, by haszysz zachował świeżość. Co najmniej pół godziny upłynęło, od kiedy malec przyprowadził nas tutaj i odszedł, mówiąc: „Siedzicie w ukryciu. Bądźcie cicho. Nie ruszajcie się, aż przyjdzie Dost-wujek”. Phoebe przytuliła się do mnie mocno. Czuję, że pod czarną tuniką jest naga. Odsunęła woalkę. Światło przesunęło się po jej profilu, rozpałiło kosmyk włosów.

509

Przechyliła głowę w charakterystyczny, pytający sposób. Mimo że noc była parna, drżała. W załomach alejki kryły się cienie, widać było samotną latarnię uwieczoną w mgielce much.

Od chwili, gdy wyrzuciłem z siebie te słowa, na które nie zdążyła odpowiedzieć, zachowywała się jak baranek. Uleciała z niej wszelka zadziorność. Wciągnęła tunikę przez głowę i poszła za mną, ściskając mnie za rękę. Szła za mną krok w krok. Chwilami, gdy podążaliśmy za młodocianym kelnerem tylnymi schodami, korytarzem, wychodząc przez jedno z niezliczonych drzwi — domiszcze przypominało króliczą norę — widziałem jej twarz uniesioną ku mnie. Było tak, jakby znów stała się ufną dziewczynką, szczęśliwą, że może złożyć w moje ręce swoje bezpieczeństwo. Z daleka, z głębi bazaru dobiegł jakiś okrzyk. Phoebe drgnęła, krzyżąc cicho ze strachu.

Położyłem palec na jej ustach. Ja też się bałem, lecz melodramatyczność tej sytuacji mnie irytowała. Na pewno jakaś nocna hulanka. Zmusiłem się, żeby myśleć o czymś innym niż lęk. Gapiłem się na znajomy budynek naprzeciwko, jego architekturę, próchniejące framugi, warstwy łuszczącej się farby i osmalony napis CURRY PRZEDZE.

Kiedyś był to skład przypraw korzennych. W cichy wieczór, powiedział mi pewnego razu Dost, można złapać w usta posmak cynamonowego pyłu. A może to zapach jej włosów? Jak pętla historii — opowieści — mogły przynieść nas tutaj, w niebezpieczeństwie, do miejsca, gdzie siadywałem niegdyś na char-payach, wysnuwając wszechświat? Phoebe drżała coraz bardziej. Otoczyłem ją ramionami, żeby uspokoić, a ona schowała głowę na moim ramieniu. Pochyliłem się i pocałowałem ją w czoło; uniosła ku mnie twarz. W słabym świetle widziałem ślady łez na jej policzkach. Z brawurą, od której byłem jakże daleko, powiedziałem:

— Nie martw się, Fever, zaopiekuję się tobą. O czym myślał architekt, gdy projektował te okna? Drewniane okiennice przywodziły na myśl gmachy z dawnych stuleci. Dla mnie, pamiętającego, jak wyglądał budynek, kiedy byłem naprany, ulica miała atmosferę starożytnych Indii. Była alejką w tysiącletniej metropolii, Pataliputrze, stolicy cesarstw Maurya i Gupta. Mitra, Dost i ja byliśmy nagankami, młodymi bywał-

510

cami najmodniejszych lokali w mieście. Naganka miał pewne obowiązki, które zasadniczo polegały na sprawianiu sobie przyjemności. Poczesne miejsce wśród nich zajmowały amory z interesującymi damami. Mędrzec Vatsyayana napisał książkę zatytułowaną Kamasutra, zawierającą szczegółowe instrukcje, jak niezawodnie uwodzić żony innych mężczyzn. Z dzienników Sybil wiadomo, że Pan Love trzymał egzemplarz tej książki przy łóżku — Pan Love, którego morderstwo posłużyło do ukrycia innej, potwornej zbrodni, ta zaś pozostała nieodkryta, a jej sprawca bezkarny. Czy nie taką właśnie wiadomość otrzymała Phoebe w czasie seansu, drugiego seansu, na który poszła sama, po moim odlocie do Bombaju, od nieżyjących już Mai i Sybil? Od naszych matek kierujących naszymi przeznaczeniami: jedna z za stosu, a druga z za grobu. Bądźcie ostrożni, ostrzegały, „groźby” są wciąż żywe. Pan Love nie żyje, lecz nie zażywa jeszcze spokoju.

Gwizd z ciemności. Mały kelner. Murad czeka na rogu. Szybko.

Wyszliśmy z bramy i ruszyliśmy za nim.

— Biegiem — syknął malec. Pobiegliśmy więc; taksówka czekała, a chłopiec trzymał otwarte drzwi. Zatrzasnął je i wskoczył na fotel obok Murada.

— Na świętego Mojżesza — powiedział. — Chcecie zginąć? Właśnie odjeżdżaliśmy, kiedy zobaczyłem postacie zbliżające się do bramy Moosy. Niewyraźne cienie trzymające w rękach jakieś długie przedmioty, może kije. Lecz w świetle latarni błysnął metal.

— Co się dzieje? — spytałem. — Dokąd teraz jedziemy?

— W Dongri nie jesteście już bezpieczni — odparł Murad. — Słowo się rozeszło. Nie wszyscy tutaj są naszymi przyjaciółmi.

— Skąd oni wiedzieli...? — Ale na to pytanie sam mogłem sobie odpowiedzieć. Pierwszego wieczoru chodziliśmy po dzielnicy, wypytywaliśmy o Dosta i opowiadaliśmy o Moosie.

511

— Musicie iść do Mitry — rzekł Murad. — Dost dzwonił do niego. Wie, że jesteście w drodze. Tam będziecie bezpieczni. Ale musicie wyjechać z Bombaju, najprędzej jak to możliwe.

Okolica, przez którą przejeżdżaliśmy, stawała się coraz bardziej zaniedbana i nędzna. Wzdłuż drogi stały budy z dachami z blachy falistej i czarnego polietylenu.

— Będzie bezpieczniej, jeśli wysadzę was tutaj — powiedział Murad. — Idźcie za chłopakiem. On zna drogę.

Wysiedliśmy w miejscu, gdzie pod murem stał rząd ręcznych wózków. Na krawędzi jednego z nich siedziała urodziwa kobieta, próbująca nakłonić swoje dziecko, żeby napiło się z metalowego kubka. Dziecko zaśmiało się i upuściło kubek do rynsztoka. Kobieta sięgnęła, podniosła naczynie, wytarła je w sari i spróbowała ponownie. Dziecko znów je wyrzuciło. Ubrana w czerni mużulmanka zatrzymała się, podniosła kubek i podała matce; ta wypowiedziała słowo podziękowania, na które kobieta w czerni nie zareagowała.

Ruszyliśmy za chłopcem, który szedł powoli przed nami, już trochę się oddaliwszy, odwracając się od czasu do czasu i spoglądając, czy za nim nadążamy. Tak jak pouczył nas Murad, Phoebe szła krok za mną. Nie wiedziałem, co myśli. Po chwili malec skręcił w boczną uliczkę, jasno oświetloną na pierwszych kilkudziesięciu metrach, ze sklepami i lokalami po obu stronach: tekstylia, skład garnków i patelni z rzędem aluminiowych wiader wiszących nad wejściem, kafejka, z której drzwi wylewała się muzyka filmowa, a w środku stał mężczyzna smażyący pakorą w głębokim, zakrzywionym rondlu. Grupka dzieciaków, prawdziwych sadak chhaap, stała nieopodal, krzycząc coś do kucharza, który ich ignorował. Nasz mały przewodnik minął już swoich rówieśników, gdy kucharz zanurzył łyżkę i rzucił w stronę dzieciaków skwierczącą pakorą. Mała dziewczynka złapała ją w powietrzu i wrzasnęła z bólu. Kucharz patrzył ze śmiechem, jak zongluje kiełbaską, żeby ją

uratować. Uciekła w noc, ścigana przez towarzyszy. Phoebe mruknęła coś z tyłu, czego nie zrozumiałem. Odwróciłem się. Kuśtykała, i dopiero teraz uprzytomniłem sobie, że jest bosa. Nawierzchnia drogi była tu dziurawa, z ostrymi kamieniami sterczącymi z asfaltu. Po ostatniej ulewie w dziurach zostały rozległe kałuże, i bosa

512

stopy Phoebe szurały po ich dnie. Chłopiec szedł przed nami bez wahania, jego drobna sylwetka migąła raz po raz w blasku ulicznych latarni. Smugi dymu z drewna rozsnuły się nad drogą. Latarnie wyrastały coraz rzadziej, ich błada poświata rozlewała się najpierw co dziewięćdziesiąt, a potem co dwieście metrów, aż wreszcie nie było jej wcale. Teraz jedynym oświetleniem były mdłe błyski z drzwi domów. Przechodzący ludzie wyglądali jak cienie w ponurym mroku. Pięciu mężczyzn siedziało na sznurowym łóżku, z kolanami podciągniętymi pod brodę, plecami do ściany — pięć pomarańczowych ogników w ciemności. Nagle niebo zagrzmiało. Gdzieś zawył pies. Błysk pioruna w chmurach wiszących nisko nad naszymi głowami, ruch w nabrzmałym powietrzu. Chłopak zerknął za siebie, by upewnić się, że wciąż depczemy mu po piętach, i skręcił w alejkę, szeroką na kilka metrów, ograniczoną zatkanymi rynsztokami, prowadzącą między budy zrobione z drewna i spleaszczonych puszek. We wnętrzu jednej z nędznych siedzib kobieta o okrutnej twarzy kołysała niemowlę. W innej budzie, jaśniej oświetlonej nagą żarówką, mężczyzna rąbał mięso tasakiem, rzucając kawałki na stos. Kałuża krwi, zebrana na ziemi, sączyła się przez otwarte drzwi i spływała czarnymi żyłkami do rowu pełnego kosmatych zarośli. Spostrzegłem, że tam, gdzie z drzwi padał snop światła, tworząc na ziemi jasną plamę, chłopiec okrążał ją, wchodząc w cień. W pewnej odległości przed nami pojedyncza żarówka rozsiewała słaby tytoniowy blask. Za nią alejka zwięzała się w błotnistą ścieżkę, a budy z desek i puszek ustąpiły miejsca szafasom ze szmat, kawałków plastiku i podartych worków. Coraz trudniej było cokolwiek zobaczyć. Chłopiec przyspieszył i po chwili zniknął. Alejka skończyła się, rozpląnęła w mroku. W moje nozdrza wtargnęło powietrze, gęste od dusznej woni śmieci; z jakiegoś miejsca nieopodal, ni stąd, ni zowąd przypominając mi Maję, dobiegł zapach kobrowego jaśminu. Moje oczy przywykły do ciemności i objęły widok rozległej, zasłanej śmieciami przestrzeni, za którą unosił się dym. Znow błysnęło, oświetlając dalsze połacie wysypiska. Wziąłem Phoebe za rękę. Nic nie mówiła, lecz znow wyczuwałem, że się boi, a z jej okrzyków zgadywałem, że cierniste zarośla i odłamki cegieł ranią ją boleśnie w stopy. Bez słowa

513

wziąłem ją na rękę i poniosłem. Coś powiedziała, lecz słowa utonęły w głośnym grzmocie, który przetoczył się po niebie. Pierwsze krople deszczu uderzyły mnie w twarz. Phoebe była zaskakująco lekka; pochylilem się i zacząłem prawie biec, rozglądając się za malcem. Nigdzie nie było go widać. Był gdzieś daleko przed nami, zniknął w mroku, zostawiając nas w samym środku pustkowia. Nie wiedziałem, co robić. Zawrócić? Z tyłu wciąż widziałem niewyraźne błyski światła migające w budach, które zostawiliśmy za sobą. Miałem portfel i karty kredytowe. Może gdybyśmy dotarli do głównej ulicy, udałoby się nam znaleźć taksówkę i zamelinować w jakimś cichym hoteliku, gdzie nikomu nie przyszkłoby do głowy nas szukać. Z części dzielnicy, przez którą przeszliśmy, dobiegły krzyki. Pewnie nie miały nic wspólnego z nami, ale pomogły mi podjąć decyzję. Deszcz padał teraz na poważnie, a ja ostrożnie stawiałem stopy na nierównym gruncie, zmierzając w stronę studni jeszcze głębszej ciemności, okrągłej dziury w mroku nocy. Był to pusty otwór betonowej rury kanalizacyjnej o średnicy metra, która musiała tam leżeć od dawna, bo pod jej łukiem wyrósł krzew lantany. Gdy podeszliśmy, z jej drobniutkich, gorzkich kwiatków poderwała się chmura ciem...

— Zatrzymamy się tu, Fever — powiedziałem. — Schronimy się przed deszczem. Chłopak wróci i nas znajdzie.

— Kiedy byłem mała, zawsze myślałam, że się pobierzemy — odparła cicho Phoebe. — Ale nigdy nie pomyślałam, że przeniesiesz mnie przez taki próg.

Po chwili siedzieliśmy ściśnięci wewnątrz rury, nasze twarze były tak blisko siebie, że czułem jej oddech na moim policzku. Nadal drżała; obejmowaliśmy się, czułem bicie jej serca.

— Bhalu, to o co poprosiłeś, tam... — szepnęła. — Nie powinienem był tego mówić. Przepraszam.

— Jej wargi znalazły w ciemności moje usta i odpowiedziały na tamto pytanie. Wzięła moją rękę i skierowała ją na swoją pierś, a potem poprowadziła niżej. Wierciła się, aż długa tunika przesunęła się w górę, a moje palce dotknęły delikatnej skóry jej ud. Znów ujęła moją dłoń i położyła ją tam, gdzie chciała. — Czy jeszcze wątpisz, kochany? — spytała. Znów mnie pocałowała, odsunęła się i powiedziała, gmerając palcami przy tasiemce u mojego

514

pasa: — Chciałam to zrobić od pierwszej chwili, gdy cię odnalazłam, ale nie śmiałam, bo byłeś żonaty i kochasz Kąty. — Mówiła to, jednocześnie pracując nade mną palcami. — Nigdy nikogo nie kochałam tak jak ciebie... jesteśmy tak blisko, że nie potrzebujemy tego robić. — Słowa płynęły z jej ust strumieniami. — Naprawdę chcesz? Kochanie, zrobię wszystko, czego pragniesz, ale może powinniśmy przestać... — Nie przestałem. W tej ciasnej przestrzeni jakoś udało mi się na nią wgramolić. — Nasi rodzice... Bhalu, czy nie to właśnie wpędziło ich w tarapaty? — Wciąż mamrotała, przekonując mnie, bym przestał, a jednocześnie ściągając mi piżamę i rozchylając uda. Pomyślałem o Kąty i o zdradzie, ale potem przypomniałem sobie koncert egzotycznych ptaków. Na zewnątrz zaczęła się rześista ulewa. Krople wody dudniące w pustą rurę zagłuszały najpierw jej słowa sprzeciwu, a potem nasze wspólne okrzyki rozkoszy i wstydu.

Aati kya Khandala?

Poranne światło wsączyło się do wnętrza rury i padło na dwoje ludzi splecionych w uścisku, z ubraniami w nieładzie. Ile razy tej nocy? Nasza namiętność, spotęgowana strachem, zdawała się niewyczerpana, jak gdybyśmy w jedną noc pragnęli wyrazić wszystko, co kiedykolwiek do siebie czuliśmy. Biła od nas woń seksu.

— Bhalu, gdzie my, do diabła, jesteśmy?

— W rurze kanalizacyjnej gdzieś w środku Bombaju. Ścigani przez bandę desperados.

Roześmiała się.

— Jakie to dziwne, że czuję się taka szczęśliwa.

Wyczołgaliśmy się na zewnątrz. Porywisty wiatr ciskał zasłony deszczu na wysypisko, po którym wędrowaliśmy wczorajszej nocy. Na południu, skąd przyszlismy, widać było niską linię slumsów. Przed nami rozciągało się pustkowie pełne zbiorników stojącej wody i rozpadających się budynków. Bezludny teren wydawał się mniejszy niż w ciemności. Z przeciwnej strony, niewiele dalej, rysowała się draga poszarpana linia dachów.

— Ktoś idzie — powiedziała Phoebe.

Od południa zbliżały się dwie postacie pod parasolem, jedna znacznie wyższa od drugiej. Gdy podeszły, zobaczyliśmy że to nasz mały przewodnik w towarzystwie zatroskanego Dosta.

— Bogu dzięki, że jesteście bezpieczni — powiedział do mnie Dost.

— Nie poszli za mną — wyjaśnił chłopak. — To nie była moja wina. Wróciłem i szukałem ich, ale zniknęli.

— To naprawdę nie jego wina — potwierdziłem. — Zgubiliśmy się.

516

— Gdzie spędziliście noc? — spytał Dost.

— Co on mówi? — zapytała Phoebe. Przetłumaczyłem.

— Och — odparła. — Znaleźliśmy sobie przemiły hotelik. Spoglądając to na jedno, to na drugie z nas, Dost powiedział:

— Nie śmiem pytać, coście razem wyprawiali. Ta kobieta jest niesamowicie bindaas.

— Czy to komplement? — Nie znałem tego słowa.

— To znaczy... trudno wyjaśnić, co to znaczy. Ale tak, to chyba był komplement.

Wciąż czułem opiekuńczość w stosunku do Phoebe. W luźnej czarnej tunice, bez niczego pod spodem, boso, wydawała się taka mała; wcale nie przypominała wyzywającej damy, którą potrafiła być, a to, co robiliśmy, napełniało mnie czułością.

— No dobrze, twoja dziewczyna musi się przebrać. Tam — Dost wskazał ręką na północ — mieszka Mitra. Ale to bastion Hindusów, więc Phoebe będzie się trochę rzucała w oczy, jeśli pójdzie tak ubrana.

— Ona nie może się przebrać.

— Czemu? Nie może po prostu zdjąć burki? Kiedy mu powiedziałem, westchnął.

— Miałem rację, bindaas.

Pół godziny później Dost i mały chłopiec, a za nimi dwoje ludzi o wątpliwym wyglądzie — sądząc po ubraniach, Pathan z Dongri w towarzystwie żony, okrytej burką od stóp do głów, a sądząc po sposobie, w jaki trzymali się za ręce i szli tuż obok siebie, bardzo w sobie zakochani — wkroczyli w alejki dzielnicy Mitry, ściągając na siebie spojrzenia kobiet napełniających dzbany z przydrożnych hydrantów i mężczyzn chodzących za swoimi codziennymi sprawami. Kiedy po szelmowsku spyaliśmy, jak znaleźć Mitrę Kashele, odpowiedział nam tuzin zdziwionych głosów. Twarz Mitry, gdy otwierał nam drzwi, wyrażała ulgę pomieszaną z gniewem. Wciągnął nas do środka i odwrócił się do Dosta:

— Rozum ci odebrało? Dlaczego przyprowadziłeś ich tutaj ubranych w ten sposób? Będziemy musieli ich stąd zabrać.

— Yaar, to tak wita się starego przyjaciela? Ta dama nie ma nic pod spodem.

517

Mitra przyjął to do wiadomości, nie zmieniając rytmu kroku.

— A Bhalu? Wygląda jak jakiś kabulczyk spółkujący pokąt-nie z wielbłądzicami. Będą musieli się przebrać.

Po godzinie Phoebe zjawiała się w długiej spódnicy, a ja — ponieważ żadne spodnie Mitry na mnie nie pasowały — wcisnąłem się w dhoti i zgrzebną koszulę maharashtrańskiego wieśniaka.

— Muszą zostać u ciebie — rzekł Dost. — W Dongri nie jest bezpiecznie. Ktoś ich szuka, przeczesuje całą dzielnicę. Przyszli jeszcze raz do hotelu w Colaba. Nasi przyjaciele będą musieli zniknąć. — Potem, zwracając się do mnie, dodał: — Znów wyglądasz jak cholerny Hindus w każdym calu.

— Mam adres — powiedział Mitra do Dosta.

— Tylko, na miłość boską, nie mów Phoebe — odparł Dost. — Po prostu zabierzmy ich jak najprędzej z miasta.

— Nie sądzisz, że powinni mieć wybór, po tym wszystkim, co przeszli? — zaproponował Mitra.

— Nie rozmawiajcie o nas tak, jakby nas tu nie było — wtrąciłem się do tej wymiany zdań. — Jaki adres?

— Adres Pana Szatana — odparł Mitra. — Dowiedziałem się, gdzie mieszka nasz szantażysta. To kilka godzin jazdy od miasta, ale znam dobrze tę okolicę... Myślę, że powinniśmy powiedzieć Fever. Ale miejmy nadzieję, że doświadczenia ostatniej nocy — tu posłał mi krzywe spojrzenie — czegoś ją nauczyły.

— Więc jest nas czworo w samochodzie — stwierdził Dost, kiedy Phoebe wyraziła swoje zdanie.

— Jak to czworo? — zdziwił się Mitra.

— Murad za kierownicą, Bhalu, Phoebe i ja — odparł Dost.

— Pięcioro — sprostował Mitra. — Ja też mam rachunek do wyrównania. — Do mnie zaś rzekł:

— Robię to dla twojej matki. — Odwracając się do Dosta, powiedział: — I oczywiście dla twojego słynnego ptaszka.

Zdarzenia tego dnia przesuwały się w mojej głowie w przód i w tył, jak film. Jazda przez ghaty w ulewie. Julia — Phoebe nie pozwoliła nam nazywać go Mitrą—siedzący obok Murada.

518

Ona na tylnym siedzeniu, między Dostem i mną. Korek ciężarówek zatarasował cały podjazd pod górę. „To jeszcze nic, stwierdził Murad. W zeszłym miesiącu były obsunięcia ziemi. Powstał zator długi na sto kilometrów, rozładowanie go trwało cały dzień”. Minęliśmy kilka przewróconych ciężarówek, które padły ofiarą stromych podjazdów i ciasnych jak agrafka zakrętów. Przed nami wielotonowe wozy wspinały się po dziurawej nawierzchni w chmurach spalin z ropy. Tłok albo jakaś awaria wyżej na drodze często zmuszała je do zatrzymywania się. Trudno im było ruszyć ponownie, ciężkie ładunki ściągały je w dół, koła obracały się, aż szedł z nich dym. Wtedy z kabiny wyskakiwał mężczyzna i podkładał kamień wielkości melona pod tylną oponę. Ciężarówka wyrwała przed siebie jak sprinter z bloków startowych, a facet pędził, żeby wskoczyć z powrotem, zostawiając głąz na drodze. Ghat był usłany takimi bryłami. Może kierowcy ciężarówek zostawiali

je kolegom. Wszystko, byle tylko uniknąć wzywiania na pomoc spryciarzy na motorynkach, którzy kręcili się wśród wjeżdżających mozolnie pod górę samochodów, szukając awarii. „Tysiąc rupii za uruchomienie ciężarówki”, oświecił nas Murad. Kiedy wóz przed nami zatrzymał się nagle, szalejący mechanicy opadli go jak muchy gnijący ochłap. „Nie da rady pod górę — stwierdził Murad. — Ochrczą mu paliwo w baku. A potem wrócą po następną opłatę. Zedrą z niego kupę forsy”. Wspinaliśmy się z wolna, wśród strumienia zabytkowych ciężarówek, obok świątyni Hanumana, aż w końcu po prawej stronie ukazał się spowity chmurami, rozszczępiony wierzchołek Książęcego Nosa. Kilka minut później znaleźliśmy się na krawędzi urwiska i spojrzeliśmy na bezkresny widok rozciągający się z Khandali. Wszędzie wokół góry o dziwnych, pozieleniałych od deszczu kształtach, pocięte były wodospadami jak nieregularnymi smugami lodu.

— Julia, powtórz, dokąd my właściwie zmierzamy? — poprosiła Phoebe. — Czy po minięciu Khandali wjedziemy na drogę do Ambona?

— Aati kya Khandala — zanucił niespodziewanie Dost. Była to piosenka, którą mały kelner zaśpiewał Phoebe w knajpie.

519

Ambonę mein chikki khaenge Waterfall pe jayenge Khandala ke ghat ke ooper Photo kheechke aaenge Haan bhi karta naa bhi karta Dii mera deewana Dii bhi sala party badle Kaisa haijamana Phone laga tu apne dii ko jara Pooch le aakhir hai kya majra Arey pal mein phisalta hai Pal mein sambhalta hai Confuse karta hai, bas kya?

— Co to znaczy? — spytała Phoebe. Jak na kogoś, kto lada chwila ma stanąć twarzą w twarz ze swoją nemezis, zachowywała niesamowicie zimną krew.

— To bezsensowna przyśpiewka — stwierdził Julia. — Właściwie nie potrzeba jej tłumaczyć, bo i tak jest w połowie po angielsku. Wodospady... zdjęcia... kobieta, która nie może podjąć decyzji... ogłupiałe, biedne serce. — Odwróciwszy się do mnie, dodał: — Madzrooh, poeta — pamiętasz go, Bhalu, był przyjacielem twojej matki — orzekł, że ta piosenka jest hańbą hinduskiej poezji.

Spełniając mimo to prośbę Phoebe, zaśpiewał:

W Ambona chikki zajadając

Ku wodospadom zmierzając

Na Khandali ghat szczycie

Zdjęcie pstryk

I tak mówi, i nie mówi

To skołowane serce moje

Zmienia strony, skrwawione serce

(Dokładnie tak jak cholerni' politycy)

Och, w jakich czasach żyjemy

gra słów; bloody może oznaczać krwawy, skrwawiony, ale także cholerny

520

Minęliśmy zjazd prowadzący do Ambona. Kilka kilometrów dalej niepozorna dróżka wspinała się przez las tekowców, drzew sal i bambusa. Nie ujechaliśmy daleko, kiedy zaczęły się głębokie koleiny. W końcu asfalt się skończył i podskakiwaliśmy na nierównym trakcie, wzbijając tumany kurzu, przypomniał mi się zapach mojej pierwszej nocy spędzonej w Ainbona.

Murad zaparkował samochód tak, że ukryty był za bambusowym zagajnikiem. Miał przy nim zostać z Dostem, podczas gdy reszta naszej grupy ruszyła pieszo przez las. Chcieliśmy przeprowadzić zwiad przed wkroczeniem na terytorium wroga.

Jaka piękna to była wycieczka, wczesnym popołudniem przez wzgórza i wąwozy; las w tej okolicy wciąż jeszcze był gęsty, nietknięty, w strumieniach roilo się od ryb pory deszczowej. Ptaki, których nie widziałem od dzieciństwa i o których istnieniu dawno zapomniałem. Drongo o rozszczępionych ogonach, zielone pszczołojady. Poranny deszcz przestał padać, i gdy tak szliśmy, nastrój nam się rozpogodził. Wracaliśmy piechotą w nasze dzieciństwo, ^dzie nic nie mogło nas dosięgnąć. Cała nasza trójka, maszerująca gęsiego tak jak wtedy, gdy byliśmy dziećmi, i stanowiąca równie osobliwy widok. Julia na przedzie był teraz tym, który nosił spodnie i koszulę, mnie zaś przypadła rola wieśniaka w dhoti. Phoebe podążała na końcu, ze spódnicą podciągniętą do kolan. Była

spokojna, pogodna. Może już smakowała bliską zemstę. Na zboczu wzgórze natknęliśmy się na stadko krów skubiących soczystą trawę.

— Fever, pamiętasz, jak się na nie woła? — spytał Jula.

— Hamba! — zawołała Phoebe. Krowy podniosły głowy. — Haalyal

Nasz spacer zdawał się trwać godzinami, lecz pewnie przeszliśmy nie więcej niż osiem kilometrów. Kres naszych poszukiwań nadszedł nagle i był zupełnie inny, niż się spodziewałem. Było późne popołudnie tego samego dnia, w którym wyczołgaliśmy się z Phoebe z otworu rury. Przedarliśmy się przez gąszcz krzewów kawandy na wierzchołku niskiego pagórka, i pod nami znów ukazała się droga. W pewnej odległości od niej znajdowała się brama, a za nią podjazd prowadzący przez

521

dobrze utrzymany ogród — z bananowcami, drzewami guawy, fontanną i sadzawką ze złotymi rybkami — do dużego bungalowu otoczonego werandą, na której siedział, zajęty lekturą, bardzo stary mężczyzna.

Phoebe poprowadziła nas przez bramę i podjazd. Mężczyzna podniósł głowę znad książki i spojrzał na nas. Zdjął okulary do czytania i mierzył nas wzrokiem.

— Dzień dobry — odezwała się Phoebe. — Myślę, że wie pan, kim jesteśmy.

— Obawiam się, że nie — odparł grzecznie mężczyzna. — Zgubili państwo drogę?

— Nie, przybyliśmy aż z Bombaju, żeby się z panem spotkać.

— Doprawdy? Pieszko?

— Nasz samochód stoi w pobliżu — odparła Phoebe. — Z przyjaciółmi, którzy czekają, aż bezpiecznie do niego wrócimy.

— Bezpiecznie? Czy grozi państwu jakieś niebezpieczeństwo? Powiedziała pani, że mnie szukacie?

— Służył pan w policji w Bombaju, prawda?

— Służyłem — potwierdził mężczyzna. — Ale od dwudziestu lat jestem na emeryturze.

— Pewien mężczyzna padł ofiarą szantażu — powiedziała Phoebe. — To było dawno temu, w latach pięćdziesiątych, kiedy jeszcze pan pracował. Ten mężczyzna był przemytnikiem.

Zaopatrywał w trunki ludzi ze śmietanki towarzyskiej.

— Rozumiem. Czy powinienem wiedzieć o tej sprawie?

— Tak — odparła Phoebe — bo ten przemytnik miał klienta, którego pan z pewnością pamięta.

Niejakiego Prema Ahudzę.

Przyglądałem się uważnie twarzy mężczyzny, lecz nic w niej nawet nie drgnęło.

— Ach — westchnął. — Sprawa Nanavatiego. Cóż, to, co powiedziała pani o szmuglerze, wcale mnie nie zaskakuje. Tacy jak on kryminaliści zawsze mają jakieś kłopoty. Ale nie rozumiem, czemu do mnie państwo z tym przychodzą.

Wciąż staliśmy pod jego werandą, spoglądając na górę, gdzie siedział.

522

— Sir, czy jest pan świadomy, że jedna z kobiet utrzymujących kontakty z Ahudzą również była szantażowana? Przez tego samego człowieka?

— Sprawa Nanavatiego to odległa przeszłość. Trudno dokładnie wszystko pamiętać. Wydaje mi się, że nie było mnie na komendzie, kiedy to się stało.

— Nie sądzę — odezwał się po raz pierwszy Jula. — Z moich informacji wynika, że pracował pan przy tej sprawie.

— Rzeczywiście — potwierdził starzec. — Brałem udział w śledztwie. Jako jeden z kilkunastu funkcjonariuszy. Niestety, nie zmienia to faktu, że wspomnienia z czasem odchodzą.

— Wątpię, czy wspomnienie tej sprawy kiedykolwiek odejdzie — powiedziałem.

— Mówi pan wyjątkowo dobrze po angielsku — zauważył nasz gospodarz, spoglądając na mój wieśniaczy przyodziewek. — Proszę, nie stojcie państwo tak na słońcu. Wejdźcie, siadajcie. Mogę poznać godność państwa?

Weszliśmy na werandę i usiedliśmy w wiklinowych fotelach, w półokręgu, twarzą do niego.

— Nazywam się Phoebe Killigrew — powiedziała Fever. — Może moje nazwisko przywoła jakieś wspomnienia?

— Obawiam się, że nie, moja droga pani — odparł z uśmiechem starzec. — Ale proszę mnie oświecić.

Phoebe zaczęła opowiadać historię. O fatalnym romansie Sybil z tym, którego nazywała Panem Love, o skrobance, morderstwie, procesie Nanavatiego, szantażu. Mówiąc, ani na chwilę nie oderwała wzroku od jego oczu. To była chwila, na którą tak długo czekała. — Zastanawiam się, czy szantażysta kiedykolwiek uświadamiał sobie, jak okrutne, jak podłe było to, co robił — mówiła. — Dla paru tysięcy rupii zrujnował życie mojej matki. — Szczegółowo opisała cierpienia Sybil, jej śmierć. — Ten mężczyzna, jeśli jeszcze żyje, powinien wiedzieć, że to, co uczynił, jest niewybaczalne, i nigdy nie uzyska przebaczenia.

— Jestem wstrząśnięty — rzekł starzec. — Współczuję pani. Ale nie sądzę, by ktokolwiek, kogo znam, mógł coś takiego popełnić... Skąd ma pani pewność, że ten szantażysta był

523

funkcjonariuszem policji? Czy nie jest bardziej prawdopodobne, że był dziennikarzem? Albo skorumpowanym urzędnikiem sądowym?

— Nie powiedziałam, że był policjantem — odparła Phoebe. — Pan to powiedział. Urzędnicy sądowi zwykle nie porywają dzieci ze szkoły i nie opowiadają im w formie groźby o morderstwach, którymi zajmowali się jako oficerowie śledczy.

— A dziennikarze nie przesłuchują osób zatrzymanych w policyjnych aresztach — dodałem. Rozpaczliwie próbowałem przypomnieć sobie rysy policjanta, który mi groził. Nie mogłem ich znaleźć w twarzy tego starego człowieka.

— Dziennikarze i urzędnicy sądowi nie mają też odpowiedniej władzy — powiedział Julia — żeby przestraszyć człowieka tak bardzo, by zmusić go do opuszczenia kraju, który potrzebuje go o wiele bardziej niż bahinchod gangsterów i skorumpowanych policjantów.

Starzec znosił to wszystko z grzecznym uśmiechem.

— Mam wrażenie, że jesteście państwo przekonani, iż sprawcą tych strasznych czynów był policjant — rzekł. — Ale czemu przychodzą państwo do mnie z tą historią? Czego państwo ode mnie oczekują?

— Niech pan nam powie prawdę o tym, co wie — odparła Phoebe z powagą, od której ścisnęło mi się serce.

Starzec wziął okulary i czyścił je długo rogiem koszuli.

— Czy sugerują państwo, a mam nadzieję, że nie, iż jestem człowiekiem, o którym państwo mówili?

— Nie — odparłem. — Ale może nim pan być. Jeszcze nie jesteśmy pewni, kim on jest.

— Jeszcze nie? Więc jaki sens rzucać oskarżenia?

— Mężczyzna, który szantażował moją matkę, uważa, że jest bezpieczny — powiedziała Phoebe.

— Myśli, że nikt nie wpadnie na trop sprawcy przestępstwa popełnionego tak dawno temu. Jest przekonany, że wszystkie dowody, jakie mamy przeciwko niemu, to pogłoski, i że żaden sąd ich nie dopuści. Ale ten człowiek ma również reputację i rodzinę. Jego życie dobiega kresu. Ostatnią rzeczą, jakiej by chciał, jest odgrzebanie jego starych zbrodni i opisanie na łamach brukowców.

524

— Ten człowiek — powtórzył starzec. — Bez dowodów, co możecie zrobić?

Phoebe zachichotała, a potem zaczęła się śmiać. Ogarnął mnie nagły lęk. Było coś okropnie niewłaściwego, niemal diabolicznego w tym śmiechu. Boże, oby tylko nie dostała jakoś w swoje ręce broni. Oby go tylko nie zastrzeliła. Nie mamy żadnych dowodów, że to on. Potem przyszło mi do głowy, że jeśli ten mężczyzna naprawdę jest szantażystą, to wie, że istniał notes, który może go pogrążyć. On myśli, że go nie mamy.

— Istnieje notes — odezwałem się. — Zapisany znakami stenograficznymi. Jest w nim wszystko, czego potrzebujemy. Daty, godziny, miejsca, kwoty. Jego groźby zapisane słowo w słowo, przy świadkach. Nawet opis jego biura.

Phoebe znów wydała ten denerwujący śmiech.

— Ten człowiek — powiedziała — tak rozpaczliwie szukał tego notesu, że kupił dom, w którym, jak uważał, go ukryto. — Ku mojemu zdumieniu, puściła oko.

Uśmiech naszego gospodarza znikł.

— To wszystko absurd — rzekł. — Bez tego rzekomego notesu nic nie możecie zdziałać. Nawet gdybyście go mieli, niewiele by wam to dało.

— Notes — ciągnęła Phoebe, unosząc się teraz na skrzydłach wyobraźni — na zawsze pozostał w posiadaniu mojej matki. Leży teraz w sejfie u mojego adwokata w Anglii, który otrzymał instrukcje, żeby opublikować jego zawartość, jeśli zdarzy się coś niemiłego mnie albo któremuś z moich przyjaciół... Wkrótce zdobędziemy tę informację i wtedy zadecydujemy, co z nią zrobić. —

Przerwała na chwilę. — Człowiek wymieniony w tym notesie, kimkolwiek jest — powiedziała, patrząc mu prosto w oczy — chciałby przeżyć swoje ostatnie lata w spokoju. Ale ja chcę mu powiedzieć, że od dziś go nie zazna. Wkrótce dowody jego zbrodni zostaną odczytane. A ponieważ sprawa stanie się znana, wywoła ciekawość prasy. Mogę ujawnić ją dziennikarzom. Ale mogę tego nie zrobić. Ten człowiek będzie żył z dnia na dzień, nie wiedząc, kiedy jego nazwisko trafi na czołówki gazet. Dowie się, czym jest wieczny strach przed ujawnieniem. Każdego ranka będzie się budził chory ze strachu.

525

Nie będzie nawet śmiało otworzyć gazety. Pozna dokładnie to samo cierpienie, które zadał mojej matce...

Starzec klasnął w dłonie i z wnętrza domu momentalnie wychynął służący. Teraz nas wyrzuca, pomyślałem. Albo zrobią coś gorszego.

— Przebyliście długą drogę w upale, żeby opowiedzieć mi tę ciekawą historię — rzekł gospodarz.

— Napiją się państwo herbaty?

Kamień

— To on. Wiem, że to on!

Cała nasza piątka była w domu na stoku Bicchaudy, w którym mieszkała kiedyś moja rodzina. Przechadzaliśmy się po pokojach, do których zaczynały się wdzierać drzewa, siedzieliśmy na krawędzi kruszącej się fontanny, kiedyś pełnej złotych rybek, teraz suchej i po brzegi wypełnionej liśćmi. Na zewnątrz czekał nasz samochód. Murad zaparkował go dokładnie w tym samym miejscu, w którym Babu stawiał humbera.

— Chciałbym mieć taką pewność — powiedziałem. — Ten starzec nie zachowywał się jak człowiek winny albo przejęty. Poczestował nas herbatą, zaproponował pomoc. Naprawdę widzisz go jako bezwzględnego szefa bandy zbirów w mieście sto sześćdziesiąt kilometrów stąd?

— Wiem, że to był on — powtórzyła Phoebe. — Ten sam mężczyzna, który porwał mnie ze szkoły!

— Jeśli to on — odezwał się Jula — to w tej chwili jego odbytnica jest wywrócona tył na przód. Osiągnęłaś to, po co przyjechałaś. I z głowy. Teraz wracaj do domu i zapomnij o tym. Sprawa skończona.

— Przynajmniej raz sukinsyn powiedział coś do rzeczy — stwierdził Dost, kiedy Mitra powtórzył mu swoje słowa w hindi. — Ogłoszmy oficjalnie, że przeszłość umarła.

— Ależ ona nie umarła — zaproponowała Phoebe, kiedy przetłumaczyłem. — Ten facet pozostał tym samym zimnym draniem, którym zawsze był. Chcę go tak przerazić, żeby nie mógł oddychać.

— Fever — powiedziałem — Jula ma rację. Jeśli on naprawdę jest szantażystą, to wierzy teraz, że mamy dowody,

527

które mogą go pogrążyć. Wracajmy do domu i zostawmy go, niech sobie fermentuje.

— Ale my nie mamy dowodów — odparła Phoebe. — To bujda.

— W tym wypadku nie ma różnicy, prawda czy kłamstwo — zauważyłem.

— To nie wystarczy! — krzyknęła Phoebe. — Nie rozumiecie! Żaden z was! Nie po to przeżyłam w udęcie tyle lat, żeby teraz spuścić go z haczyka. Uśmiechał się, kiedy się z nami żegnał!

— Moja droga, prawda jest taka, że nie mamy notesu. I nie udało nam się go znaleźć, więc nic więcej nie da się zrobić.

— Nic więcej! — zawołała, przedrzeźniając mnie. — Gdybym wszystko zostawiła tobie, Bhalu,

nic by się nie stało, absolutnie nic.

Zdumiała mnie zjadliwość w jej głosie. Czy to była ta sama kobieta, która tuliła się do mnie wczoraj przez całą noc? Kto mi szeptał, że jestem jedynym mężczyzną na świecie, jakiego kiedykolwiek kochała? Mówiła dalej, najwyraźniej nieświadoma, że mnie dotknęła.

— Wiesz, co myślę? Notes jest tutaj. W tym domu. Byłem zbyt wstrząśnięty, żeby odpowiedzieć. Jula, którego

uwagi nic nie uszło, musiał zapytać, dlaczego tak uważa.

— Bo mamusia przyjechała do Ambona — odparła Phoebe. — Z początku myślałam, że zrobiła to, bo notes był na cmentarzu, ale teraz uważam, że był tutaj przez cały czas.

— Dlaczego Maja miałaby go tu zostawić? — spytałem najspokojniej, jak tylko umiałem.

— Tego nie wiem. Ale w przeciwnym razie, dlaczego ten człowiek kupił dom i pozwolił mu obrócić się w ruinę? Czemu postarał się, żeby nikt inny tu nie zamieszkał?

— To wszystko tylko spekulacje.

— Widziałeś jego twarz? Był naprawdę poruszony. Wiem, że to on, i mam pewność, że notes gdzieś tu jest, teraz. Pewnie leży kilka metrów od nas.

— Co do tego Fever ma rację — przyznał Jula. — Dom naprawdę został kupiony przez grubą rybę z policji, która rzeczywiście pozwoliła, żeby zamienił się w ruinę. Jest też prawdą, że po twojej rodzinie nikt tutaj nie mieszkał.

528

— Wydaje mi się oczywiste — powiedziała Phoebe — że w notesie musiało być coś naprawdę obciążającego. Nawet gorszego niż szantaż. Gdybyśmy go znaleźli, wiedzielibyśmy, dlaczego ten facet tak rozpaczliwie próbował dostać go w swoje ręce.

— Przecież wiemy — powiedziałem. — Było w nim nazwisko tego człowieka i szczegółowy zapis szantażu. Nawet opis jego biura.

— Co jest gorszego niż szantaż? — zapytała Phoebe. — Pomyśl!

— Rosie! — odpowiedział Jula.

— Tak, biedna Rosie. Pamiętajcie, że szantażysta groził im przez telefon. Nie tylko mojej mamusi, ale twojej mamie też, Bhalu. Przypuśćmy, że mamusia zapisywała te groźby, w obecności Mai jako świadka? Kilka dni później zginęła Rosie.

— To był wypadek, Phoebe. Wiesz o tym równie dobrze jak ja. To była nasza wina.

— Wcale nie — zaproponowała gniewnie Phoebe. — Wmówiono nam, że jesteśmy winni, ale mamusia uważała, że Rosie została zamordowana.

— Czy to nie jest trochę naciągane? — spytał Jula.

— Nie, Jula, to nie jest naciągane. Ty może nie pamiętasz tego dnia, ale ja tak. Jak szybko zjawiała się policja. Przetrzęsnęli cały dom. Po co? Nie widzieliście strachu w oczach tego człowieka, kiedy powiedziałeś mu, że mamy ten notes?

— Pewnie przestraszył się, że jesteśmy szurnięci — odparłem.

— Och, na litość boską! — krzyknęła Phoebe. — Czemu robisz wszystko, żeby go spuścić z haczyka?

— Mam tego dość — oznajmiłem. — Dziś wieczorem wracamy do Bombaju, a jutro rezerwuję sobie bilet na samolot.

Phoebe momentalnie zmieniła ton.

— Bhalu, nie możesz mnie zawieść. Nie pomożesz mi szukać tego notesu? Jest ukryty gdzieś tutaj. Na pewno uda nam się go znaleźć.

— Pójdę z nią — zaproponował Jula. Obeszli cały dom, przeszukując pokoje, tak jak Nina i ja pierwszego dnia pobytu tutaj; ja tymczasem siedziałem na fontannie z Dostem i Mura-

529

dem, którym nieznanomość angielskiego uniemożliwiła wzięcie udziału w sporze. Musieli jednak uchwycić ton naszej dyskusji.

— Coś mi się zdaje — rzekł Dost ze swoją zwykłą przenikliwością — że nasza Phoebe znów doprowadziła cię do wrzenia.

Nie wiedziałem, co odpowiedzieć. Myślałem właśnie o tym, że byłem szalony, w ogóle jej

słuchając. Pierwszym szaleństwem była sama podróż do Indii. Dlaczego to zrobiłem? Może po to, by dowieść, że nie jestem nudziarzem w średnim wieku, na jakiego wyglądam. Że spragniony przygód chłopiec, którym kiedyś byłem, wciąż we mnie żyje. A może dlatego, że moje małżeństwo stało się zbyt monotonne i wydawało mi się, że mogę omotać piękną kobietę. Jakie sprzeczne uczucia budził teraz wybuch namiętności ostatniej nocy. Czy okazałem się śmiesznie łatwowierny? Patrząc w pewnym niekorzystnym świetle na wydarzenia ostatnich kilku tygodni, dostrzegało się w nich znamię wszystkich moich poczynań: bholaizm, z którego zawsze słyszałem. Bhoła Bhalu.

Bhalu Prostaczek. Bhalu Głupiec. Bhalu-Który-Już-Nie-Jest-Niewinny.

— Bhalu, spójrz! Znalazłam to w szafce w naszym dawnym pokoju!

Phoebe wróciła, znów tryskając optymizmem. Od razu poznałem to, co trzymała w wyciągniętej ręce. Była to rozpruta, pokryta teraz grubą warstwą pleśni, okładka książki z czerwonego sukna. Obie wyklejki wciąż tkwiły na swoim miejscu. Puk z Pukowego Wzgórza. Tłoczony frontysepis przedstawiał dzieci bawiące się na pagórku w Sussex.

— O cholera — zakląłem. — To pierwsze wydanie.

— Czy to jest twoja jedyna reakcja?

— A jak mam zareagować?

— Chciałam, żebyś zdał sobie sprawę — odparła Phoebe — że jeśli ten kawałek książki zdołał się tu zachować i po tylu latach jest wciąż czytelny, to mógł się też zachować notes.

Wznowiła poszukiwania.

Za godzinę lub dwie zrobi się ciemno.

— Bhalu, chodźmy wszyscy do Karvandy. Powinniśmy odwiedzić szkołę i zobaczyć się z Rameshbhaim.

530

Ale Phoebe nie chciała z nami iść.

— Notes gdzieś tu jest — mówiła. — Nie chcę odejść, póki go nie znajdę.

Dost też nie chciał iść do Karvandy.

— Przekonaj Phoebe-ji, żeby zwinęła interes — rzekł do mnie. — Zgłodniałem. Pomyśl, ile kebabów omija nas w Dżam--i-Dżam.

Przypomniałem sobie, że kilka kilometrów stąd na skraju urwiska Tygrysi Skok przekupnie sprzedają pieczoną kukurydzę. Dost zaproponował, że pojedą tam z Muradem i przywiozą kilka sztuk.

Odprowadzając wzrokiem znikający samochód, Phoebe wyglądała tak smutno, że aż żal było patrzeć.

— Jesteś pewna, że poradzisz sobie sama? — spytałem.

— Ależ oczywiście — burknęła. — Czemu miałabym sobie nie poradzić?

Było tak, jak gdyby nasza wczorajsza bliskość nigdy nie istniała.

Kiedy schodziliśmy krętą ścieżyną po stoku Bicchaudy, a potem wspinaliśmy się na Dagalę, Julia stwierdził enigmatycznie:

— Obawiam się, że zdrowie Fever nie jest w najlepszym stanie.

— Co masz na myśli? — Rozmawialiśmy w hindi.

— Coś z nią jest. Nie umiem wskazać tego palcem, ale to niepokojące.

— Gorączkuje się — odparłem. — Cierpi też na depresję. — Julia nie odpowiedział, więc mówiłem dalej: — Została głęboko zraniona, kiedy była mała. Ty i ja nawet o tym nie wiedzieliśmy.

— Ona wykorzystuje ludzi, Bhalu. Wykorzystuje ciebie. Nie chciałem w to wierzyć.

— Przeżyła trudne chwile. Ale ma odwagę. Dużo odwagi. Jest lojalna.

— Widziałem was razem. Kiedy wie, że na nią patrzysz, odgrywa dziewczynkę. Lecz gdy tylko odwrócisz wzrok, jej twarz robi się pusta. Traci zainteresowanie. Jak gdybyś przestawał istnieć.

531

Nie wiesz jednak, pomyślałem, zapomniawszy o swoich przemyśleniach na temat naiwności, że wczoraj w nocy udowodniła, że mnie kocha. Wiele razy. Z namiętnością, która wstrząsnęła moim sercem. Ale tego nie mogłem mu powiedzieć.

Połowa mieszkańców Karvandy zebrała się przed telewizorem, żeby oglądać teleturniej. Jedną z

owych baśni o błyskawicznej przemianie z biedaka w milionera, prowadzonych przez byłe gwiazdy filmowe. Ale gdy zjawił się Jula, wyłączono telewizor. Po chwili pograżył się w rozmowie, otoczony przez starych przyjaciół.

— Ludzie tutaj są z niego dumni — powiedział mi Ramesh-bhai. — Bo zaczął od niczego i tak wiele osiągnął. Robi tyle dobrego. Bez wychnienia pracuje dla dobra innych.

Oto polityk, pomyślałem, który zadaje kłam Indiom w 1983 roku.

Zmierzch zaciągał już niebo granatem, kiedy zesliśmy z góry. Przed domem zauważyliśmy samochód. Włączone reflektory były skierowane na ruiny domu. Po co Murad to zrobił?

— Niedobrze — powiedział Jula i rzucił się biegiem. Zbliżywszy się, usłyszeliśmy Dosta i Murada. Krzyczeli:

„Phoebe! Phoebe!”

— Co się stało? — krzyknął Jula. — Gdzie ona jest? Dost wyszedł nam na spotkanie. Jego twarz miała tak żaloszny

wyraz, że trudno go opisać.

— Znikła — odparł.

— Znikła? — zawołał Jula. — Dokąd mogła pójść?

— Nie wiem. Wróciliśmy i już jej nie było. Ani śladu. Przeszukaliśmy wszystko, cały dom i wszystko dookoła. Nic.

Poczułem mdłości. Jak mogliśmy być tacy głupi i zostawić ją samą? Ale jakie niebezpieczeństwo mogło grozić jej tutaj, w tym dobrze znanym otoczeniu? Lecz gdy się zastanowiłem, pojawiło się wiele niebezpieczeństw. Kobry wśród obłuzowanych kamieni, zwłaszcza w porze monsunu.

Zmierzch zapadający nad górami. Może poszła na spacer? Niektórych rozpadlin można było nie zauważyć w półmroku. Nieopodal były strasz-

532

liwe urwiska, z których właśnie wrócili Dost i Murad. Jeden fałszywy krok i miało się pod sobą setki metrów powietrza. Istniało jeszcze jedno zagrożenie, którego nie wziąłem pod uwagę. Wróg. Czyżbyśmy go nie docenili? Czyżby odgadł, dokąd ruszymy po wyjściu z jego domu? Mieszkał zaledwie trzydzieści kilometrów stąd, w górach, wśród wzgórz hen, hen i jeszcze dzień. Czy tu przyjechał? Albo wysłał jednego ze swoich ludzi? Krzyk na wietrze, w noc, gdy zginęła Rosie. Od zachodu, gdzie na ciemnych liniach chmur kładł się róż, dobiegł pomruk grzmotu. Język zielonej błyskawicy liznał daleki Książęcy Nos.

— Pójdę do wioski — oznajmił Jula. — Zorganizujemy poszukiwania. Musimy ją znaleźć, i to szybko. Będzie potężna burza.

— Zaczekaj! — powiedziałem. — Ja wiem, dokąd poszła Phoebe.

Nie pozwoliłem im sobie towarzyszyć. Jeśli ona poszła sama, to i ja muszę iść sam. Minęło czterdzieści lat od czasu, gdy ostatni raz wspinałem się na Bicchaudę, lecz stara ścieżka wciąż tam była, biegnąc niewyraźną linią w ciemność. Przedzierałem się przez kępy kawandy, które wiatr, świszczący już w trawie i w drzewach na zboczu góry, formował w niesamowite kształty.

Błyskawice były bliżej, a powietrze przepełniała woń zbliżającego się deszczu. To była ta droga.

Tędy musiała pójść, bo właśnie tą drogą wspinaliśmy się przed laty. Wiła się między zagajnikami, wyżej na stoku góry. Było ich teraz mniej. Puste miejsca tam, gdzie niegdyś rósł las. Widok

otwierający się na zachód, ponad rozległą czernią jeziora w dole, teraz pewnie pełnego i

wzburzonego. Przy silnym wietrze, takim jak teraz, na jeziorze powstawały fale rozbijające się o

brzeg w białej pianie, jak na morzu. Zaczęło padać. Na zachodzie znów igrały błyskawice, nad

Głową Cukru i bezimienną górą z tyłu, tą, której istnieniu zaprzeczał Kali Das, sprzedawca herbaty

i vada-paw, mimo że spędził nad jeziorem całe życie. Po raz pierwszy się zawahałem. Przedemną

zaczynał się śliski, skalisty stok, zalewany równo padającym deszczem; to właśnie stąd spadła

533

Rosie i się zabiła. Byłem tak wysoko, że światła wioski w dolinie wyglądały jak maleńkie iskielki.

Miałem nadzieję, że zobaczę Phoebe, byłem pewny ponad wszelką wątpliwość, że tu przyszła. Czy tędy przechodziła? Przez tę niebezpieczną skałę? Zrobiliśmy to już kiedyś, gdy byliśmy dziećmi.

Powoli, bardzo ostrożnie zacząłem się posuwać, centymetr po centymetrze, nie ośmielając się

spojrzeć gdziekolwiek indziej, tylko na grant pod stopami. Oślepiająca błyskawica wydobyła z mroku całą powierzchnię skały. Zdawało mi się, że widziałem węża sunącego tuż przede mną, lecz był to strumień zimnej wody, wijący się po skale, który dziesiątki metrów niżej zamieniał się w wodospad. Stopniowo nachylenie stoku zmniejszało się, łagodniało, na jego powierzchni znów pojawiła się trawa. Byłem już blisko. Wciąż ani śladu Phoebe. Ale ja wiedziałem, gdzie ona jest. Tuż-tuż. Będziemy blisko, kiedy spotkamy się znów w tym miejscu. Kiedy zobaczy, że po nią przyszedłem, kiedy udowodnię, że odgadłem jej myśli i mimo wszystko naprawdę dzieliłem jej najgłębsze pragnienia. Już przepowiadałem w głowie słowa, które wymienimy, i czułem już tę wiedzę, zbyt głęboką, by oddać ją słowami, że jesteśmy jednym, że nic nas nigdy nie rozdzieli. Tu odnowimy uroczyste śluby, które składaliśmy sobie, gdy byliśmy dziećmi. Tej nocy to było nasze przeznaczenie. Szukałem kępy wysokich drzew i polany, lecz stok się zmienił. Wreszcie dotarłem do czegoś, co w pierwszej chwili wziąłem za stos kamieni. Mała kapliczka. Wciąż tam była. Ale teraz stała pośrodku trawiastej łączki. W promieniu kilku metrów ani jednego drzewa. Las znikł. Znów błyskawica, tańcząca wokół Bicchaudy. Wewnątrz kapliczki świeciły oczy małej boginki, tak jak zawsze, z niezmiennym wyrazem twarzy spoglądającej na scenerię zmienioną nie do poznania. Właśnie tam spodziewałem się znaleźć Phoebe. Ale jej nie było. I wtedy przyszło mi do głowy, że naprawdę zniknęła i że jestem na górze sam.

Skała nieopodal wciąż sterczała ku niebu. W drżącym blasku błyskawicy, gdy wydaje się, że całe niebo rozbłyska przez chwilę jak popsuta jarzeniówka, zobaczyłem, że jej koniuszek

534

jest nadal grabo pomalowany cynobrem. A więc wieśniacy nie przestali tu przychodzić. Dawni bogowie wciąż żyją. A w noc taką jak ta duchy będą odprawiały swe tańce.

Nie wiedziałem, co robić. Usiadłem więc, opierając plecy o skałę, i zamknąłem oczy.

W mojej głowie, lecz całkiem wyraźnie, jak gdyby słowa były wypowiedane na głos, słyszałem głos mojej matki, mówiący: Hamari kahaniyan apne aaramb sipahle aaramb hotin hain, aur apne anta ke baad takjaari rahtin hain. Nasze historie zaczynają się, nim się zaczną, i trwają jeszcze po swoim zakończeniu.

Mamo, chciałaś za dużo odpowiedzialności. Wzięłaś na siebie winy milionów. Może nie umiałaś znieść tego, że niewiele znaczysz. Nigdy nie powinienem był cię słuchać.

Zawsze byłeś głuptasem, rozlega się odpowiedź w pomruku gromu odbitym od bazaltowych skał. Spójrz na siebie, siedzisz na szczycie góry i mokniesz, gdy tymczasem na świecie jest tyle rzeczy do zrobienia.

Jakich rzeczy, jeśli można wiedzieć? Skąd wiesz, co jest ważne, a co nie? Jak powinniśmy postępować — czyż nie jest to twoje słynne pytanie bez odpowiedzi — skoro nie możemy wiedzieć, jakie będą następstwa naszych czynów? Jeśli sądzić jedynie na podstawie skutków, nie da się stwierdzić, czy jakikolwiek czyn jest moralny. Albo niemoralny. W istocie, wedle twojej logiki, skoro konsekwencje sięgają naprzód i wstecz bez końca, wszystko, co robimy, musi być zarazem nieskończenie dobre i absolutnie złe.

Przestańże pleść głupstwa, huczy ulewa, przynosząc odpowiedź. Znaczy to tyle, że musimy robić wszystko z najlepszymi intencjami. Musimy starać się być dobrzy, starać się i jeszcze raz starać.

Czy starałeś się być dobrym, mój mały Bhaldolufciu?

Nie byłem dobrym chłopcem, nie, nie byłem. Właśnie dlatego moknę tu, na tym garbatym wzgórzu. Pewnie nie odrobiłem lekcji, bo wciąż nie rozumiem, jak żyć na tym świecie. Nie chwytam w lot, nie pojmuję, i nigdy nie postąpiłem dobrze ani mądrze. Doprowadziłem biedną Kąty do ucieczki w krainę egzotycznych ptaków. A wczoraj w nocy parzyłem się z kobietą, która wcale a wcale nie jest moją żoną.

535

Bhalu, mruknął łagodny głos tuż koło mojego ucha, co z tobą zrobić? Zachowywałeś się jak nieodpowiedzialny krętacz. Czyż nie jesteś jak Pan Love, niemogący się zdecydować, którą kobietę kocha, i stracił obie?

Zimno mi. Trzęsę się. Duchy przychodzą tu tańczyć przy blasku błyskawic. Widzę cienie, które pływają wokół mnie, skaczą w rytm gigantycznego bębna. Wszystkie tu są. Jest Maja. Sybil, młoda i

piękna, tuląca w ramionach niemowlę naznaczone śladami psich zębów, wreszcie szczęśliwa. Obok niej Killy. Widzę dziadka z jego hookah. Nafisa Jaan, która zdarła sobie palce od drapania ceglanego muru. Rosie, uśmiechnięta, tańcząca na odwróconych stopach jak Haadal. Spójrzcie, jest i Pan Love w zakrwawionym ręczniku, z pustą butelką po whisky w dłoni i do połowy opróżnioną czaszką, w samym środku gromady eleganckich dam. Obok Noor tańczy tak, jak gdyby chciała złamać ci serce, ze swoim wiernym Subczło-wiekiem.

A oto nadchodzi Gandhi-ji, uśmiechnięty od ucha do ucha, z ranami w piersi szkarłatnymi jak maki w Dniu Pamięci Narodowej; śmieje się razem z Nathuramem, którego szyja jest wciąż skręcona od sznura. Jest i lord Mountbatten, z ciałem pokiereszowanym eksplozją, która go zabiła, gawędzący z Neh-ru, jedynym ze swej dynastii, który umarł naturalną śmiercią. Są tu wszyscy, którzy zginęli w zamieszkach, i ci, co polegli w czasie rozbiorów. Jest też kochany Manto, rozglądający się za piórem. Morze duchów, cisnących się tłumnie do kamienia, czekających na uwolnienie.

Freddy taksówkarz

(Lewes, wrzesień 1999)

Jula mnie znalazł i sprowadził z Bicchaudy. Czuwał przy moim łóżku przez trzy dni, które przeleżałem w szpitaliku w Ambona. W Bombaju poszliśmy na policję i zgłosiliśmy zaginięcie Phoebe. Upłynęły tygodnie i wciąż nie było po niej śladu. Skończyły mi się pieniądze, mieszkałem u Dosta.

W końcu wróciłem do domu. Złapałem poranny pociąg z Londynu do Lewes. Był piękny letni dzień. Poszedłem spacerem ze stacji przez pola wypełnione śpiewem ptaków. Trwały żniwa, pola okryły się blond rżyskiem, upstrzonym belami słomy. Przemaszerowałem wzdłuż rzeki, zwracając uwagę na doskonałą symetrię topól, i wkroczyłem na dróżkę prowadzącą do naszego domku, pełen szalonych oczekiwań. Nie udało mi się skontaktować z Kąty. Mój powrót będzie niespodzianką. Wszedłem do środka. Domek był pusty. Biegałem z pokoju do pokoju, dudniąc stopami po gołych deskach. Ileż bym dał za granatową kanapę i ptasią muzykę? Ale niczego nie było. Pobiegłem do stajni. Oksymorona także nie było. Nie pasł się na wybiegu. Znikło jego siodło i uprząż. Betonowe klepisko było pozamiatane i splukane wodą. Wszyscy zniknęli.

Wyszedłem z domu i usiadłem na trawie. Ceanothus pod oknem dużego pokoju już dawno przekwitł.

Wróciłem pieszo do miasteczka. Antykwariat był zamknięty. Nie miałem klucza. „Rachunek został zlikwidowany — rzekł przepaszająco dyrektor banku. — Pańska żona wycofała wszystkie pieniądze, do czego miała pełne prawo. Wyjaśniła, że wyjechał pan za granicę, a ona właśnie zamierza do pana dołączyć”.

Nie było mnie stać nawet na pójście do Charlotte, ale znalaz-

539
łem w warsztacie Prosiaczka, który niepewnie spojrział mi w oczy.

— Zastanawiałem się, kiedy wrócisz, chłopie. Mam dla ciebie parę rzeczy. — Wręczył mi kopertę z charakterem pisma Kąty i paczkę zaadresowaną do mnie na nasz domowy adres.

Oto treść listu: „Kupiłam domek i kawałek pola na południu Francji. Lot Valley. Bliźniaczki pomogły mi w przeprowadzce. Zrobiłyśmy to w kilku turach, budą do przewożenia konia. Twoje rzeczy są tutaj. Jeśli chcesz wrócić do domu, z przyjemnością Cię zobaczę. Ale się Ciebie nie spodziewam. Kąty”.

Poszedłem do księgarni, włamałem się przez tylne drzwi i zaparzyłem sobie herbaty. Wszystko było tak, jak w dniu mojego odlotu do Indii. Pudła z książkami Mai wciąż zajmowały środek pokoju okładek. Podniosłem słuchawkę i poprosiłem operatorkę, żeby połączyła mnie z numerem we Francji.

Parę tygodni zajęło mi sortowanie książek, które chciałem zabrać; resztę zasobów miałem zamiar zostawić nowemu właścicielowi. Tymczasem spałem w jednym z pomieszczeń na zapleczu, na łóżku pożyczonym od zatroskanego, życzliwego Prosiaczka. Z Indii przyszedł list. Od Juli. Bhalu, odnalazłem Phoebe. Mieszka w Candolim w Goa, z jakimś Włochem. Wydaje mi się, że niedawno go poznała. Każe ci przekazać, że jest wdzięczna za wszystko, co zrobiłeś... Jak

rozumiem, w noc swojego zniknięcia złapała okazję, jakąś ciężarówkę, i pojechała zobaczyć się z człowiekiem, u którego wcześniej byliśmy. Zdaje się, że doszli do jakiegoś porozumienia, bo Phoebe nie zamierza wyjeżdżać z Indii. Nie komentuję tego. Jeśli chcesz się z nią skontaktować, jedyny adres, który mi podała, brzmi następująco: do rąk Freddy'ego taksówkarza, przed hotelem 540

Summer Villa, Candolim, Goa. W przyszłym tygodniu spotykam się z Dostem. Połączyliśmy siły i tworzymy grupę kontaktową między społecznościami. Wspólnie będziemy jej przewodniczyli. Nie wiedzieć czemu, Dost nazywa ją „kółkiem dyskusyjnym”.

Dzień przed moim wyjazdem do Francji znajduję paczkę, którą Prosiaczek dał mi pierwszego dnia po powrocie, wciąż nieotwartą. W środku starannie owinięty w brązowy papier pakuneczek i karteczka, zapisana drobnym, pięknym, kaligraficznym pismem Panaghiotisa. „J)rogi Bhalu, Twoja matka zostawiła u mnie tę książkę na przechowanie. Zamierzałem wysłać Ci ją po Jej śmierci, lecz w jakiś niewytłumaczalny sposób wciąż u mnie jest. Wysyłam Ci ją więc pocztą. Bardzo mi Jej brakuje, Tobie na pewno też...”. Dalej następowały pozdrowienia i zaproszenie, żeby odwiedzić go, kiedy znów będę w Londynie.

Rozwiązuję paczkę i wpada mi w ręce cienki brązowy tomik. Rzadkie wydanie Robinsona Crusoe w obwolucie z początku osiemnastego wieku. Wygląda podejrzanie. Otwieram książkę i wszystko staje się jasne. W okładce starej książki znalazł się stary notes. Papier w linie. Od razu rozpoznaję charakter pisma. Nie jest zapisany stenograficznie, lecz zwyczajnie po angielsku. Wszystko tam jest. Daty, godziny, miejsca, kwoty w rupiach. Daty zaczynają się od tysiąc dziewięćset pięćdziesiątego dziewiątego roku i ciągną się do połowy lat sześćdziesiątych. Są też ustępy narracyjne.

Przewracam kartkę i uderza mnie nazwisko. Siedzę i długo się w nie wpatruję. Co powinienem zrobić? Wysłać ten skrawek papieru na adres Phoebe, do rąk Freddy'ego taksówkarza, przed hotelem Summer Villa, Candolim, Goa? Lecieć do Indii i pojechać na wzgórze hen, hen i jeszcze dzień?

Drzę. W kominku pali

Podziękowania

Wszystkim moim przyjaciołom, którzy poświęcili czas, by przeczytać i wyrazić swoje zdanie o niekończących się rękopisach: Sathyu Sarangiemu w Bhopalu, który wie, co to znaczy walczyć z niesprawiedliwością; Shreeramowi Vidyarthiemu za to, że zawsze był, kiedy potrzebowałem zasięgnąć opinii o tym czy innym aspekcie indyjskiego życia kulturalnego; Anilowi Thakraneyowi, który pomógł mi zdobyć dokumenty dotyczące sprawy Nanavatiego i w którego towarzystwie odbyłem dwie przyjemne podróże do „Wzgórz Ambona”; Gulabowi Rao, naczelnikowi wioski Arda, za to, że dał mi irrlę; Simranowi Shroffowi, który dostarczył mi listę zakupów na przyjęcie Suba (z jednym lub dwoma wyjątkami lista jest aktualna, a jej użyteczność, jak mi się zdaje, czyni nieistotną jej anachroniczność); Alyque'owi Padamsee'emu i Sharon Prabhakar za przedstawienie mnie pani Ricie Metha, która łaskawie otworzyła przede mną archiwa „Blitza”; Moha-nowi Deepowi za udostępnienie mi wyników swych badań nad sprawą Nanavatiego; Johnowi Lobo za to, że podzielił się ze mną swoimi wspomnieniami o aresztowaniu Nanavatiego i jego procesie; Grahamowi Johnstone'owi, który wprowadził mnie w muzykę calypso i przysłał mi tekst wiersza Pussyistic Man; Jonathanowi Harveyowi, który opowiedział mi o głosach ptaków i muzyce Olivera Messiaena; mojej siostrze Umi Stoughton za jej liczne cenne spostrzeżenia; starym przyjaciołom w „Ambona” i Dongri; wszystkim ludziom, zbyt licznym, by ich wymienić, których dobroć pozwoliła mi przeżyć podczas moich podróży do Indii; wreszcie moim wydawcom w Scribnerze, agentce Carole Blake i oczywiście mojej rodzinie: dziękuję Wam i, jak powiedziałaaby Maja: „Niech Bóg, w którego rzecz jasna nie wierzę, was błogosławi!”.

Spis treści

Prolog.....	9
Część I — MAJA.....	23
Część II — AMBONA.....	97
Część III — PHOEBE.....	163

Część IV — SYBIL.....	251
Część V — SZATAN	325
Część VI — INDIE.....	413
Epilog.....	537

ISIS

J

INDRA SIN'IA urodził się w 1950 roku w Bombaji spędził dzieciństwo w C
pisarza był Hindusem .a -
Angielką. Ukończył Mayo College (Radżastan) i Pembroke College (Cambridge). Jako co-pywriter
w agencjach reklamowych zdobył wiele nagród i wyróżnień. Jest autorem pierwszego od prawie
stu lat przekładu na język angielski indyjskiego tekstu Kama Suty oraz tłumaczeń klasycznych
tekstów tantryjskich. W 1999 roku debiutował książką „Nomadzi cyberprzestrzeni” (wyd. polskie -
Helion, 2004), opisującą zjawisko uzależnienia od komputerów i Internetu. „Powrót do Indii”
(2002), jego pierwsza powieść, zebrała niezwykle pochlebne recenzje. W 2006 roku ukaze się
następna - Animafs People. Indra Sinha aktywnie uczestniczy w różnego rodzaju akcjach
humanitarnych.